

Giovanna d'Aragona

Według portretu znajdującego się w Luwrze

KAZIMIERZ CHŁĘDOWSKI

HISTORJE NEAPOLITAŃSKIE

WIEK XIV—XVIII

Z 33 ILUSTRACJAMI

WYDANIE DRUGIE



Mgr A. Leichert

LWÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
1936

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE



378/35
Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH WE LWOWIE
POD ZARZĄDEM ADAMA WIERZBICKIEGO

ROZDZIAŁ PIERWSZY

TERRA DI LAVORO

I

„Ziemią pracy“ nazywają południowi Włosi od czasów odrodzenia, a może jeszcze dawniej, najżyźniejszy szmat ziemi, pomiędzy Abruzzami a morzem Śródziemnem, który nosił w starożytności miano „Szczęśliwej Kampanji“, „Campania Felix”.

Cztery rzeki przecinają mniej więcej w równej od siebie odległości ową bujną ziemię: Gariglano, Volturno, Sarno i Sele. Ale miano „szczęśliwej“ Kampanji się nie należało; żyzna gleba łaknie krwi ludzkiej, jak gdyby chciała się zemścić na człowieku, że jej skarby rabuje. Nigdzie tyle krwi ludzkiej się nie rozlewało, jak w bogatych krainach, czy to nad Gangesem lub Nilem, czy nad Guadalquivirem lub Wolturnem, lub wreszcie nad Wisłą i Renem. Są to „ziemie zdrady“; przyciągają do siebie i karmią dosyta głodne drużyny, ale niedługo nadejdą znowu inni śmiałkowie, którzy w pień wytępią swoich poprzedników. Nowe pokolenia zastąpią rody, które wieki żyły z soków tej ziemi, vendetta nadejdzie.

Tak bywało na „Terra di Lavoro“ i nigdzie ludzkie szczepy tak często się nie zmieniały i nigdzie tak rozmaite nie przechodziły kultury, jak właśnie w tej zaklętej krainie.

Jesteśmy na Monte Cassino; rozpoczynają się doliny, w których rolnik po kilka razy do roku zbiera zboże, jarzyny, winograd, ogród za ogrodem, raj za rajem — kraina wiecznego kwiecia, gdzie jeden owoc w zawiązku, a drugi dojrzewa, powiada Tasso:

Co’ fiori eterni eterno il frutto dura
E mentre spunta l’un, l’altro matura.

Ludzkość sięga tam pamięcią aż do lat trzech tysięcy, do czasów bohaterów Homera. W prostej prawie linji od Monte Cassino, ku morzu, leży Monte Circeo, gdzie Odyseusz w słodkich uściskach bogini nie zapomniał o swojej Itace, o swojej Penelopie. Góra Kirki była wtedy jeszcze skałą, wokoło morzem oblaną, jak Plinjusz pisał: „Circei quondam insula immenso mari circumdatur", a biedny Odyseusz nie miał okrętu, aby uciec od zdradzieckiej nimfy.

On siedział tam na brzegu, płacząc; jego oczy
Nie osychały od łez, a pobyt uroczy
Truła ciągle tęsknica, bowiem do bogini
Serce stracił; a chociaż nocą sypiał przy niej,
To gwałt był, lecz nie z jego, a tylko z jej strony.

(*Odyssea*, pieśń V. Przekład L. Siemieńskiego).

Od Monte Circeo do Monte Cassino, jakaż to olbrzymia przestrzeń czasów! Tam zamglona przeszłość, którą tylko z pomocą wyobraźni wielkiego barda odgadnąć można; tu średnie wieki, zakon mnichów, pracujących nad rozświeceniem minionych epok, siedlisko kronikarzy, szukających źdźbła prawdy. Porównanie pienia greckiego poety z żmudnem zajęciem benedyktynów niebardzo zachęcające dla dziejowych badań. Wyobraźnia góruje zawsze nad historją, trwa od niej dłużej. Wspaniałą pieśń barda podaje pokolenie pokoleniu, przez lat tysiące; uczone, choćby najbardziej „źródłowe" księgi spali najazd ludów barbarzyńskich lub ludów, które w zniszczeniu pracy przeszłych narodów widzą swe szczęście. Wyobraźnia zawsze najważniejszą będzie odgrywała rolę w życiu społeczeństwa.

Im bliżej Wolturna, tem bardziej dolina się rozszerza i tworzy aż po Neapol i Wezuwjusz ów szmat ziemi, na którym się rozsiadły trzy główne, a w dziejach Włoch południowych krwią zapisane miasta: Capua, Caserta i Aversa.

W mojej młodości wyniosłem wrażenia pełne grozy z tych okolic. Było to na wiosnę r. 1872 podczas wielkiego wybuchu Wezuwjusza; cały Neapol i ziemie prawie aż po Casertę spowite były w ciemną chmurę unoszącego się w powietrzu popiołu, a na ulicach miasta zgarniano całe kopce czarnego pyłu, pomieszanego z lekkiemi kamyczkami. Lud się burzył, mówiono, że w tym

popiele znajduje się arszenik, że nastąpi straszny pomór. Słońca przez kilka dni nie było widać, zieleń pól, ogrodów, barwy kwitnących drzew zamarły pod grubą, ponurą powłoką.

Camaldoli, klasztor kamedułów, stał się najwyższem obserwatorjum, z którego można było objąć wzrokiem straszną wówczas przestrzeń. Niedarmo jeszcze starożytni Grecy nazwali tę wulkaniczną ziemię, rozciągającą się od Neapolu aż po Cumae, tudzież pobliskie wyspy Procidę, Vivarę i Ischję, krainą żaru, Flegrejskiemi polami [1]. Przestrzeń to nadbrzeżna, poszarpana, potargana wulkanicznemi wybuchami, a skała, na której się przyczepił klasztor kamedułów, stanowi jakby urwisko po jakiejś geologicznej katastrofie. Tam w owych dniach wybuchu panowała ciemność i cisza; niekiedy tylko wznosił się olbrzymi snop ognia nad Wezuwjuszem i w kilka sekund potem głuchy grzmot echem odbijał się o skały.

Po tygodniu spadły ulewne deszcze, słońce oblało swym blaskiem zniszczoną wiosnę, natura na nowo musiała pracować, aby zatrzeć ślady piekielnej roboty. Nisko położone przedmieścia, na stokach wulkanu, były zalane lawą, która stygnąc, tworzyła gorącą skorupę. Tu i ówdzie sterczały z tej ciemnej pokrywy dopalające się jeszcze szczyty drzew, albo tliły się belki domów zniszczonych. Gdzie niegdzie pękała skorupa, a z niej wydobywały się zdradliwe płomyki, ostrzegające, że tu jeszcze chodzić nie wolno pod grozą śmierci. Stygnąca lawa najrozmaitsze przybierała kolory: biały, jakby stalaktytów w jaskiniach alpejskich, purpurowy, niby stopionego żelaza, żółty, jak siarka, wreszcie czarny i szary.

Dzisiaj zaledwie ślady pozostały po tej katastrofie, słońce szybko goi blizny, które zadały brutalne siły, wydobywające się z czeluści ziemi. Słońce zwycięża.

Na polach Flegrejskich wulkany od wieków pokończyły swą niszczącą pracę, jeszcze tylko otwór Solfatary zieje gorącym, siarczanym oddechem, podczas gdy w wielkim kraterze del Gauro kwitną migdały i pomarańcze, a kratery di Astroni, di Agnano i di Averno zamieniły się w małe jeziora. Praca wulkanów była tutaj niesłychanie dawna, a im dalej w przeszłość,

---

[1] Od greck. φλέγω łać. *flagro* — goreję, płonę.

tem częstsze wybuchy i trzęsienia ziemi. Na pięć wieków przed Chrystusem można śledzić to zniszczenie. W r. 1198 naszej ery Solfatara wyrzucała jeszcze olbrzymie skały, które niszczyły całą okolicę. Trzęsienia ziemi z lat 1536 i 1538 w znacznej części zmieniły postać pól Flegrejskich, a straszne spustoszenia w Casamiccioli na Ischji (1883) były ostatnim wybuchem gniewu żywiołów w tej okolicy. Wezuwjusz stanowi inne ognisko podziemnych żarów.

Już Rzymianie nie obawiali się pól Flegrejskich; budowali tu wyborne gościńce, ocienione dzisiaj w znacznej części wspaniałemi platanami. Po obu stronach dróg rzymskie grobowce; niektóre w gruzach, w innych urządzili sobie rolnicy składy narzędzi, lub zamykają w nich trzodę chlewną. Kwitnące mirty i rozmaryny roztaczają upajającą woń, w szczelinach skał gnieżdżą się węże, pomiędzy któremi sporo gadzin jadowitych. W powietrzu słychać grę owadów, skrzeczenie konika polnego.

II

Około dwudziestu siedmiu wieków dzieli nas od Homera. Jego bohater Odyseusz zapewne jeszcze dużo dawniej wracał tędy, wydobywszy się z sideł Kirki, i dopłynął, jak niektórzy przypuszczają, do Ischji, gdzie Fenicjanie (Feaki) założyli jedną ze swych głównych kolonij na italskim półwyspie. Ci Fenicjanie musieli mieć dużo podobieństwa z średniowiecznymi kupcami Sieny, Pizy lub Florencji: byli handlarzami i wojownikami zarazem. Na swych szybkich okrętach,

Bo lądotrzęs Posejdon dał im dar już taki,
Że ich nawy, jak myśli lotne lub jak ptaki,

(*Odyssea* VII. 34—36).

zapuszczali się aż po Gibraltar, po Hiszpanję i Galję, aby szukać srebra, cyny, miedzi, ołowiu, cynku, tych cennych metali, potrzebnych do wytapiania bronzu. Ludom o niższej kulturze, Oskom lub Samnitom, zamieszkałym na Kampanji i w górach, w dzisiejszych Abruzzach, przywozili rozmaite świecidła i błahostki, a zakładali u nich kopalnie, wyzyskiwali ich pracę. Emporjum handlowe na Ischji (Scheria) istniało jeszcze o jedną

generację przed wojną trojańską, a Homer, opisując pałac Alkinoosa „Megaron“, wspomina o zbytku, jaki tam panował; brama była ozdobiona złotemi blachami, a mury pokryte spiżowemi płytami. Alkinoos wyprawiał dla znakomitych Feaków biesiady, na których przy dźwiękach formingi bardowie śpiewali bohaterskie pieśni.

Ale kupcy Fenicjanie nie byli kolonizatorami, nie pozostawili po sobie śladów nad neapolitańską zatoką; za nimi przyszli jednak Grecy i od nich właściwie rozpoczyna się historja Italji południowej, zwanej dlatego Magna Graecia przez Rzymian. Na tysiąc przeszło lat przed epoką chrześcijańską zaczęli Grecy osiedlać się na południowych brzegach Apenińskiego półwyspu, a ich napływ trwał przez jakie lat pięćset; zakładali kolonje, środowiskiem osadniczego ruchu stały się skaliste brzegi Cumae. Głównie jońscy Helleni osiedlali się tam w siódmym wieku przed Chrystusem i rozpoczynali swą handlową i przemysłową pracę. Skały kumejskie, wyrosłe z wulkanicznych wybuchów, żółte jeszcze od siarczanych ogni, pełne były tajemniczych jaskiń, w których się kryli przed najeźdźcami napół dzicy autochtoni, Cimerowie (Cimmerii).

Wyobraźnia Greków zapełniała z dziwną łatwością mitycznemi postaciami kraje, których jeszcze oko zbadać nie mogło, personifikowała siły przyrody, osnuwała uroczemi legendami zjawiska, których rozum pojąć nie był w stanie. Pola Flegrejskie ożywiła kiklopami, syrenami, lestrygonami, krater Awernu stał się wejściem do Hadesu. W pobliżu Baj mieszkała Sybilla w grocie, mającej sto wejść i sto wyjść, z których słychać było tyleż głosów, odpowiedzi wróżbitki.

Księgi sybilińskie, które za Tarkwinjusza sprowadzono do Rzymu, a później się spaliły, pochodziły z Cumae. Z ustnych podań ułożono następnie nowe księgi, uporządkowane ostatecznie z polecenia Augusta; wspomina o nich Horacy w *Carmen saeculare* i były znane jeszcze w pięć wieków po Chrystusie.

Sybilla kumejska musiała inaczej wyglądać, aniżeli ją sobie wyidealizowali mistrze odrodzenia, aniżeli ją przedstawił Michał Anioł na sklepieniu kaplicy Sykstyńskiej. Może to była stara wróżka Cymeryjka, pamiętająca niejedną przepowiednię lub niejedno słowo azjatyckiej mądrości narodów z nad Gangesu.

Większość zabobonów i sposobów przepowiadania przyszłości w starożytnych Włoszech nosi cechy indyjskiej popularnej wiedzy. Asceta Buddho przestrzegał mnichów w swych mowach, aby nie zarabiali na utrzymanie w sposób nieuczciwy, wróżąc z gwiazd, z ziół, z lotu ptaków, z kretowisk i biegu myszy, aby nie łudzili ludności zażegnaniami jadowitych wężów i skorpjonów. Wszystkie te rodzaje przepowiadania przeszły i do rzymskich augurów, a Plinjusz potwierdza, że lot ptaków i krecie kryjówki były ulubionemi źródłami wróżbitów. O tych tradycjach musiała wiedzieć kumejska Sybilla [1].

Cumae stało się za czasów greckich miastem fabrycznem i ogniskiem przemysłu metalurgicznego. Zdaje się, że rzymska wilczyca z Romulusem i Remusem, przechowana na Kapitolu, została ulana w Cumae. Na naczyniach, tam wykopanych, znajdują się sceny, przedstawiające prace Herkulesa. Miasto było jeszcze otoczone bagnami, utworzonemi w wypalonych kraterach, bo znakiem, herbem miasta była żaba.

Rzymianie zapanowali nad Kampanją w drugiej połowie czwartego wieku przed Chrystusem, podbiwszy większość kolonij greckich. W r. 311 zaczęto budować „via Appia", aby połączyć Rzym z południowemi Włochami i wogóle wypierać żywioł grecki.

Neapol powstał około roku 450 przed Chrystusem i miał się nazywać z początku Partenopą. Na tamtejszym brzegu znaleziono bowiem ciało syreny Partenopy, która się rzuciła w morze, gdy miłość jej do Odyseusza nie została zaspokojona. Bohater Homera nie dał się usidlić niebezpiecznej bogini za poradą zazdrosnej Kirki. Kult trzech syren: Partenopy, Leukozji i Ligji został przeniesiony do Italji także ze Wschodu, gdzie był kultem zmarłych. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Grecy zbudowali świątynię na przylądku Pizzofalcone na cześć Partenopy, najznakomitszej z syren, gdzie co roku składano jej ofiary, aby cienie żeglarzy, którzy zginęli w wyprawach morskich, w spokoju błądziły po Hadesie. Około świątyni powstała osada, a w jej pobliżu założono zczasem „Nowe miasto", „Neapolis".

---

[1] *Die Reden* Gotamo Buddhos's übersetzt von Karl Eugen Neumann. München, 1907. T. Piper & Co. T. I, str. 14.

Powstało ono szybko, według jednego planu, z prostemi ulicami na sposób, w jaki zakładano greckie osady za czasów Peryklesa, i miało za herb głowę Partenopy, jak świadczą najstarsze monety neapolitańskie z wizerunkiem kobiecej głowy.

W ciągu wieków Neapolis prześcignęło Cumae, które zdobywane przez Samnitów (w r. 420 przed Chr.), następnie przez Rzymian, a w średnich wiekach przez Saracenów, zaczęło upadać i stało się schroniskiem niebezpiecznych piratów. Ci morscy rozbójnicy tak się dali we znaki neapolitańczykom, że mieszkańcy grodu Partenopy urządzili w r. 1205 przeciw nim wyprawę i zburzyli Cumae do szczętu. Pozostały tylko ruiny potężnych murów i wspaniałych świątyń, które służą dzisiejszym archeologom do dziejowych i artystycznych badań.

Cumae spełniło w ciągu dwutysięcznego swego istnienia wielkie zadanie: było głównym rozsadnikiem greckiej kultury we Włoszech i tam powstały w znacznej części owe poetyczne legendy, które są skarbem grecko-rzymskiej przeszłości.

Zwyczaj i obyczaj grecki, tudzież język Hellenów panował w miastach nad zatoką neapolitańską prawie dwa wieki po Chrystusie, z końcem jednak drugiego stulecia został Neapol zupełnie zlatynizowany.

Najświetniejsze czasy pól Flegrejskich były za cesarstwa. Całe wybrzeże od Pozzuoli do Miseno stało się wojenną stacją Rzymu, gdzie przebywali zazwyczaj admirałowie floty, jak Plinjusz Starszy, port zaś w Pozzuoli zamieniono w wielką przystań handlową, w której kołysały się statki z Hiszpanji, Sardynji, Afryki, a przedewszystkiem ze Wschodu, przywożące produkty przemysłu z Egiptu i z Indyj. Tam wylądował św. Paweł. Z Misenum do Cumae, do Baiae i do Puteoli (Pozzuoli) jechało się wśród publicznych gmachów, will i pałaców prywatnych; termy, teatry, amfiteatry, świątynie łączyły się prawie z sobą, a droga była wyborna, wykładana grubemi płytami kamieni. Skaliste góry nie przeszkadzały budowaniu dróg; Rzymianie stali się mistrzami w przebijaniu tuneli, jak świadczy Piedigrotta, wyżłobiona na rozkaz Augusta, i Grotta della Pace, na kilometr długa, łącząca Averno z Cumae.

Po zwycięstwie pod Actium, po zniszczeniu potęgi Antonjusza i Kleopatry zdawało się Augustowi i rzymskiej arysto-

kracji, że siły i wielkości państwa nic już powalić nie zdoła. Ale upadek dynastji Ptolemeuszów i niesłychane bogactwa, jakie Rzymianie wywieźli z Egiptu, stały się zarodem nowej socjalnej niemocy. Zniewieściałość Aleksandrji udzieliła się niebawem republikańskiemu Rzymowi. Okręty zaczęły przywozić do portu w Puteoli obok dywanów, złota, bronzów, waz, drogocennych tkanin, całe gromady Greków artystów, kupców, awanturników, którzy nie mieli już chleba w ojczyźnie i szli do zwycięzców. Neapol był pierwszą stacją tej greckiej czeredy, która rozchodziła się po miasteczkach zatoki. Najubożsi emigranci pozostawali w Kampanji; ci, których jeszcze stać było na podróż do Rzymu, wędrowali do stolicy wielkiego państwa. Nieśli zniewieściałość upadłego narodu i zepsucie.

— A czy wiecie, czem jest Grek? — pytał Juwenal w swej satyrze. „Gdy jeden z nich do nas przychodzi, przynosi zdolności i błędy wszystkich innych ludzi: jest gramatykiem, mowcą, geometrą, malarzem, lekarzem i magikiem, umie pływać, wróżyć, tańczyć na linie; zgłodniały Grek wydrapałby się do nieba, gdyby mu rozkazać. Wszak ten, co sobie skrzydła przyprawił, nie był Trakiem, ani Afrykaninem lub Sarmatą, ale z Aten pochodził. Biedak, który przywędrował do Rzymu z workiem fig i suszonych śliwek, zajmie wkrótce na jakim festynie honorowe miejsce. Nieustraszony pochlebca, umie przekonać swym miękkim głosem i minami aktora, staje się doradcą i przyjacielem".

Pomiędzy Puteoli a Egiptem ruch okrętów był bezustanny; mnóstwo Rzymian nabyło nad Nilem znaczne obszary ziemi, lub pozakładało kantory kupieckie i bankierskie. W Neapolu i w Rzymie obudziła się namiętność do zbytku, do pięknych urządzeń mieszkania, do zmysłowej sztuki aleksandryjskiej. Zwyczaje grecko-orjentalne rozkładały powoli przykładne życie dawnych Rzymian, wpływały na stanowisko kobiety. Kobieta zdobyła sobie wszelkie możliwe wolności, nawet wolność zdradzania męża. Dumna dawniej arystokratka sprzedawała się wyzwoleńcom, aby mieć perły z morza Czerwonego i klejnoty wschodnie. Dawne Rzymianki rodziły po dziesięcioro dzieci; kobiety za Augusta starały się nie mieć żadnego potomstwa, zrównały się prawie z syryjskiemi śpiewaczkami, z tancerkami z Grecji i Hiszpanji, nawet z jasnowłosemi niewolnicami z północnych krajów.

Przedziwny obraz tego świata, w którym greccy dekadenci już zdemoralizowali ludność Włoch południowych, daje Caius Petronius Arbiter w swoim opisie społeczeństwa neapolitańskiego *(Satyricon)*, prawdopodobnie za czasów Tyberjusza. Lekkim rzutem naszkicowane spostrzeżenia znakomitego pisarza, który z naiwnością artysty tylko patrzy, a nie moralizuje, przedstawiają wstrętne nieraz obyczaje neapolitańskiej ludności. Niektóre jej rysy dotrwały do dziś dnia: owo spędzanie większej części życia na ulicy, owo próżniacze wygrzewanie się lazzaronów na słońcu. Te chłopaki wyrostki, przemyśliwające tylko, jakby oszukać cudzoziemca, jakby nie pracując, zarobić na talerz makaronu, lub w najniemoralniejsze sposoby wyzyskać ludzkie namiętności, to jakby typy, wzięte z Petronjusza. Niepokój uliczny, krzyki i nawoływania przekupniów nie dawały już wówczas sypiać spokojnym mieszkańcom. Marruzzaro zachwalał „frutti de mare“ swym „tremula taeterrimaque voce“; starzyzny sprzedawano, jak dziś, tak i wtedy, na Carmine albo przy Porta Nolana, a znawcy narzecza ludowego utrzymują, że w rozmowach neapolitańczyków przechowało się mnóstwo przysłów, zwrotów, przekleństw, które są zabytkami grecko-rzymskiemi.

Ogniskiem życia towarzyskiego wyższych klas społeczeństwa rzymskiego na Południu stały się Baje, a zarazem przytułkiem najbardziej wyuzdanego zepsucia. Najznakomitsi Rzymianie mieli tam wille, osobliwie w czasach cesarstwa, a kto chciał zachować swe towarzyskie stanowisko, osiedlał się przynajmniej na kilka miesięcy w roku w tej uroczej miejscowości, którą Horacy przenosił nad wszystkie zatoki świata.

Nullus in orbe sinus Bais praelucet amoenis
(Horacy. *Epist.* I. 1, 83).

Pompejusz i Cezar, Quintus Hortensius, Catulus, Varro, Antoninowie pobudowali sobie w Bajach pałace, a słynny smakosz Lucius Lucullus wystawił willę z ogrodami na wysepce Gaiola i połączył ją z brzegiem wspaniałym wiaduktem. Ten uroczy pałac nabył później przyjaciel Wergiljusza, sybaryta Azynjusz Pollion, na którego cześć napisał poeta eklogę czwartą. Pollion darował wysepkę cesarzowi Augustowi, który ją długo zamie-

szkiwał. Po upadku rzymskiego państwa wyznaczył Odoakr willę Lukullusa na mieszkanie ostatniemu cesarzowi, Romulusowi Augustulusowi, z roczną pensją, równającą się 6.000 liwrów. Cyceron posiadał także willę w pobliżu Lago Lucrino i tam napisał swe dzieło *De Republica.*

Po trzeciej wojnie domowej przeszły prawie wszystkie te wille i pałace w posiadanie dworu cesarskiego, który starał się jeszcze bardziej upiększyć całe pobrzeże. Najwięcej przyczyniał się do tego Nero i nosił się z różnemi architektonicznemi planami, prawie niemożliwemi do wykonania.

Ubożsi pisarze musieli się zadawalniać w Bajach wynajętemi mieszkaniami. Seneka umieścił się w pokoju nad publicznemi łaźniami, gdzie rozmaite hałasy przeszkadzały mu w pracy, a Horacjusz chętnie wracał do swego domku w sabińskich górach, pomimo, że z Baj wyniósł przekonanie, „że całe szczęście nasze w żartach i kochaniu".

Najpiękniejsze i „najsławniejsze" hetery zjeżdżały na neapolitańskie pobrzeże, a wielbicielom swym uprzyjemniały chwile wypoczynku grą na arfie lub na flecie. Co tylko wymyśliła Grecja i Rzym cesarski, aby pobudzać rozkosze miłosne, wszystko się tam znalazło. Na jeziorach rozrzucano wonne kwiaty, aby zakochane pary, pływające w czółnach, kołysały się w zmysłowem upojeniu. Niedarmo pisał Propercjusz, że owe wybrzeża bywały nieprzyjazne niewinnym dziewicom.

Litora que fuerant castis inimica puellis.

A nietylko dziewicom, bo oto, co mówi Marcjalis o mężatkach:

Skromna była Lewina, bez skazy, bez grzechu,
Przy ponurym małżonku zapomniała śmiechu.
Przejażdżek po Awernie, regat po Lukrynie,
Bajańskich się kąpieli zachciało babinie.
Wtem się ognie w niej zajmą, w świat z chłopcem wyżeną:
Przybyła Penelopą, uciekła Heleną. (*Epigr.* I. 62).

Cyceron i Seneka wspominali z lubością urocze dni, przeżyte w Bajach, a Juwenal i Marcjal gorszyli się zniewieściałością złotej młodzieży i rzucali na nią zjadliwe pociski.

Oprócz siarczanych i morskich kąpieli słynęło jezioro Lukryńskie z ostryg; Juwenal wyśmiewał się, że Rzymianie jeżdżą

do Baj, bo tam tanie ostrygi. Mureny ściągały także smakoszów na Flegrejskie pola, a na ucztę Cezara dostarczył przedsiębiorca rybackich zakładów Hirrio aż 6.000 owych poszukiwanych ryb. Podanie, jakoby Nero kazał rzucać niewolników na żer dla muren, należy zaliczyć do tych opowieści, któremi społeczeństwo chrześcijańskie starało się zaciemnić czasy poganizmu. Smakosze nie potrzebowali sobie łamać głowy nad złożeniem wykwintnego obiadu; przywożono im pantarki z Afryki, bażanty z wysp jońskich, jarząbki tuczone figami, pomieszanemi dla lepszego smaku z roztłuczonemi listkami mirtu i pistacyj. Nie brak było nawet szynek z dzików, na które polowano oszczepami w Umbrji. Falernum zawdzięcza sławę najlepszego wina bankietom w Bajach.

Zepsucie społeczeństwa za owych czasów niepokoiło poważniejszych ludzi, ale mimo to wielu z nich nie miało siły oprzeć się pokusie rozwiązłego życia. Sam August widział niebezpieczeństwo powszechnej demoralizacji, ale jej często ulegał. Powstały związki moralistów, purytanów, którzy chcieli stawiać zapory prądom, idącym z Grecji i z Egiptu; ale purytanie zwykle wojują częścią przesadą, częścią hipokryzją i zamiast prowadzić społeczeństwo do moralnych zasad, robią więcej złego, aniżeli gdyby nie rozwijali swego sztandaru. Poeci, nawet tak znakomici, jak Tibullus i Propercjusz, także nie przyczynili się do umoralnienia społeczeństwa, widzieli bowiem w zmysłowej miłości tylko poezję piękności i dali się unosić namiętnemu szałowi.

Powstał większy od nich poeta, Horacy, ale ten Apulczyk, z usposobienia prawie Grek, południowiec, nie przejął się wielką przeszłością Rzymu i nie rozumiał dawnych republikanów; zajmowała go filozofja życia, krytycznie spoglądał na swe otoczenie, ale za mało miał ochoty i siły, by świat poprawić. Miesiącami gładził jedną odę; bawiła go forma wiersza, był artystą, ale nie politykiem. Znalazł się jednak bard, który czuł w sobie odwagę stworzenia patrjotycznego poematu, mogącego wpłynąć na poprawę społeczeństwa. Był nim Wergiljusz, rozumiejący, że narodowi trzeba dać epopeę, któraby miała być tem dla Rzymian, czem *Odyssea* lub *Iljada* dla Greków. Za temat wziął legendę przybycia Eneasza do Italji po zburzeniu Troi, jego przy-

mierze z królem Latynusem, założenie Lawinjum, wojnę z Etruskami i rozgałęzienie się jego rodu aż do Romulusa i Remusa. Chciał przeprowadzić myśl, że religja była podstawą politycznej wielkości Rzymu, że Rzym połączył Wschód z Zachodem w jedną wielką potęgę, biorąc ze Wschodu religijne wyobrażenia, a z Zachodu rozum polityczny i żołnierskie cnoty.

Gdy Wergiljusz pisał *Eneidę,* cesarz August, Mecenas i całe grono przyjaciół, poetów, retorów, którzy go otaczali, nadzwyczaj się zajmowało postępem dzieła, które musiał odczytywać na zebraniach, w miarę jak je pisał. Udając się na hiszpańską wyprawę, kazał sobie August przesyłać gotowe już pieśni, a zamożni przyjaciele Wergiljusza złożyli dziesięć miljonów sesterców, aby poeta mógł pracować nad epopeą bez trosk materjalnych. Gdy umarł, epopea nie była zupełnie wykończona i dopiero dwaj jego przyjaciele, którym przekazał swe pisma, Tucca i Varius, przygotowali je do ogłoszenia z rozkazu Augusta. Wergiljusz urósł w rzymskim świecie do wysokości narodowego poety. Gdy jego wiersze deklamowano w teatrze lub na Forum Traianum, publiczność wstawała z ławek, a gdy sam poeta był przytomny czytaniu, oddawano mu honory, jak samemu Augustowi. W Pompei spotyka się napisy z wierszy Wergiljusza na cegłach, a nawet na srebrnych łyżkach, co świadczy o jego popularności za czasów rzymskich. Petronjusz opowiada, jak podczas obiadu u Trimalchiona niewolnik w sposób komedjancki deklamował piątą księgę *Eneidy.* Przy solennych okazjach dawano przyjaciołom w podarunku dzieła Wergiljusza lub Homera ładnie pisane, ozdobne w portrety poetów.

Znaczną część życia przepędził poeta w Neapolu; tam miał willę, w pobliżu której, jak podanie niesie, powyżej dzisiejszej Grotta Nuova, został pochowany. Umarł w Brundisium, powracając z Grecji, 21 września, roku dziewiętnastego przed Chrystusem.

III

Od początku piątego wieku po Chrystusie rozpoczynają się te straszne najazdy na Włochy ludów barbarzyńskich, które niszczyły rzymską kulturę. Na czele piekielnych tanów stoją Wizygoci pod Alarykiem, którzy zrabowawszy Rzym, szli na po-



Opactwo Monte Cassino (według ryciny z XVIII wieku)

łudnie, zrównali prawie z ziemią Kapuę i Nolę. Neapol, a w szczególności Salerno bardzo im się podobało, gdzie rozkładając się w cieniu lasów oliwnych, kazali sobie nalewać wino najpiękniejszym kobietom.

Zaledwie Neapol trochę odetchnął po napadzie Alaryka, a już król Wandalów, Genzeryk, zajął miasto (455); ale na szczęście rządy barbarzyńskie trwały tylko lat dwadzieścia, gdyż niebawem Ostrogoci stali się panami półwyspu, a król Teodoryk był bezsprzecznie najmądrzejszy z tych północnych panujących i najbardziej szanował przeszłość Italji. Do ostatnich czasów istniało przekonanie, że na górze S. Angelo koło Terraciny znajdują się resztki murów obronnych, które Teodoryk tam postawił; według nowszych badań są to ruiny świątyni Jowisza-dziecka (Juppiter Anxurus), którego kult istniał w południowych Włoszech.

Cesarz bizantyński, Justynjan, powierzył dowództwo nad swemi wojskami Belizarjuszowi, aby uwolnił ziemie neapolitańskie od barbarzyńskiego najazdu; wódz cesarski wprawdzie zdobył Neapol, ale miasto nadzwyczaj wtedy ucierpiało.

Panowanie jednak bizantyńskiego imperjum wkrótce zostało zagrożone; w r. 568 ruszyli z północy Longobardzi, aby zrabować we Włoszech to, czego inne barbarzyńskie ludy jeszcze unieść nie zdołały. Alboin był zrazu ich dowódcą, później inni naczelnicy podzielili się władzą i zdobytemi krajami. Strasznie niszczyli włoskie ziemie, mieszkańcy Padwy i okolic uciekli przed nimi na wyspy w lagunach i założyli Wenecję. Całe północne Włochy i Toskanję potrafili ujarzmić, a Grecy zdołali się tylko utrzymać w egzarchacie Rawenny, w Rimini, Perugji, w księstwie rzymskiem, rozciągającem się od Civita-Vecchia i Narni aż po Liris. Terra di Lavoro (Laborinus pagus) należała częścią do Greków, częścią do Longobardów, którzy utworzyli na południu księstwo Beneventu, powiększone zczasem Apulją i Kalabrją, z miastami Bari, Brindisi, Tarento i Otranto.

Longobardowie, jako naród niższej kultury, nadzwyczaj szybko się asymilowali z dawną, we Włoszech osiadłą ludnością; niespełna w sto lat uważali się niemal za pierwotnych mieszkańców półwyspu. Zaszczepili tam jednak kult ludowy św. Michała Archanioła, którego główną świątynią stał się podziemny ko-

ściół na Monte Gargano w Apulji, koło Manfredonji, będący aż po czasy reformacji celem pielgrzymek prawie wszystkich europejskich narodów, zwłaszcza, że św. Michał, jako rycerz, odpowiadał pojęciom wieków rycerskich. Nad wejściem do świątyni, wykutej w skałach, do dziś dnia zachował się napis, że tam jest „Dom boży i brama do nieba“, „Hic domus Dei est et porta coeli“; zawsze też w dzień św. Michała tysiące ludzi szuka na Monte Gargano religijnej pociechy.

Neapol zachował przez kilka wieków swoją niepodległość, naprzód pod księciem, którego mianował cesarz bizantyński, później pod następcami księcia Sergjusza (840—864), nie uznającego już supremacji bizantyńskiej. Książęta neapolitańscy bronili się nawet szczęśliwie przeciw Saracenom i dopiero w r. 1130 musieli ulec najazdowi Normanów, w sto lat po ukazaniu się tych północnych rycerzy w południowych Włoszech.

Normanowie panowali nad Neapolem i Sycylją od r. 1042—1194; połączyli te dwa, dawniej od siebie niezależne państwa po raz pierwszy w królestwo „Obojga Sycylij“ i pozostawili po sobie, zarówno w wewnętrznej organizacji społeczeństwa, jako też w sztuce południowo - włoskiej niezatarte ślady. Ponad wszystkimi królami, którzy zajmowali w owym czasie tron neapolitańsko-sycylijski, góruje Roger II (1130—1154). Rozwiązał on już wówczas trudne zadanie, jak należy rządzić państwem, składającem się z różnych narodowości i rozmaitych kulturalnych żywiołów, przyznając równouprawnienie religijnych wyznań, wolność używania ludowych narzeczy, swobodny rozwój narodowych właściwości. W czasach, kiedy religijny fanatyzm pociągał za sobą gdzie indziej straszne katastrofy, w Sycylji nie prześladowano muzułmanów; mogli oni modlić się w swych meczetach, brać udział w publicznych sprawach, mieć nawet własne sądy. Te same wolności mieli Grecy bizantyńscy; łaciński, grecki i arabski język były językami urzędowemi, monety nosiły arabskie napisy. Król otaczał się uczonymi i poetami; obok polityka-statysty Doxopatera, wielką rolę na dworze odgrywali Arabi, jak Abu-Salt Ommeia, poeta, lekarz, astronom i muzyk, tudzież Edrisi, geograf.

Te różnorodne kultury, zespolone na dworze mądrego króla, szczęśliwie łączą się w budowlach, wzniesionych za jego pano-

wania: w katedrze w Cefalù, w kaplicy palatyńskiej w Palermo i kościele S. Maria del Amiraglia, gdzie nad mozaikami, wykonanemi w stylu greckim, rozwijają się swobodnie ornamenty arabskie. Wogóle kosmopolityzm królów normandzkich widać prawie we wszystkich budowlach Sycylji i Neapolu, które powstały za ich czasów. Katedra w Amalfi zawiera cztery budownicze style: arabski, gotycki, bizantyński i romański; w katedrze w Salerno można naliczyć trzy rodzaje architektury, co wszakże nie przeszkadza, że te świątynie są pełne malowniczego uroku. Ostre łuki były nabytkiem, przyniesionym z Północy, mozaiki i bronzy z Bizancjum. W Kampanji zachowało się jeszcze dużo architektonicznych zabytków z owych czasów, a przedewszystkiem w S. Agata dei Goti, gdzie istnieją prawdziwe skarby architektoniczne z normandzkich czasów; w Neapolu podziwiać można piękne mozaiki w baptisterium biskupa Sotera i w Santa Restituta. Wogóle wieki XI i XII odznaczały się w południowych Włoszech ogromnym rozwojem artystycznym; przepyszne płaskorzeźby, tabernakula, kandelabry, pawimenty dotychczas wzbudzają podziw. Styl arabsko-sycylijski utrzymał się jeszcze długo po upadku Normanów we Włoszech i na Sycylji.

Nawet na przyrodzie włoskiego półwyspu odbiło się panowanie Normanów; za ich czasów nabrała Sycylja i południowa Italja pod względem roślinności owego subtropikalnego charakteru, który zdaje nam się nierozłącznym z ziemią di Lavoro. Oni sprowadzili z Afryki mnóstwo drzew i roślin i, że tak powiem, upołudniowili półwysep.

IV

Castello dell'Ovo i Castel Capuano stały się symbolem średnich wieków w Neapolu. Osobliwie groźne, czarne mury pierwszego z tych zamczysk, o które się rozbijają fale wzburzonego morza, zdają się dotąd oddychać zbrodnią. Przenoszą nas w czasy, kiedy po Normanach zapanowali Hohenstaufowie nad Sycylją i Neapolem i zaprowadzili tam rządy despotyczne, okrutne, ale zabarwione poezją i filozofją arabską, która zdołała jeszcze bardziej oczarować królewski dom szwabski, aniżeli Normanów. Castello dell'Ovo wrosło w morze, jakby olbrzymia skała, jakby siedziba cyklopów, pochodząca jeszcze z czasów

przedhomeryckich. Drugi gmach równie ponury, Castel Capuano, wzniesiony w ostatnich latach panowania Normanów, szczególnie ukochał „krwiożerczy Cyklop" Henryk VI, gdyż mógł tam urągać wszelkim rewolucjom.

W r. 1194 przeszedł Neapol wraz z królestwem Obojga Sycylij pod panowanie szwabskiego domu cesarskiego. Konstancja, córka Rogera normandzkiego, ostatnia z rodu, wniosła przepyszne to wiano Henrykowi VI, synowi cesarza Barbarossy. Ale owego tyrana, który kazał rozłupać głowę zmarłemu już swemu nieprzyjacielowi, Tankredowi de Lecce, nie ochroniły nawet mury Castella; zginął w r. 1197, otruty z rozkazu swej małżonki Konstancji.

Głównem zadaniem polityki Hohenstaufów było zniszczyć potęgę papieską. Dopóki panowali papieże Włosi, Innocenty IV i Aleksander IV (1254—1261), nie mogli się obronić przed przewagą północnych cesarzy; ale z objęciem rzymskiej stolicy przez Urbana IV rzeczy się zmieniły. Urban, Francuz rodem, zawarł przymierze przeciw czwartemu panującemu z Hohenstaufów z okrutnym Karolem d'Anjou, bratem świętego Ludwika, i zniszczył potęgę szwabskiej dynastji. Karol d'Anjou najechał Italję z armją, złożoną z Prowansalów, Brabankonów, połączył się z włoskimi gwelfami i pobił Manfreda w dolinie Grandelli, koło Beneventu, 26 stycznia 1266. Zwycięstwo łatwe nie było; trzy razy pokonany przez stronników cesarstwa, chciał już wracać do Francji, ale jak powiada ludowy poemat:

Uno suo barone disse: Carlo Carlone
Longha fugha è fino in Francia, guarda che penzo mone
Se te mitti per fugha, serrai morto o prescione,
O quilli che son toi ti tagliarano a baccone [1].

Jeden z baronów rzekł: Carlo, Carlone,
Pomyśl, że do Francji uciekać daleko.
Królu, zastanów się, w ucieczce możesz się dostać
Do niewoli i śmierć cię czeka; nawet
Twoi ludzie posiekają cię w kawałki.

Karol dał się przekonać i walczył dalej ze stronnikami Hohenstaufów. We dwa lata później przybył do Włoch szesnasto-

[1] Gothein Eberhard, *Die Culturentwicklung Süd-Italiens.* Breslau, 1886, str. 243.

letni Konradin ze znacznem wojskiem z Niemiec, aby odebrać południowe dziedzictwo szwabskiego domu, ale 24 sierpnia 1268 został pobity w dolinie Tagliacozzo, w pobliżu jeziora Fucino, w Abruzzach. Widząc, że wszystko stracone, ratował się ucieczką wraz ze swym nieodłącznym przyjacielem księciem Fryderykiem z Baden, i trzema wiernymi sobie Włochami: hrabiami Galvanem Lancia, tudzież Gherardem i Galferanem da Donaratico di Pisa. Owi rozbitkowie błądzili po lasach, nad morzem, w nadziei zobaczenia jakiego okrętu, któryby ich zawiózł do Pizy. I rzeczywiście, nad brzegiem rzymskim, niedaleko zamku Artura, będącego własnością Giovanniego Frangipaniego, rozbójnika, pirata, spotkali rybaka, który był gotów z nimi popłynąć. Żaden jednak z nich nie miał pieniędzy, dali mu więc kosztowny pierścień. Ale podejrzliwy Włoch poszedł do zamku, dowiedzieć się, jaką wartość ma klejnot. Frangipani zapytał, od kogo pierścień pochodzi, a z odpowiedzi rybaka domyślił się, że nieznajomi są rozbitkami z bitwy, o której już miał wiadomość. Poszedł więc ze zbrojną służbą na brzeg morza, a przekonawszy się, kim są dwaj Niemcy, ofiarował im narazie gościnność, a następnie uwięził i oddał w ręce Karola d'Anjou. Francuz hojnie wynagrodził Frangipaniego, nadając mu wielkie dobra Pelosa i kilka zamków w dolinie Beneventu.

Konradina i towarzyszy odesłał Karol d'Anjou do Neapolu i skazał ich na śmierć; chcąc jednak zachować jakie takie pozory sprawiedliwości, złożył na nich sąd, składający się z najznakomitszych syndyków państwa. Pierwsi z nich, syndycy Neapolu i Salerno, wtajemniczeni w zamysły króla, oświadczyli się za skazaniem ich na śmierć, za nimi poszli inni dygnitarze.

Dwudziestego szóstego października 1269 wzniesiono na Mercato w Neapolu rodzaj trybuny, pokrytej karmazynowym aksamitem, i tam zaprowadzono Konradina, księcia Fryderyka, hrabiów Galvana Lancia i Gherarda da Donaratico, tudzież czterech innych rycerzy. Sam Karol d'Anjou zasiadł w loży, aby używać krwawego widoku. Robert da Bari, protonotarjusz państwa, przeczytał wyrok.

Pierwszy, który padł ofiarą, był książę Austrji. Conradino chwycił skrwawioną głowę przyjaciela, ucałował ją i położył własną szyję pod miecz katowski. Oprawca spełnił i ten obo-

wiązek, młodzieńcza głowa zsunęła się na szkarłatne sukno. Ale kat nie wiedział, że i on przepłaci życiem owe dwa ciosy. Karol d'Anjou nie pozwolił, aby istniał nędznik, mogący się chełpić, że ściął głowy dwóch książąt z panujących rodów. W pobliżu kata stał już żołnierz z puginałem i jednym zamachem przeciął gardło oprawcy. Tego wymagała ówczesna idea monarchiczna.

Wstęp do panowania Andegawenów w Neapolu był straszny. Król Karol mścił się w okrutny sposób na stronnikach Konradina; kilku Rzymian, którzy walczyli w jego szeregach, kazał pozamykać do drewnianego domu, poobcinać nogi biedakom, aby nie uciekli, i podpalić budę. A podobnych okrucieństw było bezliku.

Ciała straconych książąt zostały pogrzebane w pobliżu miejsca tragicznej egzekucji, pod kupą kamieni. Dopiero później znacznie, za rządów Karola II d'Anjou, przybyła Małgorzata austrjacka do Neapolu i wielkiemi podarunkami przekupiła Andegaweńczyka, aby pozwolił uczciwie pochować zwłoki obydwu książąt. Król Karol był czuły na złoto, więc dzięki temu mogła Małgorzata umieścić szczątki Konradina i jego przyjaciela w kościele Carmine, który kazała powiększyć i wzbogacić.

Za Giovanny I zaś wystawił niejaki Domenico Punzo di Persio, garbarz, na miejscu, gdzie wyrok został wykonany, kaplicę zwaną Santa Croce. Jak niesie legenda, były tam kamienie zawsze wilgotne, nawet w największe upały. Lud mniemał, że nawet ziemia płacze za szesnastoletnim cesarskim młodzieńcem. Więc Domenico w pobożnej myśli chciał ten ból neapolitańskiego Mercato ukoić, wznosząc kaplicę na miejscu zbrodni. W kaplicy ustawiono za ołtarzem dawną porfirową kolumnę, a na niej marmurowy krucyfiks, zrobiony prawdopodobnie w XVI wieku. Również z szesnastego stulecia pochodziły cztery malowidła, przedstawiające sceny z ostatnich czasów życia Konradina. Na kolumnie miał Karol V umieścić często powtarzany dystych:

Asturis ungue leo pullum rapiens aquilinum
Hic deplumavit acephalumque dedit [1].

---

[1] Dzięki szponom jastrzębia, lew porwawszy małe orlę, oskubał je tutaj i głowę mu urwał.

Dzisiejsi neapolitańscy badacze utrzymują jednak, że ten napis został wymyślony przez jednego z późniejszych kronikarzy. W lipcu r. 1781 powstał z powodu ogni sztucznych pożar na placu Mercato, który zniszczył oprócz bud kupieckich także ową pamiątkową kaplicę. Król Ferdynand IV kazał ją zupełnie zburzyć i wpobliżu wystawić nowy kościół del Purgatorio in Mercato, gdzie w zakrystji znajduje się owa porfirowa kolumna. Ziemia jednak na miejscu egzekucji zawsze płakała, więc wzniesiono tam fontannę, która dotąd istnieje. W r. 1847 darował Maksymiljan II bawarski temu kościołowi statuę, przedstawiającą nieszczęśliwego młodego króla.

Aby podziękować Stwórcy za swe zwycięstwo, a raczej, aby zmazać popełnione okrucieństwa, wybudował Karol I d'Anjou dwa kościoły w Neapolu: S. Lorenzo i Sta Maria Nuova. Nie wystarczyło mu jednak tej pokuty, położył jeszcze w r. 1272 fundamenty pod katedrę, która jednak została ukończona dopiero za Roberta Mądrego (1314). Marzył nawet o zajęciu Konstantynopola i zawładnięciu Ziemią Świętą, gromadził okręty, aby popłynąć na wyprawę i zwyciężyć cesarza Paleologa; ale w dalekich swych planach został zaskoczony Nieszporami Sycylijskiemi, straszną reakcją przeciw swym okrutnym rządom (1282), i zajęciem Sycylji przez Pedra d'Aragona, ożenionego z Constanzą, prawą dziedziczką wyspy.

Klęski, jakie poniósł w wojnie z Aragończykiem, nie przeszkodziły mu budować Castel - Nuovo w Neapolu, późniejszej siedziby Andegawenów i Aragonów; śmierć jednak wskutek febry (1285) nie pozwoliła mu dokończyć tego zamczyska.

Po nim nastąpił na tronie Neapolu, Prowancji i hrabstwa d'Anjou i Maine Karol II Kulawy (1285—1309), który, rzecz w owych czasach szczególna, nie lubił wojen, wolał żyć w spokoju. Nie mogąc zdobyć Sycylji, oddał ją synowi Pedra Aragońskiego, Fryderykowi (1302), pod warunkiem, że pojmie za małżonkę Eleonorę, córkę Karola I d'Anjou, i że po jego śmierci wyspa przejdzie na dom andegaweński. Fryderyk przyjął tytuł króla Trynakrji.

V

Najwybitniejszem znamieniem umysłowego ruchu neapolitańskiego społeczeństwa w średnich wiekach jest kult Wergiljusza. Okazuje on nieporadność nawet ludzi „uczonych“, jeżeli chodziło o wyjaśnienie zjawisk przyrody lub zdarzeń historycznych. Wobec tej nieporadności wiedza starożytnych uważana była za ideał wszelkiej mądrości. Ale o tej wiedzy miano bardzo niejasne wyobrażenie; autorów rzymskich prawie jeszcze nie znano, albo czytano ich dzieła w zupełnie błędnych odpisach. Neapol jednak odziedziczył po rzymskiem państwie tradycję o poecie-proroku, którego pisma zawarły w sobie całą kulturę minionych wieków. Prochy tego wieszcza spoczywały według tradycji na Posilipie, należał on do miasta Partenopy. Mądrość Wergiljusza przybierała kształty jakiejś tajemniczej, olbrzymiej wiedzy, jego pisma uchodziły za testament starożytnej kultury, przekazany łacińskim ludom.

Pisarze kościelni nienawidzili pogańskich poetów, wymyślali na nich z namiętnością zaciekłych przeciwników; ale musieli studjować ich dzieła częścią, aby zbijać dawne zasady, częścią, że rzymscy autorzy byli podstawą powszechnej kultury i że im w duszy nie mogli odmówić wyższości. Ojcowie Kościoła, jak Augustyn, Laktancjusz i inni, nie mogąc zwalczyć wpływu Wergiljusza, starali się przynajmniej usprawiedliwić w opinji świata chrześcijańskiego jego wziętość. Zrobili z niego prawie chrześcijanina; wytłumaczyli, że poeta w czwartej eklodze przepowiedział przyjście Chrystusa i wynieśli go do wysokości chrześcijańskiego proroka. Cesarz Konstantyn miał się podobnie wyrazić w mowie, mianej do duchowieństwa. Były to dawne przepowiednie sybilistów, które się przechowywały w świecie żydowskim i grecko-rzymskim, że po narodzeniu się cudownego dziecka świat się odnowi i nastąpi epoka szczęścia, sprawiedliwości, miłości i pokoju. Ale nie wszyscy pisarze kościelni tłumaczyli w ten sposób sybilińskie proroctwa; św. Hieronim wyśmiewał się z tych, którzy wierzyli w chrześcijańskiego Wergiljusza, i sądził, że ekloga IV opiera się na sybilińskich mniemaniach [1]. Wiara jednak w przepowiednię Wergilju-

[1] „Puerillia sunt haec et circulatorum ludo similia dolere, quod ignores“. Hieronim, *Epist. 53 ad Paulum.*

sza rozpowszechniała się w świecie chrześcijańskim i poetę postawiono na równi z Dawidem, Izajaszem, wprowadzono go do kościoła w pobożnych reprezentacjach. Już w XI wieku w jednem z misterjów o narodzeniu Chrystusa, przedstawionem w opactwie St. Martial w Limoges, brał udział Wergiljusz pomiędzy innymi prorokami. Podobne misterjum przedstawiano w Reims; po Mojżeszu, Izajaszu, Jeremjaszu, Danielu, Dawidzie, Janie Chrzcicielu wychodził Wergiljusz na scenę. Był przedstawiany jako mały, uczony człowieczek, a księga *L'Image du monde* tak go opisuje:

Il fu de petite estature
Maigres et corbes par nature,
et aloit la teste baissant,
toujours vers terre resgardant.
Car coustum est de soutil sage
c'à terre esgarde par usage.

Także w katedrze w Zamora, w Hiszpanji, znane było misterjum, gdzie Wergiljusz towarzyszył innym prorokom. Dopiero w czasach odrodzenia z głębszą znajomością starożytnej literatury aureola Wergiljusza jako chrześcijańskiego proroka blednie i spotyka się z poważną krytyką.

W średnich wiekach wszelka wyższość umysłowa łączyła się z magją. Papieża Sylwestra II posądzano o magję, ponieważ miał jakieś wiadomości z dziedziny matematyki i mechaniki. Nie dziw też, że w wyobrażeniach ludu, a nawet i klas wyższych Wergiljusz z poety stał się powoli magiem, a w XIII wieku już jest skończonym czarnoksiężnikiem. Neapolitańska wyobraźnia szczególnie się nim zajmowała i rzec można, że prawie wszystkie legendy wergiljuszowskie, które w wyobrażeniach południowców nadzwyczaj ważną odgrywały rolę, powstały w Neapolu. Większość tych podań ma źródło swe w Grecji i tylko w Neapolu została przerobiona na legendy wergiljuszowskie. Wogóle w XI i XII wieku przenoszono całą legendarną Grecję do Włoch południowych. Zajmujący w tej mierze jest list, który pisał Konrad von Querfurt, kanclerz Henryka VI i jego reprezentant w Neapolu i w Sycylji, a następnie biskup w Hildesheim, do swego przyjaciela, także zakonnika w Niemczech. Opowiada on o cudach, które widział w południowych Włoszech. „Tam jest

Olimp, tam Parnas, tam Ippocrene", pisze ów dygnitarz. Przepłynąwszy ze strachem pomiędzy Scyllą a Charybdą, widział miejsce, gdzie się ukrywał Achilles. W Taorminie pokazywano mu labirynt Minotaura i poznał tam Saracenów, którzy umieją śliną zabijać węże [1].

Henryk VI wysłał Konrada do Włoch, aby zburzył mury Neapolu. Biskup sumiennie dzieła dokonał, a przy tej sposobności donosił, że mury te wystawił Wergiljusz, założyciel Neapolu. Jako „palladium" przekazał poeta mieszkańcom mały model miasta, zamknięty w flaszce o wąskiej szyjce. Flaszka miała bronić Neapol od nieprzyjacielskiego napadu, a że cesarscy mimo to miasto zdobyli, przypisać należy szczęśliwej okoliczności, że szklane naczynie było już pęknięte. Kanclerz przytacza jeszcze rozmaite cuda Wergiljusza, a pomiędzy innemi, jakoby rozkazał on wężom, które się zagnieździły w podziemiach i piwnicach, aby wywędrowały pod bramę zwaną „Nolana Ferrea". Wojsko też Henryka VI nie burzyło tej bramy, aby się węże nie porozłaziły znów po Neapolu.

Legenda o wężach widocznie dostała się do południowych Włoch z greckimi wychodźcami. Za czasów bowiem cesarza Apollonjusza rozmnożyły się gadziny w Bizancjum i dopiero, gdy jakiś mędrzec postawił kolumnę, a na niej bronzowego orła, trzymającego węża w dzióbie, jadowite płazy uciekły ze stolicy cesarstwa. Również podania, że Wergiljusz wytępił w Neapolu komary i inne szkodliwe owady, mają swój początek na Wschodzie.

Ale bywały i podania wergiljuszowskie pochodzenia zupełnie miejscowego. Pomiędzy innemi utrzymywano w Neapolu, że Wergiljusz, chcąc zabezpieczyć miasto przed wybuchami Wezuwjusza, kazał postawić nad morzem, naprzeciw wulkanu, posąg z bronzu, przedstawiający człowieka z napiętym łukiem i strzałą gotową do wylotu. Przez długi czas Wezuwjusz bał się tego pocisku i nie wyrzucał lawy; dopiero, gdy jakiś neapolitańczyk żartem wypuścił strzałę i pocisk trafił w sam krater góry, Wezuwjusz się obraził i odtąd zionął ogniem i płomieniami.

---

[1] List opublikował Leibniz w *Scriptores rerum Brunsvicensium.* Vol. II. pp. 695—698.

Gerwazy de Tilbury, profesor w Bolonji, opowiada również rzeczy, „których rozum ludzki pojąć nie może“, a które widział na własne oczy [1], pomiędzy innemi salamandrę, żyjącą w ogniu. Otóż według niego ustawił Wergiljusz w jednej z bram Neapolu dwie głowy: na prawo twarz śmiejącą się, na lewo głowę o ponurym wyrazie. Kto wjeżdżając do miasta, spojrzał naprzód na twarz wesołą, temu się szczęściło; przeciwnie, kto rzucił okiem na twarz smutną, tego czekały niepowodzenia.

Wiara w talizmany była powszechna; największym skarbem Neapolu stały się popioły Wergiljusza, tak samo, jak szczątki Edypa były warunkiem powodzenia ateńczyków. Neapolitańczycy jednak nie musieli bardzo w to wierzyć, że grób Wergiljusza jeszcze istnieje, gdyż legenda nie pozwala robić w tej mierze poszukiwań; gdyby bowiem ruszono szczątki wielkiego maga, powstałaby straszna burza, któraby zagrażała istnieniu miasta.

Inny warunek powodzenia Neapolu był przechowany w fundamentach Castell dell'Ovo. Pod olbrzymiemi głazami leżało niestłuczone jaje; gdyby poruszono ten talizman, runęłoby całe miasto. Tak zapisano w średniowiecznej księdze *L'Image du monde*:

Que quant aucuns l'uef remuait
Toute la citè en crolait.

Były zresztą dwa zamczyska Dell'Ovo, ale w jednem rozbito owo fatalne jaje i budowa zapadła się w morze. Po tak smutnem doświadczeniu drugiego jaja już nikt nie poszukiwał.

Jak wszystko na świecie się rozwija, postępuje, tak i magja przechodziła różne ewolucje. Wergiljusz nie wyniósł ze starożytności wszystkich tajemnic swej sztuki, gdyż odbywał jeszcze dodatkowo studja czarnoksięskie na uniwersytecie w Toledo. Do Paryża jeździło się kształcić w wolnych umiejętnościach, w Bolonji uczono prawa, w Salerno medycyny, a do Toledo udawano się, aby „studjować djabelskie sprawy“. Widocznie stanowisko, jakie Wergiljusz zajmował jako prorok, nie przeszka-

[1] Prof. Liebrecht, *Des Gervasius von Tilbury „Otia imperialia“ in einer Auswahl.* Hannover, 1856. Pisywał do cesarza Ottona IV z końcem XII wieku.

dzało, aby z szatanem żył w przyjaźni. Poeta magik miał wielu uczniów, jego wiedza rozchodziła się po całej Europie; wszak w *Parsifalu* Wolframa z Eschenbachu magik Klinsor był rodem z Terra di Lavoro i liczył Wergilego do swoich antenatów.

Jeszcze inny rzymski poeta zasłużył sobie u południowej rzymskiej ludności na sławę magika, a jest nim Owidjusz, autor *Sztuki kochania* i *Metamorfoz.* Podróżny, który zabłądził do miasteczka Sulmona w Abruzzach, znajdzie na gmachach publicznych, a nawet na ołtarzach w kościołach tajemniczy napis S. M. P. E. Przewodnik wytłumaczy mu, że są to początkowe litery wiersza Owidjusza, w którym poeta przyznaje, że jest synem Sulmony: „Sulmo mihi patria est“. Mieszkańcy tamtejsi są również dumni z tego godła, jak Rzymianie ze swych liter S. P. Q. R. Gdy król Alfons I, wielbiciel włoskiego humanizmu, zbliżał się do Sulmony na czele zbrojnych hufców, obywatele tamtejsi, aby ująć zwycięzcę, wyszli naprzeciw niemu ze sztandarem, na którym były napisane owe początkowe litery wiersza Owidjusza. A poeta żyje do dziś dnia w pamięci tamtejszego ludu i w jego pieśniach, jako czarnoksiężnik „lo Vidio“. On to miał nadać szczególne własności jednemu ze źródeł czystej, górskiej wody w Sulmonie, noszącemu nazwę „Fonte d'amore“ na pamiątkę jego *Artis amandi, Sztuki kochania.*

Granica pomiędzy religją a magją i zabobonem prawie się zupełnie zatarła w średniowiecznem, a nawet jeszcze w renesansowem społeczeństwie. Naleciałości pogańskie istniały tak, jak w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, a południowa wyobraźnia pracowała bezustannie, aby ten zasób niedorzecznych wierzeń jeszcze bardziej powiększać. Nie tkwiły one wyłącznie w ludzie, ale ogarnęły nawet klasy wykształcone, a nikogo to nie dziwiło, że u znanego neapolitańskiego humanisty, Juniana Majusa, schodzili się znajomi co rano, aby im sny tłumaczył, gdyż pomimo głębokich studjów naukowych zajmował się wróżbiarstwem. że jakiś tryton wychylił się z morza i porwał dziewczynę, stojącą na brzegu, albo że burza wyrzuciła piękną nereidę na skały, należało do codziennych wiadomości. W nocy chodził djabeł po ulicach miasta, szukał swych ofiar i trzeba było czasem wydzierać z jego szponów młodzieńców, na których czyhał ze szczególną zawziętością. Pragnął także krwi niewin-

nych, a jeżeli jakie dziecko zniknęło, nikt nie wątpił, że je szatan porwał. Ułatwiało to naturalnie policyjne śledztwa, bo za djabelskie sztuczki żaden ze zbirów nie mógł być odpowiedzialnym. Szatan nie lubił głosu kościelnych dzwonów, a gdy je usłyszał, nie wychodził na powierzchnię ziemi. Z tego powodu wolał w nocy popełniać zbrodnie, aniżeli w biały dzień, kiedy odprawiano nabożeństwa. że zresztą dzwony słychać było i w piekle, zgadza się z wyobrażeniami Dantego, który przecież umieścił piekło w środku ziemi.

Do rozpowszechniania rozmaitych baśni przyczyniało się niemało niższe duchowieństwo, a mianowicie zakonnicy, którzy czasami sprzedawali nawet posady i mieszkania w niebie. Jeżeli Dante mógł podać dokładną geografję piekła, dlaczegoż fantazja mnichów nie miała iść jeszcze dalej i urządzać niebo według swoich potrzeb?

Zakony toczyły wogóle, jak rak, społeczeństwo neapolitańskie; było ich za wiele, współzawodniczyły ze sobą, wydzierały sobie w najrozmaitszy, często niegodny sposób, jałmużnę i w tym celu wymyślały potworne legendy, aby tylko zyskiwać łatwowiernych klientów.

VI

Podstawami społecznej organizacji neapolitańskiego królestwa za czasów andegaweńskich i aragońskich był feudalizm na prowincji, a tak zwane „seggi“, związki szlacheckie, w Neapolu. Longobardowie dali początek w południowych Włoszech organizacji lenniczej, istniejącej oddawna w północnych państwach. Do rozwinięcia się tych stosunków nadawała się bardzo konfiguracja kraju Abruzzów, gór poprzerzynanych dolinami, gdzie rycerze mogli stawiać zamczyska i panować nad rolniczemi osadami. Normanie uważali te rycerskie gniazda za wielką podporę swego panowania, wspierali więc ową organizację, tak, że za Hohenstaufów rycerstwo panowało już nad Abruzzami i większą częścią Terra di Lavoro. Hohenstaufowie spostrzegli wprawdzie niebezpieczeństwo możnych baronów dla państwa i dynastji, ale organizacje lenne były już za potężne, aby je łatwo można było zwalczyć. Po Hohenstaufach nastąpili panujący

z domu andegaweńskiego, przyzwyczajeni do lennictwa we Francji; zamiast więc przeszkadzać dalszemu rozwojowi baronij, wykończyli niejako organizację lenną, wzorując ją na francuskich stosunkach.

Potworzyły się olbrzymie feudalne fortuny, a sam Giovan Antonio Orsini, książę Tarentu, posiadał trzysta lennych dóbr i prawie większą miał w ręku władzę, jak korona. Do najbogatszych należeli Gaetani na Fondi, Sanseverini i Caraccioli. Panujący, obawiając się tych możnowładców, starali się ująć ich tytułami, połączonemi z wielkiemi dochodami, a Orsini z Tarentu doprowadził do tego, że otrzymywał od rządu rocznie sto tysięcy dukatów, nie odwdzięczając się prawie niczem państwu. Ci wielcy feudarjusze zajmowali mniej więcej to stanowisko wobec korony, co wasale kościoła, co tacy Montefeltro albo Malatesta.

Panujący z domu aragońskiego zastali już lennictwo w najwyższym rozkwicie i spostrzegli w niem zaporę dla swych despotycznych zamiarów; podjęli też zaciętą walkę z niebezpieczną dla siebie organizacją. Gdy Alfons I wstąpił na tron neapolitański, istniało w jego państwie 1550 lennych posiadłości.

Lennictwo południowych Włoch różniło się jednak bardzo od lennictwa w północnych krajach. We Francji lub w Anglji wyrobiły się stałe węzły pomiędzy dynastją a baronami, królowie mogli ufać, że w razie potrzeby znajdą pomoc u swych wasali, gdy tymczasem w południowych Włoszech, wskutek zmieniających się często dynastyj, możnowładcy mało się troszczyli o interesa panujących, a głównem ich staraniem było korzystać z okoliczności i powiększać własną fortunę. Zresztą i szczepowe różnice wielu baronów wpływały na ich sympatje do panującego rodu; inną drogą n. p. szli Sanseverini, pochodzący od Normanów, a inną familje, przybyłe z Longobardami lub Francuzami do Neapolu.

Aby o ile możności jak najmniej zależeć od korony, starali się baronowie o związki z obcymi panującymi, aby w danym razie mieć oparcie poza granicami kraju. Stosunki te przyciągały do neapolitańskich ziem obcych kondotjerów, albo wyrabiały tego rodzaju dowódców pomiędzy neapolitańskimi baronami. G. A. Orsini był kondotjerem w usługach rządu, Braccio

i Francesco Sforza starali się założyć własne księstwa w Abruzzach, gdzie się zresztą wybił do wielkiej potęgi Jacopo Caldora, jeden z najznakomitszych wodzów i kondotjerów swego czasu. „Nie chciał on uznawać nad sobą żadnego króla“ powiada o nim Caracciolo, a był tak dumny, że własnemi siłami doszedł do tego stanowiska, iż nie pozwolił się nigdy tytułować księciem lub hrabią, pomimo, że miał księstw i hrabstw tuzinami. „Jestem Jacopo Caldora, mówił o sobie, i to nazwisko mi wystarcza“. Jan, książę Kalabrji, starał się przywiązać do siebie Lukę Sanseverina, nadając mu order „du croissant“, który zaprowadził jego ojciec René, i wielką wagę przywiązywał do tego odznaczenia. Luka tak sobie ów zaszczyt lekceważył, że wystarał się u papieża Piusa II, że order zniesiono.

Od ogólnej organizacji lenniczej, jaka się wytworzyła w ciągu wieków, stanowiły wyjątek niektóre miasta, będące w posiadaniu korony, jak Gaeta, Benevent, Kapua, mające własne statuty, albo komuny, zbliżone cokolwiek do komun północno-włoskich, które sobie wywalczyły pewną samoistność. Do takich należała przed innemi Aquila w Abruzzach. Była tam wielka studnia, wykuta w skale, z której wypływały strumienie wody z dziewięćdziesięciu dziewięciu głów ludzkich do wspólnego rezerwoaru. Każda z tych głów przedstawiała jedną z dziewięćdziesięciu dziewięciu gmin okolicznych, należących do związku miejskiego, którego jądrem było mieszczaństwo Aquili. Gdy dzwon wojenny uderzył na skale miasta i wzywał do wspólnej obrony, włościanie dążyli na pomoc uciśnionej komunie.

Obok baronów wpływały tak zwane „seggi“ w Neapolu na sprawy państwa, a jeżeli feudalizm wyrósł na średniowiecznych stosunkach, to „seggi“ miały daleko dawniejsze, bo jeszcze greckie początki. Ateńczycy traktowali swe publiczne interesa w konfraternjach obywateli, którzy się zgromadzali celem narad w teatrach lub pod portykami. Zwyczaj ten przeszedł do kolonij greckich we Włoszech, a ślady pierwszych takich instytucyj, które zwano fratrjami, spotykamy w Cumae. Neapol przejął fratrje z Cumae i dalej je na swój sposób rozwinął. Grecy dzielili zazwyczaj miasta na cztery kwatery, z których każda wysyłała najpoważniejszych mieszczan do fratryj; Neapol poszedł za ich przykładem i miał z początku cztery dziel-



nice: Capuana, di Forcella, di Montagna i di Nido. W każdej bywało po kilka związków „seggi“, a w czasach Karola I d'Anjou aż dwadzieścia dziewięć. „Seggi“ wysyłały delegatów do parlamentu neapolitańskiego, który się zbierał czasami na rozstrzyganie ważniejszych spraw. W obradach brali udział baronowie z prowincyj i prałaci, a najpierwszym baronem bywał opat z Monte Cassino. Niektóre rody miały dziedziczne prawo wysyłania swych zastępców do parlamentu, a wogóle należenie do „seggi“ było wielkim zaszczytem, o który się bardzo ubiegano. Obok baronów wyrobiła się, że tak powiem, arystokracja drugiego rzędu, mająca własne „seggi“, arystokracja, powstała z rodów urzędniczych, sędziowskich, adwokackich; w żadnem bowiem mieście włoskiem nie było tylu prawników, co w Neapolu. Ludność chętnie się procesowała, a adwokaci podsycali jeszcze tę namiętność. Arystokracja jednak rycerska pogardzała patrycjuszami, a ożenienie się z córką miejskiego „sedila“ było zawsze uważane za poniżenie rycerskiego nazwiska. Zczasem jednak związki małżeńskie pomiędzy arystokracją a „sedilami“ stawały się częstsze, miejskie bowiem familje zagarnęły prawie wszystkie ważniejsze urzędy, miały wpływ u dworu, a nadto znaczne majątki. W interesie tych rodów było pomnażać posady płatne przez państwo; utworzyły się też szeregi niezliczonej biurokracji, która aż do najnowszych czasów była plagą neapolitańskiego państwa.

Każdy związek, każde „sedile“ wybudowało sobie zczasem dom z portykiem w Neapolu, tak, że te kluby przyczyniły się niemało do architektonicznego ozdobienia miasta. „Seggi“ miały zresztą obok politycznych, także towarzyskie znaczenie; tam młodzież kształciła się w obcowaniu ze starszymi, uczyła się władać lancą w turnieju, ćwiczyła się w szermierce, w tańcu, a nawet w śpiewie.

Kluby sedilów, które miały za dawnych czasów za zadanie bronić nietylko interesów klas wyższych i średnich, ale i opiekować się ludem, zaskorupiły się powoli w zamkniętem kole rodów, należących do związków, dbały tylko o własne dobro i zerwały prawie zupełnie styczność z niższemi warstwami społeczeństwa. Lud więc domagał się zaprowadzenia własnych „seggi“, co po dłuższych walkach poczęści się udawało, ale jego



Widok z Bajae (według ryciny z XVIII wieku)

reprezentacja była zawsze o wiele słabsza, aniżeli reprezentacja baronów i miejskiego obywatelstwa. Stosunki te doprowadziły w XVII wieku do słynnej rewolucji Masaniella, która podobnie, jak większa część ludowych rewolucyj, osłabiła niższe klasy i dała despotyzmowi jeszcze cięższą broń do ręki.

VII

Na charakter ludności składają się zazwyczaj trzy czynniki: pochodzenie szczepowe, klimat i rządy, pod któremi naród przez długie czasy się znajdował. To uznane pewniki; w ocenianiu jednak neapolitańskich stosunków szczególny nacisk należy położyć na wpływ złych rządów, do czego jeszcze dodać należy wyjątkowe położenie geograficzne kraju wulkanicznego, podlegającego częstym, nieprzewidzianym katastrofom.

Znaczna przewaga krwi greckiej jest dotychczas znamieniem ludności neapolitańskiej, która odziedziczyła po swych dawnych przodkach wielką ruchliwość umysłu, zręczność, a powiedzmy szczerze, i brak skrupulatności w wyzyskiwaniu bliźniego. Klimat dodał znaczną dozę lenistwa i usposobienie burzliwe, porywcze, popychające nieraz człowieka do zwierzęcego gniewu, do zaparcia się swego człowieczeństwa. Neapolitańczyk z niższej warstwy robi czasem wrażenie afrykańskiego węża, który drzemie spokojnie na słońcu; ale podrażniony, znajduje w sobie więcej siły, aniżeliby się tego spodziewać można, rzuca się na ofiarę, pożera ją, albo przynajmniej krew z niej wypija. Chwytanie za sztylet przy jakiej takiej sposobności, a w razie braku tej broni, za brzytwę lub rewolwer, aby zadać śmiertelny cios swemu chwilowemu nieprzyjacielowi, jest dotąd jedną z powszednich zbrodni, zakorzenionych na neapolitańskiej ziemi. Dość powiedzieć, że według dat statystycznych rządowych wynosiła średnia liczba zabójstw i zamachów na życie bliźniego w roku 1909 w Neapolu i Kampanji neapolitańskiej 21.071 wypadków. Wogóle liczba zbrodni i przestępstw we Włoszech bywa najwyższa w prowincjach neapolitańskich i w Rzymie, a najniższa w Lombardji, Wenecji i Piemoncie. W prowincjach północnych przeważa szczep longobardzki, na południu Włoch szczepy grecko-italskie.

Powiadają, że ludność ma takie rządy, na jakie sobie zasłużyła. Otóż do Neapolu da się ta zasada o tyle zastosować, że tamtejsze społeczeństwo nie umiało w sobie wyrobić wytrwałości. Neapol żył z dnia na dzień, po większej części bezmyślnie, a wskutek tego opanowywali kraj cudzoziemcy, dalej spoglądający w przyszłość. Do braku wytrwałości niemało przyczyniła się ziemia, która oduczyła człowieka troszczyć się o przyszłość, bo wobec ciągłych wulkanicznych wybuchów wszelkie przewidywania i rachuby na nic się nie przydawały. Z niestałością egzystencji łączył się zabobon, który stał się jednem z głównych znamion ludności. Wierzono we wszystko, co wyobraźnia do wierzenia nasuwała, a wskutek tego religja nigdzie tak bliska nie bywała bałwochwalstwa, jak w Neapolu. Niesumienne rządy, osobliwie hiszpańskie, korzystały z tego, aby nietylko fizyczną siłą, ale i moralnym postrachem ujarzmiać lud i utrzymywać go w bezmyślnej nieświadomości. Zakony były w tej mierze wielką pomocą dla Hiszpanów, którzy zakładając i wspierając hojnie klasztory, wychowywali sobie armję, pomagającą im w panowaniu. Utrzymywać ludność w nieświadomości i zabobonie, to była polityka hiszpańska; to też nie dziw, że w drugiej połowie XVIII wieku liczyło państwo neapolitańskie przeszło 100.000 duchownych na 4,700.000 mieszkańców, pomiędzy nimi 110 biskupów, 21 arcybiskupów, 50.000 księży, 30.000 zakonników, a oprócz tego 23.000 zakonnic. Szkół na prowincji prawie nie było, ale natomiast aż 132 seminarjów duchownych. Z początkiem XVIII wieku groziła państwu katastrofa: dwie trzecie wszelkiej posiadłości całego państwa należały do duchowieństwa i była obawa, że duchowieństwo, które jedynie miało wielkie kapitały, wykupi jeszcze ową jedną trzecią część ziemi i realności, które dotąd należały do ludzi świeckich, i posiędzie kraj cały. To też, gdy w czasie rewolucji francuskiej zniesiono klasztory, państwo jedynie z tego źródła uzyskało majątek 150 miljonów dukatów, sumę olbrzymią na owe czasy.

Był to rak, który przez wieki toczył państwo i wysysał ze społeczeństwa wszelkie pożywne soki. Ludność wegetowała też w strasznem ubóstwie i w barbarzyńskiej ignorancji. Genovesi, jeden z neapolitańskich statystów, pisał w r. 1754, „że są ziemie w Neapolitańskiem, gdzie Samojedzi wydawaliby się spo-

łeczeństwem cywilizowanem. Czytanie i pisanie uważano jeszcze za jakąś czarodziejską umiejętność, a ludność jest tak barbarzyńska, że właściwie nie ma żadnego ze znamion chrześcijańskich, prócz tego, że jest ochrzczona".

W XVIII wieku istniała jedna jedyna publiczna droga w państwie, droga z Neapolu do Rzymu; na prowincji brak było mostów, a kiedy rzeki wezbrały, miasta i wioski nie miały potrzebnej komunikacji.

Ubóstwo było tak zakorzenione i rozpowszechnione, że się wytworzyła osobna klasa ludzi, nie posiadających innego mienia prócz połatanej koszuli i płóciennych spodni. Hiszpanie nazwali ich los Lazaros, porównując z biblijnym Łazarzem. Biedacy ci żyli w dzień na słońcu, w nocy po krużgankach kościołów i zaułkach miejskich, jedli makaron, nadgniłe owoce i współzawodniczyli z włóczącemi się psami w zbieraniu kuchennych odpadków. Mimo to byli to ludzie rośli, piękni, silni, zręczni i doboduszni, tak, że lazzarone rzadko popełnił większą zbrodnię i tylko za honor sobie uważał kraść zręcznie kury, jaja i rozmaite drobnostki w ten sposób, aby go nie schwytano na uczynku. Rządy hiszpańskie formalnie protegowały te kradzieże, a zczasem utworzyły się pod okiem policji dziwnego rodzaju „zabawy". Chodziło o to, kto potrafi wykraść dużej, wypchanej lalce, obwieszonej małemi dzwonkami, sakiewkę lub zegarek w ten sposób, aby żaden dzwonek się nie poruszył. Te złodziejskie igrzyska trwały aż po czasy najazdu francuskiego, do r. 1806.

Za panowania Karola III Burbona liczono w Neapolu 60.000 lazzaronów, którzy mieli pewne przywileje, a nawet wolno im było wybierać własnego naczelnika. Należeli oni zawsze do neapolitańskich demagogów, a w rewolucji Masaniella odegrali ważną rolę. Hiszpańska inkwizycja głównie z tego powodu nie została zaprowadzona, ponieważ lazzaroni się temu sprzeciwili. Ferdynand IV zaś mógł wydalić jezuitów z Neapolu, gdyż lazzaroni popierali rząd w tym względzie, a nawet im powierzono „odprowadzić ojców" do granicy państwa. Policja za czasów hiszpańskich i burbońskich posługiwała się lazzaronami, rządy protegowały wszelką niemoralność, która im nie zawadzała.

Uciskowi hiszpańskich satrapów głównie przypisać należy powstanie i zakorzenienie się tajnych związków kamorry; ludność bowiem, nie mogąc się otwarcie bronić przeciw rozmaitym nadużyciom, zaprowadziła ukrytą, podziemną walkę przeciw rządowi. W Neapolu nie było tak łatwo dojść do sprawiedliwego wyroku sądowego. Same prawa ułatwiały wszelkie nadużycia. Cywilna i karna sprawiedliwość opierała się na dziesięciu rozmaitych prawodawstwach, a mianowicie na prawie rzymskiem, na przepisach dawnego Cesarstwa Wschodniego, na kodeksach Longobardów, Normanów, Swewów, Andegawenów, Aragonów, Karola V, a wreszcie na ustawodawstwie feudalnem i kościelnem. Człowiek o zwykłym tylko rozsądku nie był w możności rozpatrzeć się w tym chaosie; temu też przypisać należy, że w Neapolu było mnóstwo adwokatów i że stan ten doszedł do wielkiego znaczenia. Wprawdzie nad różnorodnemi kodeksami, nad adwokatami i sądownictwem stał wicekról, wykonywający samowolnie wszelką władzę w imieniu daleko mieszkającego monarchy, ale przecież ów despota nie mógł wchodzić w każdą sprawę sądową i zastrzegał sobie interwencję tylko w rzeczach, które go szczególnie obchodziły.

Gdyby się koniecznie chciało wysnuć morał z historji neapolitańskiej za czasów andegaweńskich i hiszpańskich, toby rezultat był smutny, ale bardzo pouczający, jak dalece złe, przekupne rządy mogą zepsuć, uniemoralnić i osłabić naród, który miał wszelkie warunki po temu, aby utworzyć społeczeństwo o wysokiej kulturze i sile. Lud był fizycznie zdrowy, o wielkich umysłowych zdolnościach i mieszkał na jednej z najurodzajniejszych ziem w Europie, miał przed sobą otwarte morze i łatwą komunikację z południem Europy, z Afryką i zachodnią Azją, klimat, do jakiego się garnęły północne narody przez długie wieki — i mimo to nie zdołał wytworzyć ani społecznej, naśladowania godnej organizacji, ani zupełnie samoistnej sztuki i zaledwie kilka wyższych umysłów zdołało się wyswobodzić z powszechnego uśpienia i zabłysnąć w literaturze. Natomiast wzbogacali się wicekrólowie i wysocy urzędnicy hiszpańscy, wywozili nietylko złoto, ale wszelakie dzieła sztuki, do Madrytu i Walencji; ta grabież jednak także im na dobre nie wyszła, bo na-

ród hiszpański, im więcej zabierał obcego mienia, tem więcej upadał.

Tylko dobra, powstałe z własnej pracy i siły, z własnego poświęcenia, przynoszą stały pożytek; naród, który wzbogacił się cudzem mieniem, roztrwania ten nabytek podobnie łatwo, jak gracz, któremu posłużyło szczęście w bakarata.

ROZDZIAŁ DRUGI

ZA KRÓLA ROBERTA

I

W kościele św. Klary w Neapolu, za wielkim ołtarzem, wznosi się jedno z najcelniejszych dzieł rzeźbiarskiej szkoły sieneńsko-florenckiej XIV wieku. Jest to mauzoleum, postawione na cześć króla neapolitańskiego, Roberta andegaweńskiego, którego przezwano „Mądrym". Pomnik piętrzy się w trzech oddziałach i zawiera aż dwa posągi sławnego króla; jeden przedstawia jeszcze żyjącego monarchę, siedzącego na tronie, w pysznym ornacie, drugi przekazuje potomności leżącą postać zmarłego, we franciszkańskim habicie.

Zdaje się, że architektoniczny rysunek tego gotyckiego pomnika zrobił Tino di Camaino, słynny rzeźbiarz sieneński, a wykonali go z rozmaitemi dodatkami dwaj kamieniarze z Florencji, bracia Johannes i Pacius. Ci kamieniarze byli jednak niepospolitymi artystami, jak świadczą szczegóły mauzoleum i inne ich dzieła, zachowane w Neapolu. Wogóle ten pomnik snadno można postawić, co do wartości artystycznej, obok tabernakulum Orcagni w Or San Michele, we Florencji (1359).

Wrażenie artystycznego piękna, jakie sprawia to rzeźbiarskie dzieło, przyćmiewają posągi samego króla. Robert na tronie, to jakaś archaiczna postać, ciężko osadzona na marmurowym stolcu, z twarzą przestraszającą swym skostniało-groźnym wyrazem. Również niemiły, prawie wstrętny wyraz maluje się w obliczu leżącego posągu, co historycy sztuki tłumaczą tem, że artysta modelował twarz według pośmiertnej maski króla. W każdym razie Robert nie miał szlachetnego oblicza.

Przykre wrażenie znika, jeżeli spojrzymy na siedm kobiecych postaci, stojących przy zmarłym. Są to przedstawicielki umiejętności scholastycznych, które opłakują swego protektora, postacie pełne wdzięku, równające się najpiękniejszym ówczesnym typom florenckiej i sieneńskiej rzeźby. Każda z nich ma jakiś znak, znamionujący jej „sztukę“. Najbliżej głowy królewskiej stoi Arytmetyka, gdyż Robert słynął z umiejętności matematycznych. Dalej szeregiem ugrupował artysta postacie alegoryczne, przedstawiające muzykę, geometrję, dialektykę, retorykę i gramatykę. Według Petrarki podobnie, jak te reprezentanki umiejętności scholastycznych, i pogańskie muzy opłakiwały „najznakomitszego króla i filozofa swych czasów“.

Morte sua viduae septem concorditer artes
Et Musae flevere novem —

Ale tych muz pogańskich nie umieścił rzeźbiarz na grobowcu.

Zaszczytny przydomek, jaki dano Robertowi Andegaweńskiemu (1309—1343), trzeba przyjąć z różnemi zastrzeżeniami. Bądź co bądź miał „Mądry Robert“ przez jakiś czas wielkie znaczenie na półwyspie, co głównie temu przypisać należy, że papieża w Rzymie nie było, a w Avignonie lubiano neapolitańskiego króla, należał bowiem do najsilniejszych podpór papiestwa we Włoszech, był gwelfem we wszystkich swoich czynnościach.

Papieże wezwali w r. 1260 książąt domu andegaweńskiego do Włoch, aby zniszczyć Hohenstaufów, czego dokonali, oddając młodego Konradina pod miecz katowski. Słupami powodzenia dynastji andegaweńskiej w Neapolu było budowanie kościołów. Po każdej wielkiej zbrodni powstawała świątynia na zmazanie grzechów. Pierwszy z królów andegaweńskich na tronie neapolitańskim, Karol I (1266—1285), musiał mieć wielkie wyrzuty sumienia, że po trupie Konradina wszedł na tron, gdyż wybudował S. Lorenzo i S. Maria Nuova w Neapolu, tudzież położył fundamenta pod tamtejszą katedrę. Następca jego, Karol II, Kulawy (Lo Zoppo, 1285—1309), miał mniej obciążone sumienie, więc wystawił tylko jedną świątynię, S. Domenico Maggiore (1289); zato trzeci zkolei Andegaweńczyków, Robert Mądry

(1309—1343), znów licznemi fundacjami chciał sobie zarobić na wieczny spokój. On to ufundował kościół Corpo di Cristo, później przezwany Santa Chiara, w którym spoczywa, tudzież Annunziatę i przyczynił się do ukończenia budowy gotyckiej bazyliki S. Pietro a Maiella, tudzież kartuzji S. Martino, którą rozpoczął stawiać królewicz Karol, książę Kalabrji.

Robert Mądry miał zresztą wiele powodów, aby błagać niebiosa o przebaczenie bardzo ciężkich grzechów. Przedewszystkiem zbrodniczym czynem zdobył neapolitańską koronę.

Prawnym następcą Karola II na tronie neapolitańskim był jego syn pierworodny, Karol Martel, król węgierski, urodzony z Węgierki, córki Szczepana V, po której odziedziczył koronę węgierską. Drugi syn, Ludwik, poświęcił się stanowi duchownemu, chciał zostać zakonnikiem i nie miał zamiaru starać się o tron neapolitański. Robert, jako trzeci syn w licznem potomstwie ułomnego ojca, nie mógł rościć sobie prawa do tronu, pragnął jednak bądź co bądź przywdziać płaszcz królewski. Tego życzył sobie także papież ze względów politycznych, aby Neapol nie był połączony z Węgrami i nie tworzył zbyt potężnego państwa, któreby mogło zagrażać papieskiej potędze we Włoszech. Trzeba więc było usunąć Karola Martela. Według najbardziej wiarogodnych kronikarzy i historyków kazał Robert otruć go w chwili, kiedy ich ojciec, Karol II, bardzo był chory. Martel bawił wtedy w Neapolu, aby na wypadek śmierci ojca objąć panowanie. Robert był wówczas w Barcelonie; dowiedziawszy się o chorobie ojca, wysłał zaufanego franciszkanina do Neapolu, który w hostji zadał Martelowi truciznę. Martel umarł 19 sierpnia 1295, jeszcze za życia swego starego ojca.

Po Martelu pozostał jednak syn, zwany Carobertem, który odziedziwszy tron węgierski, miał także prawo do neapolitańskiej korony. Robert postanowił i tego kandydata usunąć, a bawiąc w chwili śmierci Karola II (1309) w Prowancji, czem prędzej udał się do Avignonu, aby traktować z papieżem Klemensem V o wykluczenie Caroberta od następstwa tronu. Sprowadził najznakomitszych prawników z Neapolu, którzy dobrze bronili jego sprawy, tak dalece, że papież i święte kolegjum przyznało mu następstwo po ojcu. Papież ukoronował go 8 września 1309 królem Neapolu w katedrze awinjońskiej, mianował wi-

karjuszem cesarskim we Włoszech, senatorem rzymskim i oddał mu rządy Ferrary. Gwelfowie uważali go za swego monarchę.

Robert zrozumiał, że teraz trzeba będzie swem postępowaniem zatrzeć kręte i zbrodnicze drogi, któremi doszedł do tronu. Z natury umysł ciasny, oschły, rozważny, podstępny, ale żądny sławy, chciał zostać monarchą popularnym. Przedewszystkiem ujmował sobie wszechwładne wówczas duchowieństwo; nietylko zakładał kościoły, popierał zakonników, ale rad był uchodzić za uczonego teologa, a nawet przytaczał przy każdej sposobności ustępy z Pisma świętego i chlubił się mowami, zapożyczonemi z ambony. Dante nazwał go ironicznie królem-kaznodzieją:

E fate rè di tal ch'e da sermone.
(*Parad.* VIII. 147).

Im więcej kto wtedy okazywał oczytania w pismach ojców kościoła, w dziełach Arystotelesa lub Seneki, za tem większego uchodził uczonego.

Obok kościelnej erudycji zanadto jeszcze świeża była tradycja umiejętności arabskich, które kwitły na dworach Hohenstaufów, aby miał zaniedbać tę pozytywną wiedzę, zwłaszcza gdy panowanie rozciągało się na Salerno, gdzie uniwersytet medyczny słynął oddawna na całą Europę. Robert poświęcił się więc pilnie studjom arytmetyki, geometrji, a naśladując Hohenstaufów, kazał odpisywać i tłumaczyć na łaciński język dzieła greckie i arabskie i w tym celu gromadził słynnych uczonych. Pomiędzy nimi wymieniają dwóch znakomitych żydów: Faraga i Kalongmesa, z których pierwszy przełożył perską encyklopedję nauk medycznych Mahomeda Abu Beki'a Ibn Zacaria na język łaciński, a drugi *Destructio destructionis* Averroesa. Najsławniejszy pomiędzy tymi uczonymi był Niccolo da Reggio, wielki znawca języka greckiego i zbieracz starożytnych rękopisów. Inny uczony, bibljotekarz Paolo di Perugia, napisał rodzaj dużej encyklopedji pod tytułem *Collectanea*, a w układaniu tego dzieła pomagał mu dziwaczny kalabryjski frate, bazyljanin Barlaam, niespokojny zakonnik, niewiadomo, czy katolik, czy schizmatyk, podróżujący często pomiędzy Konstantynopolem, Neapolem a Avignonem i wojujący w religijnych rzeczach z mnichami na górze Athos. Był to typ radykalnego mnicha, religij-

nego rewolucjonisty, jakich się często spotyka w średnich wiekach. Podczas swego pobytu w Avignonie uczył Barlaam Petrarkę po grecku; zdaje się jednak, że uczeń niewiele skorzystał z tych nauk, bo frate niedługo wówczas bawił w papieskiej stolicy.

Handlowe stosunki pomiędzy Neapolem i innemi nadmorskiemi miastami południowych Włoch trwały nieprzerwanie, a do utrzymania naukowych węzłów niemało przyczyniali się bazyljanie, którzy tak na Wschodzie, jak i we Włoszech mieli liczne klasztory. Ich bibljoteki w Kalabrji i w ziemi di Otranto słynęły na całą Europę. Bazyljanie starali się wszelkiemi siłami o utrzymanie czystości greckiego języka i opierali się napływowi łacińskiej kultury. W wielu miejscowościach południowych Włoch pisano jeszcze po grecku, a nawet notarjusze wystawiali swe akta w tym języku.

Do najznakomitszych uczonych, którymi się szczycił dwór Roberta, należał Barbato z Sulmony, z owego miasta, w Abruzzach, które za Hohenstaufów, a nawet jeszcze za pierwszych panujących z domu andegaweńskiego słynęło z bardzo ożywionego handlu ze Wschodem. Sulmona współzawodniczyła pod tym względem z Aquilą. Barbato piastował różne urzędy, bawił przez długi czas na królewskim dworze, a w czasie pobytu Petrarki w Neapolu bardzo się zaprzyjaźnił z poetą, który później pisywał do niego i mile o nim wspominał. Ów uczony z Sulmony wysilał się na układanie poezyj po łacinie, z których część się do dzisiaj zachowała i jest dość słabą pociechą dla historyków literatury, którzyby chcieli udowodnić rozwój łacińskiej poezji w Abruzzach.

Barbato musiał zresztą ująć króla innemi zaletami, aniżeli poetyckim talentem, bo Robert lekceważył poetów, a o dziełach Wergiljusza, które uważano wtedy za szczyt wszelkiej poezji, nie miał zbyt wysokiego wyobrażenia.

Wprawdzie inny poeta z Sulmony, Giovanni Quatrario (1336—1402), którego twórczość przypada głównie na późniejsze czasy królowej Joanny I, wspomina o Robercie, że poetów ratował z zapomnienia, „morte sepultos erexit vates“; ale Quartario znał epokę Roberta już tylko z tradycji i z opowiadań, a przeszłość wydawała mu się świetną, ponieważ żył w gorszych

czasach, za panowania znienawidzonego Andrzeja węgierskiego, pierwszego męża Joanny.

Słynny poeta toskański, Cino da Pistoia, wykładał wprawdzie prawo cywilne na neapolitańskiem studio, ale tylko czas krótki, w roku szkolnym 1330—1331, zapewne więc nie znalazł uznania w królewskich kołach.

Poeci też i artyści nie byli zadowoleni z Roberta, bardzo skąpego monarchy. Wadę tą podniósł Dante (*Paradiso* VIII v. 76—84), a Boccaccio nazwał go Midasem. Giotto, wezwany w r. 1329 przez króla na stanowisko capomaestra, aby ozdobił kaplicę w Castel-Nuovo, skarżył się na jego skąpstwo i wkrótce wyjechał z Neapolu. Na miejsce Giotta powołał Robert florenckiego rzeźbiarza Bonaccorsa, człowieka niskiego pochodzenia, ale nadzwyczaj uzdolnionego artystę szlachetnego serca. I ten jednak, zgorszony skąpstwem Roberta, opuścił niebawem Neapol, skarżąc się przed znajomymi, że spodziewał się mieć z królem do czynienia, a nie z kramarzem.

Jedynie matematycy i astronomowie cieszyli się materjalną opieką monarchy, a do nich należał przedewszystkiem Andalo di Negro († 1334), znakomity genueński astronom, który wtajemniczał także Boccaccia w zagadnienia gwiaździstego przestworza. Również astrolog paryski, augustjanin, Dionisio da Borgo S. Sepolcro, bawił dłuższy czas na dworze Roberta.

W końcu żywota tak się król przejął pismami ojców kościoła i tak pragnął zatrzeć rozmaite ślady swych występków, że przywdział habit franciszkański, występował jako kaznodzieja i napisał traktat o *Ubóstwie Chrystusa i Apostołów.*

To wszakże tylko jedna poważna, trochę ponura strona charakteru „Mądrego króla“. Ten diament przedstawiał się w rozmaitem świetle, błyszczał czasami wesołym połyskiem.

II

Robert był ożeniony po raz pierwszy z Violantą, córką Piotra aragońskiego, i miał z nią dwóch synów: Karola i Ludwika. Ludwik wcześnie umarł. Karol był następcą ojca na neapolitańskim tronie i Robert pokładał w nim wielkie nadzieje. Druga małżonka Roberta, także Hiszpanka, Sancia di Majorca, z uspo-

sobienia raczej zakonnica, aniżeli królowa, przepędzała większą część życia w kościołach i klasztorach, czem się król niebardzo martwił, bo miał tem więcej swobody w prowadzeniu romansów z damami dworu. Miał syna Karola Artusa z damą dworu królowej, Guglielmą Cantelmo, żoną pobłażliwego męża, Bertranda Artusa, jednego z dygnitarzy państwa, a inna arystokratka neapolitańska obdarzyła go córką, Marją d'Aquino, bohaterką psychologicznego studjum Boccaccia, pod tytułem *Fiammetta*, powieści poświęconej kobietom, które miały bolesne zawody w miłości.

Na jednym z bankietów, urządzonym w Castel-Nuovo, szczególną uwagę króla zwróciła Francuzka, małżonka jednego z Aquinów, dworzanina wielkiego znaczenia. Podczas gdy odgłos muzycznych instrumentów, a brzęk srebrnych półmisków i złotych puharów pozwalał na przytłumioną rozmowę, król zbliżył się do donny d'Aquino, aby jej wyznać swą miłość. Francuzka nie była przeciwna życzeniom Roberta i pod pozorem prośby o jakąś łaskę, umówiła się z monarchą o prywatne posłuchanie. Audjencje się częściej powtarzały i miały ten skutek, że po niejakimś czasie donna d'Aquino powiła córkę Marję, która później przeszła jeszcze matkę w urodzie. To była Fiammetta Boccaccia.

Oprócz tych dwojga nieślubnych dzieci wychowywało się w Neapolu sporo innych bękartów królewskich, a niemoralne życie Roberta wywoływało zgorszenie w Avignonie. Nawet pobożnej Sancji było za wiele tych niewierności ukoronowanego małżonka; zwróciła się więc do papieża Jana XXII o rozwód, ponieważ król zaniedbuje swoje małżeńskie obowiązki, a w przelotnych stosunkach z niemoralnemi kobietami szuka zaspokojenia swoich namiętności. Zamiast wysłuchać jej prośby, papież odmówił pozwolenia na przeprowadzenie procesu rozwodowego i radził królowej, aby przezwyciężyła szatańskie pokusy cielesne i starała się przypodobać boskiemu, a nie ziemskiemu małżonkowi. Roberta zaś napominał, nazywając go nowym Roboanem, aby unikał towarzystwa głupiej i rozpustnej młodzieży i porzucił życie miękkie, niezgodne z jego powołaniem. Ale te napomnienia nie na wiele się przydały.

Wogóle na dworze Roberta Amor, mówiąc ówczesnym językiem, miał zawiązane oczy i godził swemi strzałami w serca

panien i mężatek. Bratowa królewska, żona Filipa z Tarentu, Ithmara, miała bardzo gorszący stosunek z wielkim podkomorzym, Bartłomiejem Siginulfo, hrabią Caserty. Ithmar albo Katarzyna była córką Nicefora Ducas Commeno, despoty Arty i Epiru, a siostrzenicą Heleny, małżonki króla Manfreda. Filip wygnał ze swego domu niewierną Ithmarę, która wkrótce potem umarła. Już podstarzały, ożenił się później z 12-letnią garbatą Katarzyną de Courthenay, córką Karola de Valois, która dziedziczyła po swym stryju, Balduinie II, nominalne prawa do Cesarstwa Wschodu i tytuł cesarzowej. Owdowiawszy (1332), prowadziła Katarzyna pomimo swej ułomności nadzwyczaj wesołe życie, a jednym z licznych jej kochanków był Niccolo Acciaiuoli, najpotężniejszy dworzanin, o którym jeszcze mówić będziemy.

Drugi brat królewski, Jan z Durazzo, ożenił się z Matyldą de Hainaut, dwa razy już wdową, którą Robert zmusił do tego małżeństwa dlatego, że dziedziczyła księstwo Achai. Matylda jednak się opierała i małżeństwo nie zostało consummatum, wskutek czego król kazał wrzucić krnąbrną bratowę do więzienia, do Castell dell'Ovo, z którego już nie wyszła. Jan de Durazzo ożenił się później z Agnieszką de Périgord, której matka, Brunissenda de Foix, miała wielki wpływ na Klemensa V i na całą kurję papieską. Durazzo umarł w r. 1335, a Agnieszka, która według Boccaccia odznaczała się wielką pięknością, prowadziła jako wdowa nadzwyczaj swobodne życie. Zdaje się, że poeta, przedstawiając w piątej księdze swego *Filocola* niemoralną kobietę pod imieniem Asenga, miał na myśli Agnieszkę (Agnesa).

Andegaweńczycy obrali za siedzibę Castel - Nuovo, zamek poza murami starego miasta. W dawnym Neapolu było im za ciasno, pragnęli powietrza, ogrodów. Za króla Roberta powstały około zamku szerokie ulice, nowe gmachy i ruch całego wielkiego świata tam się skupił. Za ludźmi zamożnymi przenieśli się do tej części miasta bankierzy z Florencji i z Lukki, tam otwarli swoje kantory kupcy dywanów wschodnich i klejnotów, tudzież francuskie modniarki. Bo za francuską dynastją szły zwyczaje i paryskie mody, a Neapol stał się stolicą mody na całe Włochy. Koło portu, na Piazza delle Corregie roiły się tłumy cu-

dzoziemców, marynarzy, oszustów, szarlatanów, napełniając swemi wrzaskami i wołaniami całą dzielnicę.

Społeczeństwo więc neapolitańskie za czasów Roberta nie odbiegło tak dalece od towarzystwa Cezara Augusta, albo Tyberjusza. Gorące słońce, urocza wiosna, czarujące widoki dużo w tej mierze zawiniły.

Do Baiae, powiada Fiammetta, jedzie się ze zdrowym umysłem, ale wraca z chorem sercem. Tam, w pobliżu fal morskich, z których Wenus powstała, w porze wiosennej, przeznaczonej dla kultu pięknej bogini, zapominają najzacniejsze kobiety o domowych cnotach, zwłaszcza, że mają dużo wolności. Czas im schodzi na miłosnych rozmowach pomiędzy sobą, albo w towarzystwie pięknych młodzieńców. Najsmaczniejsze potrawy i najszlachetniejsze stare wina pobudzają nietylko drzemiącą w piersi namiętność, ale nawet rozpalają zamarłe już siły żywotne. Każdy, kto zakosztował tych kąpieli w Bajach, wie, jaki nadzwyczajny wpływ wywierają na ludzkie namiętności. Brzegi morza, urocze winnice, ogrody ożywiają się przeróżnemi festynami, wszędzie tańce, muzyka, odgłos miłosnych śpiewów, które najczęściej improwizuje rozbawiona młodzież. Któż się oprzeć potrafi potędze miłości tu, gdzie czarowne bóstwo ufundowało stolicę swego rozległego państwa, gdzie ziemia i niebo podnoszą potęgę tego panowania?

Nawet królowa Sancia nie zdołała wpłynąć na tradycyjne zwyczaje, pełne swobody; panowanie jej nie sięgało do Baj. Kwitnące młodością dziewczęta, w przejrzystych jedwabnych szatach, z obnażonemi ramionami i nóżkami szły w morze zbierać muszle, przyczem nierzadko czarujące ich kształty występowały w całej piękności. Inne, uzbrojone w sieci, czyhały na ryby, ukrywające się pod kamieniami; nie było zabawy, nie było uciechy, któraby nie zapanowała w tem wesołem towarzystwie.

Nietylko w ulubionych nadmorskich miejscowościach, ale i w samym Neapolu szalały często owe burze miłości, bez których społeczeństwo tamtejsze żyć nie mogło. Wiosna była porą turniejów i przedstawień teatralnych; wtedy wyższe towarzystwo zbierało się w lożach, na placu turniejów, lud zapełniał okna i dachy kamienic, graniczących z ulicami, kędy miały przejeżdżać kawalkaty strojnych rycerzy. Arystokratyczna młodzież

odznaczała się sukniami, przypominającemi, że tędy przeszła orjentalna kultura. Wielu rycerzy przywdziało szaty z purpury albo indyjskich tkanin, a płaszcze ich, zawieszone na złotej klamrze, spoczywającej na prawem ramieniu, a nawet rzędy i kapy koni lśniły się od ponaszywanych drogich kamieni. Podobnie jak u kobiet, modą rycerzy było mieć jasne włosy, spadające w długich łokach na obnażone ramiona, a na głowie spięte złotą przepaską, albo wieńcem ze świeżych liści wawrzynu. Wyglądali jak dzikie lwięta z rozwianemi grzywami. W lewej ręce trzymali lekką tarczę, w prawej lancę, a gdy toskańskie trąby się odezwały, zaczęli się popisywać przed kobietami swą rycerską zręcznością. Jeźdźcy pędzili jeden za drugim; był to rodzaj wyścigów, popis zręczności. Ten bowiem zwyciężał, kto ukryty za tarczą, z lancą spuszczoną ku ziemi, zdołał tak przebiec arenę, aby najmniejszym niepotrzebnym ruchem nie wyjść z równowagi. Ale to był tylko wstęp do gier rycerskich, do turniejów, które, przyznać trzeba, miały daleko łagodniejszy charakter, aniżeli turnieje północnego rycerstwa. Na Południu chodziło o przypodobanie się kobietom, a przedewszystkiem tej, której serce ująć się chciało. Lud porównywał tych rycerzy do bohaterów Homera i Wergiljusza.

Po turnieju uliczna zabawa. Kobiety schodziły na plac, zaczynały się tańce, muzyka, miłosne śpiewy, a starsi mężczyźni korzystali z powszechnej wesołości, aby przypomnieć sobie młode lata i cieszyć się przynajmniej chwilowemi zdobyczami.

Neapol, jak później Wenecja, był miastem wesela i miłości we Włoszech. Florencję rozdzierały wewnętrzne walki i polityczne intrygi, każdy mieszczanin nosił zbroję, a cała publiczność drżała co chwila przed bratobójczą walką, lub przed wojną z Pizą i Lukką; dumny, ale zgorzkniały i nudny naród był pełen różnorodnych niepokojów. Inaczej wyglądał Neapol; król się troszczył o rządy, lud, mający swe pomidory i makaron, cieszył się życiem, a kobiety wyższego świata nadawały mody całemu półwyspowi.

Florencja gromadziła bogactwa, a Neapol używał. Dynastja andegaweńska florenckiemi pieniądzmi zdobyła tron Neapolu, bankierzy z nad Arna pożyczali jeszcze Karolowi I na prowadzenie wojen z Hohenstaufami, a później, po Nieszporach Sycy-

lijskich (1282), potrafił się Karol II tylko złotem florenckiem utrzymać na tronie neapolitańsko - sycylijskim. Robert był w ciągłych stosunkach politycznych i pieniężnych z florentczykami. Jeszcze jako książę Kalabrji dowodził (1306) wojskiem florenckiem przeciw „białym“ w Pistoi, a wracając ze swej koronacji w Avignonie, był w r. 1310 przez dwa miesiące gościem bankierów Peruzzich, obawiając się wprost udać do Neapolu, gdzie miał potężnych nieprzyjaciół. W kilka lat później Signoria florencka, nie mogąc się obronić przed toskańskimi gibellinami, oddała się na pięć lat pod protekcję Roberta, który wysłał do Florencji swych braci, Piotra i Filipa z Tarentu.

Florencja dawała złoto, Neapol posyłał jej w potrzebie żołnierzy; ponieważ jednak wówczas trudniej było o pieniądze, aniżeli o wojowników, więc florentczycy mieli wielki wpływ w Neapolu, otrzymywali rozmaite handlowe przywileje od króla Roberta i zajmowali wybitne stanowiska. Domy Bardich, Peruzzich i Acciaiuolich miały swe filje w Neapolu, a nawet jeden z Acciaiuolich, Niccolo, wspólnik domu bankowego Bardich, został wielkim seneszalem królestwa i osobistością pierwszorzędnego znaczenia.

III

Dwie wielkie ówczesne osobistości spotkały się w swoich wadach, a mianowicie król Robert i poeta Petrarka: jeden i drugi byli ludźmi niemałej próżności.

W roku 1341 miał Petrarka około trzydziestu siedmiu lat, był już sławnym poetą, a miłość jego do Laury de Sade właściwie należała już wtedy do przeszłości. Laura miała wówczas blisko czterdzieści lat i była matką dwanaściorga dzieci z prawego małżeństwa; wdzięki jej oddawna przekwitły. Poeta zobaczył swą gwiazdę po raz pierwszy szóstego kwietnia roku 1327 w kościele św. Klary w Avignonie, w tej stolicy ówczesnego papiestwa, której nienawidził i uważał za „najszkaradniejsze ze wszystkich miast, wystawione na bezustanny wiatr, źle budowane, niewygodne, za miasto, które jest piekłem dla żywych, jaskinią występków, zgorszeniem dla całego świata“.

Laura była właściwie dla Petrarki tematem do pisania sonetów, kobietą podniesioną do ideału, którą przez jakiś czas ko-



Krużganki klasztoru dawniej benedyktynów w Monreale, na Sycylji

chał całą potęgą poetycznej duszy, a później zachował ją w swej wyobraźni jako czysty kryształ niewieścich zalet, jako pełne blasku wspomnienie. W czasie, kiedy poznał Laurę, prowadził Petrarka życie bardzo swobodne, bynajmniej nie skupione w tym ideale, do którego wzdychał na papierze. Romansów miał wiele, najchętniej obracał się w kobiecym świecie, bez którego, jak sam się spowiadał, nie mógł żyć do lat najpóźniejszych. Niezbyt przystojny, średniego wzrostu, o rudych włosach, bynajmniej nie pociągający swą postacią, o oczach wszakże żywych i przenikliwym wzroku, starał się zastąpić braki męskiej urody niesłychanie starannem ubraniem, ciasnem obuwiem, elegancją w wystudjowanych ruchach. Na toaletę poświęcał dużo czasu, zapiekał włosy i nieraz znać było na jego skroniach oparzeliny, które sobie porobił rozpalonem żelazkiem.

W towarzystwie pozował, chciał zwracać na siebie uwagę. Nadzwyczaj lubił podróżować, na jednem miejscu, aż do późnej starości, ostać się nie potrafił. Czasami porywała go chęć obcowania tylko z przyrodą; wtedy stawał się nawet alpinistą, robił wycieczki w góry, albo żył na wsi, w samotności. Długo tam jednak nie mógł wytrzymać, pociągał go wielki świat, obcowanie z książętami, snobizm bowiem, mówiąc po dzisiejszemu, należał do wybitnych cech jego charakteru.

W roku 1337 przeniósł się z Avignonu do Vaucluse. Niektórzy jego biografowie utrzymują, że Petrarka, opuszczając ówczesną stolicę papieską, chciał niejako uciec przed prześladującym go obrazem Laury, której serce było dlań zamknięte, a więc pragnął spokoju. W rzeczywistości miał stosunek z nieznaną nam kobietą, która właśnie w czasie jego wyjazdu z Avignonu powiła mu syna. Otóż rzecz bardzo możliwa, że Petrarka z powodów towarzyskich albo materjalnych przeniósł się do małego miasteczka, aby się uwolnić, jak sam powiada, od „przyjaciółki, która oblegała drzwi jego pomieszkania". Prawdopodobnie był to ów syn Jan, którego później wychowywał i uznał za swego. Romanse tak mu dokuczały, że tym razem naprawdę szukał spokoju.

Ta ucieczka do Vaucluzy wyszła poecie na dobre, bo tam najwięcej pracował, zagłębiał się w studja rzymskiej przeszłości i pokochał piękność prowansalskiej przyrody. Przez całe

życie lubił kwiaty, któremi mógł się w Vaucluzie rozkoszować dowoli. Grał na lutni, śpiewał, rysował piękne widoki, wrażenia swe oddawał prozą i wierszem, po łacinie i „pospolitym“ językiem. Włoską mowę uważał jednak za niegodną dla prac literackich, mających przejść do potomności, i z tego powodu lekceważył przez długi czas Boccaccia, który pisał po włosku.

Po epokę Pertrarki nie rozumiano właściwie rzymskiej przeszłości; czytano wprawdzie łacińskich klasyków, najczęściej w bardzo niepoprawnych odpisach, ale czytano w sposób niemal mechaniczny; to też nie nadarmo scholastyka określiła studjum starożytności nazwą „gramatyki“. Petrarka w samotności wiejskiego pobytu, w towarzystwie niemal tylko ksiąg łacińskich, na długich spacerach po oliwnych lasach, tak wniknął w dawnych autorów i przejął się duchem starożytnych Rzymian, tak pokochał wielkość narodu i uprzytomnił sobie postacie bohaterów rzymskich, że potrafił ożywić martwe księgi i przyszedł do przekonania, że starożytność trzeba niejako wydobyć z dawnych księgozbiorów, trzeba ją wskrzesić. Nosił się oddawna z myślą napisania wielkiego poematu po łacinie pod tytułem *Africa*, a dzień, kiedy rozpoczął to dzieło, uważał za tak ważny w swem życiu, a może i w literaturze, że nam przekazał, iż zabrał się do pisania w Wielki Piątek r. 1339. Wybrał sobie pełną chwały dla Rzymian epokę drugiej punickiej wojny, pokonanie Kartaginy, a głównym bohaterem poematu został Scypjo afrykański. Opowiadanie swoje oparł na Liwjuszu i tylko gdzie niegdzie dodał poetyczne epizody.

Petrarka nikomu nie chciał czytać początku swego poematu; ale nie tail się, że pracuje nad czemś wielkiem z przeszłości Rzymu, a wiadomość o tem rozchodziła się pomiędzy uczonymi we Włoszech, a nawet w Paryżu. Wykończenie poematu wymagało dużo czasu, lat całych; to też potem autor chciał jak najprędzej zbierać owoce swej sławy, pragnął, aby na jego skroniach spoczął wieniec wawrzynowy. Jako wierny syn swej ojczyzny i namiętny czciciel rzymskiej przeszłości, życzył sobie, aby według dawnych tradycyj w Rzymie został uwieńczony poetą. Ponieważ król Robert był niejako przedstawicielem ówczesnego uczonego świata włoskiego, więc mu chodziło o to, aby Andegaweńczyk dał na ten akt swe zezwolenie

i aby uroczystość odbyła się pod jego protekcją. Petrarka miał w Neapolu przyjaciela, ojca augustjanina Dionigi da San Sepolcro, który wywierał niemały wpływ na królewskim dworze. Jego wybrał poeta za pośrednika, który miał skłonić Roberta, aby go uznał za godnego tak wielkiego odznaczenia. Rzecz była łatwa do zrobienia, bo i próżności neapolitańskiego króla schlebiało to, że od niego zależeć będzie przyznanie wieńca laurowego największemu ze współczesnych włoskich poetów.

Równocześnie starał się Petrarka przez przyjaciela swego, Orsa d'Anguillara, senatora w Rzymie, aby senat wiecznego miasta przysłał mu zaproszenie na koronację. żeby zaś rzecz nabrała jeszcze większego rozgłosu, postarał się znów inny przyjaciel Petrarki, florentczyk Robert dei Bardi, podówczas kanclerz uniwersytetu paryskiego, iż słynna ta instytucja zaprosiła Petrarkę, aby od niej przyjął poetycki wieniec.

Oczywiście Petrarka postanowił dać pierwszeństwo Rzymowi, gdyż na Kapitolu zostali ukoronowani najwięksi poeci.

W lutym r. 1341 wsiadł Petrarka na okręt w Marsylji, a z końcem marca wylądował w Neapolu. Król Robert bardzo się już zestarzał, coraz częściej występował z kazaniami i nadawał sobie pozory ascety. Mimo to wszakże życie w stolicy wrzało, jak zawsze, a dwór nie odstępował od zwyczajnych zabaw i festynów. Petrarka nie życzył sobie pierwej stanąć na Kapitolu, dopókiby król Robert nie uznał go godnym wieńca wawrzynowego. Schlebiało to bardzo królowi, który kazał urządzić rodzaj egzaminu, i przez trzy dni, od południa do wieczora, stawiał poecie pytania o tematach filozoficznych i historycznych, na które Petrarka odpowiadał ku zadowoleniu Roberta i uczonych jego dworu. Mówił o piękności i pożyteczności poezji, o symbolicznych ustępach *Eneidy,* tudzież o doniosłości dzieł Tytusa Liwjusza dla poznania starożytnego Rzymu. Król był zdziwiony wielką erudycją Petrarki, oznajmił wobec uczonego zgromadzenia, że poeta jest godzien wawrzynu i kazał mu wystawić pismo, stwierdzające wynik tej publicznej rozprawy. Czwartego dnia udał się król w towarzystwie Petrarki i swego otoczenia do Pozzuoli, aby pokazać sławnemu gościowi okolice Neapolu, a po drodze wypytywał go, czy sądzi, że magik Wergiljusz wybudował słynną grotę w Pozzuoli; na co Petrarka wymijająco

odrzekł, że nie czytał, aby słynny rzymski poeta zajmował się także murarstwem.

Z zapisków Petrarki wynika, że poeta wolałby był zwiedzić neapolitańskie wybrzeża swobodnie, a nie w towarzystwie nudnego króla, zwłaszcza, że piękności tamtejszej przyrody niezatarte zrobiły na nim wrażenie, gdyż później pisał z tęsknotą do jednego z przyjaciół, że „Partenope wzywa mnie zdaleka do siebie".

Partenope mi chiama di lontano.

Będąc po raz drugi w Neapolu z końcem roku 1343, mógł poeta lepiej poznać piękności ziemi di Lavoro.

Petrarka śpieszył się do Rzymu, gdyż życzył sobie, aby senator Orso d'Anguillara przewodniczył uroczystości nadania mu wieńca wawrzynowego, mandat zaś Orsa, jako senatora, kończył się po świętach Wielkanocnych. Po czterech więc dniach pobytu w Neapolu udał się w drogę do wiecznego miasta, a król Robert obdarzył go długim, purpurowym płaszczem, w którym mógłby wystąpić na Kapitolu, tudzież mianował go swym honorowym kapelanem. Co więcej, król dodał mu za towarzysza podróży Jana Barrillego, jednego ze swych znakomitych dworzan, który wszakże nie dojechał na uroczystość do Rzymu, gdyż koło Anagni wpadł w zasadzkę rozbójników.

Ósmego kwietnia odbyła się uroczystość na Kapitolu; senat rzymski nadał Petrarce przywilej wawrzynu, tytuł poety, historyka i prawa rzymskiego obywatela.

Podobna przygoda, jak Barrillego, spotkała Petrarkę, wyjeżdżającego z Rzymu. Bandyci napadli go, obrabowali, tak, że poeta musiał wrócić do wiecznego miasta, zapewne, aby się zaopatrzyć w potrzebne odzienie, a senat rzymski poczuwał się do obowiązku dodać mu przy następnym wyjeździe odpowiednią eskortę, pod której opieką stanął w Pizie z końcem kwietnia.

IV

Syna króla Roberta, Karola, noszącego tytuł księcia Kalabrji, nazwano „Carlo illustre". Opowiadają o nim następujące zdarzenie. Wyrobił się zwyczaj, że Carlo zasiadał codziennie

przed południem ze swymi doradcami w pałacu, na którego miejscu stoi dzisiaj kościół Incoronata, aby wymierzać sprawiedliwość. Obawiając się zaś, że służba mogłaby nie wpuszczać do sali ludzi ubogich, przychodzących na skargę, kazał umieścić przy zewnętrznej bramie trybunału dzwonek, który się odzywał za pociągnięciem sznurka. Otóż zdarzyło się, że stary koń neapolitańskiego magnata, Marka Capece, szukając po ulicach jakiejkolwiek strawy, zabłądził aż pod ową bramę i zaczął gryźć sznurek od dzwonka. Carlo wysłał odźwiernego, aby wpuścił petenta, sądząc, że to jakiś ubogi, który szuka sprawiedliwości. Służący wrócił jednak z uśmiechem, oznajmiając księciu, że to zgłodniały koń Marka Capece gryzł sznurek od dzwonka i że już odpędził zbyt natrętną szkapę. Carlo nie zadowolnił się tą odpowiedzią, ale oświadczył, że i zwierzętom trzeba oddać to, co się im należy, i kazał przywołać właściciela biednego konia.

Gdy Marco Capece przyszedł, zapytał go Carlo, dlaczego wygania konia na ulicę? — Marco odrzekł, że koń należał do najlepszych, jakie miał w swem życiu, że służył mu w wielu bitwach, że jednak teraz tak się zestarzał, iż szkoda go żywić. „Ty także służyłeś królowi i także się zestarzałeś, a mimo to skarb ci pensję wypłaca... Bądź tak sprawiedliwy wobec poczciwego zwierzęcia, jak król wobec ciebie“.

O tym synu Roberta różne jeszcze błąkają się po kronikach anegdoty, któreby świadczyły o jego rozsądku i dobroci serca. To pewna, że nie był pospolitym człowiekiem i miał swoje zdanie. Gdy budowano kościół Santa Chiara, poszedł z ojcem oglądać wnętrze świątyni. Kościół miał jedną tylko nawę, otoczoną rzędem kaplic. „Jak ci się podoba ta budowa?“ — zapytał go ojciec. — „Robi na mnie wrażenie wielkiej stajni z przegrodami na żłoby“ — odpowiedział Carlo. — „Dałby Bóg, zauważył urażony król, abyś nie był pierwszym, który się położy przed temi żłobami“.

I mimowoli biedny ojciec wywróżył wczesną śmierć ulubionego syna.

Książę Kalabrji uchodził za człowieka sprawiedliwego, ale zarazem za charakter twardy, posuwający się czasem do okrucieństwa. Przystojny, skłonny do otyłości, o pięknej twarzy, okolonej czarną, gęstą brodą, przeszedł jeszcze ojca w skłon-

ności do rozpusty, co nie przeszkadzało, że bardzo pilnie odbywał wszystkie praktyki religijne i ufundował kościół kartuzów S. Martino w Neapolu na wzgórzu, z którego rozpościera się jeden z najpiękniejszych widoków na miasto i okolicę.

Florentyńczycy obawiali się wówczas napadów Castruccia Castracaniego z Lukki i musieli przygotowywać obronę miasta. Taka jednak niezgoda panowała w społeczeństwie, taka zawiść pomiędzy głównemi rodami, że woleli oddać się pod rozkazy obcego tyrana, aniżeli hołdować jednemu ze swoich obywateli. Udali się więc do króla Roberta, aby im przysłał syna, ofiarując mu signorję rzeczypospolitej na przeciąg lat dziesięciu. Książę Kalabrji zgodził się na zaszczytną propozycję i wybrał się z żoną, Marją de Valois, w lipcu r. 1326 do Florencji.

Neapolitańczycy chcieli olśnić florenckie kupiectwo. Książę złożył więc orszak podróżny, jakiego nie widziano od czasów rzymskiego cesarstwa. Towarzyszyli mu wuj Giovanni z Agnieszką de Perigord, Filip z Tarentu ze swoją Beatryczą, mnóstwo baronów, wielu z nich z żonami, tak, że prócz giermków i służby wyruszyło z Neapolu przeszło dwustu rycerzy ze złotemi ostrogami „bella gente e bene a cavallo“. Kawalkadzie dodawało niemało blasku sześćset jucznych mułów w ponsowych rzędach z licznemi dzwonkami u szyi.

O wspaniałym wjeździe neapolitańczyków w mury florenckie mówiono i pisano długo, ale w samej rzeczypospolitej nastąpiło wkrótce wielkie rozczarowanie. Pani Agnieszka i Beatricze myślały tylko o zabawach i strojach, któremi się gorszyły florenckie patrycjuszki, nieprzyzwyczajone do francuskich zbytków. Ubiory neapolitańskie rycerzy wyglądały także tak teatralnie i fantastycznie, że wywoływały uśmiech na ustach poważnych bankierów. Nawet sam książę Kalabrji kazał sobie ozdobić kapelusz na sposób niemiecki złotem, srebrem, jedwabiem, w figury lwów, małp i rozmaitych fantastycznych zwierząt. Żył zresztą jak sybaryta, niewiele się troszcząc o Castruccia i szczęściem dla Florencji zachorował na malaryczną febrę; wróciwszy do Neapolu, umarł tam w listopadzie r. 1328, po dwóch latach panowania we Florencji.

Król Robert był w rozpaczy; całą przyszłość dynastji pokładał w tym synu, a gdy mu doniesiono o jego śmierci, powie-

dział ze łzami w oczach do otaczających go baronów: „Cecidit corona capitis mei! — Vae vobis — vae mihi!“

Słaba mu jeszcze zabłysła nadzieja, gdyż synowa, księżna Kalabrji, w chwili śmierci męża spodziewała się potomka. Król kazał odprawiać błagalne nabożeństwa we wszystkich kościołach Neapolu, aby się urodził następca tronu; ale i te modły zawiodły: księżna powiła córkę Joannę, którą później poznamy.

Król Robert stał się prawie zakonnikiem, kazał przyśpieszyć roboty około klasztoru S. Martino i obok świątyni wybudować mały zamek Castello di Belforte, gdzie przeznaczył kilka komnat dla siebie, aby w nich odpoczywać po trudach panowania. Chodził pilnie do kościoła, a na większe uroczystości ubierał się w płaszcz królewski, wkładał koronę na głowę, zasiadał w stalach i wraz z zakonnikami śpiewał swym ochrypłym głosem psalmy na chwałę bożą. Otaczał się zresztą teologami, fizykami i astrologami i walczył, jak się wyrażał, z szatańskiemi wymysłami nowych zwyczajów. Mody francuskie, które dawniej sam zaprowadzał, teraz potępiał; krótkie, nie tak poważne, jak dawniej, ubiory mężczyzn raziły go; w r. 1335 wydał edykt, w którym plastycznie przedstawia nam ówczesnych elegantów. „Ruchy ich odznaczają się dziwnemi kontorsjami, rozczochrane włosy, rozwiana broda, długie brwi, wzrok zasłaniające, robią z nich jakieś straszydła. Naśladują Arabów, anachoretów i fałszywych filozofów. Z udaną hipokryzją niszczą piękne kształty, któremi Bóg ludzi obdarzył; kamizola, która pierwej sięgała aż do kolan, teraz zaledwie bioder dotyka. Pokazują to, co ich szpeci. Chudzi chełpią się swemi kośćmi, tłuści odkrywają różne ułomności, jedni wydają się być suchotnikami, drudzy chodzą, jakby mieli wodną puchlinę. Starzy naśladują młodych i porzucili kapucę, która w sposób przyzwoity zasłania ich łysiny“...

Wszelkie edykta królewskie nie na wiele się przydawały. Po śmierci Giovanniego, brata Roberta (1335), już tylko kobiety pozostały na czele domów królewskiego rodu. Katarzyna de Courtenay była głową książąt Tarentu, Agnieszka de Perigord przewodziła Durazzom. Każda z nich miała po trzech synów, pierwsza Roberta, Ludwika i Filipa, druga Karola, Ludwika i Roberta. Obydwie panie, jeszcze młode, żyły rozkosznie i prze-

sadzały się w zbytkach. Katarzyna, dumna ze swego tytułu „cesarzowej Wschodu“, skłonna do wszelkiej rozpusty, lekceważyła edykty starego króla, otaczała się całym rojem gachów, z których, jakeśmy wspomnieli, Niccolo Acciaiuoli, bardzo przystojny, namiętny, cieszył się jej szczególnemi łaskami. Umiał też z nich korzystać, gromadził bogactwa i stawał się coraz potężniejszym u dworu.

Agnieszka była tak piękna,

Che per belezza si può dir fenice
...non donna ma Diana snella.

Mieszczaństwo naśladowało panów, wydawało więcej, jak zarabiało, a lud, mało do życia potrzebujący, grzał się na słońcu i śpiewał.

Podczas gdy w Castel-Nuovo panowała miłość i wesołość, Robert rozmyślał na skale San Martino, komu powierzyć koronę. Wyrzuty sumienia go trawiły, że w zbrodniczy sposób usunął prawego następcę od panowania w Neapolu; więc małżeństwem Giovanny, dziedziczki księcia Kalabrji, z Andrzejem, synem Caroberta węgierskiego, chciał zatrzeć niemiłe wspomnienia i śpieszył się z wykonaniem swego planu. Tak Andrzej, jak i Giovanna, mieli zaledwie po siedm lat; postanowiono jednak, aby małżeństwo symbolicznie jak najprędzej zostało zawarte. Caroberto przybył z małym synem do Neapolu i dwudziestego szóstego września 1333 odbyła się wspaniała uroczystość weselna tej pary, nie wyrosłej jeszcze z lat dziecięcych. Po ceremonji zaślubin kazano się „nowo zamężnym“ publicznie pocałować, urządzono im wspólne mieszkanie w Castel-Nuovo i oddano rządy nad temi dziećmi Filippie di Catania, przewrotnej a zręcznej bonie Giovanny, której mąż zarządzał kuchnią królewską.

Dzień rzeczywistego wesela wyznaczył astrolog Roberta na Wielkanoc roku 1342, kiedy młoda para dochodziła do lat siedmnastu, a Filippa tak rzeczy urządziła, że małżeństwo w cztery dni później było consummatum. Właściwemi kierowniczkami młodości Giovanny były Katarzyna de Courtenay i Agnieszka de Perigord, które opanowały następczynię tronu i niezbyt dobrze wpływały na jej wyobrażenia o moralności. Przyczyniła się do

tego niemało Sancia, która swą surowością i bigoterją niecierpliwiła pełną życia królewnę.

Król Robert był jednak szczęśliwy, że następstwo na tronie neapolitańskim w ten sposób zabezpieczył, a był to w jego życiu ostatni czas do rozwiązania tego zadania, które go trapiło oddawna, gdyż niedługo po połączeniu się Andrzeja z Giovanną umarł, 20 stycznia 1343. Odtąd rządy neapolitańskie były przez długich lat 70 w ręku kobiet.

ROZDZIAŁ TRZECI

KRÓLOWA JOANNA

I

Legendarna królowa Joanna żyje dotąd w Prowancji, historyczną zajmują się neapolitańscy uczeni.

Po przodkach odziedziczyła Joanna, jako patrymonjum, Prowancję, hrabstwo Forcalquier i Piemont i tam urosła na jakąś mityczną postać. Lud prowansalski dotąd wspomina o czasach królowej, którą zwie „Réino Jano“, podobnie jak w Hiszpanji mówi się o Cydzie, albo w Bretanji o królowej Annie. Niemal każda ruina starego zamczyska w Prowancji miała należeć do Joanny, a nawet pałace odrodzenia w Avignonie, w Tulonie, w Saint-Remy budowała „przedwieczna“, ukochana królowa.

Dla Prowansalów jest Joanna tem, czem Marja Stuart dla Szkotów, jakimś ideałem piękna, wspomnieniem narodowej niezależności, zamglonej poezji, „un mirage d'amours rétrospectives“, jak się wyraził jeden z południowych poetów.

„Aimez Dieu et la reine Jeanne“, to religijno-narodowe przykazanie Prowansalów, wierzących, że ich ziemia jest królewską perłą, zwierciadłem świata, w którem się zespalają wszelkie zalety.

Nad Prowancją zawisło w późniejszych czasach tyle klęsk i zawodów, że w tej wymarzonej postaci szukano ideałów i zaspokojenia niespełnionych nadziei.

W Neapolu królowa Joanna inaczej się przedstawia; jedni radziby zupełnie sponiewierać i zatrzeć jej pamięć, inni stają w jej obronie. Przypatrzmy się bliżej tej kobiecie, którą cały

szereg autorów dramatycznych wybrał za swą bohaterkę, którą opiewali trubadurowie, a ostatni z nich, Mistral, postawił na piedestale swoich poetycznych postaci.

Młoda królowa była z usposobienia wesoła, żywa i uprzejma, rozrzutna, o czarującej postaci, czuła na wszystko, co piękne, a nie byłaby Prowansalką i Włoszką, gdyby jej dusza nie wrzała południową namiętnością. Do męża, Andrzeja, którego jej król Robert narzucił, miała wstręt nieprzezwyciężony, od dzieciństwa znała wszystkie jego przywary. Był to młodzieniec szorstki, prawie gburowaty, podlegający wpływowi otaczających go Węgrów, a głównie brata Roberta, którego mu ojciec dał za mentora. Tego mnicha nazywa Petrarka „żmiją, która się wylęgła w grobie króla Roberta“ i „nieczystym wieprzem“.

Nielepsza od mnicha Roberta była ochmistrzyni Joanny, Filippa „la Catanese“, wdowa po Rajmundzie de' Cabanni, niewolniku maurytańskim, którego jeszcze król Karol II kupił od korsarzy. Czarnego chłopca posłano najprzód na praktykę do królewskiej kuchni, a gdy wszystkich zadziwił swoją pojętnością, dano mu wolność i kazano przyjąć chrześcijańską wiarę. Król Robert zajął się nim, pozwolił mu nosić swoje imię, a zczasem obsypał honorami, zrobił szambelanem i siniscalkiem. Kiedy w r. 1334 umarł ten ulubieniec losu, urządzono mu prawie królewski pogrzeb i wzniesiono na jego cześć grobowiec marmurowy w Santa Chiara w Neapolu.

W czasie, kiedy Robert, książę Kalabrji, późniejszy król Robert, mieszkał jeszcze w Katanji, powiła mu małżonka Violanta syna Ludwika, który umarł w młodości. Szukano dla dziecka mamki, a że kochanka murzyna, kupionego u korsarzy, miała właśnie także syna, więc ją wzięto za żywicielkę małego królewicza. Ażeby zaś stosunek mamki z murzynem nie gorszył książęcego dworu, powiedziano Afrykańczykowi, aby poślubił Filipinę. Kobiecie tej dziwnie sprzyjały losy; urodzona w ubóstwie, doszła do bogactwa, zaszczytów, a nawet do wielkiej władzy. Dwie jej córki zostały hrabinami; jedna pisała się di Terlizzi, druga di Morconé, a syn, Robert de Cabanni, zrazu zwykły kleryk, piastował zczasem jedną z najwyższych godności w państwie, urząd siniscalka. Był ulubieńcem królowej Joanny, a jak powszechnie mówiono, przez dłuższy czas żył ze swoją władczy-

nią w bardzo ścisłych stosunkach. Królowa nadała mu tytuł hrabiego Eboli i wyswatała z Sigilgaitą Filimarini, pochodzącą z jednej z najznakomitszych rodzin neapolitańskich. Dwaj młodsi synowie Filippy zostali tylko baronami.

Troszczący się o przyszłość swojej dynastji król Robert nie przewidział zawikłań, jakie mogą wyniknąć z rozporządzeń jego testamentu. Postanowił, że jeżeliby Joanna umarła, nie pozostawiając ślubnych dzieci, to w Neapolu i w państwach prowansalskich ma objąć panowanie jej siostra, Marja. Dla Joanny wyznaczył nawet męża; miał być nim Ludwik węgierski, brat Andrzeja, aby na każdy wypadek królestwo neapolitańskie wróciło do potomków Caroberta. Widocznie sumienie nie dawało mu spokoju [1].

Ale nad postanowieniami testamentu czuwała ciotka Joanny, Agnieszka de Perigord, która miała inne zamiary, a mia-

---

[1] Nieszczęściem Joanny była liczna rodzina; ciotki, wujowie i cały legjon siostrzeńców i siostrzenic. Karol II, lo Zoppo, d'Anjou, król Neapolu i Jerozolimy, hrabia Prowancji († 5 maja 1309), ożeniony r. 1270 z Marją, córką Szczepana V, króla węgierskiego, miał aż dziewięcioro dzieci. Z tych pierwszą, najstarszą linję już znamy; pochodził z niej Robert Mądry, król neapolitański, i Carobert, król węgierski (1310—1342), a następnie Andrzej (1327—1345), ożeniony w r. 1333 z Joanną I.

Druga linja, książąt di Taranto, miała za przodka Filipa, księcia Tarentu i Achai, młodszego brata Roberta neapolitańskiego. Filip (†1331) ożenił się r. 1295 z Ithamarą, córką Nicefora-Ducasa Comnena, despoty Morei, która mu przyniosła w posagu znaczną część Epiru. Ta posażna księżna umarła w r. 1308. W kilka lat później (1313) pojął Filip drugą małżonkę, Katarzynę, Francuzkę, córkę Karola hrabiego de Valois i Katarzyny de Courtenay († 20 września 1347). Syn Filipa i Katarzyny, Ludwik, ur. 1320, książę Tarentu i Achai († 26 maja 1362), pojął za małżonkę Joannę I, gdy owdowiała po Andrzeju węgierskim.

Trzecia linja wreszcie, książąt di Durazzo, pochodziła od jeszcze młodszego brata Roberta i Filipa, od Jana, księcia di Durazzo, hrabiego Gravina i pana na Albanji. Jan († 1355) ożenił się w r. 1317 z Matyldą d'Hainault, księżniczką Achai, jedyną córką Fiorenza d'Hainault, pana na Braine-le-Comte († 1331). Po jej śmierci pojął książę drugą żonę, (1321), Agnieszkę de Perigord († 1344), córkę Archimbalda hr. de Perigord.

Ta trzecia linja, jak zobaczymy, osiągnęła po zamordowaniu Joanny I tron neapolitański, a mianowicie królem został Karol III, Durazzo (ur. 1355), który się ożenił (1368) ze swoją stryjeczną siostrą Małgorzatą, księżną di Durazzo († 16 sierpnia 1412 w Salerno).

nowicie ułożyła już małżeństwo swego syna, Karola Durazzo, z Marją, aby zupełnie wykluczyć linję węgierską Andegaweńczyków od neapolitańskiego tronu. Przeszkodą w tych zamiarach było jednak bliskie pokrewieństwo pomiędzy Marją a Karolem. Brat Agnieszki, kardynał de Perigord, wszelkich używał środków, a przedewszystkiem nie szczędził złota w Rzymie, aby uzyskać dyspensę dla młodej pary. Rzecz jednak nie szła łatwo; obawiano się w kurji papieskiej zanadto wielkiego zgorszenia w chrześcijańskim świecie, a przedewszystkiem gromów pobożnej, starej królowej Sancji. Kardynał umiał obejść te obawy, wystarał się u papieża, Klemensa VI, o bullę, pozwalającą Karolowi Durazzo pojąć za małżonkę krewną (donna congiunta), nie wymieniając nazwiska.

Mając taki dokument w ręku, postanowiła zręczna Agnieszka jak najprędzej cel osiągnąć. Ponieważ Marja nie była przeciwna oddaniu swej ręki Karolowi, więc z namowy Agnieszki w nocy, jednego piątku, w marcu 1343, wyszła pokryjomu z Castel-Nuovo i udała się do pałacu Durazzów, gdzie ją oczekiwał Karol z otwartemi ramionami. Marja miała wtedy lat dwanaście.

Gdy nazajutrz rzecz stała się głośna, Sancja wzywała wszystkich gromów niebieskich, aby wywrzeć swój gniew z powodu takiej hańby w królewskiej rodzinie; ale wobec dokonanego faktu połączenia się młodej pary nie pozostawało nic innego, jak zezwolić na spełnione już małżeństwo. Dwudziestego pierwszego kwietnia odbył się więc uroczysty ślub, na sposób francuski, „iuxta morem Francorum“, Marji, przyrodniej siostry Joanny, z Karolem di Durazzo, w obecności Sancji i Joanny, i tylko Katarzyna de Courtenay, wdowa po Filipie di Taranto, nie przybyła do kaplicy. Ta kobieta dumna, chciwa panowania i bogactw, nie mogła posiąść się z gniewu, widząc, że ją Agnieszka zwyciężyła. Według jej przekonania, linja książąt di Taranto, jako druga linja Andegawenów neapolitańskich, była wyższa, w rodzie, aniżeli książęta Durazzo. Chwilowo upokorzona, marzyła o zemście.

Tymczasem młoda Joanna, nie kochając męża, myślała tylko o zabawie i o zaspokojeniu swoich fantazyj. Ubierała się wspaniale, urządzała tańce, kawalkaty, karuzele, wzbogacała Roberta

de Cabannis, syna Filippy, a równocześnie nie szczędziła łask Bertrandowi d'Artois, z którym miała miłosny stosunek.

Skarb, który pozostawił skąpy Robert, rozdrapano, a publiczność nazwała zamek królewski przybytkiem wesołości, „tabernacolo dei gaudenti". Muzykanci, błazny, kuglarze urozmaicali zabawy; hojna królowa rozrzucała podarunki, więc każdy chciał mieszkać jak najbliżej tego zaczarowanego zamku. Budowano coraz więcej kamienic i pałaców, a cała okolica królewskiej siedziby zyskiwała na piękności.

Katarzyna de Courtenay czekała tylko na śmierć Andrzeja węgierskiego, aby wygrać jeszcze większy los, aniżeli Agnieszka, i połączyć królową Joannę ze swym synem, księciem Karolem z Tarentu. Chcąc dopiąć ukrytego narazie celu, przybrała do pomocy dwie kobiety, mające wielki wpływ na królową, a mianowicie Filippę la Catanese i jej siostrzenicę, Sancię de' Cabanni, także kobietę złego życia i wielką intrygantkę. Przedewszystkiem postanowiła oddalić o ile możności Joannę od męża i w tym celu protegowała stosunek jej z Bertrandem d'Artois, w czem Filippa i jej siostrzenica szczerze dopomagały. Cel został niebawem osiągnięty; Bertrand był człowiekiem przystojnym, umiejącym się podobać, zupełnie innym, jak szorstki Andrzej. O stosunku jednak Joanny z Bertrandem Andrzej wkrótce się dowiedział i czuł się tem bardziej dotknięty i upokorzony, że był tylko mężem królowej, nie mającym w państwie żadnej władzy, nosząc tytuł księcia Kalabrji.

Cały dwór i wielu baronów podzieliło się na dwa stronnictwa; jedno dążyło do tego, aby Andrzej otrzymał od papieża tytuł królewski i miał wpływ na losy państwa, drugie przeciwnie, chciało na wszelki sposób usunąć niewygodnego sobie cudzoziemca. Za kulisami stali z jednej strony węgierski mnich Robert, z drugiej Katarzyna ze swemi pomocnicami.

W czasie tych intryg umarła Agnieszka de Perigord-Durazzo, matka Karola, wskutek zbrodniczych zabiegów przeciwnego stronnictwa. Do chorej, którą pielęgnowała Sancia de' Cabanni i według wszelkiego prawdopodobieństwa już zatruwała powolną trucizną, zaproszono słynnego lekarza, „summum medicum", Giovanniego di Penna. Uczony doktór chciał zbadać płyn chorej, a Sancia, obawiając się, aby lekarz nie znalazł tam

śladów trucizny, zmieniła flaszkę i dała mu do chemicznego rozbioru własną swoją urynę. Sancia była jednak w odmiennym stanie, a lekarz orzekł, że Agnieszka dopuściła się jakiejś lekkomyślności, pomimo, że w latach swych powinna była panować nad namiętnościami. Powiedziano o tem jej synowi, księciu Karolowi Durazzo, który rozgniewany i zmartwiony postępowaniem matki, oddalił się i pozostawił ją na opiece Sancji i jej kobiet. Tego tylko pragnęła zbrodniarka Cabanni; księżna de Perigord niebawem umarła, jak mówiono, otruta cieczą w klistyrze.

O smutnem położeniu swego syna wśród nieprzychylnych mu napolitańczyków i wrogiej kamaryli dowiedziała się matka, królowa Elżbieta, córka króla polskiego, Władysława Łokietka, a wdowa po królu Robercie, zwanym Carobertem. Elżbieta, kobieta niepospolita, wielkiej energji, postanowiła udać się do Neapolu, osobiście przekonać się o wieściach, które ją dochodziły, i wszelkiemi siłami starać się, aby papież uznał Andrzeja za króla neapolitańskiego i współregenta z królową Joanną.

Syn jej, król Ludwik węgierski, kazał dla matki przygotować w Zadarze statek „Jadra“, a na wydatki wypłacić 27.000 marek czystego srebra, tudzież 17.000 marek najczystszego złota, oprócz nadzwyczajnej ilości pieniędzy miedzianych na codzienny użytek. Widać jednak, że ten skarb nie wystarczył, bo Ludwik przesłał jeszcze później 4.000 marek czystego złota, „auri electi“.

Rzeczpospolita wenecka przyjęła Elżbietę z wielkiemi honorami, dała jej do dalszej podróży dwie wygodnie urządzone galery, które miały odwieźć królową do Apulji. Naprzeciw matki przybył tam Andrzej z Joanną „cum magna solemnitate et gloria“. Na mieszkanie w Neapolu przeznaczono królowej apartamenta w Castel-Nuovo, a świtę umieszczono w kilku domach Marina Filomarina, neapolitańskiego szlachcica.

To były pozory; wkrótce dowiedziała się królowa z ust fra Roberta i od ministrów węgierskich o intrygach starej Catanesy i hrabiów d'Artois i di Terlizzi przeciw Andrzejowi, ale mimo to nie traciła nadziei, że stanowisko syna potrafi umocnić. W porozumieniu więc z neapolitańskim dworem wysłała do papieża, do Avignonu, poselstwo, złożone z węgierskich i włoskich osobistości, aby wyjednać koronację dla Andrzeja i Joanny

i oddać im natychmiast rządy, które dotąd stosownie do postanowień zmarłego Roberta sprawowali ustanowieni przez niego rejenci.

Ponieważ powrotu poselstwa nie można się było tak rychło spodziewać, wyjechała Elżbieta po półtora-miesięcznym pobycie w Neapolu do Rzymu, gdzie ją nader wspaniale przyjmowali Orsini i Colonnowie. Na progu bazyliki watykańskiej witała ją cała kapituła rzymska i w procesji zaprowadziła do grobów apostołów Piotra i Pawła. Tam, na ołtarzu, kazała królowa złożyć mnóstwo drogocennych darów w złocie, kielichów i innych sprzętów kościelnych, a nadto pozostawiła znaczną sumę na odbudowanie Ponte Molle, bo most ten był prawie zburzony. Jeden z węgierskich kronikarzy, Johannes de Thworocz, utrzymuje, że Elżbieta darowała bazylice św. Piotra słynną relikwję, chustę świętej Weroniki.

Po Rzymie jeździła Elżbieta rydwanem, zaprzężonym w sześć koni, w otoczeniu ośmiu znakomitych pań, siedzących tak, że wszystkie zwrócone były twarzą do królowej. Pojazd znakomitej cudzoziemki otaczało pięćdziesięciu towarzyszących jej rycerzy na pysznych dzianetach.

Królowa bawiła tylko trzy dni w Rzymie; tylu ubogich bowiem garnęło się do niej, że skarby wzięte z domu nie byłyby wystarczyły na dłuższy pobyt.

Z początkiem października 1343 wróciła więc do Neapolu i czekała na wynik poselstwa. Kurja papieska, jak zwykle, zwlekała z wydaniem rezolucji; ale gdy posłowie węgierscy zapłacili 44.000 grzywien w srebrze, papież Klemens VI zgodził się nareszcie na koronację Andrzeja. Pomiędzy neapolitańczykami powstał popłoch, gdyż się obawiano, że Andrzej włożywszy koronę, wywrze zemstę na swoich przeciwnikach. Królowa Joanna wraz z otoczeniem wystarała się o to, aby wykonanie aktu koronacji zostało odłożone na później, kiedy Andrzej przestanie już być niebezpieczny. Królowa Elżbieta przeczuwała, że życiu syna grozi niebezpieczeństwo; namawiała go zatem, aby z nią wracał do Węgier. Ale neapolitańskiej kamaryli Andrzej na obcej ziemi był niebezpieczniejszy, aniżeli w Neapolu, gdzie każdej chwili możnaby go usunąć sztyletem albo trucizną. Joanna więc zaręczała Elżbiecie, że będzie już w zgodzie żyć



Grupa kapiteli w krużgankach klasztoru dawniej benedyktynów w Monreale, na Sycylji

z mężem i że mu zapewni współpanowanie. Te zaręczenia poparła Katarzyna Courtenay Taranto, wraz z księżną Marją Durazzo, a przedewszystkiem wielki justycjarjusz Bertrand del Balzo, jedna z osobistości najbardziej poważanych w państwie, przyrzekł królowej otoczyć Andrzeja szczególną opieką. Ponieważ i Andrzej nie miał ochoty opuszczać Neapolu, więc królowa Elżbieta, chcąc nie chcąc, wróciła do swej ojczyzny, odwiedziwszy jeszcze grób świętego Mikołaja w Bari, gdzie zostawiła kosztowne dary.

II

Po wyjeździe Elżbiety zawiązał się oddawna przygotowywany spisek, mający na celu zamordowanie Andrzeja. Na czele zbrodniczych działań stali marszałek dworu, kapitan miasta Neapolu, hrabia di Terlizzi i Robert di Cabanni, tudzież Rajmond di Catania, maggiordomo królowej. Jedną z głównych osobistości w tej robocie były Filippa Catanese i jej siostrzenica Sancja. Niema wątpliwości, że królowa Joanna wiedziała o wszystkiem, chociaż nie występowała czynnie. Znienawidziła męża i milcząco zezwoliła na usunięcie człowieka, który był jej wstrętny.

Dwór królewski udał się, jak zwyczajnie w jesieni, w r. 1345 do Aversy. Ośmnastego września urządzono wielkie polowanie w pobliskich lasach w Orta, w którem brali udział oboje królestwo i mnóstwo baronów i dworzan, po większej części wciągniętych w spisek na życie Andrzeja. Wieczorem wrócono do Aversy, gdzie królestwo mieszkali w klasztorze S. Pietro a Maiella; towarzystwo zasiadło do wieczerzy, podczas której panowała wielka wesołość. Po uczcie udali się królestwo do sypialni; najbliżsi dworzanie umieścili się także w klasztorze, zaproszeni zaś goście nocowali w innych domach, w pobliżu. Na parterze klasztoru stał oddział węgierskiej straży Andrzeja.

Wśród mroków nocy, kiedy już zapanowała cisza w klasztornych komnatach, kilku spiskowych, a mianowicie książę Karol d'Artois wraz z synem Bertrandem i dwaj Konradzi, di Catazaro i di Montefusco, zakradli się kociemi krokami do pokoju, graniczącego z królewską sypialnią, i polecili przekupio-

nemu służącemu Andrzeja, aby zbudził księcia i wywołał go, gdyż niepokojące pogłoski nadeszły z Neapolu i koniecznie potrzeba o nich uwiadomić księcia. Andrzej wyszedł szybko, napół ubrany, nic złego nie przeczuwając; ale zaledwie otworzył drzwi do przyległej komnaty, rzuciło się na niego owych czterech spiskowych, aby go ubezwładnić. Książę, silny mężczyzna, bronił się, wołał o pomoc, ale nadaremnie. Chciał wrócić do sypialni i chwycić za broń, ale zdradziecki jego kamerdyner, Niccolo di Melizzano, zastąpił mu drogę z mieczem w ręku. Pomimo hałasu i zamięszania, jakie powstało, udawała królowa, że znużona snem, nic nie słyszy, i tylko jej cameriera, Gisolda Poderico, neapolitanka, wybiegła z pobliskiego pokoju i zaczęła wołać z okna o pomoc; głosu jej jednak nikt poza klasztorem nie słyszał. Przestraszeni mordercy już chcieli uciekać, gdy jeden z nich, kochanek królowej, Bertrand d'Artois, całą siłą chwycił Andrzeja i powalił go na posadzkę. Wtedy trzej inni towarzysze zbrodni rzucili się na księcia, wywlekli go na balkon ogrodowy, udusili jedwabnym sznurem, a gdy już Andrzej nie żył, strącili ciało do ogrodu, poczem wyszli cichaczem z komnaty, jakgdyby się nic nie stało. Użyli do morderstwa sznura, gdyż nekromanci zapewniali, że Andrzej nie może zginąć ani od żelaza, ani od trucizny.

Wołania Gisoldy zwróciły uwagę straży węgierskiej; zaczęto szukać księcia i znaleziono go nieżywego pod balkonem w ogrodzie. Królowa nie wyszła z sypialni, a nazajutrz rano, jakby zemdlona, udawała, że o niczem nie wie.

Tymczasem wieść o morderstwie rozeszła się po Awersie i po Neapolu; Węgrzy dyszeli zemstą, a Carlo di Durazzo udawał, że pała gniewem, i przysięgał, że wyśledzi zbrodniarzy. Pojechał też zaraz ze swymi braćmi i Filipem, księciem Tarentu, do Neapolu, gdzie w kościele, wobec ciała zamordowanego, powtórzył jeszcze ową przysięgę. Królowa wróciła także do Neapolu, gdzie jedni głośno utrzymywali, że wszelkie zarzuty, czynione jej z powodu tej tragedji, są brzydkiem oszczerstwem, podczas gdy inni byli pewni jej współwiny.

Węgrzy, obawiając się drugich Nieszporów Sycylijskich, pochowali się po swych mieszkaniach, a fra Roberto tak się ukrył, że nikt o nim nie wiedział.

Carlo di Durazzo zajął się pogrzebem; ciało pochowano w katedrze, w kaplicy św. Ludwika.

To morderstwo, które zdawało się vendettą losu za zbrodnię, popełnioną na Konradinie, pociągnęło za sobą przekleństwo na ród Andegaweński.

Joanna zamknęła się w Castel-Nuovo, gdzie w niespełna trzy miesiące, w noc Bożego Narodzenia powiła syna. Papież Klemens VI przyjął ojcostwo chrzestne, ale lud neapolitański nie wierzył, aby to był syn Andrzeja; żałowano młodego księcia, wymyślano na królową, zwłaszcza, że mordercy chodzili bezkarnie po Neapolu.

Król Ludwik węgierski, dzielny młodzieniec, pełen zapału, dowiedziawszy się o zamordowaniu brata, zapowiedział krwawą wendettę i zaczął przygotowywać zbrojną wyprawę na Neapol. Ludwik zażądał od papieża, jako lennego pana Neapolu, surowego sądu nad winnymi, wzbronienia Joannie poślubienia któregoś z książąt domu Andegawenów neapolitańskich, a nadto oddania synka Andrzeja i Joanny, Karoberta, na wychowanie babce Elżbiecie. Elżbieta miała przekonanie, że krew jej syna przelana została „sub protectione" samego papieża, gdyż Klemens VI nie chciał dopuścić do połączenia Neapolu z Węgrami. W przekonaniu tem utwierdzała ją jeszcze bardziej wiadomość, że papież polecił legatowi swemu, Hildebrandowi, biskupowi Pawji i Wilhelmowi, biskupowi z Cassini, aby w razie wkroczenia wojsk węgierskich do Włoch udzielili Joannie dyspenzy na bezzwłoczne małżeństwo z Ludwikiem, księciem Tarentu.

Panowie neapolitańscy, a przed innymi Carlo di Durazzo i Roberto di Tarento, którzy brali udział w zbrodni, dowiedziawszy się o zamiarach króla Ludwika wylądowania z wojskiem na brzegach neapolitańskich, zaczęli o ile możności zrzucać z siebie winę, a nawet podburzali lud przeciw królowej, chcąc ją głównie zrobić odpowiedzialną za morderstwo. Doprowadzili nawet do tego, że w lutym 1346 spustoszyło pospólstwo królewskie ogrody, a lud wołał pod murami Castel-Nuovo, że żąda wydania morderców Andrzeja, groził, że zamek zburzy i sam wymierzy sprawiedliwość. Wyłamano nawet bramę do królewskiej zbrojowni. Joanna była w niebezpieczeństwie życia; wysłała więc kilku dworzan do buntowników, aby oświad-

czyli, że odda pod sąd Filippę Catanese, Sancję, Roberta de Cabannis i innych podejrzanych o winę.

Równocześnie rozjuszony lud napadł na pałac hrabiego Karola d'Artois, rabował, co się dało, a nie mogąc chwycić samego właściciela, który zręcznie uciekł, zwrócił się do archiwum państwa, gdzie zniszczył i spalił akta i rejestry podatkowe.

Morderców Andrzeja przeprowadzono tymczasem z Castel-Nuovo na okręt, aby ich przewieźć do więzienia w Castello dell'Ovo.

Wielki sędzia, Gran Giustiziere, Bertrando del Balzo, zabrał się z całą energją do procesu, tem bardziej, że wyjeżdżającej z Włoch królowej Elżbiecie węgierskiej przyrzekł opiekować się Andrzejem. Śmierć młodego króla szczerze go dotknęła. Natychmiast kazał uwięzić Rajmonda di Catania, siniscalka dworu królewskiego i innych winnych. Widocznie jednak obawiał się zeznań, obciążających królową Joannę, gdyż wysokie sztachety oddzielały lud od przesłuchiwanych, aby ich słowa nie dochodziły do publiczności, a tym, których skazano na śmierć, zamknięto usta żelaznemi przyrządami. Do przesłuchania Filippy Catanesy, jej syna Roberta i Sancji de'Cabannis urządzono nawet osobne ogrodzenie na Marinie, tak oddalone od ulicy, że niepodobna było usłyszeć ich zeznań i krzyków, gdy ich męczono na torturach.

Bezprzytomnych już skazańców wleczono po ulicach miasta, wydzierano im ciało obcęgami i wreszcie spalono trupy, a lud doprowadzony został do takiej zwierzęcej wściekłości, że zębami szarpał i zjadał serce Roberta i Sancji de Cabannis. Jedna tylko stara Filippa została z łaski zamordowana w więzieniu.

Katarzyna de Courtenay-Taranto, chcąc odsunąć od siebie podejrzenie, jakoby należała do spisku, była bardziej zawziętą i dzikszą przeciwniczką podsądnych, aniżeli ci, którzy szczerze żałowali zamordowanego księcia.

Przedewszystkiem postanowiła usunąć hrabiów d'Artois, starego Karola i jego syna Bertranda, którzy mieli udział w morderstwie, a potrafili uciec z Neapolu do swego zamku w S. Agata de' Goti i mogli w razie danym wydać wspólników zbrodni królowi węgierskiemu, aby siebie ochronić. Carlo

d'Artois był nadto człowiekiem bardzo zamożnym, Katarzyna pragnęła posiąść jego skarby i za nie uzbroić silny oddział wojska, któryby się mógł oprzeć nieprzyjaciołom królowej. Odważna, bezwzględna, była niejako poprzedniczką późniejszej Katarzyny Sforzy [1].

Zebrawszy garstkę najemnych żołnierzy, stanęła Katarzyna na ich czele i ruszyła do S. Agata de'Goti. Zamek hrabiów d'Artois był obwarowany potężnemi murami i nie było o tem mowy, aby go zdobyć małemi siłami. Katarzyna postanowiła więc dojść do celu podstępem. Podszedłszy pod bramy fortecy ze swojem żołdactwem, zaczęła się domagać wstępu. Zdziwiony hrabia Carlo, że go napada właśnie ta kobieta, która była główną sprężyną w zamordowaniu Andrzeja, wysłał do niej kilku dworzan z zapytaniem, co znaczą te kroki nieprzyjacielskie, zwłaszcza, że syn jego Bertrand należał do jej stronników w tragedji w Aversie. Katarzyna z miną pełną słodyczy odpowiedziała, że nie ma bynajmniej wrogich zamiarów wobec hrabiów d'Artois, że owszem przybyła w sprawie, która jej tak samo leży na sercu, jak Bertrandowi, że radaby rozmówić się bez świadków z hrabią Karolem. Wiedząc jednak, że hr. Karol cierpi na podagrę i nie może opuścić łoża, prosi, aby mogła wejść do niego do zamku w towarzystwie tylko swego doradcy, Niccola Acciaiuoli i dziesięciu żołnierzy.

Hrabia d'Artois, wspólnik Katarzyny w zamordowaniu Andrzeja, sądząc, że chodzi o wyjawienie jakiejś ważnej tajemnicy, wysłał zaraz swego syna Bertranda, aby Katarzynę powitał. Księżna weszła do zamku, Bertrand zaprowadził ją do chorego ojca, nie przeczuwając, że żołnierze mieli rozkaz zająć najważniejsze wejścia do zamku pod pozorem oglądania zamku.

Katarzyna rozpoczęła z chorym najspokojniejszą rozmowę; ale jak tylko spostrzegła, że zamek jest już w jej posiadaniu, zmieniła przyjacielskie powitania w groźne zapytanie, gdzie hrabia ukrywa swoje skarby i dała przez okno swoim bryganotom znak, aby weszli do komnaty. W tej chwili kazała związać obydwu hrabiów i w łańcuchach odstawić do swojej siedziby, do Melfi. Znalezione złoto i słynne srebra artystycznie rze-

[1] Vide: Chłędowski, *Rzym, ludzie odrodzenia.*

źbione, będące oddawna w posiadaniu hrabiów d'Artois, zabrała jakby swoją własność.

Obawiając się, aby hrabiowie nie wyjawili w procesie o zamordowanie króla Andrzeja jakich faktów, obciążających królową i jej wspólników, kazała Bertranda otruć, a stary Artois, wzburzony zdradzieckiem postępowaniem Katarzyny, umarł nagle na udar serca.

Teraz uważała Katarzyna chwilę za stosowną, aby włożyć koronę na głowę swego syna Roberta. Sprowadziła go zaraz do Castel-Nuovo, aby zmysłowa Joanna zawiązała z nim stosunek, a widząc, że rzeczy są na dobrej drodze i że królowa chętnie widzi jej syna, namawiała ją, aby pomimo, że jeszcze nosi żałobę, pisała do papieża o pozwolenie na ślub. Papież nie chciał sobie jednak narażać Ludwika węgierskiego, a zarazem postępował tak, jakgdyby był szczerym przyjacielem Joanny. Posłał do Neapolu kardynała S. Marco, aby głosił celem ujęcia sobie Ludwika, że kurja życzy sobie wytoczenia procesu wszystkim wspólnikom morderstwa, choćby do nich należała nawet sama królowa, potajemnie zaś dał kardynałowi inne zlecenie. W obawie, aby król węgierski nie zasiadł na neapolitańskim tronie, rozkazał, aby kardynał w razie, gdyby Ludwik przygotowywał się do napadu na Neapol, dał królowej niezwłocznie dyspensę na ślub z Robertem. Tymczasowo dla przyzwoitości nie wolno było Robertowi mieszkać w Castel-Nuovo pod groźbą kar kościelnych i świeckich.

Katarzyna nie doczekała się jednak swoich triumfów, umarła 20 września 1347.

W chwili, kiedy Robert udał się na pogrzeb matki do San Domenico, królowa kazała zamknąć bramy zamku Castel-Nuovo, wygnała stamtąd wszystkich swoich krewnych, nie dozwalając im wstępu do swej królewskiej siedziby. Ze śmiercią Katarzyny ochłódła dla Roberta, a jak się domyślano, miała już z kim innym miłosny stosunek, mianowicie z Ludwikiem di Taranto, młodszym bratem Roberta, i uwolniła się od rodzinnej kurateli.

III

Powróćmy jednak na chwilę do czasów przed śmiercią Andrzeja, do roku, kiedy Elżbieta węgierska bawiła w Neapolu.

Wczesną jesienią r. 1343 przybył Petrarka po raz drugi pod Wezuwjusz w misji politycznej od Klemensa VI i zamieszkał w klasztorze S. Lorenzo. Doznał bardzo zaszczytnego przyjęcia; młodociana królowa mianowała go 25 listopada tegoż roku swym kapelanem („Capellanum seu clericum nostrum domesticum", jak się dyplom wyrażał). Wiedziała, jak wysoko go cenił dziad jej, król Robert, a nawet umiała napamięć niektóre sonety poety. Kilka przyczyn złożyło się jednak, że Petrarka nie był zadowolony z tego pobytu w południowej stolicy.

Przedewszystkiem był świadkiem niesłychanej burzy i podmorskiego trzęsienia ziemi, jakie 24 listopada 1343, w dzień świętej Katarzyny, napełniło przestrachem Neapol i okolicę. Istnieje kilka opisów strasznego dnia, a mianowicie Giovanni Villani wspomina o nim w swej kronice *„di Partenope";* ale najdokładniejsze sprawozdanie o wybuchu rozszalałych żywiołów pozostawił Petrarka, jako świadek naoczny. Wysłał on pod świeżem wrażeniem list do kardynała Jana Colonny, nader plastycznie przedstawiający panikę, jaką wywołała owa katastrofa.

Petrarka, stosownie do wierzeń czasu, zaczyna od tego, że katastrofę przepowiedział na wiele dni przedtem biskup małej wysepki w neapolitańskiej zatoce; „ale ponieważ astrologowie niezawsze wiedzą całą prawdę", więc i ów biskup o tyle się pomylił, że mówił tylko o wielkiem trzęsieniu ziemi, które ma zburzyć Neapol. Lud wierzył w tę przepowiednię, przygotowywał się na bliską śmierć i spowiadał ze swych grzechów. Byli wszakże i niedowiarkowie, którzy wyśmiewali astrologiczną mądrość, ale takich było niewielu. Dwudziestego czwartego listopada po południu widział Petrarka, jak mnóstwo kobiet boso, z rozpuszczonemi włosami, z dziećmi na rękach, szło od kościoła do kościoła prosić Boga o miłosierdzie. Wieczorem niebo było pogodniejsze, jak zwykle, a służba Petrarki poszła spać po wieczerzy. Poeta jednak czekał na zejście księżyca, a otworzywszy okno, wychodzące na zachód, widział, jak przed północą księżyc ukazał się, zaciemniony obłokami, poza górą św. Marcina.

Obłoki te nie zapowiadały wszakże nic nadzwyczajnego; więc Petrarka się położył, oczekując, co się stanie. Zmożony bezsennością, zaczął już mrużyć oczy, gdy uczuł trzęsienie ziemi, wskutek którego okno się otworzyło i światło zgasło przy łóżku. Poeta, spodziewając się bliskiej śmierci, wstał i poszedł do chiostra klasztornego, gdzie zakonnicy się już błąkali, nie widząc dobrze jeden drugiego. W tej chwili jednak ukazał się przeor, „persona santissima", z grupą zakonników, z krucyfiksami i relikwjami, niosących zapalone pochodnie; przerażony jednak tem, co się działo, wrócił do kościoła. Petrarka przyłączył się do zakonników, wszyscy rzucili się na ziemię i wielkim głosem wzywali Boskiej litości, oczekując od godziny do godziny, kiedy świątynia pogrzebie ich w swych gruzach.

Była to piekielna noc, powiada Petrarka, te huczące bałwany morskie, te wichury, te grzmoty, to straszne trzęsienie ziemi, rozpaczliwe jęki ludności, a nadto zdawało się, że noc została przedłużona jakąś magiczną siłą. Nareszcie nadszedł dzień, ale tak zaciemniony, że więcej podobny do nocy, a od strony morza dochodziły do klasztoru przytłumione głosy ludu i tętent koni. Petrarka ochłonął cokolwiek z przerażenia, nabrał odwagi, wsiadł na konia, aby zobaczyć, co się dzieje. „Wielki Boże, dziwi się poeta, czy się kiedykolwiek słyszało coś podobnego!" — Najstarsi marynarze powiadają, że takich elementarnych przewrotów nigdy jeszcze nie widzieli. Fale morskie rzucały ciałami biedaków, zaskoczonych burzą, o brzegi; jedne były bez rąk, drugim fale nogi pourywały, z innych trzewia w straszny sposób wychodziły na wierzch. Grozę chwili powiększały jeszcze lamenty kobiet, wołania mężczyzn, stojących nad morzem. Tysiące rycerzy neapolitańskich przybyło konno, jakby na pogrzeb ojczystego miasta. Petrarce zdawało się, że łacniej będzie zginąć w ich towarzystwie.

Naraz jednak ogłuszył wszystkich jakiś huk podziemny; brzeg zaczął się usuwać, a fale coraz się bardziej zbliżały. Przerażona ludność uciekała w głąb miasta, patrząc na tę nieubłaganą srogość przyrody; zniknęło szafirowe niebo, zniknęło morze i tylko biała, spieniona fala gnała od strony Capri.

Młoda królowa szła boso, otoczona mnóstwem pań, do kościołów, poświęconych Matce Boskiej. W porcie nie ostał się

żaden okręt, tylko jedna galera, na której znajdowało się czterech zbrodniarzy, została uratowana, dzięki sile wiosłujących. Potwierdziło się powiedzenie rzymskiego Lukana, że fortuna sprzyja złoczyńcom.

Petrarka kończy swój list zapewnieniem, że po tem, co widział, nie chce się już zapuszczać na morskie wyprawy, pozostawiając wodę rybom, a powietrze ptakom.

Oprócz wrażeń z tej smutnej nocy wyniósł poeta przykre wspomnienia ze swego drugiego pobytu w Neapolu; upojony przyjęciem, jakie mu zgotował król Robert, sądził, że i tym razem będzie mu hołdowało całe miasto. Tymczasem z załatwieniem spraw, które mu papież polecił, nie śpieszono się wcale; około królowej i Andrzeja, „dwóch baranków, powierzonych opiece stada wilków“, panowała wszędzie chciwość, intryga. Stronnictwo węgierskie było górą, a dowodził niem fra Roberto, „horrendum tripes animal“.

Petrarka starał się jak najprędzej wyjechać z tej „terra crudele“, ale korzystając jeszcze z wolnych dni, zwiedził słynne ze swych piękności pobrzeże od Pozzuoli aż po Cumae. Towarzysze wycieczki powiedzieli mu, że nie może opuścić Pozzuoli, nie widziawszy rybaczki Marji, słynącej z niezrównanej siły. Przyprowadzono tę olbrzymkę, która z łatwością rzuciła kawał skały o kilkadziesiąt kroków, prosząc Petrarkę i towarzyszy, aby poszli za jej przykładem. Ale nikt z obecnych nie zdołał nawet podnieść bryły i mężczyźni musieli ze wstydem ustąpić pola.

Poeta zanotował jeszcze jedno wrażenie z wycieczki do Cumae, które zdawało się zaprzeczać tej niesprawiedliwości losu, że tylko zbrodniarze uratowali się podczas ostatniego trzęsienia ziemi. W Tritoli koło Misenum istniały od niepamiętnych czasów słynne źródła lecznicze, tak skuteczne na różne choroby, że mnóstwo zamożnej publiczności jeździło tam z Neapolu i z całych Włoch południowych. Źródła te były solą w oku lekarzy w Salerno, bo chorzy, wierząc w cudowne wody, coraz mniej zasięgali ich rady. Członkowie wydziału medycznego w Salerno wybrali się razu pewnego do Tritoli i zniszczyli źródło, stanowiące dla nich tak niebezpieczną konkurencję. Ale Opatrzność była tym razem sprawiedliwsza, jak podczas trzę-

sienia ziemi; lekarze, wracając do Salerno, trafili na straszną burzę morską, statek się rozbił i wszyscy się potopili.

Pobyt w Neapolu zatruwało Petrarce mieszkanie w klasztorze, bo musiał wieczór wcześnie wracać do domu. Zresztą chodzenie w nocy po ulicach było niebezpieczne, „podobnie jak w dzikim lesie". Młodzi patrycjusze nosili broń, bo „brigantaggio" rozwielmożliwo się nawet w samem mieście. Dość powiedzieć, że samą królową dwa razy obrabowano w tych czasach, a złodzieje ukradli jej srebro stołowe. Raz napadli rozbójnicy na służbę dworską, wiozącą na mułach te kosztowne ciężary, na placu S. Angelo a Segno, a drugi raz na drodze do królewskiej willi w Resinie. Gdy złoczyńców nie można było wyśledzić, urząd miejski musiał za pierwszy rabunek zwrócić królowej wartość srebra w ilości 119 uncyj złota, a za drugi pociągnięci zostali do odpowiedzialności celnicy miejscy. Jeżeli się to działo w stolicy, to cóż powiedzieć o bezpieczeństwie na prowincji! Boccaccio opowiada o „szlachcicu", Rogerze di Jeroli, który niepokoił całą okolicę Salerna ze swoją bandą i był najśmielszym zbójem, jakiego sobie wyobrazić można. „Oh, Madonna, mówi Boccaccio, di Ruggier dice ognum male!" W Rogerze zakochała się żona Mazzea della Montagna, najznakomitszego chirurga w Salerno, który ją pojął już w dość późnym wieku za żonę.

Stosunki neapolitańskie tak zniechęciły Petrarkę, że prosił królową o pozwolenie wyjazdu i wkrótce powrócił do Rzymu. Ale i tam wówczas nie było lepiej.

IV

Prowansalski astrolog Anselme, który żył za młodych lat Joanny, zapytany, kto będzie jej mężem, odpowiedział: „Maritabitur cum A. L. I. O.", co miało się później wytłumaczyć początkowemi literami imion czterech jej mężów.

Pierwszy, Andrea, leżał już w grobie, a lud neapolitański i znaczna część baronów bardziej była do niego przywiązana po śmierci, aniżeli za życia. Wiadomości z Węgier nadchodziły, że król węgierski przygotowywał się do wyprawy na Neapol; baronowie więc, niebardzo sprzyjający Joannie, naprzód już

stawali się gorącymi stronnikami Ludwika węgierskiego, obawiając się jego zemsty. Z miast najpierwej podniosła bunt przeciw królowej Aquila, ale i lud neapolitański zaczął się burzyć i chciał zamordować jej powiernika, Henryka Caracciolo, którego uważał za kochanka Joanny i za sprawcę wielu nieszczęść. Przyczyną powszechnego niezadowolenia był także ucisk baronów, którzy, nie czując nad sobą silnej ręki, niemiłosiernie zdzierali wasalów. Hasłem rewolucyjnem było zamordowanie Andrzeja; chodziło bowiem przewódcom o roznamiętnienie umysłów. W lutym r. 1347 rzemieślnik, Tomaso de Jacca, rozwinął sztandar, na którym był wymalowany uduszony Andrzej, wzywał lud do zemsty i otoczony tłumem miejskim, szedł aż pod mury Castel-Nuovo.

Caracciolo, przygotowany na rozruchy, wypadł z Porta Capuana na czele stu konnych, kazał schwycić Tomasa i na miejscu powiesić. Lud nie dał się odstraszyć tym przykładem; zaczął się dobywać do zamku, a nie mogąc bram wywalić, przez zemstę za śmierć swego naczelnika zamordował pierwszego rycerza, jakiego zobaczył na placu.

Podczas tych zaburzeń dochodziły wiadomości, że Węgrzy zbliżają się do granic państwa i że Carlo di Durazzo wyszedł naprzeciw królowi Ludwikowi. Popłoch powstał w zamku; królowa, roztrwoniwszy skarb Roberta, nie miała pieniędzy, więc naprędce zastawiła koronę. Opuszczona przez rodzinę, nie wiedziała, co począć; zwołała jednak „giuntę“ państwa i przedstawiła niebezpieczeństwo zgromadzonym wasalom. Baronowie uchwalili, że bezpieczeństwo państwa i dynastji wymaga, aby królowa jak najprędzej zawarła nowe małżeństwo, oddając rękę człowiekowi, którýby umiał stawić czoło najeźdźcy. Uchwała powzięta zresztą została po myśli królowej, która już serce oddała Ludwikowi, trzeciemu po starszeństwie synowi Filipa z Tarentu i Katarzyny de Courtenay. Ludwik był bardzo przystojnym i dzielnym młodzieńcem, miał wielu przyjaciół; ale Carlo di Durazzo rozgniewany, że wskutek tego małżeństwa królowej wszelkie jego nadzieje, aby kiedyś zasiadł na tronie neapolitańskim, zostały zawiedzione, stał się największym nieprzyjacielem Joanny. Buntował więc baronów przeciw królowej i zachęcał

Ludwika węgierskiego, aby jak najprędzej przybył celem objęcia rządów państwa neapolitańskiego.

Aquila i kilka innych miast w Abruzzach oświadczyły się przeciw Joannie, a Aquila i Fondi wywiesiły nawet sztandary króla węgierskiego.

Wśród tych niebezpieczeństw odbyło się wesele Joanny z Ludwikiem z Tarentu w Neapolu, a później urządzono z tego powodu w Aversie wielki festyn, na który się zjechało mnóstwo rycerstwa przyjaznego królowej. Zanim jeszcze muzykanci uderzyli w trąby, Joanna wybrała jako swego rycerza Galeazza di Mantova, słynącego z odwagi i męskiej urody. W tańcu tak była dlań ujmująca, że ośmielony rycerz klęknął przed królową, dziękując za wielki zaszczyt, jaki go spotkał i pełen zachwytu ślubował, że pójdzie w cudze kraje i z bronią w ręku będzie głosił, że królowa jest najpiękniejszą, najcnotliwszą, najszlachetniejszą i najbardziej wspaniałomyślną panią na całym świecie. Dodał nadto, że złoży u jej stóp w podarunku dwóch dzielnych rycerzy, których zwycięży swem ramieniem. Joanna przyjęła te rycerskie śluby z wdzięcznym uśmiechem. Galeazzo przebiegł Włochy, Francję, Anglję, Niemcy, a nawet Węgry; zwyciężał śmiałków, którzy nie chcieli wierzyć w jego pochwały neapolitańskiej królowej i z tych wypraw przyprowadził dwóch jeńców znakomitych rodów, których darował pani swych uczuć i myśli. Królowa przyjęła dar, ugościła rycerzy, dała im wolność i zawiesiła im na szyi złote łańcuchy, jako pamiątkę neapolitańskiej niewoli.

Wróćmy jednak do mniej wesołych wydarzeń.

Po ślubie widziała Joanna przepaść przed sobą. Wprawdzie mąż jej, Ludwik di Taranto, zbierał co mógł wojska i pieniędzy, ale jego działanie było niewystarczające wobec potężnego króla węgierskiego. W ostatecznej potrzebie zwróciła się Joanna do nieprzyjaznego sobie księcia Karola di Durazzo, ofiarując mu dowództwo wojsk, mających stawić czoło węgierskiemu najazdowi. Książę, człowiek ambitny, przyjął dowództwo, pomimo, że niedawno zachęcał króla węgierskiego do najazdu na królestwo neapolitańskie. Zdrada ta jeszcze bardziej rozgniewała króla, który z końcem roku 1346 najechał Apulję. Naprzeciw niemu wybrał się wprawdzie Ludwik di Taranto;

ale gdy Benewent poddał się królowi, Joanna odwołała czem prędzej swego męża, widząc, że opór na nic się nie przyda i na okręcie, który jej przysłali Pizanie, wybrała się do Prowancji, gdzie już nie potrzebowała się obawiać węgierskiego najazdu. Wyjechał z nią Niccolo Acciaiuoli, florentczyk, człowiek niepospolitych zdolności i całem sercem przywiązany do książęcej rodziny z Tarentu.

W Prowancji doznała jednak Joanna bardzo przykrych zawodów; kraj uważał ją już prawie za obcą monarchinię. Gdy bowiem książęta d'Anjou opuścili swój kraj rodzinny, przenosząc się do Neapolu, władza ich tam stała się tylko nominalna. Utworzyła się federacja, złożona z gmin i rycerskich posiadłości prawie niezależnych, nie troszczących się o wielkiego seneszala, zastępcę króla i o tak zwany parlament. Król zatrzymał sobie wprawdzie prawo nakładania podatków, rekrutowania zaciężnych, ale te prawa istniały tylko na pergaminie. Natomiast komuny i wasale pozwalali panującemu bić monetę i sprzedawać przywileje. W chwili, kiedy Joanna stanęła na prowansalskiej ziemi, ludność buntowała się przeciwko niej, ponieważ zamianowała wielkim seneszalem Włocha, Barillego, wbrew konstytucji, która wykluczała cudzoziemców od urzędów publicznych. Gminy i szlachta nie uznały tego przybysza i zamianowały na jego miejsce Raymonda d'Agoult. Nadto rozeszła się pogłoska, że królowa zamierza odstąpić Prowancję księciu Janowi, następcy tronu francuskiego, za dużą sumę i za dostarczenie jej wojskowej pomocy, aby mogła odebrać neapolitańskie królestwo. Prowansale jednak nie mieli wcale ochoty przechodzić pod inne panowanie; utworzyli więc ligę, nazwaną La Sainte-Ligue, mającą za cel obronę praw kraju. Przyjęli też Joannę dość ozięble; wyznaczyli jej wprawdzie jeden z najpiękniejszych zamków, Arnaud, na rezydencję, ale obchodzili się z nią jak z uwięzioną, lubo z wszelkiemi honorami. Pod pozorem, że się obawiają, aby królowej nie dochodziły nieprzyjemne wiadomości, otwierali jej listy, troszcząc się zaś o zdrowie „ukochanej" panującej, nie pozwolili jej wychodzić z zamku, a nawet obawiając się dla niej zbyt silnych wrażeń, mogących szkodzić nerwom, nie pozwolili widywać się jej z mężem. Zresztą otaczali

Joannę pozornym szacunkiem, a najznakomitsze panie ubiegały się o zaszczyt pełnienia przy niej służby.

Pragnąc się uwolnić od tej zbytecznej troskliwości, unieważniła Joanna nominację Włocha, powierzyła urząd wielkiego seneszala Raymondowi d'Agoult i przysięgła szanować przywileje Prowancji. Po tych wzajemnych grzecznościach pozwolono królowej udać się do Avignonu, gdzie urządziła sobie świetny dwór, zapraszała znakomitości kraju, pomiędzy innymi Bertranda de Pézénás, słynnego poetę trubadura, który wraz ze swoją żoną recytował tragiczne historje; śpiewał też straszną opowieść o śmierci Andrzeja, której królowa słuchała „ze łzami w oczach".

Podczas pobytu w swym dziedzicznym kraju dała Joanna dowód dość dziwnych pojęć o sprawiedliwości. Zdarzyło się, że w Tulonie dłużnicy napadli na żydowską część miasta, pozabijali bankierów i zniszczyli swe kwity dłużne. Mordercy uciekli, ich dobra wszakże zostały skonfiskowane i proces przeciw nim wytoczony. Ale królowa potrzebowała pieniędzy na odzyskanie Neapolu; kazała więc umorzyć proces pod warunkiem, że winni wypłacą jej tysiąc florenów w złocie, na co mordercy chętnie przystali, bo zniszczone ich weksle opiewały na daleko większe sumy. Tysiąc florenów było wszakże za małą kwotą, aby z nią wracać do Włoch; więc sprzedała swe prawa do Avignonu papieżowi Klemensowi VI za 300.000 florenów w złocie. Oczywiście cała Prowancja zawrzała z oburzenia, że królowa łamie niedawno podpisaną ugodę w Chateau Arnaud; ale monarchini w łatwy sposób uspokoiła opinję. Sprzedała swą souserainеté, którą rozciągała także na najbardziej opozycyjny Toulon, gminie, wskutek czego Toulon stał się wolnem miastem i przyczynił się do tego, aby o królowej źle nie mówiono.

Joanna miała już dość funduszów, aby powrócić do Neapolu, zwłaszcza, że tam zmieniały się stosunki na jej korzyść.

Tymczasem jednak wysłał Ludwik węgierski ambasadorów do papieża, aby oskarżyli wdowę po bracie Andrzeju o morderstwo męża, żądając surowego na nią wyroku. Papież więc wezwał Joannę, aby na publicznym konsystorzu odpowiedziała na czynione jej ciężkie zarzuty. Królowa się stawiła, a poeta Mi-

stral przepięknie opowiada tę dramatyczną scenę w swojej romancy *La Reine Jeanne.*

„Gdy w purpurowej szacie — powiada Mistral — w złotej koronie na skroniach — z kwiatem na łonie — w długim płaszczu — na dworze papieża — w loggii katedry — dumna i blada — opowiedziała jasno i prawdziwie swe nieszczęsne losy — byłbym z pewnością zawołał — „Niech żyje królowa Joanna!“ — I kto wie? Wspaniałomyślna — byłaby mi pozwoliła złożyć pocałunek na swej białej ręce“.

Obrona królowej nietylko w poezji, ale i w rzeczywistości miała wypaść świetnie. Wobec zgromadzenia kardynałów, prałatów, rycerskiej szlachty, wnieśli ambasadorowie króla węgierskiego gniewnie i namiętnie swe oskarżenia. Królowa odpowiedziała na nie spokojnie, z wielką prostotą i z taką stanowczością, że spoglądano na nią ze zdziwieniem, a w zgromadzeniu widać było łzy w oczach starych i doświadczonych mężów, wzruszonych losami nieszczęśliwej młodej kobiety.

Tego samego dnia wydał też papież wyrok, że Joanna nie jest winna zarzuconej jej zbrodni i że jest godna posłuszeństwa i miłości swoich poddanych.

Po tylu wiekach trudno być sędzią Joanny; trzeba się opierać na świadectwach kronikarzy i historyków, z których prawie połowa bezwzględnie ją potępia, połowa najzupełniej uniewinnia. Do głównych oskarżycieli należy słynny florencki historyk Villani, który żył w czasach morderstwa Andrzeja. Ale Villani sam wyznaje, że okoliczności, tyczące się tej neapolitańskiej tragedji, zna tylko z opowiadań swego brata, który o nich słyszał od jakiegoś Węgra Mikołaja, przejeżdżającego na północ przez Florencję po zamordowaniu małżonka Joanny. To wyznanie trochę osłabia wartość historyczną zapatrywań Villaniego. Inny współczesny kronikarz, Gravina, jest nieprzyjacielem królowej, oskarża ją o najbrzydsze występki; czy jednak ten pisarz notował swe zapiski na podstawie wiarogodnych opowiadań, tego nie wiemy. Przeciwnie cały szereg znakomitych współczesnych autorów, jak słynni prawnicy Baldo i Angelo da Perugia, jak kronikarze Costanzo, Summonte, Giannone i kilku innych, stanowczo uniewinniają królową, sądząc, że zamordowanie Andrzeja nastąpiło bez wiedzy młodocianej Joanny. Obrońcy królowej

przytaczają jeszcze na poparcie swych twierdzeń okoliczność, że w śledztwach żaden z podsądnych, nawet z tych, których męczono torturami, nie wymienił, jako winnej, królowej Joanny. Wobec tego twierdzenia trzeba wszakże zauważyć, że prawdziwych zeznań nie musiano do aktów zapisać, widzieliśmy bowiem, jakiemi ostrożnościami otoczono winnych, aby publiczność nie usłyszała tego, coby sądowi było nie na rękę. Morderstwo było zresztą urządzone w ten sposób, że królowa właściwie bezpośredniego, czynnego udziału w niem nie miała; mówiła, że zmorzona snem, nic nie słyszała, o niczem nie wiedziała. Był to jednak zanadto twardy sen, aby ją wobec potomności mógł uniewinnić.

V

Po wyjeździe królowej Joanny i jej młodego męża do Prowancji udali się Carlo, duca di Durazzo i Roberto, principe di Taranto, otoczeni licznym orszakiem baronów, naprzeciwko Ludwika węgierskiego do Benewentu, aby się poddać jego królewskiej władzy. Zabrali ze sobą jego małego synowca, Karoberta, którego Joanna pozostawiła w Neapolu. Król przywitał wszystkich członków rodu andegaweńskiego z serdecznością, jakiej się nawet nie spodziewali i udał się z nimi do Aversy, gdzie się przedstawili monarsze najznakomitsi baronowie neapolitańscy.

Sześć dni bawił Ludwik w zamku, poczem 23 stycznia 1347 wyruszył z całem świetnem otoczeniem do stolicy. U boku króla jechali: Carlo, duca di Durazzo i inni książęta andegaweńscy, ucieszeni, że burza, której się obawiali, szczęśliwie już minęła. Ale ich radość była przedwczesna.

Droga do Neapolu wiodła koło klasztoru zakonników św. Piotra a Maiella, gdzie Andrzej został zamordowany. Tam król Ludwik wstrzymał konia, a obróciwszy się z chmurną twarzą do księcia di Durazzo, zapytał go, czy może mu wskazać okno, przez które brat jego został wyrzucony do ogrodu.

— Niewiadomo mi — odrzekł Durazzo — gdzie się odbyła ta straszna tragedja, ponieważ nie byłem w tym klasztorze.

Na co król wyjął z kieszeni list Durazza, pisany do hrabiego d'Artois, w którym mu donosi o zamordowaniu Andrzeja. Pi-



Katedra S. Andrea w Amalfi

smo to wręczył królowi arcybiskup neapolitański, osobisty nieprzyjaciel Karola di Durazzo, w Benewencie, dokąd się udał na przywitanie króla węgierskiego.

— Zdrajco! — rzekł król, pokazując list — nadeszła chwila, abyś otrzymał karę za popełnioną zbrodnię — i zawołał swoich wiernych towarzyszy, aby natychmiast uwięzili wszystkich książąt andegaweńskich, a Karola di Durazzo kazali udusić na tem samem miejscu, na którem zginął Andrzej i wyrzucić ciało przez to samo okno. Dwóch węgierskich żołnierzy wykonało wyrok, a inni książęta andegaweńscy zostali wywiezieni do Węgier.

Piękna, młoda Marja, żona Karola di Durazzo, nie chcąc wpaść w ręce dzikiego Ludwika, uciekła z małemi czterema córeczkami z Neapolu i po różnych przygodach dotarła do siostry Joanny do Avignonu.

Król Ludwik kazał wywieźć do Węgier Roberta i Filipa z Tarentu, Ludwika i Roberta z Durazzo, tudzież małego Karoberta, który niebawem tam umarł.

Wjeżdżając do Neapolu, kazał król węgierski nieść przed wojskiem czarny sztandar, na którym był wymalowany uduszony Andrzej, co sprawiło wielkie wrażenie pomiędzy baronami i ludnością, uważano bowiem ten znak za zapowiedź strasznej zemsty. Ludwik pozwolił swym Węgrom rabować pałace książąt andegaweńskich i tych panów, którzy byli zwolennikami Joanny; kobiety skazane kazał wydobyć z więzienia, włóczyć po ulicach miasta i wreszcie spalić, pomimo, że jedna z nich w najbliższych dniach spodziewała się zostać matką.

Okrutne rządy węgierskie dały się Neapolowi bardzo we znaki, osobliwie „popolani" zaczęli się burzyć; Ludwik czuł się niepewny w tem obcem, wrogiem otoczeniu, a gdy i morowa zaraza gwałtownie wybuchła w południowych Włoszech, postanowił powrócić do ojczyzny. Mianował więc swym zastępcą w Neapolu doświadczonego wojownika, Konrada Lupo i cichaczem udał się do Barletty, skąd popłynął do Węgier.

Gdy wieść o wyjeździe Ludwika rozeszła się po królestwie, stronnicy Andegawenów zaczęli podnosić głowy, a czując się znowu na siłach i widząc, że i lud pragnie powrotu młodej, pięknej królowej, wysłali do niej poselstwo do Prowancji z prośbą, aby wróciła do Neapolu. Jednym z przewódców tej deputacji

był Caracciolo Rosso, którego królowa później obdarzyła hrabstwem Gerace za dochowaną wierność dynastji. W sprawę powrotu królowej wdał się także papież, wysyłając swego legata do Węgier, aby się starał nakłonić Ludwika do zgody z Joanną. Królowa więc postanowiła wyjechać z Prowancji, a rozkochany w swej legendarnej bohaterce Mistral żałuje, że opuściła kraj rodzinny. Byłby ją przestrzegł: „Oh! Venus, à Naples ne retourne plus — car tu emporterais l'amour et la richesse"; ale królowa nie posłuchała głosu kochającej ją Prowancji, „któraby — według poety — była poruszyła płomienie swego słońca, przeciw armji jej przeciwników" — i marnie zginęła.

VI

Królowa wynajęła dziesięć galer i we wrześniu 1348 wylądowała w Neapolu. Lud przyjął ją z niewypowiedzianą radością i zaprowadził pod złotym baldachimem do pałacu książąt Tarentu, tak zwanego „Palazzo dell' Imperatore", bo zamki królewskie były jeszcze obsadzone przez węgierskie wojska, któremi dowodził Niemiec, Lupo. Kondotjer to był dzielny, a młoda para królewska łatwiej mogła wylądować w Neapolu, aniżeli opanować kraj cały. Do stronnictwa węgierskiego należało jeszcze dużo baronów, a Lupo był doświadczonym i bardziej przewidującym wojownikiem, aniżeli Ludwik, małżonek królowej.

Zaczęła się wojna, w której wojsko królowej zostało dotkliwie pobite pod Awersą, tak dalece, że Joanna w obawie, aby się nie dostać do niewoli, zamierzała powrócić do Prowancji. W tym celu wysłała swego admirała Rinalda del Balzo do południowej Francji, aby wynajął i uzbroił potrzebne galery. Balzo, wykonawszy rozkazy swej pani, przybył z galerami do Neapolu właśnie w kilka dni po upadku Awersy; gdy jednak flota królewska miała już wypłynąć z portu, oświadczył, że musi jeszcze kilka dni pozostać ze swoją galerą w Neapolu, aby zakupić potrzebną żywność, że jednak w Gaecie połączy się z galerami, które przewiozą królową i jej małżonka. Potrzebował oddalenia się Joanny, gdyż knuł zbrodnicze zamiary.

Gdy królowa z mężem odpłynęła, udał się Balzo ze swymi dwoma synami do Castello dell'Ovo, gdzie mieszkała Marja di

Durazzo, i uwiadomił księżnę wdowę, że ma do niej ważne polecenie od królowej. Księżna przyjęła go uprzejmie, ale on w brutalny sposób zmusił tę młodą i piękną kobietę, aby się oddała jego starszemu synowi, sprowadził następnie księdza, kazał mu ślubem połączyć ją z gwałcicielem i po tej formalności zamknął na jednej z galer, otaczających jego admiralski okręt, poczem odpłynął ku Prowancji. Po drodze wstąpił do Gaety, aby przyłączyć do swej floty królewską galerę. Sądził, że królowa ani Ludwik, jej małżonek, nie wiedzą jeszcze o jego podłym napadzie na Marję. Był jednak na tyle ostrożny, że nie wysiadł ze swego okrętu w Gaecie, ale kazał oświadczyć królowej, że gwałtowne bóle artretyczne nie pozwalają mu wylądować.

Ludwik wiedział już o zbrodniczym napadzie; nic wszakże nikomu nie mówiąc, popłynął łodzią z kilkoma zaufanymi żołnierzami do admiralskiej galery, aby odwiedzić chorego Balza. Wysiadłszy na galerę, kazał swym brawom rzucić się na admirała, zamordować go, a dwóch jego synów uwięzić. Roberta, który księżnę zbezcześcił, odesłał do Neapolu, gdzie go wrzucono do lochów w Castel-Nuovo. Pokutował on tam aż do roku 1354, dopóki go księżna Marja Durazzo nie kazała zamordować czterem brawom w swojej obecności i ciało wrzucić do morza. Nie była, jak się wyraziła, ani mężatką ani wdową, pragnęła zostać wolną kobietą.

Podczas pobytu królowej Joanny w Gaecie wylądował ponownie Ludwik węgierski w południowych Włoszech, a następnie udał się do Neapolu, zwołał zastępców ludu, wyrzucał im zdradę i chciał nałożyć tak wysokie ciężary, że neapolitańczycy oparli się jak jeden mąż i oświadczyli, że do ostatniej kropli krwi będą bronić swojej wolności. Zebrali też naprędce dobrze uzbrojone wojsko i zaczęli oblęgać Castel-Nuovo, gdzie król węgierski zamieszkał. Król się zatrwożył, gdyż jego wojsko było źle uzbrojone, wygłodzone i zmęczone ciągłemi marszami; nie wdał się więc w bitwę z neapolitańczykami, ale wymknąwszy się cichaczem z Neapolu, podążył do Apulji, aby przygotowywać nową wyprawę przeciw stolicy.

Wtedy papież uważał chwilę za stosowną, aby pośredniczyć pomiędzy Joanną a królem węgierskim, a ponieważ obydwie strony wojujące pragnęły pokoju, więc zawarto go w kwietniu

1351. Królowa miała wypłacić Ludwikowi koszta wojenne w kwocie 300.000 florenów; ale król węgierski zrzekł się nawet tej sumy, oświadczając, że mu chodziło o pomszczenie śmierci brata, a nie o jakieś zyski.

Po przywróceniu pokoju postanowiła Joanna wraz z mężem prosić Klemensa VI, aby pozwolił obojgu przywdziać koronę neapolitańską. Stary papież zgodził się na to, wysłał na koronację swego legata; ale podczas gdy w stolicy robiono przygotowania do tej wielkiej uroczystości, nadeszły wieści, że kondotier niemiecki Beltramo della Motta pustoszy niektóre miejscowości w Terra di Lavoro. Ludwik wyruszył z oddziałem wojska naprzeciw niemu, pobił Beltrama; tem radośniej więc witano go z powrotem, jako bohatera, na którego skroniach spocznie niebawem korona.

Dwudziestego piątego maja 1352 odbyła się koronacja; mnóstwo ludu i baronów zgromadziło się, cały Neapol był ubrany kwiatami, niespodziewane jednak zdarzenie rzuciło pewien cień na uroczystość. Joanna, pysznie ubrana, jechała na białej klaczy, którą prowadzili za cugle najznakomitsi dygnitarze państwa. Koło niej cwałował Ludwik, oboje z koronami na głowie. W pobliżu bramy Petruccia jakaś nobildonna rzuciła tak duży snop kwiatów na Ludwika, że jego koń się spłoszył; jeździec musiał się zsunąć na bruk, a złoty diadem spadł na kamienie i rozbił się na trzy kawałki. Oczywiście, że lud zabobonny uważał to za złą wróżbę, a czarne przeczucia jeszcze się wzmogły, gdy tego samego dnia umarła mała dziecina królestwa.

Na przebłaganie nieba, aby złe zapowiedzi dnia koronacyjnego nie wywołały smutnych następstw, postanowiła królowa wznieść wspaniałą świątynię na miejscu, gdzie stał trybunał „del Vicario". Kościół ten nazwano na pamiątkę koronacji królestwa „Chiesa di Santa Maria dell' Incoronata". Przez długie czasy błąkała się u historyków sztuki uwaga, że Joanna powołała Giotta do ozdobienia tej świątyni, a mianowicie kaplicy del Rè. Wielki florencki artysta umarł jednak 1336 r., a świątynię neapolitańską wraz z ową kaplicą zaczęto budować dopiero w latach 1353 albo 1354. Giotto bawił w Neapolu pomiędzy latami 1320 a 1330. Piękne freski w Capella del Rè mieli, według nowszych badań, malować Gennaro di Cola, ulubiony artysta Joanny I, albo mae-

stro Stefanone, obydwaj mistrze neapolitańscy. Że te freski zresztą nie są dziełem Giotta, dowodzi i to, że w obrazie bardzo pięknym, przedstawiającym chwałę kościoła, znajdują się pomiędzy osobistościami świętemi także portrety króla Roberta i jego syna Karola, z przydomkiem „Illustre“, a trudno przecież przypuścić, aby artysta zamieścił pomiędzy świętymi w raju osoby jeszcze żyjące, choćby nawet należały do panującej dynastji. We fresku „Sakrament małżeństwa“ widzimy Joannę i Ludwika, królową w monarszym stroju, z koroną na głowie, jej małżonka zaś w zwykłem rycerskiem ubraniu, albowiem Ludwik, w chwili, kiedy poślubił Joannę, nie był jeszcze królem. Wogóle wszystkie freski nad chórem i w Capella del Crocifisso są według wszelkiego prawdopodobieństwa dziełem powyższych dwóch artystów.

Ponieważ koronacja odbyła się w Zielone Święta, więc Ludwik, chcąc uczcić ten dzień pamiętny, ufundował na cześć Świętego Ducha rycerski order „węzła“, „del nodo“ i przesłał go sześćdziesięciu rycerzom, pomiędzy którymi znajdowali się Barnabo Visconti z Medjolanu, Luigi Sanseverino i Giacomo Caracciolo. Order składał się z jedwabnego węzła, przetykanego złotem i perłami, a noszono go na lewej stronie piersi, na sercu.

Był to pierwszy order, zaprowadzony we Włoszech, a statuty zawierały w sobie postanowienia, malujące całą poetyczną naiwność ówczesnego rycerstwa. Kawalerowie orderu byli obowiązani służyć i pomagać swemu księciu w wojnie i w pokoju. Jeżeli który z nich odznaczył się jakimś czynem pełnym odwagi, jeżeli był w walce ranny, albo ranił nieprzyjaciela, król wśród uroczystego obchodu rozwiązywał mu węzeł i węzeł ten tak długo był rozluźniony, dopóki rycerz nie odbył pielgrzymki do Ziemi Świętej. Po powrocie z Palestyny węzeł znów zacieśniano, i pisano na nim nazwisko rycerza i dewizę „Se Dieu plait“. Kawalerowie orderu mieli obowiązek poszczenia co piątek, a jeżeli się nie mogli poddać temu przepisowi, powinni byli nakarmić trzech ubogich na cześć świętej Trójcy. W każdym jednak razie musieli w piątki nosić na rycerskiem ubraniu czarną kapucę, ozdobioną białym węzłem, bez dodatków ze złota, srebra lub pereł.

Co rok w Zielone Święta odbywało się walne zgromadzenie rycerzy „węzła“ w Castello dell' Ovo, na którem członkowie stowarzyszenia występowali w białych strojach. Każdy z przytomnych zapisywał swe czyny rycerskie z ubiegłego roku w księdze „Le Livre des avenemens aux chevaliers de la compagnie du Saint Esprit au droit desire“.

Jeżeli który z kawalerów popełnił jaki czyn niegodny rycerskiego stanu, przybywał na to zgromadzenie w czarnem ubraniu z czerwonym płomykiem nad sercem i napisem: „Fais esperance au Saint Esprit de ma grande honte amender“. Była to niejako dobrowolna spowiedź rycerska, a temu pokutnikowi nie wolno było zasiadać do uczty przy wspólnym stole, siedział osobno przy małym stoliku na środku sali.

Nad grobowcem rycerza zawieszano jego szpadę.

Ten związek rycerski nie trwał długo, po śmierci bowiem Ludwika di Taranto nikt nie stanął na czele stowarzyszenia i tylko statuty orderu służyły późniejszym królom za wzór do podobnych zakonów. I tak Henryk III Walezy ufundował także w r. 1579 order „du Saint Esprit“, ponieważ urodził się w Zielone Święta, a nadto w te same dni został wybrany królem polskim i wstąpił na tron francuski.

Gdy z powrotem z Polski przejeżdżał przez Wenecję w r. 1574, Signoria dała mu w podarunku rękopis, zawierający statuty orderu „węzła“. Henryk III użył ich, aby ufundować powyższy order we Francji, a nie chcąc, aby ta fundacja uchodziła za naśladownictwo orderu Ludwika neapolitańskiego, kazał swemu kanclerzowi, hr. de Cheverny, spalić wenecki rękopis. Kanclerz jednak nie wykonał królewskiej woli i statut neapolitański został w r. 1764 drukiem ogłoszony [1].

Neapolitański król Ludwik przesłał także order „del nodo“ swym krewnym z domu Anjou; ale książęta krwi niebardzo się czuli zaszczyceni tą odznaką, zazdrościli bowiem Ludwikowi królewskiej korony. To też gdy przyniesiono ów „węzeł“ księciu

---

[1] Naprzód w dziele *Monumenti della Monarchia Francese* przez O. Bern. di Montfaucon, benedyktyna kongregacji di S. Mauro, a później osobno przez księdza le Fèvre, pod tytułem: *Memorie per servire alla storia di Francia del sec. XIV.*, 1764, in 8-o. W Bibljotece Narodowej w Paryżu znajdują się minjatury i odznaki kawalerów „węzła“.

Tarentu, Robert zwrócił order posłowi, polecając mu, aby oświadczył swemu królowi, że ich nie łączą węzły jedwabne, ale węzły krwi.

Wogóle te jedwabne węzły, dawane baronom, rwały się co chwila; znaczna część możnowładców była niechętna Ludwikowi, a gdy król postanowił urządzić wyprawę na podbicie Sycylji, rozpoczęły się rozruchy wewnątrz państwa. Na tę wyprawę zachęcił Ludwika głównie hr. di Chiaromonte, jeden z najpotężniejszych baronów sycylijskich, a królowa poparła projekt, jak mówiono, aby się na jakiś czas pozbyć Ludwika, którego chłód w stosunkach małżeńskich bardzo ją niecierpliwił. Naprzekór Joannie król się nie wybrał do Sycylji, ale wysłał tam Nicola Acciaiuoli i Giacoma Sanseverino, a królowa doznała nieprzyjemnego zawodu, zostając pod kontrolą niedołężnego już małżonka. Ta boleść została jej jednak wkrótce wynagrodzona w inny sposób, gdyż Sycylja po zdobyciu Messyny oddała się pod panowanie neapolitańskiej królewskiej pary, a Joanna, udawszy się wraz z mężem do Messyny, była tam przyjęta z wielkiemi honorami. Ale i to szczęście nie trwało długo, gdyż niektórzy baronowie sycylijscy, niechętni Ludwikowi, podnieśli bunt, a co gorsza i w Neapolitańskiem zaczęli Robert di Taranto i Luigi di Durazzo burzyć ludność przeciw królowi, a Giovanni Pipino, okrutnik, wódz „kompanji di ventura", stanął na czele rozmaitych awanturników i siał postrach w całej Apulji.

Ludwik di Durazzo miał z królową obrachunek; bezpośrednim powodem nienawiści było tym razem małżeństwo Marji, siostry Joanny. Pomimo, że Marja kazała udusić chwilowego swego męża i ciało wrzucić do morza, znaleźli się zaraz pretendenci do jej ręki. Sam Ludwik węgierski żądał, aby wyszła za niego stosownie do umowy, jaką w tej mierze zawarł jeszcze z królem Robertem, ale obydwie siostry zanadto nienawidziły węgierskiego monarchę, aby się dać nakłonić do jego woli. Chcąc udaremnić zamiary księcia di Durazzo, porozumiała się Marja z Joanną i postąpiła według zwyczajów, które się ustaliły w rodzie andegaweńskim.

Wybrała sobie innego narzeczonego, Filipa, księcia Tarentu, młodszego brata Roberta i w tajemnicy przeniosła się w nocy z Castel-Nuovo do jego mieszkania, gdzie małżeństwo zostało do

skutku przywiedzione, a następnie potwierdzone przez przywołanego księdza. Ale wówczas panował już następca Klemensa VI († w grudniu 1353), większy rygorysta od swego poprzednika, Innocenty VI, który ze względu na bliskie pokrewieństwo nielegalnie zaślubionych nie dał im potrzebnej dyspensy. Gdy nawet Marja powiła syna, papież uważał jeszcze to małżeństwo za nielegalne pomimo usilnych starań królowej Joanny, aby Innocentego przebłagać.

Nietylko Ludwik węgierski gniewał się, że mu się Marja wymknęła, ale bardziej jeszcze sierdził się Ludwik di Durazzo, ponieważ wskutek tego małżeństwa tracił nadzieję, aby kiedykolwiek tron neapolitański przeszedł na dom książąt Durazzo. Chcąc jednak poprzeć prawa dzieci, urodzonych z Marji i swego brata Karola, żądał, aby mu królowa oddała nad niemi opiekę. Joanna jednak, nie lubiąc Ludwika, odmówiła jego żądaniu, wskutek czego rozgniewany i rozżalony książę chwycił za broń, wynajął dwie kompanje wenturjerów i niszczył Apulję.

Królowa błagała cesarza Karola IV o pomoc, której jednak nie otrzymała, więc wysłała Mikołaja Acciaiuoli, aby wynajął także zbrojnych awanturników i bronił kraju. Sam król nie był już w stanie opierać się nieprzyjacielowi, gdyż do najwyższego stopnia fizycznie wyniszczony, chorowity, musiał pozostać w Neapolu. Mimo osłabionego zdrowia, napół warjat, przepędzał całe dnie na tańcach, pijatykach, a zazdrosny o żonę, wpadał często w szał, tak, że go dworzanie siłą uspokajać musieli. Utrzymywał, że królowa otwiera w nocy sypialnię dla swych ulubieńców i raz nawet rzuciwszy się na nią, chciał ją przebić puginałem i tylko obecni zdołali ją obronić. Doszło do tego, że Robert i Filip, książęta Tarentu, wprowadzili swoich zbrojnych do zamku, rozpędzili dworzan, którzy pomagali królowi w jego rozpustach i kazali go pilnować, jak więźnia. Ludność nie wiedziała właściwie, do którego z królewskich małżonków zwrócić swe sympatje, bo jeżeli Ludwik był winny niezgód domowych, to i przeciwko królowej można było podnieść niemało zarzutów. Przypadek jednak odwrócił sympatje zabobonnych neapolitańczyków stanowczo od króla. Zdarzyło się, że podczas nabożeństwa w królewskiej kaplicy piorun uderzył tuż koło głowy Joanny, a pomimo to kró-

lowa wyszła z kościoła bez szwanku, co oczywiście uważano za znak, że monarchini niewinna.

Korzystając może z tego wypadku, papież upomniał przez swego legata królestwo, aby nie dawali ludowi zgorszenia i żyli w zgodzie. Pozorna ta harmonja rzeczywiście nastała, ale już za późno, bo król zapadał coraz bardziej na zdrowiu i nie miał już sił do burzliwych scen małżeńskich.

Bunty w Apulji udało się tymczasem królowej stłumić. Pipino wpadł w ręce księcia Tarentu, który go kazał powiesić; inni burzyciele zostali pokonani, tak dalece, że przeciwnikiem królewskim był już tylko Ludwik di Durazzo. Ale i tego zdołała królowa schwytać i uwięzić w Castello dell'Ovo.

Zdawało się teraz, że w Neapolu zapanuje długoletni pokój i że państwo odetchnie po klęskach i dynastycznych rewolucjach. Król Ludwik jednak śmiertelnie zachorował i umarł w maju 1362.

Owdowiawszy po raz wtóry, miała Joanna dopiero trzydzieści sześć lat i jeszcze była w pełnym rozkwicie swej piękności. Mówiono o niej, że pierwszego męża zamordowała z nienawiści, a drugiego wtrąciła do grobu zanadto namiętną miłością.

VII

Zaraz po śmierci Ludwika przeniosła się Joanna na mieszkanie do gmachu, przytykającego do S. Pietro di Castello, tam się zamknęła i obwarowała z obawy, że Robert i Filip, książęta Tarentu, bracia zmarłego króla, zechcą się nią zanadto despotycznie opiekować. Ci nawzajem podejrzywali, że królowa odsuwając się od nich, ma zamiar uwolnić Ludwika di Durazzo z więzienia i oddać mu swoją rękę. Książęta więc Tarentu zażądali od Joanny, aby zaręczyła im na piśmie, że za Ludwika nie wyjdzie. Królowa nie wystawiła tego upokarzającego aktu, a bracia Tarentu, idąc za tradycjami rodu andegaweńskiego, uwolnili się w inny sposób od niebezpiecznego krewnego: otruli go cieczą w klistyrze, bez której wówczas nikt się obejść nie potrafił.

Królowa tak smutne już doświadczenia przeszła z bliskimi krewnymi, że postanowiła nie oddawać swej ręki żadnemu pre-

tendentowi z rodu andegaweńskiego. To też gdy Urban V chciał ją nakłonić, aby wyszła zamąż za Filipa, syna króla francuskiego, kazała odpowiedzieć papieżowi, że raczej da się zamknąć w pustelni, aniżeliby miała pojąć księcia tej samej krwi, co ona. Postanowiła wyszukać męża po swojej myśli. Za nadzwyczaj pięknego mężczyznę i dzielnego rycerza uchodził na całym zachodzie Europy Giacomo d'Aragona, którego wuj, Pietro Okrutny (Crudele) d'Aragona, pozbawił tronu i dziedzicznych posiadłości, wyspy Majorki i hrabstw Rossiglione i Cereto w Pirenejach. Giacomo walczył przeciw zachłannemu kuzynowi, ale los mu nie sprzyjał: Pietro zdołał go uwięzić i umieścić w Barcelonie, w żelaznej klatce, aby mu nie uciekł. Po trzynastu latach pobytu w tak strasznem więzieniu zdołał się Giacomo przecież uwolnić i uratować ucieczką. Joanna, wzruszona jego losami, zapragnęła oddać mu rękę, pomimo, że nie miał ani piędzi ziemi.

Z otwartem sercem i wielkiemi nadziejami przybył Giacomo do Neapolu, a Joanna, znawczyni zalet męskich, poprowadziła go do ołtarza. Ale ofiarowała mu tylko tytuł księcia Kalabrji. Giacomo był jednak człowiekiem ambitnym, nie zadawalał się tytułem, chciał mieć władzę i być obok Joanny ukoronowanym królem Neapolu. Ale Joanna nie przystała na żądanie Giacoma. Powstały więc wskutek tego nieporozumienia. Giacomo skorzystał z pierwszej sposobności, aby po sześciu miesiącach pożycia z Joanną wrócić do Hiszpanji i walczyć dalej przeciw królowi aragońskiemu.

Nieszczęście jednak chciało, że wpadł znowu w kleszcze Piotra d'Aragona i musiał prosić Joannę, aby się wstawiła do papieża o jego uwolnienie. Królowa rzeczywiście porobiła potrzebne starania, a Pietro obiecał wskutek wdania się papieża uwolnić jeńca za opłatą 40.000 dukatów. Wspaniałomyślna Joanna wykupiła męża, a rozrzewniony papież tą dobrocią dał jej w nagrodę za „cnotliwe życie“ złotą różę, najwyższą odznakę papieskich względów.

Giacomo powrócił do Neapolu, aby wyrazić swą wdzięczność królowej, ale tymczasem Hiszpan, Pietro d'Aragona, mając już dukaty, ponownie urządził wyprawę na podbicie Majorki. Giacomo więc znowu wyjechał z Neapolu, aby przyjść w pomoc ojcu.

Zaledwie jednak stanął na ojczystej ziemi, zachorował na febrę i niebawem umarł, a Joanna została po raz trzeci wdową. Spełniły się zresztą przepowiednie prowansalskiego astrologa, że imię trzeciego jej męża na G się zaczynało. Nie brak kronikarzy, którzy rychłą śmierć Giacoma przypisują truciźnie Joanny. Giacomo pozwolił sobie na niewierność wobec swej małżonki, miał romans z inną kobietą w Neapolu, co tak miało zaboleć starzejącą się już królową, że kazała go utruć.

W tych latach (1364) umarł Robert, książę Tarentu, nie pozostawiwszy potomstwa, a w cztery lata później (1368) Filip di Taranto zakończył życie, drugi małżonek Marji, przyrodniej siostry królowej, a nie mając dzieci, zapisał swe olbrzymie posiadłości Giacomowi del Balzo, księciu na Andrji, synowi swej siostry Margherity. W ten sposób wygasła linja prosta książąt Tarentu, a z licznego potomstwa Karola II d'Anjou pozostało już tylko dwóch mężczyzn: Ludwik, król węgierski, i Karol III z Durazzo.

Królowa zaczęła myśleć o zabezpieczeniu następstwa w swej rodzinie na tronie neapolitańskim i w tej myśli połączyła związkiem małżeńskim swą ulubioną siostrzenicę Margheritę z Karolem III, synem Ludwika di Durazzo, który umarł uwięziony w Castello dell'Ovo. Ale mimo to nie wyrzekła się nadziei, aby sama jeszcze miała potomka. Zaczęło się więc na zamku neapolitańskim wesołe życie; znowu bale, giostry i nadzwyczaj wspaniałe przyjęcia z powodu przejazdu Jana Paleologa, cesarza Wschodu, do Rzymu (1369). Gdy w r. 1372 przybyła tam w mistycyźmie pogrążona pokutnica szwedzka Brygitta, powracając z Ziemi Świętej, zdawało się jej, że się znalazła w mieście, w którem panuje szatan. Nie miała wprawdzie zamiaru jechać do Neapolu, wysiadła tylko z okrętu w Amalfi, aby zwiedzić grób apostoła Andrzeja; ale tam miała objawienie, że się ma udać do stolicy, ponieważ w niej ludzie toną w rozpuście, a niebo ich karze morową zarazą. Gdy przybyła do Neapolu, sława jej świętości była tak wielka, że ludność oblegała mieszkanie pokutnicy, prosząc, aby w niebie ubłagała Wszechmocnego i wszystkich świętych o odwrócenie strasznego pomoru. Wtedy zgromadziła Brygitta arcybiskupa, trzech teologów, dwóch prawników i kilku rycerzy, oświadczając im, że panująca w społeczeństwie pycha,



pragnienie bogactw, zwierzęca rozpusta, sprowadziły ciężką karę na Neapol. A niemało przyczynił się do niej brzydki u kobiet zwyczaj malowania twarzy i nieprzyzwoite stroje, które sama królowa zaprowadza. Miała wyraźny sen, „w którym widziała królową, odzianą tylko przejrzystą koszulą i słyszała donośny głos mówiący: „Oto małpa, cuchnąca brzydkiemi odorami, z trucizną w sercu"; poczem ukazała się jej Joanna zupełnie obnażona, ukoronowana brudnemi wstążkami, i niewidzialny głos wskazał na nią: „Oto kobieta pełna pychy, pani świata dla ludzi, stwór obrzydliwy dla Boga". Wreszcie zobaczyła królową rozpartą na złocistym tronie, a obok niej stało dwóch czarnych jak djabły murzynów z Etjopji, którzy pokornie do niej mówili: „O, kobieto lwico, przynosimy ci w darze krew i bicz; smagaj nim i rozlewaj czerwoną posokę; przynosimy ci także naczynie pełne ognia: bierz, bo wiemy, że żar płonie w twojem sercu!"

Mimo tak obelżywych dla królowej opowieści wyjechała Brygitta z Neapolu, obdarzona różnemi bogactwami; ale modły jej nie odniosły pożądanego skutku, bo zaraza szalała bardziej w mieście, aniżeli dotąd, a lud spodziewał się jeszcze czegoś gorszego, bo na niebie ukazała się kometa z długim, migotliwym ogonem.

W Neapolu mówiono, że szczególny gniew Brygitty na Joannę stąd pochodził, iż syn szwedzkiej marzycielki miał stosunek miłosny z królową; cokolwiek bądź, zdaje się, że pokutnica trochę przesadzała swoje niekorzystne wrażenia z Neapolu, ponieważ bardzo poważni kronikarze uważali właśnie owe lata trzeciego wdowieństwa Joanny za najrozumniejsze jej rządy, czemu się dziwić zresztą nie można, bo królowa nabrała już doświadczenia i musiała rozważniej i spokojniej patrzeć na stosunki w swem państwie, aniżeli pierwej. To też mówiono o niej, że od czasów królowej Saby nie było na żadnym tronie tak mądrej kobiety, jak Joanna, a niektórzy nazywali ją „najświętszą królową, zaszczytem i światłem Italji".

Ale na Joannę nadeszły jeszcze twarde czasy. Jeden z najpotężniejszych baronów, Francesco del Balzo, duca d'Andria, najechał pod błahemi pozorami posiadłości rodu Sanseverinów, a gdy królowa ujęła się za tym potężnym rodem, wydając su-

rowy wyrok na Franceska, pozbawiający go wszystkich dóbr i godności, Balzo zebrał 12.000 zaciężnych, pustoszył ziemię di Lavoro i zagrażał stolicy. Wskutek wdania się jego stryja, starego Rajmonda del Balzo, cofnął się wprawdzie do Apulji, ale mimo to zaciągał jeszcze więcej venturierów pod swój sztandar. Królowa przekupiła jednak sumą 60.000 florenów to awanturnicze wojsko i Francesco musiał się poddać.

Zagrażało jednak Joannie jeszcze większe niebezpieczeństwo. Karol III di Durazzo, mąż Margherity, który, jakeśmy wspomnieli, bawił na dworze króla węgierskiego, nie poczuwał się bynajmniej do obowiązku dopomóc królowej w jej ciężkich zatargach z Franceskiem del Balzo i nadal pozostawał na Węgrzech. Joanna słusznie podejrzywała, że król węgierski i Karol di Durazzo knują jakiś spisek przeciwko niej, że Ludwik węgierski chce ją pozbawić tronu i przygotowuje nową wyprawę na Neapol.

Sama już może nie czuła się na siłach, aby państwo i tron obronić przeciw nowemu najazdowi; zwróciła się więc do papieża Grzegorza XI z prośbą o radę, któremu z rycerskich książąt mogłaby oddać rękę, aby z jego pomocą stawić czoło nieprzyjaciołom. Joanna miała wtedy lat czterdzieści dziewięć, ale wyglądała, jak twierdzą kronikarze, jeszcze świeżo i czerstwo, a nawet wierzyła w to, że może mieć potomka.

Papież chętnie został pośrednikiem w tej małżeńsko-politycznej sprawie i wybrał królowej jako towarzysza księcia Ottona z Brunszwiku, dzielnego rycerza, który z potrzeby, bo nie miał majątku, wojował na usługach papieża w Lombardji. Otton był silnym mężczyzną, bardzo odważnym, szlachetnym, o genjalnym wyrazie twarzy i cieszył się wielką sympatją u swego wojska. Joanna była zadowolona z wyboru, a chcąc niejako pokryć przed neapolitańskimi baronami ubóstwo tego cudzoziemca, postanowiła sprowadzić go do swej stolicy z największemi honorami. Wysłała naprzeciw niego do Ferrary poselstwo, składające się z najznakomitszej neapolitańskiej szlachty, na którego czele stał Robert Orsini, kazała zamek odnowić i poczynić przygotowania do wspaniałego wesela.

W dzień Zwiastowania 1376 przybył Otton do Neapolu, przyjmowany napozór z wielką pompą, ale jak się zdaje, ani

Joanna ani większość baronów nie była zadowolona z tego wyboru. Baronowie obawiali się, że nowy małżonek królowej zacznie sprowadzać cudzoziemców i rozdawać pomiędzy nich najkorzystniejsze urzędy. Joanna zaś uważała Ottona raczej za kondotjera, przyjętego do służby królestwa, aniżeli za męża, wybranego z jakiejkolwiek sympatji. Prawdziwe jej afekty zwracały się w tym czasie do Roberta d'Artois, syna hrabiego d'Eu, za którego niedawno wydała swoją siostrzenicę, Giovannę di Durazzo, wcześnie owdowiałą. O wpływ Roberta na królową zaczynał być zazdrosnym Karol III di Durazzo, obawiając się, że w tym ulubieńcu Joanny będzie miał współzawodnika do tronu neapolitańskiego.

Zaledwie te rozmaite obawy i zazdrości przycichły, umarł w Rzymie w marcu 1378 papież Grzegorz XI, który przeniósł siedzibę papiestwa z Avignonu zpowrotem do wiecznego miasta. Konklawe, zebrane celem wyboru nowego papieża, składało się z siedemnastu kardynałów, z których tylko czterech było narodowości włoskiej, reszta cudzoziemcy. W Rzymie obawiano się, że papieżem zostanie cudzoziemiec; lud, zebrany przed katedrą św. Piotra, wołał: „Romano lo volemo! Italiano lo volemo!" i groził, że pomorduje wszystkich kardynałów, jeżeli wybiorą cudzoziemca. Wskutek tej groźby wybrano papieżem Bartłomieja Prignano, arcybiskupa z Bari, rodem z Itri koło Fondi, a więc prawie Neapolitańczyka. Papież przyjął nazwę Urbana VI, a w Neapolu zapanowała wielka radość, spodziewano się bowiem, że będzie przychylny dla swego rodzinnego kraju. Iluminowano też Neapol z powodu tej nowiny, a Joanna wysłała do Rzymu poselstwo, aby złożyć życzenia Urbanowi, a zarazem wręczyć mu jako dar od królowej 40.000 dukatów częścią w złocie, częścią w srebrze. Wbrew wszelkim oczekiwaniom Urban VI okazał się jednak nieprzyjacielem Joanny, a z natury pyszny, mściwy, w niezgodzie żyjący z kardynałami, stał się powodem wielkich nieszczęść dla kościoła, siedmdziesiąt lat trwającej schizmy.

Już we dwa miesiące po wyborze papieża przybył do Neapolu kardynał Orsini, brat hrabiego di Nola, aby oświecić królową, w jaki sposób Urban został wybrany i uwiadomić ją, że wybór ten jest nieważny, że Prignano jest intruzem „truffatore

del papato" i że wkrótce kardynałowie zgromadzą się celem wyboru nowego papieża, a nie chcąc Włochów urazić, nie będą głosować na cudzoziemca. Orsini prosił królową, aby jego popierała, jako zawsze szczerze oddanego domowi andegaweńskiemu. Joanna dała kardynałowi wymijającą odpowiedź, oczekując dalszych wypadków.

Tymczasem umarł Fryderyk d'Aragona, król Sycylji, pozostawiając dziedziczką tronu jedyną swą córkę, Marję. Joanna sądziła, że teraz nadeszła chwila, aby posiąść wyspę i wysłała Ottona do Rzymu, aby prosił papieża w jej i swojem imieniu o inwestyturę na opróżniony tron. Papież przyjął go jednak bardzo zimno, a nawet niegrzecznie. Gdy podczas obiadu u papieża książę brunszwicki według dawnego zwyczaju, jako najznakomitszy gość, podawał Urbanowi VI klęcząco kielich z winem, papież odwrócił się i zaczął rozmawiać z duchownymi, co trwało tak długo, że jeden z prałatów zwrócił uwagę Ojca świętego, że może już czas, aby wziął kielich z rąk księcia. Otton tak się obraził tem postępowaniem papieża, że zaraz wyjechał z Rzymu, nie czekając skutku swego posłannictwa. Doszło także do wiadomości Joanny, że papież wyraził się, iż ją jeszcze zmusi, aby się zamknęła w klasztorze św. Klary. Co więcej, papież zachęcał Karola III di Durazzo, aby urządził wyprawę wojenną na Neapol, a otrzyma inwestyturę na ten tron andegaweński. Karol III narazie się wymówił, ale królowa dowiedziała się o wrogich zabiegach papieża i ze zwolenniczki Urbana VI stała się jego zawziętą nieprzyjaciółką. Związała się zatem ze stronnictwem przeciwnem papieżowi, na którego czele stanął Onorato Gaetani, hrabia na Fondi, były wikarjusz papieża we Włoszech za czasów, kiedy stolica apostolska znajdowała się jeszcze w Avignonie. Gaetani ofiarował kardynałom przeciwnym Urbanowi VI swój zamek Fondi, aby tam się odbyło nowe conclave. Niebawem zgromadziło się w Fondi jedenastu kardynałów, którzy wybrali 12 września 1378 Roberta arcybiskupa, Niemca, który przybrał imię Klemensa VII. Podczas wyboru było przytomnych kilku dygnitarzy królowej Joanny, tudzież Robert d'Artois, który się niedawno ożenił z wdową Giovanną di Durazzo.

Urban VI pozbawił natychmiast godności tych kardynałów, którzy się znaleźli w Fondi, nazywając ich heretykami,

schizmatykami i nadał purpurę znakomitym osobistościom, urodzonym na ziemiach neapolitańskich, aby sobie zyskać zawziętych przeciwników królowej Joanny. Papież rzucił klątwę na Joannę i orzekł, że ją pozbawia tronu, a królowa nawzajem nakazała, aby żaden z jej poddanych nie był posłuszny Prignanowi, „który zachorował na manję wielkości“.

Tymczasem obydwaj papieże zbierali zaciężnych, aby rozstrzygnąć spór orężem; Urban zgromadził, ile mógł, Włochów i Niemców, antipapy mieli bronić Gaskończycy. Ale w kwietniu 1379 bandy włoskie zwyciężyły Francuzów pod Marino, wskutek czego Klemens VII i jego kardynałowie nie czuli się bezpiecznymi w Fondi i opuścili tę chwilową papieską stolicę. Klemens VII udał się na Gaetę do Neapolu, gdzie Joanna przyjęła go z wielkiemi honorami i zaprosiła na mieszkanie do Castel dell'Ovo. Aby tem większe u ludu wzbudzić uszanowanie dla antipapy, urządziła królowa ceremonję ucałowania nóg Klemensowi, w której pierwsza wzięła udział, a za nią Otton, Robert d'Artois, Agnieszka i Małgorzata.

Ale po ulicach szemrano, że to papież karnawałowy, a te szemrania stały się niebawem groźbami. Jakiś krawiec, nazwany Brigante, zebrał około siebie gromady ludu, które krzyczały „Viva papa Urbano!“, zaczęły rabować domy cudzoziemców i wszystkie klasztory, w których zamieszkali stronnicy antipapy, a wreszcie udały się pod Castel dell'Ovo, złorzecząc Klemensowi, a nawet grożąc mu śmiercią i królowej, która popierała schizmatyka. Antipapa się przestraszył i trzeciego dnia po tej demonstracji odpłynął do południowej Francji do Avignonu.

Dowiedziawszy się o wzburzeniu ludu neapolitańskiego przeciw królowej, uważał Carlo III di Durazzo chwilę za stosowną, aby korzystać z usposobienia Urbana i pokusić się o koronę neapolitańską. Jego małżonka, Margheritta di Durazzo, bawiąca w Neapolu, miała wiadomość o tych zamiarach, a chcąc się wcześnie usunąć z pod władzy królowej, prosiła ją o pozwolenie udania się do Rzymu, a następnie do Friulu, celem odwiedzenia męża, który tam wojował przeciw Wenecjanom na czele armji węgierskiej. Królowa zezwoliła na wyjazd Margherity, a wtedy Carlo III, upewniwszy się, że jego żona nie będzie zakładnikiem u Joanny, zawarł pokój z Wenecjanami i w poro-



Król Robert I
(Według ryciny w bibljotece b. ces. fideikomisu w Wiedniu)

zumieniu z królem Ludwikiem udał się do Rzymu, aby organizować wyprawę na podbicie Neapolu. Bankierzy florenccy pożyczyli mu 40.000 w złocie, a Urban przyjął Carla z królewskiemi honorami i zaraz w czerwcu 1380 koronował go na króla neapolitańskiego w obecności wielu rzymskich i neapolitańskich baronów.

Nowy król zobowiązał się osobnym dyplomem oddać nepotowi papieskiemu, Buttillowi Prignano, księstwo Kapuy, a papież przydzielił mu jako doradców Alberika da Barbiano i kardynała di Sangro, legata apostolskiego.

Na wiadomość o tej inwestyturze papieskiej adoptowała Joanna Ludwika d'Anjou, brata króla Francji i mianowała go swoim następcą na tronie Neapolu.

VIII

Wszystko to było za późno; zanim posiłki dla królowej wybrały się z Francji, Karol III ze swem wojskiem stał już przed bramami Neapolu. Otton brunszwicki szedł wprawdzie na odsiecz królowej, ale miał tak szczupłe siły, że nie mógł się zmierzyć z Karolem. Zresztą ludność neapolitańska, dowiedziawszy się, że królowa wyznaczyła swym następcą księcia francuskiego, zupełnie się od niej odsunęła, obawiając się ponownego napływu cudzoziemców. Wolała podlegać Durazzom.

Joanna kazała zamknąć bramy Neapolu, aby wojsko Karola III nie mogło wejść do miasta; ale znalazło się kilku zdrajców, którzy zeskoczyli z murów i dali znać oblęgającym, że mogą łatwo dostać się do środka stolicy bramą della Concordia, gdzie stoi zaledwie kilku żołnierzy Joanny. Durazzo więc prawie bez rozlewu krwi opanował miasto, podczas gdy królowa z niewielu swymi stronnikami zamknęła się w Castel-Nuovo; Giovanna Durazzo pozostała przy niej.

Carlo III nie czekał na zdobycie zamku, ale kazał ludności złożyć poddańczą przysięgę w Santa Chiara, a wiedząc, że Giovanna Durazzo przechowywała swe kosztowności w klasztorze Sta Croce, zabrał je jako zdobycz wojenną.

Zamknięta w zamku królowa Joanna łudziła się jakiś czas, że mąż ją uwolnić potrafi i że nadejdą posiłki z Prowancji; gdy

jednak widziała, że niema nadziei szybkiej pomocy, wysłała 20 sierpnia 1381 wielkiego protonotarjusza z prośbą o zawieszenie broni; skłonił ją tego głównie brak żywności w zamku. Giovanna di Durazzo przyszła w tych ciężkich dniach do królowej, ofiarując jej kasę, napełnioną złotemi florenami. Ale Joanna z goryczą odpowiedziała, że wtedy, kiedy prosiła o pieniądze, nikt jej nie chciał pożyczyć potrzebnej sumy; teraz potrzebuje chleba, złoto na nic jej się nie przyda.

Carlo przystał na pięciodniowy rozejm ze względu, że Joanna jest jego ciotką; jeżeli jednak w tym terminie ani Otto ani kto inny nie przyjdzie jej w pomoc, będzie się musiała poddać. Wiedział dobrze, że przez te pięć dni królowa nie może się spodziewać odsieczy.

Po zawarciu zawieszenia broni przysłał Carlo królowej potrzebną ilość najwykwintniejszego pożywienia na pięć dni, kurcząt, mięsiwa, owoców i wina, myśląc, że Joanna się podda. Ale królowa cichaczem wysłała kogoś zaufanego do księcia Ottona, który zbierał wojsko w Aversie, aby natychmiast spieszył jej na pomoc, gdyż 25 sierpnia będzie się musiała poddać nieprzyjacielowi.

W nocy ostatniego dnia rozejmu zobaczono z wieży zamkowej Ottona z Robertem d'Artois, mężem Giovanny Durazzo, nadchodzących z oddziałem wojska drogą Piedigrotta. Ale i Carlo czuwał; wyszedł ze swojem rycerstwem naprzeciw nieprzyjaciela, rozpoczęła się bitwa pod Pizzofalcone. Powstała jednak burza i tak silny wiatr rzucał wojsku Ottona całe chmury piasku w oczy, że zaciężni nie chcieli iść naprzód. Wtedy nieustraszony Otto spiął konia i całą siłą puścił się ku Karolowi, chcąc go swym mieczem powalić. Ale liczni rycerze nowego króla otoczyli szybko Ottona i wzięli go do niewoli.

Sprawa Joanny była stracona; królowa poddała się zwycięzcy, który wszedłszy do zamku, długo z nią rozmawiał. Co ci przeciwnicy postanowili, niewiadomo; ale na znak, że nowy panujący objął Castello, wywieszono zaraz na wieży sztandar Durazzów.

Joanna pozostała narazie w Castel-Nuovo, ale drugiego września kazał ją zwycięzca odprowadzić do Castello dell'Ovo, zabrawszy jej skarb i klejnoty, gdyż spostrzeżono prowansal-

skie galery z wojskiem francuskiem, którego królowa dawno oczekiwała. Pomoc przybyła za późno.

Prowansalskie okręty wróciły do Francji; gdy jednak Carlo się dowiedział, że Ludwik d'Anjou zbroi się nagwałt, aby Joannie tron przywrócić, kazał ją przewieźć do Castello di Muro i tam poduszkami zadusić.

Niektórzy kronikarze opowiadają, że Carlo wysłał swoich zaufanych do Ludwika węgierskiego z zapytaniem, jak ma postąpić z uwięzioną Joanną; król miał rozkazać, aby zginęła w ten sam sposób, jak zginął jego brat Andrzej. Zawieziono więc Joannę do San Pietro a Maiella, uduszono i ciało wyrzucono z balkonu do ogrodu. Dwóch baronów węgierskich miało być świadkami tej strasznej egzekucji, aby królowi Ludwikowi zdać sprawę.

Działo się to 22 maja 1382.

Joanna dożyła pięćdziesięciu pięciu lat, a około trzydziestu lat była królową. Syn jej Karobert, którego miała z Andrzejem, umarł pierwej; nie żyły też już dwie córeczki z małżeństwa z Ludwikiem di Taranto.

Dla „przyzwoitości" wobec neapolitańskiego ludu przewieziono ciało Joanny do Neapolu, do kościoła Sta Chiara i wystawiono trumnę na katafalku; ale zakonnicy i księża, pomimo, że im dużo dobrego robiła, obawiając się narazić nowemu panującemu, uciekli z kościoła i tylko hrabiowie di Nola i di Montalto, tudzież kilku florentczyków zaniosło trumnę na swych barkach do podziemia. Ponieważ zmarła była przez papieża wyklęta, więc zapomniano nawet, gdzie ją pochowano. Piękny grobowiec w kościele św. Klary, pomiędzy pomnikiem Karola „Illustre" i drzwiami do zakrystji, dłuta słynnego sieneńskiego rzeźbiarza Tina di Camaino, uważano do ostatnich czasów za sarkofag, w którym spoczęły popioły Joanny; według nowszych badań przypuszczenie to nie miało najmniejszej podstawy, a prawdopodobnie kryje to dzieło sieneńskiej rzeźby szczątki Marji de Valois, drugiej żony Karola „Illustre". Pomnik ten był ostatniem dziełem Tina, gdyż artysta umarł 1336 r., a umówioną kwotę za ową pracę wypłacono jego wdowie 7 czerwca 1337 r.

Zaraz po śmierci Joanny kazał Carlo uwolnić Ottona brunszwickiego z więzienia w Altamura pod warunkiem, że opuści

królestwo neapolitańskie. Otto przyjął ten warunek i udał się na dwór Ludwika d'Anjou do Francji.

Chcąc o Joannie wydać sąd, zbliżający się do prawdy, trzeba więcej może, jak wobec innych historycznych osobistości, zwracać uwagę na ówczesne wyobrażenia etyczne i na charakter południowych ludów. Stoimy wobec sprzeczności. Boccaccio pisał, że Joanna była dumą Włoch, taka pełna gracji, taka uprzejma i prostoduszna, że zdawała się raczej towarzyszką, aniżeli królową. Jeden zaś z nowszych pisarzy, Dalbona, opowiada legendę pod tytułem *Maria Stella ovvero il palazzo della Regina Giovanna*, że królowa zakochała się w jakimś pospolitym marynarzu, a zaspokoiwszy z nim swoje namiętności, kazała go wtrącić do lochów „di misterioso palazzo" pod Posilipem, pałacu, którego groźna ruina dzisiaj jeszcze wzbudza pewną zabobonną obawę u neapolitańskiego ludu.

Zbrodnie, pochodzące z miłości i zemsty, były do pewnego stopnia sympatycznemi dla południowych narodów i opinja prawie zawsze je uniewinniała. Jeżeli więc Joanna nie kochała swego narzuconego męża Andrzeja i milcząco pozwoliła go zamordować, to fakt ten bynajmniej nie odwrócił od niej powszechnego uwielbienia. Wszak była piękna, namiętna, „pełna gracji", umiała sobie ludzi ujmować i miała w obejściu ową prostotę, jaka dotąd charakteryzuje panie wysokich rodów włoskich. Zresztą racja stanu, konieczność utrzymania władzy i aureoli panujących była wówczas tak głęboko wkorzeniona w królewskie rody, że każda, choćby najstraszniejsza zbrodnia znalazła w tych zasadach swe usprawiedliwienie.

Joanna nie odebrała właściwie wychowania, już nie powiem, odpowiedniego dziecku królewskiego domu, ale godnego córki prostej, rycerskiej rodziny. Starej babki Sancji nie lubiła, bo ta kazała jej tylko modlić się i chodzić do kościoła, nie mając zrozumienia dla młodej dziewczyny, którą ponosiła żywość usposobienia i wrodzona wesołość. Prosta zaś ochmistrzyni pracowała w przeciwnym kierunku, schlebiała namiętnościom wychowanki, podżegała jej złe skłonności, aby wyzyskać przyszłą królową, dorobić się wielkiego majątku i zawładnąć nią zupełnie na korzyść swoją i swoich dzieci.

Takie wpływy mogły spaczyć najlepsze skłonności dziewczyny, przeznaczonej do noszenia korony. To też Joanna wyszła z takiego otoczenia prawie bezbronna wobec złych wpływów i pochlebstw dworactwa. A że później umiała sobie radzić w życiu i nawet, jak świadczą współcześni, była jak na ówczesne stosunki zresztą i dobrą panującą, to zawdzięczać mogła tylko doświadczeniu i poznaniu ludzi z ich zalet i wad. Przedewszystkiem wyrobiła sobie zczasem własną wolę w rzeczach tyczących się państwa, nie dawała się nawet opanować swoim ulubieńcom, których zresztą było pokolei za wielu, aby nie miała poznać wad swoich „ukochanych". Opowiadają, że książę Filip z Tarentu, jeden z jej kochanków, był w wielkiej potrzebie pieniężnej i prosił ją, aby mu dała pięćset uncyj złota. Królowa udała, że nie słyszy, czego żąda Filip; kochanek więc nie śmiał więcej nalegać, ale po niejakim czasie wymyślił inną prośbę. Przedstawił królowej, że mogłaby go obdarzyć miastem Troia, które przynosiło dość znaczne dochody. Królowa jednak stanowczo odmówiła, oświadczając, że te dobra przeznaczył jeszcze król Robert dla klasztoru św. Klary w Neapolu, że zatem wolę swego dziada musi uszanować. Tego rodzaju fakty świadczą, że nie była bezbronna wobec swoich ulubieńców, a najlepszym dowodem, że zachowywała swą wolę, iż ich często zmieniała. Przekonała się w młodych już latach, jaka to rzecz niebezpieczna folgować samym tylko instynktom namiętności. W drugiej połowie życia miała dość siły, aby zostać tylko królową. Tem się tłumaczy, że pozostawiła po sobie pamięć najlepszej panującej z domu andegaweńskiego i że historja i tradycja tak się nią zajmowały.

IX

Objęcie tronu neapolitańskiego chciał Carlo III upamiętnić wielkiemi festynami. Pomiędzy innemi urządzono wspaniały pochód po ulicach miasta, na którego czele jechała Margherita z małemi dziećmi, Władysławem i Joanną. Ale te uroczystości nie nosiły już tej cechy wesela, co festyny, urządzane za Roberta i Joanny I. Za wiele zbrodni ciążyło nad domem andegaweńskim.

Zresztą tron Karola nie spoczywał na zbyt trwałych podstawach. Król musiał walczyć z Ludwikiem d'Anjou i bronić się przed chciwością Urbana VI, który żądał, aby Carlo oddał jego nepotowi Franciszkowi nietylko Fondi, ale także Kapuę, Kasertę, a nawet Amalfi i Sorrento. Powstały spory i gniewy pomiędzy królem a despotycznym papieżem. Carlo i papież zjechali się w Aversa, by się ostatecznie ułożyć; ale Urban VI tak obelżywie występował wobec króla, że Carlo kazał chwycić rozgniewanego papieża, porwać go pod ramiona i zamknąć w komnacie zamkowej. Pod kluczem Urban się trochę uspokoił, pomiędzy dwoma przeciwnikami zapanowała pozorna zgoda; wsiedli obaj na koń i pojechali do Neapolu, aby zakończyć układy. Przed arcybiskupim pałacem chciał papież zsiąść z konia, ale król rozkazującym tonem powiedział mu: „Nie, Ojcze święty, pojedziemy do zamku, czy zechcesz, czy nie". Urban się zaniepokoił, wszak przed dziewięćdziesięciu laty w podobny sposób, tylko o wiele gorszy, zamknięto Celestyna V. Ażeby go nie spotkał los nieszczęśliwego poprzednika, przystał papież na warunki, które mu Karol podyktował i wtedy dopiero pozwolono mu przenieść się na mieszkanie do arcybiskupiego pałacu.

Tymczasem Ludwik d'Anjou najechał Apulję; Karol musiał wybrać się na czele wojska, aby zwalczyć przeciwnika. We wrześniu jednak 1384 umarł Ludwik, francuski najazd spełzł na niczem, wskutek czego Karol uspokojony wrócił do swej stolicy. Ale Urban VI nie myślał dotrzymać neapolitańskich paktów; podczas nieobecności króla przeniósł się do zamku w Nocera, podburzył kardynałów przeciw Karolowi i z pomocą swych zwolenników potrafił uciec z ziem neapolitańskich, rzucając przynajmniej ze sto razy klątwę na króla i orzekając, że stolica apostolska pozbawia go tronu.

Uspokoiwszy przynajmniej pozornie ziemie neapolitańskie, udał się Karol do Węgier, aby zająć tron po zmarłym Ludwiku. Wiadomość o jego koronacji na króla węgierskiego przyjęto w Neapolu radosnemi festynami; Margherita, otoczona gronem pań biało ubranych, przejeżdżała przez główne ulice, aby się przedstawić ludowi, jako królowa węgierska. Potem miała się odbyć wspaniała giostra. Gdy jednak Margherita z dwojgiem dzieci, Joanellą i Władysławem, zasiadła pod baldachimem, aby

się przypatrywać rycerskim zabawom, przybył niespodzianie jeden z dworzan i przyniósł tragiczną wiadomość, że Karol nie żyje. Wdowa po Ludwiku i córka zmarłego, Marja, uważając go za intruza, kazały go zamordować w lutym 1386 na Węgrzech.

Królowa zamknęła się zaraz w Castel-Nuovo i okazała wiele energji, aby uratować tron swemu synowi. Osamotniona, nie lubiana u ludu i u baronów z powodu swego skąpstwa i wielkiej dumy, wyklęta przez papieża, prawie bez przyjaciół, mając przeciw sobie wielu otwartych wrogów, popieranych przez kurję i przez dwór francuski, broniła tronu przez lat dwanaście, aby go zachować dla syna.

Zaraz w r. 1387 rozpoczęła się walka z papieżem i ludem. Urban VI nakłonił związki ludowe w Neapolu, aby żądały od królowej zrzeczenia się opieki nad synem i aby się zadowolniła tylko tytułem królowej, oddając władzę w ręce ludzi, których seggi wyznaczą jako naczelników rządu i opiekunów małoletniego Władysława. Królowa odmówiła temu żądaniu, rozpoczęła otwartą wojnę z papieżem i ludem. Siłą postanowiła zmusić neapolitańczyków do posłuszeństwa; wojsku swemu kazała oblęgać mury buntującego się miasta i rzucić z galer kamienne pociski na miasto. Lud, oburzony postępowaniem królowej, powstał jak jeden mąż; groźna rewolucja zawrzała w najdalszych zakątkach miasta, rabowano pałace szlachty, wyzwolono więźniów, popalono sądowe akta.

W czasie tych zaburzeń połączyli się baronowie, dawni stronnicy Ludwika d'Anjou, z Ottonem z Brunszwiku, aby popierać na tron neapolitański Ludwika II, syna zmarłego Andegaweńczyka i siłą przeprowadzić swe zamiary. Otto stanął na czele licznego zastępu venturierów bretońskich, gaskońskich i niemieckich; jako naczelny wódz Ludwika II i antypapy wylądował w zatoce neapolitańskiej i rozłożył się obozem w pobliżu stolicy. Wielu baronów neapolitańskich połączyło się z Ottonem, tak, że Margherita czując się zagrożoną, wsiadła 13 czerwca 1387 z dziećmi na okręt i popłynęła do Gaety, pozostawiwszy załogi w neapolitańskich zamkach.

Po długich walkach pomiędzy Ottonem a wojskiem Margherity zatknięto sztandary Ludwika II i antypapy na murach Neapolu i tylko Castello dell'Ovo opierał się długo najeźdźcom.

Wkrótce jednak stan rzeczy się zmienił; antypapa Klemens VII umarł, nowy papież Bonifacy IX (1389) wziął w opiekę Władysława, syna Karola III di Durazzo i Margherity. Siły Ludwika II coraz były mniejsze, wojsko go odstępowało; pretendent cofnął się więc do Tarentu, rozpoczął układy z papieżem, aby mu wolno było wrócić do ojczyzny, na co się przeciwnicy zgodzili, i wkońcu odpłynął 1399 r. do Francji.

Margherita wróciła do Neapolu, ale nie zamieszkała już w Castel-Nuovo, gdyż tam miała zanadto smutne wspomnienia. Zresztą większa część zamku została zburzona w rewolucji, a powszechnie wierzono w Neapolu, że tam złe duchy zamieszkały. Królowa więc z dziećmi obrała sobie za rezydencję Castello Capuano. I tam się jej wszakże nie wiodło; zaraza wybuchła w mieście, Margherita wyprowadziła się na Kampanję, oddawszy rządy młodemu królowi. Powodem do opuszczenia Neapolu była i obawa, że syn, któremu się śpieszyło włożyć koronę na głowę, aby nie zależeć od matki, postąpi z nią według tradycji Andegawenów i każe ją udusić. Margherita umarła 1412 r., pochowana w Salerno.

Władysław stał się jednym z najstraszniejszych tyranów; Castel-Nuovo odbudował, a podczas gdy w piętrowych komnatach urządzał orgje rozpusty, wrzucał do lochów zamku swoich prawdziwych albo domniemanych nieprzyjaciół.

Raz kazał zamordować czterech baronów rodu Sanseverino, zakopać ich ciała w rumowiska, skąd je psy wywlokły i pożarły. Innym razem sprowadził wdowę i córki księcia di Sessa pod pozorem wesela swego bastarda; matkę i jedną z córek wtrącił do więzienia, a ładniejszą księżniczkę zatrzymał w zamku jako kochankę.

Miał trzy żony, z których druga, Marja di Lusignano, córka Jakóba, konnetabla Cypru, przybyła do Neapolu (1402) w towarzystwie kilku panien cypryjskich wielkiej piękności. Było to jej nieszczęściem, gdyż niegodziwiec, chcąc mieć więcej swobody wobec uroczych Cypryjek, po dwóch latach pożycia otruł żonę; aby jednak zamaskować zbrodnię, sprawił jej wspaniały pogrzeb i łzy ocierał z żalu.

Rozwiązłe życie doprowadziło go do takiego szału, że umierając, krzyczał na obecnych dworzan, aby mu przyprowadzili

do łoża Paola Orsiniego, którego nienawidził, bo chce go jeszcze zabić własną ręką.

Ponieważ nie pozostawił ślubnych dzieci, pomimo, że trzy razy był żonaty, więc neapolitański tron odziedziczyła jego siostra, Joanna II, urodzona w roku 1371. Miała ona dwóch mężów, z których pierwszy, Wilhelm habsburski, wcześnie umarł, a drugi, Jacques de Bourbon, poślubił ją już jako królową. W czasie swego wdowieństwa prowadziła Joanna nadzwyczaj wesołe życie i nie miała wcale ochoty wychodzić ponownie zamąż. Ale zawiści dwóch jej uprzywilejowanych kochanków, którymi byli wielki szambelan Pandolfo Alopo i słynny kondotjer Attendolo Sforza, sprowadziły na państwo takie niepokoje, że kilku możnych baronów wpłynęło na królową, aby koniecznie wyszukała sobie drugiego męża. Joanna poddała się ich życzeniu, ale zrazu nie chciała na to przystać, aby Bourbon był wyniesiony do godności królewskiej i dopiero przed samym ślubem, który się odbył we wrześniu 1415 r., przyznała mu tytuł królewski.

Bourbon zaczął od tego swe pożycie małżeńskie, że Sforzę wtrącił do więzienia. Alopa kazał ściąć katowi, królową zaś otoczył samymi Francuzami sobie oddanymi i zamknął w Castello. Takie postępowanie przeraziło Włochów; obawiali się cudzoziemskich rządów, wybuchła więc rewolucja. Bourbon musiał przywrócić wolność królowej, Sforza napowrót został konnetablem, a pomiędzy królewskiem małżeństwem zapanowała na chwilę pozorna zgoda. Harmonja jednak trwała niedługo. Joanna z pomocą swych faworytów nawzajem zamknęła męża w wieży, gdzie go dwa lata trzymała. Wreszcie Bourbon, znękany ciągłą walką z żoną, wsiadł cichaczem na okręt genueński, odpływający z portu, uciekł do Francji (1419) i wstąpił do klasztoru franciszkanów, gdzie umarł 1438 r.

Największy wpływ na pięćdziesięcioletnią królową miał odtąd o dziesięć lat młodszy od niej siniscalco, Ser Giovanni Caracciolo, mężczyzna bardzo przystojny, w którym się Joanna zakochała całą miłością starzejącej się kobiety, nie spodziewającej się już łatwych triumfów. Rozpoczęła się odtąd walka o faktyczne panowanie, a nawet o podział królestwa pomiędzy Caracciolem, Sforzą a nawet Bracciem da Montone. Energiczny

papież Marcin V, Colonna, zamierzył w r. 1420 położyć koniec tej anarchji i zamianował następcą tronu Ludwika III d'Anjou, syna Ludwika II, dawniejszego pretendenta do korony neapolitańskiej. Papież polecił Ludwikowi III, aby natychmiast objął panowanie, co tenże uczynił, pozyskawszy sobie kondotjera Sforzę.

Królowa się przeraziła, a chcąc mieć oparcie przeciw Ludwikowi III, adoptowała młodego Alfonsa V, króla Aragonji i mianowała swoim następcą. Alfons posiadał już we Włoszech Sardynję i Sycylję, która po wygaśnięciu sycylijskiej dynastji aragońskiej (1409) została połączona z Aragonją, a gdyby był się jeszcze stał panem Neapolu, byłby najpotężniejszym monarchą we Włoszech. Papież się tego właśnie obawiał, zwłaszcza, że do posiadłości Alfonsa schronił się antypapa Benedykt XIII, którego koncyljum w Konstancji pozbawiło tiary.

Benedykt z kilkoma wiernymi sobie kardynałami rezydował w zamku Penniscola w Hiszpanji, a ile razy Marcin V groził, tyle razy Alfons V wysuwał naprzód swego antypapę. Rozumny Marcin V uważał za rzecz pożyteczniejszą nie popierać więcej Ludwika III na tron neapolitański i pogodzić się z Alfonsem V.

Alfonsowi udało się też niebawem zwyciężyć przeciwnika; królowa oddała mu dwa zamki w Neapolu w posiadanie, ale mimo to nie był pewny łask Joanny, ponieważ Giovanni Caracciolo miał ciągle wielki wpływ na nią i był najpotężniejszą osobistością w państwie. Alfons wiedział, że w Caracciolu ma nieubłaganego przeciwnika; zwabił go więc w zasadzkę i uwięził (25 maja 1423).

Tego ciosu Joanna znieść nie mogła; zerwała więc stosunki z Alfonsem, zamknęła się w kapuańskiem Castello w Neapolu, a wkońcu, mając znowu Sforzę po swojej stronie, odwołała adopcję Alfonsa (1 lipca 1423) i zamianowała swoim następcą Ludwika III d'Anjou. Wielu stronników odstąpiło wskutek tego Alfonsa, główny dowódca sił, Hiszpan, Braccio, został pobity i śmiertelnie ranny, tak, że Alfons musiał ulec, a królowa mogła znowu z Ludwikiem objąć Neapol w swoje posiadanie (21 października 1424).

Królowa się zestarzała, była chorowita, bardzo brzydka, ale mimo to skłonna jeszcze do romansów; młodszy zaś od niej Ca-

racciolo nie miał ochoty do amorów, co gniewało Joannę, czuła się wobec niego upokorzona. Korzystała z tego położenia Covella Ruffo, duchessa di Sessa, daleka krewna królowej, aby się wkraść w jej łaski. Duchessa należała do najstarszej arystokracji neapolitańskiej, była niezmiernie bogata, niesłychanie dumna, nie mogła ścierpieć pychy siniscalca, więc całemi dniami pracowała nad tem, aby go poniżyć w oczach królowej. Caracciolo musiał czuć, że jego panowanie może się skończyć; prosił więc królową, aby mu jeszcze nadała księstwo Salerno i Amalfi. A gdy Joanna odmówiła tej łaski, ośmielony ośmnastoletnim z nią stosunkiem, wpadł w taki gniew i takiemi ją obsypał obelgami, że królowa się rozpłakała. Całej tej scenie przysłuchiwała się za drzwiami księżna di Sessa; weszła niespodziewanie, a gdy zmięszany siniscalco opuścił komnatę, zaczęła przedstawiać królowej, aby dłużej tego człowieka, takiej „wściekłej bestji" nie cierpiała przy sobie, Caracciolo bowiem zczasem gotów ją udusić. Uduszenie było tak czemś zwykłem na owym dworze, że królowa się przestraszyła i postanowiła siniscalca z zamku wydalić. Na to tylko czekała duchessa; porozumiała się z Ottinem Caracciolem, największym nieprzyjacielem siniscalca, jakby tego intruza usunąć. Sposób był łatwy; duchessa wymogła na królowej pozwolenie na uwięzienie Caracciola, a wykonawcy tego rozkazu postarali się, aby z więzienia nie wyszedł żywy. Królowa przyjęła fakt dokonany bez wielkiego żalu.

Dwudziestego czwartego listopada 1434 r. umarł król Ludwik d'Anjou, a nie mając potomstwa, odstąpił swe prawa do tronu neapolitańskiego bratu, René d'Anjou, hrabiemu Prowancji. Wkrótce po nim umarła królowa Joanna II (2 lutego 1435) i poleciła, aby ją pochowano w kościele Annunziata, w Neapolu, bez jakiejkolwiek pompy w skromnym grobowcu.

Była ona ostatnią z rodu Durazzów.

Nie lubiąc króla Alfonsa, sporządziła w ostatnich czasach testament, na mocy którego ustanowiła swoim dziedzicem Renata d'Anjou.

Znów więc stało naprzeciwko siebie dwóch pretendentów: René d'Anjou i Alfons V d'Aragona. Zrazu nie powodziło się Alfonsowi; stronnictwo andegaweńskie było silne, a co najgor-

sza, dwie potęgi włoskie: papież i Filippo Maria z Medjolanu, były mu nieprzyjazne. Filippo Maria wysłał na pokonanie Alfonsa flotę genueńską, która w bitwie koło wyspy Ponza zwyciężyła galery aragońskie (6 sierpnia 1435) ; Alfons wraz ze swym bratem, królem Nawarry, Juanem, dostał się do niewoli. Zdawało się, że René ustali swoje nowe panowanie; wysłał też zaraz z Gaety swą małżonkę Izabellę do Neapolu, aby w jego imieniu objęła tam władzę. Papież dodał jej silny zastęp wojska pod wodzą słynnego okrutnika, kardynała Vitelleschiego.

Tym razem jednak osobiste zalety Alfonsa więcej zaważyły, aniżeli armja strasznego kardynała. Filippo Maria, poznawszy bliżej w Medjolanie Alfonsa, przyszedł do przekonania, że wzmożenie się papiesko-francuskich wpływów w południowych Włoszech mogłoby zagrażać równowadze pomiędzy państwami półwyspu, i zamiast trzymać Hiszpana w niewoli, zawarł z nim zaczepno-odporne przymierze. Poparty przez Filippa Marię, wrócił Alfons do Włoch południowych, zdobył Gaetę i stamtąd przedsiębrał dalsze wyprawy przeciw wojskom Renata i Vitelleschiego. René widział, że widoki jego powodzenia coraz bardziej znikały; zaproponował więc Alfonsowi, aby spór rozstrzygnęli pomiędzy sobą w rycerski sposób i stanęli do pojedynku. Ale Hiszpan zanadto brał rzeczy realnie, aby się wdawać w takie rycerskie fantazje, drwił z Renata i prowadził dalej walkę przeciwko niemu. W r. 1442 zbliżył się do Neapolu, dotarł do Kapuy, gdzie go spotkała niespodzianka. Proboszcz z Capri przybył do niego, ofiarując mu poddanie się tej wyspy. Alfonso z radością przyjął ofiarę, gdyż Capri była dlań wybornym punktem oparcia przy oblęganiu Neapolu. Dla Renata nie było ratunku, Alfons zdobył stolicę drugiego czerwca 1442.

René uciekł na genueńskiej galerze z rodziną; bolało go jednak, że zostawił w Neapolu wiernego sobie kasztelana Antonia Calvo w Castel-Nuovo, któremu był winien dużą sumę pieniędzy. Nie mając środków, aby dług zwrócić, upoważnił Antonia, aby sprzedał Castello Alfonsowi, a otrzymaną kwotę użył na pokrycie swego długu. René był zawsze rycerski. Praktyczny Alfons, nie chcąc tracić ludzi przy oblęganiu fortecy, przystał na targ i zapłacił Antoniowi żądaną kwotę.

René powrócił do Francji, a z tą ucieczką skończyło się panowanie Andegawenów w Neapolu, które począwszy od Karola I d'Anjou, aż do ustąpienia Renata trwało sto sześćdziesiąt siedm lat.

Ale Andegaweni nie zapomnieli o swych prawach do tronu neapolitańskiego i przez długie czasy burzyli jeszcze swych stronników przeciw hiszpańskiej dynastji.

ROZDZIAŁ CZWARTY

MŁODOŚĆ BOCCACCIA

I

W czternastym wieku istniała w Paryżu liczna kolonja Włochów finansistów, wekslarzy i kupców, których zwano Lombardami, pomimo, że większość ich pochodziła z Florencji, z Pizy i z innych miast północnych i środkowych Włoch. Znani oni byli z „nieczystych“ interesów, z wyzyskiwania ludności, a sam Boccaccio opowiada, że w Dijon nazywano ich lombardzkiemi psami, „Lombardi cani“.

Pomiędzy paryskimi Lombardami zajmowali około roku 1313 dość wybitne stanowisko bracia Boccaccino i Vanni di Chelino, ajenci czy urzędnicy florenckiego domu bankowego Bardich, mającego swą filję w stolicy Francji. Nas zajmuje tylko Boccaccino, ojciec słynnego pisarza, Giovanniego Boccaccia.

Ten Boccaccino niewiele się musiał różnić od większości włoskich finansistów, albowiem niezbyt pochlebne pozostawił po sobie wspomnienie. Był on rodem z Certaldo, miasteczka toskańskiego, leżącego na jednym z nagich pagórków nad rzeczką Elsą i pochodził z familji rolników. W Certaldo nie widział przed sobą przyszłości, więc wraz z bratem Vannim wcześnie przeniósł się do Florencji, gdzie z początku był ajentem jakiegoś małego towarzystwa wekslarskiego, a odznaczywszy się zręcznością w interesach, dostał się do wielkiego domu bankowego Bardich. Bank ten wysyłał go kilkakrotnie do Neapolu i do Paryża, gdzie go znajdujemy w r. 1313.

Boccaccino, zręczny i przystojny, nie próżnował w stolicy Francji, ale obok pieniężnych interesów zajmował się także

sprawami serca. A mianowicie poznał pannę, mieszkającą na tem samem, co on, piętrze paryżankę, o ile można przypuszczać, z wyższego, ale ubogiego mieszczaństwa; bałamucił ją, obiecywał się z nią ożenić, a gdy została matką, wrócił do Florencji, pozostawiwszy synka na jej opiece. Zdaje się, że paryżance na imię było Jeanne, a syn, żyjąc później w arystokratycznem towarzystwie neapolitańskiem, dał jej piękne nazwisko rodzinne de la Roche, aby potrochu uświetnić swoje nielegalne pochodzenie.

Ze zmartwienia, czy biedy, Jeanneta niebawem umarła; koledzy Włosi zajęli się dzieckiem i przywieźli je do Florencji. Ale ojciec ożenił się niebawem w Toskanji z Włoszką, Margheritą di Gian Donato dei Mardoli i miał z nią około roku 1320 synka Franceska. Margherita wniosła jakiś posag i na tej podstawie rządziła bardzo despotycznie mężem i domem, zwłaszcza, że przeszłość Boccaccina nie była bez zarzutu. Gdy jeszcze na domiar złego przywieziono opuszczonego malca z Paryża, zaczęło się piekło w domu, na którem najgorzej wychodził Giovannino. Ta posażna macocha wryła się głęboko i krwawo w sercu Boccaccia, bo gdy mówi o „mulier dotata", to całą żółć wylewa, aby się zemścić na zamożnych kobietach.

Ojciec i macocha pragnęli się pozbyć jak najprędzej małego Giovanniego; zaraz też, skoro tylko malec nauczył się czytać, pisać i trochę rachować, oddano go na kupiecką praktykę. Miał wtedy dwanaście lub trzynaście lat, myślał o poezjach, a nie o wekslarstwie i szedł niechętnie, ze wstrętem, do botegi. Nic wszakże nie pomogło; musiał tam praktykować sześć lat i niewiele się nauczył, a doreszty znienawidził finanse, do których może i z tego powodu miał uprzedzenie, że w domu zanadto się osłuchał tabliczki mnożenia. Zresztą ojciec, Boccaccino, jako człowiek bardzo realny, pogardzał wszelkimi poetami i podobnymi próżniakami, którzy nic nie zarabiają; więc syn już naprzekór wystawiał sobie ludzi inaczej, aniżeli twardy ojciec, uległy swojej małżonce. Giovanni nienawidził w duszy ojca, wiedział, że ten niegodziwiec w podły sposób opuścił jego matkę, a w swych nowelach, jak *Filicolo* i *Ameto,* przedstawił go wprawdzie pod inną postacią, ale niemniej jako człowieka gburowatego i zdradzieckiego.

Po jakiejś przykrej domowej scenie pomiędzy Giovanninem a macochą postanowił ojciec oddać nieudanego synalka do innego miasta, gdzieby pod obcym kierunkiem przecież mógł się przygotować do kupieckiego stanu. Ponieważ bank Bardich miał filję w Neapolu, więc Boccaccino zdołał go tam umieścić, a Giovanni z końcem piętnastego albo z początkiem szesnastego roku życia mógł wyjechać z Florencji i „pozbyć się tych dwóch niedźwiedzi“, ojca i macochy, którzy mu obrzydzili wiek młodociany.

Po sześciu latach przekonał się jednak Boccaccino, że syn zupełnie się nie nadaje ani do finansów ani do kupiectwa; postanowił więc wybrać mu inny zawód równie korzystny, kształcił go na duchownego, kazał studjować prawo kanoniczne. Giovanni i w tym zawodzie nie widział dla siebie szczęścia, a w notatce, którą spisał jako pięćdziesięcioletni człowiek, wyznał, że stracił znowu mniej więcej tyle czasu, co na kupiectwie, na teologiczne studja i pomimo surowych listów ojca i próśb przyjaciół nie mógł się przekonać do duchownej karjery; pociągała go poezja, pomimo, że go do majątku doprowadzić nie mogła. „Próby te, powiada Boccaccio, miały ten skutek, że nie zostałem ani kupcem ani kanonistą, i że straciłem najpiękniejsze lata, aby zostać poetą“.

W epoce tych kupiecko - teologicznych studjów nadarzały się jednak sposobności, że Giovanni mógł się zapoznać z kierunkami wiedzy, które mu otwierały inne horyzonty, bardziej odpowiadające jego poetycznemu usposobieniu. Przedewszystkiem wpłynął na niego bardzo korzystnie Andolo di Negro, astronom z Genui, który zajmował bardzo zaszczytne miejsce na dworze króla Roberta. Boccaccio przedstawił go pod nazwiskiem Calmety w swej alegorji pasterskiej *Filicolo.* Młody pasterz (Boccaccio), przybywszy do Neapolu, spotyka tam pasterza „wysokiej inteligencji i nauki“, Calmetę, który go wprowadza w nieznany świat nauk ścisłych, a przedewszystkiem w dziedzinę astronomji. Przypuszczać także trzeba, że Paolo di Perugia, bibljotekarz króla Roberta, niemało wpłynął na naukowy rozwój Giovanniego, a mianowicie zapoznał go z mitologją starożytnych i położył podstawę pod jego rozprawę *Genealogja bogów.* Wpływ tego humanisty był nawet pod tym względem trochę szkodliwy,



Giovanna I

(Według ryciny w bibljotece b. cesarskiego fideikomisu w Wiedniu)

że Boccaccio zanadto się zakochał w mitologji i jej opowieściach i wskutek tego, zwłaszcza w pierwszej połowie życia, wprowadzał starożytne bóstwa w swych poematach tam, gdzie przeszkadzały tylko jasnemu przedstawieniu rzeczy.

Przystojny, rozpoetyzowany florentczyk nie poprzestał wszakże na księgach starożytnych, ale całą piersią zaczął używać tych rozkoszy, o które w zamkniętej w swych murach i plotkarskiej stolicy nad Arnem nie było tak łatwo, zwłaszcza jeżeli się miało nad sobą twardą macochę. Dwudziestoletni wówczas młodzieniec próbował podbijać serca neapolitanek. Najprzód, jak się można domyślać z jego zwierzeń w *Ameto* i w *Filicolo,* zwrócił się do pięknej Pampinei; ale dla tej kupczyk florentyński, chociaż okraszony piętnem humanizmu, był za małą osobistością. Pomimo więc okazywanej jej gorącej miłości nie osiągnął celu, został odepchnięty; natomiast bardziej mu szczęście sprzyjało u jakiejś Abrotonji, która przez krótki czas przytuliła go do swego łona, ale także z nim zerwała. Nie umiał przywiązywać do siebie kobiet, co go tak zabolało, że zaczął się w wierszach zwierzać ze swoich uczuć i został poetą. Koroną wszakże jego poetyczno-miłosnego wychowania była wielka pani, neapolitanka, młoda, piękna, a nadto córka królewska.

II

Wspomnieliśmy, że król Robert zakochał się około r. 1311 we Francuzce, bywającej u dworu, która wyszła za jednego z członków znakomitej rodziny d'Aquino. Powszechnie mówiono, że córka Marja, którą Francuzka powiła w czasie owego romansu, była owocem jej stosunku z królem. Dziewczynka była ładna, więc mąż lojalny wobec swego monarchy nie dochodził ściśle jej pochodzenia, ale przyjął dziecinę za swoją, a po śmierci żony powierzył jej wychowanie zakonnicom według ówczesnego zwyczaju. Gdy dziewczynka wyszła z klasztoru, wydano ją za jakiegoś magnata neapolitańskiego, którego zapewne nie miała czasu przed ślubem ani dobrze poznać ani pokochać. Nie dziw więc, że pomimo iż była mężatką, nie znała miłości.

Średniowieczne romanse nie unikały kościołów. Towarzystwa były ściśle od siebie odgraniczone, osobliwie pomiędzy ary-

stokracją a mieszczaństwem; więc znajomości mężczyzn, nie należących do wielkiego świata, zaczynały się często spojrzeniami podczas nabożeństwa, a miały dalszy ciąg w Bajach, gdzie łatwiej było urządzać miłosne schadzki. Przed kościołem po mszy stawała młodzież i starała się zwrócić na siebie uwagę tej, którą się zdobyć pragnęło.

W ten sposób zbliżył się Boccaccio, jak opowiada w swym *Filicolo,* do Marji d'Aquino. Było to w Wielką Sobotę, 30 marca 1336. „Na widok Marji zaczęło mu serce bić gwałtownie, drżał na całem ciele, nie zdając sobie sprawy, co się z nim działo. Gdy jednak zapanował nad sobą i z większą uwagą spojrzał w oczy młodej kobiety, zdawało mu się, że widzi uosobienie miłości, ideał, który go zupełnie olśnił. Od tej chwili powiększył liczbę poddanych tego strasznego boga, którego panowania dotąd uniknął".

Młody florentczyk marzył, śnił o Marji, ale jak się zbliżyć do kobiety, należącej do świata, w którym nie bywał?... żeńskie klasztory ułatwiały podobne trudności. Potrafił wystarać się o zaproszenie do benedyktynek w klasztorze Sant' Arcangelo a Baiana, o którym powiada w swym stylu napuszysto-humanistycznym, że tam kapłanki Diany „coltivavano tiepidi fuochi" pod białemi welonami i czarnemi habitami. Owe kapłanki bynajmniej nie miały za złe, jeżeli pod ich patronatem nietylko nadziemskie, ale i świeckie płomienie gorzały w sercach. Zaprosiły więc Boccaccia, aby przyszedł poznać u nich Marję d'Aquino, która zapowiedziała się do klasztoru w otoczeniu swych towarzyszek. Boccaccio znany już był w Neapolu ze swych poezyj, Marja zaś czytywała francuskie i włoskie rycerskie powieści, więc temat do rozmowy łatwo się znalazł. ówczesne literackie nowości nie odznaczały się wielką świeżością. Romans francuski *Floire et Blanchefleur* prawie od całego wieku znany już był na Zachodzie, ale mimo to należał jeszcze we Włoszech do powieści, o których w towarzystwie można było rozprawiać, nie narażając się na opinję zacofanego literata. Zresztą temat był czuły, pełen sentymentu; Marja zauważyła tylko, że wielka szkoda, iż tymi sympatycznymi kochankami zajmują się jedynie zwykli fabularze, podczas gdy rzecz powinnaby rozbudzić wyobraźnię prawdziwego poety. Prosiła więc Boccaccia, aby w imię tej sym-

patji dla niego, którą mógł spostrzec w jej spojrzeniu, napisał w języku ludowym piękną książkę, traktującą o losach owych dwóch kochających się istot.

Niczego też innego nie pragnął Giovanni; wszak życzenie Marji dawało mu już sposobność widywania się z nią. Zabrał się więc do pracy i zaczął pisać swoją powieść *Filicolo,* z przedmową, odnoszącą się do poznania czarującej kobiety, przedmową bardzo nudną, bardzo długą, ale odpowiadającą ówczesnemu smakowi i panującej literackiej cierpliwości. Prędszym krokiem, aniżeli przedmowa, postępowała miłość Boccaccia i Marji. Florentyńczyk zrazu się wahał, obawiał się wysokiego stanowiska królewskiej córki; ale Marja zauważyła jego niepewność i pierwsza zapaliła pochodnię miłości. A zaledwie „słońce czterdzieści sześć razy pokazało się na horyzoncie“, był już pewny wzajemności Marji. Ale rycerz d'Aquino, jej małżonek, bawił w Neapolu i jak się zdaje, nasunęły się pewne przeszkody w spełnieniu obopólnych życzeń kochanków. Tem się tłumaczy, że upłynęło „pięć razy po dwadzieścia siedm dni“, zanim nastąpiło spełnienie zupełnego szczęścia Boccaccia.

W tych czasach namiętnego oczekiwania wylewał Giovanni swe uczucia w miłosnych sonetach, które ofiarował uwielbianej kobiecie. Wreszcie w jesieni 1336 mąż Marji wyjechał na jakiś czas, prawdopodobnie do swych dóbr i pozostawił ją w Bajach. Giovanni osiągnął szczęście, o jakiem zrazu nawet nie marzył; ale ta rozkosz trwała niedługo. Nie znał dobrze kobiet neapolitańskiej arystokracji, wzrok mu zaciemniała miłość. Zima minęła w rozkosznym obłędzie; na wiosnę znowu Marja znalazła się w Bajach, gdzie swoboda obyczajowa przechodziła wszelkie granice. Zakochany młodzieniec może powziął jakieś podejrzenie, że Marja nie jest mu wierna, może ją śledził, dość, że pewnego dnia przekonał się na własne oczy, że kochanka go zdradza. „O gdybym był wówczas ciemny! — wołał zrozpaczony — oby nazwa Baje i ta przeklęta miejscowość zginęła na wieki!“

Wtedy przerwał pisanie opowieści o Floriu i Biancifiore *(Filicolo)* i zakończył bolesnem wezwaniem, włożonem w usta swego bohatera, zwanego Filenem, że w Neapolu kochał kobietę wyższego świata, która zrazu zdawała się być mu wierna, ale

niebawem haniebnie go zdradziła. Drugą część powieści, w której znać już autora bardziej wyrobionego, napisał dużo później, kiedy pierwszy ból po utracie Marji już minął.

Boccaccio przerobił na swój sposób legendę o Floriu i Biancifiorze, rozszerzył ją i zaokrąglił rozmaitemi dodatkami, mogącemi zaciekawić czytelników. Opowiada on, że szlachetny Rzymianin, nazwiskiem Quinto Lelio Africano, który już przyjął chrześcijańską wiarę, pochodzący naturalnie od Scypiona, rozpaczał, że z małżonką swoją, Giulią Topazzia, nie miał potomka. Ślubował więc pielgrzymkę do Compostelli, jeżeli pragnienia jego i Giulii będą spełnione. Niebo wysłuchało pobożnych próśb; małżonkowie wybrali się w podróż, ale szatan postanowił przeszkadzać im w spełnieniu ślubów. Przybrawszy postać namiestnika Marmoriny, prosił o posłuchanie u króla Hiszpanji, Feliksa, i opowiedział, że Rzymianie zrabowali i spalili Marmorinę, wytępiwszy spokojnych mieszkańców. Król Feliks stanął na czele znacznego oddziału wojska i zamierzał pomścić niesłychaną napaść. W drodze spotkał Lelja, otoczonego liczną drużyną i sądził, że to wódz rzymski, który zburzywszy Marmorinę, ciągnął na podbicie Hiszpanji. Rozpoczęła się zawzięta bitwa, w której Feliks zwyciężył, zabił Lelja, a z orszaku spokojnego pielgrzyma pozostała przy życiu tylko jego żona Giulia. Ona to wyjaśniła nieszczęsną pomyłkę; niepocieszony król zabrał ją do swej stolicy, gdzie trafił na rycerską uroczystość „Le jour de la Pasque-fleurie“, i na powiększenie swej własnej rodziny, królowa bowiem powiła syna. Dziwnem zrządzeniem losów wydała i Giulia równocześnie na świat córkę. Giulia jednak umarła, a królestwo zajęli się sierotą, dając jej imię Biancifiore, a swego syna nazwali Floriem. Kazano dzieci razem wychowywać, a gdy doszły do sześciu lat, dano im ochmistrza Ascaliona, który obok *Psalmów* czytał im *Liber amorum* Owidjusza. Wychowanie więc rozpoczęło się księgą miłości, a pojętne dzieci szybko skorzystały z nauki i namiętnie się w sobie zakochały. Królestwo, spostrzegłszy ten za wczesny romans, posłali syna na nauki do Montorio, gdzie były sławne szkoły, a w jego nieobecności postanowili zamordować Biancifiorę. Chcąc jednak znaleźć jakiś powód do odebrania jej życia, posądzili ją w porozumieniu z wielkim seneszalem, że zamierzała otruć króla, i ska-

zali ją na spalenie na stosie. Florio jednak przeczuł, że ukochanej grozi jakieś niebezpieczeństwo, uzbroił się od stóp do głów, przywdział wizyr, aby go nie poznano, i zdołał jeszcze przybyć do rodziców w chwili, kiedy stos zapalano i Biancifiorę miano nań prowadzić. Spostrzegłszy, co się dzieje, rzucił się na seneszala, jako najbardziej winnego, ranił go, wepchnął na stos i z uwolnioną Biancifiorą stanął przed rodzicami. Królestwo, widząc tak namiętne przywiązanie syna, już nie stawiali widocznych przeszkód jego miłości, ale mieli nadzieję, że Florio zdoła się w Montorio zakochać w innej dziewczynie, a Biancifiora w innym rycerzu. Intrygi jednak, zmierzające do tego celu, nie udały się; na tem kończyła się pierwsza część opowieści, którą Boccaccio pisał w czasie swego romansu z Fiammettą.

Opowiadanie nudne i męczące. Bohaterowie rozprawiają w długich monologach, bogowie Olimpu dopomagają autorowi, jeżeli nie wie, jak wybrnąć z trudności, starożytna mitologja wikła się z pojęciami chrześcijańskiemi; ale tam, gdzie podstawą opisów są osobiste wspomnienia, wynurzenia przebytych bolów miłosnych i gryzącej go zazdrości, tam Boccaccio jest już znakomitym pisarzem, który umie po mistrzowsku analizować uczucia. Ta zaleta, ta anatomja miłości pozostanie mu w późniejszych jego pismach i będzie zupełną nowością w literaturze.

Dwie ostatnie księgi *Filicola*, później pisane, są już z tego względu zajmujące, że poeta wraca tam do swych neapolitańskich wspomnień i z miłością je opisuje. Wprowadza swego bohatera Floria *(Filicolo)* w podróży do Neapolu i pokazuje mu wielki świat stolicy. Florio poznaje Fiammettę, która w pierwszym rzędzie błyszczy wraz ze swym kochankiem Caleonem w tamtejszem towarzystwie wolnych obyczajów. W czarującym ogrodzie, w pobliżu Posilipu, zasiada kompanja w cieniu drzew i zabawia się opowiadaniem rozmaitych historyj i anegdotek. Aby każdy mógł wypowiedzieć to, co uważa za najzabawniejsze, proponuje Fiammetta, aby wybrano króla towarzystwa, a najodpowiedniejszym do zajęcia tronu wydaje się być Ascalione, nauczyciel Filicola, a zarazem najstarszy pomiędzy nimi. Ascalione jednak grzeczność odpłaca grzecznością, łamie gałązkę wawrzynu i składa ją u stóp Fiammetty, którą uważa za królową, najpiękniejszą i najgodniejszą tego zaszczytu. Fiammetta się

rumieni, wymawia się, ale wkońcu przyjmuje przewodnictwo kompanji i stawia wniosek, aby każdy z obecnych przedstawił jakąś kwestję, odnoszącą się do miłości. Nad tym tematem rozpocznie się rozprawa, a wynik jej, sentencję, ogłosi królowa. Będzie więc trzynaście kwestyj o miłości, bo królowa, czternasta w towarzystwie, wstrzyma się od podawania tematu.

Owe tematy są podobne do owych drobiazgowych pytań, jakiemi się zajmowano w sposób scholastyczny. Przytoczymy z nich niektóre.

Z trzech starających się o podbicie serca kobiety, którego z nich wybierze: dzielnego, pełnego kurtuazji, czy też uczonego? — Pomiędzy dwiema kobietami, równie godnemi miłości, której mężczyzna odda swe serce: wyższej od niego urodzeniem i majątkiem, czy niższej pod obu względami? Kogo można więcej kochać: młodą pannę, wdowę czy mężatkę? Bardzo trudna musiała być odpowiedź na subtelną kwestję o bukiecie. Młoda kobieta daje mężczyźnie, starającemu się o jej łaski, pęk kwiatów, który miała we włosach, a natomiast zdobi się kwiatami, które jej ofiarował inny młodzieniec. Otóż pytanie, który z nich otrzymał większy dowód miłości? Te i podobne kwestje rozbierało towarzystwo Fiammetty, jak poeta wspomina w dedykacji *Filostrata.*

Cały układ tej pracy zapowiada już formę opowiadań, jakiej Boccaccio użył później w *Dekameronie.* Układ to wzięty z rzeczywistości, z życia towarzyskiego w Neapolu w czasach andegaweńskich, kiedy to młodzież najlepiej się bawiła, rozprawiając o subtelnościach miłości, przyczem oczywiście nie brakowało uwag, zwróconych do kobiet, o których łaski się starano, uwag, popartych spojrzeniami i półsłówkami. Wybieranie królowej towarzystwa zresztą przeszczepiono do Neapolu z Prowancji, gdzie oddawna panował zwyczaj „nagradzania piękności i dowcipu“ u kobiet królewskim tytułem.

Nadzwyczaj zajmująca jest piąta księga *Filicola,* albowiem w niej wylewa Boccaccio cały jad, ukryty w jego sercu, z powodu niewierności Marji d'Aquino. Powracając ze Wschodu, gdzie znalazł swoją Biancifiorę, zatrzymał się Filicolo w Neapolu, zwiedził Baje, Pozzuoli i Miseno i opisał przygody, jakie go tam spotkały. Filicolo jest tutaj najwyraźniejszym Boccacciem,

a nie chcąc zbyt jasno spowiadać się ze swych zawodów miłosnych, ubiera je w opowieść, do której zapewne *Metamorfozy* Owidjusza nasunęły mu poetyczną formę. Filicolo udaje się na polowanie w okolicę Neapolu; jeleń wypada na niego, strzelec wypuszcza strzałę z łuku, ale zamiast w jelenia, trafia w drzewo, z którego wytryska krew. Ku jego zdumieniu głos jakiejś ukrytej istoty odzywa się z wyrzutami, że los nie daje jej spokoju, i pomimo, że przemieniona w drzewo, rani ją człowiek nieznany. Na zapytanie odpowiada tajemniczy człowiek, że się nazywa Idalagos i spowiada się ze swego żywota. Jego historja jest historją miłości Boccaccia; kochanka sprzeniewierzyła się Idalagosowi i prawie w jego oczach oddała się innemu. Wszelkie błagania, aby zmiękczyła swe niewierne serce, na nic się nie przydały, wskutek czego wynurza zdradzony młodzieniec swój gniew na cały ród niewieści. Ale losy się za niego zemściły. Fiammetta z trzema jeszcze przyjaciółkami udały się razu pewnego na ochłodzenie po nocnych orgjach do groty na Monte Barbaro; zaczęły tam prowadzić rozmowy bezwstydne, obrażające wszelką moralność i chwaliły się z triumfów nad zdradzonymi kochankami. Ale bogom było za wiele tych bluźnierstw i rozwiązłe kobiety zostały ukarane na miejscu. Fiammettę przemieniono w bryłę marmuru, a trzy inne przyjaciółki w drzewa.

Krytyk Vincenzo Crescini chce w imionach tych towarzyszek Fiammetty poznać pewne panie rozpustnego domu Andegawenów, a pomiędzy niemi Agnieszkę de Périgord; ale to tylko przypuszczenia bez dostatecznych dowodów. Crescini zalicza do utworów, pochodzących z czasów pierwszego pobytu Boccaccia w Neapolu, jeszcze opowiadania *Filostrato* i *Teseide*. Przedmowy do tych opowiadań, poświęcone Fiammecie, znów pełne kazuistyki miłości. Towarzystwo Fiammetty musiało pomiędzy innemi zajmować się pytaniem, kiedy młodzieniec jest najszczęśliwszy: czy widząc swoją ukochaną, czy wtedy, kiedy mówi o niej, czy też wówczas, kiedy może tylko myśleć o przedmiocie swych uczuć? Boccaccio ma przekonanie, że myśl o kochance jest największem szczęściem, gdyż wtedy nic nie przeszkadza niewzruszonej miłości. Do tego platonizmu musiała go nakłonić nieobecność Fiammetty w Neapolu, kiedy na wiosnę wyjechała

z mężem do Samnium, a poeta nie mógł jej towarzyszyć. Owe męczarnie rozłączenia stanowią właściwą treść opowiadania. Po fabułę do tej książki sięgnął Boccaccio aż do legend o wojnie trojańskiej, do historji o Bryseidzie, córce Kalchasa(!), w której się kochali: Troilus, najmłodszy syn Priama, i Diomedes. W Bryseidzie przedstawił poeta typ płochej kobiety, zmieniającej często kochanków, kobiety, jakich było niemało w towarzystwie, w którem poeta bywał w Neapolu, istoty zmysłowej, nie umiejącej się oprzeć chwilowym namiętnościom, pomimo, że ją łączą pewne sympatje z dotychczasowym ideałem. Atmosfera zmysłowości, jaka otaczała Boccaccia, przebija w całym tym romansie. Poeta opisuje z lubością i nadzwyczajnym realizmem wdzięki trojanek, do których za model służyły mu piękności neapolitańskie w Bajach. Wielce zajmującą postacią jest Pandaro, przyjaciel i powiernik zakochanego Troila; zasady moralności dlań nie istnieją, wszystkie słabostki ludzkie umie jowialnie usprawiedliwić, a ponieważ Troilus kocha się w jego kuzynce Kressydzie, wdowie, przeto chętnie się zgadza na stosunek miłosny pomiędzy nią a Troilem i dopomaga, aby swój cel osiągnęli, byle tylko nie było skandalu. „Oddaję ci honor mojej rodziny", powiada Pandaro do Troila, ale w tem powiedzeniu więcej jest żartobliwej ironji, aniżeli dbałości o cnotę Kressydy. Pandaro jest przyjacielem pośrednikiem, nie odczuwającym najmniejszych skrupułów, aby kuzynkę rzucić w objęcia przyjaciela, zwłaszcza, że za tę uprzejmość rad mu się Troilus odwdzięczyć, ofiarując mu wdzięki własnej siostry. W ostatniej części romansu ma Boccaccio pożądaną sposobność rozkoszowania się w opisach namiętnych scen miłosnych, które widocznie przeżył, brał je zatem „z natury".

Cały poemat jest rozbiorem wszelkich uciech i zawodów człowieka zakochanego. Kobieta, do której całem sercem był przywiązany, zdradziła go; więc z furją południowca rzuca się na ród niewieści, powiada, że te panie wysokiego urodzenia (oczywiście ma tutaj na myśli Marję d'Aquino), są „bestie, non donne gentili". Opisy są szczerem wyznaniem miłosnej martyrologji autora na tle neapolitańskiego towarzystwa.

Niewierność Marji d'Aquino taki cios zadała poecie, że jak przypuszczać można, zaraz po rozłączeniu się z nią napisał drugi

romans *Teseide,* gdzie z większą jeszcze rozpaczą, jak w *Filostracie,* opisuje zawód, doznany w miłości. Ażeby przytłumić ból, zabrał się Boccaccio do studjowania *Tebaidy* Stacjusza i pod wpływem klasycznego dzieła napisał rodzaj epopei w dwunastu księgach, pełnej opisów bitw i turniejów. Poeta użył tutaj po raz pierwszy popularnego języka włoskiego do epopei i formy, tak zwanej „ottava rima", znanej dotąd tylko w ludowej poezji, którą później naśladowali Policjan, Ariost i Tasso.

Boccaccio zamierzał w *Teseidzie* stworzyć epopeję na wzór starożytnych; ale usposobienie jego wskutek zawodów w miłości było tak sentymentalne, że z epopei zrobił się romans, trochę podobny do ówczesnych romansów francuskich.

Stosunek poety z Fiammettą trwał od r. 1336 do 1338, więc niecałe dwa lata. Po przekonaniu się, że Marja go zdradza, pozostał Boccaccio jeszcze dwa lata, 1339 i 1340, w Neapolu, ale wesołość już uleciała z jego duszy. Nietylko bowiem doznany zawód go męczył, ale i protektor jego, Niccolo Acciaiuolo, wyjechał w interesach handlowych do Morei. Równocześnie prawie stosunki majątkowe poety bardzo się zmieniły. Ojciec, Boccaccino, robił złe interesa, zadłużył się, musiał sprzedać część swoich realności, aby się uiścić z sumy 300 florenów w złocie. Ta klęska materjalna była, jak się zdaje, w związku z bankructwem domów handlowych Bardich i Peruzzich (1339), którzy pożyczyli blisko dwa miljony florenów królowi Edwardowi III angielskiemu i niebawem się przekonali, że ta suma nigdy nie będzie zwrócona. Boccaccino nie mógł dostatecznie wspierać swego syna w Neapolu; poeta musiał się wycofać z wyższego towarzystwa, do którego dostał się dzięki Marji d'Aquino, i przeprowadził się na przedmieście pod Posilip, pomiędzy prostacką ludność, gdzie pobyt po dwu latach miłości z królewską córką był mu tem bardziej przykry i nieznośny. Jedyną pociechę stanowiło dlań rozczytywanie się w Wergiljuszu, Apuleju i Owidjuszu, których dzieła wpłynęły na dalszy rozwój jego talentu i wyrobiły w nim ducha humanizmu.

Czekały go nowe smutki i zawody. Stary ojciec koniecznie chciał mieć syna przy sobie i naglił go do powrotu do Florencji. żona Boccaccina i jej dzieci pomarły; znękany ajent bankowy, osamotniony, musiał się ograniczać, nie mógł syna wspierać

w Neapolu, wspólne życie we Florencji było tańsze, łatwiejsze. Sprowadził więc Giovanniego, który zrazu wahał się opuścić miasto swej szczęśliwej młodości, ale ostatecznie, nie mając środków utrzymania, spodziewając się zapewne jakiej takiej spuścizny po skąpym ojcu, wyruszył późną jesienią 1340 z Neapolu i przybył w styczniu 1341 do Florencji.

III

Był to smutny powrót z pod wesołego nieba, ze społeczeństwa, niewiele się troszczącego o jutro, do poważnej, plotkarskiej Florencji, gdzie z kredką w ręku rozważano wszystko i nienawidzono się nawzajem.

Nad kupieckiem miastem unosił się wszakże duch Dantego; nie dziw też, że tamtejszy arcypoeta wywarł zaraz na Boccaccia większy wpływ, aniżeli dotąd. Wczytywanie się, zwłaszcza w *Vita nuova,* odbiło się w romansie Giovanniego, napisanym prozą, pod tytułem *Nimfale d'Ameto.* Jest to sielankowy dialog pełen symbolizmu moralno-religijnego, naśladowanego z *Komedji* Dantego, dialog tem wybitniejszy w literaturze, że jest on pierwszą próbą sielankowego romansu, który, jak zobaczymy, rozwinął Sannazar z końcem XV wieku w swej *Arkadji.* W poetycznym tym utworze nie zapomina Boccaccio o neapolitańskich wrażeniach zmysłowych rozkoszy i co chwila spotykamy tam mitologiczną osłoną odziane sceny, które przeżył w Bajach.

Ameto, młody wieśniak, oddany tylko myślistwu, spotyka razu pewnego nimfę cudownej urody, której imię Lia. Nimfa, pełna pastersko-poetycznej kultury, otwiera przed nieokrzesanym myśliwym nowe horyzonty idealnej miłości. Kocha się więc w tej nadziemskiej istocie bez granic, porzuca swe dzikie zajęcia i lubuje się w nierealnym świecie pasterek. Przy jakiejś sposobności Lia i sześć innych nimf wielkiej urody zasiadają w cieniu kwitnącego wawrzynu, w chłodzie bijącej fontanny i każda z nich ma opowiedzieć historję swej miłości. Piękne zebranie wybiera Ameta przewodniczącym. Wszystkie te nimfy są mężatkami, ale tylko jedna z nich oświadcza, że kocha swego męża i jest mu wierna; inne rozdały serca i wdzięki przyjaciołom. Boccaccio opisuje ich urodę z niesłychaną drobiazgowością,

a ponieważ wszystkie mają piękne włosy, płomienne oczy, koralowe usta i nogi, nie świadczące bynajmniej o tem, że owe półboginie żyją wśród lasów i jezior, więc te szczegóły nużą swą jednostajnością; dzisiejszy czytelnik nie może powziąć do żadnej z nich gorętszej sympatji. Opowiadanie nimfy Fiammetty jest dla nas najbardziej zajmujące, albowiem nimfa, w której poznajemy Marję d'Aquino, zwierza się w niem ze swego miłosnego stosunku z Giovannim, który tam występuje pod nazwą Caleone.

Wogóle wszystkie nimfy przedstawiają pewne wówczas we Florencji żyjące kobiety, a uczony F. Torraca [1] domyśla się ich nazwisk. Fiammetta tylko jest neapolitanką, Lia należała do znanej we Florencji rodziny Regaletti i jako wdowa wyszła zamąż po raz wtóry; Mopsa, z rodu Visdomini della Tosa, zamężna za Neronem Nigi, była jedną z najpiękniejszych kobiet Florencji. Publiczność tamtejsza mogła i w innych nimfach domyślać się znanych kobiet, co musiało romansowi Boccaccia nadać niemałego rozgłosu, a zapewne i narobić wielu nieprzyjaciół. Sam Boccaccio przedstawił się pod nazwą Ibridy, kochanka jakiejś Emilji; widocznie więc zaraz po przybyciu do Florencji zawiązał stosunek z mężatką, jak Torraca mniema, z Emiljaną dei Tornaquinci, żoną Giovanniego di Nello. Ona go wyrwała z martwoty, z rozpaczy po utracie Marji d'Aquino. Ibrida opowiada swoje losy, które stanowią niejako młodzieńczą biografję Boccaccia. Dzięki Wenerze potrafił na nowo rozbudzić w sobie ochotę do życia. Matka już przy urodzeniu Giovanniego poświęciła go bogini miłości, Wenera się nim opiekowała i gdy teraz spostrzegła, że jej pupil marnieje wskutek doznanych zawodów w miłości, postanowiła go ożywić. Wybrała ku temu Emilję, pokazała jej prawie bezduszne ciało Ibridy i poleciła, aby w młodzieńca wlała żywotne siły. Emilja z ochotą podjęła się wdzięcznego zadania, wszak Ibrida-Giovanni był młody i przystojny. Wenera czuła się obowiązana wynagrodzić mu doznane zawody i wybór wskrzesicielki uczuć był wyborny.

Siedm nimf przedstawia wszakże nietylko panie z towarzystwa florenckiego, ale personifikuje także cztery cnoty kar-

[1] *Per la biografia di Giovanni Boccaccio*, p. 109—120.

dynalne i trzy cnoty teologiczne, podobnie jak u Dantego, gdzie cnoty tworzą otoczenie Beatryczy w raju [1]. Emilja ma być sprawiedliwością, Mopsa mądrością, Adiona wstrzemięźliwością, Agapes dobroczynnością, Aerimonia odwagą, Fiammetta nadzieją, a Lia wiarą.

Wenera jest personifikacją dobroczynności, a zarazem przedstawia bóstwo nietylko w pogańskiem, ale i w chrześcijańskiem znaczeniu. Sprzeczności te, to pomieszanie pojęć pogańskich z chrześcijańskiemi, razi dzisiaj i jest dla nas prawie niezrozumiałe. Najjaskrawiej występuje ta dziwaczność pomysłu w chwili, gdy ostatnia z nimf, Lia, kończy swe opowiadanie, a płomienisty słup zdaje się spadać z nieba i równocześnie słychać głos: „Jestem światłem niebieskiem, początkiem i końcem wszystkiego“. Ameto głos ten poznaje, głos prawdziwej, świętej miłości, rozbiera się ze świeckiego odzienia, zanurza w fontannie i wychodzi stamtąd, odrodzony w szlachetnej, boskiej miłości. Ażeby nimfy nie gorszyły się obnażeniem Ameta, lekka mgła zasłania im wzrok, a gdy ta ustępuje, mają przed sobą człowieka, który już nie wzbudza ziemskich namiętności.

Zdaje się, że wkrótce po ukończeniu *Ameta* napisał Boccaccio rodzaj idylli wierszem, pod tytułem *Amorosa visione.* Znów wraca tam do neapolitańskich wspomnień i jeszcze występuje Fiammetta, ale cały układ poematu wielce nużący, a zwłaszcza wplecione weń alegoryczne obrazy.

W tych czasach, około r. 1343—4, napisał Boccaccio jedno z najwybitniejszych swoich dzieł prozą, któremu dał tytuł *Elegia di madonna Fiammetta.* Znów podstawę tej powieści stanowi, przynajmniej w ogólnych zarysach, romans z Marją d'Aquino, tylko że tutaj Marja-Fiammetta nie zdradza swego kochanka, ale przeciwnie, ona przechodzi wszystkie katusze i udręczenia miłości z powodu, że kochanek wyjeżdża z Neapolu do Florencji. Jest to może najdokładniejszy rozbiór cierpień kochającej, a następnie opuszczonej kobiety, jaki kiedykolwiek napisano, rozbiór, wchodzący w najdrobniejsze odcienie miłosnych uczuć i zawodów, prawie męczący swoją dokładnością. Ale przyznać trzeba poecie, że po mistrzowsku zrozumiał i od-

---

[1] *Purgatorio* XXIX. v. 121—132.

dał tę anatomję miłości i że skalę uczuć, władających sercem kobiecem, przeprowadził z dziwnem odczuciem, aż do tragicznego rozwiązania. A prócz swej wartości psychologicznej jest *Fiammetta* i z tego względu dla nas bardzo zajmująca, że bez wszelkich alegoryj przedstawia nam towarzyskie życie współczesne, z zupełnym realizmem, takie, jakie było w rzeczywistości. Psują wprawdzie wrażenie tego realizmu naleciałości mitologiczne, ale odrzuciwszy te literackie nawyczki, mamy przed sobą zupełny obraz tragicznie się kończącego neapolitańskiego romansu z XIV wieku.

Powoli jednak znikają w pismach Boccaccia wspomnienia neapolitańskie i w ostatnim jego poemacie z czasów młodości, w *Ninfale fiesolano* napotykamy na nową nutę, nutę ojcowskiej miłości. Na wstępie do Florencji miał poeta ze wspomnianą już Emiljaną de' Tornaquinci romans, którego owocem była córeczka Violanta. Dziewczynka umarła, nie mając jeszcze lat siedmiu, a poeta musiał ją bardzo kochać, skoro jeszcze w późnym wieku napisał o niej bardzo serdeczne wspomnienie.

Ninfale fiesolano jest rodzajem sielanki, osnutej na tle towarzyszek Diany. Bogini trzyma swe nimfy w wielkim rygorze, zbliżenie się do nich mężczyzn prawie niepodobne. Ale przecież piękny młodzian, pasterz, imieniem Affrico, zdołał przezwyciężyć wszelkie trudności i w przebraniu kobiecem uwiódł jedną z nimf, Mensolę. Nimfa broni się przed świecką miłością, ale wkońcu ulega. Urodził się mały pastuszek, Pruneo; Diana się sierdzi, przeklina nawet zbezczeszczoną towarzyszkę, wskutek czego Mensola się topi. Affrico z rozpaczy także sobie życie odbiera; Prunea przytula stara, litościwa nimfa Sinedecchia i oddaje rodzicom Affrica na wychowanie. Otóż w opisach dzieciny przebija pewne uczucie rodzinne, którego dotąd w pismach Boccaccia nie bywało. Historja uwiedzionej nimfy miała powstać wskutek zniknięcia jakiejś zakonnicy z klasztoru we Fiesole, a opisy poety o klasztornym rygorze, jaki Diana zaprowadziła pomiędzy swojemi nimfami, zdaje się potwierdzać ludowe podanie.

IV

Giovanni nie wdał się w ojca, nie umiał zarabiać na utrzymanie; więc śladami innych poetów i humanistów poszedł w honorową służbę u wielkiego pana, Franceska degli Ordelaffi, tyrana z Forlì. Francesco był wrogiem domu andegaweńskiego; to też gdy Ludwik węgierski wybierał się w jesieni 1347 do południowych Włoch, aby pomścić zamordowanie Andrzeja, Ordelaffi przyłączył się do tej wyprawy i zabrał ze sobą także Boccaccia, zapewne jako nadwornego historjografa i poetę. Wrażenia, jakie odniósł wówczas poeta, pozostawił nam w eklodze *Faunus*, w której pod alegorją pasterską opowiada tragedję w Aversie. Pod wpływem swego otoczenia był wówczas oburzony na królową Joannę, którą nazywa ciężarną wilczycą (lupa gravida), gdyż królowa spodziewała się właśnie potomka. Przybywszy jednak do Neapolu, przypomniał sobie młodzieńcze, wesołe czasy, dowiedział się o okrucieństwach, które król węgierski popełniał; zresztą musiał widywać Joannę i zmienił o niej zdanie, był pod jej urokiem. Zbliżył się nawet za pośrednictwem Niccola Acciaiuoli do Ludwika z Tarentu i jak się zdaje, pozostał jeszcze przez rok 1348 w Neapolu, aby tam na nowo próbować szczęścia. Ale losy i tym razem nie pozwoliły mu się osiedlić w Neapolu; w całych Włoszech wybuchła owa straszna zaraza, która mu porwała ukochaną córeczkę, a trochę później, 1349 r., i starego ojca. Aby uporządkować spadek po Boccaccinie, musiał powrócić do Florencji i odtąd mieszkał częścią w stolicy toskańskiej, częścią w swem rodzinnem Certaldo.

Młodość, przepędzona w Neapolu, wybiła swe piętno na całem życiu poety. Boccaccio wyniósł stamtąd ową zmysłowość, ów żar namiętności, który się przebija we wszystkich jego utworach, wyniósł żal do kobiet, przechodzący często w pogardę niewieściego rodu. Ta nienawiść wzmogła się jeszcze, gdy we Florencji pogardziła nim jakaś wdowa szlacheckiego rodu, o której łaski się starał. A miał wtedy lat przeszło czterdzieści; młoda wdówka udawała, że zapały poety nie są jej obojętne, a poza jego plecami romansowała z kim innym i wyśmiewała się razem z przyjaciółkami z rozkochanego Boccaccia.

Poeta zemścił się w brzydki sposób; napisał na kobiety nie-

słychanie zjadliwą satyrę, a właściwie długi paszkwil pod tytułem *Labirintho d'amore,* albo *Corbaccio* (stary, złośliwy kruk). Zawiedziony w swych uczuciach autor chce sobie życie odebrać, ale gdy błądzi w tym celu w pustyni zamkniętej górami, słyszy jakieś głosy podobne do ryku dzikich zwierząt. Nie lew to ani tygrys, ale duch starego męża owej wdowy, w której Boccaccio się kocha. Matka Boska wysłała go z czyśca, aby wyratował poetę z labiryntu Wenery, w którym błądzi na swą zgubę. Duch roztacza przed Boccacciem obraz kobiecych wad i przywar, obraz przesadny, ale dowodzący niesłychanej znajomości przedmiotu, studjowanego z natury. Niektóre ustępy przestróg owego starca są prawdziwie mistrzowskie. Jego kobieta musi zawsze mieć słuszność, uparta, nikt jej nie przekona; gdy utrzymuje, że widziała osła latającego w powietrzu, trzeba jej przyznać, że mówi prawdę, inaczej będzie cię nienawidzieć. Stara kobieta maluje się i rozmaitych sztuk używa, uwydatniających tylko jej brzydotę; usta jej się nie zamkną, gdy zacznie plotki roznosić; każdy jest dla niej dobry, kto tylko słuchać potrafi jej gadania, praczka czy piekarka.

Opowiadanie owego ducha, bardzo długie, dotyka rzeczy najskrytszych, o których się nawet z lekarzem mówi pod osłoną, a wywody te są tak przekonywające, że poeta odchodzi uleczony ze świeckiej miłości i nie chce się nadal wdawać z kobietami.

Żal do nich jednak pozostał i gdy Boccaccio zabrał się do pisania swego największego dzieła, do *Dekamerona,* nie mógł się jeszcze pozbyć nienawiści do kobiet. Obok tej głęboko w jego sercu tkwiącej urazy wyniósł z czasów neapolitańskich lekceważenie mnichów, którym poświęca znaczną część anegdotek, składających się na *Dekamerona.* Niema wątpliwości, że życie neapolitańskie nadało poecie literacki kierunek i że już w Neapolu powziął myśl napisania takiego zbioru powiastek, które znał częścią z opowiadań w kołach artystycznych, kupieckich albo arystokratycznych. W niektórych rozdziałach *Filicola* znajdują się nawet anegdoty, które z pewnemi zmianami przeszły później do *Dekamerona.* Co więcej, nawet sam wstęp do dzieła, opis strasznej zarazy we Florencji i wyjazd towarzystwa na wieś, aby tam uciec przed pomorem i skracać sobie czas opowiadaniem zabawnych historyjek, zdaje się być neapolitań-

skiego pochodzenia. W czasie morowej zarazy 1348 r. Boccaccio nie był we Florencji, lecz w Neapolu z Franceskiem degli Ordelaffi, gdzie także panował straszny pomór, i tam mógł się przypatrzyć owym scenom, które później opisał w sposób tak tragiczny, jakgdyby był ich świadkiem we Florencji.

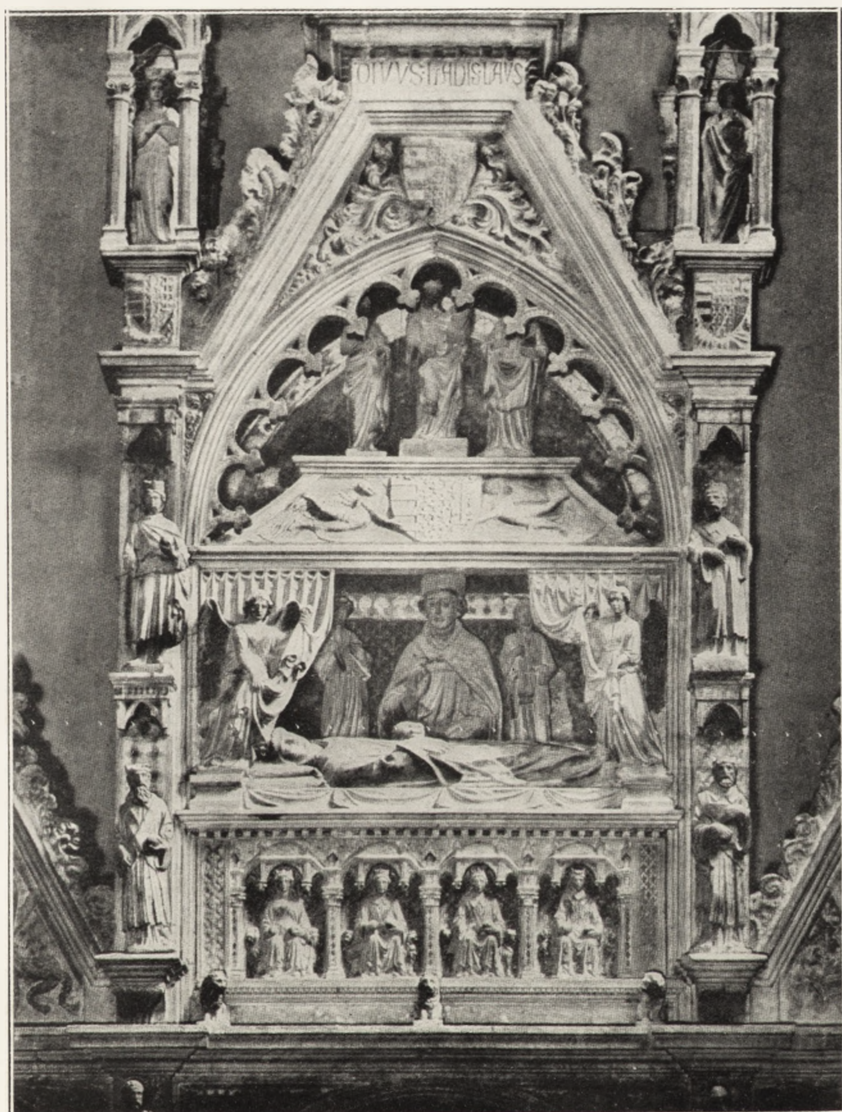
Znaczenie *Dekamerona* nie polega na samej tylko literackiej i zabawnej treści anegdotek, malujących po większej części społeczne życie włoskie, ale książka ta zaznacza początek walki z średniowieczną pseudoreligijnością, z mniszym ascetyzmem, w którym pod pozorami umartwienia ciała tkwiło niemało niemoralności i brzydkiego zepsucia. Był to bicz na świętoszków; Boccaccio nie walczył z religją, ale z zepsuciem duchowieństwa.

że *Dekameron* niesłychanie się przyczynił do wykształcenia włoskiej prozy, że autor w swych opowiadaniach umiał nagiąć ludowy język do literackich wymagań, to jego wielka, uznana zasługa.

Pisma Boccaccia, a przed innemi *Dekameron* dowodzi, jak uporczywie duch ludzki trzyma się odwiecznych opowieści, sięgających niemal początków kultury narodów, jak zmienia znane tematy stosownie do potrzeb i wyobrażeń rozmaitych czasów. O źródłach *Dekamerona* dużo już pisano; anegdoty Boccaccia pochodziły w znacznej części z indyjskiej *Księgi przykładów (Pantschatandra)*, z buddyjskich opowiadań o siedmiu mędrcach i z innych jeszcze zbiorów indyjskich „historyj". Niemało czerpał nasz Giovanni z prowansalskich i północno-francuskich tradycyj, tudzież z włoskiego *Novellina (Cento novelle antiche)*, jak również z legend i opowiadań klasztornych. Te wszystkie tradycyjne historje umiał jednak tak zastosować do swojej epoki, tak uzmysłowić i w takiej podać formie, że na zawsze zostaną niespożytem źródłem i świadectwem włoskiej kultury XIV wieku.

Pomiędzy biografami i krytykami Boccaccia ustaliło się prawie zapatrywanie, że *Dekameron* jest rodzajem ram, które oprawiają szereg lekkich anegdotek. Na czele jednego z rękopisów *Dekamerona* z XV wieku napisano:

Io son un cerchio d'or che circoscrive
Cento giemme ligiadre.



Górna część nagrobka króla Władysława († 1414)
w San Giovanni a Carbonara, w Neapolu

Ale to za mała pochwała tego „zbioru“ anegdotek; dzieło Boccaccia stanowi duchem autora przejętą całość, o wyraźnych artystycznych celach. Jest to jakby pyszny haft z czasów odrodzenia, do którego artysta pozbierał nici ze Wschodu, z Francji i z Hiszpanji, ale źródła, skąd pochodzi jedwab i złoto, zniknęły pod ręką genjalnego artysty, który je przemienił w jednolity obraz. Boccaccio umiał patrzeć na społeczeństwo, chwytał spostrzeżenia i wcielał je w swe opowiadania. Był w całem tego słowa znaczeniu realistą. Dlatego mają jego dzieła niespożytą wartość dokumentów historycznych. Gdy poeta pisał *Dekamerona,* miał 35—40 lat, ale uważał się jeszcze za młodego, i usprawiedliwia się później, że pisał poezje, a nadto pisał je po włosku. Wcześnie posiwiał, utył i po czterdziestym roku życia zdawało mu się, że się zupełnie postarzał.

Na Boccaccia, jak wogóle na wszystkie żywe umysły, nadzwyczaj silnie wpływało otoczenie. To też w drugim okresie swego literackiego działania podlega on bezsprzecznie migotliwemu talentowi Petrarki.

Na przełomie średniowiecza i kultury odrodzenia stoją we Włoszech trzy wielkie poetyckie genjusze: Dante, Petrarka i Boccaccio. Dante, jeszcze przejęty średniowiecznemi pojęciami, skupia je i przekazuje potomności w swej *Komedji,* będącej niejako testamentem minionych wieków. To też kwatrocentista, mierny poeta, Trombetta powiada, że *Komedja* Dantego należy do ksiąg świętych, które należy odczytywać w wielkim poście, tak jak *Żywoty ojców świętych.* Wyobraźnia Dantego, spętana religijnemi i społecznemi wyobrażeniami, oderwana od rzeczywistości, od ziemi, męczy się w tych więzach i wpada prawie w kataleptyczne sny. Kobieta u niego, to istota niecielesna, wyidealizowana, przyjmująca hołdy, ale prawie nie odwzajemniająca się miłością, istota piękna, ale nie mogąca wzbudzać ziemskich namiętności, kobieta-marzenie, jakiej niema na świecie, istota abstrakcyjna, mistyczna, kobieta-symbol. Taka jest Beatrice, a Laura Petrarki jeszcze cokolwiek do niej podobna. Wprawdzie Petrarka humanista staje się czcicielem bardziej ludzkich namiętności, ale jego wyidealizowana Laura daleka jeszcze od realnej, rzeczywistej kobiety. Petrarce chodzi przedewszystkiem o piękną formę, a mniej o siłę, o namiętność,

którą utopił w gładkości sonetu. Cała poezja włoska nie widziała dotąd kobiety z zaletami i błędami kobiety żyjącej. Pomiędzy istotą wymarzoną a rzeczywistą powstała przepaść, którą zapełniła niewiara, cynizm, zepsucie obyczajów. Ideały nie były do osiągnięcia, brodzono więc w kale ziemskim, literatura nie śmiała schodzić z wymarzonych krain i opisywać to, co się dzieje na ziemi. Natomiast ludzie wykształceni wyśmiewali się z naiwności klas, wierzących w rozmaite nadprzyrodzone baśnie, a do nich należał później król Alfons I, jeden z najrozumniejszych neapolitańskich monarchów. Szczęściem dla prawdy, a i dla moralności powstał autor, który niedużo się uczył za młodu, nie umiał po grecku, a zapewne i niedobrze pisał po łacinie, nie przejął się jeszcze ani scholastyczną ani humanistyczną wiedzą, ale czerpał swą umiejętność z życia, miał zdrowe oczy i dużo sposobności do robienia spostrzeżeń, które przerabiał w swym umyśle z wrodzoną skłonnością do satyry. Ten poeta-literat napisał po rozmaitych próbach *Dekamerona,* książkę czytaną od wieków. Gorszono się, krzyczano na niego, ale ten i ów zobaczył swoją podobiznę w „niemoralnej“ książce, przekonał się, że nic się nie ukryje przed złośliwem piórem i śmiał się sam z siebie, zlekka unikając dawnych przyzwyczajeń. Szkoda, że Boccaccio całe życie nie szedł tą obraną drogą; przyjaźń z Petrarką spaczyła jego samorodny talent. Petrarka przysłał mu ubogiego humanistę, nazwiskiem Pilata, który go miał nauczyć po grecku. Ale sam mentor niewiele umiał, chociaż przecie tyle wiedział z greckiej przeszłości, że naprowadził Boccaccia na błędne naukowe drogi. Z przyjaźnią Petrarki i z nauczycielstwem Pilata skończyła się wielka epoka w literackiem życiu poety; porzucił „wulgarny“ język, a natomiast pisał najwięcej po łacinie, *De claris mulieribus, De casibus virorum illustrium, Genealogia deorum, Bucolicum carmen* i t. d., rzeczy już mniejszej wartości literackiej, słowem, został humanistą, bo Petrarka nie chciał czytać jego pism wulgarnych.

Po dwa razy w drugiej połowie życia próbował Boccaccio odzyskać przynajmniej trochę minionego szczęścia w Neapolu. W r. 1361 udał się tam Franciszek Nelli, przeor kościoła św. Apostołów we Florencji, przyjaciel poety, aby objąć posadę jałmuż-

nika przy Niccolu Acciaiuolim, wielkim seneszalu królowej Joanny I., a chcąc więcej dać rozgłosu tej misji, powołał Boccaccia, jako historjografa. Poeta zgodził się, po niejakiem wahaniu, na tę podróż, ponieważ znajdował się w bardzo przykrych materjalnych stosunkach, a zresztą sam Acciaiuoli napisał do niego uprzejmy list, zachęcający do przyjazdu. Spakowawszy więc ulubione książki, wybrał się w drogę Boccaccio w towarzystwie swego dwudziestoletniego brata Jakóba, obiecując sobie dużo po tych zaproszeniach; ale już na wstępie do Neapolu czekało go niemałe rozczarowanie. Skąpy Acciaiuoli dał mu mieszkanie brudne i niewygodne w domu, gdzie się mieściła służba żeńska, głodna i odziana w łachmany. Żywiono go w niemożliwy sposób i podawano potrawy na niemytych talerzach. Boccaccio skarżył się przed Nellim; ale przyjaciel prior uważał wymagania poety za przesadne. Wkońcu po dwumiesięcznym pobycie w tem piekle, przyjął go na mieszkanie w swym domu młody florentczyk, Mainardo dei Cavalcanti. Zdaje się, że Acciaiuoli uczuł pewien żal i wstyd, iż się tak obszedł z głośnym już wówczas poetą, i zaprosił go do swej willi Tripergoli, w pobliżu Baj. Ale tam jeszcze przykrzejsze spotkały go niespodzianki. Dano mu tak brudną pościel, że jeden ze znajomych, oburzony tem postępowaniem, przysłał mu przyzwoite łóżko z Pozzuoli. Co więcej, gdy Acciaiuoli wyjechał z powrotem do Neapolu, „zapomniał“ zabrać ze sobą Boccaccia, który przez dwa dni musiał w Bajach pozostać, nie mając nawet co jeść. Oburzony poeta nie wrócił już do seneszala, ale przyjął gościnę u jednego z kupców florentyńskich. Wreszcie widząc, że po seneszalu nie może się spodziewać polepszenia swego losu, wrócił do ojczyzny.

Mimo tych zawodów ciągnęły go przecież wspomnienia młodości na Południe. W jesieni 1370 r. udał się poeta po raz ostatni do Neapolu i pozostał tam aż do wiosny 1371 r. Namawiano go wówczas do objęcia rozmaitych posad, któreby mu zabezpieczyły utrzymanie na starość, ale widocznie Giovanni nie wierzył już w neapolitańskie obietnice. Miał zresztą słuszność; opat z Montefalcone nalegał, aby poeta pojechał z nim do klasztoru San Stefano w Kalabrji, na co Boccaccio się zgodził i prawie postanowił zakończyć swój żywot, jako mnich u kartuzów. Ale opat widocznie nie myślał dotrzymać obietnicy, bo jednego dnia wy-

jechał cichaczem z Neapolu i już więcej do Boccaccia się nie zgłosił.

Po tym ostatnim zawodzie wrócił poeta do swego Certalda, a jak się zdaje, wywiózł z brudów neapolitańskich brzydką chorobę, świerzby, które go męczyły w straszny sposób, tak, że nawet stracił ochotę do wszelkiej umysłowej pracy. Umarł w Certaldo 21 grudnia 1375 r.

Boccaccio był wysokiego wzrostu, ale wcześnie utył. O twarzy okrągłej i spłaszczonym nosie, grubych, zmysłowych wargach, nie należał do zbyt przystojnych mężczyzn. Gdy jednak zaczął opowiadać wesołe historyjki, robił nader sympatyczne wrażenie, a wrodzona mu pogoda umysłu malowała się na jego twarzy. Jedyny, może autentyczny portret Boccaccia, piórem wyrysowany, znajduje się w rękopisie z r. 1397, w bibljotece narodowej we Florencji i przedstawia wysokiego mężczyznę, silnej budowy, w habicie z kapucą, zaciągniętą na głowę, trzymającego księgę w prawej ręce, a gestykulującego lewą, jakby opowiadał coś zajmującego.

ROZDZIAŁ PIĄTY

KRÓL ALFONS I

I

Jest to bezsprzecznie jedna z najwybitniejszych i najbardziej charakterystycznych postaci pomiędzy panującymi książętami wczesnego odrodzenia. Człowiek rycerski, odważny, nawet trochę awanturniczy, a przytem ludzki, daleki od okrucieństwa, właściwego większości współczesnych panujących. Różni historycy nazywają go królem filozofem, nie trzeba go jednak sobie wystawiać przechadzającego się pod kolumnami zamków neapolitańskich i rozmyślającego nad tem, jakby ludzkość uszczęśliwić; był on człowiekiem praktycznym, jak większość ludzi odrodzenia, chodziło mu o utrzymanie państwa dla siebie i swoich następców. Zanim doszedł do włożenia sobie na głowę neapolitańskiej korony, dużo musiał przejść walk i zawodów.

Jako młodzieniec objął panowanie (1416) po ojcu Ferdynandzie I w królestwach Aragonji, Walencji, Majorki i Sycylji, w hrabstwie Roussillon i w Sardynji. Ale utrzymanie tej ojcowizny nie było łatwe; pierwsza część życia upłynęła mu też na ciągłych walkach w Tunisie albo z genueńczykami. Gdy w r. 1420 przygotowywał wyprawę przeciw Genui, przybył do niego poseł neapolitański Malizia Carafa z prośbą, aby ratował Joannę II, gdyż pretendent do neapolitańskiego tronu, Louis d'Anjou i connetable Attendolo Sforza oblegali Neapol. Otoczenie Alfonsa odradzało mu tej niebezpiecznej wyprawy, ale rycerski Hiszpan nie chciał odmówić prośbie uciśnionej kobiety i postanowił iść jej w pomoc. Zresztą postanowienie to nie polegało na powodach ściśle rycersko-idealnych; Carafa był upo-

mgr A. Leichert

ważniony oświadczyć Alfonsowi, że Joanna II z wdzięczności zaadoptuje go i zamianuje następcą swoim na tronie neapolitańskim.

Alfons wysłał flotę pod wodzą Ramona Periglisa na pomoc królowej, oswobodził Neapol od oblegających, ale nie liczył się z tem, że ma do czynienia z kapryśną i niestałą kobietą, zostającą pod wpływem zmieniających się kochanków. Wówczas panował nad nią i nad Neapolem Sergianni Caracciolo, który był przeciwnikiem Alfonsa, uważając go może za niebezpiecznego rywala w łaskach królowej. Pod jego wpływem cofnęła Joanna adopcję Alfonsa, a natomiast pogodziła się z pretendentem Ludwikiem d'Anjou, dając mu niejako w zastaw, że dotrzyma swej obietnicy obdarzenia go koroną neapolitańską, księstwo kalabryjskie, które zazwyczaj należało do następców tronu.

Dopóki królowa żyła, Alfons niebardzo się dopominał o swoje prawa, mawiał, że trzeba mieć wyrozumienie dla monarchini z powodu jej kobiecej niestałości i nie należy zapominać, że przeciw swej naturze musi być mężczyzną i królem. Po śmierci jednak Ludwika III d'Anjou, który umarł z końcem 1434 r., i po śmierci królowej (w lutym 1435 r.) postanowił opanować królestwo neapolitańskie. Ale rejencja wyznaczona przez zmarłą, i większość baronów nie chciała go uznać, uważając za przyszłego następcę tronu Renata d'Anjou, brata zmarłego Ludwika. René, hr. Prowancji, bardzo lubiany, zwany „le Bon", z powodu swej dobroci i nieszczęść, które przeszedł, był niebezpiecznym współzawodnikiem. Ożeniony z Izabellą lotaryńską, zamierzał po śmierci jej ojca, Karola, objąć Lotaryngję w posiadanie; ale pobity przez stryja Izabelli, hrabiego de Vaudemont, dostał się do więzienia wraz z synem, księciem Kalabrji. Utalentowany malarz, przepędzał czas w wieży na dekorowaniu ścian swej kaźni. Joanna II, mianując go swym następcą, wykupiła go za bardzo wysoką cenę, a Prowansale tak się ucieszyli jego uwolnieniem, że złożyli sto tysięcy florenów w złocie, aby miał potrzebną sumę na pierwsze wydatki. Papież Eugenjusz IV także był przeciwny Alfonsowi i zastrzegł się, że królestwo neapolitańskie, jako kraj lenny, powinno wrócić do papieskich posiadłości. Stronnikami Alfonsa byli tylko: potężny książę Tarentu, książę Sessy i hrabia na Fondi. Alfons nie przeląkł się wszakże wielkiej potęgi

opozycji; szybko zgromadził flotę w Messynie, a z początkiem kwietnia 1435 r. wylądował w Sessa, gdzie go oczekiwali stronnicy. Także Kapua oświadczyła się za nim, a ponieważ od zdobycia nieprzyjaznej mu Gaety wiele zależało, więc zaczął oblegać tę fortecę, aby się zabezpieczyć od napadu wrogich mu genueńczyków. W czasie tego oblężenia okazał Alfons dużo ludzkości, gdy bowiem miasto z powodu braku pożywienia wygnało poza mury starców i dzieci, kazał nakarmić zgłodniałych i pozwolił im udać się, gdzie zechcą. Tymczasem nadpłynęła na odsiecz genueńska flota i po zaciętej bitwie morskiej koło wyspy Ponza zwyciężyła 5 sierpnia 1435 r. galery Alfonsa. Sam król, bracia jego, Don Juan, król Navary, Don Enrique, wielki mistrz, i wielu hiszpańskich magnatów dostało się do genueńskiej niewoli. Tylko infant Don Pedro zdołał uciec na Sycylję, gdzie szybko zebrał nową flotę i już w grudniu podpłynął pod Gaetę. Zanim się genueńczycy opatrzyli, Don Pedro zajął twierdzę na Boże Narodzenie 1435 r. bez strzału, wskutek zdrady kogoś z oblężonych.

Alfons niedługo zostawał w niewoli. Genueńczycy oddali go ówczesnemu swemu panującemu, księciu Filippo-Marji w Medjolanie, ostatniemu z rodu Viscontich, który zachwycony rozumem i politycznemi planami Aragończyka, nietylko dał mu wolność, ale nawet zawarł z nim przymierze zaczepno-odporne. Alfons powrócił do swojego wojska i drugiego lutego 1436 r. wszedł do Gaety, która się narazie stała jego stolicą, dopóki nie zdobył całego królestwa neapolitańskiego. Poznawszy go bliżej, przechodzili baronowie do jego stronnictwa i tylko sam Neapol najdłużej mu się opierał. Dwa razy musiał oblegać miasto; w r. 1439, podczas pierwszego oblężenia zginął jego brat Don Pedro, do którego najbardziej był przywiązany, ale następnego oblężenia stolica nie wytrzymała i drugiego czerwca 1442 r. poddała się nowemu panującemu, a za jej przykładem poszło całe królestwo.

Istnieje medal Wiktora Pisana, przedstawiający bardzo charakterystyczną głowę Alfonsa I, wybity w r. 1449, w siedm lat po ostatecznem zajęciu Neapolu. Medal już z tego względu zajmujący, że po prawej stronie popiersia odbita jest korona, po lewej zaś hełm, o który opiera się książka, rycerz i huma-

nista. Na medalu uderza energiczny i pełen powagi wyraz twarzy króla; nos duży, ale foremny, usta stosunkowo małe. Widocznie Alfons miał jeszcze w późniejszych latach bujne włosy, bo medal świadczy o tem dostatecznie. Spoglądając na tę głowę rozumnego człowieka, mimowoli przychodzi na pamięć powiedzenie Antonia Beccadellego, że gdyby Alfons nie był królem, byłby znakomitym filozofem. Nam się jednak zdaje, że filozofja w tej głowie zajmowała plan drugi, a na pierwszym umieściły się właściwości rycerza i króla [1].

Pisano zrobił wówczas jeszcze dwa medale na cześć Alfonsa; jeden na pamiątkę wjazdu króla do Neapolu 26 lutego 1443 r., drugi łowiecki. Na pierwszym przedstawiona jest Victoria na rydwanie, zaprzężonym w cztery rumaki, które prowadzą dwaj paziowie, na drugim młody myśliwy spogląda na ranionego dzika, którego trzyma pies za ucho. Napis „Venator intrepidus" oczywiście odnosi się do króla.

Do powyższych medali znajdowały się do niedawnych lat oryginalne rysunki Pisana w kolekcji Vallardi w Paryżu.

Alfons chciał się odrazu przedstawić neapolitańczykom w całej powadze i królewskiej pompie, a przez to podziałać na wrażliwą wyobraźnię ludności. Wjazd królewski był wzorowany na rzymskich triumfach i widocznie humaniści, otaczający Alfonsa, wystudjowali cały pochód. Życzyli sobie nawet, aby król, podobnie jak starożytni triumfatorowie, kazał sobie twarz pomalować cynobrem na czerwono, na co Alfons się roześmiał, mówiąc, że takie malowanie przystoi raczej Bachusowi, który jest wynalazcą wina, a nie triumfów.

Tristan Caracciolo powiada, że żaden z panujących nie umiał tak po królewsku występować, jak Alfons. Gdy dawał podarunki, to były to prawdziwie monarsze dary; festyny, wesela w królewskiej rodzinie obchodzone były z niewidzianym przepychem; neapolitańczyków bawił turniejami i wspaniałemi bankietami, a jako król ściśle katolicki, kazał urządzać publiczne przedstawienia scen religijnych. To nie przeszkadzało wszakże,

[1] W Musée Jacquemart-André w Paryżu, pod Nr. 1044 istnieje portret Alfonsa I z podpisem Re di Ragona. W katalogu zapisany jako malarz: „Franceschi (élève inconnu de Pietro dei); milieu du XV siècle. — Panneau. Tempera H. cm. 59. L. cm. 45. — Acq. Bardini, Florence, 1894".

że pamiętał o osobistych przyjemnościach, dużo polował, zastawiał sieci na ptactwo, a przedewszystkiem hołdował miłosnym stosunkom.

Zaraz w początkach panowania zabrał się do odrestaurowania i powiększenia królewskiej siedziby Castel-Nuovo, a gdy budowa została ukończona, starał się urządzić komnaty z największym przepychem; purpurowe kobierce, haftowane złotem i srebrem, były porozrzucane na stołach, spoczywających na nogach naśladujących wieże, albo rzeźbionych w kształty dziwnych zwierząt. Tu i ówdzie lśniła się kosztowna broń, zawieszona na ścianach, albo zwracały uwagę artystyczne naczynia, nieprzeznaczone do użytku, ale mające tylko sprawiać rozkosz widzowi. Klejnotów, pereł, diamentów posiadał Alfons taką ilość, że jego skarbom nie mógł żaden z monarchów dorównać.

Król wstawał bardzo rano, a ubrawszy się, szedł do zamkowej kaplicy i odmawiał klęcząco modlitwy, zwane „horami", następnie słuchał mszy św. i dopiero zabierał się do codziennych zajęć. Postów pilnował z największą ścisłością, w dnie, poprzedzające święto Matki Boskiej i w dzień „siedmiu boleści" nie jadł nic prócz chleba i wody. Kościoły obdarzał kosztownemi sprzętami i sprowadzał słynnych śpiewaków z całej Europy, aby uświetniali nabożeństwa. W rzeczach religijnych był jednak podobny do wszystkich książąt odrodzenia; odróżniał religję od sług kościoła. Rzymu nienawidził, a gdy raz w towarzystwie była mowa o tem, że harpje gnieździły się na wyspach, co obraziło jednego z przytomnych mieszkańców Sycylji, król zwrócił się do niego z żartobliwem zapewnieniem, że te żarłoczne ptaki oddawiendawna przeniosły się z wysp do rzymskiej kurji gdzie się stale osiedliły.

Alfons I zanadto długo walczył z Francuzami, aby żywić dla nich uczucia przyjazne; lekceważył też naród powyżej Pirenejów i mawiał, że tam mieszkają same lekkoduchy, a im starszy Francuz, tem bardziej lubi tańczyć. O tańcu zaś miał bardzo złe wyobrażenie i utrzymywał, że tańczący niczem się nie różni od warjata, chyba co najwięcej tem, że w chwili tańca jest obłąkanym, a po tańcu brakuje mu „piątej klepki". Zresztą nie można się dziwić człowiekowi, jak Alfons, który przez lat dwadzieścia dwa walczył z największą wytrwałością, aby zapanować

nad Neapolem, którego żadne niebezpieczeństwo, żadna klęska, żadna trudność nie odstraszała od osiągnięcia zamierzonego celu, że mu taniec wydawał się czemś chorobliwem.

Odwaga zawsze cechowała Alfonsa. Gdy się raz jego wojsko przeprawiało przez Volturno, silny prąd rzeki porwał jakiegoś rycerza, nazwiskiem Butarda. Król zawołał z brzegu, aby go ratowano, a gdy się nikt nie ruszył, Alfons spiął konia, rzucił się do rzeki; za jego przykładem poszedł jeszcze inny rycerz, Innico Guevra, i obydwaj wyciągnęli już napół nieżywego Butarda. Król kazał trzymać topielca głową nadół, aby woda z niego wyszła i uratował biedaka. Gdy Butardo oprzytomniał, zaczął z wdzięczności krzyczeć: „Aragon! Aragon!“

Król nie lubił kłamców, pogardzał nimi i mawiał, że najbardziej kłamią ludzie, którzy dużo czytali, dużo podróżowali i dużo przeżyli; ale mimo to sam miał życie bardzo awanturnicze, a gdy szedł spać, kładł książki pod poduszkę, aby czytać, gdy się obudzi w nocy.

II

W czasie swych długoletnich wojen Alfons otaczał się zawsze ludźmi uczonymi i popierał humanistów. Do bliskiego otoczenia króla należał przez długi czas Garcia Aznar de Annon, który w r. 1435 został biskupem Leridy. Alfons używał go do ważnych dyplomatycznych układów. Najulubieńszym jednak jego literackim towarzyszem był lektor Antonio Beccadelli, zwany Panormitą. Ten Antonio urodził się w Palermo 1394 r., tam się wcześnie ożenił, roztrwonił posag swej żony, opuścił ją i udał się na kontynent na studja. Wałęsał się, jako prawdziwy humanista, po Rzymie, po Bolonji, Florencji, Sienie i w tej włóczędze napisał zbiór poezyj, któremu dał nazwę *Hermaphroditus.* Poezje te nadały mu pewien rozgłos literacki, były bowiem pisane wcale dobrą łaciną, na wzór ulotnych wierszy Tybulla, Katulla, Propercjusza i innych erotyków rzymskich. Gdy dzisiaj przerzucamy te wiersze, musimy się dziwić, jak mało wtedy wymagano od humanisty-poety; w poezjach Panormity niema dowcipu, ale natomiast obrzydliwości aż zanadto. Wprawdzie i wówczas niektórzy humaniści uderzali na niemoralność

autora, ale koniec końcem *Hermaphroditus* dał Sycylijczykowi pewne „stanowisko“ pomiędzy uczonymi. Powiadają wprawdzie, że stary Cosma Medici rzucił te piśmidła na kominek; ale natomiast medjolański arcybiskup Capra sądził, że są to wiersze, którychby się sam Phoebus nie powstydził. Temu księciu kościoła zawdzięczał Beccadelli, że mu Filippo-Maria Visconti dał posadę nadwornego poety i kazał mieszkać w Pawji. Książę-dziwak, jakim był Filippo-Maria, nigdy nie widział Panormity i włożył tylko na niego obowiązek, aby napisał o nim poemat, oczywiście wynoszący go pod niebiosy. Ale poeta, który po raz pierwszy w życiu miał wygodne mieszkanie i stół obfity, wolał się kłócić z innymi humanistami, pisać na nich paszkwile, aniżeli silić się na pochwały dla Filipa-Marji. Szło mu to niesporo, zwłaszcza, iż miał przekonanie, że sam fakt, że książę utrzymuje na swym dworze tak znakomitego, jak on, poetę, wystarcza, aby przeszedł do potomności pełen chwały. Beccadelli bowiem, jak wszyscy humaniści, powtarzał przy każdej sposobności, że najznakomitsi panujący utonęliby w morzu niepamięci, gdyby nie mieli poetów, opowiadających ich czyny. Nadarzyła się jednak sposobność, że Beccadelli mógł sięgnąć po najwyższe wawrzyny. Gdy bowiem król Zygmunt przejeżdżał przez medjolańskie kraje do Rzymu, aby tam przyjąć cesarską koronę, Beccadelli umiał się tak podchlebić monarsze, że ten uwieńczył go w maju 1432 r. w Parmie wawrzynem. Król Zygmunt był zresztą we Włoszech szczodry w udzielaniu łask, które nic nie kosztowały.

To uwieńczenie wzbiło jednak tak dalece w dumę naszego poetę, że w obronie swego *Hermaphrodita* zaczął walkę z bardzo poważną w Medjolanie osobistością, z franciszkaninem da Rho i napisał na niego złośliwe wiersze. Nieprzyjaciel był niebezpieczny, mający wpływy u księcia, a sam Beccadelli dał franciszkaninowi broń przeciwko sobie, gdyż żyjąc kilka lat kosztem księcia, nietylko że nie napisał owego pochwalnego poematu, który się zobowiązał ułożyć, ale go nawet pisać nie zaczął. Źródło więc dochodów zaczęło wysychać; Beccadelli czuł, że trzeba się oglądać za innem stanowiskiem, a ówczesne jego listy do przyjaciół nastrojone są na bardzo smutną nutę. W liście do innego humanisty, do Lorenza Valli, z którym się za-

przyjaźnił, opisywał wtedy swoją wilegjaturę w okolicy Pawji, która nie zgadzała się ze „stanowiskiem“ uwieńczonego poety.

„Mieszkam w domu, pisał Beccadelli, który właściwie powinienbym nazwać chlewem. Tak tam ciemno, że nawet sowy tego pałacu unikają; wszędzie pełno sadzy, zgnilizny, pajęczyny i brudu wszelkiego rodzaju, aby się zaś buda nie zawaliła, wszędzie jest belkami podparta. W nocy słyszę, jak wstrętne baby piorą bieliznę i zamiast śmiać się, wrzeszczą i jęczą. Co gorsza, w sąsiedztwie jest boisko, gdzie młócą zboże, jak można, najgłośniej. Tutaj więc, jak widzisz, jestem ogłuszony i oblężony przez świnie, kury, gęsi, osły i woły, te stworzenia otaczają mnie całemi wałami błota i gnoju i zmuszają siedzieć w izbie, gdyż nawet w wysokich butach obawiam się za próg wychylić. Ale i w domu nie jestem bezpieczny; co chwila myszy gromadnie mnie napadają, albo staczają walki pomiędzy sobą. A cóż dopiero mówić o komarach, pchłach, muchach, osach, pszczołach i niezliczonych innych plagach, które mi nie dają spocząć...“

Wobec takich przyjemności, nie dziw, że nasz humanista myślał o jakiej nowej posadzie. Próbował dostać się do Ferrary, gdzie margrabia Niccolo gromadził około siebie uczonych i literatów; ale starania się nie powiodły, zapukał więc przez dawnego znajomego, Giacoma Pellegriniego, sekretarza królewskiego w Neapolu, do Alfonsa I. Tam go przyjęto. Alfons zamianował go jednym ze swoich sekretarzy i wyznaczył mu płacę z podatku konsumcyjnego od wina w Palermo. Nie była to pierwszorzędna hipoteka, ale przecież jakie takie zapewnienie. Na wiosnę 1435 r. objął Beccadelli nową posadę, a były to czasy wojenne. Poeta towarzyszył królowi podczas oblężenia Gaety i odtąd prawie go nie odstępował, chyba że był wysłany w jakiem poselstwie.

Humanistyczne otoczenie Alfonsa zwiększyło się prawie równocześnie o dwóch jeszcze uczonych, Lorenza Vallę, którego Antonio znał dawniej i w przyjacielskich zostawał z nim w stosunkach, i Bartolomea Faccio ze Spezzji. Lorenzo Valla, rzymianin, w młodych jeszcze latach otrzymał posadę profesora retoryki w Pawji; ale pokłóciwszy się z tamtejszymi prawnikami o naukowe teorje, bawił odtąd częścią u krewnych w Piacenzy, częścią w Medjolanie. W owych cza-

sach napisał dialog o namiętności i prawdziwem dobru *(De voluptate ac de vero bono)*, który go sławnym uczynił. Jest to rzecz, jak na owe czasy, z niesłychaną śmiałością napisana i Valla mógł się uważać za szczęśliwego, że go inkwizycja za tę rozprawę na stos nie skazała. Autor wprowadza znane wówczas osobistości w naukowym świecie, jak Antonio Loschi, Poggio Bracciolini, Leonardo Bruni, Antonio Panormita i kilku innych, jak schodzą się na Monte Giordano koło Rzymu i rozprawiają o tematach filozoficznych, a przedewszystkiem o tem, co stanowiło jeden z najważniejszych tematów rozpraw w uczonym świecie starożytnym, co właściwie jest najwyższem dobrem? Jeden z towarzystwa, Leonardo Bruni, wykłada w tej mierze zasady stoików, gdyż uchodził za wyznawcę ich zasad, sądzi, że ilość cnót ludzkich jest daleko mniejsza, aniżeli błędów i że każda cnota graniczy z dwoma błędami. I tak dobroczynność ma dwie brzydkie sąsiadki: skąpstwo i rozrzutność, pilności sprzeciwiają się lenistwo i nadmiar pracy, a każda cnota stoi właściwie pośrodku pomiędzy dwoma błędami. Co gorsza, człowiek bardziej się skłania do złego, aniżeli do dobrego, a nawet taki Jowisz, najwyższy bóg starożytności, nie zadawalniał się swą piękną małżonką Junoną, lecz wdawał się w miłostki ze śmiertelnemi dziewczętami, jak Leda i Danae. Świat jest tak zły, że cnota kole ludzi w oczy, a tacy zacni mężowie, jak Sokrates, Scypjon, Cyceron, Seneka i wielu innych, tylko z powodu swej cnotliwości byli prześladowani. Zresztą sama przyroda daje człowiekowi zły przykład, występuje wobec niego jako nieprzyjaciółka, zsyłając pomór, głód, pożary i powodzie.

Panormita, drugi interlokutor, skłaniał się do zasad epikurejczyków, co zresztą zupełnie odpowiadało praktyce jego życia. Utrzymuje on, w przeciwieństwie do zasad stoików, że natura nas dobrze wyposażyła i postawiła wśród przyjemności życia. Do nas należy korzystać z tego; najwyższem dobrem jest jedynie użycie (voluptas), korzystanie z rozkoszy, jakie nam dać może ciało i dusza. Absolutna cnota stoików jest pojęciem niezrozumiałem, pomiędzy nią a epikurejskiem użyciem niema zgody, niemożliwe porozumienie. Ażeby używać, trzeba być zdrowym; bez silnego ciała nie można odczuć rozkoszy, którą natura nastręcza. Siłę przewyższa jeszcze piękność, mianowi-

cie piękność kobiet, bo nad ich urodę niema nic piękniejszego na świecie. Lecz ten ich urok nie mieści się tylko na twarzy, ale w całem kobiecem ciele.

Parnomita więc jest, tego zdania, że kobiety powinny, zwłaszcza w lecie, chodzić całkiem albo w części obnażone, jest to bowiem krzyczącą niesprawiedliwością, aby kobieta musiała przed okiem ludzkiem zakrywać to, co ma najpiękniejszego. Piękność jest rozkoszą, jest dobrem, z którego każdy powinien korzystać, kto ma zdrowe oczy. Panormita posuwa się jeszcze dalej w swych wywodach i popiera to, co się dzisiaj nazywa wolną miłością, jest przeciwnikiem małżeństwa. Wolna miłość usunęłaby wiele nieszczęść. „Gdyby np. Menelaus wypożyczył Helenę, przynajmniej na jeden miesiąc, to nie byłoby doszło do wojny trojańskiej“. Nasz interlokutor jest w konsekwencji największym nieprzyjacielem kobiecego celibatu i sądzi, że z tym wstrętnym zwyczajem powinno się walczyć wszelkiemi sposobami. Jest on za tem, aby kobiety co do stosunków miłosnych miały te same prawa, co mężczyźni. Zaprzecza także, aby miłość ojczyzny przynosiła ludzkości jakiekolwiek korzyści; „ojczyzna tam, gdzie nam dobrze“. Jako główną zasadę swej etyki głosi zasadę, „że każdy powinien stawiać wyżej większą korzyść nad mniejszą, a mniejsze zło nad większe“. Stąd wyniknie, że kto źle i niesprawiedliwie postępuje, sam sobie szkodzi. Złe postępowanie wobec bliźnich polega tylko na niezrozumieniu własnej i powszechnej korzyści. Kto chce być szczęśliwy, musi mieć i szczęśliwe otoczenie.

Panormita zakończył swoją przemowę tem, że zaprosił towarzyszy na dobry obiad do swego domu, aby się w praktyce przekonali o zaletach epikureizmu.

Pokrzepiwszy ciało i ducha, rozprawiali dalej nasi filozofowie, a mianowicie słynny Nicola Niccolini wykazywał sofizmaty w wywodach swoich poprzedników; utrzymywał, że tak Poggio, jak i Panormita rozprawiali jak poganie, że jednak prawdziwe cnoty ogłosiło chrześcijaństwo w zasadach wiary, nadziei i miłości.

Z tych dialogów wynika jednak, że Valla właściwie skłaniał się do epikureizmu, a tylko z obawy, aby zanadto nie obruszyć przeciw sobie duchowieństwa i ochronić się przed wyrokami

inkwizycji, kazał przemawiać Niccoliniemu w duchu chrześcijańskim.

Valla napisał także krótki dialog o wolnej woli (*De libero arbitrio*), tudzież dialog o ślubach zakonnych (*De professione religiosorum*), w którym uderza na zakonników; powiada, że gdzie tylko zawiązuje się jakaś intryga, tam z pewnością nie brak mnichów, że ta sekta nie ma zupełnie prawa wynosić się nad ludzi, którzy nie składali fałszywych ślubów i że jest dla społeczeństwa szkodliwa. Co nadaje temu dialogowi jeszcze większej wagi, to dedykacja pisma Baptyście Platamonowi, jednemu z najbardziej wpływowych doradców Alfonsa, którego król obdarzał najzupełniejszem zaufaniem. Widocznie więc zakonnicy nie cieszyli się sympatją samego króla i Alfons chętnie byłby zniósł zakony, gdyby to w ówczesnych stosunkach było możliwe.

Wogóle pisma Valli odsłaniają nam prądy, jakie panowały w otoczeniu Alfonsa. Król zaprowadził zwyczaj, że w wolnych chwilach zbierało się u niego towarzystwo uczonych i znakomitych dworzan; na tych posiedzeniach czytano starożytnych autorów, rozbierano ważniejsze z ich dzieł ustępy, a król był zadowolony, jeżeli się z tego powodu toczyły ożywione rozprawy.

Niema wątpliwości, że z rozmów z królem wynikła rozprawa Valli o mniemanej darowiźnie cesarza Konstantyna, na której papieże opierali swe panowanie nad Rzymem. Alfonsowi i wszystkim monarchom Neapolu zawadzała ta teorja „suzereństwa" papieskiego, która już tyle wojen sprowadziła na państwo. Alfons chciał wykazać, że prawa papiestwa do świeckiego panowania nad Rzymem, a tem samem i nad Neapolem nie istnieją, czego się podjął Valla na podstawie nie istniejącej jeszcze wówczas krytyki dokumentów i użytego w nich języka. Rozprawa Valli narobiła wielkiego hałasu, gdyż była napisana z gruntowną nauką, wielką znajomością historycznego materjału i z taką śmiałością, iż prawie trudno uwierzyć, iż taki akt mógł powstać w XV wieku. Duchowieństwo też po większej części przemilczało tę rozprawę, a sam Valla później niewiele o niej wspominał, gdyż za panowania bardzo światłego i wolnomyślnego papieża, Mikołaja V, otrzymał liczne beneficja i zawarł wskutek tego pokój z kurją apostolską. Sprzedawanie

swego wpływu i swych przekonań było czemś tak zwykłem u humanistów, że prawie się dziwić nie można Valli, że się zaparł swej przeszłości. Handlowali oni swym rozumem i swoją nauką, szli za tym, kto dawał więcej. Valla jednak o tyle w tej mierze stanowi wyjątek, że swemu największemu dobrodziejowi, Alfonsowi I, został zawsze wierny i że nawet w ostatnim roku życia pojechał z Rzymu do Neapolu, aby odwiedzić swego dawnego pana.

Rozprawa Valli, wymierzona przeciw świeckiej władzy papieża, nie odniosła narazie skutku, a natomiast inny, ściśle naukowy i literacki traktat o *Elegancjach* języka łacińskiego ugruntował jego sławę. Valla postanowił w tem piśmie oczyścić język łaciński, jaki był wówczas w użyciu, z barbaryzmów średniowiecznych i przywrócić mu, o ile możności, klasyczną czystość. Rzecz mu się udała, uwagi jego stały się prawie kodeksem dla humanistów.

Wogóle Valla był człowiekiem głębokiej wiedzy, wszystko go zajmowało, nawet nauki przyrodnicze, i to stało się powodem, że Panormita, o wiele płytszy od niego umysł, zaczął go nienawidzić. Raz przywieziono królowi olbrzymią głowę jakiegoś płaza, którą Panormita uznał jako paszczę smoka; gdy jednak Valla dowiódł, że to głowa krokodyla, poeta czuł się bardzo upokorzony; również nie mógł darować, że podarowane innym razem Alfonsowi jakieś obce zwierzę jedynie Valla rozpoznał, że to bóbr, co zdołano dowodnie stwierdzić. Zresztą podczas uczonych rozpraw na dworze Valla tak często musiał zbijać twierdzenia Panormity, że poeta zczasem zawrzał zawiścią przeciw młodszemu od siebie uczonemu. Po stronie Panormity stał zawsze inny nadworny humanista, Bartolomeo Faccio ze Spezzji w Ligurji, uczony drugiego rzędu, ale ci przyjaciele nie mogli zwyciężyć Valli, zawsze gotowego do obrony.

Zresztą Alfons umiał ocenić tak samo zdolności Panormity, jak i uczoność Valli. Gdzie trzeba było zręczności, tam używał pierwszego, bardzo go nawet lubił i nadawał mu urzędy, przynoszące znaczne dochody. Kazał go także wpisać w listę neapolitańskiej szlachty, przydzielając do Sedile di Nido. Najbardziej jednak musiało Antonia ucieszyć, gdy mu król darował willę w Palermo, okoloną dużym ogrodem. Mógł zapomnieć o wile-



Ludwik II d'Anjou
(Według sztychu ze współczesnego pastelu)

gjaturze w Medjolańskiem, o komarach, o babach, piorących bieliznę, i panoszyć się w królewskiej willi, która mu tem bardziej schlebiała, że jak pisał, boski Augustus Wergilego i Horacego także willami obdarzył. Mógł sobie zatem wyobrażać, że się zrównał z wielkimi poetami starożytności. Był zamożny, miał dom własny, więc postanowił się ożenić po raz trzeci. Koledzy humaniści zapytywali się z pewną złośliwością, co się stało z drugą jego żoną, którą poślubił w Pawji, ale wyraźnej na to odpowiedzi nie mamy. Owa małżonka w Pawji, Philippa, była, jak Valla utrzymywał, wdową, miała córkę dorosłą i małżeństwo musiało się zakończyć jakąś katastrofą, „bo Antonio wolał córkę, aniżeli matkę". Dość, że Panormita był już wolnym człowiekiem, a pomimo lat przeszło pięćdziesięciu zakochał się w szesnastoletniej neapolitance, Laurze Arcelli i poprowadził ją do ołtarza. Król Alfons nie był zadowolony z tego małżeństwa, uważając, że Laura będzie nieszczęśliwa, bo Parnomita za stary na nowe związki; przyjaciele także drwili sobie z poety, ale przyszłość okazała, że i król i przyjaciele się mylili, bo Laura obdarzyła Panormitę synem i córką i małżeństwo było bardzo z siebie zadowolone.

Do szczęścia już nic Panormicie nie brakowało, gdyby mu tylko Valla nie był zawadzał. Stosunki pomiędzy dwoma współzawodnikami bardzo się zaostrzyły z następującego powodu. Alfons polecił Valli, aby napisał żywot jego ojca, Ferdynanda I, króla Aragonji. Valla ukończywszy pracę, dał rękopis, ale jeszcze nie poprawiony, do przechowania królewskiemu bibljotekarzowi, Ludwikowi Castadi, gdyż musiał wyjechać na jakiś czas do Rzymu. Tymczasem Panormita i Faccio wypożyczyli sobie ów skrypt, powyszukiwali w nim różne błędy przeciw łacińskiemu językowi i wydali z tego powodu paszkwil na Vallę, posądzając go o nieuctwo. Valla jednak nie był człowiekiem, któryby łatwo znosił literackie obelgi; napisał więc otwarty list do Faccia, gdyż pod jego nazwiskiem paszkwil był wydany, pełen największych obelg na Faccia, a przedewszystkiem na Panormitę. Zwyczajem humanistów stawiał Valla prywatne życie Panormity pod pręgierz, tak, że się rzecz oparła aż o króla. Alfons kazał sobie przeczytać to pismo, ale wysłuchawszy początku niesmacznej inwektywy, przerwał czytanie, uważając

ją za rzecz niegodną królewskiej uwagi i na tem się sprawa skończyła.

Ale innym razem o mało, że nieprzyjaciele Valli nie triumfowali. Na jakiejś literackiej schadzce powstał spór pomiędzy Vallą a nadętym bernardynem, Fra Antonim da Bitonto o autentyczność listu Chrystusa do króla Abgarusa z Edessy. Wskutek tej rozprawy wystąpił bernardyn z kazaniem w swym kościele, w którym namiętnie uderzył na Vallę, nazywając go kacerzem. Valla nie był dłużny odpowiedzi; ogłosił, że będzie dysputował z mnichami w kościele Santa Maria Incoronata i zaprosił na tę uroczystość następcę tronu, Ferdynanda i wszystkie znakomitości Neapolu. Król się o tem dowiedział, a obawiając się nieprzyjemnych zajść, kazał dysputę odroczyć, dopóki sam nie będzie mógł na niej być obecny. Był to grzeczny zakaz odbycia dysputy; Lorenzo podejrzywał, że bernardyni wystarali się u Alfonsa o ten zakaz, obawiając się porażki; więc kazał przybić na drzwiach kościoła następny złośliwy dwuwiersz:

Rex pacis miserans sternendas Matre phalangas
Victoris cupidum continuit gladium.

Za ten wiersz zakonnicy się zemścili. Tego im było za wiele. Podstępnie zaprosili Vallę niby na dysputę, a był to w rzeczywistości już złożony na niego sąd inkwizycji, którą w Neapolu wykonywali dominikanie w myśl postanowień Innocentego IV. Mieli oni wielką ochotę skazać gościa na stos, ale król, będący nieprzyjacielem inkwizycji, wdał się w całą sprawę i Lorenzo wyszedł szczęśliwie z zasadzki.

Spory z Panormitą, zawiść mnichów, wszystko to zatruwało Valli pobyt w Neapolu; korzystał więc z przyjaznego dla siebie usposobienia papieża Mikołaja V, aby się przenieść do Rzymu. Antonio został w ten sposób panującym humanistą w Neapolu, a nawet po śmierci Alfonsa (27 czerwca 1458) umiał pozyskać łaski króla Ferdynanda, który go używał do rozmaitych dyplomatycznych misyj. Był on jednym z humanistów, którym szczęście sprzyjało, dorobił się dużego majątku, miał spokojną starość i pozostawił syna Antonina, który także został dygnitarzem neapolitańskiego państwa.

Parnomita umarł w Neapolu w siedmdziesiątym ósmym roku życia, a nie odstępując od zwyczaju humanistów, sam sobie napisał wierszowane epitafium.

Z pism Panormity dwa jeszcze dzisiaj nas zajmują. *Hermaphroditus,* który do pewnego stopnia jest ilustracją czasu, i zbiór anegdot o królu Alfonsie, pisany około r. 1455, pod tytułem *De dictis et factis Alphonsi, regis Aragonum.* Pod względem ściśle literackim ten życiorys króla, opowiedziany anegdotami, nie ma wielkiej wartości, ale do scharakteryzowania tego znakomitego panującego jest nieocenionem źródłem. Książka składała się z czterech części, które jednak nie mają w sobie ani logicznego ani historycznego związku; ale tę mieszaninę opowiadań chętnie możemy autorowi przebaczyć, bo nam przechował wiele zajmujących faktów i rysów, z których możemy ocenić charakter króla. Wprawdzie wiele anegdot widocznie jest upiększonych i całość pisana w ten sposób, aby Alfonsowi najwięcej powiedzieć pochlebstw, ale łatwo odczuć te kadzidła i oddzielić to, co prawdziwe.

Do pism, któremi Antonio chciał uświetnić pamięć swego dobroczyńcy, należy także mała rozprawa pod tytułem *Alphonsi Regis triumphus,* opisująca uroczysty wjazd króla 24 lutego 1443 r. do Neapolu. Bardzo ważnem zaś źródłem do żywota Panormity i do stosunków jego z innymi humanistami jest jego korespondencja, a przedewszystkiem listy zwane *Epistolae Gallicae,* gdzie niegdzie barwne i dowcipne.

Aby jednak ocenić w zupełności tego ducha antyklerykalnego, jaki panował za Alfonsa I i jego następcy w Neapolu, nie można pominąć jednego jeszcze autora, który wprawdzie nie był uczonym, jak Valla lub Panormita, ale pisał powiastki, nadzwyczaj wówczas czytane. Był to Masuccio z Salerno, który spisywał anegdoty, jakie słyszał, przeważnie skierowane przeciw mnichom. Różni się on tem od Boccaccia, że nie jest tak wykwintnym stylistą, jak jego poprzednik, i że nie czerpie swych historyjek z rozmaitych pisanych źródeł, ale wyłącznie wprost z życia, z tego, co sobie z ust do ust opowiadano. Pisał po włosku i należy bezsprzecznie do twórców literackiego języka we Włoszech; nazwano go też ojczystym pisarzem, „poeta ma-

terno." Jego zbiór powiastek *Novellino*[1] składa się z pięćdziesięciu nowel, z których jedna część przedstawia niemoralne życie księży i mnichów, druga opowiada przygody zazdrosnych mężów, trzecia zajmuje się gorszącemi miłostkami niektórych kobiet, czwarta poświęcona jest anegdotom o tragicznych wypadkach, a piąta wreszcie podnosi szlachetne czyny, wspaniałomyślność znakomitych kobiet, książąt i wielkich panów.

Do niepopularności mnichów przyczyniły się bardzo obydwie królowe Joanny, a osobliwie Joanna II, które, chcąc zmazać plamy swego niemoralnego życia, bez potrzeby pomnażały klasztory, protegowały i wspierały dominikanów i franciszkanów. Kościoły dell' Annunziata, Chiesa di S. Niccolo, klasztor della Croce i św. Antoniego z Padwy, tudzież klasztor St. Martino w Neapolu zawdzięczały tej drugiej Joannie niezmierne bogactwa. Nie wymieniam już tej niezliczonej ilości klasztorów na prowincji, które Joanna II wyposażyła, aby się zakonnicy modlili za zbawienie jej duszy.

Masuccio nazywał się właściwie Tommaso Guardato, pochodził ze szlacheckiej rodziny w Salerno i urodził się około r. 1420. Guardati posiadali dawniej majętność Toricella w okolicy Sorrento, a stąd mieli w herbie złotą wieżyczkę w niebieskiem polu. Nasz Tommaso był sekretarzem księcia Salerno, Roberta Sanseverino, a później jego syna, Antonella, i umarł, jak się zdaje, przed r. 1485. Jako sekretarz jednej z najpotężniejszych rodzin w państwie neapolitańskiem, miał dużo stosunków ze znakomitymi ludźmi w Neapolu; swoje *Novellino* wydał niedługo przed śmiercią. Nowele odznaczają się prostotą, niewyrafinowaną niemoralnością, która raczej pobudza do wesołości, aniżeli szkodliwie działa na czytelnika.

III

Aż po czasy Alfonsa I nie miał Neapol odpowiedniego miejsca na giostry, na rycerskie zabawy; dopiero około r. 1456 rozszerzył król plac Sellaria i z końcem lutego owego roku niejako

---

[1] *Il Novellino* di Masuccio Salernitano restituito alla sua antica lezione da Luigi Settembrini. Napoli, 1874.

na otwarcie nowej części miasta urządzono tam wspaniałą giostrę. Rozszerzenie placu nie obeszło się bez przykrych zajść politycznych, albowiem Alfons kazał zburzyć w powyższym celu gmach ludowy „Seggio del Popolo“, rodzaj klubu, gdzie się zbierali przedstawiciele ludu celem obrad nad swemi potrzebami i nad polepszeniem bytu najniższych klas społeczeństwa. Za dawnych czasów, za króla Roberta, ludowcy „popolani“ mieli ważny głos w zarządzie miasta, a w sedilach neapolitańskich rozporządzali trzydziestu trzema głosami, podczas gdy szlachta, baronowie, mieli tylko piętnaście głosów. Za kobiecych rządów szlachta tak dalece brała górę, że w chwili upadku dynastji andegaweńskiej na pięć głosów reprezentacji szlachty, lud miał tylko jeden głos. Dążeniem dynastji było ograniczyć o ile możności wpływ ludu na rządy, a powiększyć znaczenie szlachty włoskiej i francuskiej, jako głównej podpory korony.

Alfonso także trzymał się tej zasady, tylko że na miejsce francuskich baronów weszła szlachta hiszpańska. Zburzenie więc pałacu ludowego na Piazza Sellaria zdawało się zadawać ostatni cios wpływowi ludowemu na rządy, popolanie nie mieli się gdzie zbierać na narady, przybytek ich zniknął. Oburzenie więc pomiędzy ludem było wielkie, a jeden z odważniejszych popolanów, krawiec Mastro Francesco, nie pominął żadnej sposobności, aby wyzywać Katalanów i podnosić pod niebiosa dawne rządy francuskiej dynastji. Król Alfons dowiedział się o tym swoim nieprzyjacielu, który miał wielki wpływ pomiędzy niższemi klasami ludności, a nawet razu pewnego mógł się naocznie przekonać o bucie owego krawca. Gdy bowiem przejeżdżał ulicą, Francisco stanął mu w drodze i głośno zrobił uwagę, że ten król wprawdzie dobrze siedzi na koniu, z dumą i powagą, ale mimo to powróci król Renato i wypędzi go, jeżeli Bóg pozwoli.

Król posłyszał te groźby i nazajutrz kazał zaprosić krawca do siebie, do zamku. Przestraszony Mastro Francesco sądził, że nadszedł ostatni dzień jego życia, że go powieszą; pożegnał się z żoną i z dziećmi i poszedł do Castel-Nuovo. Tam jednak dziwnego doznał przyjęcia; portjer zamkowy i służba nisko mu się kłaniała, prowadzono go do króla, jakby w triumfie; krawiec pomyślał: „źle! nietylko, że mnie powieszą, ale jeszcze

drwią sobie z ofiary!“ Osłupiał jednak, gdy król tak samo uprzejmie go przyjął, wypytywał o stosunki popolanów, zasięgał jego rady, a wkońcu dał mu dość ciężką sakiewkę, napełnioną złotemi skudami.

Mastro Francesco z nieprzyjaciela stał się największym poplecznikiem dynastji aragońskiej i wszędzie głosił, że tak rozumnego króla jeszcze w Neapolu nie było. Krawiec zapomniał o zburzonym gmachu ludowym na placu Sellaria; zapomnieli i inni popolanie, gdy zobaczyli monarchę w świetnem otoczeniu w dniu owej giostry, z końcem lutego 1456 r.

Tylko ten lub ów „nieprzejednany“ wskazywał na przepiękną kobietę, która siedziała obok króla w monarszej loży, że to ona winna zburzenia domu ludowego, ponieważ zasłaniał jej widok z pałacu, będącego jej własnością. Ale to były tylko złośliwe plotki; owa kobieta, Lukrecja d'Alagno, całem sercem Włoszka-neapolitanka, niemało się do tego przyczyniła, że Alfons I stał się prawie Włochem z Hiszpana i rodzinne swe kraje uważał niejako za kolonje neapolitańskie. Lukrecja odegrała w życiu Alfonsa nadzwyczaj ważną rolę. Król zapoznał się z nią zaraz w pierwszych latach po objęciu tronu neapolitańskiego i do końca życia uwielbiał ją z takim zapałem, z jakim tylko zakochany mężczyzna kobietę, będącą jego ideałem, uwielbiać może. Z małżonką prawą, Marją, łączyły króla raczej dyplomatyczne stosunki, aniżeli miłość; Alfons mawiał często, że małżeństwo wtedy tylko może być zgodne, jeżeli żona jest ciemna, a mężczyzna głuchy. Tym razem nie potrzebował być małżonek głuchy, gdyż królowa Marja prowadziła nadzwyczaj cnotliwe życie w Hiszpanji; ale może właśnie do jej spokoju i to się przyczyniało, że się wyrzekła miłości Alfonsa i w religji szukała pociechy. Pomimo oziębłych stosunków małżeńskich Alfons bardzo cenił królową i gdy mu razu pewnego przyniesiono list od niej, nie omieszkał powiedzieć swemu otoczeniu, jaką mu przyjemność sprawia, gdy odbiera wiadomość od królowej.

Alfons lubił też przy każdej sposobności kończyć rozmowę jakimś morałem, jakąś uwagą godną pamięci; jego powiedzenia nigdy nie były puste, banalne, owszem zawierały zdrową myśl, wynik głębszego zastanowienia. Należał bezsprzecznie do najbardziej wytrawnych umysłów w czasach odrodzenia, przeżył

dużo, czytał wiele, a każdy fakt zapamiętany służył mu jako materjał do osobistych filozoficznych poglądów. W biblji rozczytywał się, jak mówił, czternaście razy, tak, że całe ustępy z *Pisma świętego* nieraz przytaczał napamięć. Seneka, Plato, Liwjusz i Cezar byli jego ulubionymi autorami, woził ich dzieła ze sobą i nigdy się nie znudził, gdy mu je czytano. Szacunek jego dla poważnych dzieł był taki, że do swego rodowego herbu dodał otwartą księgę. W powiedzeniach królewskich, które spisał Panormita, tkwi nieraz głęboka filozofja, spokojne, rozumne zapatrywanie się na świat i ludzi.

Czasem zdaje nam się, że w postanowieniach Alfonsa tkwi coś z wyroków biblijnego Salomona. Według praw hiszpańskich niewolnica, która miała dziecko ze swym panem, stawała się wolną. Otóż jakiś skąpy Hiszpan nie chciał uznać takiego dziecka za swoje, aby nie stracić niewolnicy. Doniesiono o tem Alfonsowi, który rozkazał, aby dziecko wystawiono na licytację i oddano je temu, kto najwięcej za nie zapłaci. Skąpiec rzeczywiście dopuścił do licytacji, ale gdy ktoś obcy chciał zapłacić najwyższą kwotę, niesumienny Hiszpan nie mógł przenieść na sobie tej nieuczciwości i zeznał, że dziecko jest jego synem.

W czynach Alfonsa spotyka się nieraz taką szlachetność duszy, jaką się rzadko widzi u ludzi odrodzenia, zwłaszcza u takich, którzy mieli miecz w ręku. W czasach, kiedy jeszcze walczył o tron neapolitański i kiedy nie mógł na to liczyć, że królowa Joanna II dochowa mu danych przyrzeczeń, zdarzyło się, że płynął z nią i z jej wszechwładnym wówczas kochankiem Caracciolem z Gaety do Neapolu. Towarzysze zwrócili mu uwagę, że teraz nadeszła chwila, aby się pozbyć niesłownej kobiety i jej doradcy; można było bardzo łatwo wrzucić do morza albo zamordować niebezpieczną parę. Alfons jednak odrzucił z oburzeniem podobną myśl, oświadczając, że tron neapolitański zdobędzie prawem, a nie zbrodnią.

Ale ani filozofowie ani królowie odrodzenia nie mogli być bez błędu, osobliwie w rzeczach miłości. Otóż i Alfons liczył się do niewiernych małżonków. Dzieci z królową Marją di Castiglia nie miał, mieszkała ona oddawna opuszczona w dalekiej Hiszpanji. Syn jego, Ferdynand, miał być synem Alfonsa i Katarzyny, żony Henryka, jego brata. Ażeby jednak uratować ho-

nor bratowej, podsunięto małemu Ferdynandowi inną matkę, jakąś Margheritę de Hijar, o którą Marja di Castiglia tak była zazdrosna, że ją kazała udusić. Alfons nie przebaczył swej żonie tego barbarzyństwa, nie chciał jej więcej widzieć i po części temu rozłączeniu się z żoną przypisać należy jego awanturniczy żywot. Według Pontana, sekretarza Alfonsa, rzeczywista matka Ferdynanda nazywała się Gilardona Carlina i zapewne po śmierci Margherity de Hijar podsunęła własne dziecko bratowej Alfonsa, tak, że właściwie Ferrante był synem szewca z Walencji, mahometanina, a nie synem Alfonsa. Gilardona Carlina miała za panowania Ferranta prawie oficjalne stanowisko królowej matki. Opowiadanie Pontana miałoby pewne podobieństwo do prawdy, ile że Ferrante był brzydki, przypominał typ maurytański i odznaczał się okrucieństwem, którego Alfons nie miał w swym charakterze.

Całe lata monarszych starań Alfonsa zmierzały do tego, aby nieślubnemu synowi zapewnić po sobie następstwo na neapolitańskim tronie. Nie było to zresztą tak trudne, jak w późniejszych czasach, gdyż odrodzenie, jak wiadomo, stało się epoką bękartów na włoskich tronach. Rzec można, że trzeba było być nieślubnym synem, aby mieć zapewniony tron po ojcu. W Medjolanie panował bastard, Francesco Sforza, w Ferrarze Borso d'Este, w Romanji i Markach Sigismondo Malatesta. Bolonja miała także swego bękarta, a co najciekawsze, że conte Federico w Urbino, urodzony ze ślubnych rodziców, nie mógł inaczej panować, jak tylko oświadczając, że jest nielegalnym synem swego ojca. Otóż i neapolitańska korona przypadła nieślubnemu synowi Alfonsa, Ferrantowi. Ale mniemana matka Ferranta nie umiała zapanować nad sercem Alfonsa, więc znalazła się inna, której król stał się niemal niewolnikiem, a tą była Diva Lukrecja d'Alagno.

Niestety, nie doszedł nas autentyczny portret tej piękności[1]; ale że była urocza, na to mamy świadectwo takiego znawcy, jak Enea Silvio Piccolomini, późniejszy papież Pius II,

---

[1] Według tradycji, która sprawdzić się nie da, znajduje się w Neapolu w capella Brancaccio u dominikanów obraz, przedstawiający św. Marję Magdalenę, z twarzą Lukrecji d'Alagno. Obraz ten miał Alfons I podarować dominikanom.

który był wielkim przyjacielem Alfonsa i znał Lukrecję; mamy zresztą opinję o niej i innych współczesnych, którzy opowiadają, że król do szaleństwa kochał tę kobietę i że cała Europa zajmowała się jego romansem. Stosunek był tak znany i uznany na obcych dworach monarszych, że gdy w r. 1452 cesarz Fryderyk III przybył ze swoją dopiero co poślubioną małżonką, Eleonorą portugalską, do Neapolu, na giostrze, urządzonej dla młodej pary, pierwsze miejsce w królewskiej loży zajęła cesarzowa, drugie duchessa di Calabria, małżonka Ferranta, a trzecie Lukrecja. A przecież wszystkie wielkie panie królestwa były tam zgromadzone i swą obecnością niejako sankcjonowały stanowisko Lukrecji. Piccolomini bardzo dwuznacznie wyraża się o jej stosunku do króla, pisząc, że „ta panna, czy pani, bo o tem różnie mówią“, nie jest ani niskiego ani wysokiego pochodzenia; rodzice jej byli zacnymi obywatelami neapolitańskimi, a ona umiała w dziwny sposób owładnąć sercem króla, który obdarował ją pałacem i wielkiemi dobrami. Co więcej, całą jej rodzinę tak wyposażył, że krewni Lukrecji mogą żyć jak książęta, a siostry jej powydawał za najpierwszych dygnitarzy dworu.

Nad tym stosunkiem Lukrecji do króla łamią sobie głowę historycy; jedni radziby z niej zrobić Dziewicę Orleańską, utrzymując, że król „nie miał z nią innego stosunku, jak tylko rozmowę“ i zachwycał się tylko jej widokiem, inni zupełnie inaczej pojmowali tę królewską przyjaźń. To pewna, powiada Piccolomini, że król bywa z nią sam na sam i że niema rzeczy, którejby jej odmówił. że podczas samotnych odwiedzin Alfons grał z Lukrecją tylko w szachy, przypuścić trudno, zwłaszcza, że bliska znajomość tych dwojga kochanków trwała lat kilkanaście, a współcześni opowiadają, że król, im był starszy, tem bardziej hołdował Amorowi. Nicodemo, poseł medjolański w Neapolu, pisał raz swemu księciu, że król bardziej folguje swym namiętnościom, aniżeli jego wiekowi przystoi; mówią, że madonna Lukrecja nie opierała się jego żądaniom, a rzeczą jest pewną, że jedna kurtyzana z Traiecto udaje się na żądanie królewskie nocą do Neapolu. Nie mówi się o tem, co bywało w młodych latach Alfonsa, wszak na dworze wychowywały się dwie siostry Ferranta, córki królewskie, a każda z nich miała inną matkę.

W późniejszych latach Alfonsa jedynie Lukrecja umiała zupełnie nad nim zapanować. Piccolomini powiada, że „król w jej obecności o wszystkiem innem zapomina, myśli tylko o niej i ma oczy ciągle na nią zwrócone; podziwia jej rozmowę, rozum, jej ruchy i niezrównaną piękność. Obdarzywszy ją dobrami, oddaje jej honory jakby królowej, a w ostatnich czasach zupełnie się jej poddał, tak, że nic nie można otrzymać od monarchy przeciw woli Lukrecji“. „Niesłychana potęga miłości! — dodaje Piccolomini. — Ten wielki król, pan Hiszpanji, wysp Balearskich, zdobywca krajów, zwycięzca najznakomitszych wojowników, dał się wkońcu zwyciężyć miłości i służy jakby niewolnik młodej kobiecie“.

Są to wrażenia Piccolominiego z czasów, kiedy w r. 1452 jeszcze jako kardynał i ambasador sieneński towarzyszył cesarzowi do Neapolu.

Można sobie wystawić, że siostrzenica Alfonsa, Eleonora portugalska, bardzo była zgorszona, kiedy na trzeciem miejscu koło niej podczas giostry zasiadła jakaś tam neapolitańska donzella, tem bardziej, że wogóle nie była zadowolona ze swego pobytu w Neapolu. Piccolomini opowiada, że wesele cesarstwa w Neapolu dało Alfonsowi i całemu dworowi włoskiemu powód do złośliwych żartów. Fryderyk nie miał ochoty spełnienia małżeństwa we Włoszech, ale rad był akt ten odwlec aż do powrotu do Niemiec. Portugalskie otoczenie młodej narzeczonej było z tego powodu bardzo oburzone na cesarza, a Alfons nie szczędził mu ironicznych uwag i radził, że przecież lepiej przekonać się w Neapolu, czy rzeczy pójdą w porządku, czy nie; gdyby bowiem zaszły jakieś fizyczne przeszkody, toby narzeczona mogła zaraz stamtąd powrócić do ojczyzny. Fryderyk więc z wielką biedą zgodził się na nieprzyjemną dlań ceremonję; ustawiono łoże małżeńskie, zwołano świadków, do których należał Alfons z otoczeniem i portugalskie damy dworu, a akt małżeński miał się odbyć, jak ceremonjał przepisywał. Eleonora pierwsza weszła do łoża, za nią położył się Fryderyk, ale zupełnie ubrany, i kazał przykryć jedną kołdrą siebie i nowo poślubioną małżonkę. Gdy jednak kołdrę zaciągnięto, cesarz złożył pocałunek na policzku Eleonory i wstał tak, jak był, ubrany. Dworskie kobiety podniosły krzyk oburzenia, ale Fryderyk zwrócił się

do uśmiechniętego Alfonsa, zapewniając go, że taki jest zwyczaj w książęcych domach niemieckich.

Portugalskie panie wraz z Eleonorą nie chciały się zgodzić na tego rodzaju zwyczaje, przygotowały więc pod noc wspaniałe łoże dla młodej pary i kazały je księdzu poświęcić kropidłem, umaczanem w święconej wodzie. Fryderyk jednak obawiał się czarów i pozostał wierny swym zasadom aż do powrotu do północnej ojczyzny.

Bardziej może jeszcze, jak Eleonora, wrzała gniewem podczas tej giostry duchessa di Calabria, następczyni tronu, gdyż nie chcąc się narazić królowi, musiała być uprzejma dla Lukrecji, której stanowisko w rodzinie królewskiej aż zanadto dobrze było znane. Poza rodziną królewską starano się oddawać jak największe honory ulubienicy Alfonsa, a przedewszystkiem głosić, że jej stosunek do króla nosi wszelkie cechy niewinnej przyjaźni. Poeci opiewali ją jako „virgen“ i „casta donzella“, wiedzieli bowiem, że królowa serca Alfonsa może po śmierci królowej Marji zostać prawdziwą monarchinią Neapolu.

Lukrecja była zresztą niepospolitą kobietą; zręczna, umiała się królowi przypodobać i trzymać go na uwięzi. Istniał zwyczaj w Neapolu, że dziewczęta zasadzały w wigilję św. Jana Chrzciciela ziarnka jęczmienia w wazonikach, a z okoliczności, czy wcześniej, czy później jęczmień powschodził, wróżyły sobie, kiedy zamąż pójdą. Znajomi składali im na tych wazonikach dary w monetach na posag. Lukrecja także raz postawiła taki wazonik, tak, aby go król zobaczył i prosiła o datek. Król wyjął sakwę pełną złota i chciał ją złożyć na wazoniku. Lukrecja wstrzymała mu jednak rękę, mówiąc, że jeden „Alfonsino“ wystarczy. Alfonsino była to srebrna moneta niewielkiej wartości.

Ale wróćmy do giostry z r. 1452, która była jedną z najwspanialszych, jakie się odbyły w Neapolu, król bowiem chciał świetnie ugościć cesarską parę, a dość powiedzieć, że na to przyjęcie wydał wielką na owe czasy sumę 150 tysięcy florenów.

Dawniej odbywały się giostry koło kościoła Incoronaty, teraz już Piazza della Sellaria stała się arystokratycznem środowiskiem miasta. Tam najpiękniejsze były sklepy, a kupcy nie zamykali ich podczas rycerskich zabaw, owszem, wykładali

w oknach albo na wąskich stołach, nazewnątrz botegi, najkosztowniejsze towary, dywany, klejnoty, srebrne zastawy, a przedewszystkiem kosztowną broń, koło której rycerze nie mogli przejść obojętnie. Szczególną uwagę zwracały wyroby płatnerzy z Walencji, za Alfonsem bowiem i jego dworem sprowadziło się wielu kupców i rzemieślników-artystów z Hiszpanji. Balkony i okna pałaców i kamienic poubierano we wschodnie dywany i brokaty, a kwiatów było wszędzie bezliku, tak, że sam plac, już oświecony wiosennem słońcem, oddychał, że tak powiem, wesołością.

A cóż dopiero powiedzieć o publiczności! Rzecz szczególna, że ubiory mężczyzn prawie większą zwracały uwagę, aniżeli stroje kobiet. Francuska moda ustępowała własnej modzie „a la Catalana“, a mężczyźni przeważnie ją wprowadzali. Nosili jakieś dziwaczne, olbrzymie okrycia głowy, kapelusze i berety podobne do grzybów, obróconych podstawą do góry, albo do krzywych wież, jakieś nieforemne utwory wybujałej, ale nie artystycznej kapeluszniczej wyobraźni. Była to epoka najdziwaczniejszych, hiszpańskich beretów, po większej części czarnych, aksamitnych, które jeszcze dzisiaj z pewnem zdziwieniem spostrzegamy na freskach rotundy Caracciola w S. Giovanni a Carbonara w Neapolu. Szczytem wybujałości ówczesnych okryć głowy są berety na freskach Piera della Francesca w San Francesco w Arezzo. Później berety męskie coraz się bardziej zmniejszają, przybierają wielkość turbanów, aż dochodzą do tych dziwacznie małych form, które nam przekazali w wielu portretach Benozzo Gozzoli, Lorenzo Costa lub Melozzo da Forli. Wspomnieniem hiszpańskiej mody beretów pozostały purpurowe czapeczki na głowach kardynałów, utrzymujące się tylko z wielkim trudem na poważnych łysinach [1].

Gdzie niegdzie pomiędzy szlachtą, przypatrującą się giostrom, widać było jeszcze kapelusze, ubrane kolorowemi piórami, pstre i dziwaczne, ale moda ta już znikała. Pominąwszy zresztą nakrycia głowy, to hiszpańskie mody mężczyzn zapowiadały już ubiory właściwego odrodzenia; obcisłość ich gnie-

[1] Czarne, aksamitne beretka żydów starowierców są także ostatniemi wspomnieniami hiszpańskich beretów.

wała starszych panów, którzy je uważali za nieprzyzwoite, zwłaszcza, że krótkie płaszczyki nie zakrywały męskiej postaci do kolan. W grupach mężczyzn przeważały kolory czarny, szkarłatny i zielony. Sam król ubierał się czarno, skromnie, utrzymując, że i korona na skroniach nie pomoże, jeżeli w głowie pusto. Uprzywilejowaną niejako barwą profesorów, doktorów był karmazyn, a przez tę nazwę rozumiano nietylko kolor, ale i jakość jedwabnej materji. Rycerstwo przyswoiło sobie barwę zieloną, tak dalece, że żaden mężczyzna innego stanu nie śmiał się wdzierać w to rycerskie, zwyczajowe prawo. Jednego z książąt sabaudzkich, Amadeusza VI, który szczególnie hołdował zielonemu kolorowi, przezwano „il principe verde".

Stroje kobiet ówczesnego wielkiego świata neapolitańskiego mniej raziłyby dzisiejszy smak, aniżeli ubrania mężczyzn. Otwarte szyje, najczęściej ozdobione tylko klejnotem, wiszącym na artystycznie zrobionym łańcuchu, suknie do stanu, spięte paskiem złotniczej roboty, wysadzanym często drogiemi kamieniami, odpowiadały już prawie zupełnie typowi mód odrodzenia. Hiszpanki nosiły po większej części bufiaste rękawy, robione z różnych kawałków jedwabnych i złotolitych materyj w rodzaju mozaik. Czepce, które się nazywały z hiszpańska „gorra", były to często dość dziwaczne, duże poduszki z fałszywych włosów, wstążek, upstrzone klejnotami, zakrywające nawet piękne ucho. Nadzwyczaj charakterystyczny przykład takiej poduszki na głowie widzimy na fresku Pisanella w Capella Pellegrini w Santa Anastasia, w Weronie, albo na fresku w Palazzo Borromeo w Medjolanie, przedstawiającym grę w karty, Michelina da Besozzo, który malował także w Neapolu rozmaite dekoracyjne przedmioty dla Alfonsa I w latach 1454 do 1458.

Izabella d'Este, uchodząca za wynalazczynię podobnych ubrań, a raczej zeszpeceń głowy, nie wprowadziła nic nowego; musiała je kazać zrobić według dawnych mód neapolitańskich.

Ponieważ zasady stroju kobiecego były wówczas dość stałe, więc panie starały się okazać swój osobisty smak głównie w klejnotach, w pasach, klamrach, upięciach włosów. Gdy jednak i te ozdoby im nie wystarczały, aby swej wyobraźni dać pole do działania, ubierały całą suknię złotniczemi wytworami

Niektóre elegantki brały jakiś ulubiony motyw, zrozumiały może tylko rycerzowi, który ich serce posiąść potrafił i ten motyw rozrzucały po całem ubraniu. Im dziwaczniejszy motyw, tem lepiej; chodziło o oryginalność pomysłu. Służył więc za wzór wąż lub skorpion, dwuznaczny karczoch lub palma daktylowa, a Bona Sforza miała na sobie w dzień ślubu 6 grudnia 1517 r. suknię z niebieskiego weneckiego atłasu, obsianą złotemi ulami pszczelnemi. Także jej beret był podobnie ubrany.

Szczególnie piękny strój kobiecy z owych czasów przekazał nam niepierwszorzędny zresztą malarz, Fra Carnevale, w który ubrał swą Madonnę na obrazie, przechowanym u markizy Villamarina w Rzymie. Strój to prosty, a pełen wdzięku. Madonna w brokatowej sukni, z otwartą szyją, bez jakiegokolwiek klejnotu, ma na głowie tylko chusteczkę zawiązaną podobnie, jak do ostatnich czasów nosiły młode kobiety w okolicach Bajonny.

Giostra, o której mowa, świetnie się udała. Lukrecji był nadzwyczaj do twarzy klejnot na szyi, wielka kollana, wartości trzystu piętnastu dukatów, którą jej Alfons podarował. Król był zadowolony, a dotąd istnieje wierszyk nieznanego poety, opisujący wjazd rycerzy w pełnym rynsztunku na ową uroczystość. Konie w przepysznych kapach, rycerze śpiewają chórem jakąś romancę miłosną, chcąc się podobać paniom swego serca, albo podbijać nowe piękności. W oknach też i w lożach błyszczą czarne oczy neapolitanek, które gorącemi spojrzeniami idą z promieniami słońca w zawody.

Così cavalcano poi
Per Napoli magna et bella
In froeta cantando oy, oy
Con mani signa et favella,
Cosi ogni damisella
Se fanno alla finestra.
Ogni una corre destra
Per vedere il suo galente
Per Alfonso Re possente.

Według hiszpańskiego obyczaju już wtedy zdobywały neapolitanki oddanych sobie młodzieńców - niewolników, którzy w kilka wieków później występowali jako cavallieri serventi i w Wenecji zakończyli swój nudny, marny żywot.

Król Alfons był podczas giostry tylko widzem gier rycerskich; dawniej jednak, jako duca di Calabria, sam brał udział w tych popisach, ozdobiony imprezą domu aragońskiego.

IV

Lukrecja d'Alagno nie była li tylko kobietą piękną i pełną wdzięku, ale także górowała nad innemi rozumem, inaczej nie byłaby podbiła takiego króla, jak Alfons. Należała do tych kobiet odrodzenia, jak Isotta da Rimini, jak Pentesilea Malatesta lub Caterina Sforza, dla których miłość była środkiem do osiągnięcia ambitnych zamiarów. Lukrecja chciała zostać królową, małżonką Alfonsa. Do tego celu zmierzały wszystkie jej starania.

To też, gdy czuła, że już zupełnie owładnęła sercem i umysłem Alfonsa, skłoniła go, aby przystał na rozwód ze swoją, prawie już tylko w tradycji istniejącą małżonką, Marją, której na znak pamięci posyłał niekiedy koty albo papugi. Alfonso się zgodził na rozwód, ale na to trzeba było pozyskać papieża i otrzymać kościelne przyzwolenie. Powodem do rozwodu miała być bezpłodność królowej.

Na papieskim tronie zasiadał wówczas Kalikst III, Borgia, któremu Alfons niemało dopomógł do osiągnięcia najwyższej godności w chrześcijaństwie. Borgia był dawniej biskupem w Walencji, następnie sekretarzem króla, a zostawszy papieżem, wywdzięczył się Alfonsowi, mianując kardynałami Rainolda Piscelli, bliskiego krewnego Lukrecji i Ludwika Mila, spowinowaconego również z królewską ulubienicą.

Lukrecja postanowiła więc, nie zważając na żadne względy, udać się do Rzymu, aby prosić papieża o rozwód, a król na to przystał i jakby już rzeczywistej małżonce, dał świetne otoczenie. Rozgłoszono w Neapolu, że Lukrecja jedzie spełnić jakieś votum; ale każdy wiedział, jaki jest cel tej podróży. Orszak Lukrecji składał się z pięciuset jeźdźców i amazonek, pomiędzy któremi było pięćdziesiąt pań, młodych żon neapolitańskiej szlachty i dwadzieścia pięć hrabin i markiz. Do tego towarzystwa należał Don Sigismondo d'Este, brat markiza z Ferrary, i markiz di Cotrone, Antonio Centelles, jako marszałek

dworu królewskiej kochanki. Cały orszak był ubrany w żałobne szaty, bo na nieszczęście Lukrecji umarł właśnie jej krewny, kardynał Piscelli. Na koszta podróży dał król 5.000 alfonsinów, a nadto zaasygnował swej donnie 3.000 dukatów u bankiera Alessandra Miroballi w Rzymie. Była to pokaźna suma, wynosząca w dzisiejszej monecie pół miljona franków. Co więcej, Lukrecja miała przy sobie własnoręczny list Alfonsa do papieża, w którym ją król najgoręcej polecał i podnosił jej zacność i czyste obyczaje.

Papież kazał przyjąć neapolitankę jak można najświetniej. Do Marino, majętności kardynała Colonny, wyjechało naprzeciw niej olbrzymie poselstwo, do którego należało wielu kardynałów, między nimi nepot papieski, kardynał Pier Luigi Lenzuol i drugi nepot, kardynał Rodrigo Borgia, późniejszy papież Aleksander VI, który miał wtedy dwadzieścia sześć lat i słynął z urody.

Jedenastego października wjeżdżała Lukrecja z wielką pompą, jakby królowa, do Rzymu przy odgłosie muzyki i zamieszkała w przeznaczonym dla niej pałacu księcia Colonny, nepota dawniejszego papieża Marcina V. Następnego dnia przyjął ją Kalikst III uroczyście w sali konsystorza, w otoczeniu kardynałów i niezliczonej ilości prałatów, ambasadorów, książąt i rzymskiej szlachty. Ta świetna publiczność była tak ciekawa zobaczyć przesławną kochankę Alfonsa, że nie można było w sali utrzymać porządku i Lukrecja zaledwie zdołała się ze swemi paniami przecisnąć do papieża, który jej udzielił błogosławieństwa.

To było publiczne przyjęcie; w kilka dni później dał jej papież prywatne posłuchanie, rozmawiał z nią przeszło dwie godziny, tak, że już późno w nocy wyjechała Lukrecja z pałacu. Niektórym kardynałom i rzymskim znakomitościom dziwne się zdawało, aby oddawać honory takie ulubienicy króla neapolitańskiego; ale papież tak nakazał, więc wszyscy milczeli. Nawet Silvio Piccolomini, tak przyjazny dawniej Alfonsowi, nie mógł tego pojąć, jak można w Rzymie w ten sposób postępować wobec bezwstydnej kobiety „meretrice impudica".

W niedzielę 17 października urządziła Lukrecja u siebie wspaniały bankiet, na którym głównym gościem był Rodrigo



Gra w szachy
(Minjatura do „Filicola" Boccacia, z rękopisu z XIV wieku, w bibljotece w Kassel)

Borgia, a nadto ze sto osób z rzymskiej arystokracji, panowie i panie. Muzyka, tańce uprzyjemniały wieczór. Nazajutrz udała się Lukrecja konno w towarzystwie Borgji i całego swego dworu, aby złożyć hołd papieżowi w kościele św. Piotra. Papież wstał ze swego tronu, aby powitać neapolitankę; po zwykłych grzecznościach przeszło towarzystwo do papieskich pokoi, gdzie się zabawiało do trzeciej w nocy. Messer Borgia szczególniej asystował pięknej Lukrecji, a nawet złe języki mówiły w Rzymie, że mógł się poszczycić zupełnem u niej powodzeniem. Ale rozważniejsi ludzie powątpiewali, aby ambitna donna dała się uwieść w tak ważnej dla niej chwili nawet takiemu Adonisowi, jak Rodrigo.

Te świetne przyjęcia miały tylko osłodzić Lukrecji odmowną odpowiedź na jej żądanie. Papież nie zgodził się na rozwód Alfonsa i wyraził się, że nie chce pójść do piekieł razem z Lukrecją.

Podróż do Rzymu była też przełomem w życiu królewskiej kurtyzany. Alfons się coraz bardziej starzał i często zapadał na zdrowiu, królowa Marja żyła dalej pomiędzy swemi kotami i papugami. Gdyby Alfons był pochodził z rodziny andegaweńskiej, możeby znalazł sposób usunięcia swej małżonki z widowni świata; ale bądź co bądź należał on do wyższych umysłów odrodzenia i pogardzał takiemi środkami, jak trucizna w opłatku.

Otrzymawszy odmowną odpowiedź, opuściła Lukrecja czem prędzej Rzym. Król wyjechał naprzeciw niej do Kapuy; gdy zobaczyła zbliżającego się Alfonsa, zeskoczyła szybko z konia, aby ucałować królewską rękę. Król starał się temu przeszkodzić, zsiadł także ze swego rumaka, ucałował ją w twarz i oboje witali się „licznemi karesami". Poczem rozmawiali ze sobą z godzinę i nareszcie pojechali do Kapuy, aby odpocząć.

W Kapui pozostał król jakiś czas ze swoją donną, a mimo nieudanej podróży do Rzymu bawiono się dobrze. Z rana udawał się król na polowanie i wracał koło jedenastej; zaledwie zaś przybył do zamku, szedł do madonny i ze dwie godziny bawił się z nią, grając i śpiewając. Trzeciego listopada wyjechała Lukrecja do swego majątku do Cajazzo; Alfons jej to-

warzyszył, a ilekroć się rozłączali, Alfons zdejmował trzy albo cztery razy beret, tak mu było trudno z nią się pożegnać.

Piątego listopada wrócił król z Lukrecją do Neapolu na Aversę; droga trwała dłużej, jak zwykle, z powodu rozmaitych niespodzianek i uprzejmości, jakie sobie urządzała ta zakochana para. Wjeżdżając do Neapolu, Alfons ciągle trzymał donnę za prawą rękę; z drugiej strony jechał książę Navarry, słynny Don Carlos de Viana, królewski synowiec.

Następnego dnia wydał książę, naturalnie na koszt króla, wielki obiad dla Lukrecji, podczas którego bawiono się wybornie. Lukrecja siedziała z Alfonsem przy jednym stole na podwyższeniu i tak się czuliła do swego towarzysza, „że trudno było uwierzyć, kto tego na własne oczy nie widział". Cały tydzień trwały festyny, tańce, giostry, turnieje; widocznie król chciał rozerwać Lukrecję po rzymskich niepowodzeniach i rad był jej okazać jak największe przywiązanie, nawet publicznie, wobec neapolitańskiego towarzystwa. Król bardzo był niezadowolony z papieża i odtąd, w czem tylko mógł, prowadził z Rzymem podjazdową wojnę. Lukrecja brała udział w zabawach, ale na jej twarzy znać było ukryty smutek, zawiedzione nadzieje, że nie zostanie królową.

Smutne jej przeczucia pierwej się spełniły, aniżeli się może spodziewała. Alfons ciężko zachorował w jakie ośm miesięcy po jej powrocie z Rzymu, a otoczenie królewskie nie dopuszczało jej do łoża chorego, tak, że raz tylko mogła go odwiedzić. Aby przynajmniej być bliżej umierającego, przeniosła się na mieszkanie w okolicę zamku; ale widząc bliski koniec swego protektora i obawiając się zapewne zniewag i poniżeń, jakie ją spotkać mogą, gdyby dłużej pozostała w Neapolu, wyjechała do jednego ze swych zamków, do Torre del'Annunziata.

W wigilję śmierci król zrobił testament w przytomności dygnitarzy, ale w tej uroczystej chwili nie wspomniał o Lukrecji. Nie chciał łączyć swego królewskiego nazwiska z jej imieniem wobec potomności. Umarł, mając lat sześćdziesiąt trzy, ale umierając nie był spokojny o następstwo. Państwo swe dziedziczne przekazał bratu Janowi, królowi Nawarry, koronę zaś neapolitańską, którą sam zdobył, oddawał swemu naturalnemu synowi, Ferdynandowi. Ale w ostatnich czasach

zgłosił się jeszcze inny pretendent do neapolitańskiego tronu, syn króla Jana, Don Carlos de Viana, bardzo popularny wówczas pomiędzy neapolitańską ludnością. Alfons obawiał się, aby ten kandydat nie chciał współzawodniczyć z Ferrantem; ale niepokój umierającego króla był płonny, Ferrante nie dał sobie odebrać tronu.

V

Zaraz po śmierci Alfonsa przybyła Lukrecja do Neapolu złożyć hołd Ferrantowi, jako właścicielka dóbr i zamków, pozostających pod jego berłem. Przybyła poważna, przygotowana na wielkie cierpienia i upokorzenia. Musiała spełnić wobec syna Alfonsa ten smutny obowiązek. Nowy król przyjął ją wszakże uprzejmie, potwierdził wszystkie donacje i przywileje, któremi ją ojciec obdarzył; więc cokolwiek spokojniejsza wróciła do swego zamku. Przywdziała brunatne suknie na znak żałoby, a widząc, że świetne jej życie skończone, rozmyślała, co począć. W chwilach pierwszego żalu miała zamiar wstąpić do franciszkanek, do San Francesco de la Limosina w pobliżu świętej Klary w Neapolu; ale zapewne bliskość tych miejsc, gdzie święciła swe triumfy, odwiodła ją od tego planu. Myślała założyć w oddali od Neapolu własny klasztor franciszkanek, ale ten projekt nie przyszedł do skutku.

Rozpoczęła się zawzięta przeciw niej walka. Powstał cały szereg zawistnych, na których czele stała nowa królowa. Miała ona teraz sposobność do przypomnienia sobie wszystkich upokorzeń, jakie musiała znosić od kochanki Alfonsa. Lukrecja była od niej piękniejsza, miała środki po temu, aby w strojach przewyższać następczynię tronu, król obdarzył ją majątkami, które się właściwie jej należały — dość powodów do zemsty, a kobieta umie się mścić na kobiecie, stojącej jej w drodze. Ferrante po pierwszych grzecznościach, okazanych Lukrecji, zupełnie zmienił taktykę w swem postępowaniu wobec niej. Przedewszystkiem potrzebował pieniędzy; spisek baronów dużo go kosztował, osobliwie gdy wojsko królewskie zostało pobite w lipcu 1460 r. nad Sarno przez stronnictwo andegaweńskie. Ździerał więc swych poddanych, jak tylko mógł. Przeczuwając, co

się stanie, schroniła się Lukrecja narazie ze swemi skarbami do Castello di Somma, a chcąc Ferrantemu okazać dobrą wolę i współczucie w nieszczęściach, posłała mu 10.000 dukatów, a mianowicie pięć w złotej monecie, a pięć w klejnotach. Król okazał się jeszcze dość uprzejmym, wziął pieniądze, a klejnoty odesłał, ponieważ były podarunkami od jego ojca. Lukrecja chciała się okazać równie wspaniałomyślną i po niejakim czasie posłała mu znowu 5.000 dukatów w gotówce.

To nie pomogło; opuszczona kobieta przeczuwała, że Ferrante zamierza odebrać jej powoli całe mienie. Zawezwał ją też pod jakimś pozorem, aby przybyła do Neapolu; ale Lukrecja, obawiając się podstępu, nie pojechała. Wtedy Ferrante rozkazał jednemu ze swych wiernych baronów, aby zajął zamek Somma i zarządzał nim, niby to w imieniu właścicielki, a właściwie na królewski rachunek. W zamku znalazły się skarby niemałe; jedwabiów i sukien w cenie przeszło 10.000 dukatów, dwieście beczek tak zwanego greckiego wina, które właściwie produkowano w Neapolitańskiem, i mnóstwo innych kosztownych zapasów.

Takie postępowanie oburzyło Lukrecję, a gdy król przybył do Sommy, aby zapewne rozpatrzyć się w swych łupach, d'Alagno wyjechała do innego pobliskiego zamku, położonego na szczycie góry i nie przyjęła Ferranta. Jedyne oparcie, jakie teraz miała, było w księciu medjolańskim, który oddawna był jej życzliwy, a teraz tem bardziej nie chciał dopuścić do zupełnego zerwania stosunków pomiędzy Lukrecją a królem, ponieważ rozgłaszano, że dawna przyjaciółka Alfonsa ma olbrzymie skarby, które mogłyby przejść w posiadanie nieprzyjaciół Ferranta, a zarazem i księcia Medjolanu, z którym tenże był politycznie związany.

Obawa księcia medjolańskiego nie była płonna; Lukrecja napisała rodzaj ultimatum do Ferranta, że albo zwróci jej dobra, albo ona „pójdzie w świat“, co znaczyło, że schroni się do nieprzyjaciół króla. I rzeczywiście, widząc, że Ferrante ani myśli zadość uczynić jej żądaniu, wyjechała 3 kwietnia 1461 r., z pretendentem do neapolitańskiego tronu, Giovannim d'Anjou, do Manfredonji, gdzie bawiła aż do września 1462 r. Zdaje się, że miała stosunek z księciem Giovannim, albowiem, jak donosił później Da Trezzo, ajent medjolańskiego Sforzy, swemu panu,

w kufrze księcia znaleziono bardzo dużo listów od Lukrecji, dowodzących, że pomiędzy nimi przyszło „do innej praktyki, aniżeli tylko do rozmowy“. Jeżeli jednak był jaki stosunek, którego się Da Trezzo domyślał, to chyba tylko przelotny, bo niebawem próbowała Lukrecja za pośrednictwem Aleksandra Sforzy pogodzić się z Ferrantem i prosiła, aby król celem porozumienia się wyznaczył miejscowość, gdzieby się zjechać mogli, byle nie tam, gdzieby bawiła królowa. Widocznie wiedziała dobrze, że najbardziej zawziętą jej nieprzyjaciółką jest królowa.

Tymczasem w r. 1463 Ferrante, przekupiwszy Piccinina, kondotjera w służbie Giovanniego d'Anjou, pokonał andegaweńskiego pretendenta, a ostatnia tegoż podpora, książę Tarentu, umarł. Księcia Tarentu uważała Lukrecja jakby za swego ojca; po jego śmierci, nie czując się już bezpieczna w Bari, zabrała, co mogła, ze swego majątku i udała się do Dalmacji.

Jak długo tam mieszkała, niewiadomo; w grudniu 1464 r. bawiła jednak jeszcze w Ravennie, bo stamtąd pisała do księcia medjolańskiego z prośbą, aby się wstawił za nią do Ferranta i wyjednał jej zwrot zabranego majątku. Książę odpowiedział po niejakim czasie, że pisał w jej interesie do króla, jakby za własną siostrą, a nawet goręcej, jak za siostrą, ale jego pośrednictwo nie odniosło pożądanego skutku. Udawała się jeszcze dwa razy do księcia Medjolanu i nareszcie po wielu staraniach obowiązał się Ferrante płacić jej 300 dukatów rocznej pensji i zezwolił na pobyt w ziemi Otrando albo w Bari.

Z Ravenny podziękowała jeszcze Lukrecja 10 marca 1465 r. księciu medjolańskiemu w liście pełnym godności, chociaż trochę ironicznym, ze względu na „wspaniałomyślność“ królewską. Przyzwyczajonej do dużych wydatków, nie wystarczały te 300 dukatów, zwłaszcza, że musiała mieć jeszcze długi z czasów swego tułactwa, była więc ciągle w potrzebie. Na nieszczęście umarł w marcu 1466 r. i książę medjolański, pozostawiając koronę zbrodniczemu synowi Galeazzowi. Lukrecja pisała jeszcze o wsparcie do wdowy, ale już nie otrzymała odpowiedzi, bo księżna umarła, w październiku 1468 r., podobno otruta przez własnego syna. O dalszych losach Lukrecji przez całych lat dziewięć jakoś głucho i dopiero w r. 1477 znajdujemy ją w Rzymie z siostrzenicą Kamilą del Giudice, sierotą, równie, jak ona

opuszczoną, którą przygarnęła do siebie. Musiała być dla niej bardzo dobra, bo Kamila odstąpiła ciotce aktem notarjalnym z r. 1477 prawa do spuścizny stu dukatów po matce „za wiele dobroci i łaski, których od niej doznała".

Dobroci tej dała Lukrecja dowód następnego roku, sprzedając, zapewne ostatnią kosztowną pamiątkę po Alfonsie, łańcuch złoty, aby wyposażyć Kamilę, która wychodziła zamąż za młodzieńca pełnego zalet, Persea dei Baschi. Wypłaciła wtedy młodej parze 2.000 florenów, a tysiąc obiecała dać później; widocznie więc miała jeszcze jakieś resztki olbrzymiego niegdyś majątku.

Skromne wesele Kamili odbyło się 18 kwietnia 1478 r. w mieszkaniu ciotki, która niedługo przeżyła ten dzień, rzucający ostatnie światełko na jej żywot, tak pełen okrutnej zmiany losów. Umarła 19 lutego następnego roku w Rzymie, w dzielnicy ai Monti, a jakiś kronikarz zanotował tylko kilka słów, że pochowano najpiękniejszą swego czasu kobietę, w której się kochał król Alfons.

VI

Gdy Alfons I zamierzał odnowić i przebudować Castel-Nuovo, kazał sobie przynieść egzemplarz dzieł Witruwjusza, ale w królewskiej bibljotece księgi tej nie było. Wreszcie jednak, po dłuższych staraniach, wynaleziono u jakiegoś handlarza cenny rękopis, ale tak zniszczony, że król kazał go natychmiast wspaniale oprawić i zabrał się do studjowania reguł starożytnego budownictwa. Nim więc z architektami ustalił plany zamczyska, wyrobił sobie własne zdanie o olbrzymiej pracy i tak się później przywiązał do tej budowy, tak ją polubił, że tam przepędzał najmilsze chwile swego żywota i rad był, że ten silny zamek stanie się siedzibą i obroną hiszpańsko-neapolitańskiej dynastji.

Postanowił też dać widomy wyraz swego przywiązania do tych potężnych murów i rozporządził, aby główna brama, opatrzona w dwie obronne baszty, została przemieniona w rodzaj triumfalnego łuku, opowiadającego swemi płaskorzeźbami chwałę domu Aragonów. Co więcej, życzył sobie, aby po śmierci przechowano tam jego serce w złotej puszce, jako symbol mi-

łości, którą powziął do stolicy. Czy to życzenie monarchy zostało wykonane, niewiadomo; jeżeli jednak je spełniono, to zapewne złoto owej puszki cenniejsze było późniejszym generacjom, aniżeli pamiątka w niej zawarta, i prochy znakomitego króla rozwiał wiatr morski i poniósł je ku jego rodzinnej ziemi, ku Hiszpanji.

Także ciało Alfonsa wywieziono w r. 1666 do jego pierwotnej ojczyzny. Szczątki króla znajdowały się poprzednio w tej dziwnej cmentarnej galerji, w zakrystji kościoła dominikanów. Ściany zakrystji okala wysoko zawieszona balustrada, na której rzędem ułożone są duże skrzynie, obite wypłowiałym aksamitem, zawierające ciała kilku Aragonów, a pomiędzy nimi i popioły Izabelli d'Aragona, matki królowej Bony Sforzy. Skrzynia Alfonsa pusta, łuk jednak Aragonów pozostał na dawnem miejscu i stanowi dziś jedną z najpiękniejszych pamiątek artystycznych Neapolu, sławiąc imię monarchy, który w swej potężnej osobistości najwyraźniej wcielił idee odrodzenia.

Rodzinie Aragonów znany był i ceniony przez nią rzeźbiarz-architekt Francesco Laurana, Dalmatyńczyk, którego działalność znamy dopiero od r. 1458. Rzeźb jego dotąd dużo się zachowało; był on bardzo wszechstronnym artystą, pracował we Włoszech, w Sycylji, w Hiszpanji i we Francji, gdzie umarł w Avignonie, prawdopodobnie w r. 1502, bawiąc przy córce, zamężnej za malarzem Janem de la Barre. W muzeum narodowem w Palermo znajduje się marmurowe popiersie Eleonory d'Aragona jego dłóta, w berlińskiem i wiedeńskiem muzeum biusty Beatryczy d'Aragona, córki Ferdynanda I, a w Pesaro (museo Aliveriano) podobizna Battisty Sforzy. Typ Eleonory d'Aragona powtórzył artysta w nadzwyczaj wdzięcznej Madonnie, w kościele della Crocifissione w Noto i w podobnej Madonnie w Sant' Agostino w Messynie. Te kobiety Laurany mają dziwnie melancholiczno-senny, ale mimo to piękny wyraz twarzy, który w popiersiu Beatryczy d'Aragona (w Berlinie) graniczy prawie z snem hypnotycznym.

Otóż temu artyście powierzył Alfons I wykonanie planu swego wymarzonego łuku. Laurana projekt przedłożył; król posprowadzał kamieniarzy i rzeźbiarzy z Lombardji, Toskanji i z Rzymu, ale nie doczekał się wykończenia dzieła.

Łuk wspina się w trzech piętrach nad właściwą bramą, z których pierwsze najbogaciej ozdobione płaskorzeźbami. Jedna z nich przedstawia grupę, w której Alfons I w rycerskiej zbroi jest środkową postacią, dzieło albo samego Laurany, albo wykute według rysunku mistrza. Większa część figur i ornamentów została wykonana dopiero za następców Alfonsa I, za Ferdynanda I i Alfonsa II, a pomiędzy artystami w tym celu do Neapolu sprowadzonymi byli Piotr Martin i Giulio da Majano, brat słynnego Benedetta. Najwyższe piętro powstało dopiero w czasach pobytu Karola V (1533) w Neapolu. Całość miała to wyjątkowe szczęście, że została w nowszych latach wzorowo odrestaurowana przez artystę Avenę.

Neapol posiada jeszcze drugi łuk z czasów hiszpańskiej dynastji, zwany bramą kapuańską, do której rysunek dał Giulio da Majano. Łukiem tym zamierzono prześcignąć bramę Alfonsa I i uświetnić panowanie Ferdynanda I; attykę miała zdobić płaskorzeźba, przedstawiająca koronację tego króla. Ferdynand jednak umarł (1494), zanim dzieło zostało ukończone, a części płaskorzeźby pozostały w pracowni artysty we Florencji.

Wogóle niedokończenie i zaniedbanie znamionuje większą część zabytków neapolitańskiej przeszłości. Rzec można, że w Neapolu było zasadą niszczyć wszystko, co przypominało dawniejszą sztukę. Andegaweni starali się zatrzeć ślady architektury Hohenstaufów i zaprowadzić francuskie artystyczne tradycje; chcąc się przypodobać dynastji, współzawodniczono ze sobą, aby usunąć wszystko, coby raziło oczy nowych panujących. Niema artystycznego ogniska we Włoszech, w któremby z taką południową furją rzucano się na przeszłość, jak w Neapolu; przebudowywano kościoły, niszczono dawne freski, przemalowywano obrazy, obchodzono się z zabytkami sztuki, jak modniarki ze staremi kapeluszami. Jeden z włoskich badaczy neapolitańskiej sztuki, zastanawiając się nad dziejami kościoła św. Wawrzyńca (S. Lorenzo), nazywa zakonnika Gennara Rocko katem tej budowy; tak ją zeszpecił w początkach siedmnastego wieku, wyrzucając bez litości gotyckie „rupiecie“, a nawet marmurowe grobowce zasłużonych neapolitańczyków, a natomiast „ozdabiając“ świątynię gipsowemi sztukaterjami. W kościele św. Dominika odznaczył się znowu przeor Tomaso Ruffo

modernizowaniem tej początkowo pięknej gotyckiej budowy i wszystkie niemal świątynie, powstałe za Andegawenów, jak S. Lorenzo, S. Domenico, Sta Chiara i katedra, zmieniło do gruntu wrodzone neapolitańczykom gwałtowne pragnienie nowości.

Rzeźbę, która w Neapolu objawiała się po większej części we wspaniałych nagrobkach, ochraniał poczęści pietyzm rodzinny, albowiem członkowie wielkich familij chlubili się marmurami, przypominającemi ich przodków, a zazwyczaj nie mieli dość funduszów, aby je modernizować. Mnóstwo zabytków architektonicznych zniknęło albo zupełnie zostało zniszczonych z powodu niedbalstwa i lekceważenia przeszłości. Za Andegawenów i za Hiszpanów za dużo budowano małych kościołów i kaplic. Lada kupiec lub dostojnik państwa rad był z krzywdą własnych spadkobierców budować kościół i zadość uczynić swej próżności, pomimo, że nie pozostawił dość funduszów, aby zapewnić duchownemu utrzymanie. Stąd wynikło, że te kościoły i kaplice zostały z biegiem czasu zupełnie zaniedbane, że pomniki i obrazy albo posprzedawano albo tak zniszczono, że już żadnej nie mają artystycznej wartości.

Zresztą Neapol nie potrafił nigdy zapanować nad artystycznemi prądami i wyrobić sobie własnej indywidualnej sztuki; cała tak zwana neapolitańska szkoła, to niby muzykalne potpourri, składające się z różnorodnych motywów. Za Andegawenów przeważały wpływy francuskie lub sieneńsko-florentyńskie; z objęciem rządów neapolitańskich przez Alfonsa wtargnęły hiszpańskie i flamandzkie pomysły i flamandzka technika, pomieszane często z sycylijskiemi naleciałościami, bo prądy artystyczne hiszpańsko-flamandzkie dostawały się często do Neapolu drogą na Sycylję.

Alfons I chciał być monarchą, przejętym prądami odrodzenia, i był nim pod każdym względem. Podobnie jak wszyscy ówcześni książęta, uważał popieranie sztuki za jedną ze sprężyn do utrzymania się przy władzy i zyskania sobie popularności. Ponieważ zaś ze sztuką łączyły się wówczas rzemiosła, więc Hiszpan, objąwszy panowanie po Andegaweńczykach, starał się wszelkiemi siłami prześcignąć jeszcze tradycje swoich poprzedników i ożywić artystyczne działanie nietylko w architekturze, rzeźbie i malarstwie, ale i w warsztatach, wyrabiających przed-

mioty codziennego użytku. Dwór więc wydawał niezmierne sumy na zamawianie dzieł artystycznych i sprowadzał malarzy, rzeźbiarzy, architektów i rzemieślników, skąd mógł: z Rzymu, z Lombardji, Florencji, a w znacznej części z Hiszpanji i Flandrji. Castel-Nuovo powiększali hiszpańscy architekci, włoscy zaś artyści ozdabiali freskami komnaty zamkowe i kaplice. Vittore Pisano wybijał medale, mające sławić postać królewską, kaligrafi niemieccy i malarze minjatur zapełniali bibljotekę swojemi cennemi księgami, rzeźbiarze kuli wspaniałe nagrobki do kościołów, hiszpańscy hafciarze sporządzali pyszne czapraki i kapy na konie, a płatnerze z Barcelony ozdabiali broń do turniejów. W kolekcji Vallardi istniały Pisana rysunki dział z herbami i emblematami królewskiemi, a jedną z tych armat nazwał rzeźbiarz „Alfonsina". Pisano tworzył również plany do okrętów i galer, ozdobionych fantastycznemi głowami smoków. Galery widocznie były przeznaczone do uświetniania naumachij, które urządzano w czasie wielkich uroczystości. Nawet olbrzymie cukiernicze torty i placki, któremi ubierano stoły podczas festynów, musiały mieć artystyczny rysunek i najznakomitsi malarze nie mieli sobie za ubliżenie być niekiedy cukiernikami. Na tortach powiewały chorągiewki, przez mistrzów malowane, a artysta Leonard Bisuscio wraz ze swymi pomocnikami dostarczył w r. 1456 aż 920 sztandarków do ozdobienia placków na bankiecie, który się odbył w Castel-Nuovo. A cóż mówić o sztandarach świeckich i kościelnych, o tarczach herbowych, o puklerzach i kaftanach rycerskich, o kobiercach! Przedmioty te stanowiły temat artystycznych studjów i olśniewały swą różnobarwnością oczy południowej publiczności, łaknącej artystycznych wrażeń.

Alfons miał wszystkie zalety i wady monarchów odrodzenia; gdy jednak u innych ówczesnych książąt przeważały wady, a nawet zbrodnie, pierwszy król aragoński w Neapolu był człowiekiem, który robił tylko tyle złego, ile musiał według ówczesnych pojęć.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

PONTANO, SANNAZARO, CARACCIOLO

I

Wskutek bezrządu i ciągłych wojen za Joanny pierwszej i drugiej zapanowały w południowych Włoszech straszne stosunki, osobliwie na prowincji i dopiero za Alfonsa I bezpieczeństwo publiczne trochę się ustaliło. Ale ze swej młodości miał Pontano smutne wspomnienia. Słynny ten poeta neapolitański z czasów panowania Aragonów urodził się 1426 w Cerreto, w Umbrji, a w pamięć wbiły mu się opowiadania babki po kądzieli, opowiadania, świadczące o takiem zdziczeniu obyczajów, w jakie prawie uwierzyć trudno. Członkowie tej samej rodziny prowadzili pomiędzy sobą już to z powodów politycznych, już to majątkowych, walki o zwierzęcej zaciekłości, nikt nie był pewny swego życia. Owa babka, imieniem Leonarda, zapamiętała, jak niektóre rodziny, zamordowawszy znienawidzonego brata lub stryja, pokrajały jego ciało w kawałki, wyjęły serce z piersi, upiekły je na ruszcie i wśród śmiechów i wesołości „pożarły" przy wspólnym bankiecie. Wypadki tego rodzaju często się zdarzały.

Pradziad Pontana musiał opuścić kraj z powodu zamieszek; wybudował sobie obronny zameczek z ciosów kamiennych w dalszej okolicy i tam zamieszkał z najbliższą rodziną. Ale razu pewnego musiał opuścić swoją wieżę, aby pójść w pomoc krewnym, oblężonym przez członków nieprzyjacielskiego rodu. W zamku pozostała prababka z dwojgiem dzieci i nieliczną służbą. Wrogowie, stryjeczni bracia, korzystając z nieobecności jej męża, oblegli zamek i zawołali, aby się poddała. Przerażona

kobieta wiedziała, co ją czeka, jeżeli się dostanie w ręce tych krewnych; odpowiedziała więc, że się nie podda, zamknęła się w najbardziej skrytej komnacie i z dwoma prawnukami czekała, co się stanie. Stryjeczni bracia podpalili zamek, a biedna kobieta zginęła z dziećmi w płomieniach.

Matka Pontana, Cristiana, straciła męża w dwudziestym czwartym roku życia; ale zahartowana w nieszczęściach, dołożyła wszelkich sił i starań, aby syna dobrze wychować, dawała go do szkół w Perugji, gdzie wówczas kwitły nauki i cel osiągnęła. Giovanni wykształcił się na znakomitego łacinnika i miał dużo talentu do poezji. Zwrócił się też do gwiazdy ówczesnych humanistów w południowych Włoszech, do Alfonsa Aragońskiego i został przyjęty w r. 1447 na jego dwór. Młodzieniec podobał się Panormicie, pozyskał sobie zaufanie jednego z sekretarzy królewskich, Antoniego Olzina, Hiszpana, i wszedł tym sposobem w towarzystwo ludzi uczonych i mających wpływ u dworu. Panormita zabierał go ze sobą, gdy jeździł w dyplomatycznych misjach, a młodzieniec takie okazał zdolności, że szybko zajął znaczące stanowisko na królewskim dworze.

Po śmierci Alfonsa I zdołał Pontano pozyskać łaski króla Ferdynanda I; odegrał on ważną rolę w układach w czasie słynnego buntu baronów, ale niezupełnie był zadowolony z króla, który jego zdaniem nie wynagradzał go odpowiednio do położonych zasług, co zresztą dziwne nie było, bo Ferdynand nie należał do szlachetnych ludzi, a jednym z powodów buntu baronów był udział króla w niekorzystnych dla państwa i ludności spekulacjach handlowych, na czele których stał ulubieniec królewski, Francesco Coppola. W połączeniu z tym ministrem-kupcem zmonopolizował król w swym ręku cały handel i przemysł i dzielił się zyskiem ze swoim zaufanem powiernikiem. Ciągłe wojny zresztą ze stronnictwem andegaweńskiem, wspieranem przez papieży, doprowadzały go nieraz do politycznej i materjalnej ruiny; a była chwila, kiedy król po klęsce, zadanej mu przez nieprzyjaciół nad Sarno, żył jak więzień w Neapolu, skracając sobie chwile chwytaniem ptactwa w sieci na murach miasta, podczas gdy królowa Izabella codziennie stawała przed kościołem św. Piotra męczennika, trzymała w ręku tacę i prosiła przechodzących o datki dla króla i wojska. Jednego ze swych

synów zdołał król wprowadzić po niezmiernych zachodach za wielkie sumy pieniędzy do kolegjum kardynałów, aby mieć kogoś przyjaznego „w tym warsztacie, gdzie od niepamiętnych czasów kuje się zguba królów neapolitańskich“. Ale kardynał umarł niebawem i wydane sumy poszły na marne.

Ferrante był wogóle nielubiany z powodu swej podejrzliwości i okrucieństw, a we Włoszech mówiono, że do różnych sposobów uwalniania się od nieprzyjaciół wprowadził jeszcze sztylet, który poprzednio mało był w użyciu. Fałsz cechował jego charakter, a jeden ze współczesnych powiada, że Ferrante wychował w Neapolu całą generację obłudników, tak, że później nie mógł rozeznać, komu wierzyć można, a komu nie. Dość się przypatrzyć popiersiu Ferranta I dłuta Guida Mazzoniego (w neapolitańskiem muzeum), aby mieć wyobrażenie o tym brutalnym człowieku, u którego uderza przedewszystkiem szerokie, opasłe oblicze i małe, w tłuszczu ukryte oczka. Zręcznością i okrucieństwem utrzymywał się długo na tronie, a gdy się zestarzał, nie umiał nawet znosić cierpień, które wiek przynosi, ale skarżył się jak małe dziecko na swe dolegliwości.

Pod takim królem przeżył Pontano długie lata, a dość szczęśliwe swoje losy może temu zawdzięczał, że wobec chciwego króla i drapieżnych urzędników umiał być powściągliwy w robieniu majątku, pomimo, że miewał ku temu sposobność; mawiał też często: „Nie chcę żebrać, ale nie pragnę być bogatym“. Mimo tej zasady doprowadził w późniejszych latach do zamożności; król darował mu w Neapolu „wieżę“, jakiś stary zameczek, który poeta odrestaurował i powiększył, a Pontano kupił nadto willę na Posilipie z ogrodem, pełnym najpiękniejszych roślin, był bowiem wielkim lubownikiem przyrody i roślinności. W ogrodzie chował rozmaite zwierzęta, które wolno chodziły i sprawiały wielką przyjemność właścicielowi. Wybudował także kościół, pod wezwaniem „Della Santissima Vergine e di S. Giovanni Evangelista“ i ozdobił mury pobożnemi napisami.

Ferrante powierzył Pontanowi wychowanie Alfonsa, następcy tronu, który zachował zawsze bardzo wiele przyjaźni i wdzięczności dla swego nauczyciela, a nawet kazał w swej willi w pobliżu Neapolu ustawić statuę z bronzu, przedstawiającą Pontana. Sądząc jednak po popiersiu słynnego humanisty dłuta

Giovanniego Giovano, znajdującem się w posiadaniu municypjum w Genui, Pontano miał wprawdzie twarz bardzo rozumną, wysokie, pomarszczone czoło, ale nie należał do typów zbliżonych do Apollina, zwłaszcza, że go szpeciły odstające uszy i nos o szerokich nozdrzach.

Coprawda Pontano nie mógł się bardzo szczycić swoim wychowańcem, Alfons bowiem, zwany „Zezowatym", był charakterem twardym, nawet dzikim, wywoływał ciągłe wojny a bez koniecznej potrzeby i później, jako król, nie miał dość spokoju i doświadczenia w sprawowaniu rządów.

Pontano ożenił się w r. 1461 z Adrjaną Sassone, pochodzącą z bardzo znakomitej neapolitańskiej rodziny, i tak był w małżeństwie szczęśliwy, że nawet uwiecznił swoje pożycie w piśmie *De amore coniugali,* a po śmierci Adrjany (1491) wyraził swe żale w innej rozprawie *De prudentia.* Często mu się śniło, że rozmawia ze zmarłą, z którą miał troje dzieci, syna i dwie córki. Te senne marzenia nie trwały wszakże długo, bo niebawem pojął drugą towarzyszkę życia, jakąś Stellę z Ferrary, która także wyprzedziła męża do grobu.

Do wielkich zasług Pontana należało ufundowanie akademji, która przetrwała wieki i do dziś dnia istnieje pod nazwą „Accademia Pontaniana". Początek tej instytucji dały obiady, które poeta urządzał w swoje imieniny; rozmowy toczyły się wtedy o starożytnych pisarzach, a w szczególności zastanawiano się nad *Żywotami Cezarów* Swetonjusza. Później zebrania bywały częstsze pod portykiem pałacu Pontana albo w kościele, który zczasem wystawił.

Doświadczenie z niewdzięcznym królem Ferdynandem nauczyło Pontana pewnego utylitaryzmu. To też, gdy król musiał uciekać przed najazdem Karola VIII francuskiego, poeta dość spokojnie przyjął tę zmianę na tronie neapolitańskim; powiadają nawet, że miał mowę do najeźdźcy, zwracającą się przeciw domowi aragońskiemu, co jednak zdaje się być obmową jego nieprzyjaciół.

Karol VIII niedługo cieszył się panowaniem w Neapolu; tego krótkiego czasu użył na to, aby dawać bale, rozkoszować się towarzystwem pięknych Włoszek, osłabiać i tak wątłe swoje zdrowie. Stracił wszelką energję, a gdy spostrzegł, że prawie

całe Włochy zwracają się przeciw niemu, zawiązując ligę antifrancuską w porozumieniu z dworem hiszpańskim, szybko wyjechał do Francji. Ferdynand I wrócił do Neapolu, ale skołatany politycznemi niepowodzeniami, umarł tam wkrótce, pozostawiwszy tron Alfonsowi II, księciu Kalabrji.

Pontano wszakże nie brał już udziału w publicznych sprawach; przepędził ostatnie lata życia w zaciszu i umarł, mając lat siedmdziesiąt siedm, w jesieni roku 1503, niedługo po śmierci papieża Aleksandra VI. Pontano był na owe czasy wielkim uczonym, ale tkwił jeszcze całą swą umysłowością w średniowiecznej wiedzy. Astrologja była dla niego artykułem wiary, pisał o wpływie gwiazd na losy ludzkie, na choroby i zbrodnie, przepowiednie, oparte na ruchu gwiazd, uważał za uzasadnione. Nawet gdy Pico z Mirandoli wystąpił gwałtownie przeciw astrologji, Pontano nie zachwiał się w swej wierze, przypuszczał tylko, że wielu astrologów dlatego się myli, że za mało sobie zadają pracy, aby zgłębić prawdę. Talent jego pisarski objawił się nie w uczonych rozprawach, ale w dialogach i poezjach, w których najczęściej zajmuje się współczesnem życiem, daje obrazy natury i maluje ludzi i ich wady. W dialogach tych, jak: *Antonio, Asinus, Charon,* znajduje się mnóstwo trafnych spostrzeżeń o zwyczajach neapolitańskich, o królach, których poznał, o przyjaciołach i członkach akademji. W poezjach jest on południowcem, neapolitańczykiem, dla którego piękna przyroda i piękna kobieta jest ideałem życia. W zbiorze wierszy, noszącym tytuł *Amores Bajae,* wstępuje on w ślady swoich poprzedników, dla których neapolitańskie morskie kąpiele stały się środowiskiem uciech. Czytając jego wiersz, zapraszający Sannazara, bawiącego na Sycylji, do Baj, mamy wrażenie, że to mowa o wieku Horacego lub o czasach, w których Boccaccio kochał się w swej Fiammecie. „Tutaj — powiada Pontano — dozwolone jest młodzieży bawić się w gry miłosne, śpiewać i tańczyć, tu można żartami doprowadzić do płaczu, a płaczących do śmiechu, tu zapomina się o ludzkich niedolach; błogi pobyt, uroczy dla bogów i ludzi“.

Pontano miał młodszego od siebie o lat trzydzieści przyjaciela, Jakóba Sannazaro (ur. w Neapolu 1458, um. 1530), który nie był wprawdzie tak zręcznym dworzaninem i dyplomatą, jak

Giovanni, ale przewyższał go poetyckim talentem. Król Federigo bardzo lubił Sannazara; to też, gdy musiał opuścić Neapol i udać się do Francji na chwilowe wygnanie, wziął ze sobą poetę. Sannazaro był człowiekiem wielce uczuciowym, a treścią życia było dlań hołdowanie kobiecie, hołdowanie miłości, co się odbiło w jego poezjach. Sądząc z dzieł Jacopa, zdawałoby się, że jego ideałem była jedna tylko kobieta, Carmosina Bonifacio, którą znał od dzieciństwa i z którą się później ożenił. Gdy Carmosina umarła, przywiązał się wprawdzie do starszej przyjaciółki, Cassandry Marchese, ale tamta zawsze panowała w jego poezjach i sercu. Stosunek Sannazara, jako poety, do Carmosiny, tem się różni od stosunku Dantego do Beatryczy, lub Petrarki do Laury, że te dwie kobiety stały się niejako tylko symbolem miłości w życiu poetów, podczas gdy Sannazaro kochał swą Carmosinę długotrwałą, rzeczywistą miłością i to, co o niej pisał, było szczerem, rzeczywistem, a nietylko zmyślonem uczuciem.

Z tego też powodu nosi jego miłosna poezja cechę pewnej prostoty i szczerego uczucia. Czasami wzorował się na Petrarce, ale realizm jego miłości ochraniał go od niewolniczego naśladowania niedoszłego kochanka Laury.

Najznakomitszem jego poetycznem dziełem jest *Arcadia*, wydana po raz pierwszy w r. 1504, będąca właściwie pieniem żałosnem po śmierci ukochanej Carmosiny. Gdy bowiem Sannazaro wrócił z królem z Francji, Carmosina już nie żyła, czego przeboleć nie mógł. Użył do wyrażenia swej boleści formy poematu pasterskiego, składającego się z eklog, połączonych ze sobą luźnym tekstem. *Arcadia* stanąć może godnie obok *Ameta* Boccaccia i *Diany* Jorje'a de Montemayor, jako najpiękniejszy kwiat poklasycznej poezji pasterskiej. Wielu krytyków posądzało Sannazara o zbytnie opieranie się o Boccaccia *Ameta;* ale nam się zdaje, że tak Boccaccio, jak i Sannazaro, snuli na swój sposób formy poetyczne Rzymian i Greków, ubarwiając je nowym kolorytem i nową myślą poetyczną. O plagjaty posądzić ich nie można. Wogóle poeci odrodzenia mieli zgoła odmienne zapatrywania na twórczość poetycką, aniżeli późniejsi pisarze. W wyobrażeniu Boccaccia, Sannazara, a nawet Ariosta starożytni autorowie doszli do szczytu piękna, wobec czego nie widzieli oni



Floria, okrytego kwiatami, wyciągają na wieżę
(Minjatura do „Filicola“ Boccacia, z rękopisu z XIV wieku, znajdującego się w bibljotece w Kassel)

potrzeby szukania czegoś nowego. Zbliżyć się do starożytnych było powszechnem hasłem, co nie przeszkadzało bynajmniej wyciskać na utworze piętna własnej indywidualności. Wszak Wergiljusz naśladował Homera, a przecież nie przestał być sobą, rzymskim poetą, Wergiljuszem. Sannazaro wciela się w swym poemacie w fikcyjne postacie pasterzy Ergasta lub Sincera, który idzie do Arkadji, aby opłakiwać swoją ukochaną. Tam w towarzystwie innych pasterzy opiewa piękność i cnoty zmarłej; podróż po fantastycznej krainie, po której go oprowadza Najada, ma mu przynieść pociechę w nieszczęsnej doli, a gdy go i te wrażenia nie rozweselają, wraca do ojczyzny. Poeta ma nadzwyczaj dużo poczucia piękności przyrody, czemu zresztą u neapolitańczyka dziwić się nie można, a że jego pasterze nie przemawiają tak, jak prości synowie natury, ale jak ludzie wykształceni, temu się także dziwić nie można, bo przecież cały ten świat pasterski czasów odrodzenia ubierał się wprawdzie w kozie skóry, ale myślał o Wergilim i Teokrycie.

Sannazaro wprowadził nowość do tego rodzaju poezji: w jego eklogach rybackich występują po raz pierwszy rybacy zamiast pasterzy; był to hołd mieszkańca miasta nadmorskiego, oddany tamtejszej ludności. Szczycił się on nawet tym pomysłem, że pierwszy z poetów zstąpił do wód morskich:

> ...Salsas descendi ego primus ad undas,

albo

> ...Salsas deduxi primus ad undas,
> Ausus inexpertis reddere verba sonis.

Szczegół ten bardzo charakteryzuje to bezgraniczne zapatrzenie się na starożytność, jakie panowało u pisarzy odrodzenia. Tak małe zboczenie od dawnej formy, jak wprowadzenie rybaków do poezji zamiast pasterzy, już zdaje się im wielkim literackim wynalazkiem. A ten despotyzm starożytności był tak powszechnie uznany, że rybackie eklogi w znacznej części zawdzięczały swą popularność odwadze Sannazara wprowadzenia niebywałej nowości. Mnóstwo poetów, nietylko włoskich, ale hiszpańskich, portugalskich, francuskich i angielskich poszło w ślady Sannazara, a pomiędzy innymi Remy Belleau napisał bardzo piękną eklogę *Le Pecheur.*

Kult kobiety, który tkwił w umyśle i w sercu Sannazara, wyraził poeta w całej pełni w innym łacińskim poemacie o narodzeniu Chrystusa, *De partu Virginis*. Poemat ten, nad którym Sannazaro pracował lat dwadzieścia, rozniósł jego sławę na całą Europę i pozyskał mu nazwę „chrześcijańskiego Wergiljusza". Jest to klejnot łacińskiej poezji odrodzenia; każdy wiersz tam wygładzony, obmyślany, a podobno i przedyskutowany z przyjaciółmi poety. Temat zresztą wzięty z tradycji i prawie od niej nie odstępujący. Bóg, chcąc zesłać ludzkości Odkupiciela, rozkazuje aniołowi Gabrjelowi, aby zwiastował Marji Jej wielkie przeznaczenie. Wieść o tem porusza cały świat żywych i umarłych. Dawid ogłasza w proroczych słowach przyszły żywot Chrystusa, Marja idzie do Elżbiety oznajmić jej niesłychaną wiadomość, odkupienie ludzkości się zbliża. Ale Marja i Józef są ubogimi ludźmi; Rzymianie zaprowadzają census w swem państwie; do Jerozolimy, do Betleem zjeżdżają się zewsząd tłumy mieszkańców Palestyny, dla ubogich miejsca niema. Więc Marja i Józef szukają schronienia w grocie, gdzie się Jezus rodzi. Aniołowie i pasterze nucą pienia radości, świat się przeinacza.

Rzecz prosta, że z tradycją chrześcijańską zmieszane są naleciałości starożytnego świata. To był pisarski zwyczaj, a że Bóg ma cechy Jowisza, a anioł Gabrjel podobny do Merkurego, nikogo to nie raziło. Zdarza się nawet poecie, że tradycyjnym chrześcijańskim postaciom daje nazwy pogańskiego świata.

Mimo to kult Marji jest u niego szczery, wszystkie ideały kobiecości stara się w niej zespolić, a w swojej willi Mergellina, którą mu darował król Federigo, wystawił kaplicę na cześć Madonny. Podobnie jednak, jak inni neapolitańscy pisarze, Sannazaro modli się, jak przystoi wiernemu chrześcijaninowi, ale nienawidzi papieży, wymyśla w złośliwy, sarkastyczny sposób na Innocentego VII, Giovanniego Cibo, że potomstwem swem zapełnił znów wyludniony Rzym, uderza na Leona X, a nie szczędzi wyrazów nienawiści, aby napiętnować Aleksandra VI i jego rodzinę.

Ostatnie lata piętnastego wieku takie były smutne dla Neapolu, tak pełne politycznych przewrotów, iż nie dziw, że powstali pisarze, którzy z tragiczną prawie powagą dali wyraz

usposobieniu, jakie panowało w rozumnych kołach. Już Pontano w niektórych swych pismach wypowiada te troski i te obawy, które panowały w jego ojczyźnie, ale dopiero Tristano Caracciolo, w swej rozprawie *Król Ferdynand z Aragonji i jego potomkowie,* a osobliwie w piśmie *O zmienności losów,* przenosi nas w tę atmosferę brzemienną tragicznemi wypadkami, które zapełniają ówczesną historję Neapolu. Dość powiedzieć, że w przeciągu trzech lat pięciu królów zajmowało tron neapolitański i że państwo nie mogło dojść do spokoju. Po Ferdynandzie I nastąpił, jakeśmy wspomnieli, Alfons II, uczeń Pontana, który zniszczony nadużyciem sił, pogrążony wkońcu w melancholję, zrzekł się tronu niespełna w rok po włożeniu sobie na głowę korony. Nie pozostało po nim nic prócz sławy, że umiał z nadzwyczajnym przepychem urządzić pogrzeb swego ojca i własne wstąpienie na tron. Po oddaniu rządów synowi, Ferdynandowi II, zamieszkał na Sycylji, pościł i umartwiał się, a wielkie swe skarby, które wywiózł z Neapolu, chciał poświęcić na założenie klasztoru, zostać mnichem i przenieść się do Walencji. Wykonaniu jednak tych planów stanęła śmierć na przeszkodzie, umarł 19 listopada 1495 r.

Nastąpiło krótkie panowanie Karola VIII. Caracciolo powiada, że ten król francuski, nie przypuszczając, iżby mu Wenecja miała stawiać opór, wybrał się na zajęcie królestwa neapolitańskiego lekkomyślnie, jak myśliwy z sokołem na ramieniu. Lekkomyślnie też opuścił Neapol, a po nim zasiadł na tamtejszym tronie Ferdynand II, zwany Ferrantinem, syn Alfonsa II. Nieszczęśliwy młodzieniec ożenił się z własną ciotką, siostrą swojego ojca, będącą w tym samym, co on, wieku. Zmęczony wojnami i miłością, osiedlił się z małżonką w zamku Somma pod Wezuwjuszem i umarł z wyczerpania 7 września 1496 r., mając niespełna lat dwadzieścia siedm. Bezdzietny, pozostawił tron don Federigowi, swemu stryjowi. Ale na nieszczęście Federiga panował w Rzymie smutnej pamięci Aleksander VI Borgia. Zażądał on od Federiga jego córki dla swego syna Cezara z zamiarem, aby tenże wydarł Aragonom królestwo neapolitańskie. Federigo odmówił papieskiemu żądaniu, uważając za poniżenie dla swej dynastji oddawanie córki papieskiemu bastardowi. Aleksander VI i Cezar Borgia wkrótce się zemścili.

Cezar w połączeniu z francuskiem wojskiem najechał neapolitańskie ziemie, w straszny sposób zniszczył Kapuę i zmusił Federiga do ucieczki. Federigo umarł w Tours, we Francji (1504), pozbawiony korony i majątku, ze słowami na ustach: „Wszystkiem byłem, a nic osiągnąć nie mogłem!"

Neapol był zanadto pożądaną zdobyczą, aby nią Francuzi i Hiszpanie zgodnie podzielić się mogli. Zaledwie więc zdobywcy usunęli Federiga aragońskiego, natychmiast zaczęli wojować ze sobą, ponieważ dokładnie nie porozumieli się co do tego, które prowincje neapolitańskie mają należeć do Francuzów, a które do Hiszpanów. Ostatecznie zwyciężyli Hiszpanie i państwo neapolitańskie przeszło w r. 1504 pod panowanie Ferdynanda katolickiego, króla Hiszpanji. Neapol stracił swoją samodzielność, a imieniem królów hiszpańskich rządzili odtąd wicekrólowie, którzy przedewszystkiem dbali o to, aby wyciągnąć z tej prowincji jak najwięcej dochodów dla Hiszpanji, a obok tego dorobić się w jak najkrótszym czasie jak największego majątku.

Nie dziw więc, że w takich stosunkach patrjoci neapolitańscy mogli pisać tylko w poważnym, a raczej smutnym nastroju. Do nich należy Tristano Caracciolo, człowiek, który dużo widział, dużo przeżył, a jeszcze więcej przebolał. Aby okazać zmienność losów ludzkich, przywodzi on w swych pismach, a przedewszystkiem w rozprawie *O niestałości losów ludzkich* królów, dygnitarzy, magnatów, którzy w szczęściu się urodzili, a mimo to umierali zgnębieni życiem. Zajmuje się jednak tylko tymi, którzy niejako mieli prawo do szczęścia, członkami potężnych rodzin, a mimo to zostali strąceni ze swej wysokości; uważa bowiem, że tych, którzy z nędzy potrafili się wzbić do majątków i zaszczytów, lepiej nie wymieniać. Kto z niczego powstał, nie lubi, aby wspominać o jego przeszłości. Są ludzie, rosnący tak szybko, jak kuchenne chwasty; nikt nie widział ich nasienia i ich bujnego rozwoju, ale oni sami radziby wmówić w świat, że niezwykłą pracą i pilnością, wielką zasługą przyszli do bogactw i honorów. O tych lepiej zamilczeć. Narzeka także na tych, którzy bez zasług przodków i bez własnych zalet otrzymują tytuły; książąt i hrabiów jest tylu w Neapolu, iż te godności nie mają już żadnego znaczenia. To było w początkach

XVI wieku, a ta tytułomanja później jeszcze się bardziej zwiększyła.

Tristano urodził się w Neapolu około r. 1436 i należał do zubożałej wprawdzie, ale jednej z najznakomitszych tamtejszych rodzin. Życie jego nie było szczęśliwe, upłynęło w pracy i troskach; znać też w powyższej jego rozprawie *O zmienności losów* człowieka zgorzkniałego, który rozumem panuje nad sobą, aby to niezadowolenie z własnego losu nie przeszło w zawiść, nie stało się ciemną stroną jego charakteru. Mimowoli jednak życiorysy Copoli i Petrucciego, zrazu ulubieńców króla Ferranta I, którzy później zdradzali swego dobroczyńcę i stali się głównymi spiskowcami w buncie baronów, są najbardziej wypukłemi szkicami w jego książce, czuł bowiem, że ci ludzie byli podobni do owych chwastów kuchennych, podczas gdy on, człowiek dobrego rodu i osobistych zasług, do niczego nie doprowadził. Losy go podeptały. Tragedja, która się odgrywała w duszy, znalazła wyraz w jego pismach.

Tristano pozostawił kilkanaście rozpraw, pomiędzy któremi *Żywot Spinellego* należy do najznakomitszych prac biograficznych, jakie wydała literatura odrodzenia. Jest w tym żywocie taka jędrność i taki spokój, iż nam się zdaje, że czytamy Plutarcha.

Tristano Caracciolo umarł w Neapolu 1520 r., w bardzo późnym wieku, zapamiętał też dużo.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

DWIE SMUTNE KRÓLOWE

I

Castel-Nuovo objął na początku XVI wieku w posiadanie wicekról hiszpański, rozbitki rodziny Aragonów mieściły się w Castel Capuano. Same zresztą kobiety; mężczyźni albo wymarli, albo żyli na wygnaniu. Przed niedawnemi czasy zasiadło, jak powiada Tristan Caracciolo, na jakimś bankiecie pięćdziesiąt osób, należących do rodu Aragonów; teraz zostało zaledwie kilka kobiet. Najstarsza w tej królewskiej kolonji była Joanna III, wdowa po Ferdynandzie I, siostra Ferdynanda Katolickiego. Smutne miała życie; mąż przykry, mający stosunków miłosnych bezliku, zresztą panowanie pełne wojen i nieszczęść. Ale przynajmniej Ferdynand I zapewnił jej spokojną starość, zostawił ją bardzo bogatą; księstwa Sulmona, Teano, Venafro, Isernia do niej należały, utrzymywała też wspaniały dwór w Castel Capuano.

Przy niej mieszkała córka, Joanna IV, którą zwano Regina Giovane, albo Regina Infante. Wcześnie owdowiała po Ferdynandzie II, Ferrantinie, swym synowcu, przedostatnim królu Neapolu i zachowała jeszcze dużo ochoty do życia. Pocieszali ją we wdowieństwie najprzód Jan Castriota Skanderbeg, Albańczyk, lew towarzystwa neapolitańskiego, później duka di Ferrandina, następnie Ferrando Alarcon, wódz jazdy hiszpańskiej, a równocześnie i kardynał Ludwik Borgia, jeden z najprzyjemniejszych ludzi pomiędzy hiszpańsko-neapolitańską arystokracją.

Obydwie te panie nie podpisywały się na listach imieniem, ale każda z nich nazywała się „Triste Regina". Zwyczaj pod-

pisywania się przybraną dewizą istniał w początkach XVI w. u królewskich i arystokratycznych rodów w Hiszpanji, co czasem dawało powód do zabawnych nieporozumień. Jakaś hrabina hiszpańska, owdowiawszy, podpisała się na liście do dzierżawcy swych dóbr „La trista condesa", na co ów wasal, który zapewne nie mógł narazie zapłacić czynszu, podpisał się „El triste Pero Garcia".

Smutne tytuły nie zgadzały się jednak z wesołem życiem, jakie panowało w Castel Capuano. Ówczesny neapolitański poeta, Galeazzo di Tarsia, pisze o tym przybytku Aragonek:

O felice di mille e mille amanti
Diporto e di regal donne diletto
Albergo memorabile ed eletto [1].

Przyjęcia u tych pań były głośne na całą ziemię neapolitańską, posiadłości królowej matki dostarczały najwykwintniejszych kuchennych specjałów, a krewni i bliżsi znajomi, wywdzięczając się za dobre obiady, przysyłali, co mogli najlepszego. Joanna III pisała 7 stycznia 1512 r. do Don Ferranta d'Aragona, dziękując mu za prosiaka, który był tak tłusty i smaczny, że powoli obydwie z córką zjadły go całego i tylko głową obdarzyły swego sekretarza.

Towarzystwo, zbierające się w Castel Capuano, było na owe czasy typowo włosko-hiszpańskie, może nawet więcej hiszpańskie, gdyż najbardziej modni kawalerowie pochodzili z Walencji, stolicy „galanterji". To też literackie zabytki, malujące to towarzystwo, są po większej części hiszpańskie, a na salonach smutnych królowych można było spotkać literatów i poetów, przybyłych z tamtej strony morza. W bardzo pięknej ludowej romancy hiszpańskiej *Triste regina di Napols* przechowała się smutna, przynajmniej politycznie, postać starej królowej. W tej romancy Joanna, może sprzecznie z prawdą, ucieka od wesołego towarzystwa i wzywa te monarchinie, które jej ciężkie losy podzielają, aby z niemi mogła się połączyć i łzy razem wylewać. Widzi bowiem około siebie tylko pustki i ruiny, cały szereg

---

[1] Szczęśliwy przybytku, tysiąca kochanków,
Przytułku kobiet z królewskiej rodziny,
Pałacu sławny i wybrańcze losu!

zmarłych, których ukochała. Ale podczas gdy się tak zastanawia nad swoim losem, przybywa poseł króla francuskiego, aby jej zadać cios ostatni, żądając imieniem swego pana, aby mu oddała królestwo. Przerażona zwraca się do jedynej swojej nadziei, do króla i królowej Kastylji, i prosi o pomoc. Wychodzi z córką co chwila na wieżę zamkową i patrzy na morze, czy galery braterskie przybywają. Wreszcie „gran capitan“ ląduje i obydwie Joanny witają go:

Bien vengais, el caballero,
Buena sea vuestra venida.

Histrjon, recytujący prolog do komedji Aretina *Il Marescalco,* wyśmiewając towarzystwo hiszpańsko - neapolitańskie, powiada, że wybornie potrafiłby przedstawić człowieka, który umiera z miłości. żaden Hiszpan, żaden neapolitańczyk, nie prześcignąłby go w obfitości westchnień, w strumieniach łez, w ceremonjalnych słowach. W ubraniu dobrze skrojonem, z paziem, idącym za nim w liberji o kolorach bogini swego pana, kazałby sobie co kilka kroków czyścić szczotką swe aksamitne trzewiki i potrząsając pióropuszem, śpiewałby przyciszonym głosem: „Wszędzie widzę smutek, gdzie nie jesteś obecna“. Kazałby komponować madrygały na jej cześć, a nosiłby dewizę, na której byłyby znaki: wędka, delfin i serce, coby miało znaczyć: Kocham cię z głębi serca.

Wynurzenia miłości były jeszcze częstsze w zamku młodszej Giovanny, w ciszy lasów oliwnych i pomarańczowych, w Somma, gdzie umarł jej mąż Ferdynand II. Nie miała ona jeszcze lat czterdziestu i wcale była urocza, a jakie orgje tam się odbywały, o tem lepiej zamilczeć. W ustroniu pod Wezuwjuszem mogła swobodniej, aniżeli w Castel Capuano, pod okiem matki, przyjmować Castriotę, gdyż Albańczyk był dawniej przyjacielem Joanny III, lecz później porzucił starzejącą się królową, aby „służyć“ córce. Trzeba się było przed matką ukrywać z tym romansem, aby nie wzbudzić w niej gniewu.

„Amore, feste ed armi“, to było hasło towarzystwa, bywającego w Castel Capuano i w Somma; ale przyznać trzeba, że młodzież hiszpańsko-neapolitańska umiała poza romansami i turniejami także w boju umierać.

W roku 1501 pomnożyło się towarzystwo „smutnych“ królowych w Castel Capuano o jeszcze jedną ukoronowaną Aragonkę, bo wówczas powróciła z Węgier do Neapolu Beatrycze, siostra Fryderyka, ostatniego króla neapolitańskiego. Ta jednak, znękana ciężkiemi losami, nie myślała już o „amore“. Wyszła w roku 1476 za Macieja Korwina, króla węgierskiego, który chcąc Włochom okazać swą potęgę, wysłał poselstwo po żonę, składające się z magnatów węgierskich, z orszakiem ośmiuset osób. Beatrycza, wychowana pod znakiem humanistów Pontana i Sannazara, lubiła otaczać się włoskimi uczonymi i odegrała we Węgrzech podobną rolę kulturalną, jak królowa Bona w Polsce. Po śmierci Korwina starał się o jej rękę Władysław, król czeski, aby posiąść z nią królestwo węgierskie. Ślub się odbył, ale małżeństwo, jak się zdaje, nie zostało „consummatum“. Jakie były do tego powody, niewiadomo; ale król zaraz po ślubie zupełnie ozięble zachowywał się wobec swojej żony, widywał się z nią tylko przy świadkach i chciał zerwać węzły małżeńskie. Beatricze zwróciła się do papieża, powoływała się na przyrzeczenia Władysława, ale nie mogła dowieść, że zyskała potrzebne prawa, aby małżeństwo mogło być uznane za ważne. Papież Aleksander VI zwolnił więc Władysława od pożycia z Beatryczą, a nieszczęśliwa Aragonka musiała porzucić kraj, gdzie przepędziła dwadzieścia kilka lat życia i gdzie z Maciejem Korwinem miała chwile szczęścia. Odtąd mieszkała częścią w Castel Capuano, częścią na wyspie Ischji, gdzie rodzina Aragonów miała willę w Ponzy. Tam nawet umarła w r. 1508. Znane są dwa jej popiersia marmurowe, wykonane zapewne przez jakiegoś włoskiego artystę w czasie, kiedy była zaręczona z Korwinem; jedno znajduje się w cesarskiem Muzeum w Wiedniu, drugie, nierównie piękniejsze, w zbiorze Drejfusa w Paryżu.

We dwa lata przed Beatryczą, w r. 1499, powróciła także nieszczęśliwa, z Medjolanu do Neapolu, Izabella aragońska, córka Alfonsa, księcia Kalabrji, późniejszego króla Alfonsa II. Wówczas zasiadał już jej stryj Fryderyk na tronie neapolitańskim. Miała ona smutną młodość; ośmnastoletnią wydano za Giangaleazza Sforzę, księcia Medjolanu, z którym zaraz w początkach swego małżeństwa doznała dużo zawodów. Giangaleazzo

był to wprawdzie przystojny, miły młodzieniec, ale od dzieciństwa wątłego zdrowia, słabego charakteru, niezdolny do rządów, które w jego imieniu sprawował stryj, słynny Ludwik il Moro. Sforza nie zważał na rady lekarzy i nadużywał sił młodzieńczych, a nadto nie można go było nakłonić do jakiejkolwiek diety; przejadał się owocami, zamęczał polowaniem, jazdą konno, grą w balona i oddawaniem się wszelkim możliwym sportom. A co gorsza, stosunki z kobietami różnych stanów były na porządku dziennym. Dłuższy czas umiała go więzić jakaś mężatka, córka farbiarza w Pawji, z czego najbliższe otoczenie księcia, nawet Ludwik Moro, opiekun, bardzo był niezadowolony.

Zaraz na wstępie do Medjolanu spotkał Izabellę mały napozór zawód, który jednak powszechnie źle sobie tłumaczono. Było w zwyczaju na książęcych dworach, że nieznający się jeszcze przyszli małżonkowie mieli się publicznie ucałować przy pierwszem spotkaniu. Giangaleazzo wyjechał wprawdzie konno naprzeciwko swej narzeczonej, ale gdy ją miał powitać pocałunkiem, tak swego konia skręcił, że zamiast przybliżyć się do rumaka Izabelli, przejechał koło niej, nie spełniwszy tego zwyczajowego obowiązku.

Zła wróżba aż zanadto dotkliwie się spełniła, a neapolitanka dziwne miała miodowe miesiące. Małżeństwo zawadzało młodzieńcowi; blisko rok upłynął od ślubu, a Sforza nie spełniał swych małżeńskich obowiązków. Powodu tej oziębłości właściwie nie znamy, na pewno jednak przypuścić trzeba, że jakaś inna kobieta, może owa farbiarka, odwodziła go od młodej małżonki. Gdy król Ferdynand o tem się dowiedział, zaczął grozić, że Izabellę odbierze i reszty posagu nie pozwoli wypłacić, jeżeli Giangaleazzo się nie poprawi. Wtedy Lodovico Moro zwołał kilku dygnitarzy państwa i w przytomności arcybiskupa medjolańskiego zagroził wychowankowi piekłem, jeżeli dalej będzie się tak odpornie zachowywał wobec swej małżonki. Obawa piekła poskutkowała, bo po upływie potrzebnych miesięcy urodziła Izabella 30 stycznia 1491 r. syna Franceska Marję, a następnie jeszcze dwie córki i małżonek tak się pogodził ze swemi obowiązkami, że poseł Ferrary mógł donieść swemu księciu, że Giangaleazzo stara się z nadzwyczajną pilnością powetować czas stracony i z tego powodu „aż cierpi na żołądek".

Po nieszczęsnym więc roku chłodnych stosunków pożycie Giangaleazza z Izabellą było dość szczęśliwe; małżeństwo jeździło razem na polowania, zabawiało się zbieraniem szparagów, Giangaleazzo wsadzał często żonę za siodłem na swego konia i tak pędził z nią do parku Mirabello, o kilka kilometrów od swego zamku w Pawji. Przyjeżdżała do nich madonna Bianka, nieślubna córka Ludwika Mora, wesoła i dobra dziewczyna, gotowa do wszelkich uciech. Wtedy towarzystwo szło na łąki, rzucało na siebie skoszonem sianem ku zmartwieniu ekonomów, albo polowało z chartami. Z małżonką Mora, Beatryczą d'Este, były naprężone stosunki; Izabella musiała znosić od niej wiele przykrości, patrzeć na przepyszne stroje, na zbytki Beatryczy, na które ona sobie pozwolić nie mogła. Beatrycze zajmowała to stanowisko, które się Izabelli należało, była właściwie księżną Medjolanu. To jej zatruwało życie; ambitna bowiem i odważna, rada była obudzić w mężu więcej hartu i energji, pragnęła, aby podjął walkę z Ludwikiem Morem, ale niknące siły Giangaleazza odbierały jej wszelką nadzieję na przyszłość. W roku 1494 książę ciągle zapadał na zdrowiu, a w jesieni nie było już nadziei utrzymania go przy życiu. Nie mając sił, aby wstać z łóżka, kazał sobie dwudziestego października przyprowadzić ulubione konie i dwa charty, które były w szczególniejszych u niego łaskach. Następnego dnia umarł, a była to chwila, kiedy Karol VIII francuski kroczył do Włoch północnych. Zaprosił go Ludwik Moro, aby korzystając z tego, że baronowie neapolitańscy są doprowadzeni do ostateczności tyranją Ferdynanda aragońskiego, sięgnął po koronę neapolitańską. Moro ofiarował mu swoją pomoc i otworzył bramę do Włoch przez Lombardję, spodziewając się nawzajem, że król francuski uzna go księciem Medjolanu.

Stary Ferdynand I przewidywał, jakie straszne nieszczęścia sprowadzi na Włochy najazd francuski i miał zamiar udać się do Genui, aby osobiście wpłynąć na Ludwika i odciągnąć go od awanturniczych planów, które jemu samemu mogą przynieść szkodę; ale nim jeszcze zamiar swój mógł wykonać, umarł 25 stycznia 1494 r., mając lat siedmdziesiąt. Panował trzydzieści sześć lat i pozostawił rządy swemu starszemu synowi, Alfonsowi.

Pobyt Izabelli w Medjolanie był niemożliwy po śmierci męża. Dwudziestego drugiego października 1494 r. ogłosił się Moro księciem Medjolanu. Izabella wyjechała narazie z Pawji do stolicy z trojgiem dzieci, wychudła, przybita, w sukni podobnej do franciszkańskiego habitu, z materji taniej, łokieć po cztery soldy; Barone, słynny błazen, który o wszystkiem donosił Izabelli mantuańskiej, pisał wtedy z Medjolanu, że na widok nieszczęśliwej wdowy byłby zapłakał, gdyby się nie wstrzymywał z całej siły.

Przeciwieństwo pomiędzy prawdziwą doniedawna księżną Medjolanu a samozwańczą panującą Beatryczą, szczęśliwą, otoczoną wielbicielami i dworzanami, były zanadto wielkie, aby opuszczona Izabella nie starała się jak najprędzej wyjechać do neapolitańskiej ojczyzny. Narazie jednak było to niemożliwe, bo Izabella po śmierci męża cierpiała także fizycznie; nie miała siły, aby rozpocząć nowe życie, miewała przywidzenia, w których zdawało się jej, że rozmawia z biednym Giangaleazzem. Troszczyła się o przyszłość swego dziewięcioletniego syna Franciszka, który był bardzo ładnym chłopcem, pełnym talentów. Poseł księcia Gonzagi pisał o nim, że tak piękny, jak Antinous, i że ani natura ani malarz nie potrafiłby stworzyć czegoś doskonalszego. Ludwik XII, król francuski, widząc go w r. 1499 w Pawji, kazał oświadczyć matce, że go weźmie ze sobą do Francji, i dał do zrozumienia, że go przeznaczy dla swojej córeczki, madame Claude, i da w posagu księstwo medjolańskie. Nieszczęśliwa Izabella, ufając obietnicy, powierzyła syna królowi, a sama z dwiema córkami przeniosła się na mieszkanie do Bari, do księstwa, które jej oddał Ludwik il Moro dla zabezpieczenia sumy posagowej stu tysięcy dukatów, jakie wniosła swemu mężowi. Zaledwie jednak przybyła na południe, umarła jej młodsza córka Hipolita; jedyną nadzieję lepszej przyszłości pokładała w synu.

Tymczasem urządziła się w Bari, jak przystało na Aragonkę; obronny zamek odrestaurowała i umocniła, a gdy ją w roku 1506 odwiedzał Alfonso d'Este, dziwił się, że Izabella prowadzi taki dwór, jakby ród Aragonów był jeszcze „w pełnym kwiecie"; służby miała więcej, jak w Medjolanie, a pięknych komnat bezliku.

Powoli czas zatarł smutne wspomnienia, odezwała się w Izabelli ochota do życia, zwłaszcza, że była jeszcze w pełni kobiecej urody. Córka jej, Bona, urodzona w lutym 1493 r., miała w roku 1508 lat piętnaście, a w wolnych godzinach od zabaw musiała się uczyć łaciny. Nauczycielem jej był Chryzostom Colonna, który właśnie powrócił z Hiszpanji, dokąd odprowadzał Fryderyka aragońskiego, syna króla Fryderyka. Nie należał do wielkiej rodziny Colonnów, urodził się w Cagnano, pod Salernem. Był poetą, członkiem akademji Pontana i pomiędzy innemi napisał elegję *Wyzwanie w Barlecie*. W czasie tych lekcyj musiała jednak księżniczka więcej myśleć o bardzo przystojnym młodzieńcu, Hektorze Pignatellim, aniżeli o Liwjuszu. Hektor był synem Aleksandra, pana na Toritto, który wówczas pocieszał Izabellę w jej wdowieństwie. Gdy więc ojciec rozmawiał z matką, córka po raz pierwszy zapałała miłością ku synowi. Hektor miał być przez jakiś czas zupełnie szczęśliwy i jak piszą, otrzymał od Bony „del suo amor più oltre che le fronde...“

Następcą Aleksandra Pignatellego w łaskach Izabelli był Prosper Colonna, dzielny wojownik a jeszcze większy zwycięzca serc kobiecych. Wdowiec po dwóch żonach, po księżniczce Sanseverino i jednej z Carafów, został już wiernym przyjacielem Izabelli i odwoził później jej córkę Bonę do Krakowa, gdy wychodziła za króla Zygmunta polskiego. W wojnach Prosper nie zginął, pomimo, że w wielu był walkach, ale umarł w Medjolanie (1523), mając lat sześćdziesiąt, jak mówiono, wskutek nadużyć miłosnych.

Przyjemne życie, jakie Izabella prowadziła pomiędzy Bari a Neapolem, mąciła troska o syna, od którego rzadkie były listy. Ludwik XII mianował go „abbé commendataire“ zasobnego opactwa benedyktyńskiego w Marmoutier, zapewne, aby powiększyć jego szczupłe dochody; alić w początkach r. 1512 nadeszła straszna wiadomość, że Franciszek, polując, spadł z konia i zabił się. Różnie mówiono o tym wypadku; podejrzywano Ludwika Mora, że chciał usunąć pretendenta do księstwa medjolańskiego, co jednak sprawdzić było trudno. Izabelli zostało już tylko jedno dziecko, Bona; podpisywała się też odtąd podobnie, jak dwie królowe w Castel Capuano, „Unica in disgrazia“, jedyna w nieszczęściu.

Izabella nie była lubiana; była to kobieta dumna, dla podwładnych harda, prawie męskiego hartu duszy. Charakteryzuje ją powiedzenie, którem powitała markiza di Pescara, gdy wrócił z bitwy pod Rawenną: „Chciałabym być mężczyzną, markizie — mówiła — choćby dlatego, aby ranę otrzymać na policzku i widzieć, czyby mi z nią tak było do twarzy, jak wam...!“

We dwanaście lat po synu, 11 lutego 1524 r., w 56 roku życia, umarła Izabella w tym samym Castelcapuano, gdzie przepędziła może najprzyjemniejsze chwile po śmierci męża.

Duszą tego towarzystwa, które się zbierało w Castelcapuano, był kardynał Luigi Borgia; wspomina o nim autor romansu *Question de amor*, o którym mówić będziemy, „że był znakomitym kawalerem i tak się kochał w rycerskich zabawach pomimo swej duchownej sukni, jak mało kto na świecie“. Kochał się zresztą nietylko w turniejach i giostrach, ale i w pięknych Hiszpankach i neapolitankach. Z jego polecenia napisał jakiś poeta hiszpański długi poemat, z którego się dowiadujemy o miłosnych parach na salonach „smutnych“ królowych. Poeta przemawia imieniem kardynała, który wyraziwszy swe uwielbienie dla pani domu, starszej królowej, poddaje myśl, aby każda z pań u niej bywających wykonała haft, oddający cierpienia kawalera w niej zakochanego. Tematem haftu dla królowej matki miało być niebo, zasiane gwiazdami, ze słońcem pośrodku. Gwiazdy miały zapewne przedstawiać tę niezliczoną ilość kawalerów, których westchnienia skierowane były do słońca, do królowej, w dość długiem jej życiu. Każda z pań miała swoją dewizę, swoje „motto“. Oczywiście kardynał był już tylko sługą królowej „ad honores“, „obsługiwał“ zaś w ściślejszem znaczeniu tego wyrazu donnę Marję Enriquez, młodą i piękną Hiszpankę. Nawet młoda wówczas mężatka, markiza di Pescara, słynna później Wiktorja Colonna, miała swego kawalera i była „servita“ przez markiza di Bitonto, Gian Francesca Acquavivę, który później został ciężko ranny w bitwie pod Rawenną i umarł w r. 1527. Ale Colonna była wówczas jedną ze „sprawiedliwych“, a najgorsze języki neapolitańskie nic złego o niej powiedzieć nie mogły. Kochał się w niej wprawdzie Galeazzo di Tarsia [1], poeta rodem z Kalabrji, ale wolno

[1] *Canzoniere* Galeazza di Tarsia wydany został w Neapolu, 1758.

mu było wyrazić swą miłość tylko w namiętnych wierszach. Michał Anioł opiewał swe uczucia w sonetach do starzejącej się Wiktorji; Galeazzo był poetą jej młodości, a dzięki tej muzie, poezje jego nabierają nieraz takiej siły, takiej żywości uczucia, jakiejby się po niezliczonych naśladowaniach Petrarki trudno było spodziewać.

Małżeństwo Colonny było zawarte ze względów politycznych, nie należało przeto do najszczęśliwszych. Ojciec Wiktorji, Fabrizio Colonna, wielki connetable królestwa neapolitańskiego, i jego brat stryjeczny, Prospero, należeli do tych magnatów, którzy zmieniali swe sympatje dynastyczne stosownie do prądów, jakie panowały. Gdy Francuzi byli górą i Karol VIII opanował Neapol, popierali francuskiego monarchę; gdy zaś po wyjeździe Karola VIII z Neapolu i powrocie młodego Ferranta II (Ferrantina) dynastja aragońska znowu zapanowała, stali się poplecznikami Aragonów. Ferrantino dobrze wiedział o tej politycznej chwiejności Colonnów, chciał ich zatem ściślej związać ze swoją dynastją, stanowili oni bowiem wielką potęgę w państwie. Wymyślił więc w tym celu małżeństwo małej córeczki Fabrizia z synem jednego z najznakomitszych hiszpańskich rodów, osiadłych w państwie neapolitańskiem, a była nimi familja d'Avalos, która jeszcze z Alfonsem I przybyła do Włoch i szczerze sprzyjała Aragonom. Avalosowie mieli posiadłości nad Adrjatykiem i nosili tytuł markizów di Pescara. Ostatnim z głównej linji tych markizów był młody Ferrante Francesco d'Avalos; jego to przeznaczył król Ferrandino dla Wiktorji Colonny. Wiktorja była dzieckiem, kiedy już oddano jej rękę Hiszpanowi, w którym wprawdzie płynęło trochę krwi włoskiej, bo babka jego, Antonia d'Aquino, była Włoszką, ale młodzieniec otrzymał wychowanie hiszpańskie i przyjaźnił się raczej z Hiszpanami, aniżeli z Włochami. Wesele tego politycznego małżeństwa odbyło się 27 grudnia 1509 r. na wyspie Ischji, poczem młoda para mieszkała częścią w willi Avalosów Pietralba w Neapolu, położonej w sąsiedztwie klasztoru Kartuzów San Martino, częścią na Ischji, którą sobie ulubiła Wiktorja.

Liczne rodowe i towarzyskie stosunki łączyły markizów di Pescara z dworem „smutnych“ królowych; nie dziw też, że Wiktorję ciągle spotykamy w Castel Capuano i że nawzajem to-

warzystwo tamtejsze odwiedza markizę na Ischji. Jedną z najsmutniejszych chwil pobytu Wiktorji na Ischji było pożegnanie się z królem Federigiem, którego własny krewny, Ferdynand Katolicki, w podstępny sposób pozbawił tronu.

Ferdynand połączony był ścisłemi związkami rodzinnemi z królem Federigiem II, któremu nawet oddał za małżonkę swoją siostrę Joannę. Co więcej, zezwolił następnie, aby córka jej, także Joanna, wyszła zamąż za młodego Ferdynanda.

Te wszystkie względy nie przeszkadzały chciwemu i podstępnemu Ferdynandowi Katolickiemu starać się wszelkiemi sposobami pozbawić swego szwagra tronu neapolitańskiego. Na zawadzie stał mu jednak Ludwik XII, król francuski, który pragnął wznowić dawne prawa domu andegaweńskiego do królestwa obojga Sycylji. Poza plecami swego szwagra zawarł więc Ferdynand Katolicki tajemny układ z królem francuskim 11 listopada 1500 r. w Granadzie, na mocy którego obydwaj pretendenci do ziem neapolitańskich mieli się podzielić królestwem neapolitańskiem w ten sposób, że król francuski zabierze miasto Neapol, całą ziemię di Lavoro i Abruzzy, a Ferdynand Katolicki przyłączy Apulję i Kalabrję do korony hiszpańskiej. Każdy z tych dwóch pretendentów miałby zdobyć własnemi siłami swoją część łupu i obowiązywał się tylko nie przeszkadzać niczem swemu spólnikowi w jego zaborczem zadaniu. Nadto cały ten układ i cel wyprawy miał być chowany w tajemnicy, dopóki wojsko króla francuskiego nie stanie w Rzymie. Papieżem był wtedy Aleksander VI Borgia, któremu posłowie obydwu pretendentów mieli przedstawić, że ich wyprawy mają na celu obronę przeciw napadom Turków na południowe Włochy. Papież zresztą wiedział już pierwej o tym układzie, gdyż Cezar Borgia był w porozumieniu z Francją i miał brać udział czynny w zajęciu ziemi di Lavoro, był więc pewny, że w tym rabunku zdobędzie sobie poparcie Francji w Toskanji, nad którą rad był zapanować. Papież, jako suzeren Neapolu, miał nadać inwestyturę Ferdynandowi Katolickiemu na księstwo Apulji i Kalabrji, a Ludwikowi XII na króla Jerozolimy i Neapolu.

Hiszpanie tak dalece utrzymywali w tajemnicy swoje nieprzyjazne zamiary wobec króla neapolitańskiego, że Federigo był przekonany, iż wojsko hiszpańskie, które wylądowało



Król Alfons I

(Według ryciny w bibljotece b. cesarskiego fideikomisu w Wiedniu)

w Gaecie pod dowództwem Gonsalva Fernandez di Cordova, zostało wysłane przez Ferdynanda Katolickiego w tym celu, aby wstrzymało pochód Francuzów na południe, ba, nawet Federigo w dobrej wierze pozwalał zająć hiszpańskiemu wodzowi niektóre ziemie w Kalabrji, jako potrzebne do obrony przeciw Francuzom.

Gdy się Federigo dowiedział o podstępnym zamachu na jego panowanie, wojsko francuskie zbliżało się już do Kapuy, a na czele oddziału stał Cesare Borgia. Fabrizio Colonna, który się zamknął w mieście, miał zamiar się bronić; ale częścią niedostateczność sił, częścią zdrada ułatwiła Borgji dostanie się do środka słabej zresztą fortecy. Dwudziestego czwartego lipca weszli Francuzi do Kapuy, a Cezar Borgia osławił się tam najstraszniejszemi okrucieństwami, jakich zresztą niemało dopuścił się w swem życiu. Zwycięskie wojsko wymordowało tam przeszło dwa tysiące ludzi, zrabowało kościoły i domy prywatne, rzucało się na bezbronne kobiety, a wiele z tych, które się nie chciały dobrowolnie poddać dzikim namiętnościom francuskiego żołdactwa, utopiło się w rzece lub w studniach. Borgia dawał w tej mierze przykład dzikości, wybrał sobie bowiem czterdzieści najpiękniejszych kobiet dla swego użytku. Resztę piękniejszych kapuanek pozabierało wojsko do Rzymu, gdzie je sprzedawało za niższą lub wyższą cenę, stosownie do wdzięków.

Po zajęciu Kapuy stracił Federigo wszelką nadzieję. Wprawdzie wierni mu zostali dowódcy wojsk, Fabrizio i Prospero Colonnowie; gdy jednak pierwszego wzięli Francuzi do niewoli w Kapui, a drugi nie był w stanie obronić Neapolu, nie pozostawało królowi nic innego, jak cofnąć się z dziećmi na Ischję, gdzie mu d'Aubigny pozwolił zamieszkać przez sześć miesięcy i zabrać ze sobą wszelkie ruchomości z wyjątkiem artylerji. Tam jednak mogła go dosięgnąć zdradziecka ręka krewnego Ferdynanda Katolickiego; wolał więc oddać się otwartemu wrogowi, Ludwikowi XII, i pojechać do niewoli do Francji, aniżeli do Hiszpanji.

Opuszczającego Ischję żegnały siostra Beatrycza, pozbawiona tronu węgierskiego, siostrzenica Izabella, wygnana z Medjolanu, i Wiktorja Colonna. żegnali go także Prospero Colonna i Fabrizio, który tymczasem uwolnił się z francuskiej niewoli.

Wśród łez przyjaciół wyjeżdżał, aby więcej Włoch nie zobaczyć; znękany losem umarł w trzy lata później nad Loirą, a wdowa po nim byłaby cierpiała nędzę, gdyby nie mnisi oliwetańscy w Neapolu, którym świadczyła wielkie dobrodziejstwa za swych królewskich czasów, a którzy teraz pośpieszyli z pieniężną pomocą.

Ostatnim aktem monarszym ostatniego króla niepodległego Neapolu było oddanie kasztelaństwa wyspy Ischji markizowi del Vasto, mężowi Marji d'Aragona, o której nam jeszcze mówić przyjdzie. W rodzinie del Vasto utrzymało się to kasztelaństwo aż do XVII wieku.

II

Gonsalvo obsadzał tymczasem miasta Apulji i Kalabrji, a słynny wojownik hiszpański shańbił się jeszcze jedną nieuczciwością. Przysiągł przy zajęciu Neapolu na poświęcaną hostję, że pozostawi na wolności księcia Kalabrji, don Ferranta, syna Federiga; lecz nie dotrzymał przysięgi i wyprawił go do Hiszpanji, gdzie wygnaniec, jako więzień żył do roku 1550. Był on po dwakroć żonaty, ale z żadną z małżonek nie miał potomstwa.

Przy zajęciu Kalabrji i Apulji zaszły pomiędzy francuskiemi a hiszpańskiemi wojskami graniczne spory; i tak Hiszpanie zajęli nadmorskie miasto Barlettę, które według zdania Francuzów im się należało. Stosunek niby to przyjacielskich wojsk był nadto bardzo naprężony. Francuzi zarzucali Hiszpanom, że nie umieją jeździć konno i nacierać z konia na nieprzyjaciela, że zresztą zdolni są tylko do pieszej walki. Hiszpanie nawzajem z pogardą spoglądali na Francuzów, którzy ich zdaniem ani konno ani pieszo walczyć nie umieją. Z przymówek doszło do pojedynku; wyznaczono jedenastu rycerzy z jednej i tyluż ze strony przeciwnej, aby okazali, czyje zarzuty są słuszne. Walka jednak nie została rozegrana, sędziowie nie przyznali zwycięstwa żadnej grupie. Rozdrażnienie pomiędzy Francuzami a Hiszpanami coraz bardziej rosło. Zdarzyło się, że na wieczerzy u don Diega di Mendoza, na którą zaproszono także Francuza, pana de la Motte, uwięzionego w ostatnich utarczkach, zeszła znowu

rozmowa na odwagę i sprawność wojenną Hiszpanów, Francuzów i Włochów. Francuz wyraził się tam z wielkiem lekceważeniem o Włochach, twierdząc, że nie dorównują Francuzom ani siłą, ani zapałem, ani sztuką wojenną; na co odpowiedział obraźliwie dla Francuzów Włoch, Hektor Fieramosca. Od słowa do słowa, spór się zaognił i przyszło do postanowienia, że trzynastu Francuzów stanie do pojedynku z trzynastu Włochami, a takie spotkanie okaże, kto ma słuszność: de la Motte, czy Hektor Fieramosca.

I rozpoczęły się przygotowania do pojedynku, którym się chlubi wojskowość włoska po dziś dzień. W czwartą stuletnią rocznicę tego spotkania pod Barlettą, które Włosi nazywają „la disfida di Barletta", uczczono wielkiemi uroczystościami pamięć bohaterów z pod Barletty, a jeden z potomków owych trzynastu, major Filip Abignente, zebrał wszystkie dokumenta, odnoszące się do owego dnia chwały włoskiego rycerstwa.

Pojedynek ten, który się odbył 13 lutego 1503, jest zajmujący ze względu na zwyczaje epoki, w której obok formalizmu średniowiecznej scholastyki panuje już zbytek i malowniczość odrodzenia.

Cała sprawa rozpoczęła się listami, pozwami i replikami głównych aktorów spotkania, Hektora Fieramosci i pana de la Motte. Gdy się nareszcie zgodzono na wszystkie warunki walki, objęli komendę nad włoską grupą rycerstwa Prospero i Fabrizio Colonnowie, jako najpoważniejsi i najbardziej doświadczeni rycerze.

Signor Prospero zbadał przed walką z największą dokładnością siłę i rząd każdego rumaka, a szczególną uwagę zwracał na odporność drzewca u lanc, badając, czy się przy uderzeniu o zbroję nieprzyjaciela nie będą uginały albo kruszyły. Konie musiały być pokryte zbroją z żelaza i skóry.

Z Andrji ruszono na plac boju w następującym porządku: naprzód prowadziło trzynastu piechurów trzynaście rumaków przykrytych kapami, przeznaczonych do walki. Za nimi jechali rycerze, jeden za drugim w zbroi, ale bez hełmów, bo przy każdym koniu szedł giermek, niosący hełm i kopję swego pana. Wszyscy barwnie ubrani, z godłem królowej Izabelli na płaszczu, ponieważ ta święta małżonka króla katolickiego rozkazała, aby

hiszpańscy żołnierze, ilekroć idą na pole walki, mieli przyszyte to samo godło, które ona zwykła była nosić.

W pobliżu miejsca, przeznaczonego na zbrojne spotkanie, w dolinie umajonej grupami rozłożystych dębów, czekali już zgromadzeni sędziowie włoscy i francuscy. Tam się pochód rycerski zatrzymał i Hektor Fieramosca miał długą przemowę, napominając swoich towarzyszy, aby walczyli o honor imienia latyńskiego i narodu włoskiego. Poczem nastąpiła krótka modlitwa i każdy z rycerzy włożył hełm na głowę, siadł na koń i jechał na pole walki. Tam miał znowu Karol de la Motte długą orację, zwróconą tak do Francuzów, jak i do Włochów, a gdy zakończył, przeciwnicy rzucili się sobie w objęcia „z niewypowiedzianym entuzjazmem", aby z tym większym zapałem się następnie zabijać.

Obydwie grupy stanęły naprzeciwko siebie i po grzecznem pochyleniu głowy na znak powitania dano znak, że walka ma się rozpocząć.

Po tych ceremonjach konie ruszyły z kopyta, w słońcu widać było tylko błyski stali, żywe barwy i złoto rycerskich kaftanów, gdyż francuscy rycerze byli ubrani w karmazynowy brokat ze złotem, a rzędy ich koni błyszczały także złotem i rozmaitemi barwami.

Pierwsze zderzenie było gwałtowne jak huragan; kilka kopij się zgruchotało, a Włosi nabrali otuchy, bo się okazało, że ich drzewca dłuższe i bardziej odporne; natomiast wiatr mieli przeciwny i tumany piasku zasłaniały im wzrok. W drugiem starciu upadło kilka koni, a Hektor Fieramosca wyparł de la Motte'a poza granice pojedynku, wskutek czego już Francuzowi dalej walczyć nie było wolno. Tylko trzech Francuzów pozostało po trzeciem starciu, dwóch jeszcze na koniach, jeden spadł z siodła, ale walczył dalej pieszo. Wreszcie już tylko jeden bronił się Francuz, Pierre de Chals; ale tyloma już był osłabiony pchnięciami, że sędziowie kazali mu zaprzestać walki, aby uratować życie dzielnego rycerza.

Mnich francuski w ornacie mszalnym klęczał w czasie walki w pobliżu swych rycerzy i tak potężnym głosem prosił Boga o zwycięstwo dla Francuzów, że słychać go było pomimo szczęku stalowych zbroi. Gdy jednak spostrzegł, że Włosi zwy-

ciężają, umilkł, odrzucił książkę do modlenia, a zasłoniwszy oczy, zanosił się od płaczu i uciekł z pola walki ku wielkiej uciesze zgromadzonych Włochów.

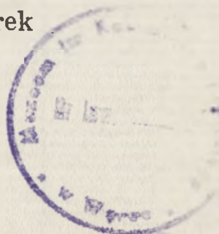
Zwycięstwo Włochów było zupełne; ogłoszono je uderzeniem w trąby, poczem wezwał Hektor Fieramosca rycerzy do powrotu. Naprzeciw powracających wyjechał Gran Capitano Gonsalvo i Diego di Mendoza; ściskano zwycięskich rycerzy, a lud krzyczał z takim zapałem „Italia, Italia, Spagna, Spagna!", iż zdawało się, że ziemia się trzęsie w swoich posadach. Wieczorem palono smołowce po ulicach Barletty, okna domów zajaśniały od świec, muzyka i śpiew rozlegały się wszędzie, a duchowieństwo obnosiło w procesji posąg Madonny, dziękując Bogu za świetne zwycięstwo.

W późniejszych czasach stawiano pomniki w miejscowościach, z których pochodzili waleczni rycerze; poeci wysilali się na pochwalne wiersze, a Massimo d'Azeglio wymalował piękny obraz, przedstawiający słynny pojedynek. Nazwisko Fieramosci posłużyło nawet za tytuł dla dzienników włoskich.

Spotkanie pod Barlettą nie zakończyło bynajmniej sporów pomiędzy Hiszpanami a Francuzami o granice ich posiadłości w południowych Włoszech; walczono i nienawidzono się dalej, a Ludwik XII skarżył się, że Ferdynand Katolicki go podszedł, że go już dwa razy okłamał. Gdy to doniesiono Ferdynandowi, król najspokojnej odpowiedział: „Kłamie ten głupiec; oszukałem go przynajmniej dziesięć razy!" — To była dobra wiara ówczesnych monarchów.

III

Nie dziw, że na salonach „smutnych królowych" w Castel Capuano długo rozprawiano o bohaterskich czynach trzynastu Włochów pod Barlettą i że osobliwie Prosper Colonna zbierał powinszowania panów, którzy używali wywczasu w Neapolu. Na tych salonach nie zajmowano się samemi tylko miłosnemi intrygami i wieściami o chwilowych powodzeniach oręża hiszpańskiego, ale śpiew i muzyka należały do największych przyjemności towarzystwa, a starsi panowie i panie roznamiętniali się grą w kości i w szachy. Jedną z najlepszych partnerek



w grze w szachy była Izabella Sforza, matka królowej Bony, o której mówiono, że ją tylko Izabella d'Este z Mantuy w tej sztuce przewyższa.

Rozprawiano także o literaturze, ale po większej części o lekkiej literaturze hiszpańskiej, która się wciskała do Włoch ku zgorszeniu czcicieli Petrarki i Boccaccia. Hiszpańskie romanse i *Cancioneros* były w modzie, romanse czcze, pełne frazeologji, dworactwa, pychy i dumy, miłosnych subtelności i galanterji dla kobiet, a przedewszystkiem dla kobiet arystokratycznego świata. Może jedyny autor poematu *De partu virginis*, Sannazaro, miał przystęp do arystokratycznego towarzystwa w Neapolu, gdyż pochodził z hiszpańskiej rodziny, w swym talencie miał pewną czułostkowość i doprowadził kult kobiety do największej potęgi.

Z hiszpańskiego *Cancionera* [1] przytaczam jako przykład, w wolnem tłumaczeniu panny Słonczyńskiej dwa wiersze, jeden poświęcony Izabelli aragońskiej, a drugi jej córce Bonie.

DO IZABELLI ARAGOŃSKIEJ

Uwite z cnót jedwabnego przędziwa
Obracasz koło twe, o wielka księżno,
To, które losu kołem się nazywa...
Niechaj się w niczem nikt nie porównywa
Z duszy twej cnotą wytrwałą a mężną!
Palmę zwycięstwa gotują ci czyny,
Choć nie pragnęłaś jej nigdy w prostocie;
Oto ta palma, jak zasług wawrzyny,
Za długich cierpień bolesne godziny
Niechaj będzie słuszną nagrodą twej cnocie.

MOTTO

Zły los w żadnej porze
Cnoty nie przemoże

DO BONY SFORZY

Z bieli, z jedwabiów szkartału,
O księżno Bono wspaniała,
Koronę, znak majestatu,

---

[1] *Cancionero general* (1527), Toledo.

Dla siebie wijesz, jak z kwiatu,
Z emalji będziesz ją miała.
Mój ból — więzieniem, gdzie płaczą
Ci, którzy cierpiąc bez winy,
Wieczną targani rozpaczą,
tysiąc widm śmierci zobaczą,
jako ratunek jedyny.

MOTTO

Z wszystkich najwięcej czoło nam zasępia
ta męka, którą rozsądek potępia.

Ciekawy opis towarzystwa, bywającego na salonach w Castel Capuano, zachował się w romansie hiszpańskim *Question de amor*, pisanym pomiędzy latami 1508 a 1512, a wydanym po raz pierwszy w r. 1513. Autorem tego romansu był bez wątpienia Hiszpan, bywający w neapolitańskim wielkim świecie. Opowieść składa się z dwóch części, z których pierwsza jest zbiorem rozmów o miłości, opisem festynów i polowań, ubiorów pań i panów, druga zaś w bardzo szczegółowy sposób zajmuje się wyprawą wicekróla Raimonda di Cardona do Włoch północnych. Ludwik XII francuski chciał zapanować nad półwyspem; przeciw niemu zawiązała się potężna liga pomiędzy papieżem, Rzecząpospolitą wenecką i Ferdynandem Katolickim pod hasłem Juljusza II „Fuori i barbari!" Papież obawiał się, aby mu Francuzi nie zabrali Romanji, Hiszpanie musieli bronić Neapolu przed możliwym najazdem Ludwika XII; więc Raimond di Cardona zebrał 14000 ludzi, pomiędzy nimi 800 konnej szlachty, i razem z Fabriziem Colonną wyruszył na północ. Chodziło o pośpiech, bo Francuzi oblegali w Rawennie Marka Antonja Colonnę, a dowodzili nimi duc de Nemours i Bayard, rycerz „sans peur et sans reproche".

Oddział Cardony wyglądał świetnie, a kronikarz francuski powiada o tem rycerstwie, że było „le plus magnifique et triomphant, qu'on vit jamais".

Ale nie uprzedzajmy wypadków, przypatrzmy się temu rycerstwu i jego paniom przed katastrofą pod Rawenną.

Romans nieznanego Hiszpana rozpoczyna się w czasie, kiedy Karol VIII francuski zdobył królestwo neapolitańskie. W pierwszej części wprowadza autor na scenę osobistości, kry-

jące się pod przejrzystemi pseudonimami, w drugiej wymienia uczestników wyprawy po imieniu i nazwisku. Przez porównanie barw i ubiorów towarzystwa nietrudno dojść, które osobistości odpowiadają użytym pseudonimom. Wytłumaczenia zresztą tych zagadek podjął się z wielkiem powodzeniem uczony włoski Benedetto Croce, tak, że wyjaśnienia jego można przyjąć za pewniki [1]. Zresztą początkowe litery zmyślonych nazwisk odpowiadają zawsze początkowym literom nazwisk prawdziwych.

Kawaler Vasquiran, Hiszpan z miasta Tadomir (Toledo), wysłany z Neapolu do Ferdynanda Katolickiego, zakochał się, przejeżdżając przez Ciracundę (Saragossę), w pięknej Violinie, pannie z dobrej rodziny; prosił o jej rękę, a gdy rodzice córki mu dać nie chcieli, wykradł ją i uciekł z nią na wyspę (Sycylję), której stolicą jest miasto Falernisa (Palermo). Tam zaprzyjaźnił się z innym Hiszpanem, z Flamianem, rodem z Walencji, który zazwyczaj mieszkał w Neapolu. Flamian, a pod tą nazwą ukrywa się młodzieniec Don Geronimo Fenollet, pełen rycerskich zalet, zapałał gorącym afektem do młodej księżniczki Belizeny (Bony Sforzy).

Obydwaj kochają się nieszczęśliwie; Vasquiranowi umiera urocza Violina, a Flamiano mało ma nadziei, aby posiąść Belizenę, bo panna pochodzi z książęcego rodu i jest olśniewającej urody.

Przyjaciele donoszą sobie o ważniejszych wypadkach w życiu, a listy wozi paź Flamiana, Felisel. Pierwszy list od Vasquirana, z Palermo, pełen rozpaczy po utracie Violiny. Powstaje pomiędzy nimi „question“, kto jest nieszczęśliwszy: czy ten, kto kocha się beznadziejnie, czy ten, kto przez śmierć stracił przedmiot swojej miłości. Drobnostkowość scholastyków przeszła do spraw serca; przyjaciele rozbierają ulubiony wówczas temat w długich, nudnych rozprawach, silą się tu i ówdzie na błahe wierszyki.

Bądź co bądź Flamiano postanawia oświadczyć się Belizenie, a trafia się po temu sposobność na polowaniu w okolicy Neapolu. Zakochany sprawia sobie piękne szaty aksamitne,

[1] *Di un antico romanzo spagnuolo relativo alla storia di Napoli, La „Question de Amor“*. Napoli, 1894.

czerwone w białe psy, bo to kolory Belizeny, każe na piersiach wyhaftować bazyliszka z dość niejasnym napisem:

Lo queste haze hazeys
A quanto veys [1].

Kupuje ostrą dzidę, ubiera służbę także w barwy pani swego serca, a ponieważ łowy potrwają cały tydzień, więc gromadzi obfite zapasy żywności.

Koń musi być równie wspaniale ubrany, jak rycerz, i równie hołduje Belizenie. Więc przybrany jest w kapę z czerwonego aksamitu z frendzlami i kutasami białemi, czarnemi i czerwonemi, a na piersiach ma równie, jak rycerz, nie dość dowcipny napis:

Los tres hazen compania
Al'allegria [2].

Ważny dzień nadchodzi. Na jednem ze stanowisk znajduje się Belizena z przyjaciółką, jakąś Izianą, a w jej pobliżu trzech rycerzy, którym Izabella powierzyła opiekę nad swoją córką. Naraz wypada jeleń, leśni spuszczają sforę psów i całe towarzystwo goni konno za zwierzem. Belizena jednak z przyjaciółką zostaje pod drzewem, jakgdyby się spodziewała, że Flamian nadejdzie i zechce z nią mówić. I rzeczywiście, caballero się zjawia, trochę zmieszany, rozpoczyna oświadczyny w okrągłych, wykwintnych a długich frazesach.

Belizena oblewa go zimną wodą; „odwołuje się na poprzednią już z nim rozmowę i powiada, że swą natarczywością sprawia jej tylko przykrość, a choćby wskutek swych zapałów i życie utracił, ona nie może na to zważać. Sięga za wysoko. Najlepiej jej usłuży, jeżeli zupełnie służyć nie będzie".

Flamian jeszcze stara się Belizenę przekonać, oświadcza, że jeżeli nielitościwa żąda, aby pozbył się uczucia, którem ku niej pała, to niech rozkaże „wydrzeć z niego kości i zatrzeć na nich jej imię, niech rozkaże usunąć z jego wnętrza swą postać, która całe jego jestestwo przeinaczyła".

---

[1] Co ten czyni, czyńcie i wy, którzy patrzycie.
[2] Wszystkie trzy kolory dotrzymują towarzystwa wesołości.

Rozmawiają jeszcze długo, może za długo; ponieważ jednak Flamian nie może rozbudzić iskry miłości w sercu Belizeny, więc stara się jej przypodobać innym razem i urządza w tym celu, na wiosnę, „Juego de cannas“, turniej z dzidami i rozmaite inne zabawy w okolicy Neapolu. Całe arystokratyczne towarzystwo się tam zebrało, a ponieważ te festyny mają przedewszystkiem uczcić Belizenę, więc wszyscy panowie przywdziali jej barwy, ubrania z białego brokatu i karmazynowego jedwabiu.

Juego de cannas przejęli Hiszpanie od Maurów; była to potyczka na tępe dzidy, a zręczność zależała na tak skutecznem zasłanianiu się tarczą, aby przed nacierającymi przeciwnikami uciec bez szwanku.

Tym razem kardynał Ludwik Borgia prowadził igrzyska, a jego rycerze byli przebrani za Turków i potykali się z ludźmi Flamiana, który otrzymał główną nagrodę „de gentilhombre“. Po turnieju wieczerza, następnie tańce, a wreszcie w domu księżnej Salernu została odegrana ekloga z aluzjami do Flamiana i Belizeny. Głównym pasterzem w tej bardzo nudnej i ckliwej sielance był Flamian, pod nazwiskiem Torina, i w długich wierszach, przy dźwiękach lutni wywodził swe żale i cierpienia z powodu nieszczęśliwej miłości. Skarżył się polom, łąkom, a nawet pasącemu się bydłu z powodu swoich boleści, co miało rozczulić Belizenę, ale zapewne wywarło na nią zupełnie przeciwne wrażenie.

Towarzystwo musiało się dobrze bawić kosztem biednego Flamiana. Ale jego wytrwałość nas zadziwia, gdyż na turnieju, urządzonym u kardynała Borgii, znowu go widzimy, pysznie ubranego, w hełmie ze srebrnemi wężami, na koniu, przykrytym białym brokatem, z napisem, będącym jeszcze aluzją do kolorów Belizeny. Nieugięta księżniczka ukazała się bowiem na białym rumaku, w sukni białej, jedwabnej w czarne pasy i sznury złote i czerwone, ozdobiona perłami. Na sukni były poprzyszywane złote blaszki, na szyi łańcuch, a na głowie czerwony, jedwabny berecik. Stosownie do białego i czerwonego koloru, przeważającego w stroju Belizeny-Bony, ostrzegał napis na koniu Flamiana, że kto natrze na biały kolor, a wpatrzy się w czerwony, zwyciężyć nie zdoła.

Na tym wieczorze u kardynała kobiety starały się jak najpiękniejsze przywdziać stroje, bo próżny Hiszpan ogłosił, że ta z pań, która wystąpi najwspanialej, otrzyma w nagrodę diament wartości stu dukatów. Sędziami byli panowie i panie, a pomiędzy temi ostatniemi księżna Izabella Sforza i Joanna, siostrzenica Ferdynanda Katolickiego. Oczywiście, że bohaterka romansu, Belizena, zyskała nagrodę piękności. Jej matka, Izabella Sforza, przybyła na ciemnogniadym koniu, przykrytym kapą z czarnego aksamitu, a sama jako wdowa, była czarno ubrana.

Flamianowi serce się ścisnęło, gdy widział, że Belizena najpiękniejsza w tem towarzystwie świetnych pań, dla niego ciągle jest obojętna. Ale ci rycerze XV wieku byli, przynajmniej w teorji, wytrwali w rzeczach serca. Pod hasłem tej miłości wybierał się też Flamian na wojnę przeciw Francuzom i doniósł o tem swemu przyjacielowi Vasquiranowi. Przyjaciel go pochwalił; odpisał, że powody, które go wiodą na wojnę, są słuszne, „bo obowiązkiem rycerza jest służyć kościołowi, tak jak wszyscy służą, równie jak powinnością każdego iść za rozkazem króla. Do czego cię zresztą Pan Bóg stworzył? — Do rycerskiego rzemiosła, do wojny. Tam zdobędziesz to, na co zasługujesz, zwłaszcza, że gwiazdą twoją przewodnią będzie myśl o Belizenie, u której swe serce pozostawiasz".

Pomiędzy rycerzami, którzy idąc na Rawennę, przeciągali pod Castel-Nuovo, był więc i Flamian. W oknach stała obok wicekrólowej, obok młodszej Joanny, księżnej medjolańskiej, Wiktorji Colonny, także i księżniczka Bona Sforza; jej rzucił młody rycerz ostatnie pożegnalne spojrzenie. A w wojnie wstydu jej nie zrobił, bił się, jak przystało na hiszpańskiego rycerza, został ciężko ranny i 17 kwietnia 1512 umarł, prawdopodobnie w Ferrarze.

Ostatnia jego myśl zwracała się ku Belizenie; w dzień przed śmiercią napisał do przyjaciela, do Vasquirana: „...Niemasz większej ulgi, jak po nieszczęśliwem życiu śmierć zaszczytna. Czuję już, że w niej prawdziwy odpoczynek. Nie opłakuj mnie, bo ostatnie chwile najwięcej dają zadowolenia... Dusza moja boleje tylko, że przed zgonem nie mogłem jeszcze oglądać Donny mojej...".

Tak kończy bohater romansu; dobrze, że umarł wcześniej, gdyż za kilka lat, w jesieni r. 1517, byłby się dowiedział, że jego Belizena wychodzi za pięćdziesięcioletniego króla polskiego, Zygmunta, którego nigdy nie widziała. Nie szukała ideałów serca, ale zaspokojenia ambicji i dumy. Matka jej doczekała się jeszcze tej chwili, gdyż umarła 11 lutego 1524 w Castel Capuano.

Zamczysko uciech i romansów opustoszało; obydwie królowe Joanny już nie żyły, Wiktorja Colonna owdowiała w r. 1525, gdyż markiz de Pescara umarł wskutek ran, otrzymanych pod Pawją w bitwie przeciw Franciszkowi I. Wiktorja wylewała za małżonkiem swoje żale w wierszach, przypominających Petrarkę. Czy te żale były szczere? Wątpić się godzi, małżeństwo nie było szczęśliwe; w pamięci jednak Colonny został wyidealizowany Ferrante, który jej służył do podniecenia imaginacji, bo petrarkiści mieli długotrwałe, niewygasłe w pamięci typy do swoich sonetów.

Zestawienie wesołego towarzystwa arystokratycznego w Neapolu, tych zabaw i uciech miłosnych, z tragedją pod Rawenną, przywodzi na pamięć, jak słusznie zauważył Benedetto Croce, ów słynny fresk w Camposanto w Pizie, gdzie do rozbawionej kompanji mężczyzn i kobiet zbliża się „colla falce inesorabile“ nieubłagana śmierć.

Pomimo że książka hiszpańskiego „kabalera“, jako dzieło literackie, nie ma większego znaczenia, przecież doczekała się w XVI wieku wielu wydań w Hiszpanji, tudzież w Wenecji (1553) i w Antwerpji (1598), gdyż zajmowała się ową kazuistyką miłości, która była w modzie, a nadto zawierała opisy zabaw i ubiorów wielkiego świata neapolitańskiego, niedawno jeszcze żyjących osobistości.

IV

Rzeczywistość pod Rawenną nie była tak poetyczna i chlubna dla Włochów i Hiszpanów, jak wyjazd z Neapolu na wojnę. Rycerstwo nie spodziewało się zapewne, że będzie brało udział w jednej z najkrwawszych bitew XV i XVI wieku, rzec można, pierwszej „nowoczesnej“ bitwie, w której artylerja,

a nawet rowy obronne główną odgrywały rolę. Zginęło tam 10.000 ludzi.

Z jednej strony walczyli Francuzi, „djabły francuskie“, jak ich nazywano, pod wodzą Gastona de Foix, siostrzeńca Ludwika XII, o którym mówiono, że od dwóch tysięcy lat nie było dzielniejszego od niego rycerza. Francuzów wspierał Alfons, książę Ferrary, mający najlepszą artylerję w Europie, przeczuł bowiem, że armaty będą rozstrzygać bitwy, i wszelkiemi siłami starał się je technicznie ulepszyć.

Przeciwnikami były wojska, należące do ligi wrogiej Francuzom, na czele której stał papież Juljusz II. Inne narody, należące do „świętej“ ligi, jak Wenecja i Niemcy, brały tylko mały udział w tej bitwie. Celem ligi było zapewnić papieżowi istnienie państwa papieskiego i jedność kościoła, ponieważ Ludwik XII, poróżniwszy się z Juljuszem II, groził, że się postara o wybór innego papieża. Liga zawarta była 4 października 1511. Do walki stanęli Hiszpanie i Neapolitanie pod wodzą neapolitańskiego wicekróla Don Ramorina di Cardona, o którego wojskowych zdolnościach papież niezbyt wysokie miał wyobrażenie, nazwał go bowiem „Madama di Cardona“. Wenecjanie odcięli dowóz żywności dla Francuzów, więc Francuzi rzucili się na Rawennę, gdzie nagromadzono mnóstwo zapasów dla armji hiszpańsko-włoskiej. Marc Antonio Colonna bronił zrazu dzielnie miasta, ale dwunastego kwietnia, w drugie święto Wielkiej Nocy, Gaston de Foix zmusił Don Ramona di Cardona do otwartej walki. Hiszpanie mieli wprawdzie dwadzieścia ciężkich dział tudzież znaczną ilość zwykłych armat i długich dział, zwanych wężami, ale i Francuzom nie brak było artylerji, a jedna z ich armat położyła trupem 33 żołnierzy papiesko-hiszpańskiej armji. Hiszpanie dzielnie się trzymali, a jeden z francuskich kronikarzy powiada, że niektórzy z nich, nie mając już ani ręki ani nogi, zębami gryźli nieprzyjaciela. Ośm godzin trwała najzaciętsza walka i dopiero artylerja księcia Ferrary, ustawiwszy się zboku, przełamała nieprzyjacielskie szyki. Don Ramon di Cardona uciekł z trzystu ludźmi ciężkiej jazdy, a dwa tysiące włoskiej piechoty poszło w jego ślady. Fernando d’Avalos, marchese di Pescara, hr. Pedro Navarro i wielu innych znakomitych Hiszpanów musiało się poddać. Francuzi zabrali całą hiszpańską

artylerję i hiszpańskie sztandary, ale i oni ponieśli olbrzymie straty. Dwustu francuskich rycerzy, których przeciwnicy łatwo mogli poznać po wspaniałych szatach, po złotych brokatach, padło, a największą stratą była śmierć Gastona de Foix, który był duszą francuskiej armji. Miał on zaledwie dwadzieścia cztery lata, a król Ludwik XII pokładał w nim wielkie nadzieje. Francuskie wojsko zajęło Rawennę i strasznie ją spustoszyło; ale mimo chwilowego zwycięstwa bitwa nie przyniosła Francuzom pożytku, bo wojsko Ludwika XII, po ciężkich stratach rozprzężone, nie było zdolne do dalszego działania i do pochodu na Rzym celem zdetronizowania Juljusza II, jak to sobie Gaston de Foix obiecywał.

Z uciechy, że Francuzi nie zdołali zająć Rzymu, kazał sobie Juljusz II brodę ogolić, ale zdaje się, że później znowu ją zapuścił.

Jedyną dzisiaj pamiątką tej największej bitwy XVI wieku jest pomnik francuskiego wodza, ustawiony obecnie w Castello Sforzesco w Medjolanie. Franciszek I polecił w r. 1515, aby Gastonowi wystawiono wspaniałe mauzoleum; pracę powierzono rzeźbiarzowi Augustynowi Busti, zwanemu „il Bambaja" († 1548), którego dziełem są niektóre figury w katedrze medjolańskiej i w pawijskiej kartuzji. Mauzoleum miało być umieszczone w kościele św. Marty w Medjolanie, ale nigdy nie zostało ukończone. Mnóstwo statuetek i płaskorzeźb, mających zdobić pomnik, rozprószyło się po rozmaitych zbiorach, a rysunek do przepysznego dzieła znajduje się w South Kensington Museum, w Londynie; sama postać młodego rycerza pozostała w Medjolanie. Gaston leży z twarzą lekko uśmiechniętą, jakgdyby się cieszył ze zwycięstwa odniesionego pod Rawenną, z głową opartą o poduszkę i rękami skrzyżowanemi poniżej piersi, trzymającemi miecz. Twarz po mistrzowsku wyrzeźbiona, młodzieńczo ujmująca, zresztą strój mniej piękny, widocznie podobny do tego, jaki rycerz miał na sobie w bitwie, w której zginął.

Bitwa pod Rawenną okryła także żałobą wiele rodzin, związanych przyjaźnią z domem dwóch smutnych królowych, i przyczyniła się do zamknięcia tych świetnych salonów, które przez jakiś czas panowały nad towarzyskiem życiem w Neapolu.

Fabrizio Colonna dostał się pod Rawenną do niewoli księcia Ferrary, jednak wkrótce otrzymał wolność, gdyż Alfons rad był pogodzić się z papieżem; Juljusz II nie tak łatwo przebaczał winy swoim przeciwnikom i Alfons tylko dzięki Colonnom zdołał uciec z Rzymu w towarzystwie Ariosta przed zemstą srogiego papieża.

ROZDZIAŁ ÓSMY

JOANNA D'ARAGONA

I

W Castel Capuano, w towarzystwie, któreśmy poznali, bywały jeszcze dwie młode panienki, Giovanna i Marja d'Aragona, córki księcia Montalto, syna nieślubnego Ferdynanda I.

Gdy się wymieni nazwisko Joanny, przychodzi zaraz na pamięć ten piękny jej portret w Luwrze, niewiadomego artysty, niesłusznie uchodzący za dzieło Rafaela, którego kopja z pewnemi zmianami znajduje się w galerji Doria-Pamphili w Rzymie[1].

Roku urodzenia Giovanny nie wiemy, ale kiedy Giulio Romano malował w r. 1518 jej portret, musiała mieć siedmnaście lub ośmnaście lat, urodziła się zatem na początku wieku. Obydwie siostry, starsza Giovanna i młodsza Marja, należały do najpiękniejszych i najznakomitszych kobiet owego czasu, a dość powiedzieć, że gdy Medici chciał Franciszkowi I zrobić przyjemność i ofiarować mu portret najbardziej uroczej kobiety we Włoszech, posłał mu podobiznę Giovanny. Gdy zaś Karol V, wracając w r. 1535 z afrykańskiej wyprawy, bawił w Neapolu, tak był nią zachwycony, że na dworskim balu maskowym po-

---

[1] Lorenzo Medici polecił Rafaelowi, aby wymalował portret Joanny, przeznaczony dla Franciszka I. Rafael nie mógł albo nie chciał jechać do Neapolu i wysłał tam Giulia Romana, aby go zastąpił. Portret w Luwrze jest więc prawdopodobnie pendzla Giulia, a już zgoła nie posiada cech Urbinata. Kopję w Doria-Pamphili malował według jednych Leonardo da Pistoia, według innych Flamand Giampietrino. Inna, dobra kopja portretu Giulia Romana znajduje się w berlińskiem muzeum, a jeszcze inna miała w połowie XVIII wieku istnieć u barona von Speck w Lipsku.



Ferdynand I
(Według ryciny w bibljotece b. cesarskiego fideikomisu w Wiedniu)

zwolił jej, wbrew zwyczajowi, zdjąć maskę w swojej obecności, aby się móc napatrzyć piękności jej oblicza. A dodać należy, że Karol V nosił się już wtedy z zamiarem zamieszkania w klasztorze, był zimny jak tramontana, (wiatr północny) i żył tylko pamięcią swej zmarłej prześlicznej małżonki.

A Giovanna nietylko odznaczała się nadzwyczajną urodą, ale przewyższała wszystkie swe rówieśnice swobodą, wesołością usposobienia, dowcipem, dzielnością i odwagą w trudnych przejściach życia, pisała wiersze pełne humoru, a w towarzystwie bywała królową. Dzięki regularnym rysom twarzy i wyniosłości swej postaci była zawsze piękna, a choć przekroczyła nawet pięćdziesiątkę, opiewano jeszcze we wszystkich językach jej urodę. Układano na jej cześć pochwalne wiersze po łacinie, po grecku, po włosku, francusku, angielsku i niemiecku, po polsku i węgiersku, a nawet po hebrajsku i chaldejsku. Kanonizowano ją jako świętą piękności, uważano jej postać za absolutny ideał wyjątkowej urody, przynoszący sławę włoskiemu narodowi. W pięćdziesiątą rocznicę jej urodzin zebrali się przeto uczeni i poeci z różnych miast na kongres w Wenecji (1551) i po długich obradach, jak uczcić to bóstwo urody, postanowili wydać księgę *Świątynię*, poświęconą Joannie d'Aragona.

W czasie tych „poważnych" rozpraw podniesiono także myśl, aby ta księga chwały była przeznaczona dla obydwu sióstr, dla Joanny i Marji, która również należała do niepospolicie pięknych i niezwykle znakomitych kobiet. Ale członkowie akademji „Dubiosi" przytoczyli przykład z przeszłości, że Marcellus wystawił dwie odrębne świątynie dla „Sławy" i dla „Cnoty", nie można więc obydwu sióstr aragońskich uczcić w jednem dziele. Wynikiem tego kongresu była książka, którą wydał Girolamo Rucelli w Wenecji w r. 1555, pod tytułem: *Il Tempio della Divina signora, donna Giovanna d'Aragona, fabricato da tutti i più gentili spiriti, e in tutte le lingue principali del mondo,* a na tytułowej karcie napisano, „że wielka ta pani, doskonałość na ciele i duchu, którą uważać można za dzieło szczególnego upodobania Boga wszechmocnego, zasługuje, aby ją uwielbiać i czcić w niej Tego, który ją stworzył". „Questa gran Donna, come perfettissima di corpo e d'animo, e come particolarissima fattura del sommo Iddio, merita d'essere adorata ad honore del fattor suo".

W księdze tej zgromadził Rucelli wszystkie poezje, które napisano na cześć tej bohaterki piękności.

Joanna już przywykła do podobnych hołdów, bo w latach, kiedy jeszcze była w rozkwicie urody, poświęcił jej jeden z największych wielbicieli, Agostino Nifo, biskup, filozof i medyk, *Traktat o piękności*, w którym dowodził, że Joanna jest najpiękniejszą z kobiet. Ów Nifo, albo jak się pisał po łacinie, Niphus, nie należał wprawdzie do najmoralniejszych ludzi, ale szaty biskupie pokrywały jego zbyt namiętne porywy. Urodził się w r. 1473 i tak się stał sławnym, że aż trzy miasteczka, Sessa, Jopoli i Tropea, ubiegały się o zaszczyt, że wydały taką znakomitość. Pomimo bowiem, że żar miłości nigdy nie wygasł w jego sercu, miał dość czasu, aby w Padwie uczyć filozofji około r. 1507 i pisać traktat *De intellectu et daemonibus*, oparty na nauce Averrhoesa, który sprowadził na niego burzę teologów. Teraz przypomniał sobie, że jest katolickim duchownym i na stwierdzenie swej wierności kościołowi wystąpił w innej rozprawie przeciw filozofom, którzy zaprzeczają nieśmiertelności duszy. Z Padwy wrócił do swej południowej ojczyzny, był znowu profesorem filozofji w Salerno i w Neapolu aż do r. 1513, skąd go powołał Leon X do Rzymu. Papież Medyceusz tak polubił wesołego filozofa, że go mianował hrabią (comes palatinus), przypuścił do herbu i pozwolił używać swego rodowego nazwiska. Nifo podpisywał się też odtąd Augustinus Nifus Medices.

Nifo pisał bardzo dużo o astronomji, retoryce, medycynie, a w r. 1524 prowadził głośny spór z astrologami, którzy przepowiadali wówczas biblijny potop. Ponieważ mimo tych przepowiedni świat nie został zalany, więc sława Nifa, jako uczonego, jeszcze bardziej urosła.

Ale z większą, zdaje się, przyjemnością, jak filozoficzne dzieła, pisał Nifo rozprawy o miłości i o wszystkiem, co się do niej odnosiło, był bowiem człowiekiem nie umiejącym panować nad zmysłowością, a jako starzec do tego stopnia folgował swoim fantazjom, że w towarzystwie młodych kobiet tańczył przy odgłosie fletu. Nie wyglądał zresztą na zdobywcę serc kobiecych; o postaci gminnej, sangwinicznej, zmieniał się jednak, gdy zaczął mówić, ożywiał się i wtedy musiał się podobać.

Zdaje się, że Nifo był lekarzem w domu Joanny d'Aragona i zanim składał samej pani hołdy, zakochał się w jej damigelli, hrabiance Hipolicie Venafro, która, jeżeli mu wierzyć można, nie była obojętna na jego płomieniste afekty. Nazywa on ją w swym trakcie *De viro aulico,* Lukrecją albo Quintią i przyznaje się, że to była piąta w szeregu jego kochanek. Z czasem jednak przyszedł Nifo do przekonania, że Joanna piękniejsza od Hipolity, a jako lekarz mógł więcej u niej spostrzec wdzięków, aniżeli inni śmiertelnicy. Rozkoszował się więc tym widokiem i ułożył ów *Traktat o piękności, De Pulchro et Amore* (1529), w którym więcej pisze o Joannie, aniżeli o uczciwej kobiecie pisać wolno. Nie ogranicza się do wdzięków, które można widzieć na balach, ale zapuszcza wzrok pod osłony sukien i opisuje części ciała, quas sinus abscondit, unosi się nad proporcjami niższej i wyższej części nóg, nad udem i ramieniem i opisuje „venter sub pectore decenti". Lekarze ówcześni, doktoryzując się, musieli składać przysięgę, że nie będą pożądać dziewcząt i kobiet, które się powierza ich uczonej opiece. Nifo zapomniał o tej przysiędze, a mając sposobność przypatrzyć się ukrytym wdziękom swej znakomitej pacjentki, nie mógł się oprzeć żądzy rozkoszowania się w myśli owym widokiem, opisując jej piękności. Charakteryzuje to wszakże ówczesne obyczaje, że Nifo mógł te opisy ogłosić w książce, że nie wywołał powszechnego oburzenia z powodu braku dyskrecji i że pacjentka, zamiast mu zamknąć drzwi swego pałacu, z zadowoleniem i uznaniem przyjęła tę publikację.

Książka *De Pulchro et Amore* wyszła najprzód w Rzymie w r. 1531, z szumną apostrofą do Joanny [1]. „Świetna Joanno — pisze autor — gdym się nad tem zastanawiał, które z moich dzieł mam złożyć u twoich stóp, zaraz przyszedłem do przekonania, że ci się należy książka z dwóch części złożona, z jednej, która traktuje o piękności, z drugiej, zastanawiającej się nad miłością. Książka ta nie ma innego celu, jak uczcić cię i wyrazić moje głębokie uszanowanie. Pomimo, że się zdawało, że boski

[1] Drugie wydanie, w r. 1641 w Lejdzie: Augustini Niphi medici *Ad Illustrissimam Joannam Aragoniam, Tagliacocci principem.*

Platon wyczerpał już obydwa te tematy, przecież odważyłem się jeszcze do nich powrócić, ponieważ od początku do końca mojej pracy piękność w twej osobie dostarczała mi treści. Dzięki możności wpatrywania się i analizowania tych nadziemskich kształtów, stanie się moja rozprawa nietylko uczoną, ale i podziwienia godną. Czemże byłby mój talent pisarski, gdyby zdobiące twą osobę wdzięki, którym się oprzeć nie można, nie dopełniły braków mojego dzieła. Tak! piękność twoja, tylko ta piękność rozgłosi moją pracę, ona opromieni sławą moje nazwisko i postawi je na czele wszystkich innych autorów, a wspólnie z twojem imieniem wzniesie aż do gwiazd".

Szczegółowy opis postaci i ciała Joanny w tej oryginalnej książce zanadto przypomina, pomimo wysilania się na poezję, anatomiczne studja szanownego profesora-biskupa. Średniego wzrostu, powiada Nifo, o niezrównanej proporcji wszystkich części ciała, ani zanadto otyła, ani zbyt koścista, „sed suculata", o płci zdrowej, różowej, złotowłosa, ma Joanna oczy niebieskie, błyszczące jak gwiazdy, jaśniejące dobrocią i weselem. Nifo opisuje za porządkiem nos swojej pacjentki, zęby, podbródek, ramiona, palce u rąk, paznogcie, następnie idzie szanowny lekarz coraz niżej i niżej, zastanawiając się nad każdym szczegółem swego modelu, aż do stóp i palców u nóg, a wszystkie te części ciała wydobywają z jego piersi okrzyki podziwienia. Dochodzi wreszcie do tego wyniku w swej miłością kierowanej anatomji, że nikt na świecie nie może mieć wyobrażenia o prawdziwej piękności, kto nie widział Joanny. Ciałem i duchem przewyższa ona wszystkie kobiety i jest obrazem zupełnej, doskonałej piękności. Ta nawpół bogini posiada nadto tyle zalet moralnych, tyle wdzięku i roztacza tyle czaru, że patrząc na nią, przychodzi się do przekonania, że nie urodziła się z rasy ludzkiej, ale że pomiędzy bóstwami trzeba szukać jej początku. Co do doskonałości kształtów, stanowiących piękność ciała, jest tak skończoną istotą, że gdyby Zeuxis z Krotonu raz tylko w życiu był spotkał podobną kobietę i mógł ją malować, nie musiałby się zapożyczać u różnych ładnych dziewcząt, aby stworzyć postać Heleny. Zdaniem Nifa Joanna jest piękniejsza, aniżeli wszystkie urocze kobiety, które sławili Katullus, Owidjusz, Propercjusz, Wergiljusz albo Horacy.

Na czele książki znajduje się polecający ją czytelnikowi list kardynała Pompea Colonny do autora. Autor nie mógł znaleźć odpowiedniejszego protektora swej rozprawy, gdyż kardynał należał do najgłośniejszych w Rzymie wielbicieli kobiet, a w siedmdziesiątym roku życia jeszcze się tak zakochał w Klarze Visconti, że publicznie, jak młodzieniaszek, okazywał jej swoje czułości i wzbudzał uśmiech politowania pomiędzy znajomymi. Kardynał wynurza się w tym liście, że z wielką uwagą czytał dzieło Nifa i że się szczerze niem ucieszył. Książę kościoła sądzi, że nic nad ową rozprawę nie może być pożyteczniejszego do rozgłoszenia jego sławy. „Na honor, powiada kardynał, tak przekonywającemi argumentami tłumaczysz piękność boską i ziemską i słusznie jedną i drugą odnosisz do tej niebiańskiej Joanny, że po przeczytaniu twoich wywodów niema wątpliwości, iż ze stanowiska piękna może ta księżna zająć pierwsze miejsce pomiędzy bóstwami i ludźmi". Ale natura, mówi dalej kardynał, nie rozrzuca tak łatwo swych najcenniejszych skarbów i z tego powodu takie zjawisko, jak Joanna, należy do niesłychanych rzadkości. Mimo to przyroda, wspaniałomyślna rodzicielka, chciała za czasów, w których żyjemy, zadziwić świat czemś cudownem, skończonem i boskiem, więc stworzyła Joannę, która od kolebki aż dotąd w ciągłym jest rozkwicie, szczodrze obsypywana wszelkiemi możliwemi doskonałościami. Natura obdarzyła ją nadzwyczajną cnotą i oblekła ciało o boskich kształtach godnością pełną skromności, a w tej istocie nie możnaby znaleźć błędu, prócz tego, że jest śmiertelna. Jej czoło i jej usta jaśnieją taką pogodą, jej oczy rzucają takie olśniewające promienie, wogóle całe jej ciało jest taką doskonałością, że ludzie, pozbawieni nawet wszelkiego uczucia, są zmuszeni gorzeć do niej miłością i hołdować w kontemplacji jej doskonałej piękności.

Kardynał przypomniał sobie wreszcie i o moralnych zaletach Joanny; chwali ją, że jest pobożna, wymowna, jak żadna z kobiet, słowem, że się w niej widzi ideał wszelkich cnót. „Patrząc na nią, sądzimy, że to gwiazda, która zeszła z firmamentu, aby nas olśniewać swem światłem".

W uniesieniu zapomniał tylko kardynał, że Joanna była także poetką, że pisała sonety i dowcipne wiersze.

Owa Aragona była więc niby drugą Beatryczą Dantego; potrzebowała tylko się ukazać, aby słodka melodja zadrgała w przestworzu i świetlany blask nas otoczył.

...Una melodia dolce correva
Par l'aer luminosa.
(Purg. XXIX. 22).

Najbardziej znanym dokumentem piękności Joanny jest jej portret w Luwrze. Jeżeli celem niektórych mód bywało zeszpecić najpiękniejszą kobietę, to krawcy hiszpańsko-neapolitańscy zupełnie odpowiedzieli temu przewrotnemu zadaniu, ubierając ośmnastoletnią Joannę w suknię, w której ginie jej postać. Dość powiedzieć, że chyba w jednym z szerokich rękawów swej sukni mogłaby się pomieścić cała Joanna, a z tych wydętych fal jedwabiów i batystów wyłania się zaledwie mała główka, znów zeszpecona olbrzymim, wywatowanym beretem. Biedny artysta musiał się poddać tej falistej modzie i tej hiszpańskiej grandezzie, a szkoda, bo twarzyczka piękna, a co do innych wdzięków musimy wierzyć biskupowi Nifo. Inny portret Joanny, w galerji Doria-Pamfili w Rzymie, jest zmienioną kopją oryginału i przedstawia właściwie jakąś inną kobietę o wyrazie pokrewnym kobietom Leonarda da Vinci, tak, iż przypuszczać można, że portret malował jeden z uczniów medjolańskiego mistrza. Bardzo piękna replika portretu, który przypisywano Rafaelowi, znajdowała się w zeszłym wieku w Lipsku, w zbiorze barona von Speck; co się z nią stało, nie mogłem się dowiedzieć. Wyborna kopja paryskiego oryginału zdobi berlińskie muzeum.

II

Dokładne przyglądanie się twarzy Joanny na portrecie w Luwrze nasuwa wątpliwości, czy ta wynoszona pod niebiosa kobieta była rzeczywiście taka dobra i takim ideałem cnót niewieścich, jak ją przedstawił biskup Nifo. Te małe, zaciśnięte usta, ta śpiczasta broda, wzrok przenikliwy i pewna duma w wyrazie, niewłaściwa tak młodej kobiecie, sprawiają, że uznając zresztą niezwykłą piękność Aragony, ma się przekonanie, że

w tem ciele, stworzonem według wszelkich form artystycznych, mieszkało dużo złośliwości. że poeci zebrani w Wenecji, pisząc niedokrewne zresztą wiersze na cześć pięćdziesięcioletniej kobiety, albo jej bliżej nie znali, albo mieli przed oczyma tylko potężną księżniczkę z Aragonów Colonnę, to także przyjąć trzeba za pewnik. żywot jej zresztą te przypuszczenia aż zanadto potwierdza.

Wyszła ona zamąż piątego czerwca 1521 za Ascania Colonnę, głowę Colonnów z Paliano, brata słynnej Wiktorji. Ascanio był synem Fabrizia Colonny i Agnieszki de Montefeltre, siostry Guidobalda, księcia Urbino, i miał około dwudziestu sześciu lat, gdy pojął o pięć lat młodszą Joannę. Małżeństwo to zostało zawarte nie z miłości, ale ze względów politycznych, połączenia rodzin hiszpańskich z potężnemi familjami włoskiemi, podobnie jak związek siostry Ascania, Wiktorji, z członkiem rodu d'Avalosów. Ascanio, niemal od urodzenia przeznaczony do wojennego rzemiosła, wstąpił do armji Karola V, brał w r. 1527 udział w oblężeniu Rzymu przez wojska cesarskie, a w rok później bronił Neapolu przeciw armji francuskiej pod dowództwem Lautreca. Z cesarstwem wiązały go tradycje rodzinne, a nadto z pomocą cesarza spodziewał się przeprowadzić swe dziedziczne prawa, po matce, do księstwa Urbino. Cesarz Karol V przelał na niego godność wielkiego konnetabla królestwa neapolitańskiego; Ascanio był więc zupełnie oddany polityce Karola V, a nawet w smutnej dla cesarskich bitwie pod Capo d'Orso, w której poległ wicekról neapolitański Moncade, został ranny i wzięty do niewoli wraz ze swym szwagrem, markizem del Vasto. Uwolniony później, walczył ponownie w szeregach cesarskich, przyczynił się do wyparcia Francuzów z Neapolu, a w uznaniu zasług został gubernatorem cesarskim Abruzzów. Nie na tem wszakże zakończył swój wojskowy zawód, gdyż w r. 1529 walczył pod księciem Oranji, a gdy Karol V wjeżdżał w r. 1535 do Rzymu, niósł przed nim, jako jeden z najwierniejszych sług, złote jabłko, symbol panowania nad światem, nad monarchją, w której słońce nigdy nie zachodziło. Jak większość ówczesnych panów, należących do włoskiej arystokracji, i Ascanio trudnił się astrologją i szukaniem sposobów robienia złota. Pisał nawet alchemiczne rozprawy, a jedną z ksią-

żek swoich o złotodajnych tajemnicach poświęcił Leonowi X, spodziewając się jakiej wielkiej nagrody. Papież posłał mu z podziękowaniem artystycznie wykonaną, ale próżną torebkę, sądząc, że człowiek, umiejący robić złoto, sam ją zapełni dukatami. Ascanio nie był zadowolony z takiego daru.

W przerywanych wojnami czasach miał z Joanną siedmioro dzieci, czterech synów i trzy córki, ale małżeństwo mimo to nie było zbyt szczęśliwe; Colonna, idąc zresztą za zwyczajem czasów, niezawsze dochowywał wierności swej małżonce, co jej dumę, jako uznanej najpiękniejszej kobiety, bardzo obrażało.

Gdy papieżem został kardynał Aleksander Farnese, jako Paweł III, nastały dla Ascania narazie spokojniejsze czasy. Wybór ten był tak dalece po myśli Colonnów, że Ascanio z radości urządził wielki turniej na placu św. Piotra w Rzymie na cześć nowego papieża i wrócił do swych dóbr, aby wypocząć po burzliwem życiu. Ale rodzinny wypadek przerwał upragniony spokój. Marzio Colonna, synowiec kardynała Pompea Colonny, w porozumieniu z synem papieża, Pier Luigim Farnese, wykradł w r. 1539 z domu matki Liwję Colonnę, bliską krewną Ascania, ponieważ matka jej nie chciała dać pozwolenia na wydanie córki za krewnego Farnezów. Liwja była córką Marka-Antonia z Paliano, siostrzenicą słynnego Prospera, który odprowadzał do Krakowa królową Bonę Sforzę. Ascanio, jako głowa rodu, zwrócił się do papieża o ukaranie winnych; ale Paweł III daleki był od wymierzenia sprawiedliwości w sprawie, do której był wmieszany jego syn ulubiony. Co więcej, papież zezwolił na przymusowe małżeństwo i rozkazał, aby Ascanio dał posag Liwji. Dotknięty Ascanio tem lekceważeniem rodu Colonnów i niesłychaną niesprawiedliwością, zaczął burzyć lud przeciwko papieżowi, do czego mu dało sposobność zaprowadzenie podatku od soli z papieskich salin. Perugia się zbuntowała z tego powodu, ale uległa w walce z papieżem, który jej odebrał dawne wolności i kazał tam postawić twierdzę na poskromienie buntowników. Równocześnie z Perugią odmówił Ascanio płacenia tego podatku, powołując się na przywileje Marcina V, który uwolnił wszystkie dobra, należące do klucza Paliano, od podobnych danin. Gdy z tego powodu powstał spór pomiędzy służbą Ascania, a urzędnikami kamery apostolskiej, schwytali papiescy żołnie-

rze ludzi Colonnów i pozamykali do twierdzy. Ascanio na gwałt odpowiedział gwałtem, wysłał oddział konnicy, aby niszczyć i rabować posiadłości Pier-Luigiego Farnesego.

Dumny Paweł III kazał Ascania wezwać do Rzymu; Colonna, wiedząc, że tamby go schwytano i osadzono w zamku św. Anioła, składał się, że jest najpokorniejszym, najposłuszniejszym synem kościoła, ale do Rzymu nie pojechał. Papież, który już dawno zamierzał Paliano oddać swemu synowi, skorzystał ze sposobności, aby uzbroić wyprawę przeciw Ascaniowi i postąpić z Colonnami tak, jak postąpił z Perugią. Powierzył też Pier Luigiemu, księciu de Castro, dowództwo nad wojskiem, które się składało częścią z Włochów, częścią z zaciężnych Niemców.

Don Pedro de Toledo, wicekról Neapolu, równie jak hiszpański poseł w Rzymie, Markiz de Aquilar, starali się pośredniczyć z obawy, aby Ascanio nie uległ i ród Colonnów, oddany cesarzowi, nie został osłabiony; sam Ascanio nawet skłaniał się do układów i chciał oddać papieżowi dwa ze swych zamków, jako porękę swej uległości, ale zawzięty Paweł III żądał bezwzględnego poddania się. Na to Colonna przystać nie mógł.

Dwudziestego drugiego marca 1541 r. ruszyło wojsko papieskie ku Paliano; wysłany przeciw Farnesemu oddział konnicy poniósł porażkę pod Rocca di Papa, papiescy mieli otwartą drogę do Paliano. Wojsko Pier Luigiego była to zbieranina najgorszych żywiołów, nie znająca karności, więc rozbijała po drodze, paliła całe wioski, tak, że zrozpaczona ludność, przekonawszy się, czem są te papieskie zastępy, garnęła się tem więcej do Colonnów. Giovanna d'Aragona, która znajdowała się wtedy na Ischji, wystosowała do papieża prześlicznie napisany memorjał z prośbą, aby zakazał tego niszczenia wszelkiego dobytku ubogiej ludności, obiecując, że z całą rodziną podda się stolicy apostolskiej. Memorjał zawiózł do Rzymu biskup Ischji, równie jak list Wiktorji Colonny; ale te pisma nic nie pomogły, owszem papież się niecierpliwił, że oblężenie Paliana trwa za długo, tem bardziej, że Pier Luigi, sypiając pod namiotem, zachorował na febrę.

Tymczasem wicekról neapolitański, obawiając się, aby Paliano, graniczące z posiadłościami neapolitańskiemi, nie wpadło

w ręce papieskie, zaczął zbierać wojsko w Abruzzach, aby Colonnie przyjść w pomoc. Ale rzecz była już spóźniona, bo załoga w Paliano zaczęła się buntować, pomimo, że miała jeszcze żywności poddostatkiem, i dowódcy musieli się poddać.

Papież Paweł III wyjechał osobiście, aby objąć posiadłości Colonnów i kazał zburzyć fortyfikacje Paliana. Karol V starał się podczas zjazdu z papieżem w Lucce nakłonić Pawła III do zgody z Colonnami, poddając myśl małżeństwa siostrzenicy papieskiej, Wiktorji, z synem Ascania, Marc-Antoniem; ale Farnese był nieugięty i póki żyw, nie myślał o oddaniu Colonnom ich lennych dóbr. Ascanio zamieszkał więc w Neapolu.

Ale po śmierci Pawła III rzeczy się zmieniły. Na wiadomość, że papież umarł (19 listopada 1549), zebrał Ascanio czem prędzej potrzebne siły, wyprawił na ich czele Kamila Colonnę, który, nie napotkawszy prawie oporu, zajął Paliano, co było tem łatwiejsze, że wasale Colonnów, zniechęceni niesprawiedliwością i ździerstwem papieskich rządów, szczerze pomagali dawniejszym panom. Nowy papież zresztą, Juljusz III (1550—1555), pogodził się z tym stanem rzeczy i niebawem kazał Ascaniowi zwrócić jego dobra. Colonna zaś na znak wdzięczności ofiarował papieżowi do jego ulubionej willi ową olbrzymią wazę porfirową, znalezioną w termach Tytusa, która później została umieszczona w okrągłej sali Muzeum Pio-Clementinum.

Juljusz III tak lubił Ascania, że nietylko zwrócił mu wszystkie dobra, ale starał się załagodzić jego domowe niezgody z żoną i najstarszym synem Marc-Antoniem. Jakiego rodzaju były te niezgody, szczegółowo nie wiemy; z procesu jednak, jaki w Rzymie wytoczono 29 września 1554 szlachcicowi Jakóbowi Mareri, rządcy i poufnikowi Ascania, wynika, że główną sprężyną intryg przeciw mężowi była Joanna d'Aragona [1]. Ona to, posądzając męża o rozmaite niewierności, przeciągnęła na swoją stronę syna, który był rozgoryczony na ojca, że mu za mało pieniężnie pomaga.

Ascanio, despotyczny, popędliwy, jak większość ówczesnych możnowładców, wychowanych na wojnie, obraził się na Ju-

[1] A. Bertolotti. *La prigionia di Ascanio Colonna.* Modena, 1883.

ljusza III o to, że się miesza w jego domowe sprawy i wzywa go, aby się pogodził z żoną. Do napisania listu, który papież wystosował w tej sprawie do Ascania, przyczyniła się Joanna. To go jeszcze więcej ubodło, a drobna, jak zwykle, okoliczność popchnęła dumnego Colonnę do gwałtownego wystąpienia przeciw papieskiemu rządowi. Jak każdy z rzymskich panów, miał i Ascanio długi. Niecierpliwiący się wierzyciele oskarżyli go przed kamerą apostolską, a uditor della camera zawezwał go, aby się u niego stawił. Colonna nie posłuchał rozkazu, ale chcąc się zemścić na wierzycielach i zarazem okazać swoje lekceważenie rozkazów papieskiego rządu, postąpił w sposób często praktykowany przez możnowładców rzymskich. Kazał zburzyć kilka domów, które owi wierzyciele posiadali w Nettuno, i wysłał swych siepaczy do Rzymu, aby zamordowali śmiałków, którzy go skarżą przed papieską kamerą.

Tego było Juljuszowi III za wiele; kazał go powtórnie zawezwać, aby stanął w Rzymie, a gdy Ascanio nie posłuchał, polecił zająć wszystkie jego dobra, położone w państwie papieskiem, i zatrzymać je dla Marc-Antonia, gdy dojdzie do pełnoletności. Ascanio uciekł w Neapolitańskie, aby przynajmniej ocalić Tagliacozzo i inne feuda, nie podlegające papieżowi.

Gdy się to działo, stał Marc-Antonio na czele neapolitańskiej jazdy pod Sieną, pomagając markizowi de Marignan w oblęganiu nieszczęśliwego miasta. Na wiadomość o ucieczce ojca udał się śpiesznie ze swym oddziałem wojska do papieskich ziem, kierując się w wielkiej tajemnicy ku Paliano, i w przeciągu trzech dni zajął je wraz z sąsiedniemi włościami.

Ascanio miał dowody w ręku, że w tym niespodziewanym postępku syna nie chodzi li tylko o wydarcie mu dóbr rodzinnych, ale i o pozbawienie go życia. Joanna oddawna knuła spisek przeciw mężowi, wciągając do tej zmowy własnego syna, i gdyby nie to, że Colonna się otoczył dobrymi donosicielami, byłaby go otruła albo zamknęła w więzieniu. Dowiedziawszy się o zajęciu Paliano, zbierał Ascanio naprędce jakiś oddział wojska, aby wyruszyć przeciw wyrodnemu synowi; ale wicekról neapolitański kazał go uwięzić i osadzić w neapolitańskiem Castello.

Joanna wystąpiła bowiem ze skargą przeciw mężowi, że zdradza cesarza, że się zmawia z Francuzami, że otruł swego

syna Fabrizia, wyrabia fałszywą monetę, szuka sposobów, aby otruć papieża Juljusza III i księżnę Joannę, że zabawia się „attive et passive“ z młodziankami, i nareszcie, że jest luteranem.

Na podstawie tych skarg, a zapewne i na żądanie kamery apostolskiej, został Ascanio uwięziony. Równocześnie kazał Marc-Antonio osadzić w wieży Ambrożego Felici z Nettuno, który był wiernym pełnomocnikiem Ascania od lat czterdziestu. Felicego wzięto dwa razy na tortury w Rzymie, aby go zmusić do wyjawienia jakich faktów, obciążających Ascania; ale uwięziony mimo strasznych cierpień stale zeznawał, że zarzuty, które Joanna i jej syn poczynili jego panu, były brzydkie, niesprawiedliwe i najzupełniej fałszywe, że „życie Ascania, przez cały czas jego służby było przykładne i bogobojne“. Duchessa prześladuje podsądnego przez lat dwadzieścia, ponieważ wiernie służy jej mężowi, a teraz trzyma go w wieży, w kajdanach żelaznych, ważących siedmdziesiąt funtów, bez najmniejszego powodu. „Nie może bić swego małżonka, więc bije mnie“, kończył Felici swoje zeznania.

Oto owa nadziemska, przez kochanków i poetów uwielbiana Joanna.

Ascanio już nie wyszedł z neapolitańskiego więzienia; po dwóch latach rozeszła się wiadomość, że umarł. Powszechnie mówiono, że go rząd hiszpański kazał otruć. Przekonano się wprawdzie o jego politycznej niewinności wobec cesarstwa, ale nie chciano go uwolnić, aby uniknąć skandalu. Ascanio na wolności byłby niejedną wykrył tajemnicę, rzucającą brzydkie światło na rząd i na kamerę apostolską.

III

Pokój w Paliano trwał niedługo z powodu zachłanności Rzymu. Juljusz III umarł w r. 1555, po nim nastąpił Marceli II, który bardzo krótko panował; ale gdy w tym samym r. 1555 spoczęła tiara na głowie Pawła IV Carafy ze słynnej neapolitańskiej rodziny, walka pomiędzy papieżem a Colonnami przybrała znów groźny charakter.

Niezgoda rozpoczęła się familijną urazą; jeden z nepotów papieskich starał się o córkę Giovanny — i dostał kosza. Cara-

fowie, prawie równie świetna rodzina, jak Colonny, zawrzeli gniewem; popędliwy papież, podburzany przez swoich synowców, był zaraz gotów do zemsty. Powodem do otwartego wystąpienia stolicy apostolskiej przeciw Colonnom z Paliano były ich hiszpańskie sympatje. Paweł IV postanowił zgnieść potęgę hiszpańską we Włoszech; zawarł w tym celu przymierze z królem Francji, a pierwszą ofiarą tych polityczno-prywatnych zamiarów mieli się stać Colonnowie. Na wiosnę r. 1556 rozpoczął Paweł IV walkę przeciw Colonnom i ogłosił, że odbiera wszystkie prawa i posiadłości Marc-Antoniemu Colonnie. Pod dowództwem jednego ze swych nepotów, hrabiego Montorio, wysłał papież duży oddział wojska ku Paliano, które się długo opierać nie mogło. Montorio zburzył fortecę, zajął wszystkie posiadłości, należące do Colonnów, a Marc-Antonio uciekł w Neapolitańskie. Papież nadał Paliano z tytułem księcia swemu synowcowi, Giovanniemu Carafie, hrabi Montorio, Cave zaś jego synowi z tytułem markiza.

Montorio tak szybko zajął Paliano, że Giovanna d'Aragona wraz z córkami Girolamą i Agnieszką, tudzież z żoną Marc-Antonia, Felicją Orsini, i małą wnuczką, Giovanną nie miały czasu uciec ze swego pałacu w Rzymie. Papież polecił strażą otoczyć pałac Colonnów, nie pozwalając Giovannie z rodziną wyjechać, a co więcej, zakazał matce wydawać zamąż córkę, zaostrzając to postanowienie groźbą, że każdy, ktoby się śmiał z temi pannami żenić, ulegnie ekskomunice. Papież uzasadnił ten zakaz rzekomą wolą Ascania Colonny, który jeszcze wówczas był więziony w Neapolu.

Postępowanie to Pawła IV w najwyższym stopniu zaniepokoiło Joannę i pod wrażeniem smutnych myśli poszła 28 grudnia 1556 na mszę do kaplicy zamkowej. Gdy usiadła w swej stalli, właśnie kapelan czytał ustęp z ewangelji Mateusza, że anioł ukazał się we śnie Józefowi i wezwał go, aby z dziecięciem i matką Marją uciekał do Egiptu, gdyż Herod każe ich zamordować. Joanna uważała to za znak Boży, aby uciekała z Rzymu. Postanowiła więc oczekiwać tylko dobrej sposobności, aby wykonać swój zamysł.

Pierwszego stycznia 1556 miał Don Giovanni Carafa otrzymać inwestyturę na księstwo Paliano i buławę wodza armji ko-

ścioła; sądziła więc, że tego dnia cały Rzym zajmie się festynami i że będzie mogła skorzystać z dobrej sposobności, aby cel swój osiągnąć. Nikomu się nie zwierzywszy ze swoich zamiarów, powiedziała tylko wiernemu słudze, Giuliowi Lauri z Anagni, aby przyjmował tego dnia każdego, kto przyjdzie ją odwiedzić, i żeby w niczem nie zmieniano codziennych zwyczajów w pałacu. Wizyty trwały więc do późnego wieczora, poczem duchessa, zabrawszy pieniądze i klejnoty, napisała ośmnaście biletów do różnych przyjaciół z zawiadomieniem o swoim wyjeździe i pozostawiła je do rozesłania swej towarzyszce, Artemisji.

Około północy oznajmiła synowej i córkom, że mają uciekać, zachęcając je, aby w tej potrzebie stały się godnemi swego nazwiska. A gdy jej zamiar z radością został przyjęty, przebrała swe towarzyszki w chłopskie kaftany, spodnie i buty, poprzylepiała im brody, jakich używano do maskarad, poczem wyszła z niemi piechotą, w towarzystwie jeszcze kilku zaufanych sług, ku Termini. W pobliżu bramy San Lorenzo czekały na nie lektyki i wózki; straży powiedziały, że idą do winnic, a gdy jeden ze strażników dostał „mancię“, otworzył bramę, nie podejrzywając, kogo wypuszcza z murów miasta. W ten sam sposób otwarto im drugą bramę przy ponte Lucano koło Tivoli, tak, że szybko idąc, przyszły nad ranem do Tivoli, minęły Vicovaro, gdzie już zastały ludzi z Celle, miejscowości należącej do Colonnów, zamówionych do niesienia lektyk.

Tymczasem w Rzymie z rana wszystko się działo w pałacu Colonnów, jak zwykle; odprawiono mszę, zastawiono dła państwa śniadanie i dopiero około południa gruchnęła po mieście wiadomość, że Joanna z rodziną uciekła. Papież kazał wysłać pogoń, ale śmiałe panie były już w bezpiecznej miejscowości, a niebawem w Tagliacozzo. Nieprzyjaciele papieża i jego nepotów zacierali sobie ręce z radości, że kobiety ich tak zręcznie oszukały, a wiadomość o ucieczce Joanny stała się w całych Włoszech tematem do wesołych rozmów. Paweł IV kazał powiesić naczelnika straży bramy San Lorenzo, a cesarz, gdy się w Hiszpanji dowiedział o zręczności Aragony, tak się ucieszył, że posłał jej podarunek wartości dwóch tysięcy skudów.

Papież był ciekawy, w jaki sposób Joanna mogła wykonać swą ucieczkę pomimo straży i czujności otoczenia. Przesłuchi-

wano więc nazajutrz pokojową duchessy, nazwiskiem Spiriti, która zeznała, że księżna mówiła, że słaba, wreszcie położyła się do łóżka, ale później wstała, kazała się ubrać, wdziała bardzo starą spodnicę i wiejskie ubranie, które nie wiedzieć jakim sposobem dostało się do pałacu; signora Felice Orsini ubrała się w czarny płaszcz, pożyczony od niewolnicy Fatimy, bardzo grube pończochy i przyprawiła sobie fałszywą, czarną brodę. Tak samo poprzebierały się w chłopskie suknie signory Agnesina i Hieronima. Mała zaś signora, donna Giovanna, była ubrana jak zwykle, a Spiriti nie zauważyła, kto ją wziął na ręce. Panie, ubrawszy się, powiedziały pokojowej i Landomji, aby były dobrej myśli i miały nadzieję w Bogu; poczem pobłogosławiły je i nakazały, aby zostały w mieszkaniu i nie szły za niemi.

Pomimo czujności straży papieskiej Joanna utrzymywała ciągłą korespondencję z synem i przed przygotowaniem ucieczki musiała wiedzieć o rozpoczynającej się wojnie pomiędzy cesarzem a papieżem. Papież najzupełniej się poróżnił z Filipem II; dwudziestego siódmego lipca 1556 wydał dekret, pozbawiający go królestwa sycylijskiego, na co Filip odpowiedział najściem ziem papieskich.

Joanna miała już pewną wiadomość, że Ferdinando Alvarez di Toledo, duca d'Alba, wyjeżdża z Medjolanu do Neapolu, aby objąć imieniem Filipa II dowództwo nad wojskiem, mającem uderzyć na Rzym. Alba wkroczył w pierwszych dniach września 1556 na terytorjum kościoła, a chociaż nie miał więcej jak 12.000 piechoty i 1.500 koni, zajął już ośmnastego września prawie całe prowincje Maritimę i Kampanję. Jedynie miasto Anagni opierało się kilka dni, ale za to odpłacił mu się Alba rabunkiem i zupełną ruiną.

Zburzenie Anagni sprawiło na papieżu i nepotach wielkie wrażenie, obawiano się nawet, aby Alba nie zajął Rzymu; więc Paweł IV objawił skłonność do układów, które się skończyły traktatem w Cave, koło Palestriny (14 września 1557), niezbyt korzystnym dla Colonnów.

Ale Paweł IV żył już niedługo, a po nim nastąpił Pius IV, pochodzący z medjolańskich Medicich, bardzo przychylny Colonnom. Pod bratem papieża, markizem Marignan, służył wojskowo Marc-Antonio i zyskał sobie względy swego dowódcy.

Zaledwie też Carafa umarł (18 sierpnia 1559), Marc-Antonio czem prędzej, we dwa dni później, zajął Paliano i inne zamki Colonnów, położone w państwie papieskiem, a Pius IV sankcjonował milcząco to postępowanie, unieważnił wszystkie interdykty, wymierzone przeciw Colonnom przez poprzedniego papieża, a dla formalności powierzył kongregacji kardynałów rewizję procesu przeciw Marc-Antoniowi.

Gdy się wpływ Colonnów na dworze Piusa IV ustalił, było rzeczą naturalną, że Giovanna d'Aragona znowu wróciła do Rzymu po 4½-rocznym pobycie zdala od wiecznego miasta. W tym czasie mieszkała w Tagliacozzo, w Gaecie, a wkońcu w Neapolu i zawsze kierowała interesami swojej rodziny. Posiadała nadzwyczajną zręczność w traktowaniu najważniejszych spraw, czego o Marc-Antoniu nie można było powiedzieć. Życzył on też sobie obecności matki w Rzymie, zwłaszcza, że przez dłuższy czas nie udawało mu się jeszcze uzyskać formalnej reintegracji dóbr. Pisał też do niej 19 maja 1556: „Niech Wasza Ekscelencja przyjedzie do Rzymu, a stanie się nietylko panią wszystkiego, nietylko zapanuje nade mną, nad moją żoną, ale nad całym Rzymem i nad papieżem". W następującym liście donosił jej, że Felicja wyjdzie naprzeciw niej do Genazzano i że także papież wyśle biskupa Zambeccaniego aż do San Germano i prosi, aby jechała przez państwo papieskie na koszt stolicy apostolskiej.

Równocześnie wydano rozkazy do Anagni, aby ją godnie przyjęto, nad czem miał czuwać komisarz apostolski, Leonardo Tesca. Anagni miało obowiązki wdzięczności wobec Colonnów, gdyż w różnych czasach kilka potężnych rodzin, jak signori di Ceccano, Annibaldeschi, Orsini, a nawet hrabiowie di Segni i Caetani starali się zapanować nad tem miastem i odebrać mu dawne wolności, a przeciwnie Colonnowie zawsze osłaniali anagnatów. Tradycją Colonnów było: „Impero e Popolo", a stąd ich wielka popularność pomiędzy ludnością. Nie było miasteczka w ziemiach Colonnów, gdzieby nie założyli jakiejś instytucji dobroczynnej, jak szpitale, śpichrze gminne, fundacje na posagi dla ubogich dziewcząt, szkoły i zakłady kościelne. To też lud stał zawsze przy nich, gdy im papieże chcieli odebrać majętności. Byli gibellinami i wskutek tego zadzierali z papieżami



Izabella aragońska
(Według ryciny w bibljotece b. cesarskiego fideikomisu w Wiedniu)

i gwelfami. Gdy w r. 1399 mieszkańcy Anagni traktowali ze stolicą apostolską o powrót do dawnego poddaństwa, „all'antica obbedienza", życzyli sobie na kapitana-gubernatora Giordana Colonnę. Jednym z najwierniejszych sług-przyjaciół Joanny d'Aragona był Giulio Lauri z Anagni, który jej pomagał w ucieczce z Rzymu. Był on towarzyszem broni jej syna Fabrizia podczas oblężenia Paliano przez Pier-Luigiego Farnese; na jego rękach umarł Fabrizio w r. 1551, mając zaledwie 26 lat. Po jego śmierci został Lauri w służbie duchessy i później zawsze jej towarzyszył. Marc-Antonio zapewnił w r. 1561 sto dukatów rocznej pensji dla niego i dla jego spadkobierców, a byłby dał więcej, ale zrobić tego nie mógł, „per la qualità dei tempi et infiniti altri nostri travagli".

Mimo tych dobrych stosunków z anagnitami zatrzymała się Joanna w ich mieście tylko kilka godzin, śpieszyło się jej do Rzymu. Duchessa przybyła tam czwartego czerwca 1560, a naprzeciw niej wyjechało mnóstwo arystokracji, cała rodzina papieża i ambasadorowie. „Entrata era come trionfante". Szczególną uwagę duchessy zwrócił w tem powitalnem towarzystwie Annibale Emps, gdyż z jego głównie powodu przyjmował papież Joannę tak uroczyście. Chodziło o małżeństwo.

Papież zamierzał ożenić Annibala Emps, synowca Medyceuszów, z młodą Izabellą d'Aragona, córką Antonia, księcia Montalto, brata Joanny. Emps'ami nazywano rodzinę pierwotnie niemiecką Altemps. Baron Wolfgang na Hohenemps z nad Renu ożenił się z Klarą de'Medici, siostrą Piusa IV, a Annibale był ich synem. Gałąź Altempsów, która się później osiedliła w Rzymie, pochodziła od Roberta, nieślubnego syna kardynała Marka Sitico Altemps. Robert, ożeniwszy się z córką Virginia Orsini, otrzymał tytuł duca di Gallese.

Pius IV użył kardynała z Trydentu celem wybadania Joanny i Marc-Antonia, czyby przystali na to małżeństwo, przyczem miał zamiar z pomocą wicekróla neapolitańskiego wyrobić u króla Filipa dla Annibala jakie księstwo w południowych Włoszech, a przedewszystkiem księstwo Bari. Papież wysłał więc 26 kwietnia 1560 w tym celu kardynała do Neapolu. Joanna w duszy była temu przeciwna, ale zwlekała z odmową, potrzebowała bowiem papieża, aby zgnieść Carafów, zemścić się za

krzywdy, które Colonnom wyrządzili za panowania Pawła IV. Ta vendetta zapełni resztę jej życia, ale o tem później. Wiktorja Colonna powiedziała o Giovannie w jednym ze swych sonetów, „że to kobieta wyższa, która gniew nieba i złość ludzką umiała zwyciężyć".

Siostra Joanny, Marja d'Aragona, była również niepospolitą kobietą i także ją czczono jako bóstwo piękności. Okazalsza od Joanny, jak mówiono, „o królewskiej postaci", a przytem bardzo rozumna, posiadała nadzwyczaj trafny sąd o ludziach i stosunkach. Na jej cześć wydali pochlebcy także *Świątynię*, mieszczącą 200 poezyj włoskich, 71 łacińskich, 11 greckich, 9 hiszpańskich, dwie francuskie i jedną niemiecką.

Donna Marja wyszła w r. 1523 zamąż za Alfonsa d'Avalos, markiza del Vasto, najpiękniejszego młodzieńca w Neapolu, który, prawie zawsze będąc na wojnie, pozostawiał żonę samotną na Ischji. Była mu jednak wierna, haftowała dlań bogate stroje, aby mu nikt w ubraniach nie wyrównał. Mąż jednak, niedość czuły na to przywiązanie, porzucał ją nietylko dla obozu, ale i dla Laury Monforte, Sycyljanki, damy dworu księżny di Francavilla. O romansie tym wiedziano w Neapolu. Przyjaciółki namawiały donnę Marję, aby się z Alfonsem rozłączyła; ale dumna Aragonka odpowiadała, że trzeba mu przebaczyć młodzieńcze fantazje, uzna on wkrótce swoją lekkomyślność. Gdy ją ktoś zapytał, jaką kobietę najwyżej ceni, odpowiedziała, że kobietę dumną, ponieważ charakterem swoim zdoła poprawić słabość płci niewieściej.

Co do męża, nie omyliła się, bo markiz do niej powrócił i co więcej, stał się jednym z najbardziej kochających i najbardziej zazdrosnych mężów. Na balu u wicekróla Toledo, który zanadto wdzięcznie rozmawiał z donną Marją, wyciągnął Alfonso w przystępie dzikiej zazdrości puginał z pochwy, aby go utopić w sercu pana domu, i tylko wdaniu się cesarza trzeba było zawdzięczać, że nieprzyjemne zajście zostało załagodzone. Innym razem samemu Karolowi V powiedział z powodu swej żony nieprzyjemne słowo. Gdy bowiem cesarz zanadto chwalił donnę Marję, d'Avalos sucho zauważył, że „wszystko na nim należy do cesarza, prócz

tego, co dotyczy jego dobrej sławy". Gwałtowny markiz sam później krytykował swe małżeńskie pożycie, mówiąc, że przez trzy lata był wrogiem swojej żony bez najmniejszych powodów, przez dalsze trzy lata szalenie ją kochał, a wreszcie został przykładnym małżonkiem. Podczas tych zmiennych humorów markiza rodziły się wszakże dzieci, jak w najspokojniejszem stadle; było ich aż siedmioro.

Giulia Gonzaga, o której jeszcze będzie mowa, nazwała markiza Polifemem, a donnę Marję „Draga", bo tak była dzielna i pełna animuszu: sądziła też, że Marja została „uczciwą" „per la guardia del drago ladrone".

Brantôme pisze, że Marja d'Aragona była piękna i umiała zachować swą urodę do późnych lat, tak, że u niej jesień przewyższała wiosnę innych kobiet. Owdowiała w r. 1546, a donna Giovanna w r. 1557. Tansillo, który się w obydwóch kochał, powiedział wtedy:

Che in negri panni avvolte e in negro velo
Quasi due lune in bel notturno cielo.

Donna Marja umarła w Neapolu 9 listopada 1568 r.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

JULJA GONZAGA

I

Rodzina mantuańskich markizów Gonzagów nie odznaczała się fizyczną pięknością, a brzydotę do tego szczepu wniosła głównie brandenburska Barbara, którą pojął za żonę markiz Ludwik III w roku 1433. Słynny fresk w zamku mantuańskim, w Camera degli Sposi, przedstawiający Ludwika z Barbarą i dziećmi, bardzo nieprzyjemnym jest dokumentem dla brandenburskiej księżniczki; wygląda ona tam ociężale, ma twarz szeroką, duże usta, płaski nos, który następnie odziedziczyło potomstwo. Co więcej, garbusy rodziły się w głównej linji, panującej w Mantui, a dworzanie bywali tak uprzejmi wobec jednego ułomnego markiza, że watowali sobie sztuczny garb na plecach, aby okazać, że garb jest fizyczną zaletą, którą warto naśladować, jeżeli się jej nie ma z natury.

Ludwik III i Barbara mieli czterech synów, z których najstarszy, Federigo, odziedziczył po ojcu państwo mantuańskie, drugiemu, Gian Franceskowi, wydzielił markiz ze swych posiadłości księstwo Sabbionetę i Gazzuolo, a dwóch najmłodszych poświęcił stanowi duchownemu. Gian Francesco, duca di Sabbioneta, ożenił się z Włoszką, Antonją del Balzo, ze znakomitej neapolitańskiej rodziny, której krew tak dalece zatarła ślady brzydoty, że na zamku w Sabbionecie nie było już ani płaskich nosów, ani ust szerokich. A gdy jeszcze syn Gian Franceska i Antonji z Balzów, Lodovico, pojął za żonę Franciszkę Fieschi z Genui, familja Gonzagów z Sabbionety szczyciła się typowo pięknymi ludźmi. Cudem piękności była córka ich Giulia; ale i trzej synowie: Gian Francesco, zwany Cagnino, Luigi z przy·

domkiem Rodomonte i Pirro, późniejszy kardynał, świetnie reprezentowali rasę Gonzagów z Sabbionety. Cagnina uważali najznakomitsi malarze za typ męskiej urody, o Luigim Rodomoncie pisał jeden ze współczesnych literatów, że miał tak dzielną postawę i tak ujmującą twarz, że mistrzyni przyroda nic piękniejszego wymyślećby nie zdołała, a Pirra nazwał ktoś „Giovanne di bellissimo aspetto". Gonzagowie wychowywali nadzwyczaj starannie swe dzieci; Luigiego uczył mantuańczyk Buonavoglia poezji i wymowy, prowadził go „al fonte Castaglio" i tak go zachęcił do czytania starożytnych autorów, że młodzieniec zbierał dzieła Cycerona, Walerjusza Maksyma, Salustjusza, Juwenala i Terencjusza, pisał wiersze i był „literato in ogni facultà". To wszystko jednak nie przeszkadzało, że oddawał się z zapałem fizycznym ćwiczeniom, że łamał w rękach podkowy i przerywał pięć cięciw razem złożonych.

Klejnotem rodziny była Giulia, urodzona w r. 1513 w Gazzuolo, gdzie księstwo mieszkali, gdyż Sabbioneta stała pustką; zamek tamtejszy dopiero później został przebudowany i urządzony. Podobnie, jak większość panien zamożnych domów odrodzenia, i ona otrzymała jak najstaranniejsze wykształcenie; uczono ją śpiewu, robót ręcznych, haftów, a pojmowała każdą naukę z taką łatwością, że przewyższała we wszystkiem swoje trzy siostry: Paulę, Hipolitę i Eleonorę, a nauczyciel jej braci, ów Giovanni Buonavoglia, daje jej pochlebne świadectwo w poemacie *Gonzagium monumentum,* który ułożył na cześć książęcego rodu. Powiada on tam, że

Julia sed cunctas superat longe ipsa sorores,
Callidula ingenio, facili condita lepore.

Z urody zasłynęła Julja na całą Europę, a nawet na dworze sułtańskim w Konstantynopolu i pomiędzy Barbareskami w Afryce uchodziła za najpiękniejszą kobietę świata. Poeci nie mieli dość słów i porównań, aby ubarwić opisy jej uroczej postaci, a pomiędzy innymi Arjost śpiewa o niej, że gdziekolwiek Julja kroki swe skieruje i gdzie tylko spojrzy swem pogodnem okiem, wszędzie schodzą jej z drogi nawet najpiękniejsze kobiety, co więcej, pełne są dla niej podziwu, jakby dla bóstwa, które z niebios na ziemię zstąpiło.

Giulia Gonzaga, che dovunque il piede
Volga, e dovunque i sereni occhi gira,
Non pur ogn' altra di beltà le cede,
Ma come scesa dal ciel Dea l'ammira.
(Orlando Furioso, Canto 46. str. 7).

Bernard Tasso, ojciec Torquata, nie zadawalnia się ogólnemi słowami uniesień, ale długi wiersz, całe capitolo poświęca szczegółowemu opisowi jej jasnych, bujnych, w złocistych kędziorach spadających włosów, jej oczu, okolonych ciemnemi brwiami, rubinowym ustom, świecącym perłami, a przedewszystkiem unosi się nad jej głosem anielskim i mową właściwą bogom, a nie śmiertelnym ludziom:

...l'angeliche voci e le parole
Proprie di Dio e non d'uomo mortale.

Poeta jest przekonany, że imię Julji żyć będzie na wieki, jak sława Cezara albo Achillesa.

Młodzieńcze lata Julji wypadły na owe czasy współzawodnictwa dwóch wielkich potęg, cesarstwa i Francji, o panowanie we Włoszech, na owe chwile niepewności, w których każdy władca, począwszy od papieża, a skończywszy na takiem książątku Sabbionety, drżał o swoje posiadłości i musiał prowadzić dwulicową politykę, nie wiedząc, które mocarstwo zwycięży. Mantuańscy Gonzagowie dość stale trzymali się cesarza; ojciec jednak Julji, Lodovico, chwiejną prowadził politykę, chodziło mu bowiem o odzyskanie posiadłości Castelmaggiore, którą medjolańscy Sforzowie, sprzymierzeńcy cesarstwa, zabrali Gonzagom. Lodovico więc oparł się o Francuzów i z ich pomocą odzyskał na jakiś czas wspomniane lenno, ale po klęsce Franciszka I pod Pawją r. 1525 znowu je utracił. Odtąd trzymał się stale cesarstwa, a dzięki głowie rodziny, Federigowi z Mantuy, który był wodzem wojsk cesarskich w północnych Włoszech i jego względom u Karola V, zabezpieczył przynajmniej swe inne posiadłości. Szukał jednak oparcia w familijnych związkach, do czego i piękna Julja musiała się przyczynić. Za mężem dla niej rozglądano się pomiędzy możnowładcami, oddanymi cesarstwu, a przypadek zrządził, że właśnie w r. 1524 owdowiał jeden z przewódców stronnictwa Karola V we Włoszech, Vespasiano

Colonna z Paliano. Vespasiano był synem słynnego wodza, Prospera Colonny, którego zwano Fabjuszem Maximem owych czasów, „wielkim kapitanem“; tak rozumnie i oględnie umiał prowadzić swe wojska. Portret jego dzisiaj jeszcze istnieje w pałacu Colonnów w Rzymie i przedstawia bardzo charakterystycznego, chudego mężczyznę o podłużnej, surowej twarzy, okolonej brodą i długiemi, na pancerz spadającemi kędziorami. Prosper służył Francuzom pod Karolem VIII, był wielkim konetablem państwa neapolitańskiego pod Aragonami, prowadził wojska hiszpańskie Karola V pod Medjolan i umarł tam w r. 1532. Wespazjan służył także w szeregach cesarskich i odziedziczył po ojcu dobra Fondi i Traetto w południowych Włoszech, które dawniej należały do Gaetanich, a dopiero od czasów Ferdynanda Katolickiego do Prospera Colonny. Nadto posiadał Wespazjan olbrzymie obszary w rzymskiej Kampanji, tudzież hrabstwa Carpi i Novi, położone pomiędzy Mantuą i Modeną, które mu cesarz nadał za dzielność, okazaną w bitwie pod Pawją. Vespasiano należał więc do najbogatszych ludzi we Włoszech, a dochody jego wynosiły 40.000 dukatów. Ale ani przystojny ani wiekiem odpowiedni na męża dla młodziutkiej Julji już nie był. Brzydki, prawie wstrętny, kulawy, miał lat czterdzieści i ciągle chorował; pierwsza żona, Beatrice Appiani z Piombino, pozostawiła mu jedyną córkę, Izabellę, która była prawie w wieku Giulii. Mimo to Izabella d’Este, markiza mantuańska, i monsignor Pirro, który bawił wówczas w Rzymie, bardzo gorąco zajęli się swataniem Wespazjana z Julją, a układy przyszły do skutku, zanim niespełna czternastoletnia księżniczka o tych projektach dowiedzieć się mogła. Zawierano interes, nie troszcząc się o nią; Colonna dawał świetne nazwisko i wielką fortunę, Gonzagowie nie mieli wprawdzie dużego majątku, ale należeli do panujących rodów. Targi odbywały się w Rzymie, w domu Izabelli d’Este; Pirro imieniem ojca obiecał wypłacić Colonnie 12.000 dukatów w przeciągu trzech lat, a ślub naznaczono na styczeń 1526. Ponieważ jednak ojca w Rzymie nie było, więc cały układ zachowano w tajemnicy, dopóki Lodovico Gonzaga go nie zatwierdzi, co mogło z powodu oddalenia nastąpić dopiero za ośm do dziesięciu dni. Zatwierdzenie jednak paktu nie ulegało wątpliwości; w Sabbionecie i w Mantui bardzo się cie-

szono tem połączeniem, a Francesco Gonzaga donosił z Rzymu do Mantuy, że Julja świetnie wyjdzie zamąż, gdyż Vespasiano z łatwością mógłby znaleźć żonę, któraby mu przyniosła 60.000 a nawet 100.000 dukatów posagu, wybiera jednak Julję, ponieważ pokrewieństwo z domem Gonzagów więcej ma dla niego wartości, aniżeli znaczny posag.

Wesele odbyło się w sierpniu, tak, jak ułożono, w chwili wprawdzie niestosownej do cichego domowego pożycia, ale bardzo ważnej dla Colonnów. Pod przewództwem stryjecznego brata Wespazjana, kardynała Pompea Colonny, zbroiła się ta cała możnowładcza rodzina, zbierała swe siły, aby w porozumieniu z Karolem V podnieść bunt przeciw papieżowi, który właśnie co zawarł w maju z królem francuskim ligę w Cognac, wymierzoną przeciw cesarstwu. Colonnowie mieli swe rachunki z Klemensem VII i chcieli się zemścić. Dwudziestego września 1526 stanęli Pompeo Colonna, jego brat stryjeczny Ascanio, tudzież Vespasiano, z licznem wojskiem pod bramami Rzymu, wpadli do miasta, gdyż ludność zupełnie opuściła papieża i zmusili go, aby się zgodził na ich warunki. Ale zaledwie cofnęli się do swych zamków, papież rzucił klątwę na Pompea i na cały ród Colonnów; klątwa rozjątrzyła tylko dumnych możnowładców i stała się jednym z powodów, że z większą jeszcze zawziętością w roku następnym mścili się na papieżu, wspierając konetabla Bourbona w zajęciu i spustoszeniu Rzymu.

Pomiędzy pierwszymi, którzy w szykach cesarskich wpadli do wiecznego miasta, był brat Julji, Rodomonte, który w ostatnich latach doszedł do wielkiej wojskowej sławy. Zyskał sobie ową nazwę arjostowskiego bohatera, gdyż nieustraszony lubił się popisywać siłą i odwagą. Raz w Madrycie, w obecności Karola V, powalił w zapasach najsilniejszego Maura, głośnego na całą Hiszpanję, a cesarz tak Rodomonta polubił, że wziął go ze sobą, jadąc do Anglji, aby tam Henryk VIII mógł podziwiać śmiałość i zręczność dzielnego dworzanina.

Porrino pisze o nim:

E più volte hor sul Reno hor sul'Ibero
Cesar gli diè questo honorato vanto,
Che non hebbe altro Duce, altro guerriero
Si buono ancora il grande Imperio Santo.

Rodomonte przejął się żołnierską sławą i nie chodziło mu o to, w jakiej sprawie walczy, ale tylko o okazanie swego animuszu, wypisał też na pancerzu dewizę: „Sive bonum, sive malum, fama est“. Teraz więc, pomimo że brat jego Pirro znajdował się w otoczeniu papieża i dzielił los Klemensa VII, zamkniętego w zamku św. Anioła, Rodomonte walczył w szeregach nieprzyjacielskich. Z równą łatwością wszakże, jak walczył z papieżem, stał się niebawem stronnikiem Klemensa VII, gdy przyszło do układów pokojowych, i nawet zastępował papieską sprawę. Nie była to bezinteresowna przychylność; papież musiał ją okupić nadaniem kapelusza kardynalskiego Pirrowi Gonzadze i zamianowaniem go biskupem Modeny. Pirro niedługo się wszakże cieszył wielkiemi beneficjami, gdyż we dwa lata później, w r. 1529, umarł w Sabbionecie.

Vespasiano Colonna nie mógł się w tych wojennych czasach zajmować młodą żoną; po ślubie zawiózł ją do Fondi, a sam niebawem wrócił do obozu i dopiero po zajęciu wiecznego miasta przez hiszpańsko-niemieckie wojska widzimy go znowu w Fondi. Ale tam bawił niedługo; z początkiem marca 1528 był już bowiem z Julją w Paliano, gdzie w kilkanaście miesięcy po ślubie ciężko zachorował, a czując się bliskim śmierci, sporządził testament, w którym w sposób nadzwyczaj hojny zabezpieczył los swojej młodej żony. Powszechnie mówiono, że Vespasiano pozostawił Julję tak czystą, jak szła do ołtarza, a tem się w części tłumaczy, że starał się jej majątkowo wynagrodzić małżeńskie zawody. Mianował ją w testamencie panią, „donna e padrona“ wszystkich swych ziemskich posiadłości, tak w Campagnii, jak w królestwie neapolitańskiem położonych, jak długo wdową pozostanie. W razie, gdyby powtórnie wyszła zamąż, ma być jej posag zwrócony, a jego córka Izabella ma zostać dziedziczką całego majątku. Testament zawierał także postanowienia co do losu Izabelli. Vespasiano przeznaczał ją za żonę synowcowi papieża, Hipolitowi de Medici, i polecił wypłacić 30.000 dukatów posagu, życzył sobie wszakże, aby jej synowie nosili nazwisko Colonnów, jeżeli cesarz na to pozwoli. Gdyby to małżeństwo dla nieprzewidzianych powodów nie mogło przyjść do skutku, postanowił testator, aby Julja wydała jego córkę za jednego ze swych braci i w takim razie wypłaciła jej 50.000 dukatów posagu. To posta-

Mgr A. Leichert

nowienie zgadzało się z życzeniem Julji, aby Rodomonte pojął Izabellę za żonę.

Jak tylko Vespasiano ciężko zachorował, wysłała Julja natychmiast gońca do Rzymu z wezwaniem, aby kardynał Pirro Gonzaga jak najprędzej przyjechał. Otrzymawszy pozwolenie wyjazdu od papieża, Pirro udał się do Paliano, gdzie jeszcze zastał żyjącego szwagra. Vespasiano umarł jednak nazajutrz, 12 marca 1528.

Ani papież ani Hipolito de'Medici nie wiedzieli narazie o postanowieniu testamentu, którem Vespasiano przeznaczał swoją córkę synowcowi Klemensa VII za żonę. Gdyby się był papież o tem dowiedział, byłby się oczywiście całą siłą domagał wykonania tego artykułu testamentu, aby w ten sposób ród Medicich urósł w jeszcze większą potęgę. Hipolit był nieślubnym synem księcia de Nemours, Giuliana de'Medici, brata Leona X, i urodził się zapewne w Urbino. Kolebkę jego otaczała tragiczna tradycja, mówiono bowiem, że matka Hipolita należała do bardzo znanego rodu, a chcąc ukryć swój stosunek z Giulianem, kazała dziecię zamordować i wrzucić do kanału. Sługa jednak, która miała spełnić ten czyn okrutny, nie miała serca odebrać życia dziecinie, uratowała je, a ojciec kazał je wychowywać i zabrał ze sobą do Rzymu, gdzie wówczas panował Leon X. Chłopak bardzo się podobał papieżowi; gdy Giuliano umarł, Leon X zajął się jego losem, a drugi papież z rodu Medyceuszów, Klemens VII, kazał go starannie wykształcić.

Z głównej linji Medyceuszów pozostawało wówczas tylko dwóch męskich potomków, a obydwaj byli nieślubnymi synami. Oprócz Hipolita wychowywał się także pod opieką papieża Aleksander de'Medici, syn Wawrzyńca i wieśniaczki z Collevecchio, noszący na ciemnej twarzy i czarnych kędzierzawych włosach wyraźne ślady swego pochodzenia. W roku 1524 papież zamianował kardynała Silva de Castrona namiestnikiem i legatem papieskim Toskanji i powierzył mu opiekę nad tymi dwoma młodymi Medyceuszami, aby się wprawiali do rządów. Papież bardziej lubił Hipolita i jego przeznaczał na przyszłego księcia Florencji, jemu oddał familijny fideikomis Medyceuszów; kazał go nawet w r. 1519 legitymować kardynałowi Wawrzyńcowi Cibo w obawie, aby nieprzyjazne Medyceuszom stronnictwo nie

zarzucało mu, że nie należy do rodu Medyceuszów. Papież miał zamiar ożenić go z Katarzyną Cibo; gdy jednak doszła wiadomość o postanowieniu testamentu Wespazjana Colonny, Klemens zmienił swe zamiary, gdyż Izabella wniosłaby o wiele większy posag.

Tymczasem jednak Julja nie zasypiała sprawy; jej chodziło o to, aby Izabella wyszła zamąż za Rodomonta, a zdaje się, że i sama panna wolała Gonzagę, którego znała, aniżeli Hipolita Medyceusza, którego, jak się zdaje, nigdy nie widziała. Rodomonte zresztą mógł się podobać nietylko dlatego, że to był mężczyzna piękny i dzielny, ale także należał do owych rycerzy poetów, których sporo wydało odrodzenie. Oblegając zamki nieprzyjacielskie, mieli oni czas pisać sonety na cześć ukochanej donny i posyłać jej wiersze z obozu. ówczesne wojny włoskie nie były zbyt krwawe; niewydoskonalona jeszcze broń palna chybiała najczęściej celu, brak dobrych wiadomości o ruchach przeciwnika pozwalał na to, aby nieprzyjaciel co chwila zacierał za sobą ślady, a nadewszystko oddziały zaciężne, prowadzące wojnę za zapłatę, nie śpieszyły się wcale, aby w otwartem polu spotkać nieprzyjaciela. Najczęściej więc losy owych wojen rozgrywały się w obleganiu zamków i miast obronnych, w obleganiu powolnem, pozbawionem dostatecznej ilości armat, pozostawiającem rycerstwu dość czasu do pisania wierszy.

Obawiając się, aby papież nie stanął na przeszkodzie małżeństwu Izabelli z Rodomontem, ułożyły młode kobiety, aby ślub odbył się bez wiedzy papieża, i to bezzwłocznie, tak, aby w Rzymie dowiedziano się dopiero o fakcie dokonanym. Szesnastego kwietnia, pomimo że Rodomonte wówczas był chory, Izabella wystawiła solenny akt przy świadkach, w którym przysięga, że oddała swą rękę Ludwikowi Gonzadze: „confesso e giuro per lo omnipotente Iddio, come ho preso per mio legitimo sposo lo Ill. Sig. Luissi de Gonzaga“, a w dziesięć dni później odbył się ślub w cichości. Dopiero po ślubie posłała Izabella jednego z przyjaciół domu, aby Klemensa o tem uwiadomił, równocześnie zaś kazał się Rodomonte zanieść w lektyce do Rzymu, aby się tam leczyć i papieża powoli ułagodzić. Klemens VII nie posiadał się z gniewu, a pomimo że Gonzaga przy układach z cesarzem bardzo zręcznie prowadził sprawy papieża i niemało się przyczynił

do zawarcia pokoju, przecież papież choremu jeszcze robił gwałtowne z powodu zatajenia ślubu wyrzuty i wręcz oświadczył, że małżeństwa jego z Izabellą za ważne nie uzna. Rodomonte wziął ten upór papieża bardzo do serca i przez chwilę tak rozpaczał, że, jak donosił poseł ferrarski swemu księciu, Gonzaga chciał się z okna rzucić i życie sobie odebrać. Rzecz się jednak tak tragicznie nie skończyła; Rodomonte przyszedłszy do zdrowia, pojechał czem prędzej na południe, aby ubezpieczyć mury zamku w Paliano, gdyż Klemens VII obłożył sekwestrem posiadłości Julji Colonny i trzeba było się spodziewać napadu wojska papieskiego. Julja też w porozumieniu z bratem energicznie zebrała się do umocnienia zamków, siedzibę zaś swoją przeniosła do Fondi, gdzie się czuła bezpieczniejsza przed papieżem.

Rzeczy jednak niespodziewanie inny, dla Julji korzystniejszy wzięły obrót; Klemens VII ciężko zachorował w r. 1529, a obawiając się śmierci, chciał stanowisko swych synowców zabezpieczyć. Aleksandrowi postanowił w porozumieniu z cesarzem oddać rządy Florencji, a Hipolita zamianował kardynałem. Hipolit zrazu się bronił, nie chciał przywdziać duchownej sukni, ale wreszcie uległ woli stryja, zwłaszcza, że papież nadawał mu zaraz kilka prebend, przynoszących wielkie dochody, a godność kardynała nie nakładała znów tak ciężkich obowiązków, aby nie mógł prowadzić życia, do jakiego przywykł. Polowanie i miłostki były jego ulubionemi zajęciami; polować mógł dalej, naśladując Leona X, a miłość w owych czasach nie obawiała się purpury, „amore non ebbe mai paura della porpora“. Dziesiątego stycznia 1529 został więc ośmnastoletni Hipolit kardynałem di Sta Prassede, a nadto otrzymał arcybiskupstwo Avignonu i został legatem w Perugii.

Papież tym razem jeszcze wyzdrowiał, ale Hipolit przestał już być, jako kardynał, kandydatem na męża dla posażnych jedynaczek. Całem swem zachowaniem się jednak okazywał, że został mimowoli dygnitarzem kościoła, ubierał się zawsze po świecku, z wyjątkiem, kiedy musiał przywdziać strój kardynalski do kościelnych uroczystości, i był niejako wojskowym zastępcą stolicy apostolskiej, którego papieże używali do wojennych wypraw i do świetnej reprezentacji. W kilka miesięcy po nadaniu Hipolitowi kardynalskiej godności, gdy Karol V po

podpisaniu pokoju w Cambray miał wylądować we Włoszech, wysłał papież obydwu nepotów, Hipolita i Aleksandra, w świetnem otoczeniu do Genuy, aby tam cesarza powitali i towarzyszyli mu w dalszej podróży. Tam spostrzegł Hipolit, że cesarz więcej sprzyja Aleksandrowi, a być może, że Karol V już wtedy miał zamiar wydania za niego swojej córki naturalnej Margarety, czego się oczywiście wtedy jeszcze nie domyślano. Zresztą Aleksander bardzo dobre robił wrażenie; smagławy, prawie czarny, średniego wzrostu, ale o postawie, znamionującej fizyczną i moralną siłę. Aleksander był nadto bardzo wymowny; brak głębszej wiedzy umiał pokrywać wielką zręcznością. Matka Aleksandra, silna wieśniaczka, odświeżyła w nim ród Medyceuszów, wyczerpany nadużyciami fizycznemi kilku generacyj. Papież widział w nim przyszłość swego szczepu, a jak poseł wenecki w Rzymie donosił Signorji, zaczynał więcej go lubić, aniżeli Hipolita, przystojniejszego, gładszego, wyższego umysłową kulturą, ale trochę zniewieściałego młodzieńca.

W otoczeniu cesarza znajdował się także Luigi Gonzaga Rodomonte i zwracał uwagę swą dewizą, miał bowiem na sobie kaftan w dwóch kolorach, z haftowanym dużym skorpjonem i napisem: „Qui vivens laedit, morte medetur“. Jad bowiem z zabitego skorpjona leczył w wierzeniu ludu złe skutki innych trucizn; niejeden więc gwałtowny czyn rycerza miał z czasem okazać się zbawienny.

Podczas gdy Hipolit przestał już być w Bolonji rywalem Rodomonta, przybył tam inny potężny kandydat do ręki Izabelli, który uważał zaślubiny jej z Gonzagą za nieważne, a co więcej, spodziewał się mieć w swoich zamiarach poparcie cesarza. Był to Don Ferrante Gonzaga, stryj Izabelli, pochodzący z głównej linji mantuańskich Gonzagów, wicekról Sycylji. Ferrante kazał swemu zastępcy, Leoli, przedłożyć cesarzowi memorjał, w którym starał się dowieść, że związek Izabelli z Rodomontem trzeba uważać za nieistniejący, a nie przekonały go nawet zapewnienia brata Rodomonta, Cagnina, że małżeństwo nietylko zawarte, ale i spełnione zostało. Ferrante nalegał, aby rzecz sądowi cesarskiemu przedłożona została, co się też rzeczywiście stało; ale i sąd ten nie mógł wobec rzeczywistych faktów dogodzić woli wicekróla, i Rodomonte został uznany za legalnego męża Izabelli.

Mając już potwierdzenie cesarskie swego małżeństwa i uspokoiwszy się co do humorów papieża, pojechał Luigi do Fondi, zabrał żonę do Rzymu i tam w styczniu r. 1531 obchodził z nią uroczyste wesele, które miało publicznie stwierdzić ważność jego związku z Izabellą i zakończyć cały szereg przeszkód, które młoda para przezwyciężyć musiała. Izabella podarowała w tym pamiętnym dniu swemu mężowi pierścień z kameą, w której dwoje oczu misternie było wyrzeźbionych. Niespełna w rok później, 6 grudnia 1532, powiła w Fondi syna; ale Luigi Rodomonte nie mógł się na miejscu cieszyć swym synem, gdyż jeździł wówczas z rozmaitemi poleceniami cesarskiemi po Lombardji i oparł się także o Ferrarę, gdzie poznał Arjosta i nawet napisał do niego wiersz pełen uniesień i grzeczności dla Estów. Zaledwie zaś powrócił do Kampanji, a już musiał bronić posiadłości Giulii i domen papieskich przed najniespokojniejszym z rzymskich baronów, Napoleonem Orsinim, który ciągle pod rozmaitemi pozorami niepokoił okolice Rzymu. W roku 1532 zamknął się Napoleone w mocno obwarowanej mieścinie Vicovaro i bronił się zawzięcie oblegającemu go wojsku Gonzagi; ale ostatniego listopada musiał porzucić mury i cofnąć się do obronnego zamczyska. Luigi wszedł jako zwycięzca do miasta; ale była to ostatnia jego rycerska wyprawa. Podstępny Orsini nasadził na niego w jakimś małym domku celnego strzelca, który mu śmiertelną zadał ranę w łopatkę. Zaniesiono umierającego do pałacu, gdzie jeszcze tyle miał przytomności, aby przed notarjuszem podyktować swą ostatnią wolę. Opiekunami małego Wespazjana zamianował księcia Federiga mantuańskiego i brata Franciszka, na wypadek, gdyby Izabella powtórnie wyszła zamąż. Luigi żył jeszcze trzy dni i kazał dodatkowo spisać kodycyl, w którym siostrze swej, Donnie Julji, poleca swoją młodą małżonkę, a biskupowi miasta Fondi oddaje zarząd dóbr syna. Umarł, mając niespełna lat trzydzieści trzy, a ciało jego zaniesiono do Fondi, gdzie zostało pochowane.

Po śmierci Rodomonta rozeszła się wieść, że sam Napoleon Orsini z zasadzki go zabił, na co wskazuje dwuwiersz sekretarza Julji, Gandolfa Porrina:

Crudele Orsin, che l'affocata palla
Mandasti incontro al Cavaliero ardito.

Losy pomściły Rodomonta, gdyż Napoleon także zginął w kilka lat później, napadnięty podstępnie w okolicach Rzymu przez hiszpańskich włóczęgów.

II

Przy dawnej Via Appia, pomiędzy Terraciną a Gaetą, w malarycznej okolicy leży mieścina Fondi z zamkiem, prawie ruiną, i sąsiadującym z nim kościołem, niegdyś biskupią świątynią. Tam zamieszkały po śmierci Rodomonta obydwie młode wdowy, Julja i Izabella, a ponieważ zamek leżał przy drodze z Rzymu do Neapolu, więc mnóstwo ludzi się zjeżdżało do Fondi, zwłaszcza, że dwie piękne kobiety niemało nęciły do przekroczenia gościnnych progów castella. Fondi stało się też przez kilka lat jednem z tych pomniejszych ognisk renesansowej kultury, które tak bardzo się przyczyniały do powszechnego ruchu umysłowego i tyle miały poetycznego uroku.

Jednym z najpożądańszych gości w Fondi bywał teraz kardynał Hipolit Medici, który też korzystał z każdej sposobności, zwłaszcza ze swych polowań w lasach Kampanji, aby zajeżdżać do Fondi. Ale nie myślał on już bynajmniej o Izabelli, która zresztą zawsze obca była jego sercu; pociągała go tam piękna Julja. Że i urocza pani zamku więcej, jak zwykłą przyjaźń żywiła dla młodego kardynała, nie ulega żadnej wątpliwości. Kardynał stał się zresztą jedną z najbardziej zajmujących osobistości rzymskiego świata.

Dzięki beneficjom, któremi go stryj papież obdarzył, utrzymywał Hipolit nadzwyczaj świetny dwór w pałacu swym na Campo Marzio, składający się z przeszło trzystu ludzi, należących do rozmaitych narodowości, mówiących dwudziestu językami. W epoce odkrycia Ameryki i mnóstwa wysp oceanu nadzwyczaj zajmowało wszystko, co nowe: ludzie, zwierzęta, rośliny; to też wielcy panowie wszelkich dokładali starań, aby na dworach swych gromadzić cały zamorski mikrokosmos. Kardynał miał w służbie Maurów i Barbaresków, szczególnie zręcznych w ujeżdżaniu koni, którzy cudów dokazywali na afrykańskich biegunach, miał Tatarów, wypuszczających strzały tak mistrzowsko z łuku i rzucających z taką zręcznością lance do

celu, że żaden z Włochów nie mógł im dorównać; sprowadził nawet Indjan o dziwnej giętkości i muskularności ciała, tak, że zawsze zwyciężali w grach i ćwiczeniach rycerskich. Owi Indjanie pływali jak ryby i zdołali tak długo pozostawać pod wodą, iż nieraz obawiano się o nich, że nurkując w Tybrze, mogą już nie wypłynąć na powierzchnię wody. Straż przyboczna kardynała składała się z samych Turków, wiadome bowiem było, że tym niewiernym nikt w dzielności nie wyrówna. Do pałacu Hipolita przytykał wielki ogród, w którym rozmaite hodowano europejskie i zamorskie zwierzęta; pomiędzy innemi w łaskach kardynała był rzadkiej wielkości niedźwiedź, podarunek od Katarzyny Cibo, księżnej Camerino. Gdy kardynał jeździł w towarzystwie Klemensa VII do Marsylji, młodego prałata tak polubił król francuski, że go chciał obsypać rozmaitemi drogocennemi przedmiotami; Hipolit jednak wyprosił sobie, aby mu zamiast klejnotów i brokatów pozwolono wybrać ułaskawionego lwa z królewskiego zwierzyńca, który mu się szczególnie podobał. Ów lew był później tak słynną osobliwością w Rzymie, że wszyscy znajomi kardynała, a szczególnie panie wielkiego świata i cortegiany przychodziły do ogrodu na Campo Marzio, aby się bawić z owym ucywilizowanym synem puszczy. Te igraszki o mało że się raz bardzo smutno nie skończyły; jakiś dziki zwierz chciał rozszarpać jedną z rzymskich pań, która się zanadto do klatki przybliżyła. Także stajnie kardynała należały do ciekawości Rzymu; tyle w nich było przepysznych koni, a w psach do polowania tak się kochał, że nikt z rzymskich panów nie miał tak doborowej psiarni.

Ale kardynał nietylko był miłośnikiem polowania, jazdy konno, wojskowych ćwiczeń; i literaturą bardzo się zajmował, a tak wybornie znał język łaciński i taką miał łatwość pisania wierszy, że nadzwyczaj pięknie przetłumaczył drugą księgę Eneidy Wergiljusza na język włoski. Podobno zachętą do tej pracy była dlań Julja, wielka miłośniczka starożytnych pisarzy; jej też kardynał ową księgę poświęcił. Przełożył także na język włoski rozprawy Hipokratesa o medycynie, które miały służyć do wojskowych, obozowych celów, gdyż w ówczesnych kondotjerskich bandach dawał się czuć wielki brak lekarskich wiadomości.



Królowa Bona za młodu

(Według akwareli w Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie)

Niekiedy wyprawy wojenne przerywały świetne życie dworskie w pałacu kardynała. I tak, gdy w roku 1532 Karol V zbroił się, aby złamać potęgę Solimana, papież Klemens VII wysłał Hipolita, jako swego legata a latere, z oddziałem doświadczonego wojska do Austrji, a nadto dał mu sto tysięcy guldenów w złocie do rozporządzenia, aby przyjął na żołd papieski dziesięć tysięcy Węgrów, którzyby mieli połączyć się z armją cesarską. Hipolit, przybywszy do Wiednia, zebrał 8.000 Wegrów i sam ubrał się po węgiersku, mając słabość do tego stroju, w którym mu bardzo było do twarzy. W Wiedniu o mało że nie został zabity podczas burdy ulicznej, powstałej pomiędzy niemieckimi a hiszpańskimi żołnierzami, i tylko chroniąc się szybko wraz z markizem del Vasto do jakiegoś domu, uszedł niebezpieczeństwa. Wogóle mu się tam nie wiodło, gdyż cesarz na krótki czas kazał go uwięzić za to, że młody wojownik nie spełnił poleceń najwyższego wodza. Kardynał jednak zyskał sobie tak w wojsku, jak pomiędzy wiedeńczykami wielu przyjaciół, rozrzucał bowiem pieniądze, a swą uprzejmością podbijał serca. Jako wódz jednak nie miał sposobności do okazania swych talentów, gdyż Soliman po kilku porażkach nie chciał się wdawać w wielką bitwę z cesarską armją, ale zniszczywszy strasznie Styrję, cofnął się do Turcji.

Gdy kardynał wybierał się z Włoch na ową wiedeńską wyprawę, rozłączenie się z Julją było, jak się zdaje, najcięższym dla niego ciosem. Chciał mieć przynajmniej jej wizerunek ze sobą; nim też wyjechał z Rzymu, wysłał Sebastiana del Piombo do Fondi, aby ten wzięty wówczas w wielkim świecie rzymskim artysta zrobił mu portret Gonzagi. Kardynał dodał czterech uzbrojonych jeźdźców artyście, aby mu do Fondi towarzyszyli, a w Rzymie wyprawa ta po portret najpiękniejszej kobiety wielkie w artystycznych kołach wywołała zaciekawienie. Sebastiano doniósł na wyjezdnem Michałowi Aniołowi, że udaje się do Fondi malować jedną z pań, „a retrarre una signora“, nie wymieniając jej nazwiska, gdyż tego widocznie kardynał sobie nie życzył. Pięć tygodni bawił artysta w Fondi, pomiędzy 8-mym czerwca a 15-tym lipca 1532, i przywiózł stamtąd arcydzieło, które powszechnie w Rzymie podziwiano. Było to „boskie malowidło“, „una pittura divina“, jak zapewnia Vasari.

Czy się ten portret zachował aż do naszych czasów, rozstrzygnąć się nie da. To pewna, że mamy portrety Giulii; najlepszy z nich jest jeden z tych dwóch, które się znajdowały w Rzymie, w Palazzo Giustiniani-Bandini, a w r. 1904 przeszły na własność handlu przedmiotów sztuki Steinmeyera w Kolonji[1]. Przedstawia on młodą, smukłą kobietę wielkiej piękności i uroku, w czarnej sukni do stanu, pozwalającej widzieć długą szyję i skrawek piersi, gdyż kołnierz u sukni jest lekko wcięty. Głowa i ramiona są przykryte brunatnym, żałobnym welonem, lewa zaś ręka oparta o stół, prawa zaczepiona o łańcuszek przypięty do piersi. Uderza w tej kobiecie nadzwyczajna szlachetność postaci, głowa podłużna i rysy regularne, spojrzenie dziwnie łagodne, włosy „chatin" ze złotawym połyskiem, ręka o bardzo długich, cienkich palcach. Jest to chyba jeden z najpiękniejszych typów kobiecych, jakie nam przekazali włoscy malarze odrodzenia.

Drugi z powyższych portretów przedstawia tę samą kobietę, także w sukni cokolwiek wyciętej na piersiach i z podob-

---

[1] *Catalogue des tableaux anciens et modernes composant la collection Bourgeois frères.* Cologne, 1904. Impr. M. Dumont, Schanberg. Nr. 63 e 64. Pierwszy portret publikowany w monografji Pietro d'Achiardi, *Sebastiano del Piombo.* Roma, Casa editrice de „L'Arte", 1908, tudzież w Emila Schäffera książce *Von Bildern und Menschen der Renaissance.* Berlin, Verlag Julius Bard, 1914. — Drugi portret w powyższej książce E. Schäffera, tudzież w dziele hrabiny L. Ross, *Die Colonna, Bilder aus Roms Vergangenheit.* II Bände. Leipzig, Verlag von Klinkhardt u. Biermann. Ta ostatnia rycina zrobiona według portretu, znajdującego się w Uffizi. Podobizny portretów Giulii są także reprodukowane w angielskiej książce Chrystopher Hare, *A princess of the italien Reformation. Giulia Gonzaga.* London and New York, Harper & Brothers, 1912. Na życzenie kardynała Hipolita modelował Julję także ferraryjczyk Alfonso Lombardi. (Gruyer, *L'art Ferrarais.* Vol. I. p. 543). Do utwierdzenia nas w przekonaniu, że te portrety są podobiznami Giulii, służy portret jej (popiersie), znajdujący się w zbiorach muzeum cesarskiego w Wiedniu, pochodzący ze spuścizny po arcyksięciu Ferdynandzie z Tyrolu. Arcyksiążę kazał zrobić dla siebie kopję portretu Giulii według autentycznej podobizny, która była własnością Gonzagów w Mantui. Popiersie to, z jednej strony twarzy bardzo przemalowane, nie ma większej artystycznej wartości. Inne kopje obrazu Sebastjana del Piombo przechowały się, jedna w Pinakotece w Neapolu (odfotografowana także w książce d'Achiardego, *Sebastiano del Piombo)*, druga w Galerji Borghese w Rzymie (Nr. 79), publikowana w *Rassegna d'Arte* 1910, p. 143.

nym welonem na głowie, ale w płaszczu obszytym gronostajami, który mniej pozwala ocenić piękność postaci, aniżeli portret pierwszy. Na tym drugim obrazie Giulia opiera lewą rękę na książce, leżącej na stole, a prawą podtrzymuje ozdobę z sobola, stanowiącą rodzaj paska na płaszczu. Przez nos sobola przeciągnięty pierścień łączy się ze złotym, długim łańcuszkiem, którym, jak się zdaje, suknia pod płaszczem była opasana. Postać Giulii nie ma tutaj tej naturalności, co w pierwszym portrecie, a oczy wyrażają jakiś niepokój, jakby przestrach.

Replika tego obrazu znajduje się w zbiorze portretów galerji Uffizi we Florencji.

Portret Giulii Sebastjana del Piombo miał przewyższać wszystko, co artysta malował. Czy to arcydzieło posłano Franciszkowi I do Fontainebleau, jak utrzymywano, wątpić się godzi, gdyż Hipolit nie byłby się rozłączył za życia z tem malowidłem. W drugiej połowie XVI w. znajdował się portret Julji pendzla Sebastjana del Piombo w pałacu Fulvia Orsiniego w Rzymie. Był to zapewne oryginał, gdyż jego wartość była podana na pięćdziesiąt skudów.

Tycjan także malował Julję, ale musiała to być kopja Sebastjana del Piombo, gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa Tycjan nigdy Julji nie widział. Mimo to portret był nadzwyczaj podobny, bo nuncjusz papieski w Wenecji, Hipolit Capilupi, wielki przyjaciel Gonzagi, pisał do niej 10 kwietnia 1562, że otrzymał od Tycjana jej portret w pełni wdzięków. Julja odpowiedziała nuncjuszowi zwrotem pełnym skromności, że artysta musiał chyba jej postać bardzo wyidealizować.

Kardynała Hipolita malował jednak Tycjan z natury, w czasie, kiedy wojowniczy książę kościoła powrócił z wiedeńskiej wyprawy. Jest to ów znakomity portret, znajdujący się we florentyńskiej galerji, na którym kardynał kazał się przedstawić w węgierskim stroju tak bardzo jego urodzie odpowiadającym.

Gdy się kardynał znalazł w Rzymie, życie na jego dworze, na Campo Marzio, zawrzało na nowo, a niektóre osobistości, które tam spotykamy, łączą się niejako z zamkiem w Fondi. Do nich należy osobliwie poeta Molza, przyjaciel kardynała i Julji, częsty jej gość i doradca w ważnych chwilach.

Francesco Maria Molza był bardzo charakterystyczną osobistością: pisał platoniczne poezje, a pławił się w zmysłowości. Modeńczyk z zamożnego rodu, chodził na uniwersytet w Bolonji, a później prawie ciągle w Rzymie przebywał i żył w towarzystwie cortegian, tudzież literatów, jak Bembo, Sadoleto, Beroaldi, grupujących się około stowarzyszenia Accademia Romana. Rodzina chciała ściągnąć zabłąkanego syna napowrót do Modeny, ożeniono go też w r. 1512 z córką poważnego tamtejszego domu, Masiną de'Sartori; ale Francesco tylko kilka lat wytrzymał w małomiejskiem otoczeniu i w r. 1516, opuściwszy żonę i czworo dzieci, udał się znowu do Rzymu. Tam miał głośny stosunek z cortegianą Furnią, która go tak zawojowała, że przyjaciele przezwali go Furniem. Niebawem jednak wpadł w sidła innej, jeszcze niebezpieczniejszej cortegiany, Beatryczy Paregii z Ferrary, córki jakiejś Hiszpanki, i z jej powodu został ciężko raniony sztyletem w piersi przez zazdrosnego rywala. Wyleczywszy się, musiał Rzym opuścić i udał się do Bolonji, gdzie dwa lata przebywał. W rannej piersi zawsze jeszcze gorzał ogień; zakochał się on tam w Kamili Gonzadze da Porto, małżonce Alfonsa Castrioty, a nowy ten ideał przynajmniej dobry wpływ wywierał na jego poetycki talent, gdyż wiersze do Kamili należą do jego lepszych utworów. Niestety po dwóch latach przeniósł się ponownie do Rzymu, gdzie został dworzaninem kardynała Hipolita de'Medici. Były to jego najświetniejsze czasy; kardynał bardzo go polubił, nadał mu jakieś beneficjum kościelne, przynoszące rocznie cztery tysiące dukatów. Molza też na nowo z podwójną energją używał świata, zawiązywał bezliku stosunki miłosne, tak, że według Aretina Amor tyle dla Molzy wypuścił strzał ze swego kołczana, że na przyszłość chyba łukiem będzie musiał uderzać w serca ludzkie, gdyż strzał mu zabraknie. Bardzo dużo mówiono o jego stosunku z jakąś żydówką, o której w jednym ze swoich sonetów powiada, że gdyby Izrael nie był swego królestwa utracił, to onaby tam była królową. Piękna Rachela uczyniła go przyjacielem żydów; poeta wyrażał nadzieję, że Bóg zlituje się kiedyś nad zbłąkanym narodem i znowu mu swą łaskę przywróci. Wszystko to stanie się za przyczyną owej róży, którą wydało rzymskie ghetto.

Molza zostawał także pod urokiem Julji Gonzagi; ale już podstarzały i wyszarzały, w poezjach tylko mógł wyrażać swoje zachwyty. To też, gdy Sebastiano del Piombo ukończył portret Julji dla kardynała, Molza twierdził, że malarz nie jest w stanie oddać farbami tych wszystkich zalet duszy, które posiada ubóstwiana księżna, i w długich stancach starał się uzupełnić te braki pendzla; mówił, że trzeba być orłem, którego promienie słońca nie rażą, aby móc patrzeć w jej olśniewające oczy; zastanawiał się nad tem, jak szczęśliwa jest epoka, w której się urodziła tak cudownie piękna kobieta, jak szczęśliwy ów kraj, w którym ona zamieszkała, a przedewszystkiem jakiej rozkoszy doznają ci, którym wolno przekroczyć progi jej gniazda.

To gniazdo, Fondi, opiewał niejeden poeta, a już i ta okoliczność przyczyniała się do nadania siedzibie Julji pewnej literackiej cechy, że sekretarzem jej był, począwszy od r. 1531, bardzo ceniony wówczas poeta Pandolfo Porrino, równie jak Molza rodem z Modeny. Porrino był jeszcze wówczas młodym człowiekiem; zasłynął w Rzymie ze swego talentu, a świat literacki niemało mu zazdrościł, że otrzymał posadę u tak uroczej pani, jak Julja. Jeden z przyjaciół wyrzucał mu w żartobliwym liście, że w raju, jakim jest Fondi, zapomina o znajomych, a zdaje się, że przepłynął tam rzekę Letę i utracił pamięć przeszłości. Dziwić się temu zresztą nie można, gdyż Fondi podobne jest do owej rzeki, a wobec rozkoszy, których się tam doznaje, zaciera się przeszłość w pamięci. Przybywszy do Fondi, miał Porrino za sobą już dworsko-literacką ogładę, w Rzymie bowiem był w służbie kardynała Aleksandra Farnese, nepota Pawła III, znanego mecenasa ludzi uczonych, i tam zawiązał stosunki z Varchim, Coloccim, monsignorem Della Casa, co było dla niego bardzo dobrem poleceniem. Porrino niebawem pozyskał łaski swojej pięknej pani, a jeden ze współczesnych wspomina o nim, że ów „poeta amoroso“ usidłał się w jej sieci. Porrino napisał mnóstwo stanc i sonetów do Julji; z tych strzelistych wybuchów poetyckiej fantazji nie trzeba jednak wysnuwać wniosków, jakoby pomiędzy sekretarzem a panią istniał jakiś bliski stosunek. Rzecz wiadoma, że poetom dworskim wolno się było wówczas rozkoszować w duchowej miłości do pań najwyż-

szego świata, wyrażać tę miłość w najgorętszych zwrotach, pomimo, że o jakiejkolwiek wzajemności marzyć nie mogli.

Porrino nie pominął także sposobności, aby z powodu portretu Sebastjana del Piombo nie napisać wierszy, w których oddaje wrażenia, jakie w artyście rodzić się musiały, gdy malował portret Julji. Oczywiście było to wyznanie wobec swej pani, jakie uczucia sekretarzem władają, gdy ma sposobność codziennie patrzeć w jej oblicze.

Mnóstwo literatów i uczonych bywało w Fondi, jak Bernardo Tasso, Flaminio, Soranzo, Tolomei, Berni, Vergerio, Carnesecchi; sporo książek poświęcano pięknej księżnie. Bernardo Tasso, ojciec Torquata, zaraz po śmierci Rodomonta ułożył żałobny wiersz do Julji, w którym się zwraca do nielitościwej Parki, że zagasiła gwiazdę, która była chwałą Włoch. Tasso, który w późniejszych swych latach tułał się z miejsca na miejsce, nie mając stałego utrzymania, szczęśliwy był, gdy w swych podróżach pomiędzy Neapolem a Rzymem mógł spocząć pod gościnnym dachem zamku w Fondi. Julja znana była z dobroci i uczynności; literaci udawali się więc często do niej o protekcję, szczególnie do kardynała Hipolita, wiedząc, że tam jej słowo zawsze będzie życzliwie wysłuchane. Claudio Tolomei, ów sentymentalno-uczony literat, pochodzący ze znakomitej sieneńskiej rodziny, prosił ją w liście z 5 kwietnia 1530 o wstawienie się za jego krewnym Bonifacym do kardynała o jakąś posadę, a poparcie Julji było skuteczne. Julja kierowała się zawsze dobrocią, nie odmawiała nikomu protekcji, jeżeli jej tylko udzielić mogła; nawet jakiś Giachetto Farofino, który w roku 1532 w jej oczach zabił zupełnie niewinnego człowieka, znalazł litość w jej sercu. Pisała ona z prośbą do swego brata Cagnina, aby Giachecie przynajmniej tymczasowo zapewnił jakie utrzymanie.

Rozmaici literaci zdaleka i zbliska przysyłali i poświęcali jej swoje książki z przedmowami pełnemi pochlebstw, ale często zawierającemi wyrazy szczerego uwielbienia. Jakiś wierszopis Falco przemawiał w sentymentalny sposób do swoich poezyj, które jej posyłał: „Ty, ukochana książko, znajdziesz się niebawem na tem pobrzeżu, w tem Fondi, któremu Julja tyle wdzięku nadaje, które swą istotą upiększa. Upadnij tam z pokorą przed jej niewinnemi stopami i ucałuj jej piękną, białą rękę“. Ale

autor obawiał się, że książka, zobaczywszy cudowną Julję, zmiesza się, zapomni, co ma czynić i nie poleci księżnie jej platonicznego wielbiciela.

Inny literat, Aurelio Vergerio, skarży się po wyjeździe z Fondi, że nawiedziła go tam choroba, gorsza od malarji. Właściwością jest płomiennej atmosfery zamku Julji, że człowiek zdrów, dopóki tam przebywa, a zapada w silną gorączkę, gdy stamtąd wyjeżdża. Jego choroba stała się nieuleczalną, zanadto się rozmarzył pięknością zamkowej pani.

Nietylko mężczyźni, ale i kobiety hołdowały piękności Gonzagi; pomiędzy innemi Margerita Tizzoni prosiła nawet słynnego nowelistę Mattea Bandella, aby przesłał do Fondi poezje, które o piękności i cnotach Julji napisała. Bandello, odesławszy książkę, donosił autorce, że wypełnił jej rozkaz, a mógł to uczynić tem chętniej, że owe poezje są najcenniejsze, jakie w ostatnich czasach do rąk jego doszły. Były one mu tem droższe, że ich przedmiotem jest ta nadzwyczajna kobieta, która wysoko wzbiła się na skrzydłach sławy i dziś znana jest we wszystkich krajach, a najznakomitsi poeci współzawodniczą ze sobą, aby jej imię opiewać. Bandello sądzi, że madrygały Margerity znajdą tem większy oddźwięk w sercu Julji, gdyż pochodzą od kobiety; mężczyzn bowiem możnaby posądzać o pochlebstwo, podczas gdy kobieta tak rozumna, jak Tizzoni, z pewnością tylko prawdą się powoduje w swych pochwałach.

III

Spokojne chwile pobytu Julji w Fondi miały wkrótce przerwać niespodziewane i ciężkie ciosy. W lecie r. 1534, kiedy Klemens VII złożony był ciężką chorobą, z której się już podnieść nie miał, przygotowywali Barbareskowie nowy napad na zachodnie brzegi Włoch. Począwszy od r. 1519, najgroźniejszy pomiędzy afrykańskimi korsarzami był Chaireddin Barbarossa, odważny, zręczny, okrutny korsarz, który zazwyczaj działał w porozumieniu z sułtanem Solimanem II, a rabując na własną korzyść nadbrzeżne miasta włoskie, tem samem oddawał wielkie usługi sułtanowi, gdyż osłabiał chrześcijańską ludność Zachodu i utrzymywał ją w ciągłej obawie. Karol V, zaledwie

objął panowanie, starał się zaraz ubezwładnić dzikiego korsarza. Urządził wyprawę na Algier, siedzibę Chaireddina; ale napad hiszpańskiej floty w r. 1518 się nie udał, a później był cesarz tak dalece zajęty walką z Francją, że nie miał dość siły, aby bronić równocześnie i południowych wybrzeży. Chaireddin więc pustoszył w latach 1530 i 1532 miasta Śródziemnego morza, a potęga jego jeszcze się wzmogła, gdy w r. 1534 zdobył Tunis i wypędził tamtejszego władcę Mulej-Hassana. W tym samym roku, w lipcu, przedsięwziął jeszcze wyprawę na włoskie pobrzeża, rozporządzając wtedy ośmdziesięcioma okrętami. Mówiono nawet, że głównym celem tej wyprawy miało być uprowadzenie z Fondi Julji Gonzagi, przyobiecał bowiem sułtanowi, że mu w hołdzie przyśle ową najpiękniejszą kobietę świata.

Z końcem lipca ukazał się Chaireddin ze swoją flotą pod Messyną, spalił tam kilka cesarskich okrętów, zrabował pobrzeżne miejscowości w Kalabrji, zniszczył Procidę; potem zwrócił się ku Gaecie i wylądował tam, w pobliżu małej rybackiej wioski, Speralonga, skąd prowadzi droga do Fondi, oddalonego o trzy godziny. Horda napadła w nocy Fondi, zaczęła podpalać domy, rabować i mordować mieszkańców ze snu zbudzonych i skierowała się ku zamkowi Julji. Korsarze już wyłamywali bramy, gdy stary, wierny sługa mógł jeszcze wpaść do sypialnej komnaty swej pani i ostrzec ją o grożącem niebezpieczeństwie, wskazując, kędy ma uciekać. Julja prawdopodobnie dostała się na dach, stamtąd do starego zamku i przez graniczący z nim mur wybiegła na pola. Chaireddin, wściekły, że mu się zdobycz wymknęła, kazał ścigać Julję; przypuszczając, że się schroniła do klasztoru benedyktynek, położonego na drodze do Neapolu, wpadł tam, a nie znalazłszy jej, mścił się na zakonnicach, oddając je na pastwę swojej tłuszczy. Fondi zostało do szczętu zrabowane; korsarze wpadli do katedry, pozabierali wszystko, co się unieść dało, a nawet porozbijali groby Colonnów, Pompea i Wespazjana, sądząc, że tam znajdą jakie kosztowności. Nazajutrz pozganiali ludność na rynek i zdolnych do pracy mężczyzn tudzież młode kobiety pozabierali w jassyr.

Dokąd się Julja schroniła, niewiadomo; podanie niesie, że trzy dni błądziła po lasach, żywiąc się jagodami, i że ją dopiero odszukał w jaskini Hipolit, którego kardynałowie wysłali z od-

działem wojska, aby ścigał korsarzy, że ją tam pożywił, okrył, wsadził na swego rumaka i zawiózł do Fondi. Rycerski Hipolit miał ją w nagrodę prosić, aby wreszcie porzuciła czarne szaty, które na znak żałoby po mężu zawsze jeszcze nosiła. Legenda skorzystała z wypadków, aby chociaż w barbarzyński sposób wyidealizować niewieścią skromność Julji; opowiada bowiem, że nie mogąc znieść, aby ktośkolwiek mógł się chełpić, że ją widział obnażoną, kazała zamordować owego służącego, który wpadł w straszną noc do jej sypialni. On jeden bowiem z mężczyzn widział ją w pełni jej niewieścich wdzięków. Trzeba przypuszczać, że Julja nie była tak okrutna, aby swemu wybawcy odwdzięczać się sztyletem, tem bardziej, że „równą urazę“ mogła żywić do kardynała, który także musiał ją widzieć w jaskini bardzo niedostatecznie ubraną. Tradycja jednak nic o tem nie wie, aby Gonzaga pałała zemstą ku kardynałowi, owszem przypuszczać należy, że Medici był jedynym człowiekiem, którego szczerze kochała. Do jakiego wszakże stopnia legenda uporczywie ujmowała się za jej cnotą, dość powiedzieć, że według podania Julja, dowiedziawszy się o zamiarach Chaireddina uprowadzenia jej do haremu sułtana, zeszpeciła sobie twarz umyślnie zadanemi ranami, aby obudzić wstręt u barbarzyńców, którzyby ją napadli. Ale to tylko legenda.

Barbarossa, nie dostawszy Julji w swe szpony, zdobył jeszcze miasteczko Itri; wracając ku morzu, zrabował Terracinę w papieskich posiadłościach, a zanim ścigający go kardynał Hipolit się zbliżył, Chaireddin płynął już do Tunisu na swych lekkich okrętach.

W chwili, kiedy Hipolit wyruszał na obronę pobrzeża i kiedy ratował Julję, papież Klemens VII kończył życie, pełne zawodów i nieszczęść. Dwudziestego piątego września r. 1534 umarł, a następcą jego został Paweł III. Stanowisko Hipolita bardzo się zmieniło; z wywyższanego wszędzie nepota papieskiego został zwykłym kardynałem, nie mającym już przeważnego wpływu w Watykanie. Ponieważ jednak Hipolit niemało się przyczynił do wyboru nowego papieża, sądził więc, że Paweł III wdzięcznym mu się okaże, popierając jego zamiary i pomoże mu obalić panowanie Aleksandra Medyceusza we Florencji. Klemens VII był głównym protektorem Aleksandra, śmierć papieża

pozbawiła też księcia najsilniejszej jego podpory. Aleksander miał prawie całą Florencję przeciwko sobie; despota, niesłychanie wolnych obyczajów, ze szczególnem upodobaniem zawiązywał stosunki miłosne po klasztorach i w poważnych florentyńskich rodzinach, co powszechne wywoływało oburzenie. Po śmierci Klemensa VII opozycja florentyńska w porozumieniu z wygnańcami, na których czele stali Soderini, Salviati i Strozzi, poczęła zaraz pracować nad zmianą stosunków w Toskanji. Sam Hipolit wysłał do cesarza Karola V Gabrjela Cesano, swego przyjaciela, aby przekonał monarchę o konieczności usunięcia Aleksandra, gdyż florentyńczycy tak go nienawidzą, iż zachodzi obawa, że jeżeli cesarz go nie usunie, to oni zwrócą się do króla Francji, który ma wszelkie powody, aby ich popierać. Cesano miał oświadczyć cesarzowi, że Hipolit nie ma we Florencji nieprzyjaciół, owszem starał się zawsze o sympatje ludności. Cesarstwo miałoby większą korzyść z jego rządów, aniżeli z rządów znienawidzonego Aleksandra; Hipolit polecił także przypomnieć cesarzowi, że w r. 1529 przyobiecał mu oddać panowanie nad Toskanją.

Wskutek tych wszystkich zabiegów Hipolita i łączących się z nim florentyńskich wygnańców, którzy się teraz głównie opierali o dwór kardynała w Rzymie, nadzwyczaj się pogorszyły stosunki pomiędzy Hipolitem a Aleksandrem. Do zwiększenia nienawiści przyczynił się jeszcze bardziej wypadek, który poruszył w najwyższym stopniu i kardynała i całe jego literackie otoczenie. Dwudziestego piątego maja 1535 umarł nagle Berni, ów poeta-humorysta, pamflecista wielkiego talentu, który dał swą nazwę nadzwyczaj wówczas ulubionemu rodzajowi poezyj humorystycznych, nazwanych „poesia bernesca". Berni był przez kilka miesiący sekretarzem Hipolita w Rzymie; ponieważ jednak należał do charakterów bardzo niezależnych, więc wkrótce się poróżnił ze swoim pryncypałem, pomimo że go z początku bardzo lubił i poświęcił mu nawet kilka poezyj. Do tego nieporozumienia przyczyniło się głównie podejrzenie, które się zrodziło u kardynała, że Berni utrzymuje stosunki z Aleksandrem, co, jak się zdaje, było prawdziwe. Oprócz Hipolita wielkim nieprzyjacielem florenckiego księcia w Rzymie był kardynał Salviati, który ciągle knuł z wygnańcami spiski przeciw

niemu. Aleksander chciał się go koniecznie pozbyć, a ponieważ łączyły go z kardynałem Innocentym Cibo w Rzymie zażyłe stosunki, więc Cibo podjął się otruć Salviatego i namawiał Berniego, aby zbrodniczego czynu dokonał. Oczywiście przemożny kardynał nie przypuszczał, żeby biedny kanonik-poeta mógł odmówić księciu kościoła takiej przysługi. Ale kanonik odmówił, a wskutek tego ściągnął na siebie gniew kardynała Cibo, który go teraz uważał za niewygodnego i niebezpiecznego świadka swych zbrodniczych zamiarów. Kardynał kazał go więc otruć w domu swej krewnej, marchesany di Massa.

Tragiczne to zajście przekonało Hipolita i florenckich wygnańców, że Aleksander i jego przyjaciele nie przebierają w środkach, aby się pozbyć przeciwników, i jeszcze bardziej rozogniło istniejące już nienawiści. Hipolit stał się bardzo ostrożnym, a nawet zaczął podejrzywać papieża, że także niechętnie go widzi pomiędzy żyjącymi, ma bowiem wobec niego przykre obowiązki wdzięczności od czasu conclave, co Pawła III musiało niecierpliwić. Wskutek tego kardynał zaczął Rzymu unikać, przeniósł się do Tivoli; stamtąd powrócił wprawdzie na krótki czas do stolicy, ale znów w czerwcu r. 1535 wyjechał, tym razem z wielkim dworem do Itri, miejscowości oddalonej o dziesięć kilometrów od Fondi, aby żyć w pobliżu Julji.

Karol V wracał właśnie wtedy z Tunisu, gdzie odniósł świetne zwycięstwo nad Barbareskami, i przez Sycylję i Neapol podążał do Rzymu. Wygnańcy florentyńscy namawiali Hipolita, aby wyjechał naprzeciwko cesarza i stanąwszy na czele ich deputacji, przedstawił monarsze konieczność usunięcia Aleksandra z Florencji, którego tyrańskie i niemoralne postępowanie wzburzyło najspokojniejszą nawet część ludności. Hipolit podjął się wprawdzie tego zadania, ale z Itri nie myślał wyruszać w dalszą podróż do Neapolu. Odwiedzał ciągle Julję Gonzagę, a towarzystwo ukochanej przyjaciółki tak go wiązało, że mimo nalegań florentyńczyków nie śpieszył się wcale, przepędzając dzień za dniem na polowaniach i rozmaitych zabawach, tak dalece, że emigranci zaczęli powątpiewać o szczerości jego zamiarów, aby sprawy wolności florenckiej chciał szczerze bronić wobec Karola V. Przypuszczali, że kardynał zraził się trudnościami, jakie stoją na przeszkodzie obaleniu Aleksandra, i że chodzi mu już

tylko o osiągnięcie od cesarza jakich osobistych korzyści, a nie o tron Toskanji.

Wśród tych niepewności Hipolit zachorował drugiego sierpnia na febrę malaryczną, a na taką sposobność czyhał tylko jego marszałek dworu Andrea z Borgo San Sepolcro, przekupiony przez księcia Aleksandra, aby mu zadać truciznę. Andrea sądził, że w czasie choroby będzie można niepostrzeżenie otruć kardynała i że otoczenie będzie myślało, że umarł na febrę, naturalną śmiercią. Czwartego dnia choroby Hipolita, szóstego sierpnia, podał mu Andrea minestrę z kur, do której wsypał truciznę. Ale kardynał, jak tylko zjadł zupę, natychmiast spostrzegł, że jest otruty i powiedział, przerażony, Bernardowi Salviatemu, który był przy jego łożu, że go Andrea otruł. Salviati kazał uwięzić zbrodniarza, osadzono go w wieży zamczyska i posłano do Fondi po Julję Gonzagę, która też zaraz przybyła z Molzą i kilkoma innymi domownikami. Równocześnie wyprawiono gońca do Rzymu, do papieża Pawła III, który posiadał jakieś nadzwyczaj skuteczne antidotum przeciw truciźnie, olio da caravita. Ale papież nie przysłał tego cudownego środka, gdyż, jak się domyślano, pragnął śmierci Hipolita, aby bogate prebendy, które po nim pozostaną, móc nadać swoim siostrzeńcom. Kardynał cierpiał jeszcze cztery dni; dziesiątego sierpnia umarł, a jak Paweł Giovio powiada, łatwiej mu było umierać, gdyż Julja pielęgnowała go z całem poświęceniem.

Trumnę z ciałem zanieśli na swych barkach czarni słudzy kardynała, Afrykanie i Maury, do Rzymu, gdzie pomiędzy całą tą dworską rzeszą powstała prawdziwa rozpacz po stracie pana, do którego wszyscy byli bardzo przywiązani. Ktoś ze współczesnych opisuje, że owi czarni cudzoziemcy uderzali się w piersi według swego zwyczaju, rozdzierali suknie, drapali twarze paznogciami i wydawali takie jęki, że był to straszny widok dla włoskiego otoczenia. Ciało zostało złożone do grobu w kościele św. Wawrzyńca i Damazego, a wszyscy ci literaci, którzy się żywili u stołu kardynała, przesadzali się teraz w poetycznych lamentach, rozsypali nad jego grobem wielką ilość sonetów, pomiędzy którymi nie brakowało i sonetu Molzy.

Giovanniego Andreę wziął kasztelan w Itri na tortury w obecności Molzy i florentyńskich wygnańców, Piotra Stroz-

ziego i Bernarda Salviatego. Zbrodniarz nie zapierał się wprawdzie winy, ale nie można było wydobyć z niego bliższych szczegółów co do właściwego sprawcy morderstwa. Nie chcąc utracić przyobiecanej nagrody, w największych męczarniach powstrzymał się od wymienienia jego nazwiska. Z Itri zaprowadzono truciciela do Rzymu, gdzie go wprawdzie uwięziono w Castel Sant' Angelo, ale papież kazał go po kilku dniach na wolność wypuścić. Uwolnienie zbrodniarza zadziwiło wszystkich, tem więcej, że Giovanni Andrea natychmiast udał się do Florencji, gdzie go książę potajemnie wspierał. Widocznie jednak truciciel nie czuł się tam bezpiecznym przed przyjaciółmi zmarłego kardynała, gdyż po niejakim czasie przeniósł się do swego rodzinnego miasta, do Borgo San Sepolcro. Ale i tam nie miał spokoju; gdy się bowiem ludność dowiedziała, że on otruł Hipolita, powstało przeciw niemu takie oburzenie, że go o mało nie zabito. Musiał więc i stamtąd uciekać.

Po katastrofie w Itri wybrał się zamiast kardynała Hipolita sam książę Aleksander de'Medici z licznym dworem i swym głównym doradcą Guicciardinim do Neapolu do cesarza, aby udaremnić zabiegi florenckich wygnańców. Książę wraz z całem otoczeniem przywdział suknie żałobne, ale to nie przeszkadzało, że brał udział w świetnych festynach, które tam urządzano z okazji pobytu cesarza. Guicciardini tak zręcznie prowadził sprawę księcia, że cesarz nietylko potwierdził jego prawa do panowania w Toskanji, ale dał mu nawet córkę swoją naturalną, Margueritę, za żonę. Wesele odbyło się w lutym 1536, ale w najbliższem otoczeniu Aleksandra czyhał już jego krewny, młody Lorenzino, aby niebawem pomścić Hipolita i Florencję i utopić puginał w piersi tego nieprzyjaciela wolności ojczyzny.

IV

Mimo hołdów, jakie składano u stóp Julji, mimo powodzi wierszy, jaka zalewała Fondi, kobieta ta, pod niebiosy wywyższana, szczęśliwa nie była. Jeszcze w r. 1531 podpisała się na liście, adresowanym do księcia mantuańskiego, „Waszej Miłości sługa, nieszczęśliwa Julja Gonzaga“. A wtedy nie miała jeszcze powodów do rozgoryczenia, gdyż śmierć męża, którego

nigdy nie kochała, tak głęboko dotknąć jej nie mogła; katastrofa jednak w Itri musiała złamać jej życie.

Z Hipolitem wiązało ją szczere, głębokie uczucie, a chociaż nie mogła marzyć o połączeniu się z nim w małżeństwie, przecież widziała w kardynale szczerego swego przyjaciela i czuła, że on jej zawsze będzie podporą. A właśnie w owej chwili, kiedy śmierć kardynała serce jej rozdarła, potrzebowała rady i pomocy, nadeszły bowiem na nią bardzo ciężkie chwile. Pasierbica Izabella bawiła w r. 1535 w północnych Włoszech i w owym czasie powstała w niej niechęć do Julji, mająca głównie podstawę w majątkowych stosunkach.

Jak wspomniałem, Vespasiano Colonna mianował Julję w testamencie panią wszystkich swych dóbr w Kampanji i w Neapolitańskiem, dopókiby powtórnie zamąż nie wyszła. Rodzina Colonnów musiała zwrócić uwagę Izabelli, że to postanowienie testamentu nie może być ważnem, albowiem Wespazjan nie miał prawa rozporządzać dobrami lennemi, które tylko korona nadawać może. Julja zwróciła się teraz do stryja, Ferranta Gonzagi, który z cesarzem wracał z wyprawy afrykańskiej i był jedną z najbardziej wpływowych osobistości u dworu; cesarz zamianował go właśnie wicekrólem Sycylji. Chcąc jednak tem łatwiej bronić swoich spraw, postanowiła przenieść się do Neapolu, zwłaszcza, że napad Chaireddina przekonał ją, jak niebezpiecznem miejscem pobytu jest Fondi. W grudniu więc roku 1535 przeniosła się na stały pobyt do Neapolu, gdzie jej wynajęto odpowiednie mieszkanie. Paolo Giovio donosił 12 grudnia z Neapolu biskupowi Faenzy, że oczekują tam na święto Bożego Narodzenia donny Julji i don Ferranta z Sycylji.

Dla cesarza był bardzo nieprzyjemny ów spór pomiędzy Julją a Izabellą, gdyż ich mężowie, tak Lodovico Gonzaga, jak i Vespasiano Colonna, należeli do wiernych jego rycerzy i monarcha nierad był swoim wyrokiem dać powód do jakiegokolwiek pozoru krzywdy wobec jednej albo drugiej wdowy. Powierzył więc Karol V sprawę rozwadze wicekróla neapolitańskiego, Don Pedra di Toledo, który rzecz w ten sposób rozstrzygnął, że Julji podwyższył sumę posagową, którą jej miano zwrócić, z 12.000 na 25.000 dukatów, a Izabelli przyznano dobra lenne. Izabella jednak nie chciała przystać na podwyższenie owej sumy posa-

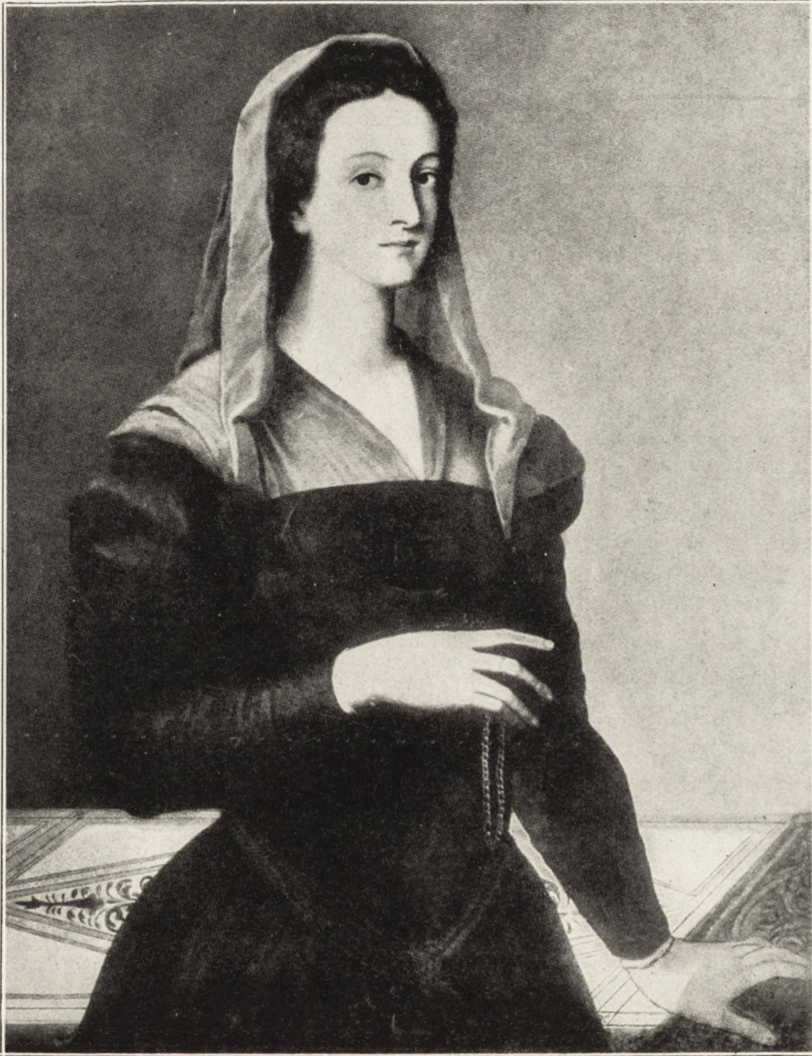
gowej o 13.000 dukatów i po długich dopiero rokowaniach ofiarowała się płacić Julji dożywocie w kwocie 2.500 rocznie. Niebawem jednak i to ustępstwo zdawało się jej za wielkiem i oświadczyła, że prócz pierwotnego posagu Julji 12.000 dukatów nic więcej nie wypłaci. Wtedy cesarz, nie chcąc zezwolić na pokrzywdzenie Julji, ustanowił osobny sąd polubowny, który miał sprawę rozstrzygnąć, a mianowicie oddał sprawę naczelnikowi swej przybocznej kancelarji, Juanowi de Fiqueroa, dodając mu dwóch doradców, Giovanniego Miarziali i Galeotta di Fonseco. ów sąd długo rzecz rozpatrywał i dopiero w czerwcu 1537 wydał wyrok, na mocy którego Izabella została skazana na wypłacanie Julji rocznie 2.500 dukatów w miesięcznych ratach i zwrot tysiąca dukatów za czas ubiegły. Spór w ten sposób zakończono, a Julja, jak sama donosiła swemu przyjacielowi, biskupowi Filonardiemu z Vergli, była zadowolona z tego zakończenia sprawy; mogła wprawdzie była odnieść jeszcze większą korzyść, ale chodziło jej raczej o to, aby się świat przekonał, że ona ma słuszność, aniżeli o materjalne zwycięstwo.

Walka z pasierbicą nie na tem się wszakże skończyła; Izabella wyszła jeszcze przed ostatecznem zakończeniem procesu, 23 lutego 1536 zamąż, za Filipa Launoy, księcia Sulmony; powstało więc pytanie, kto ma wychowywać jej syna, małego Wespazjana. Miał on nosić nazwisko Gonzaga-Colonna, a ponieważ w testamencie ojca nie przewidziano, kto ma się nim opiekować na wypadek powtórnego zamężcia matki, przeto prawo stanowienia w tej mierze należało do głowy rodu, do dziada Ludwika Gonzagi z Bozzolo. Izabella też zwróciła się do niego, chcąc syna przy sobie zatrzymać. Nie było to wszakże życzeniem Julji, która zaraz po ślubie Izabelli pisała do księcia Mantuy, iż pragnie, aby dziecko tak było wychowane, jak tego wymagają rodzinne zamiary Gonzagów. Stary Lodovico był tego samego zdania i sprawę wychowania Wespazjana rozstrzygnął na korzyść Julji, powierzając jej chłopca, tem bardziej, że on obok najmłodszego brata Julji, Gianfrancesca, nazwanego Cagninem, był jedynym męskim potomkiem owej linji Gonzagów. Postanowienie Lodovica jeszcze bardziej pogorszyło stosunki pomiędzy Julją a Izabellą; żyły one odtąd prawie w otwartej nieprzyjaźni, nie pisywały do siebie, a do ciągłych nieporozumień i to się przy-

czyniało, że procent, który się należał Julji z dóbr Izabelli, niezawsze regularnie był wypłacany.

Ponieważ dochody Julji zapewne nie wystarczały na prowadzenie domu na większą skalę, więc prosiła papieża o pozwolenie zamieszkania w klasztorze klarysek San Francesco w Neapolu, gdyż wówczas było w zwyczaju, że wdowy z wielkich rodzin wynajmowały w klasztorach dla uniknięcia obmowy własny apartament, w którym można było utrzymywać także żeńską służbę. Nie podlegały one wprawdzie klasztornej klauzurze, ale zawsze były pod pewnego rodzaju moralną opieką zakonu. Brewem z 26 września 1537 dał Paweł III Julji żądane pozwolenie, wyraźnie podnosząc, że wolno jej jadać z zakonnicami i żyć w ich towarzystwie, mniszkom zaś przykazywał, aby Gonzagę przyjęły z dobrocią i okazywały jej wszelką uprzejmość. Julja więc sprowadziła się do klarysek i miała narazie cel w życiu, wychowanie małego Wespazjana, którym się szczerze zajęła. Jak później zobaczymy, młody Gonzaga-Colonna wyrósł na bardzo znakomitego człowieka.

Od czasów aragońskich życie towarzyskie w Neapolu, osobliwie w klasach wyższych, bardzo gorącem biło tętnem, a żadne społeczeństwo miast włoskich nie nosiło tak arystokratycznej cechy, jak właśnie społeczeństwo Włoch południowych. Przyczyniły się do tego dynastje andegaweńska i aragońska, Neapol miał przez długie lata dwór królewski, jakiego żadne miasto włoskie nie posiadało. Żywiołów zaś do wytworzenia się arystokracji rodowej, otaczającej dynastję, było bardzo dużo, gdyż ziemie w Abruzzach i na żyznych nadmorskich dolinach od dawien dawna należały do feudalnych możnowładców, którzy większą część roku mieszkali w Neapolu albo w pobliskich zamkach. Związki rodzinne pomiędzy arystokracją papieskich krajów a neapolitańskiemi rodami istniały rozliczne, a że kobiety feudalnych familij nie lubiły Rzymu z powodu rozwielmożnienia się cortegian, więc także zjeżdżały do Neapolu. Wytworzyło się tam zatem od dawnych czasów towarzystwo bardzo wykwintne, a stroje i zwyczaje neapolitańskich salonów rozchodziły się na całe Włochy. Nawet za czasów wicekrólów istniały towarzyskie stosunki dość przyjazne pomiędzy oficjalnym światem hiszpańskim a rodzimą arystokracją włoską, łącznikiem zaś było wiel-



Giulia Gonzaga

(Portret Sebastjana del Piombo, dawniej w posiadaniu handlu artystycznego Steinmayer'a w Kolonji)

kie przywiązanie jednych i drugich do kościoła, które wypełniało przepaść, jaka pod względem politycznym pomiędzy Neapolitańczykami a Hiszpanami istnieć mogła.

Stanowisko Julji w neapolitańskiem towarzystwie było dość trudne; rodzina jej mieszkała w północnych Włoszech, a stosunki Gonzagów z nią ograniczały się zazwyczaj do listów o majątkowych interesach lub do wymiany ogólnikowych grzeczności. Jedynie mogła częściej widywać Ferranta Gonzagę, wicekróla Sycylji, i uważała go za swą podporę. Z rodziną Ferranta żyła też w wielkiej przyjaźni, a osobliwie przywiązała się później do trzeciej córki wicekróla, do małej Hipolity Gonzagi, która się stała jej ulubienicą. Julja pisała raz do Ferranta, że nie może się dość nacałować Hipolity i napatrzeć się na to prześliczne dziecko; w innym liście zaś kazała po tysiąc razy uściskać „swoją najwdzięczniejszą Hipolitę". Ta dziecina zajaśniała też później jako świetlany meteor we włoskiem społeczeństwie; wyszła w r. 1548 zamąż za Fabjana Colonnę, a owdowiawszy wkrótce, oddała swą rękę neapolitańczykowi, Antoniemu Carafie, księciu di Mondragone, i wtedy zbierała w swym pałacu cały świat literacki Neapolu, gromadziła galerję obrazów i była przez jakiś czas gwiazdą tamtejszego towarzystwa. W małżeństwie jednak nieszczęśliwa, zmuszona była opuścić męża i zamieszkać u matki, w pełni jeszcze swych wdzięków. Umarła też wcześnie, w dwudziestym ósmym roku życia, prawie na rękach Julji Gonzagi. O piękności i wykształceniu Hipolity współcześni cuda opowiadają; podobnie, jak wiele jej rówieśnic, zajmowała się ona matematycznemi i astronomicznemi studjami, które z końcem XV i w pierwszej połowie XVI wieku stały się modne w najwyższych towarzystwach. Wybito nawet medal, na którym z jednej strony znajduje się portret Hipolity, a z drugiej matematyczne i astronomiczne narzędzia.

Także i do kardynała Gonzagi bardzo Julja była przywiązana, zasięgała czasami jego rady; ale kardynał bawił w Rzymie albo w Mantui i wskutek tego rzadko się z nim widywać mogła.

Od rodziny męża, od Colonnów, oddalały Julję spory majątkowe, do których, jakeśmy mówili, dał powód testament jej męża, Wespazjana Colonny. Ascanio Colonna, niespokojny pieniacz, był głównym jej przeciwnikiem, a jedynie tylko z jego

siostrą, z Wiktorją Colonną, łączyła ją szczera, długoletnia przyjaźń, oparta na wspólnych dążeniach, wspólnych ideałach. W czasach, gdy Wiktorja przebywała na Ischji, obydwie krewne utrzymywały zażyłe ze sobą stosunki. Natomiast na zamku u wicekróla i u jego rodziny spotykała się Julja z zawiścią i niechęcią, która niejednokrotnie bardzo przykro uczuć jej się dawała. Powody po temu były rozmaite. Don Pedro di Toledo nienawidził Ferranta Gonzagi, jako swego współzawodnika w łaskach u Karola V; prowincje, rządzone przez tych dwóch dygnitarzy, były zanadto siebie bliskie, aby namiestnicy cesarscy nie mieli pomiędzy sobą rozmaitych sąsiedzkich zatargów. Zresztą Gonzaga czuł się członkiem panującej rodziny we Włoszech, podczas gdy Toledo był cudzoziemcem, wyniesionym tylko cesarską łaską. Nienawiści towarzyskie zwiększała jeszcze rzadka nawet w Hiszpanji duma Toledy, a osobliwie wicekrólowej, żądnej hołdów i czołobitności. Postępowanie jej oburzało cały wielki świat Neapolu i oddziaływało także na usposobienie Julji, nienawidzącej w duszy całego tego hiszpańskiego gniazda. Nie lubiła też obydwu Aragonek, Giovanny i Marji, tem bardziej, że te panie współzawodniczyły z nią co do urody, a Julja zdawała się być w tej mierze bardziej tkliwą, chciała zawsze uchodzić za najpiękniejszą Włoszkę, do czego wreszcie miała wszelkie prawo. Gdy chodziło o piękność, umiała być nawet złośliwą; raz pytano ją, dlaczego Donna Marja zachowała zawsze nieskalane imię, na co Julja odpowiedziała, że dlatego, ponieważ smok jej pilnuje, „per la guardia del drago ladrone“. Smokiem albo Polifemem nazywała d'Avalosa. Utrzymywała także, że siostry d'Aragona mają co do piękności przed nią pierwszeństwo, ponieważ podobnie, jak wszystkie neapolitanki, zaprawiają sobie oczy mikstur ami celem podniesienia blasku swego wzroku.

Julja umiała wszakże żyć w przyjaźni i z kobietami, które się z nią równały urodą. I tak do najbliższych jej sercu należała Izabella Sanseverino, pomimo że o niej mówiono: „Kto nie widział Izabelli, nie widział Neapolu“. Ale Izabella była kobietą nieszczęśliwą, a smutne, pokrewne losy pociągały do niej Julję. Rząd hiszpański skonfiskował dobra księciu Sanseverino, ponieważ książę, przyprowadzony intrygami wicekróla Toledo do ostateczności, wyniósł się z kraju do Francji. W r. 1547, gdy

lud neapolitański zbuntował się przeciw wprowadzeniu inkwizycji na sposób hiszpański, wybrał pomiędzy innymi księcia Sanseverino na posła do samego cesarza, aby przedstawił Karolowi V żale Neapolu. Sanseverino za poradą swego dworzanina, Bernarda Tassa, podjął się owej zaszczytnej, ale niebezpiecznej misji; cesarz, uprzedzony jednak przez wicekróla, źle przyjął w Norymberdze poselstwo. Sanseverino wrócił do Neapolu z niczem, ale stał się bożyszczem ludu. Przyjęto go jak triumfatora, co tak drażniło Toledę, że go kazał zamordować. Syn wicekróla, Don Garcia, ugodził dwóch zbirów, którzy napadli księcia, ale szczęśliwym zbiegiem okoliczności tylko go lekko ranili. Książę więc, nie czując się już nadal w ojczyźnie bezpiecznym, wyjechał najprzód do Wenecji, a później do Francji. Toledo skorzystał ze sposobności, aby go przedstawić u cesarza jako stronnika króla francuskiego, i kazał skonfiskować jego dobra, jako też i realności Bernarda Tassa, głównego doradcy Sanseverina.

Sanseverino zamieszkał we Francji, a jego rozłączenie się z żoną było tem cięższe, że księstwo słynęli z wzajemnego do siebie przywiązania.

Oi mè! ch'io non pensava di partirmi...

żalił się książę w kanconie, którą przysłał Izabelli po swoim wyjeździe. Kancona tyle zawierała szczerego żalu i prawdziwego uczucia, że ułożono do niej muzykę i śpiewano ją przez długie czasy we Włoszech i we Francji. Wicekról zakazał opuszczonej żonie posyłać mężowi pieniądze, a gdy się dowiedział, że Izabella przekroczyła ten zakaz, kazał ją uwięzić. Zdaje się jednak, że księżna znalazła drogę do pięknej małżonki Karola V i że wskutek tej protekcji rząd neapolitański pozwolił jej wyjechać do Hiszpanji, aby osobiście cesarzowi opowiedziała swe tragiczne losy i prosiła o przebaczenie. Cesarzowa przyjęła ją nadzwyczaj dobrze, Karol V wysłuchał opowiadań Izabelli; mężowi wprawdzie nie przebaczył, ale jej pozwolił wrócić do Włoch i wybrać miejsce zamieszkania według swojej woli. Izabella wyjechała pocieszona, w nadziei, że będzie mogła męża zobaczyć; ale w drodze umarła, jak piszą, tknięta apopleksją, a tragiczny los księstwa Sanseverino poruszył Włochy, Francję i Hiszpanję.

Księżna Izabella miała siostrzenicę, która należała także do najbliższego koła znajomych Julji Gonzagi. Była nią owa głośna w neapolitańskiem towarzystwie poetka, Marja Cardona, która wyszła zamąż za Astala di Cardona, swego bliskiego krewnego. Była to kobieta ładna, bardzo bogata, gdyż należało do niej oprócz markizatu della Padula także hrabstwo d'Avellino z przyległościami, które odziedziczyła po stryjach. Astalo wcześnie umarł, a Marja, młoda jeszcze, nadzwyczaj wykształcona, mistrzyni w grze na lutni, mająca głos prześliczny, gromadziła na swych salonach najwykształceńsze towarzystwo neapolitańskie; wielu poetów poświęcało jej swoje pisma. Pomiędzy innymi ofiarował jej Giovan Maria di Leo głośny wówczas poemat *L'amor prigioniero*. Piękność i duży posag nie pozwoliły jej długo oddawać się literaturze i żyć we wdowieństwie; w r. 1540 wyszła powtórnie zamąż za Francesca d'Este, nieślubnego syna księcia Ferrary, Alfonsa I. Umarła 9 marca 1563 bezdzietnie, a ponieważ była ostatnia z rodu hrabiów d'Avellino, więc po jej śmierci lenno to powróciło do królewskiej kamery.

Do bardzo niepospolitych kobiet w towarzystwie Giulii należała Lucrezia Scaglione, córka Ludwika, pana na Crissigliano, zamężna za Pawłem Carafą, szóstym synem Alberyka Carafy, księcia na Ariano, Cerce i Campolieto, i Joanny di Molise. Carafowie miewali dużo dzieci; słynny kardynał Carlo także miał sporo rodzeństwa, a jako najmłodszy musiał w świecie szukać szczęścia, do którego niezawsze dochodził prostą drogą. Ładną, młodą Lukrecję podziwiano jeszcze na ślubie królowej Bony Sforzy w Castel-Capuano. Wyglądała ona wtedy uroczo, w sukni z pysznego brokatu, w berecie ozdobionym gałązkami z kutego złota. Na szyi miała piękną kollanę, a złoty pasek jubilerskiej roboty odznaczał smukłą jej postać. Znano ją z wielkiej odwagi i stanowczości charakteru; nikogo się nie ulękła i w najtrudniejszem położeniu umiała sobie dać radę.

Jedną z najbardziej zajmujących przyjaciółek Giulii była wszakże Laura Terracina, właścicielka pięknego domu wśród ogrodów na Chiai, gdzie przyjmowała liczne towarzystwo. Laura pisała wcale udatne poezje pod pseudonimem „Tebea", które po raz pierwszy wydał Ludwik Domenichi w r. 1548, w Wenecji. We dwa lata później wyszły jej krytyczne uwagi

o pierwszych pieśniach *Szalonego Rolanda,* pod tytułem *Discorso sopra tutti i primi canti d'Orlando Furioso,* a książka ta widocznie bardzo się podobała, skoro ją kilkakrotnie przedrukowywano jeszcze za życia autorki. W r. 1560 ukazały się znowu w Wenecji jej poezje pod tytułem *Quarte Rime,* z tego względu wcale zajmujące, że każdy wiersz poświęcony jest komu innemu, a odpowiednie drzeworyty ozdabiają te dedykacje. Są tam poezje, zwrócone do cesarza Karola V, do Eleonory Sanseverino, do księcia Sulmony, drugiego męża Izabelli, do pasierbicy Giulii Gonzagi i wicekróla Don Pedra di Toledo, a nawet do Michała Anioła i Weroniki Gambary. Do najoryginalniejszych należą wszakże dedykacje: „Przyjaciołom zdrajcom", „Złośliwym dworzanom", „Lichwiarzom", „Ludziom słabego charakteru", „Nieprzyjaciołom kobiet". Kochała się do tego stopnia w podobnego rodzaju oryginalnych tytułach, że w r. 1561 wydała poezje, zwracające się do wdów miasta Neapolu, pomiędzy któremi zapewne miała i naszą Julję Gonzagę na myśli. Książka ta nosi tytuł: *Settime Rime sopra tutte le donne vedove di questa nostra città di Napoli.*

Pomiędzy jej poezjami dwie piękne stance są poświęcone Julji.

Terracina była typem neapolitanki; niska, o ciemnej cerze i nadzwyczaj żywych oczach, o pełnem łonie, skłonna do tycia, pomimo że nie była klasyczną pięknością umiała sobie zhołdować cały literacki Neapol. Poeci obsypywali ją wierszami: Domenichi, Calamita, Mario Cardonio, Tansillo, a Giovan Alfonso Mantegna opiewał jej najskrytsze wdzięki. Najbardziej jednak w niej zakochany był Padre Don Desiderio Cavalcabò, który zostawał pod urokiem jej pełnych kształtów i byłby wolał, gdyby pod tą uroczą piersią mieszkała mniej cnotliwa dusza. W wierszu bowiem do Terraciny podnosi on wprawdzie te wszystkie duchowe piękności, któremi się poetka odznacza, ale więcej, niż zalety serca, nęci go cielesna szata, która owe skarby pokrywa.

Chi raccontar le molte
Bellezze potria mai del largo petto,
In cui l'alto diletto
S'annida di que'pomi onesti e cari?

Naprzekór jednak zakochanemu monsignorowi Terracina została cnotliwą i pomimo, że dość późno wyszła zamąż, zaręczała mężowi w wierszu pełnym zwierzeń, że powiew miłości nie zetrze pyłu z jej panieńskiego kwiatu:

Quando il ciel mi vorra sposo donare
Ch'abbia quel fior, ch'or porto intatto meco.

Tym szczęśliwym mężem był Vincenzo Carafa, jeden z licznych członków tego rodu, a poetka tak się w nim zakochała, że „ogień duszę jej pożerał". Ale niebawem zazdrość zakłóciła to szczęście, a była to iście neapolitańska zazdrość, „quella frenesia, quella rabbia detta gelosia". Do swych poezyj miała nowy temat, a wyspowiadawszy się w wierszach z gnębiących uczuć, widocznie odzyskała spokój, gdyż żyła dość długo, dłużej, aniżeli Giulia Gonzaga. Umarła w r. 1580, w swojej willi na Chiaı. Jako poetka tak głośną się stała u współczesnych, że nawet król angielski Edward VI ozdobił ją orderem Podwiązki. Ta podwiązka króla Edwarda dała powód do tragikomicznej legendy. Terracina miała wyjść zamąż za jakiegoś hiszpańskiego Maura, który zobaczywszy swą żonę na balu z podniesioną suknią, aby było widać drogiemi kamieniami wyszytą podwiązkę, wpadł w taki szał zazdrości, że ją pchnął puginałem i zabił na miejscu.

Nie mamy dość materjałów, aby dać wykończony obraz towarzystwa, w którem Julja Gonzaga żyła w Neapolu; z tego wszakże, co wiemy o jej stosunkach, można łatwo dojść do przekonania, że księżna, pomimo iż przez zmarłego męża należała do Colonnów, a więc do bezwzględnych stronników cesarstwa, nie lubiła dworu wicekróla i całego hiszpańsko-włoskiego otoczenia Toledów; czuła się zanadto Włoszką, aby do nich przylgnąć mogła. Mimo to losy tak zrządziły, że właśnie człowiek, należący do narodu, którego nienawidziła, że właśnie Hiszpan głównie wpłynął na kierunek drugiej połowy jej życia i że zupełnie zawładnął jej religijnemi uczuciami.

V

Gdy Juan de Valdes, znany religijny reformator, po raz pierwszy w jesieni roku 1535 odwiedzał Julję w Fondi, tak był zachwycony jej zaletami, że w jednym z listów, stamtąd pisa-

nych, dał wyraz swym uczuciom w pamiętnych słowach: „Jakaż szkoda, że ta kobieta nie jest panią świata!“

A sam Valdes był niezwykłym człowiekiem. Hiszpan, Kastylijczyk, z szlacheckiego rodu di Cuenca, dworzanin o układnem obejściu, chociaż z pozorów skromny, wątły i szczupły, ale wymowny, o pięknym organie głosu, łączył z gładkością form towarzyskich głęboką wiedzę. Gruntownie znał starożytne języki, w Piśmie świętem tak był oczytany, że mógł w tej mierze iść w zawody z najznakomitszymi teologami rzymskiego świata; znakomity przytem stylista, umiał trafiać swemi rozprawami do serc publiczności. Jeszcze w Hiszpanji, zaraz po Sacco di Roma, napisał dwa dialogi, w których podnosił sprzeczności, istniejące między doktrynami religijnemi a praktyką chrześcijańskiego życia, przypisywał całą winę oblężenia Rzymu papieżowi, dochodząc do przekonania, że cesarz powinien uwięzić Klemensa VII i uwolnić chrześcijaństwo od papieskiego teroryzmu i zreformować stolicę apostolską.

W drugiej rozprawie pod tytułem *Dialog pomiędzy Merkurym a Charonem* rozwodził się nad nadużyciami rzymskiego dworu i mniej więcej do tego samego, co w poprzedniej, zdążał celu. Nie był to zresztą odosobniony głos młodego uczonego, bo taki Granvella, który był później kardynałem i wicekrólem neapolitańskim, także doradzał cesarzowi, aby odebrał papieżowi świeckie panowanie i w ten sposób położył kres rzymskim intrygom politycznym.

Autor *Cortegiana,* Baltazar Castiglione, który wtedy jako poseł papieski bawił w Hiszpanji, wystąpił wskutek tych broszur przeciw Valdesowi, doniósł o nich Klemensowi VII i cesarzowi; wskutek tego autor oskarżeń przeciw stolicy apostolskiej nie czuł się bezpiecznym wobec hiszpańskiej inkwizycji i przeniósł się w r. 1529 do Neapolu, gdzie wówczas inkwizycja nie była tak czujna i sroga, jak w Hiszpanji.

Juan miał oparcie na dworze Karola V u swego brata Alfonsa de Valdes, który był sekretarzem Karola V; temu zapewne zawdzięczał, że sprawa owych pism, wymierzonych przeciw stolicy apostolskiej, załagodzona została, tak, że nawet mógł w r. 1531 pojechać na dłuższy pobyt do Rzymu, gdzie mu rząd hiszpański udzielił jakiejś materjalnej pomocy, aby się spo-

kojnie mógł oddawać swoim studjom językowym. Valdes bowiem nie zdradzał się w Rzymie, że się zajmuje teologją i badaniem Pisma świętego, aby nie wzbudzać podejrzenia w Watykanie, i tak dalece umiał się przypodobać stolicy apostolskiej, że wkrótce należał do osobistości dobrze widzianych na papieskim dworze, a nawet został camerierem di spada e cappa. Gdy cesarz miał przybyć na pamiętny zjazd do Bolonji, Juan wybrał się tam, aby się z bratem zobaczyć i przez niego zapewne wyrobić sobie jaką rządową posadę; ale Alfons Valdes umarł w drodze i Juan już go więcej nie widział. Podczas swego pobytu w Bolonji zbliżył się jednak do kardynała Ercola Gonzagi, który go wysłał do Neapolu, aby tam był jego korespondentem i donosił mu o wszystkiem, coby kardynała obchodzić mogło. W roku 1534 widzimy też Juana już w Neapolu, jak pilnie pisze do kardynała Gonzagi listy, z których część dochowała się dotąd w mantuańskiem archiwum. Valdes nie zadowolnił się tam ową, niewielką zresztą czynnością, ale zaczął wydawać rozprawy religijnej i teologicznej treści, pomiędzy innemi listy o psalmach Dawida, rozszerzał ustnie swe zasady o umoralnieniu społeczeństwa i poprawie kościoła, a mając wstęp na dwór wicekróla, pozawiązywał stosunki z całym wielkim światem Neapolu. Powoli zaczął miewać nauki po kościołach lub we własnem mieszkaniu, a osobliwie jego wykłady o listach św. Pawła znakomitą swą treścią nadały wielki rozgłos jego nazwisku. Valdes wyznawał zasadę o oczyszczeniu przez samą wiarę w zasługi Chrystusa, a nie przez własne zasługi człowieka, w przeciwieństwie jednak do Lutra przyznawał, że dobre uczynki są potrzebne. Zresztą, przynajmniej pozornie, nie oddalał się od kościoła, kazał chodzić na mszę, nie wykluczał spowiedzi, papiestwa już nie naruszał, ale chciał reformy rzymskich stosunków, podobnie jak wielu innych szczerze katolickich prałatów. W Neapolu zresztą nurtowały już północne reformatorskie prądy; rozszerzali je głównie wojskowi, luterani, którzy należeli do armji Karola V, Rzym oblegającej, a po Sacco di Roma, w r. 1527 zostali wysłani do Neapolu, aby odpierać Francuzów, chcących zdobyć miasto pod wodzą Lautreca. W wyższem towarzystwie neapolitańskiem krążyły już pisma szwajcarskich i francuskich reformatorów, a osobliwie pismo Bullingera *De origine erroris*

doszło tam do wielkiego rozgłosu. Gdy się raz pytano Giovanniego Buzia, przyjaciela Valdesa, czy warto czytać tę książkę, zagadnięty odpowiedział: „Jeżeli nie masz pieniędzy, aby ją nabyć, to wyłup sobie prawe oko, sprzedaj je, kup ową rozprawę i czytaj pozostałem lewem okiem".

Gdy sieneński kapucyn, Bernardo Ochino, przybył do Neapolu i zaczął miewać kazania, Valdes zbliżył się do niego i obydwaj działali w tym samym reformatorskim duchu. Ochino sprawiał na publiczności niesłychane wrażenie; jeden ze współczesnych wyraził się, że na jego kazaniach nawet kamienie płakały. Postać zakonnika podobała się osobliwie kobietom: miał on już wtedy siwą jak śnieg głowę, przepyszna broda po pas mu sięgała, a blada twarz, na której się odbijały moralne i fizyczne cierpienia, czyniła go niezmiernie zajmującą osobistością. Valdes widocznie zyskał pewną przewagę umysłową nad Ochinem, gdyż często posyłał mu wieczorem notatkę z tematem, który sieneńczykowi miał posłużyć do jutrzejszego kazania. Także kanonik augustjanin, Pietro Martiro Vermiglio stał się niebawem zagorzałym zwolennikiem Valdesa. Vermiglio pochodził z Florencji, był bardzo dobrym mowcą i jak tylko Ochino w r. 1540 swe kazania ukończył, rozpoczął ów augustjanin publiczne nauki w S. Pietro ad Aram, kościele, należącym do jego zakonu. Kazania Vermiglia tak przemawiały do religijnego ducha ludności, że dziwiono się, jeżeli kto na nie nie uczęszczał, i posądzano przeciwników augustjanina, iż nie są dobrymi chrześcijanami.

Trzecim, rzec można, apostołem nauk Valdesa stał się Marcantonio Flaminio, lekarz a zarazem znakomity poeta, rodem z Serravalle. Jako lekarz i człowiek wielkiego talentu, był w łaskach u Pawła III, a nawet u samego kardynała Carafy, przyszłego papieża. Flaminio tak się zajął ruchem religijnym, że począwszy od r. 1535, zarzucił praktykę lekarską i poświęcił się wyłącznie studjom biblijnym. Sam donosił wtedy jednemu ze swoich przyjaciół, że powiedział „addio" świeckim naukom, a oddał się „słodkim rzeczom boskim", i że resztę życia poświęci tylko rozmyślaniom nad chrześcijańską wiarą. Przybył w drugiej połowie r. 1539 do Neapolu, a zwyczajnie mieszkał w Kasercie u swego przyjaciela, Giov. Franceska d'Alois, gdzie w roz-

mowach z mieszczanami, a nawet z wieśniakami rozszerzał swe zapatrywania religijne, zgodne z naukami Valdesa. Dolinę Kaserty z jej żyzną ziemią, bujną roślinnością, pysznemi pinjami nadzwyczaj Flaminio polubił i podnosił ją w swych poezjach nad inne okolice Włoch, ciesząc się, że tam dopiero używa spokoju.

...Otio ipse dulci
Cupitoque fruor Casertae in agro,
Qui pulcherrimus omnium locorum
Iure dicitur!...

Koło tych znakomitych ludzi, którzy się w Neapolu zajmowali kwestjami religijnemi i szukali dróg do umoralnienia społeczeństwa, coraz się zwiększało; miano ich zrazu w największem poszanowaniu i zwano „spiritati". Powagi dodawał im Pietro Carnesecchi, protonotarjusz apostolski, który się bardzo zaprzyjaźnił z Valdesem. Carnesecchi pochodził z Florencji, patrycjuszowska jego rodzina należała do stronnictwa Medyceuszów. Bardzo wykształcony, wykwintnych form towarzyskich, został w dziewiętnastym roku życia sekretarzem i najulubieńszym towarzyszem Klemensa VII. Jadał przy stole papieża, był wtajemniczony we wszystkie sprawy państwa i stał się tak bliskim sercu Klemensa, że papież pozwolił młodzieńcowi, aby do swego rodowego nazwiska dodał nazwisko Medicich. Odtąd nazywał się Pietro Medici de'Carnesecchi i obudzał zazdrość w całem papieskiem otoczeniu. Z owego czasu mamy dwa autentyczne portrety Pietra, jeden w Uffiziach, mało znanego malarza Dominika Puligo, ucznia Ridolfa Ghirlandaja, drugi bardzo piękny, pendzla Andrzeja del Sarto, w galerji Pitti. Znakomity badacz włoskiego malarstwa, p. Emil Schaeffer z Berlina, który przyczynił się do rozjaśnienia niejednego z bezimiennych dotąd włoskich portretów, rozpoznał Pietra de'Carnesecchi w owych dwóch obrazach i we fresku Giorgia Vasarego w Palazzo della Signoria we Florencji [1]. Najlepszy z tych portretów Andrzeja del Sarto, przedstawia pięknego młodzieńca, pełnego zadumy, o łagodnym wyrazie twarzy, który dotąd uchodził za braciszka

[1] Emil Schäffer, *Von Bildern und Menschen der Renaissance.* Berlin, Verlag Julius Bard, 1914.

z opactwa Vallombrosa. Głęboka myśl, malująca się w oczach Pietra, zdaje się zapowiadać, że ten młodzian pójdzie własnemi drogami i nie będzie li tylko dworzaninem, dobijającym się o zaszczyty.

W r. 1534 umarł Klemens VII. Pietro miał wówczas lat dwadzieścia sześć i ku zdziwieniu całego Watykanu nie starał się o łaski przyszłego papieża, ale porzucił urząd, który mu otwierał świetne widoki i oddał się umiejętności, spokojnemu rozmyślaniu. Cofnął się do rodzinnego miasta, do Florencji, a następnie udał się do Neapolu, gdzie wówczas biło tętno religijnej reformy. Tam utrzymywał ścisłe stosunki z Valdesem aż do końca życia tego głośnego Hiszpana i był nawet świadkiem jego śmierci.

Z gronem owych uczonych, poetów, teologów zapoznała się Julja, przybywszy do Neapolu, bywali oni bowiem w salonach tamtejszego wyższego świata. Valdes odwiedzał ją dawniej w Fondi, powitała go więc tutaj jako dawnego znajomego. Do tego towarzystwa poważnych ludzi pociągały ją nieszczęścia, jakie przeszła. Znękana duchowo, potrzebowała oparcia w religji; nie dziw też, że niebawem stała się bezwzględną zwolenniczką i, rzec można, uczennicą wymownego i błyszczącego swym rozumem Hiszpana. Valdes bywał u niej, oboje spotykali się na kazaniach Ochina, a po jednej z tych głośnych nauk była Julja tak wzruszona, tyle wątpliwości i tyle nowych filozoficznych i religijnych pytań umysł jej niepokoiło, że zaprosiła Valdesa do siebie, aby się przed nim zwierzyć z tych wątpliwości i otworzyć tajniki swego serca. Zdaje się, że Julja nosiła się chwilowo z myślą zupełnego zamknięcia się w klasztorze, sądząc, że życie światowe jest przeszkodą do osiągnięcia najwyższego religijnego szczęścia. Z tych wszystkich moralnych trosk spowiadała się przed Valdesem, a rozmowa ich była tak żywa i zajmująca, że rozprawiając o najwyższych zagadnieniach życia, zapomnieli o całem otoczeniu i dopiero zapadający zmrok wieczorny przypomniał im, że trzeba przerwać dysputę. Wynikiem tej rozmowy była rozprawa *Alfabeto Christiano,* którą Valdes dla Julji napisał, aby dać kierunek jej religijnym ideom i rozwiać niepokoje, które ją nękały. Valdes nie odstępuje w tem piśmie od ówczesnych zasad kościoła i daje swej uczennicy praktyczne

wskazówki, jak osiągnąć najwyższe szczęście religijne, nie uciekając się do zakonnego odosobnienia lub do ascetyzmu. Pozwala jej żyć w towarzystwie, z którem ją wiążą stosunki i przyzwyczajenia, utrzymując, że można być kobietą religijną a zarazem światową. Valdes nie widzi w postępowaniu Julji nic takiego, coby wymagało jakiejś zmiany, jej niepokoje uważa za płonne obawy, a zakonne reguły życia i mechaniczne modlitwy są jego zdaniem zupełnie niepotrzebne do osiągnięcia najwyższej chrześcijańskiej doskonałości. Zasady prawdziwej religji streszczają się w miłości Boga i ludzi. Valdes radzi Julji czytać pilnie Pismo święte, żywoty świętych, nauki Tomasza a Kempis i wymienia jeszcze kilka innych pobożnych ksiąg, które wówczas miały wielki rozgłos. Ideałem chrześcijańskiej kobiety jest według niego kobieta zamężna, która swemi zasadami umie prowadzić rodzinę drogą moralności.

Alfabet chrześcijański ułożył Valdes w formie dialogu pomiędzy sobą a Julją, napisał go po hiszpańsku, a na język włoski przetłumaczył go później Marc Antonio Magno, który przekład ten poświęcił Julji.

Od owej pamiętnej rozmowy z Valdesem Julja stała się tak zagorzałą jego zwolenniczką, jaką tylko kobieta starzejąca się, życiem znękana, stać się może pod wpływem religijnego przewodnika. Narażając się na największe niebezpieczeństwa z powodu czujności organów inkwizycji, przechowywała i rozszerzała jego pisma, utrzymywała stosunki z jego uczniami, w czem jej dopomagał naczelnik szpitala dla nieuleczalnych chorych, Don Germano Mindois, sąsiad klasztoru, gdzie mieszkała. Zakonnice i świeckie kobiety, które po jej myśli działały, mogły być pewne, że Julja materjalnie wspierać je będzie, dla prześladowanych przez inkwizycję miała zawsze otwartą rękę. Jedną z jej przyjaciółek i fanatycznych zwolenniczek Valdesa i Ochina była Izabella Brisegna, która wyszła zamąż za Hiszpana Garcię Manriquez, gubernatora Piacenzy, zawziętego wroga reformatorów. To też, gdy Garcia spostrzegł, że jego żona skłania się do nowych nauk, zakazał jej wszelkich stosunków z heretykami i pilnie nad nią czuwał, aby z nimi nie utrzymywała korespondencji. Znużona Izabella tą duchową opieką męża, porzuciła go, uciekła najprzód do Rawenny, a później do Szwajcarji, gdzie

się znalazła bez utrzymania. Wtedy Julja zaczęła ją wspierać i posyłała jej rocznie sto skudów.

Valdes umarł w r. 1540. Dla Julji był to cios wielki, ale rzec można, że zapał jej religijny jeszcze się wzmógł po śmierci mistrza; uważała się niejako za apostołkę jego nauk, a pomimo że zaczęła zapadać na zdrowiu i prawie ciągle miewała febrę, utrzymywała nadzwyczaj ożywioną korespondencję z ludźmi pokrewnych jej wyobrażeń. Osobliwie zbliżyła się do Piotra Carnesecchiego, który ją również bardzo wysoko cenił. Carnesecchi nie mógł jednak długo pozostać w Neapolu, gdyż inkwizycja zaczęła go podejrzywać i śledzić, a w roku 1546, za czasów Pawła III, zawezwało go Sant'Offizio do Rzymu i wytoczyło mu proces. Neapolitański opat potrafił się narazie uniewinnić; ale nie dowierzając inkwizycji, wyjechał do Francji, gdzie znalazł przytułek na paryskim dworze, u Katarzyny medycejskiej, a król Henryk II bardzo go polubił. Carnesecchi skorzystał jednak ze swego pobytu we Francji, aby się tam zbliżyć do najznakomitszych hugonotów i jeszcze ściślej przylgnąć do reformatorów. W r. 1552 wrócił do Włoch, bawił jakiś czas w Padwie, a następnie przeniósł się do Wenecji, gdzie zamieszkał, czując się bezpieczniejszym pod rządami Rzeczypospolitej, aniżeli w Neapolu lub w Rzymie. Tam również, jak we Francji, pracował dla poprawy stosunków kościoła, a przez cały czas swego pobytu poza Neapolem bardzo często pisywał do Julji Gonzagi, donosząc jej wszystkie nowości, które się odnosiły do ich religijnych dążeń. Julja nawzajem trzy razy na tydzień wysyłała listy do niego i dziwić się należy, że ta chora, znękana kobieta miała dość siły, aby z taką energją pracować nad urzeczywistnieniem swych religijnych ideałów.

Piątego czerwca 1557 donosił Carnesecchi Julji, że inkwizycja uwięziła kardynała Morone, a że kardynał był w stosunkach z Carnesecchim i z Julją, więc wielkie pomiędzy nimi powstało zaniepokojenie, które wkrótce okazało się słusznem. Morone, przesłuchiwany przez inkwizytorów, wymienił pomiędzy osobistościami, z któremi utrzymywał stosunki, także i Carnesecchiego, wskutek czego trybunał inkwizycyjny kazał mu przybyć do Rzymu. Carnesecchi jednak przeczuwając, że podróż do stolicy inkwizycji byłaby podróżą na stos, nie usłuchał

rozkazu. Trybunał skazał go przeto 6 kwietnia 1558 zaocznie na śmierć. Równocześnie i Julja w wielkiem była niebezpieczeństwie; przyjaciele namawiali ją, aby czem prędzej z Włoch wyjechała, ale ona oświadczyła, że nie czuje się być winną wobec Boga i spokojnie w domu pozostanie. Gdy jednak rozeszła się wieść, że nadszedł rozkaz uwięzienia kilku jej służących, zaopatrzyła dwóch z nich w pieniądze i kazała im z Neapolu uciekać, kilku innych jednak schwytali pachołkowie inkwizycji i wywieźli do Rzymu.

Ile Julja miała odwagi, pozostając w Neapolu, i jak głęboko była przekonana o swej niewinności, dowodzi jej bardzo charakterystyczny list, pisany kilka lat przedtem, w r. 1553, do Ferranta Gonzagi, który się zaniepokoił wieściami, że inkwizycja ją śledzi. „Jak wam i sobie życzę zbawienia — pisała wtedy — wyznać muszę, że dokuczliwości, na jakie jestem narażona, o wiele mi są przykrzejsze z tego powodu, że was niepokoją, aniżeli, że mnie osobiście dotykają. Owszem, chętnie przyjęłabym na siebie wszystkie te nieprzyjemności, które wam życie zatruwają. Co do mnie, głównie tutaj chodzi o znajomość z Valdesem i o jego pisma, o sprawy, które się działy przed czternastu laty. Obecnie wywlekają to wszystko na nowo, jak słyszałam, na żądanie wicekróla, któremu niech Bóg i to daruje, równie jak wiele innych przewinień, których odpuszczenia będzie potrzebował. Powodem do wznowienia tych podejrzeń jest i owa niechęć, jaką ku wam żywi, tudzież moja przyjaźń z markizą del Vasto, której nienawidzi. Wicekról jest człowiekiem, który chce, aby go się bano i ubóstwiano zarazem, żąda bezwzględnego poddania się despotycznej jego woli. Ale nawet takiem poddaniem się nic się nie osiąga, gdyż przedewszystkiem wymaga on, aby w sposób służalczy hołdować jego żonie i znosić od niej codziennie tysiące uchybień, jak to sami doświadczyliście. Oto prawdziwe powody sekatur. Aby jednak wszystko szczerze wyznać, sądzę, że i kardynał Sant'Jacopo (Juan Alvarez de Toledo, brat wicekróla), który do wielkich rzeczy się sposobi, umaczał w tem ręce, tudzież kardynał Neapolu (Gian Pietro Carafa, późniejszy papież Paweł IV), o którego mózgownicy wszyscy wiedzą, co warta. Wogóle postępowanie trybunału inkwizycji jest tak dziwne, że każdy, kto się tam dostanie, opo-

wiada nawet rzeczy, o których nic nie wie, albo takie, które mu się przyśniły, aby tym sposobem przypodobać się najprzewielebniejszym sędziom i z całą skórą się stamtąd wydobyć. Inkwizycja ma podrzędnych urzędników, którzy zręcznie obrabiają ludzi, będących w ich szponach, tak, że możliwe jest, że ten lub ów świadek zeznał, że ze mną o czemś mówił, co źle zrozumiał, albo powiedział jakąś nieprawdę, której sprostować niema sposobu, bo wszystko tam dzieje się w największej tajemnicy. Jeżeli przy sposobności mówiłam o rzeczach religijnych, to w tym celu, aby je lepiej zrozumieć, a nie, aby się oddalać od kościoła katolickiego. Co się tyczy pism Valdesa, to jeżeli ci prałaci uważają je za szkodliwe, niech zakażą ich posiadania; dopóki jednak nie są zakazane, przechowywać je wolno. Zresztą nie mam już dzisiaj tych książek u siebie, pomimo, że posiadanie ich nie zostało wzbronione. Inkwizytorowie ciągle coś przeciw mnie knują i każdego się o mnie pytają, kto się tylko w ich ręce dostanie, a jeżeli ten lub ów zezna, że ze mną rozprawiał o rzeczach, tyczących się religji, zakazują mu u mnie bywać. Sądzę wszakże, że niema więcej, jak trzech ludzi, z którymi o tych sprawach rozmawiałam, a moje rozmowy miały zawsze dobry cel i ograniczały się do spraw bardzo prostych, bo zawikłanych zrozumieć nie zdołam. Zresztą być może, że się inkwizytorowie już co do mnie uspokoili i na błahostki tak się zaczynają zapatrywać, jak od początku zapatrywać się byli powinni. Podobnie się stało z biskupem Otrantu, którego ciężko i długo bez powodu nękali, a przecież wkońcu musieli go wypuścić ze swej opieki i wrócić mu jego dobrą sławę.

Wypisałam się przed wami, gdyż tego ode mnie żądacie, inaczej bowiem nie byłabym was nudziła długim listem, wiedząc, jak dalece jesteście obarczeni różnorodnemi sprawami“.

Nadzieje Julji, że inkwizytorowie się uspokoją, były płonne. Wprawdzie na chwilę, po śmierci Pawła IV, zdawało się, że teroryzm inkwizycji ustanie i że nastąpią szczęśliwsze czasy; ale złudzenia trwały niedługo. W takiej chwili powszechnej radości donosił Carnesecchi Julji z Wenecji, dnia 22 sierpnia 1559, że „Santa inquisizione“ umarła tą samą śmiercią, jaką innych na tamten świat wyprawiała — ogniem. Lud bowiem rzymski spalił gmach inkwizycji w Rzymie. Carnesecchi skorzystał też z ła-

godniejszych zapatrywań w Rzymie, aby tam pojechać, uniewinnić się i narazie przynajmniej umorzyć swój proces.

Tymczasem Julja coraz częściej zapadała na zdrowiu, a jeden z jej przyjaciół, biskup z Salerno, Seripando, członek koncyljum w Trydencie, późniejszy kardynał, namawiał ją, aby się przeniosła do Salerno, gdzie świeższe i zdrowsze powietrze, aniżeli w Neapolu. Zachęcał ją tem więcej do zmiany miejsca zamieszkania, gdyż sądził, że koncyljum z pewnością zabroni świeckim paniom mieszkać w murach klasztornych, więc i tak będzie się musiała wkrótce wyprowadzić z San Francesco. Julję bardzo zajmowały trydenckie obrady, a o wszystkich ważniejszych uchwałach wielkiego zebrania donosił jej częścią Seripando, częścią Pietro Antonio di Capua, arcybiskup z Otranto, który także bawił w Trydencie.

W ostatnich latach życia bardzo Julję dotknęła śmierć Molzy, który należał do jej dawnych przyjaciół i powierników. Molza doczekał się za życia pośmiertnych o sobie sądów, w roku bowiem 1562 tak był chory, że rozeszła się wieść o jego śmierci, wskutek czego wielu poetów ogłosiło swe wierszowane żale i opiewało jego skon przedwczesny. Chory poeta miał czas przeczytać te wszystkie rymy, gdyż dopiero we dwa lata później umarł. Julja go jeszcze przeżyła, a pomimo ciągłej prawie febry pisywała do ostatniej chwili listy do przyjaciół, którzy dzielili jej zapatrywania. Stargawszy resztę sił, umarła 19 kwietnia 1566, w tym klasztorze di San Francesco delle monache, w którym tyle lat mieszkała. Pozostawiła długi testament, mianując głównym swym spadkobiercą Wespazjana Gonzagę i polecając mu wypłacenie całego szeregu legatów. Nie zapomniała tam o znajomych, o zakonnicach, z któremi żyła w przyjaźni, o instytucjach dobroczynnych i swoich sługach. Nawet niewolnicę swoją Cintię obdarzyła wolnością i wyznaczyła jej dwieście dukatów posagu. „Duszę swą oddała Bogu najwyższemu, najdobrotliwszemu Ojcu i Jego Synowi, Jezusowi Chrystusowi, Zbawicielowi, aby ją przyjęli do wiecznego żywota“. Wreszcie prosiła, aby jej ciało pochowano w klasztorze franciszkanek.

Śmierć wybawiła ją od ciężkich przejść, a zapewne i od płomieni inkwizycyjnego stosu. W czasie bowiem, kiedy już tak była chora, że z łóżka wstawać nie mogła, wytaczano przeciw



Masaniello
(Według rysunku Della Belli)

niej proces w Rzymie, który prowadzono dalej, pomimo, że oskarżona leżała już w grobie. Nie mogąc dotknąć żywej, kazał Pius V przenieść jej zwłoki z kościoła do wspólnego grobu zwykłych zakonnic. W kilka wieków później odkopano z powodu robót publicznych ową „fossa comune“, i miano przewieźć resztki ciał tam pogrzebanych do Camposanto „Fontanelle“; ale grabarze pewni, że już się nikt nie upomni o odwieczne szczątki, posprzedawali cichaczem znalezione szkielety do fabryki cukru.

VI

Julja pozostawiła mnóstwo listów od przyjaciół w swej spuściźnie, a umierając nie była dość ostrożna, aby te papiery kazać popalić. Jej korespondencja stała się też powodem wielu nieszczęść, a przedewszystkiem wywołała ów tragiczny proces Carnesecchiego, który zajmował przez długi czas całe Włochy i ponurem echem odbił się w późniejszych wiekach.

Zaledwie w Rzymie się dowiedziano, że Julja umarła, udał się papież Pius V z prośbą do wicekróla Neapolu, aby natychmiast, nim jeszcze Wespazjan Gonzaga przybędzie z północnych Włoch i obejmie spadek, pozwolił delegatom inkwizycji przeglądnąć papiery, po zmarłej pozostałe. Wicekról zgodził się na to nadużycie, a co więcej, nie miał nic przeciwko temu, aby listy, jakie w mieszkaniu Julji znaleziono, przewieziono do Rzymu, pod warunkiem, że wkrótce zwrócone zostaną. Dwie paki więc papierów otrzymała inkwizycja, a połów zdawał się jej być tak szczęśliwy, że zapragnęła mieć oryginały. Pozornie więc odesłano owe paki do Neapolu, ale po drodze już czekali wysłańcy inkwizycji, którzy je napowrót odebrali, i papiery nie dostały się więcej do rąk Gonzagi. Jak się Wespazjan zachował wobec tego rabunku, niewiadomo; zdaje się jednak, że potrzebując żyć w zgodzie z papieżem i z wicekrólem Neapolu, nie dopominał się zwrotu papierów, zwłaszcza, że on osobiście nie był niemi dotknięty.

Listy więc Julji wcielono do aktów inkwizycji i na ich podstawie rozpoczęto szereg procesów przeciw znajomym i przyjaciołom zmarłej. Korespondencja obciążała przed innymi Carnesecchiego, do którego Julja pisywała wiele ustępów cyframi,

i tak n. p. liczba 5 oznaczała Carafę, dwie litery R. R. Wiktorję Colonnę, a cztery „d“ samą inkwizycję. Pius V żałował, że Julja nie żyje, a wobec swego otoczenia powiedział, że gdyby te listy czytał przed śmiercią Gonzagi, toby ją kazał był spalić na stosie. Z tem większą zażartością prześladował więc żywych; kazał oddać inkwizycji Giovanniego Battistę Pereza, byłego maestra di casa Julji, tudzież dwóch jej służących „per causa di religione“, a z końcem czerwca 1566 zażądał od księcia florentyńskiego wydania Carnesecchiego, który się schronił do Florencji, sądząc się tam bezpiecznym. Książę toskański postąpił jednak podobnie, jak Cezar Borgia w Sinigaglji: zaprosił Carnesecchiego na obiad i kazał go w swym domu uwięzić. Papież wysłał po więźnia jednego ze swych pałacowych monsignorów z całą wojskową eskortą, a nieszczęśliwy przyjaciel Julji znalazł się po raz trzeci w owym gmachu, którego spaleniem tak się był przed laty ucieszył.

Carnesecchiego wzięto dwa razy na tortury, ale zeznania jego w takiej zachowano tajemnicy, że nikt się o nich nie dowiedział. Śmierć nieszczęśliwego prałata zgóry wszakże była już postanowiona, gdyż poseł księcia toskańskiego zaraz w początkach procesu radził swemu panu, aby się za nim u papieża nie wstawiał, albowiem wszelkie kroki w tej mierze byłyby płonne. Mimo to książę, żałując może zbytniej swej powolności wobec stolicy apostolskiej, okazanej przez podstępne uwięzienie Carnesecchiego, kazał prosić papieża o względy dla człowieka, który się stał tylko ofiarą zawiści swoich nieprzyjaciół. Tak samo postąpiła i Katarzyna medycejska, która znała Carnesecchiego z Paryża. Możne te protekcje na nic się wszakże nie przydały; papież odpowiedział dość szorstko, że nic w tej sprawie uczynić nie może, albowiem postanowienie zależy od kolegjum kardynałów.

Proces trwał długo, a prowadzono go z niesłychaną zażartością, skoro wciągnięto weń nawet Wiktorję Colonnę, zmarłą przed dwudziestoma laty, kardynałów Pola i Soranza, nie żyjących już od lat dziewięciu, skoro rozciągnięto dochodzenia na kardynała Morone i na kilku biskupów, jego towarzyszy więziennych, oddawna uniewinnionych, i na Seripanda, zmarłego przed czterema laty.

Przeciw Carnesecchiemu sformułowano aż trzydzieści cztery zarzuty, uznano go niepoprawnym heretykiem, który tylko udaje poprawę, pozbawiono go wszystkich beneficjów, kazano zagrabić wszystkie jego ruchomości i oddano go władzy świeckiej, monsignorowi gubernatorowi Rzymu celem wykonania wyroku. Dwudziestego pierwszego września 1566 odczytano ów wyrok w Sto Offizio w zwykłej sali, zwanej salą Minerwy. Carnesecchi został pozbawiony wszelkich godności, odziano go płaszczem, na którym były wymalowane złowrogie płomienie. Poczem ujęli go zaraz pachołki gubernatora i zaprowadzili do więzienia, do Tor di Nona. W dziesięć dni później, pierwszego października, z rana, został wyrok wykonany. Papież kazał spalić skazanego na Campo di Fiori; na przedstawienie gubernatora, który wielkim był przyjacielem Carnesecchiego, oszczędzono mu pochodu przez miasto, gdzieby się ciekawa gawiedź nad nim znęcała, ale zaprowadzono go na most św. Anioła i tam wyrok wykonano. Dzięki owemu litościwemu gubernatorowi, Carnesecchi nie został żywcem spalony, ale kat ściął mu głowę, poczem z trupa zdjęto ubranie i zupełnie obnażone ciało zawieszono nogami na palu i dopiero ogień pod stos podłożono.

Carnesecchi umierał z wielką godnością i oświadczył swemu otoczeniu, że kończy swój żywot na łonie kościoła katolickiego. Wyspowiadał się przed kapucynem, Ojcem Pistoją, ubrał się czysto, jak na uroczystość, wdział nawet nowe rękawice i wziął białą chustkę do ręki. Tak opowiadają świadkowie tej strasznej egzekucji. Równocześnie z Carnesecchim skazała inkwizycja jakiegoś zakonnika na spalenie, tudzież piętnastu innych podejrzanych o niewiarę, częścią na dożywotnie zamurowanie pomiędzy dwiema ścianami, częścią tylko na kary pieniężne.

Jeden z członków inkwizycji powiedział w chwili, kiedy się ludzkie uczucie w nim obudziło, że „posługują się Bogiem, a nie służą Bogu“, „Ci serviano di Dio e non serviano a Dio“. I to było prawdą.

VII

Jakeśmy wspomnieli, przyznał cesarz Julji prawo opieki nad dwuletnim synem jej pasierbicy, Izabelli, a od tego czasu oddała się ona z prawdziwie macierzyńską miłością wychowaniu

małego Wespazjana i rzec można, że je uważała za cel swego życia. Jak tylko chłopak podrósł, kazała go uczyć po łacinie, po grecku i toskańsku, albowiem narzecze toskańskie uchodziło za najwykwintniejszy, piśmienny język włoski. Poeta Pandolfo Porrino poświadcza w jednym ze swoich *Capitoli* owo staranne wychowanie Wespazjana, zwraca się bowiem do niego, mówiąc:

Siete buon greco, buon latino e tosco.

Ponieważ przeznaczeniem młodzieńca, równie jak ojca, było wojenne rzemiosło, więc go także ćwiczono w robieniu bronią, w jeździe konno, a Vespasiano doszedł niebawem do wielkiej doskonałości we wszystkiem, co do rycerskiego zawodu było potrzebne. Według historyka Ammirata, Gonzaga był godny stanąć narówni z bohaterami starożytności, albowiem łączył wiadomości militarne z literackiem wykształceniem i równie dzielnym był dowódcą w wojnie, jak rozumnym panem w pokoju.

Julja zajmowała się także bardzo gorąco majątkowemi interesami swego wychowanka, a ponieważ Vespasiano miał prawa do posiadłości Casal Maggiore, więc wysłała Mikołaja Marcobruna do Karola V, by uzyskał dla niego u cesarza inwestyturę na to lenno. W każdym wypadku broniła bardzo energicznie jego praw dziedzicznych i starała się przez kupna powiększyć terytorjum głównego jego ziemskiego majątku, Sabbionety.

Matka Wespazjana, Izabella, chciała wcześnie syna bogato ożenić i wybrała mu za narzeczoną Wiktorję, córkę Pier Luigiego Farnese, księcia Parmy i Piacenzy, nepota papieża Pawła III. Julja jednak sądziła, że związek z Farnesami, którzy świeżo dopiero doszli do majątków i znaczenia, nie odpowiada wielkości rodu Gonzagów, a nie chcąc, aby to małżeństwo przyszło do skutku, postawiła imieniem Wespazjana tak twarde pieniężne warunki, że Farnesowie nie mogli się na nie zgodzić i małżeństwo nie przyszło do skutku. Wiktorja wyszła później zamąż za Guidobalda, księcia Urbino.

Na dokończenie niejako światowego wychowania wysłała Julja Wespazjana na dwór następcy tronu, Filipa, do Hiszpanji. Istnieje jeszcze list Don Ferranta Gonzagi do księcia Dorii w Genui, proszący najwyższego admirała cesarskiego, aby ra-

czył wyznaczyć jedną albo dwie galery do przewiezienia młodego Gonzagi do Barcelony, za co mu on i donna Julja bardzo będą wdzięczni. Doria spełnił żądanie Gonzagów, a Vespasiano został niebawem honorowym paziem Don Filipa II na dworze w Valladolid. Po dwóch latach pobytu w Hiszpanji wrócił Wespazjan na krótki czas do Włoch, towarzysząc Filipowi w jego podróży do Flandrji, i wtedy poznał w Medjolanie u don Ferranta Gonzagi, wówczas tamtejszego gubernatora cesarskiego, donnę Dianę, córkę Antonia di Cardona, jednego z najznakomitszych grandów hiszpańskich. Młoda para się pokochała, rodziny się zgodziły na jej połączenie, ale ślub odbył się dopiero po niejakim czasie, w marcu r. 1550, albowiem Wespazjan musiał się udać do Flandrji z dworem następcy tronu hiszpańskiego.

Zaledwie jednak młode małżeństwo osiadło w Sabbionecie, którą Wespazjan chciał zamienić ze zwykłej opuszczonej mieściny na ognisko artystyczne i literackie, a już musiał towarzyszyć w roku 1551 Ferrantowi Gonzadze w wyprawie wojska cesarskiego pod Parmę, aby miasto odebrać Oktawowi Farnese, który się połączył z Francją przeciw Filipowi II. Przy oblężeniu Parmy młody Gonzaga bardzo się odznaczył. Dowodząc włoską piechotą, został ranny; ale ponieważ rana nie była ciężka i szybko się zagoiła, więc brał dalej udział w tej wojnie aż do zawarcia pokoju. Naczelny wódz armji hiszpańskiej we Włoszech, wicekról Neapolu, książę Alba, bardzo Wespazjana polubił, a ceniąc jego wojskowe zdolności, chciał go mieć ciągle przy sobie, tak, że Wespazjan przez kilka lat po ślubie prawie bezustannie był poza Sabbionetą. W jesieni roku 1556 ponownie dowodził włoskim oddziałem w armji Alby, idącego na Rzym, aby pomścić krzywdy, które Paweł IV wyrządził Colonnom, sprzymierzeńcom cesarskim, i pokrzyżować plany papieża, połączonego z francuskim Henrykiem II, zmierzające do odebrania Hiszpanom neapolitańskiego królestwa. Książę Alby w hiszpańskim egoiźmie, chcąc szanować swych weteranów, wysyłał włoskie oddziały tam, gdzie były największe niebezpieczeństwa; to też Wespazjan miał niemało sposobności, osobliwie pod Ostją, okazać swoją odwagę.

Po ukończeniu tej nieszczęśliwej dla Rzymu wojny pomiędzy Hiszpanją a Pawłem IV pojechał Wespazjan w jesieni r. 1557

do Neapolu, gdzie mieszkała wówczas jego matka, Izabella Colonna, księżna di Sulmona. Julja Gonzaga nie widziała wychowanka od czasu, kiedy go wyprawiła, jako młodego chłopaka, na dwór Filipa II. Radość jej, gdy teraz wrócił, musiała być wielka; Wespazjan opromieniony był bowiem sławą wojenną, a przytem wyrobił się na człowieka wysokiej naukowej i artystycznej kultury. Bawiąc kilka miesięcy w Neapolu, otaczał się literatami, urządzał u siebie zgromadzenia najznakomitszych ludzi stolicy, jak Antonio Minturno, Ferrante Carafa, Bernardino Rota. Po okrucieństwach wojny zajmował się poezją; na zebraniach u niego rozprawiano o sztuce rymotwórczej, a jeden z głównych uczestników tych zebrań spisał obrabiane tam tematy w swojej *Ars Poetica.* Sam Vespasiano czytywał wobec przyjaciół swe wiersze, z których kilka, trzeba przyznać, dość słabych, dotąd się zachowało; więcej jednak zajmowały go umiejętności matematyczne i architektura wojenna. Mimo poetycznych aspiracyj i zamiłowania do nauk, był on w głębi duszy gwałtowny i mściwy, podobny do większości współczesnych wybitnych ludzi, którzy gładkiem obejściem i deklamacją harmonijnie brzmiących sonetów pokrywali tygrysie instynkty. O swej gwałtowności charakteru musiał dobrze wiedzieć, skoro jako imprezę wybrał sobie aż trzy skrzydlate pioruny, zapożyczywszy myśl z Wergiljusza o Jowiszu i Cyklopach:

Tres imbris torti radios, tres nubis aquosae,
...rutili tres ignis et alitis austri.
(*Eneida* VIII, 429).

Gdy zaś przyjęty został później do akademji degli Affidati w Pawji, przyjął nazwę „il severo“.

W zimie r. 1557 pożegnał się Wespazjan po raz ostatni z Julją Gonzagą; powrócił na krótki czas do opuszczonej żony w Sabbionecie, ale już z początkiem roku następnego musiał się udać do Florencji, aby się tam pokłonić nowemu królowi hiszpańskiemu, Filipowi II. Z Florencji pojechał na dwór cesarza Ferdynanda celem uzyskania inwestytury na swe feudalne posiadłości, a tak ciągle będąc na wojnie lub w drodze, najzupełniej zaniedbywał swoją młodą żonę. To oddalenie musiało pociągnąć bardzo smutne następstwa, albowiem nie każda z ów-

czesnych małżonek-wdów mogła się równać z Wiktorją Colonną, która całemi latami dochowywała wierności swemu mężowi, dowodzącemu cesarskiemi wojskami. Jak tylko Wespazjan powrócił do opuszczonego domu, zaczął otrzymywać bezimienne listy, uwiadamiające go, że księżna w czasie nieobecności męża miała stosunek z jego sekretarzem, Hannibalem Rainerim i że ten romans nie pozostanie bez widocznych następstw. Gdy się Wespazjan o prawdziwości tych donosów przekonał, zawołał do siebie jednego ze swych najwierniejszych dworzan, Antonia Messirotta, gotowego do wszelkich poświęceń dla swego pana, wyjawił całą przed nim tajemnicę i rozkazał mu zamordować sprawcę swej zniewagi. Messirotto rzetelnie spełnił polecenie, zakradł się do parterowej komnaty, mieszkania sekretarza i śpiącemu utopił w piersi żelazo. Gdy się Vespasiano przekonał, że vendetta do połowy spełniona została, zawołał żonę, chwycił ją za rękę i zaprowadził do pokoju, gdzie leżał zamordowany. Tam, wobec trupa, dał jej flaszeczkę z trucizną, a powiedziawszy cichym, przytłumionym głosem: „Wypij!“, „Bevi!“, wyszedł, zamknąwszy drzwi za sobą.

Nieszczęśliwa kobieta nie miała odwagi przyłożyć do ust śmiertelnego napoju; dwa dni pasowała się z chęcią życia, sądząc może, że okrutnik się nad nią zlituje. Ale Wespazjan przychodził co kilka godzin pod drzwi komnaty, w której zamknął swą żonę, i przez szparę od klucza wołał „bevi!“ Wreszcie zabrakło sił księżnej, wychyliła truciznę i upadła przed ciałem swego kochanka. Vespasiano rozgłosił zaraz, że księżna zmarła na udar serca, sprawił jej nadzwyczaj świetny pogrzeb, przywdział wraz z całym dworem żałobę i szedł za trumną, udając wielką boleść. W mieście wiedziano, jaka tragedja rozegrała się na zamku, z obawy wszakże przed zemstą tyrana milczano.

Sprawiwszy żonie pogrzeb, jaki się księżnie należało, stał się znowu Wespazjan mecenasem sztuki i nauk, człowiekiem pełnym artystycznych sentymentów. Budował zamki i kościoły, sprowadzał starożytne rzeźby i kazał freskami zdobić swe komnaty. Urządził nawet w r. 1562 w Bozzolo festyn z powodu ślubu córki księcia di Sulmona, swej przyrodniej siostry, która wtedy wychodziła zamąż za hrabiego di Potenza. Na to wesele zjechało się mnóstwo szlachty z Kremony, z Mantuy, a Vespa-

siano rozwinął cały możliwy przepych renesansowego magnata. Przedstawiano komedje, urządzano rozmaite wyścigi, muzyki grały w całem mieście, tańczono, a szczytem tych zabaw był pieszy turniej, w którym brał udział sam Vespasiano. Aby i ubogi lud cieszył się z festynów, kazał duca rozrzucać obficie złote i srebrne monety po ulicach, co oczywiście wielką sprawiało uciechę.

Całą Sabbionetę zaczął Vespasiano przebudowywać. Okolica zamku była dotąd w zupełnem opuszczeniu, olbrzymi rów, który w ciągu lat zamieniony został w brzydkie śmiecisko, szpecił miasteczko, złożone zresztą z niepokaźnych domów. Vespasiano powziął wielki, śmiały plan przebudowania i upiększenia swej rezydencji; powołał w tym celu sławnego budowniczego, Girolama Cattaneo Novaresa, a ponieważ sam się oddawał architektonicznym studjom i dobrze znał dzieło Witruwjusza, więc wspólnie z Novaresem pracował nad urzeczywistnieniem swej myśli. Śmiały w projektach, sięgnął aż do starożytnej Judei i Fenicji, aby zbogacić swe budownicze plany, a ponieważ czytał, że za czasów Salomona ozdabiano gmachy ornamentami z kosztownego drzewa cedrowego i oliwnego, że czterdzieści pięć kolumn z cedrów Libanu dźwigało krużganki pałacu w Jerozolimie, więc postanowił wprowadzić nowość do włoskiej architektury i rzadkiego drzewa użyć do ozdoby gmachów, które w Sabbionecie miały powstać. Vespasiano wciągnął w ogólny plan nowego miasta nietylko swój zamek, nietylko przebudowane kościoły, ale zmusił i zamożniejszych mieszkańców Sabbionety, aby wznosili domy, któreby swą architekturą zgadzały się z ogólnym planem upiększenia miasta. Większość robót została ukończona już w przeciągu trzech lat pod kierunkiem samego Wespazjana, tak, że współcześni budowy w Sabbionecie nazywali cudem. Powstało bowiem zupełnie nowe miasto o szerokich ulicach, o dużym placu, o domach, malowanych na zewnątrz pysznemi freskami, a rowy, pełne żab, zatęchłej wody i śmieci, zupełnie znikły. Cała Sabbioneta została otoczona murem; na jednej monumentalnej bramie, która prowadziła do tego siedliska sztuki i despotyzmu, kazał napisać „Victoria!". A gdy to dumne słowo zostało wyryte, sprowadził rzeźbiarza Leona Leoni Aretina, polecił mu odlać swoją statuę i ustawić na pie-

destale na placu przed zamkiem. Z podniesioną prawicą miał tam Gonzaga rozkazywać na wieki. Rozkazy jego przebrzmiały wkrótce, jak wszelaka ludzka wola na świecie, a bronzowa statua zajęła teraz skromniejsze miejsce na grobie fundatora Sabbionety.

Miasto było gotowe, ale mieszkańców brakowało. Wespazjan i temu starał się zaradzić; 25 września 1562 roku wydał rozporządzenie, nakazujące pod surowemi karami, aby wszyscy jego poddani, rzemieślnicy, kupcy i urzędnicy, przynależni do Sabbionety, sprowadzili się wraz ze swemi rodzinami do miasta, najdalej do ósmego października, pod grzywną stu skudów, z których połowa ma przypaść temu, kto ich oskarży, a połowa książęcemu skarbowi.

Kanonikom kościoła Panny Marji i innym duchownym zagroził utratą prebend, jeżeli się do tego przepisu nie zastosują. Żywności, owoców, jarzyn nie wolno było odtąd nigdzie sprzedawać, tylko na placu targowym w mieście. Wespazjan zaprowadzał najzupełniejszą centralizację, aby się Sabbioneta zamieniła na stolicę. Ale nie nadarmo uczył się po grecku i po łacinie; więc „ze względu na zdrowe powietrze, żyzność okolicy i bezpieczeństwo publiczne w Sabbionecie“ postanowił założyć „Studio di Humanità“, w któremby się młodzież przygotowywała do wydziałów prawnych i medycznych na sławnych włoskich uniwersytetach w Padwie i w Bolonji.

Ażeby i terytorjalnie powiększyć swe posiadłości, wydarł pan na Sabbionecie swoim synowcom, synom Karola Gonzagi, których był opiekunem, część ich majętności Comessaggio, ponieważ graniczyła z jego dobrami. Powstał stąd proces, który został rozstrzygnięty na cesarskim dworze na korzyść silniejszego, zasłużonego wojownika, Wespazjana. A gdy w ten sposób nowe państewko zostało ufundowane, wystarał się jeszcze u cesarza, że Sabbioneta została wyniesiona do rzędu margrabstwa.

Pomimo jednak, że Sabbioneta stała się państwem z pysznym zamkiem, szkołą humanistów i targiem na płody całej okolicy, przecież dla właściciela, przyzwyczajonego odmłodu do życia na wielkich dworach albo wśród obozu, była trochę nudna. Vespesiano wyjechał więc w r. 1564 do Hiszpanji i niebawem

ożenił się tam po raz wtóry z Anną aragońską, siostrą księcia Segovji, z wielkiego rodu, w czwartym stopniu spokrewnioną z królem Filipem II. Ślub odbył się 8 maja 1564 w Walencji, poczem Wespazjan wrócił z młodą małżonką do Włoch i odbył z nią triumfalny wjazd do Sabbionety. W pierwszych dwóch latach pożycia z Wespazjanem powiła księżna Anna dwoje dzieci, Izabellę i Ludwika; ale małżeństwo niedługo było szczęśliwe, a principessa już w r. 1566 niespodziewanie z niewiadomych nikomu przyczyn opuściła męża i zamieszkała w małej mieścinie włoskiej, w Rivarolo. Przybyła tam prawie w melancholji, przywdziała żałobne suknie, których już nigdy nie zrzucała, a głęboki smutek malował się na jej obliczu. Nie przyjmowała nikogo, mąż jej nie odwiedzał, a po roku takiej samotności i trawiącej ją zgryzoty umarła 11 lipca 1567. Jakie były powody tej ucieczki od męża, nikomu nie wyjawiła i zabrała tajemnicę swego życia do grobu.

Julja Gonzaga już nie doczekała się tej drugiej małżeńskiej katastrofy swego ulubieńca. O tragedji Diany di Cardona musiała się dowiedzieć, a był to dla niej straszny cios i zdaje się, że z powodu oburzenia na Wespezjana nawet pisać do niego przestała. Ale Gonzaga, któremu musiało chodzić o łaski Julji, aby go nie ominęła jej fortuna, starał się widocznie gniew jej ułagodzić, gdyż jak widzieliśmy, ustanowiła go dziedzicem swego majątku.

Po śmierci drugiej żony niedługo bawił Vespasiano w swem ufortykiwanem gnieździe kultury, ale ponownie udał się do Hiszpanji, dokąd go powołał Filip II. Murami Sabbionety zyskał sobie Wespazjan widocznie sławę wielkiego wojennego inżyniera, gdyż król powierzył mu wzmocnienie obronnych murów Kartaginy, obawiając się napadu Maurów, a gdy Włoch i z tego zadania dobrze się wywiązał, zamianował go Filip w r. 1571 wicekrólem Nawarry i namiestnikiem prowincji Guipuzcoa, gdzie także trzeba było budować twierdze w Pampelunie, Fonterabji i w San Sebastjan. Ponieważ Wespazjan na dłuższy czas musiał się osiedlić w Hiszpanji, przeto ustanowił swoim zastępcą w Sabbionecie Oktawjana Viscontego, swego krewnego, który miał za zadanie dalej prowadzić prace budownicze około powiększenia miasta. Tymczasem fortyfikacyjne roboty w północnej

Hiszpanji tak powszechne zyskały sobie uznanie, że król wysłał Wespazjana, aby zabezpieczył południowe brzegi półwyspu. Gonzaga powyszukiwał najważniejsze stategiczne punkty, kazał wszędzie, gdzie tylko uważał za potrzebne, budować fortece, a pomiędzy innemi miejscowościami obrał Gibraltar jako pierwszorzędny punkt strategiczny i położył wówczas podstawę do tamtejszych olbrzymich murów obronnych. Chcąc się przypodobać królowi, kazał po ukończeniu robót fortyfikacyjnych w każdej ważniejszej miejscowości wybijać medale pamiątkowe na cześć Filipa II, i w takich niebawem był łaskach u dynastji, że się wystarał u cesarza Rudolfa II o zaliczenie Sabbionety do rzędu księstw, zależących jedynie od rzymskiego cesarstwa. Obawiając się, aby w tych zabiegach nie przeszkadzał mu książę Mantuy, przeprowadził całą sprawę w wielkiej tajemnicy przed naczelnikiem rodu, tak, że gdy mantuański Gonzaga dowiedział się, że obok niego ma powstać drugi „Duca“, rzecz już była skończona. Odtąd na bramie Sabbionety roztaczał dwugłowy orzeł cesarski swe złociste skrzydła na niebieskiem polu.

Osiągnąwszy ideały swego życia, zbudowawszy Sabbionetę, założywszy małe państwo, zostawszy udzielnym prawie księciem, czując zresztą, że siły się w nim wyczerpują, prosił Wespazjan Filipa II o uwolnienie go od dość ciężkich obowiązków i wrócił do Sabbionety. Zabrał ze sobą syna Ludwika, który był paziem na dworze w Madrycie i wchodził w ślady ojca. Visconti pokończył tymczasem budowy, które Vespasiano w Sabbionecie rozpoczął, a mianowicie jedno z najważniejszych dzieł architektonicznych, kolumnadę, zwaną „Galleria“, okalającą plac główny, tudzież drugą bramę, którą nazwano „cesarską“, „porta Imperiale“. Gonzaga kazał ozdobić ową galerję freskami, przedstawiającemi widoki różnych miast, jak Rzymu, Neapolu, Florencji, a nawet Antwerpji i Konstantynopola, a oczywiście pomiędzy temi pejzażami nie brakowało i odrodzonej, pięknej Sabbionety. Inżynier wojenny z powołania i zamiłowania w artylerji, nie zapomniał też ubrać swe mury w poważną liczbę armat, pomiędzy któremi wprawdzie był „smok“ i „wilczyca“, ale nie brakło i „syreny“ i „wolności“.

Po murach obronnych i armatach przyszła kolej na sztuki piękne i literaturę. Vespasiano posprowadzał artystów, aby ma-

lowali wszystkich sławnych Gonzagów, i ozdobił ołtarze kościołów pięknemi obrazami. Kazał nadto skupywać starożytne marmury i ustawiał je w ulubionej „galerji“, a w bibljotece gromadził najrzadsze księgi. Wreszcie raz jeszcze się ożenił, pomimo, że już dwie przeszedł małżeńskie tragedje. Powodem do tego była śmierć Ludwika, jedynego jego syna, która go w wielkim smutku pogrążyła. Chciał mieć jeszcze następcę. W roku 1583 przywiózł więc wśród triumfalnego bicia dzwonów Margheritę Gonzagę, siostrę Ferranta II, pana na Guastalli, piękną kobietę, w kwiecie jeszcze młodości, do Sabbionety; ale sterany życiem nie potrafił otoczyć szczęściem nowej małżonki i dzieci już nie miał. Margherita musiała przy swym starym mężu zostać siostrą miłosierdzia; Vespasiano wkrótce ciężko zachorował, z powodu próchnienia kości w czaszce musiał się poddać ciężkiej operacji. Na pochwałę ówczesnych lekarzy zanotować należy, że Antonio Amici, chirurg z Sabbionety, wykonał trepanację czaszki tak zręcznie, że Vespasiano mógł się w roku 1581 udać z wielkim pocztem swoich dworzan do Brescji, aby tam „ucałować ręce“ cesarzowej wdowie, siostrze Filipa II, która z Niemiec jechała do Hiszpanji.

Ostatnie lata życia Wespazjana były jakby pokutą za niejedną zbrodnię, którą popełnił; książę Sabbionety zaczął z całą właściwą sobie energją wznosić kościoły i zarabiać sobie na zbawienie duszy. Przebudował świątynię „All'Assunzione di Maria Vergine“, położył kamień węgielny pod klasztor kapucynów w Bozzolo, podarował pałac w Sabbionecie karmelitom na nową ich osadę, rozpoczął stawiać pyszny kościół „Santa Maria Incoronata“.

Córkę swą Izabellę wydał za Luigiego Carafę, księcia di Stagliano, nepota papieskiego, młodego, przystojnego mężczyznę, pana wielkiej fortuny. A gdy się już zdawało, że żadne ważne zdarzenia życia mu nie zakłócą i że w spokoju będzie oczekiwał śmierci, Mars po raz ostatni zapukał do bram swego ulubieńca. Wespazjan miał być jeszcze powołany na wojenną wyprawę, i to przeciw Polsce, aby uwolnić arcyksięcia Maksymiljana, brata cesarza Rudolfa, którego w r. 1588 uwięzili Polacy, jako współzawodnika Zygmunta do korony polskiej. Zaniepokojony tym wypadkiem cesarz Rudolf udał się o pomoc do

króla Filipa II i na poparcie swej prośby miał wysłać do Hiszpanji poselstwo z ludzi zaufanych: Wespazjana, księcia di Ariscot i Don Guiglelma di San Clemente. Do Gonzagi napisał ujmujący go list po hiszpańsku, na który tenże odpowiedział, że czuje się bardzo zaszczycony zaufaniem monarchy i że każdej chwili gotów jest na rozkaz cesarza poświęcić swoją osobę i mienie i dopełnić wszelkich usług, do których, jako wasal cesarski, jest obowiązany. Tymczasem jednak wyprawa na Polskę została odroczona, a cesarz uwiadomił Wespazjana listem z dnia 27 maja r. 1588, z Pragi datowanym, że w sprawie wojny polskiej musi dopiero zwołać sejm i że o potrzebie podróży Wespazjana do Hiszpanji dopiero później będzie postanowione. Tymczasem wszakże, jak jeden z biografów Gonzagi utrzymuje, cesarz powołał go do Pragi, ażeby zasięgnąć jego rad i w razie wojny powierzyć mu dowództwo. Gdy jednak do wojny nie przyszło, Wespazjan wrócił do Sabbionety, a cesarz w nagrodę jego trudów nadał mu tytuł „Altezza".

Vespasiano jeszcze i teraz nie spoczął. W Sabbionecie nie było teatru; postanowił więc scenę zbudować, a że ciągle studjował Witruwjusza, przeto najbardziej odpowiadały jego zamiarom plany teatru starożytnego. Za wzór wziął sobie teatr olimpijski w Vicenzy i wzniósł naprzeciw sceny rodzaj areny z lożami, opartemi na korynckich słupach. Proscenium i perspektywy budynków miały przedstawiać wielki plac z przeróżnemi gmachami, wykonanemi z pomalowanego drzewa. Orkiestrę ukrył w zagłębieniu przed proscenium. Był to pierwszy teatre w Lombardji, urządzony na wzór starożytnych teatrów; drugi podobny wybudował dopiero w r. 1619 w Parmie duca Ranuccio Farnese.

Z początkiem roku 1591 zachorował Vespasiano obłożnie, a czując się bliskim śmierci, spisał 25 lutego 1591 przed notarjuszem testament, w którym swoją dziedziczką ustanowił córkę, a jako wódz doświadczony, polecił księciu Stagliano, swemu zięciowi, aby ściągnął milicję do Sabbionety i do Bozzolo, zaopatrzył miasto w żywność i amunicję. Przezorność ta była potrzebna, gdyż Giulio Cesare Gonzaga di San Martino i Scipio Gonzaga rościli sobie prawa do następstwa po Wespazjanie i mogli napaść na Sabbionetę, aby tam ogłosić swoje

panowanie. żonie swojej, Margherície Gonzadze, kazał zwrócić posag i wypłacać jej rocznie dwa tysiące skudów dożywocia, a oprócz tego oddać klejnoty, które jej w czasie małżeństwa podarował. Testament zawierał także mnóstwo religijnych fundacyj. Egzekutorami swej ostatniej woli zamianował księcia Parmy, Don Ranuccia Farnese, wielkiego swego przyjaciela, i zięcia, Ludwika di Stagliano.

Wespazjan umarł 26 lutego 1591; pochowany został w Sabbionecie, w kościele Incoronaty, gdzie mu córka wystawiła wspaniałe mauzoleum.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

RÓD CARAFÓW

I

Podziemna kaplica, a raczej krypta pod katedrą w Neapolu, jest jednym z najpiękniejszych zabytków budowlanych wczesnego odrodzenia. Uderza swą harmonją i poważnym spokojem. Na trzech rzędach marmurowych słupów spoczywa gładka powała, w głębi ołtarz, zawierający relikwje św. Januarego, a ku temu przybytkowi neapolitańskiego kultu zwraca się kamienna postać kardynała, oparta o klęcznik z herbowemi znakami. W półcieniu krypty ma się złudzenie, jakoby ta postać kiedyś żyła i skamieniała, przysypana popiołami Wezuwjusza.

Osobistość tego kardynała znana dobrze w Rzymie; w San Domenico w podobny sposób klęczy on przed Madonną na obrazie pędzla fra Filippa Lippi. Oliviero to Carafa, jeden z najznakomitszych członków potężnego neapolitańskiego rodu. Na drzwiach, z bronzu wykutych, prowadzących do krypty, widać wagę i napis „Hoc fac et vives"; miało to być hasło Carafów: „Bądź sprawiedliwy, rozważny, a utrzymasz się na powierzchni społeczeństwa". Niewielu z tego rodu wyryło sobie piękną zasadę w pamięci. Kardynał jednak Oliviero należał do chwalebnych wyjątków. Późniejsi Carafowie dodali cierń do herbu; widocznie mimo majątków i godności przechodzili ciężkie chwile.

Przejeżdżający koło Kaserty widzi zdala, na pagórkach, zamykających horyzont ku wschodowi, dziwaczne ruiny średniowiecznego zamczyska. Tam była kolebka potęgi Carafów. Ca-

stello nazywało się Maddaloni i od niego pisali się Carafy z Maddaloni, a przodkiem ich w pierwszej połowie piętnastego wieku był Antonio, z przydomkiem Malizia († 1439). Antonio miał synowca Oliviera, owego klęczącego kardynała, który najwięcej dodał blasku rodzinie.

Powiadają, że średniowieczna wielkość baronów neapolitańskich polegała na trzech C, bo na tę literę zaczynają się nazwiska trzech potężnych rodów: Carafa, Caraccioli i Capece; ale to raczej pochlebstwo heraldyków, aniżeli rzetelna prawda. To pewna, że Carafowie wzbili się w zaszczyty i majątki pod dynastjami Andegawenów i Aragonów, a najwięcej się do tego przyczynił Diomede Carafa, wojownik i wierny doradca Alfonsa I i jego syna Ferranta. Nawet za czasów buntu baronów neapolitańskich, kiedy najwierniejsi dotąd słudzy korony zdradzali króla, stał Diomede wiernie przy Ferrancie. A był nieubłaganym przeciwnikiem buntowników. Jedenastego maja 1487 ustawiono w Castel-Nuovo trybunę, pokrytą czarnem suknem; tam ściął kat dwóch najpotężniejszych dotąd ministrów królewskich, zdrajców, przewódców buntu. Przypatrujący się tej smutnej scenie lud neapolitański mimowoli padł na kolana i odkrył głowy; ale Diomede Carafa cieszył się i zacierał ręce, że zwyciężył swych osobistych nieprzyjaciół. Radość jego wszakże niedługo trwała; w kilka dni później, w środę 17 maja 1487, umarł nagłą śmiercią „wskutek niezbadanych wyroków boskich".

Ten Carafa był wytrawnym politykiem. Gdy Eleonora aragońska wychodziła w r. 1473 za Ercola d'Este, księcia Ferrary, napisał jej Diomede list pełen rozumnych rad, jak się ma zachowywać wobec swoich poddanych. Przedewszystkiem nie powinna o tem zapominać, że nie każdemu można dać złoto, srebro albo kawał ziemi, bo na to cały światby nie wystarczył; uprzejmem słowem i przyjacielskim uśmiechem można jednak obdzielać każdego, a podczas gdy majątek wskutek rozrzutności stawałby się coraz szczuplejszy, skarb słowa coraz to większą ma wartość i rośnie, gdy o książęcej dobrotliwości opowiadają poddani. Rada ta wybornie charakteryzuje Włocha-południowca: dobre słowa nic nie kosztują. Rzymska kurja najczęściej tem zwyciężała. Co do postępowania z Ercolem, z małżonkiem, także rozumną wskazówkę daje księżniczce Diomede. Ra-



Wicekról hiszpański conte di Castriglio

dzi pilnie uważać na to, co się mówi; mężowie lubią kobiety pełne dowcipu i sarkazmu, ale nie we własnym domu.

Diomede nagromadził wielkie bogactwa; dochody jego miały wynosić czterdzieści tysięcy dukatów. Wybudował też w Neapolu pałac, odpowiadający potędze i wielkości rodu. Gmach to trochę za ciężki, ale spojony z twardych ciosów kamienia sorrentyńskiego, mogący wytrzymać oblężenie ludowej rewolucji. Naprzeciw głównej bramy ustawił Carafa ową olbrzymią głowę konia ze spiżu, która dzisiaj się znajduje w neapolitańskiem muzeum. Jest to jedyna pozostałość ze słynnego greckiego rumaka, który jako symbol Rzeczypospolitej miał niegdyś zdobić pałac przed świątynią Neptuna. Zabobonny lud neapolitański przypisywał temu potężnemu zabytkowi greckiej sztuki moc czarodziejską, a tradycja niesie, że król Konrad Hohenstaufen, stłumiwszy bunt neapolitańskiego ludu, kazał założyć temu koniowi wędzidło. Do roku 1322 stał ów koń spiżowy przed katedrą; gniewało to wszakże arcybiskupa Huberta Montauro, że lud przyprowadza tam chore szkapy w przekonaniu, że silny koń grecki je uleczy. Arcybiskup, niewielki znawca starożytnej sztuki, kazał bronz rozbić w kawałki, ulać z niego dzwony do kościoła i tylko głowę pozostawił nietkniętą. Diomede Carafa głowę tę nabył, ustawił w swoim pałacu i dopiero z początkiem dziewiętnastego wieku została cenna pamiątka umieszczona w muzeum burbońskiem. Wtedy już wielkość rodu Carafów należała do historji, a pałac był własnością adwokata Franceska Santangelo, znakomitego archeologa.

Prawie równocześnie z Diomedem żył kardynał Oliviero, ozdoba rodu. Diomede umarł 1487 r., Oliviero doczekał się późnego wieku, umarł jako ośmdziesięcioletni starzec 1511 roku i pochowany został w tej kaplicy, w której widzimy jego kamienny posąg. Była to wspaniała postać odrodzenia; prawnik, teolog, polityk i wielki znawca starożytnej sztuki, oddany całą duszą Aragonom, doszedł wskutek ich poparcia do zaszczytów i wielkich bogactw. Papież Pius II nadał dwudziestoośmioletniemu Olivierowi godność arcybiskupa, a w dziewięć lat później mianował go Paweł II kardynałem. Na jego dochody składało się arcybiskupstwo neapolitańskie, mnóstwo biskupstw i opactw, jak Chieti, Rimini, Terracina, La Cava, Monte Vergine, Bene-

vent i t. d. To ostatnie opactwo odegrało w jego życiu bardzo ważną rolę. W tamtejszym kościele miały się znajdować popioły świętego Januarego.

Kościelni pisarze neapolitańscy pierwszych wieków chrześcijaństwa ubolewali nad tem, że Neapol prawie nie miał męczenników za wiarę; lud neapolitański porzucił pogaństwo i przyjął nową religję bez walk, wstrząsających całe społeczeństwo.

Patron miasta, Agrippinus, którego popioły spoczywały w tamtejszych katakumbach, nie był męczennikiem; przypomniano sobie jednak około roku ośmsetnego, że obok Agrippina leżą szczątki biskupa Januarego i że ten poniósł rzeczywiście śmierć męczeńską za nową wiarę koło Solfatary. Ale ku wielkiej zgryzocie neapolitańczyków okazało się, że ów męczennik był rodem z Benewentu, co jednak nie przeszkodziło, że temu świętemu powierzono opiekę nad miastem i udawano się do niego, kiedy Wezuwjusz groził spustoszeniem.

Gdy jednak w walkach z Longobardami książę Benewentu, Sico, oblegał Neapol, wydarł neapolitańczykom największy skarb, relikwje św. Januarego, i w triumfie zawiózł do swojej stolicy. Ponieważ ta grabież nie mogła się odbyć bez woli świętego, więc legenda znalazła powód, dla którego św. January pogniewał się na neapolitańczyków. Jakaś kobieta miała sen, że święty nie mógł znieść największej wady, zakorzenionej w tamtejszem społeczeństwie, a mianowicie skłonności do krzywoprzysięstwa, z którego neapolitańczycy byli znani od zamierzchłych czasów średniowiecza. Pod tym względem i ucieczka św. Januarego nie na wiele się przydała, bo w kilka wieków później musieli wicekrólowie hiszpańscy wyznaczyć bardzo surowe kary na krzywoprzysiężców.

Ażeby lud uspokoić, rozgłoszono po mieście, że Sico wywiózł tylko ciało świętego, że głowa jednak pozostała w Neapolu. Nabożeństwo ku świętemu jeszcze się wzmogło. Gdy Wezuwjusz zaczynał być groźnym, wynoszono relikwjarz z głową św. Januarego, aby zażegnać wybuch. Flaszka szklanna Wergiljusza nie obroniła miasta przed wojskami Henryka VI; trzeba było innego talizmanu, któryby odwracał nieszczęścia. Stała się nią ampułka z zastygłą krwią św. Januarego, a jeden z ówczesnych pisarzy neapolitańskich wyraził się, „że krew św. Ja-

nuarego jest krwią żywotną Kampanji. Kampanja się nie zestarzeje, dopóki ta krew krąży". Ale cenna ciecz w ampułce niezawsze bywała płynna; czasami się burzyła, co było złą przepowiednią.

Od końca XV wieku krew św. Januarego ważną rolę odgrywała w historji Neapolu; każde większe, szczęśliwe czy smutne zdarzenie łączono z płynnością lub zastygnięciem krwi świętego. Kronikarze opowiadają, że gdy Filip II prowadził wojnę z Pawłem IV Carafą, krew się burzyła przez rok cały. Przedewszystkiem jednak wybuchy Wezuwjusza miały zależeć od św. Januarego; nazwano go też „praepositus Vesuvianis ignibus". Rządy Aragonów i wicekrólów hiszpańskich wyzyskiwały tę wiarę ludu do swoich celów i z tego powodu starały się ją jeszcze spotęgować i utrwalić.

Nie dziw też, że taki znawca wierzeń swego ludu, jak Oliviero Carafa, skorzystał ze sposobności, aby nadać blasku sobie i swej rodzinie. Postanowił szczątki ciała św. Januarego sprowadzić do Neapolu. Niemało to kosztowało zachodów, bo relikwje w ciągu wieków zostały przeniesione do klasztoru w Monte Vergine koło Avellino, a mnisi laterańscy nie tak łatwo się pozbywali skarbu, który im przynosił niemałe dochody. Ale kardynał zwyciężył zakonników i szczątki św. Januarego zostały przeniesione do Neapolu wśród wielkich ludowych uroczystości. Aby godnie pomieścić relikwje, a i sobie i rodowi Carafów dodać chwały, kazał Oliviero wybudować ową kryptę (1497—1508), o której wspomnieliśmy. Architektem był artysta z Lombardji, Tomasz Malvito, a budowa miała kosztować dziesięć tysięcy dukatów. że jednak kaplica należy do najpiękniejszych tego rodzaju budowli odrodzenia, nie było to zasługą samego tylko Malvita, ale w znacznej części musiał wpływać na piękność planu sam kardynał, który także w Rzymie dał dowody, że był człowiekiem, pojmującym artystyczne piękno. Oliviero bowiem polecił Bramantemu wystawić prześliczną w swej prostocie kolumnadę (1504) w Santa Maria della Pace w Rzymie, która świadczy o wykwintnym smaku artystycznym kardynała.

Oliviero był zresztą nadzwyczaj popularną osobistością nietylko w Neapolu, ale i w Rzymie; dużo robił dobrego i zapisał się w pamięci rzymian ustawieniem koło swego pałacu

tak zwanej statuy Pasquina. Swój znakomity księgozbiór zapisał klasztorowi lateraneńskich kanoników przy Santa Maria della Pace.

W Neapolu miał takie poważanie, że gdy raz przybywał z Rzymu dwiema galerami, wyszedł naprzeciw niego król Federigo i w towarzystwie najznakomitszych dworzan odprowadzał go do mieszkania w Castel dell'Ovo przy odgłosie trąb. Po jego śmierci (1511) arcybiskupstwo neapolitańskie stało się przez sto lat dziedzicznem w rodzinie Carafów; nikt nie śmiał odebrać tego przywileju następcom kardynała, który sprowadził relikwje św. Januarego do Neapolu.

Jako szczegół z jego życia opowiadają kronikarze, że kardynał nie znosił od dzieciństwa zapachu róż, tak dalece, że służba musiała uważać, aby nikt z kwiatem róży nie wchodził do jego pałacu.

II

Olivier Carafa miał synowca z linji hrabiów na Montorio, Jana Piotra, młodzieńca wielkich zdolności, który się poświęcił stanowi duchownemu. Kardynał bardzo go polubił, kierował jego wykształceniem i pragnął w nim mieć następcę w kościelnej karjerze. O ile jednak kardynał był wielkim dyplomatą, który się od młodości pogodził z panowaniem hiszpańskiem w Neapolu, o tyle Giovanni Pietro, charakter gwałtowny, nie znosił Hiszpanów i marzył tylko o tem, aby się pozbyć butnych najeźdźców. Hiszpanie wiedzieli o jego usposobieniu, niechętnem rządowi; to też gdy Giovanni Pietro za protekcją Oliviera został biskupem Brindisi, wicekrólowie neapolitańscy dawali mu na każdym kroku uczuwać swoją niechęć, zwłaszcza, że porywczy książę kościoła twardemi nieraz słowy piętnował cesarza i jego zastępców i uważał ich za największych nieprzyjaciół swojej ojczyzny. Ręka hiszpańska tak nad Carafą w Brindisi ciążyła, że Giovanni Pietro zrzekł się nawet tego biskupstwa, wrócił do Rzymu, gdzie przebył całe oblężenie z r. 1527, i jeszcze większą rozgorzał nienawiścią ku Hiszpanom. Po Sacco di Roma przeniósł się do Werony, a stamtąd do Wenecji, gdzie założył słynny zakon teatynów i tak się odznaczył w służbie kościoła, że Pa-

weł III Farnese wyniósł go w r. 1536 do godności kardynała. W kolegjum rzymskiem nie krył się bynajmniej ze swą nienawiścią ku cesarzowi, należał zawsze do opozycji, nazywał publicznie Karola V sprzymierzeńcem heretyków. Stosunek pomiędzy nim a rządem hiszpańskim zaostrzył się do tego stopnia, że wicekról nie dozwalał przez długi czas objąć mu w posiadanie arcybiskupstwa neapolitańskiego, które mu papież nadał, a wpływy hiszpańskie przeszkodziły jego wyborowi na stolicę apostolską dwa razy, a to po śmierci Pawła III i Juliusza III, pomimo że w kolegjum kardynalskiem miał chwilowo większość głosów za sobą. Carafa był nawet przekonany, że Hiszpanie przekupili jednego z jego służących, aby go otruł i że tylko przypadkowi zawdzięczał swoje ocalenie.

Następca Juljusza III, papież Marceli II, umarł po kilku dniach panowania; kandydatura Carafy znowu stawała się aktualną. Miesiąc trwały walki pomiędzy francuskimi kardynałami a stronnikami Hiszpanji, aż wreszcie 23 maja 1555 został wybrany Giovanni Pietro jako Paweł IV przeciw woli Karola V.

Papież był człowiekiem dumnym, despotycznym, niezłomnym w swych ważnych postanowieniach, ale już wiekiem i pracą znękanym. Czasami wybuchał namiętnym gniewem i wtedy nikt nie miał na niego wpływu, nikt nie miał nawet odwagi wystąpić przed nim ze zdaniem, któreby się sprzeciwiało jego chwilowej woli; gdy jednak wzburzenie minęło, stawał się zmęczonym starcem, widzącym chętnie około siebie jakąś podporę.

Wiedziała o tem najbliższa rodzina.

Brat papieża, Giovan Alfonso, hrabia na Montorio, człowiek już wiekowy, miał dużo dzieci, z których jednak tylko trzech synów doszło do dojrzałego wieku, a mianowicie Don Giovanni, Don Antonio i Don Carlo. Lenne majątki rodziny miały przejść po śmierci Alfonsa na Don Giovanniego; według zwyczaju więc dwaj młodsi synowie musieli szukać karjery w wojsku albo w obcej służbie.

Najmłodszy, Don Carlo, dostał się jeszcze jako mały chłopiec na dwór kardynała Pompea Colonny, owego zręcznego a zarazem gwałtownego księcia kościoła, nieprzyjaciela Klemensa VII, i służył tam jako paź. W młodzieńczych latach porzucił jednak dwór kardynała i wstąpił do wojskowego zakonu

św. Jana jerozolimskiego, którego zadaniem była walka z niewiernymi. Z niewiadomych nam jednak powodów niedługo należał do tej rycerskiej korporacji; wystąpiwszy z zakonu, udał się na dwór Luigiego Farnese, syna Pawła III, a stamtąd zaciągnął się w szeregi markiza del Vasto w Piemoncie. Ale i u słynnego wojownika niedługo służył niespokojny młodzieniec, gdyż znajdujemy go niebawem w otoczeniu księcia Oktawjusza Farnese, pod którego dowództwem walczył na żołdzie cesarskim w Szwabji i w Saksonji przeciw protestantom. W tej wojnie zaszedł wypadek, który wpłynął stanowczo na przyszłe jego losy. Carafa wziął w niewolę jakiegoś bogatego Niemca, za którego spodziewał się otrzymać wysoki okup. Ponieważ jednak w wojsku cesarskiem wówczas Hiszpanie zawsze mieli słuszność, więc książę Alba przyznał jeńca jakiemuś hiszpańskiemu dowódcy, który rościł sobie do niego prawa. Carafa, dotknięty tą niesprawiedliwością, opuścił cesarskie szeregi i chciał wyzwać na pojedynek owego Hiszpana; ale Alba dowiedział się o tem i kazał uwięzić w Trydencie wracającego do Włoch Carafę. W więzieniu trzymał go Alba tak długo, dopóki Carlo nie zrzekł się swych pretensyj do owego okupu i nie przysiągł, że nie będzie prześladował Hiszpana swą zemstą. W młodym Włochu krew zawrzała z powodu tej niesprawiedliwości, zapamiętał ją sobie na całe życie. Nadto inna zaszła jeszcze okoliczność, która zwiększyła gniew Carla przeciw cesarskim. Stryj jego, Giovanni Pietro Carafa, będący wówczas kardynałem, wyrobił mu u papieża Pawła III godność opata neapolitańskiego i przywiązane do niej dochody. Ale wicekról neapolitański, który według praw istniejących miał oddać prebendę w posiadanie nowego opata, odmawiał mu jej pod różnemi pozorami, jak się zdaje, wskutek polecenia Karola V. Carlo tak dalece był przekonany o niechęci do niego samego cesarza, że obawiał się, iż go monarcha każe otruć; zaciągnął się więc na nowo do służby Oktawjusza Farnese, a stamtąd przeszedł na żołd francuski, wstąpiwszy do wojska, które Henryk II utrzymywał we Włoszech pod dowództwem marszałka Strozziego.

Awanturniczy condottiere nie wytrzymał długo i we francuskiej służbie; znalazł się niebawem w Rzymie, szukając pomocy i oparcia u swego stryja, Giovanniego Pietra, który tym-

czasem został kardynałem. Ale kardynał nie miał zaufania do synowca, zabronił mu wstępu do swego domu i miał zresztą zupełną słuszność, gdyż Carlo zaczął żyć w Rzymie z rozbojów, połączył się z kilkoma towarzyszami i rabował sklepy spokojnych kupców. Tego rodzaju zajęcie nie mogło trwać długo bezkarnie; gubernator miasta kazał go zamknąć do wieży, do Tor di Nona, skąd uwolniony po niejakim czasie, udał się do ojczyzny, w Neapolitańskie, aby tam szukać zajęcia. W r. 1545 widzimy go w Benewencie, gdzie nie mając z czego żyć, zaczął od mordowania ludzi za pieniądze. Zdarzyła się do tego dobra sposobność; zapoznał się z niejakim Girolamem Contromerim, który nosił w sercu gniew ku Tomaszowi Panacchione, także nieznanej dzisiaj osobistości. Contromeri obiecał Carafie trzysta skudów, jeżeli zgładzi Panacchiona. Nasz bravo dobrze się wywiązał ze swego zadania; wybrał na zamordowanie ofiary dzień, kiedy Panacchione wyjechał z Benewentu, i z kilkoma towarzyszami czekał na niego przy drodze. Wprawdzie jeden z przyjaciół Panacchiona dowiedział się o zbrodniczym zamiarze i posłał za nim konnego z ostrzeżeniem, aby się miał na baczności; ale posłaniec przybył za późno: Carlo własną ręką zamordował już Tomasza, pomimo, że tenże błagał, aby mu darował życie. Morderca powrócił narazie do Benewentu, jak gdyby się nic ważnego nie stało, a żyd Bonaventura wypłacił mu imieniem Girolama czterysta dukatów. Zdaje się, że nie było to jedyne morderstwo, którem Carlo zbroczył swą rękę; życie ludzkie niewiele u niego ważyło, zarabiał, jak mógł.

Widocznie jednak to „zajęcie“ nie przynosiło dostatecznego dochodu, Carlo postanowił bowiem wybrać się do Rzymu i na nowo starać się o łaski stryja kardynała. Ale starzec wiedział o zbrodniach synowca i niechętnie go widział w Rzymie. Carlo się jednak tym razem nie zrażał, postanowił bądź co bądź zdobyć łaski potężnego krewnego, a mając lat trzydzieści kilka, nauczył się hipokryzji i zaczął prowadzić w Rzymie „przykładne“ życie; chodził do kościołów, spowiadał się często, starając się o to, aby wieści o jego nawróceniu dochodziły do Giovanniego Pietra. Zmiękczony starzec otworzył mu drzwi swego pałacu i wyznaczył jakąś izdebkę na mieszkanie, a wtedy Carlo widząc, że powoli zwycięża, spotęgował jeszcze swoje zabiegi.

Gdy kto ze służby kardynała przechodził koło jego pokoju, Carlo rzucał się na kolana przed krzyżem, wylewał łzy i bił się w piersi, jak skruszony grzesznik. Kardynał chciał się nieraz naocznie przekonać, czy to prawda, co mu opowiadają o nawróconym synowcu; podchodził więc pod jego drzwi i z rozkoszą przysłuchiwał się owym głębokim westchnieniom. Zręczny Carlo miał zaś oddanego sobie służącego, który szybko zawiadamiał go, jak tylko kardynał się zbliżał, tak, że mniemany pobożniś mógł zawsze w samą porę oddawać się swym głośnym religijnym praktykom.

Carlo przeczuwał, że owe udane modły wkrótce hojnie będą nagrodzone. Używał też całej swej zręczności i przebiegłości, aby pozyskać łaski stryja, i cel ten już prawie wówczas osiągnął, kiedy Giovanni Pietro wstępował na stolicę apostolską. Co więcej, stary Carafa zaczynał czuć pewną słabość do synowca, cenił jego zdolności i łudził się nadzieją, że będzie w nim miał oddanego sobie sługę.

Nowy papież i jego synowiec spotykali się we wzajemnej nienawiści do Hiszpanów, a Paweł IV, poznawszy zdolności Carla, widział w nim człowieka, któremu będzie mógł zaufać, zwłaszcza, że całe swe otoczenie podejrzywał o hiszpańskie sympatje. Carlo był dość zręczny, aby spostrzec, że owa nienawiść papieża do Hiszpanów może się mu stać kotwicą i fortuną. Zbliżywszy się więc do papieża, umiał jeszcze bardziej podniecać gniew starca przeciw cesarzowi i na tej drodze coraz bardziej zyskiwać zaufanie stryja. Nie tracił zresztą czasu, ale wszelkiemi sposobami postanowił jak najprędzej korzystać ze szczęśliwego dlań zbiegu okoliczności, a plany jego były tak śmiałe, że niebawem po wyborze Pawła IV marzył już o kardynalskiej godności. Otoczenie papieża, pamiętne, że za jego poprzedników, za Aleksandra VI, Juljusza II, Leona X, Klemensa VII i Pawła III nepoci papiescy, jak Cezar Borgia, Francesco della Rovere, Lorenzo Medici, Aleksander Medici i Pier Luigi Farnese wywierali przeważny wpływ na sprawy państwa, wcześnie instynktem dworzan zaczęli przeczuwać, że ów niedawno jeszcze nic nieznaczący Carlo Carafa może się stać niebawem potężną osobistością i zapanować nad starcem papieżem. Wielu więc z nich starało się zaskarbić łaski przyszłego ulu-

bieńca papieskiego i w przewidywaniu tego, co się stanie, zwracali uwagę Pawła IV na szczególne zdolności i dyplomatyczny takt jego synowca. Znaleźli się zaraz tacy, którzy podsuwali papieżowi myśl, aby Carla mianował kardynałem. Oczywiście papież, znający dokładnie przeszłość synowca, oburzał się z początku na taką myśl i miał powiedzieć pierwszemu, który mu ją poddał, francuskiemu ambasadorowi, panu d'Avanson: „Jakżeż chcecie, abym kardynałem mianował człowieka, którego ramiona po łokcie krwią są zbroczone?"

Ale ów zbrodniczy kandydat na wysoką godność czuł się już za silnym, aby się zniechęcać nawet tego rodzaju o nim mniemaniem papieskiem, liczył zaś przedewszystkiem na poparcie ambasadora francuskiego i kardynałów, sprzyjających francuskiej polityce, dla których był sympatyczny, jako wróg Hiszpanów. Korzystając więc z tego usposobienia wpływowych osobistości, Carlo zorganizował niebawem formalne sprzysiężenie wokoło papieża, spisek, którego zadaniem miało być zwalczenie oporu Pawła IV i usunięcie skrupułów, jakie mógł jeszcze papież mieć co do jego nominacji. Carlo postępował tak zręcznie, że na korzyść swej kandydatury umiał sobie nawet ująć Hiszpanów, którym cichaczem przysięgał, że będzie zawsze popierał interesa cesarskie w kolegjum kardynałów. Nawet ambasador Karola V, don Juan Manriquez, uwierzył w szczerość tych zapewnień i sam prosił papieża, aby synowca wyniósł do tej wysokiej godności. Prędzej, jak się można było spodziewać, w przeciągu dwóch tygodni przekonano Pawła IV o konieczności tej nominacji, tem bardziej, iż papież spodziewał się, że w nawróconym synowcu będzie miał zupełnie oddanego sobie sługę i przyjaciela. Siódmego czerwca 1555 postanowił papież zamianować Carla kardynałem diakonem i wydać bullę, która zmywała z jego rąk ślady krwi, zbrodniczo rozlanej. A papież dużo przebaczał i z dziwną otwartością wyjawiał w tem piśmie przeszłość Carla Carafy. Przebaczał mu w imię swej apostolskiej władzy wobec Boga i ludzi wszystkie zbrodnie, które popełnił, a więc rozboje, świętokradztwa, kradzieże, morderstwa; kazał puścić w niepamięć, że ten człowiek zadawał bliźnim ciężkie rany, że im kawałki ciała swym mieczem obcinał, a podejrzewając Carla, że ma na sumieniu jeszcze więcej przewinień, ani-

żeli ludzie o tem wiedzą, zmazywał wszystkie inne zbrodnie, które tenże mógł popełnić tak w Rzymie, jak i w innych krajach, zamkach, wsiach, choćby nawet owe zbrodnie pociągały za sobą ekskomunikację. Papież kończył swoją bullę pamiętnemi słowy, „że zwraca mu pierwotny stan cnoty i czyni go tak niewinnym, jakiem jest dziecko po chrzcie świętym“.

Z „brava“, który ludzi mordował za pieniądze, przechodził więc Carlo Carafa w stan anielskiej czystości.

III

Carlo wybornie poznał słabostki stryja i umiał z nich korzystać; wkrótce też opanował tak dalece papieża, że stał się prawie wszechwładnym kanclerzem państwa, a Paweł IV zajmował się tylko ważnemi sprawami kościoła. Zaufanie starca miało zresztą główną swą podstawę w przekonaniu, że Carlo równie, jak on, nienawidzi Hiszpanów i że wszelkich będzie dokładał starań, aby osłabić ich wpływ we Włoszech. Powtórzyło się więc znowu to, co było nieszczęściem za poprzednich papieży, że interes ulubionego nepota rozstrzygał o polityce stolicy apostolskiej. Carlo pałał zemstą przeciw Hiszpanom, łączył się z Francją i utwierdzał Pawła IV w jednostronnem, namiętnem ocenianiu politycznego położenia. Wszechwładny kardynał postanowił zbudować swoją i swojej rodziny wielkość na przymierzu państwa papieskiego z Henrykiem II i sądził, że król francuski otoczy Carafów podobną opieką, jak Karol V Medyceuszów. Ambasador hiszpański w Rzymie i książę Alba, wicekról neapolitański, spostrzegli niebawem, do czego dąży papieski nepot, mieli się na baczności i postanowili działać przeciw nowej polityce stolicy apostolskiej, bezwzględnej wobec cesarstwa.

Stronnictwo Karola V w państwie papieskiem było bardzo silne, opierało się na feudalnych rodach, które oddawna z cesarstwem były złączone. Przewodzili im Colonnowie, potężni, bogaci, rozgałęzieni nietylko w okolicach Rzymu, ale w Neapolitańskiem i na Sycylji. Na wezwanie markiza de Saria, ambasadora Karola V, zgromadzili się stronnicy cesarscy pewnej nocy w pałacu Santa-Fiora, kardynała Sforza, by powziąć decy-

zję, jak się zachować wobec widocznej nieprzyjaźni papieża i jego głównego doradcy, która zaczynała zagrażać całemu gibelińskiemu stronnictwu. Zgromadzenie było tak liczne, że przyjaciele cesarstwa nie mogli się pomieścić w pałacu, a znaczna ich część oczekiwała na ulicy uchwał, jakie miały tam zapaść. Pierwszy powstał Camillo Colonna i w mowie pełnej gniewu i namiętności groził papieżowi, że tak samo, jak jego przodkowie zamykali papieży do więzienia i tam im ginąć kazali, i teraz możnaby postąpić z Pawłem IV. Całą noc wymyślali rozmaici mowcy papieżowi, a nazajutrz publiczność rzymska wiedziała o treści burzliwych obrad, tak dalece, że kardynał z Burgos, pomimo, że Hiszpan, uważał sobie za obowiązek sumienia o wszystkiem uwiadomić papieża. Stary Paweł IV zawrzał z gniewu, nazwał owo nocne zebranie „synagogą“ i nie zważając na zawikłania polityczne, jakie mogą stąd wyniknąć pomiędzy nim a dworem hiszpańskim, kazał 10 sierpnia 1555 uwięzić Lottina, sekretarza kardynała Santa-Fiora, jednego z uczestników cesarskiego stronnictwa. Papież byłby był jeszcze z większą surowością wystąpił wobec ludzi, którzy w stolicy śmieli urągać jego władzy, ale obawiał się narazie Colonnów, bardzo popularnych, za którymi stał lud rzymski. Widząc jednak, że to gwałtowne postępowanie stronników cesarskich było nie na rękę ambasadorowi hiszpańskiemu, który z powodu chwilowych niepowodzeń oręża Karola V z Francuzami nie chciał wywoływać wojny z papieżem, poczuł się Paweł IV niebawem na siłach i wtrącił jeszcze kardynała Santa-Fiora Sforzę do więzienia. Zamknął go w lochach zamku św. Anioła, chcąc zgnębić jego rodzinę, butną i wrogą Carafom. Sprężyną tego dość niebezpiecznego kroku był kardynał Carlo, który nawet osobiście ze zwykłą sobie perfidją uwięził Sforzę. Zajechał własną karetą przed pałac Santa-Fiory i zaprosił kardynała, aby się z nim udał do miasta cokolwiek się rozerwać, „d’andar a diporto per la città“. Nic złego nie przeczuwając, przyjął Sforza zaproszenie, wsiadł do karety, a rozmawiając ze swoim towarzyszem, nie spostrzegł nawet, jak woźnica skierował konie ku mostowi św. Anioła, a następnie szybko wjechał w bramę fortecy, którą natychmiast zamknięto. Z grzecznością, która rzadko opuszczała dygnitarzy kościoła, wezwał Carafa swego

gościa, aby się udał ze stojącymi już w pogotowiu stróżami do więzienia, papież bowiem radby się zapewnić co do jego osoby.

Był to początek ujarzmienia stronnictwa cesarskiego. Papież wysłał teraz jednego ze swych zaufanych ajentów do księcia Urbino, jenerała milicji kościoła, aby natychmiast zebrał sześć tysięcy piechoty i ruszył ku Rzymowi. Celem tej wyprawy miało być zniszczenie najniebezpieczniejszych wrogów papieża, potężnych Colonnów. Półtrzecia wieku walczyło z nimi papiestwo i nie mogło ich pokonać. Paweł IV rozpoczął teraz wojnę na nowo, wojnę zawziętą, odpowiadającą gwałtownemu jego charaterowi i nieugiętej dumie. Poza papieżem stał Carlo, który spodziewał się, że na gruzach wielkiej gibelińskiej rodziny zbuduje swoją własną potęgę. Zaraz następnej nocy po podstępnem odebraniu wolności kardynałowi Santa-Fiora kazał papież niespodziewanie uwięzić w Cave Camilla Colonnę i odwieźć go także do zamku św. Anioła, aby tam odpokutował za ową podburzającą mowę, którą wypowiedział na nocnem zebraniu w pałacu kardynała Sforzy. Równocześnie wezwał Paweł IV Ascania Colonnę, aby się stawił przed papieskim trybunałem; ale Ascanio dość już miał doświadczenia, aby iść dobrowolnie w pułapkę. W gorszem położeniu znalazł się Marc-Antonio Colonna, gdyż ten bawił wówczas w Rzymie. I jego czekało uwięzienie; narazie zakazał mu papież opuszczać miasto pod najsroższą karą. Marc-Antonio jednak, niedługo się namyślając, umknął z Rzymu do Paliano, gdzie czem prędzej zaczął się zbroić, aby wytrzymać oblężenie papieskiego wojska. Paweł IV wysłał też jednego z braci kardynała Carafy, hrabiego Montorio, na zdobycie znienawidzonego gniazda Colonnów. Marc-Antonio nie miał dość czasu, aby przygotować dostateczną obronę; Paliano musiało się poddać Carafie, który rozpoczął zajęcie miasta od burzenia odwiecznych murów obronnych. Chcąc mieć na każdy wypadek zakładników potężnego rodu w swem ręku, zakazał opuszczać pałac, jak wspomniałem, Joannie d'Aragona, matce Marc-Antonia, i jego małżonce, siostrze księcia Bracciano, które jeszcze były w Rzymie, i zażądał od nich jako zakładu, że ze stolicy nie wyjadą, wysokiej sumy.

Cały plan zniszczenia Colonnów obmyślił zgóry Carlo Carafa. Jak dawniej Rovere lub Farnesowie, tak teraz Carafowie

mieli się wzbogacić polityką papiestwa. Stary hr. Alfonso di Montorio, ojciec kardynała, już nie żył; najstarszy jego syn, Don Giovanni, odziedziczył tytuł ojcowski i ożenił się z bogatą neapolitanką, Violantą d'Aliffe. Ponieważ Aliffowie byli bezwzględnymi stronnikami Hiszpanów, więc papież zrazu podejrzywał i Giovanniego o hiszpańskie sympatje; ale hr. Montorio starał się wszelkiemi sposobami rozprószyć te obawy stryja i podobnie, jak niedawno Carlo, potrafił go przekonać, że jest zawziętym nieprzyjacielem cesarza. Papież też wkrótce otoczył go swoją łaską i zaczął mu powierzać wojenne wyprawy. Giovanni miał syna i córkę, a jak zobaczymy, ten syn stał się później największym ulubieńcem Pawła IV. Drugi brat Carla, Antonio, kłótliwy awanturnik, miał z pierwszej żony dwóch synów: Alfonsa, urodzonego w r. 1541, i Giovanniego Pietra. Trzej bracia: kardynał Carlo, hr. Montorio i don Antonio żyli dotąd w niezgodzie; ale obecnie połączył ich wspólny interes wzajemnego wspierania się celem podniesienia rodu, utworzyli więc potężny triumwirat, który przez trzy lata kierował polityką stolicy apostolskiej. Łupy po Colonnach miały przypaść hrabiemu Montorio, jako najstarszemu, o zaopatrzenie Don Antonia miał się Carlo postarać, konfiskując dobra innej rodziny, sprzyjającej cesarstwu. Sam Carlo nie miał dzieci, opływał już teraz w dostatki, zresztą uśmiechała mu się jeszcze świetna przyszłość. Colonnom odebrano wszystko, nie posiadali już ani jednego zamku, ani jednej piędzi ziemi; w olbrzymich dobrach, które do nich należały, rozsiadł się teraz hr. Montorio. Papież zgodził się na ten rabunek, nienawidził bowiem Colonnów i chciał zresztą mieć w zbogaconym Montoriu oparcie dla swej polityki zgnębienia Hiszpanów, których nazywał „heretykami, połączeniem żydów z Maranami, rasą podłą i wstrętną".

Gniew papieski nie ograniczał się zresztą do Colonnów; uczuć go mieli wszyscy stronnicy Hiszpanji. Paweł IV wydalił z Rzymu Giuliana Cesariniego i Ascania della Cornia, odebrał urząd namiestnika kościoła hrabiemu Pepoli, skazał na wygnanie ośmiu kamerierów, należących do najznakomitszych rodzin, dlatego tylko, że posiadali dobra w Neapolitańskiem, a na kardynale Santa Fiore wymusił oddanie mu ważnej pozycji stra-

tegicznej, fortecy Bracciano, która nawet do niego nie należała, ale do jego wychowanka, Paola-Giordana Orsiniego.

Położenie tak się zaostrzyło, że wojna pomiędzy papieżem a Hiszpanją stała się nieunikniona, cesarstwo bowiem nie mogło ścierpieć zupełnego zniszczenia tych rodów, na których się głównie opierało we Włoszech. Kardynał Carlo zresztą wszystkiemi siłami dążył do wojny, spodziewając się, że w powszechnem zamięszaniu potrafi dla Carafów utworzyć małe państewko, podobnie, jak tworzono nowe państwa dla nepotów dawniejszych papieży. Kardynał wymyślił więc projekt wielkiej ligi przeciw Hiszpanji, do którejby oprócz papiestwa należała Francja i Ferrara, a z zawiązaniem jej tem bardziej się śpieszył, że odkrył spisek, uknuty z wiedzą wicekróla neapolitańskiego, mający na celu zamordowanie papieża i jego głównego doradcy. Doszło do wiadomości Carla, że jakiś opat Nani i Kalabryjczyk Cesare Spina zostali w tym celu wysłani do Rzymu. Rzecz się jednak wykryła, a Nani przyznał się, że miał działać z polecenia ajenta księcia Alby, monsignora Bersegno, który się wówczas znajdował w Bolonji. Kardynał kazał natychmiast uwięzić Bersegna, u którego znaleziono listy szyfrowane, zdradzające całą machinację, obciążającą ministrów i sprzymierzeńców cesarskich. Naniego ścięto, Spinę powieszono. Spisek ten jeszcze bardziej rozgoryczył Pawła IV, zwłaszcza, że przekonano się z przejętej korespondencji, że sam Karol V wie o nim, a zamiarem monarchy było najechać państwo papieskie i odebrać papieżowi wszelką władzę świecką. Cesarz miał przekonanie, że Włochy się dopóty nie uspokoją, dopóki papieże będą świeckimi panującymi i dopóki ich rodzinne interesa będą zródłem nieskończonych intryg.

Paweł IV nie wahał się już teraz zawrzeć przymierze z Henrykiem II francuskim; nadzieje jednak kardynała Carla, by i Wenecję wciągnąć do ligi, spełzły na niczem, ostrożna bowiem Signorja niebardzo ufała obietnicom papieskim; wolała wzbogacać się pewnemi kupieckiemi zyskami, aniżeli łakomić się na część neapolitańskiego królestwa, którą jej papież obiecywał w nadziei, że liga odbierze Hiszpanom Neapol.

Układ z Francją tak dalece wzmocnił wpływ kardynała Carafy, że Carlo nie oglądał się już na żadne względy i wymógł

na papieżu wyniesienie swego krewnego, Diomeda Carafy z Aviano, do godności kardynalskiej, co więcej, zaczął o tem marzyć, aby po śmierci stryja zostać papieżem. Diomede Carafa w kolegjum kardynalskiem mógł mu w tej mierze być wielką pomocą. Do tego samego celu zmierzało zamianowanie hrabiego Montorio naczelnym wodzem wojsk kościoła, co uraziło księcia Urbino, od lat wielu piastującego tę godność, tem więcej, że książę żadnego za swe trudy nie otrzymywał wynagrodzenia od stolicy apostolskiej. Wywyższenie hrabiego Montorio dało sposobność kardynałowi do urządzenia festynów, któreby olśniły lud rzymski i przypomniały czasy Leona X. Nowy jenerał udał się na Kapitol, aby objąć władzę, przybrany w płaszcz ze złocistego brokatu, w kołpaku, wyszytym diamentami. Podczas festynu dawali przedstawienia najznakomitsi aktorzy, a słynni muzycy i śpiewacy bawili koncertami towarzystwo aż do rana. Równocześnie darował papież hrabiemu Montorio wszystkie dobra, odebrane Colonnom, pomimo, że te majątki powinny były zostać własnością kamery apostolskiej. Aby zaś i Antonio Carafa nie wyszedł z próżnemi rękami, wznowił kardynał Carlo jakiś dawny proces przeciw hr. Giovanniemu de Bagno, kazał zająć jego dobra i nadał je swemu bratu. W ten sposób zapewnił kardynał w przeciągu dwóch miesięcy fortunę trzem członkom swojej rodziny, a marzenia jego sięgały coraz dalej i dalej; śnił już o tem, aby córkę hrabiego Montorio, młodą jeszcze Marję, wydać za księcia d'Alençon, trzeciego syna Henryka II, późniejszego króla polskiego, Henryka III. Hrabina Montorio miała raz powiedzieć do teatyna, ojca Ferro, który się bawił beretem jej syna: „Teraz już pora mówić o koronach, a nie o beretach". „E ora tempo di parlare non di barrette, ma di corone".

Śmiałe plany Carla Carafy na chwilę jednak zostały zachwiane; 15 lutego 1556 pełnomocnicy Henryka II zawarli pięcioletnie zawieszenie broni z cesarskimi posłami, wszelkie więc rachuby w Rzymie na pomoc Francji przeciw cesarstwu zawiodły. Papież wynurzył się, że te pięć lat będą dla niego latami męczeństwa, a hr. Montorio drżał o swe dobra neapolitańskie, aby mu ich nie zabrano na rzecz hiszpańskiego skarbu. Ale pełen pomysłów kardynał spokojniej się na rzecz zapatrywał; są-

dził, że Henryk II, ponieważ właściwie zawiódł papieża, zawierając poza jego plecami zawieszenie broni z największym wrogiem stolicy apostolskiej, będzie się poczuwał do obowiązku zdobyć się na jakieś zadośćuczynienie wobec papieża. Projekt był gotowy w głowie kardynała. Francuzi wzamian za zawód, zrobiony papieżowi, powinni skłonić cesarza do oddania ich ostatniej zdobyczy we Włoszech, Sieny, Carafom, jako osobnego księstwa. Cesarz z obawy, aby liga papiesko-francuska po upływie zawieszenia broni na nowo się nie zawiązała, chętnieby powinien przystać na odstąpienie miasta, które mu niemało sprawiało kłopotów. We Francji nie skłaniano się jednak do tego projektu, który miał na celu urzeczywistnienie zamiarów hrabiny Montorio, włożenie korony zamiast beretu na głowę jej syna. W Rzymie więc gniewano się, narzekano, że król francuski, starszy syn kościoła, król arcychrześcijański, zawiódł papieża, a król „katolicki“ Filip II ani nawet nie zawiadomił papieża o zawarciu z Francją zawieszenia broni. Kardynał jednak nigdy na duchu nie upadał, spodziewał się bowiem, że rzeczy w ten lub ów sposób dadzą się jeszcze naprawić na korzyść Carafów; liczył też na osobisty wpływ na Henryka II i w tym celu skłonił papieża, że go wysłał jako nadzwyczajnego legata do Francji. Jedynie wojna Francji z Hiszpanją mogła wynieść Carafów do rzędu panujących rodzin; kardynał postanowił więc pracować nad zerwaniem stosunków pomiędzy temi dwiema monarchjami. Oczywiście Carlo przedstawił papieżowi cel swojej podróży jako zupełnie pokojowy, zmierzający tylko do odniesienia korzyści dla stolicy apostolskiej. Hiszpanja jednak się nie łudziła, że kardynałowi chodzi o zerwanie porozumienia pomiędzy nią a Henrykiem II, i miała się na baczności.

Przed wyjazdem do Francji wymógł kardynał jeszcze na papieżu, aby załatwił zupełnie formalnie sprawę inwestytury Carafów na dobra Colonnów. Paweł IV wydał więc 4 maja 1556 r. bullę, ekskomunikującą Ascania i Marc-Antonia, pozbawiającą ich posiadłości w sposób uroczysty. W sześć dni później nadawał papież inną bullą księstwo Paliano swemu synowcowi, Giovanniemu, hrabi di Montorio. Syn zaś Giovanniego otrzymał markizat Cave. Bulla przeciw Colonnom przypominała wszystkie zbrodnie, których się ten ród kiedykolwiek dopuścił wobec



Wóz przedstawiający „Afrykę“ na festynie, urządzonym w Ne



w r. 1657 z powodu urodzin następcy tronu hiszpańskiego

papiestwa, wyrzucała mu, że kardynał Pompeo Colonna brał świętokradzki udział w roku 1527 w Sacco di Roma, zwalniała wszystkich wasali Colonnów od przysięgi wierności, rzucała wielką klątwę, anatema, na ten ród znienawidzony. W bulli było czuć radość papieża, że nareszcie niszczy gniazdo bazyliszków, przytacza też w niej słowa psalmisty: „Będziesz stąpał po bazyliszku, podepczesz lwa i smoka“.

Hr. Montorio polecił zaraz słynnemu dowódcy Piotrowi Strozzi, aby silnie obwarował Paliano, tak, aby Colonnowie stracili nawet nadzieję odebrania kiedykolwiek rodzinnego gniazda. Ostrożność ta była potrzebna, gdyż książę Alba, wicekról Filipa II w Neapolu, umacniał pośpiesznie zamki neapolitańskie i gromadził zapasy. Niepokój w Rzymie wzrósł jeszcze bardziej, gdy komendant papieskiego granicznego miasteczka Terraciny schwycił kurjera, który z polecenia wielkiego pocztmistrza cesarskiego, Giovana Antoniego Tassisa, wiózł szyfrowaną depeszę do księcia Alby, która szczególną zwróciła uwagę na papieskim dworze. Papież chcąc się dowiedzieć o treści tego tajemniczego listu, posunął się tak daleko, że kazał uwięzić Tassisa. Sam książę Paliano dokonał tego polecenia; porwano wysokiego cesarskiego urzędnika w nocy, w jego domu w Rzymie, wrzucono do więzienia i wzięto na tortury, aby zeznał, co w tej depeszy było napisane. Tassis nie zdradził tajemnicy, ale w Watykanie domyślano się klucza, służącego do przeczytania ważnego listu. Ajent Filipa II w Rzymie, Don Garcilasso della Vega, wzywał księcia Albę, aby najechał państwo kościelne, zanim fortyfikacje w Paliano będą ukończone. Bezzwłocznie też kazał papież uwięzić Don Garcilassa i nawet nie przyjął cesarskiego ambasadora, markiza de Saria, który mu w tej mierze chciał robić przedstawienia. Zdarzenie to bardzo nieprzyjemnie dotknęło Albę. Paweł IV miał teraz zakładnika, ważną osobistość; wicekról musiał więc dalej działać ostrożnie i posłał do Rzymu jednego ze swych dworzan, aby papieża uspokoić i wytłumaczyć mu, że zbrojenia neapolitańskie nie mają bynajmniej cechy zaczepnej, ale przeciwnie, że były wywołane przez stolicę apostolską, która pierwsza zaczęła z niewidzianym pośpiechem umacniać Paliano. Alba oświadczył, że gotów natychmiast nakazać rozbrojenie, jeżeli papież da mu dobry przykład. Ale pa-

pież, a przedewszystkiem książę Paliano, nie chciał pokojowego załatwienia sprawy, gdyż chodziło o „księstwo“ dla Carafów. Całe familijne otoczenie podburzało papieża przeciw cesarstwu i Hiszpanom, do czego się także przyczyniali emigranci florenccy, niezadowoleni z hiszpańskich wpływów w ich rodzinnem mieście, a na ich czele Silvestro Aldobrandini, adwokat stolicy apostolskiej.

Paweł IV rozkazał Karola V i Filipa II oskarżyć publicznie przed zgromadzonym ludem o występki przeciw papiestwu i nadał temu aktowi niebywały, ostentacyjny charakter.

Dnia 27 lipca 1557 odczytał prokurator fiskalny, Alessandro Pallantieri, w przytomności papieża „protest“, w którym mieściły się jak najcięższe zarzuty przeciw obydwom panującym i przeciw księciu Alby. Całe otoczenie słuchało, klęcząc, owej litanji przekroczeń cesarza i króla, pomiędzy któremi znajdowało się obwinienie cesarza, że nastawał na życie księcia Paliano i że mu chciał odebrać jego świeżo nabyte posiadłości, tudzież, że Ascanio i Marc-Antonio Colonna znaleźli gościnność i opiekę u wicekróla w Neapolu. Prokurator papieski zarzucał cesarzowi zdradę, żądał rzucenia klątwy na obydwu panujących i „konfiskaty“ wszystkich ich państw. Co więcej, żądał zwolnienia od przysięgi wierności poddanych cesarskich i królewskich. Papież wysłuchał tego oryginalnego oskarżenia, które zresztą ułożone było z jego wolą i wiedzą, i zatwierdził treść dokumentu ze zwykłem w takich razach zastrzeżeniem „Sic et in quantum“.

Pawłowi IV zdawało się, że żyje jeszcze w czasach Grzegorza VII lub Innocentego III, że może swem słowem zrzucać monarchów z tronu, rozdawać królestwa według swej woli i rozkazywać całym narodom.

Wiadomość o tem uroczystem oskarżeniu monarchów oburzyła Albę; napisał też bardzo poważny, ale ostry treścią list do papieża, w którym nawzajem przytoczył cały szereg przewinień Pawła IV przeciw cesarzowi, Filipowi II, a przedewszystkiem przeciw utrzymaniu pokoju i dobrego porozumienie pomiędzy chrześcijańskiemi ludami, a nawet otwarcie wypowiedział, że nikt w chrześcijańskim świecie nie mógł przypuszczać, aby papież, jedynie w celu wzbogacenia i podniesienia

swej rodziny chciał zakłócić pokój powszechny, osobliwie w chwili, kiedy się szerzą idee przeciwne katolickiej wierze i herezje. Alba więc nawzajem protestował wobec Boga i całego świata przeciw postępowaniu papieża i czynił go odpowiedzialnym za klęski, które mogą spaść na chrześcijańskie ludy.

Alba nie czekał już na odpowiedź Pawła IV, ale obawiając się, aby papież nie rozpoczął kroków zaczepnych, wyruszył pierwszego września 1556 z wojskiem z Neapolu i skierował się ku San Germano, aby przekroczyć granice papieskiego państwa.

IV

Kardynał Carlo przebywał wówczas we Francji, dokąd pojechał był z wielkim dworem jeszcze 11-go maja 1556. Król francuski przysłał po niego sześć galer do Civitâ-Vecchia; ale otoczenie kardynała było tak liczne, tylu wiózł ze sobą sekretarzy, szlachty honorowej i dworzan, że jego powozy, karety, konie, służba, a nawet muzykanci musieli się udać drogą lądową. Stronnictwo, życzące sobie wojny z Hiszpanją, Gwizowie, przygotowali Carafie prawie triumfalny pochód przez Francję, a co było tem łatwiej, że lud, ciekawy niezwykłej legacji, gromadził się wszędzie po drodze. Cała ta wyprawa nosiła cechę najzupełniej prywatnych interesów rodziny Carafów, a kardynał wystarał się przedewszystkiem, że Henryk II przyrzekł wziąć pod swoją opiekę „państwo“ Paliano, nadane przez Pawła IV najstarszemu z jego synowców, i płacić rocznie żołd dla trzech tysięcy ludzi na tegoż obronę. Nadzieje kardynała cokolwiek się wszakże zachwiały, gdy nadeszła do Paryża wiadomość, że książę Alba zorganizował duży oddział wojska, który miał ruszyć na Paliano, i że dowództwo tego oddziału powierzono Marc-Antoniowi Colonnie; ale wiadomość ta była o tyle dla Carafów korzystna, że Henryk II przekonał się, iż państwu papieskiemu rzeczywiście zagraża niebezpieczeństwo od Hiszpanów. Kardynał skłonił zatem króla do wysłania wojska do Włoch celem bronienia papieża przed napaścią Alby, a tak był pewny zwycięstwa, że ostatni tydzień swego pobytu w Paryżu poświęcił rozrywkom i zabawom w stolicy, która już wówczas

była eldoradem ludzi, pragnących używać. Widywano go prawie ciągle przejeżdżającego w pysznej karocy, w licznem otoczeniu, przez ulice Paryża, ubranego w aksamit, wstążki i koronki i zwiedzającego nietylko osobliwości miasta, ale zatrzymującego się dłuższy czas w domach, gdzie mieszkały znane piękności. Dwór tak dalece honorował gościa, że kardynał trzymał do chrztu wspólnie z księciem de Guise księżniczkę, którą właśnie Katarzyna medycejska obdarzyła Henryka II. Po uroczystości kościelnej zaprosił król kardynała na obiad, przy którym ów niedawny „bravo" siedział po królewskiej prawicy, przy młodej królowej, Marji Stuart, narzeczonej Delfina. Przy obiedzie kardynał trochę za dużo pił wina i tak był szczery, że zaczął głośno wymyślać na Colonnów, od czasów Bonifacego VIII niesfornych wasali stolicy apostolskiej, na cesarza i Filipa II, protektorów tych, którzy śmią głowę podnosić przeciw papieżowi, tak dalece, że obecni tam ambasadorowie obcych mocarstw nie wiedzieli, co począć, nieprzyzwyczajeni, aby poseł stolicy apostolskiej podnosił głos, jak żołnierz obozowy, i wyrażał się o monarchach w sposób przeciwny wszelkim dyplomatycznym zwyczajom.

Na wyjezdnem jednak z Francji zaniepokoił się kardynał niemało wiadomością, że Ottavio Farnese, dotąd sprzymierzeniec Francji i papieża, przechodzi do obozu cesarskiego, albowiem Filip II oddaje mu Piacenzę. Jeszcze więcej go dotknęło doniesienie z Rzymu, że kardynałowie hiszpańscy zaczęli już otwarcie przeciw niemu występować, i gdy papież zawiadomił święte kolegjum, że Henryk II nadał Carlowi biskupstwo w Comminges, hiszpańscy prałaci oświadczyli, że „laski pasterskiej nie powinna dzierżyć taka ręka, jak papieskiego synowca". Wogóle kardynał powracał z Francji niezadowolony, wynik jego podróży nie odpowiadał nadziejom, jakie pokładał w Henryku II; przywoził ze sobą tylko dwa tysiące francuskich żołnierzy i 350.000 talarów, pożyczonych w Paryżu na niezmierną lichwę, na 22 od sta.

Tymczasem jednak książę Alby zajmował z piorunującą szybkością papieskie ziemie. Armja jego liczyła 12.000 piechoty i 1.400 jeźdźców, ale pomiędzy piechotą było 4.000 hiszpańskich weteranów, doświadczonych w bojach, znanych ze swego okru-

cieństwa, którzy prawie z ziemią równali każdą zdobytą osadę, mordując ludność, paląc i niszcząc wszelkie mienie. Włoskim oddziałem wojska Alby dowodził Vespasiano Gonzaga, Marc-Antonio Colonna stał na czele ciężkiej jazdy. Alba zajął z łatwością Ponte-Corvo, Anagni, Frosinone, Caprano i jeszcze ośm innych ufortyfikowanych miasteczek, które pierwej należały do Colonnów; ludność bowiem, nienawidząca kościelnych rządów, pomagała w wypędzaniu papieskiego wojska i witała oddziały Alby okrzykami: Colonna! Colonna! „Gli villani concurrevano di diversi luoghi a danno delli Papisti, gridando Colonna! Colonna!“ — powiada kronikarz.

W Rzymie zapanowało nadzwyczajne zaniepokojenie, Sacco z roku 1527 było jeszcze w świeżej pamięci. Generalissimus papieski, książę Paliano, nie przygotował obrony, a papież przekonał się, że synowiec dbał tylko o własną kieszeń, a nie o państwo, i utrzymywał mniejszą ilość ludzi, aniżeli był powinien, aby zaoszczędzony w ten sposób żołd chować do kieszeni. Paweł IV zniechęcił się do księcia Paliano, a całe szczęście, że kardynał Carlo wrócił do Rzymu, gdyż czem prędzej zaczął jaki taki ład wprowadzać i rzetelnie myśleć o obronie miasta. Nakładał ciężkie podatki na ludność, zabierał mąkę ludziom prywatnym, żywność, konie, sam chodził po murach, chcąc się przekonać, czy dostatecznie przygotowane, aby wytrzymać oblężenie. Zdawało mu się, że kościół Santa Maria del Popolo mógłby przeszkadzać obronie; wydał więc rozkaz zburzenia tej świątyni pełnej artystycznych skarbów. Ponieważ jednak Santa Maria należała zawsze do najbardziej ulubionych kościołów w Rzymie i zawierała cudowny obraz Matki Boskiej, więc pomiędzy ludem powstało wielkie wzburzenie z powodu rozkazu kardynała. Na szczęście książę Alba dowiedział się o tem i kazał uwiadomić stolicę apostolską, że z tej strony nie pozwoli swemu wojsku miasta atakować i prosi, aby kościół został nienaruszony. Kardynał oburzył na siebie wszystkie zakony, kazał bowiem mnichom pod najsurowszemi karami brać łopatę do ręki i pomagać przy sypaniu okopów. Były to najpiękniejsze chwile kardynała, stał się rzeczywiście duszą obrony, a gdy ludność zaczęła tłumnie z Rzymu uciekać, obawiając się powtórzenia okrucieństw Bourbona, przebiegał Carlo miasto, dodawał otuchy ludziom, których

spotkał, ba, nawet poszedł na Kapitol i miał mowę do konserwatorów i do ludu, w której przypominał dawne świetne czasy Rzymian. Ale ani napominania, ani mowy jego nie wywierały najmniejszego wpływu; bogatsi zakopywali do piwnic swe skarby, a gdy kardynał chciał na wojsko zaciągnąć u kupców siedm tysięcy dukatów pożyczki, najzamożniejsi udawali, że nie mają ani grosza gotówki. Nawet innych kardynałów taki strach opanował, że święte kolegjum zebrało się przedstawić papieżowi konieczność układów z księciem Albą, aby nie dopuścić do ponownego zniszczenia Rzymu. Paweł IV musiał ustąpić i ukorzyć się przed nieprzyjaciółmi; wysłał więc jakiegoś hiszpańskiego mnicha do obozu Alby z listem od kardynała San Giacoma, stanowiącym pierwszy krok do układów. Ale wicekról, który w przeciągu kilkunastu dni zajął znaczną część papieskiego państwa i zagrażał Rzymowi, postawił twarde warunki, twarde nie dla stolicy apostolskiej, ale dla Carla Carafy. Alba zażądał przedewszystkiem zwrotu skonfiskowanych dóbr Colonnom i przebaczenia dla Ascania i dla Cornia.

Na takie warunki upojony dumą kardynał przystać nie mógł, z tem większą więc energją zabrał się do zorganizowania obrony miasta. Ale pozganiane ze wszystkich stron świata żołdactwo papieskie więcej mu w tej mierze przeszkadzało, aniżeli było pomocą. Francuzi kradli, co się dało, i porywali dziewczęta; Niemcy luteranie naumyślnie jedli mięso publicznie w dnie postne, aby urągać katolickiej ludności, i puginałami lub halabardami przecinali święte obrazy; Szwajcarzy tarzali się od pijaństwa po ulicach, albo rozochoceni bili bez powodu najspokojniejszych obywateli. Rzekomi obrońcy miasta gorsi byli od najeźdźców, a Rzymianie głośno już domagali się, aby otworzono bramy księciu Albie.

Szczęściem dla kardynała spotkał się Alba z bardzo silnym oporem załogi papieskiej na małej wysepce, w pobliżu Ostji, którą i Marc-Antonio Colonna i Vespasiano napróżno oblegali, co opóźniło ruchy hiszpańskiego wojska. W listopadzie jednak Marc-Antonio Colonna zapuścił się ze swą konnicą prawie aż pod bramy Rzymu, pod bazylikę św. Pawła za murami. W mieście powstał popłoch nie do opisania, zaczęto stawiać barykady na ulicach aż do Panteonu. Chcąc podnieść ducha szalejącej ze

strachu ludności, wyjechał kardynał z kilkoma dworzanami bez broni poza bramy miasta, aby oglądać okopy, co bardzo korzystne sprawiło wrażenie. Śmiałości swej o mało jednak ciężko nie przepłacił, wieśniak jakiś pokazał bowiem oddziałowi hiszpańskiego wojska zdaleka Carafę; kapitan Berardi ruszył natychmiast, aby go wziąć w niewolę, i tylko szybkości swego konia zawdzięczał Carlo, że jeszcze zdołał uciec do miasta.

Z powodu oporu cytadeli w Ostji większość wojska hiszpańskiego dłużej, jak dowódcy zamierzali, musiała się zatrzymać w niezdrowych okolicach Kampanji; febry zaczęły panować, a nadto brakowało amunicji, paszy dla koni i żywności, tak, że uwiadomieni o tem potajemnie cesarscy kardynałowie, nie zdradzając bynajmniej smutnego położenia, w którem się armja hiszpańska znajdowała, zaczęli papieżowi przedstawiać ze względu na niebezpieczeństwo, jakie grozi Rzymowi, konieczność zawarcia zawieszenia broni. Papież chętnie się na tę myśl zgodził; ale gdy przyszło do przedwstępnych układów, chciał zawarcia stałego pokoju, którego podstawą byłoby odstąpienie Carafom Sieny za to, że zwrócą Marc-Antoniowi Colonnie księstwo Paliano. Na takie żądanie nie mógł się Alba zgodzić i oświadczył, że musi je poddać rozstrzygnięciu swego króla, Filipa II.

Kardynał Carlo tymczasem starał się wszelkiemi siłami wciągnąć Rzeczpospolitą wenecką do papiesko-francuskiego przymierza; sam pojechał do Wenecji, ofiarując jej Apulję, a w razie, gdyby Signorja nie przyjęła jego propozycji, groził, że Francja, która jest w przyjaźni z Turcją, skłoni sułtana, aby swoją flotę zwrócił przeciw stacjom morskim Rzeczypospolitej na Archipelagu albo Adrjatyku. Chwilę wierzył nawet kardynał, że potrafi Signorję nakłonić do swoich zamiarów, i wtedy pisał do swego przyjaciela, Sylwestra Aldobrandiniego, zawziętego nieprzyjaciela Filipa II, „że gdy powróci, spodziewa się, że będą mogli konfiskować i głowy ucinać“. Ale trzeźwa Signorja i tym razem oprócz grzecznych słów nie dała kardynałowi żadnej obietnicy, tem bardziej, że groźba naprowadzenia na Wenecję tureckiej floty obraziła jej dumę. Nic nie wskórawszy w Wenecji, Carafa był szczęśliwszy we Francji, gdyż w początkach stycznia 1557 Henryk II skłonił się do wysłania większej

armji do Włoch celem obrony zagrożonej stolicy apostolskiej. Duc de Guise został naczelnikiem wyprawy; ale jak tylko przybył ze swem wojskiem do Włoch, powstały pomiędzy nim a kardynałem nieporozumienia co do planu wojennych działań przeciw księciu Albie. Kardynał za tem większego uważał się strategika, że zaraz po upływie zawartego z Albą zawieszenia broni udało się papieskiemu wojsku odebrać Ostję Hiszpanom. Chwilowe to powodzenie tak upoiło Pawła IV, że papież rozkazał, aby ów proces, wszczęty przez prokuratora stolicy apostolskiej przeciw Karolowi V, dalej był prowadzony, tudzież akt oskarżenia został ogłoszony całemu światu. Papież żałował, że niema nikogo, ktoby mu to pismo przetłumaczył na turecki i arabski język, ażeby nawet niewierni dowiedzieli się o zbrodniach Karola V. Z rozkazu papieskiego ukonstytuował się trybunał, przed którym oskarżenie miało być wytoczone, a na czele tego sądu stanął kardynał pizański.

Na oskarżenie odpowiedział Filip II odstąpieniem Sieny Cosmie, księciu Florencji, wskutek czego Medyceusze jeszcze ściślej wiązali się z Hiszpanją i coraz bardziej nikła nadzieja zagarnięcia sieneńskiej rzeczypospolitej na rzecz Carafów. Papież zawrzał gniewem; w Wielki Piątek ogłosił publicznie Karola V i Filipa II buntownikami, rzucał klątwę na wszystkich, którzy jako nieprzyjaciele zajmowali jeszcze terytorjum papieskie, podczas mszy po raz pierwszy nie modlił się za Karola V i opuścił jego nazwisko, co było uważane za największą zniewagę dla cesarza. Papież uważał go za gorszego od heretyków, schizmatyków, żydów i innych niewiernych, gdyż nawet za tych kościół zawsze zasyłał modły do Boga w ten dzień uroczysty.

Tymczasem Alba gromadził znowu nową armję w Neapolu, a wyruszywszy do ponownego boju z papieżem i Francuzami, miał 20.000 piechoty i 2.000 konnicy, nie licząc w to załóg, pozostawionych w neapolitańskich zamkach. Niebawem też zadał wielką klęskę wojskom papieskim pod Paliano, gdzie pojmał wodza papieskiego, Giulia Orsini, i zniósł do szczętu oddział Szwajcarów, „Aniołów Helweckich", jak ich Carafowie nazywali. Zwycięstwo zawdzięczał Alba Marc-Antoniowi Colonnie, który w tej wyprawie nadzwyczajnie się odznaczył; Hiszpanie znowu zagrażali Rzymowi.

Równocześnie nadeszła wiadomość z Francji, która przeraziła Carafów. Ambasador hiszpański w Wenecji donosił 23 sierpnia 1557, że armja francuska, która walczyła na północno-wschodniej granicy państwa, została prawie zniszczona przez sabaudzkiego Emanuela Filiberta pod Saint-Quentin. Duc d'Enghien poległ na placu boju, księcia Montpensier, księcia Longueville i marszałka Saint-André wzięto do niewoli. Skutki tej klęski dały się zaraz uczuć w Rzymie; Henryk II wezwał księcia de Guise i większą część jego armji do najśpieszniejszego powrotu; papież musiał liczyć już tylko na własne, zupełnie niedostateczne siły. Pomiędzy stronnikami Hiszpanji najwyższa zapanowała radość, w Rzymie zupełna bezradność. Wojsko hiszpańskie stało o kilka mil od Rzymu, papież nie miał ani środków materjalnych ani milicji, na którąby liczyć można na wypadek oblężenia. Cała rodzina Carafów zwróciła się teraz przeciw kardynałowi; Paweł IV i książę Paliano wyrzucali mu w najpospolitszych wyrazach, że swemi intrygami zrujnował stolicę apostolską i całą rodzinę, a pomiędzy don Giovannim a kardynałem przyszło nawet do tak gwałtownej sceny, że kardynał rzucił w gniewie swój beret o ziemię i z wściekłości chwycił brata za gardło. Giovanni wyciągnął miecz z pochwy, a całe szczęście, że na tę bójkę wszedł Strozzi, gdyż wpadł pomiędzy braci i rozdzielił ich.

Trzeba jednak przyznać kardynałowi, że w tych ciężkich chwilach umiał dzielnie wytrwać na swojem stanowisku i brać odpowiedzialność za swoją politykę. Gdy 25 sierpnia nadeszła wiadomość, że książę Alba ciągnie z wojskiem na Rzym, kardynał całą noc nie zsiadł z konia, przygotowywał miasto do obrony, kazał wzdłuż murów pozapalać pochodnie i swoją zręcznością tyle dokazał, że Alba, widząc to pogotowie i bojąc się, aby nie przyszło do powtórnego rabunku Rzymu przez wojska hiszpańskie, wstrzymał swój pochód. Alba był zanadto religijny, aby miał obciążać swe sumienie ponownem zniszczeniem Rzymu, ale był także zanadto doświadczonym politykiem, aby nie korzystać z rozpaczliwego położenia, w którem się znajdował papież. Pośrednikowi więc papieskiemu odpowiedział, że jako pierwszy warunek pokoju żąda, aby papież głośno uznał swój błąd, iż się wiązał z nieprzyjaciółmi Hiszpanji, aby zrzekł

się przymierza z Francją i uwolnił z więzienia przyjaciół cesarza i króla. Papież, widząc niemożliwość obrony, upadał na duchu. Ale kardynał nie mógł się pogodzić z tem upokorzeniem; chwytał się najdziwaczniejszych projektów, chciał, aby papież uciekł do Wenecji, radził odstąpić Francji część papieskiego terytorjum, a mianowicie Città Vecchia, Ankonę, a nawet Rzym, aby tylko król francuski pozostawił armję księcia de Guise do obrony stolicy apostolskiej. Ale u Pawła IV zwyciężył rozsądek; przyjął pośrednictwo weneckiej Signorji, która się ofiarowała nawiązać rokowania pokojowe pomiędzy Albą a papieżem. Sekretarz Signorji, Antonio Franceschi, rozpoczął układy; w tym celu udali się kardynałowie Carafa, Santa Fiore i Vittelli do Palestriny, gdzie się znajdował wicekról. W sąsiedniem Cave przystąpiono do układów, które szły gładko, dopóki nie poruszono sprawy zwrotu Paliano Colonnom. Na ten warunek kardynał w żaden sposób nie chciał przystać, a wicekról uważał jako konieczność wynagrodzenia dzielności i przywiązania Marc-Antonia do króla Filipa II zwrócenie mu dziedzicznej własności. Co więcej, ponieważ Colonna nie miał syna, przeto Alba spodziewał się, że to wielkie lenno będzie mogło przejść po jego śmierci na krewnego Alby, Don Garcię z Toledo. Opór z jednej i z drugiej strony był bardzo zacięty; wreszcie jednak zgodzono się po długich targach na pośredni wniosek, aby Paliano oddać w zarząd depozytarjuszowi obydwóch stron, Bernardinowi Carbone, który powinien był złożyć przysięgę wierności tak papieżowi, jak i Filipowi II. Układ wykluczał wyraźnie Marc-Antonia Colonnę od amnestji papieskiej, znoszącej cenzury kościelne nałożone na cesarza, króla i ich całe stronnictwo. To niewyraźne postanowienie zostało wyjaśnione tajemnym układem, zawartym pomiędzy Albą a papieżem, na mocy którego miano za wspólnem porozumieniem ustanowić w Paliano gubernatora, któryby przedewszystkiem zburzył tamtejsze fortyfikacje. Murów nie wolno było stawiać na nowo, dopókiby król katolicki nie dał odpowiedniego wynagrodzenia księciu Paliano. Skoro zaś książę Paliano otrzyma od króla odszkodowanie za te dobra, będzie mógł król nadać Paliano temu, kogo uzna za godnego, byleby przyszły fundatarjusz nie był nieprzyjacielem stolicy apostolskiej. Układ był stosunkowo korzystny dla

Carafów, w chwili bowiem, kiedy Rzym i całe prawie państwo papieskie było oddane na łaskę i niełaskę Alby, Carafowie wynosili daną przez króla obietnicę, że utrata Paliano będzie im w inny sposób wynagrodzona.

W trzy dni po zawarciu pokoju książę Alba przyjechał do Rzymu, aby złożyć papieżowi wyrazy uległości i posłuszeństwa, tudzież przedstawić mu swojego syna. Kardynał oddał niedawnemu wrogowi swój pałac na mieszkanie i urządził dlań wspaniałą ucztę, papieża zaś skłonił do wysłania osobnego legata apostolskiego z różą święconą dla księżny Alba w Neapolu. Cały Watykan przeszedł w jednej chwili z obozu francuskiego do obozu cesarza i króla hiszpańskiego.

V

Widząc, że celów swych nie może osiągnąć z pomocą Henryka II, kardynał zupełnie zmienił politykę i oddał się na usługi Filipa II. Zdaje się, że w tej mierze otwartą miał rozmowę z księciem Albą w Cave, albowiem poseł francuski donosił swemu królowi, że o wszystkiem, co tam zaszło, nie wie, gdyż książę Alba i kardynał Carafa powzięli jakieś tajemne postanowienia. Ambasador wenecki króla francuskiego w Wenecji, Franciszek de Noailles, domyślał się, że kardynał ułożył plan zdetronizowania ostatniego sprzymierzeńca Francji we Włoszech, Ercola II księcia Ferrary, ażeby podzielić łupy pomiędzy przyjaciół Hiszpanji, książąt Florencji i Parmy, że umówiono odebrać Francuzom ich posiadłości w Toskanji, przy czem wszystkiem okroiłoby się oczywiście jakieś księstwo Carafom. Kardynałowi nie chodziło, jak zwykle, o stolicę apostolską, ale o własną rodzinę. Ażeby plany familijne tem lepiej się powiodły, skłonił Carlo coraz bardziej podupadającego na siłach papieża, aby go wysłał, jako legata, na dwór Filipa II do Brukseli; co się nie udało w Paryżu, mogło przyjść do skutku we Flandrji.

Filip II przyjął byłego kondotjera i niedawnego jeszcze nieprzyjaciela z taką uprzejmością, że to powszechną zwróciło uwagę. Dumny monarcha, pan Hiszpanji, Niderlandów, Ameryki i połowy Włoch, wyszedł na jego powitanie poza próg swej sali

audjencjonalnej, co się prawie nigdy nie zdarzało, obsypywał go grzecznościami, a w katedrze posadził obok siebie pod królewskim baldachimem.

Kardynała szczęście nie opuszczało. W kilka dni po przybyciu do Brukseli otrzymał wiadomość, że była królowa polska, Bona Sforza, umarła i że księstwo Bari wraca do kamery Filipa II, jako króla Neapolu. Książę Paliano i młody kardynał neapolitański, syn markiza de Montebello, wpadli natychmiast na myśl, aby się wystarać u króla o to bardzo korzystne lenno, i skłonili papieża, że postanowił gorąco zająć się tą sprawą. Paweł IV wysłał bezzwłocznie umyślnego legata do kardynała Carla w Brukseli, aby wszelkich dołożył starań o wystaranie się u króla o księstwo Bari, ale nie jako wynagrodzenie za Paliano, przyobiecane w Cave, lecz jako oznakę chwilowej łaski dla rodu Carafów. Papież więc rad był mieć i księstwo Bari dla swej rodziny i jeszcze jakie inne księstwo, które miano utworzyć z rozbicia Ferrary. Książę Paliano był w owej chwili nienasycony; żądał jeszcze od kardynała, aby wystarał się u króla o inne łaski. Życzył sobie, aby mu król darował pałac w Neapolu, skonfiskowany księciu Salerno, a nadto nadał najmłodszemu jego synowi, markizowi Montebello, małą posiadłość, należącą do markiza Dorji, która graniczyła z księstwem Bari i wybornie mogłaby zaokrąglić spuściznę po królowej polskiej.

Kardynał czuł, że te żądania, osobliwie zaś roszczenia do księstwa Bari, przechodziły miarę przyzwoitości; nie zdradzał się więc ze swemi pragnieniami przed Filipem II, ale czekał, dopókiby król nie potrzebował jakich usług od niego, a łask od papieża. Bardzo zręczny ten plan postępowania pokrzyżował jednak książę Alba, który się dowiedział, z jakiemi zamiarami noszą się Carafowie, i królowi o nich doniósł. Wicekróla tem bardziej dotknęły te śmiałe zakusy, że równocześnie książę Paliano poddał mu za pośrednictwem jednego z dworzan papieskich myśl małżeństwa młodego Alby z jego córką. Taki związek rodzinny uchybiał dumnemu Albie, a jeszcze większe spotęgowanie wpływu Carafów przez oddanie im księstwa Bari nie dogadzało znowuż jego politycznym zamiarom. Przedwcześnie więc zdradzone plany zaszkodziły całemu projektowi. Alba umiał przez przyjaciół w Brukseli uprzedzić króla przeciw żądaniom

Carafów. Wprawdzie kardynał starał się tę niechęć stłumić w samym zarodzie; odważnie poszedł do króla, prosił o księstwo Bari dla swej rodziny i oświadczył, że daje tylko wyraz najszczerszemu życzeniu papieża. Król nie był jednak skory do szybkich postanowień w tak ważnych sprawach i oświadczył kardynałowi, że musi zasięgnąć w tej mierze rady swoich ministrów, a ministrowie byli przeciwni, aby wynagradzać rodzinę, która bynajmniej nie zasłużyła się dynastji hiszpańskiej i na której szczere oddanie się królowi liczyć nie było można. Ażeby jednak nie zniechęcać kardynała, ofiarowano mu, jako wynagrodzenie za Paliano, dobra Rossano, które równie, jak Bari, stanowiły część schedy królowej Bony, i obiecano przywiązać do posiadania owych dóbr tytuł książęcy. Urażony kardynał odrzucił tę propozycję; ale Filip II kazał zawiadomić o niej Pawła IV, dodając, że przyszły książę Rossano pobierałby prócz dochodów z tego lenna jeszcze dziesięć tysięcy talarów rocznej renty. Nadto ofiarował Filip II kardynałowi 18.000 dożywotniej pensji, a natomiast domagał się usilnie, aby się starał, powróciwszy do Rzymu, przeprowadzić pojednanie Marc-Antonia Colonny ze stolicą apostolską. Cały ten targ uraził bardzo papieża, który nic nie wiedział o żądaniach swych synowców, jak i o tem, że z królem wogóle o Rossano traktowano. Papież stał na stanowisku traktatu w Cave i handlowanie księstwem Paliano poza swemi plecami uważał za ujmę swojej godności. Cała ta sprawa jeszcze więcej oburzyła Pawła IV, gdy kurjer cesarski przybył, aby gotowy już dyplom inwestytury dóbr Rossano wręczyć księciu Paliano. Dyplom zawierał uwagę, że król przesyła tak szybko ową inwestyturę, aby nie chybić terminu naznaczonego w tajemnej umowie, zawartej w Cave. Ani papież ani książę Paliano nie wiedzieli o tym tajemnym pakcie, a ponieważ kardynała Carla w Rzymie nie było, więc byli w kłopocie, co począć z tym dyplomem, czy przyjąć nędzne wynagrodzenie za Paliano, czy je odrzucić. Paweł IV był oburzony na kardynała, że ani słowem go o tym targu nie uwiadomił, a ministrowie Filipa II triumfowali, że zręcznie załatwili kłopotliwą sprawę.

Książę Alba triumfował, że wydarł Carafom dziedzictwo po królowej polskiej, któreby bez jego wdania się z pewnością byli uzyskali u króla. Carlo wracał z Brukseli do Rzymu nie-

zadowolony, pomimo, że dochody jego powiększyły się o 20.000 talarów, a co gorsza, obawiał się przyjęcia, jakie mu papież zgotuje. Obawy te zresztą były słuszne. Paweł IV bowiem bardzo się zniechęcił do kardynała z powodu owej, bez jego wiedzy zawartej umowy w Cave, a co więcej, w czasie sześciomiesięcznej nieobecności Carla przywykł już się bez niego obchodzić i przekonał się, że kto inny go także zastąpić może. Tym następcą został kardynał Neapolu, ośmnastoletni syn markiza de Montebello, Alfonso, młodzieniec nadzwyczaj zręczny i umiejący się papieżowi przypodobać. Papież polubił Alfonsa od lat kilku, chciał go mieć zawsze w swojem towarzystwie, z czego ojciec i stryjowie korzystali, aby Pawła IV w niejednej sprawie wybadać, albo podsunąć starcowi jaki plan, który pragnęli urzeczywistnić. Alfonso słuchał, co papież mówi, zaczął zgadywać jego najtajniejsze myśli, przeczuwać jego sympatje i nienawiści i o wszystkiem donosił swemu ojcu. Zręczny młodzieniec spostrzegł, jak dalece stał się niezbędnym papieżowi i wcześnie o tem pomyślał, aby łaskę Pawła IV wyzyskać na swoją korzyść. Przybywszy więc do Rzymu, zastał kardynał bardzo zmienione położenie; wszechwładny jego wpływ na papieża bardzo został zachwiany, o czem się Carlo mógł zaraz przekonać; gdy bowiem starał się w myśl obietnicy, danej Filipowi II, otrzymać przebaczenie dla Colonny, zastał papieża w tej mierze nieugiętego: Paweł IV nie dał sobie nawet mówić o Marc-Antoniu. Carlo tracił grunt pod nogami; papież stawał się dla niego oziębły, Francuzi go nienawidzili z powodu zdradzieckiego wobec nich postępowania, a książę Alba i całe jego stronnictwo u dworu Filipa II czekało tylko na chwilę, kiedy będzie można obalić kardynała. Przypadek chciał nadto, że Carlo jeszcze bardziej zraził sobie papieża. W listopadzie r. 1558 poszedł raz Paweł IV do mieszkania kardynała, który wówczas był słaby i nie wychodził z pokoju. Tam zastał papież biskupa z Osimo i biskupa z Cave, dwóch ludzi, których nienawidził, uchodzili bowiem za zwykłych stręczycieli, którzy kardynałowi dopomagali w jego rozpustnem życiu. Paweł IV, nienagannych obyczajów, surowy dla siebie, miał dawniej dużo do zarzucenia kardynałowi, sądził jednak, że Carlo w ostatnich latach się ustatkował i że nie gorszy już otoczenia. Ale właśnie niedawno,

gdy zauważono, że wpływ kardynała chwiać się zaczyna, znaleźli się zaraz jego nieprzyjaciele, którzy zwrócili uwagę papieża na gorszące wieści, obiegające Rzym, o życiu kardynała i jego krewnych. Kardynał Lotaryngji namówił nawet ambasadora francuskiego przy papieskim dworze, pana de Selve, aby przy zdarzonej sposobności powiedział Pawłowi IV, że wieści o niesłychanej rozpuście Carla Carafy doszły do wiadomości francuskiego dworu i że się tam bardzo gorszą postępowaniem człowieka, który uchodzi za najzaufańszego doradcę papieża. Zdaje się, że ambasador bardzo dokładnie opowiedział Pawłowi IV, o co chodzi, że opinja publiczna w Rzymie ciągle się zajmuje niemoralnem życiem papieskiego otoczenia i że przedewszystkiem obwinia samego kardynała o brzydkie występki przeciwne naturze, które bywały zawsze znakiem zupełnego upadku moralności i przepowiadały nieszczęścia, mające spotkać kościół i społeczeństwo.

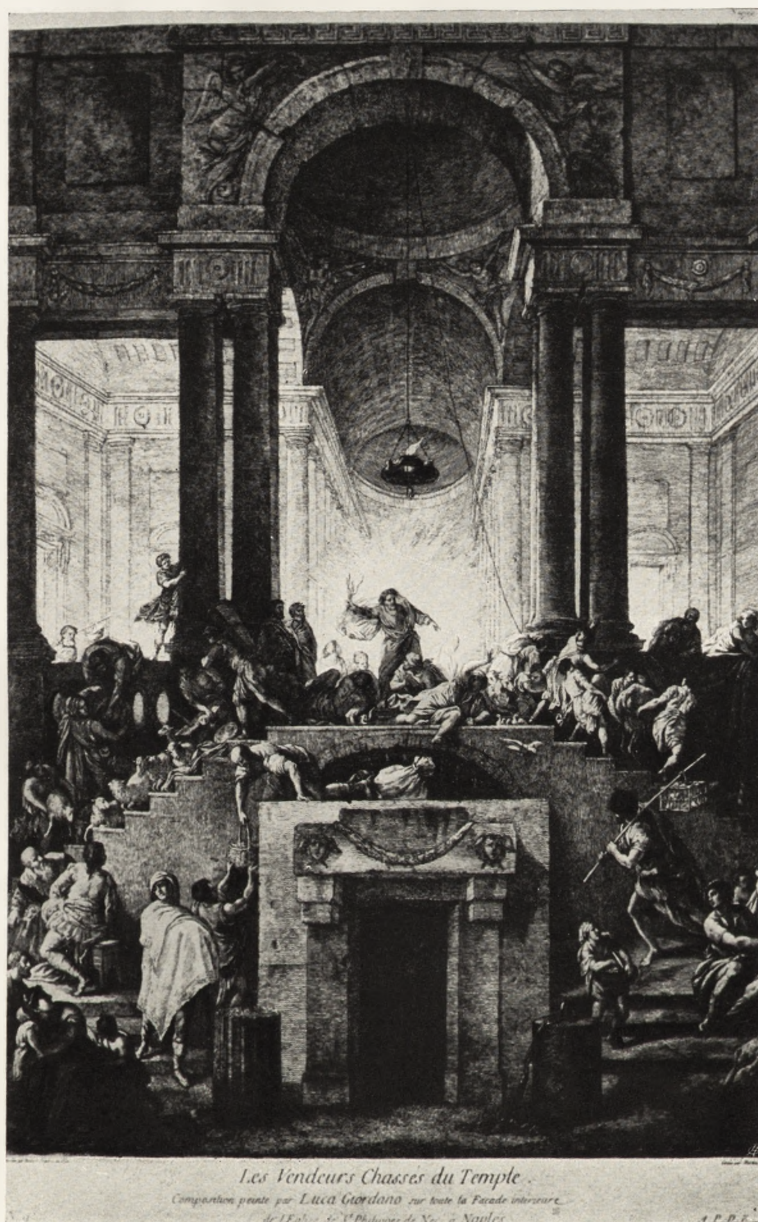
Doniesienia te do głębi wzburzyły papieża, tem bardziej, że od chwili, kiedy polityczne jego zamiary co do wyrugowania Hiszpanów z Półwyspu i wyniesienia swej rodziny zupełnie się rozbiły, z tem większą energją ponownie zwrócił się do reform kościelnych, do umoralnienia duchowieństwa. Jeżeli zaś mógł mieć jeszcze jakie wątpliwości co do niemoralnego życia kardynała, to owo przypadkowe spotkanie dwóch znienawidzonych biskupów w komnatach kardynała zupełnie je rozwiało.

Niebawem inne zajście spotęgowało jeszcze bardziej gniew papieża przeciw rodzinie. Pierwszego stycznia 1559 sekretarz księcia Paliano, Andrea Lanfranchi, dawał świetną ucztę dla kardynała Carpi. Na biesiadę zaproszono także Martuccię, jedną z najsłynniejszych cortegian rzymskich, ażeby, jak powiada kronikarz Nores, „agli incitamenti della gola non mancassero quelli della lussuria". Ale w chwili, kiedy wesoło biesiadowano, wszedł do sali rycerz w zbroi z kilkoma towarzyszami i stał się powodem powszechnego zamieszania. Był to Marcello Capece, krewny i przyjaciel księcia Paliano, który się kochał w Martuccii, a podejrzywając ją, że go zdradzi i przyjmie zaproszenie na bankiet u Lanfranchiego, przyszedł, aby ją stamtąd siłą uprowadzić. Pomiędzy gośćmi znajdował się skory do

korda kardynał Montino; zaraz też szpadę wyciągnął z pochwy, drudzy poszli za jego przykładem i byłoby przyszło do krwi rozlewu, gdyby nie Martuccia, która korzystając z zamieszania, czem prędzej się wymknęła i tem samem odebrała Capecemu powód do zbrojnego napadu.

W kilka dni później jednak papież wiedział o całem zajściu; kazał natychmiast przywołać kardynała Carafę i księcia Paliano i w bardzo surowych wyrazach wyrzucał im, że nie uwiadomili go o skandalu, który całe miasto zajmuje. Na najbliższem zaś zebraniu świętego kolegjum karcił zachowanie się kardynała Montino, który śmiał ukazać się publicznie w świeckim stroju i miecz wyciągać w obronie bezwstydnej, sprośnej ulicznicy. Całe zgromadzenie milczało, jeden tylko kardynał Pacheco miał odwagę usprawiedliwiać Montina jego młodością i tem, że nie stawał w obronie Martuccii, ale w obronie własnej osoby i własnej godności, która wszędzie, czy w domu, czy na ulicy, pozostaje tą samą. Ale papież, rozgniewany, nie dał się przekonać i w największem rozdrażnieniu zaczął krzyczeć: „Reformy, reformy potrzeba", które to słowo w ostatnich czasach z ust mu nie schodziło. Pacheco odrzekł zimno w sposób, który nie pozostawiał wątpliwości, do kogo się zwraca: „Ojcze Święty, sami od siebie musimy rozpocząć reformę". Papież się zmieszał i nic więcej nie odpowiedział.

Losy jednak kardynała Carafy były rozstrzygnięte, wpływ nepota zniszczony. Zresztą Carlo, podrażniony odwracaniem się od niego fortuny, sam się do tego przyczynił, aby zadać ostatni cios swemu stanowisku. Jak wspomnieliśmy, kardynał oddawna otaczał się florenckimi emigrantami, pomiędzy którymi Silvester Aldobrandini, della Casa i Annibale Rucellai nieraz wpływali na jego politykę i drażnili go przeciw Koźmie Medyceuszowi. Carlo do tego stopnia nienawidził Koźmy, że wyrzucił za drzwi jego ambasadora Bongiovanniego Gianfigliazzi, który przyszedł do niego w jakimś interesie. Bongiovanni udał się natychmiast do papieża, oskarżył nepota i przedstawił mu wszystkie obelgi, wszystkie nieprzyjemności, jakie posłowie obcych państw od kardynała znosić muszą; kardynał tyranizuje całe otoczenie, a każdemu, kto się przed nim nie płaszczy, utrudnia przystęp do papieża.



Luca Giordano: Przekupnie wypędzeni ze świątyni
(Obraz w kościele św. Filipa de Neri w Neapolu)

Gdy nazajutrz kardynał przyszedł na zwykłą audjencję do Pawła IV, papież kazał mu cztery godziny czekać w przedpokoju, a wkońcu doręczyć rozkaz, aby w przyszłości nie pokazywał się na oczy papieżowi i natychmiast wraz z księciem Paliano wyprowadził się z apartamentów, które zajmował w Watykanie. Papież nie pozwolił jednak kardynałowi opuszczać Rzymu, biskupa zaś z Osimo wydalił z granic papieskiego państwa. Kilka osób, a pomiędzy innemi młody kardynał neapolitański, starało się wstawiać za Carlem Carafą; ale papież brał nawet za złe, jeżeli jego nazwisko przed nim wspominano. Po kilku tygodniach zwołał na konsystorz wszystkich kardynałów obecnych w Rzymie i kilka osobistości, zajmujących wybitne stanowiska na papieskim dworze, a pomiędzy niemi gubernatora miasta, prokuratora skarbu, dwóch sekretarzy, tudzież Camilla Orsini, i ze łzami w oczach rozpoczął długą do nich przemowę, będącą niejako aktem oskarżenia przeciw swym synowcom. Papież mówił gwałtownie, namiętnie, podniósł wszystkie winy, których się jego dotychczasowi ulubieńcy dopuścili, a nawet oskarżył ich o takie przekroczenia, o których zgromadzeni zupełnie nie wiedzieli. Mowę swoją musiał Paweł IV co chwila przerywać, wskutek bowiem wewnętrznego wzburzenia głosu mu brakowało. Łkał, płakał, a gdy znowu mówić rozpoczął, wyrażał się z taką siłą i taką gwałtownością, że głos jego rozlegał się po dużej sali i wśród głuchego milczenia obecnych jeszcze większe wywierał wrażenie. Papież zakończył swoją mowę rozkazem wygnania trzech synowców wraz z ich rodzinami z Rzymu, pozostawił przy sobie tylko najmłodszego z familji, kardynała neapolitańskiego. W przeciągu dwunastu dni winni byli opuścić miasto, a każdy z nich gdzie indziej zamieszkać, kardynał w Cività Lavinia, książę Paliano w Galese, a don Antonio w Montebello. Carlo tracił wszystkie swoje urzędy, Don Giovanni został pozbawiony dowództwa wojsk kościoła i komendy galer papieskich, tudzież 72.000 talarów rocznego dochodu, Don Antonio zaś musiał złożyć godność jenerała gwardji papieskiej i tracił rentę 25.000 talarów. Gdy Paweł IV dał znak, że posiedzenie zamyka, i miał się udać do swoich komnat, przystąpił do niego kardynał Sant'Angiolo, syn Pier Luigiego Farnese, i chciał przemówić kilka słów na korzyść Carafów.

Papież żachnął się jednak i odpowiedział brutalnie: „Gdyby Paweł III był dał podobny przykład, to lud Piacenzy nie byłby włóczył waszego ojca po ulicach i nie dałby psom na pożarcie". Poczem najsurowiej zakazał, aby ktokolwiek wstawiał się za skazanymi.

Kardynałowie wyszli z konsystorza, oniemieli z przerażenia i zaledwie śmieli oczy na siebie podnieść; tak srogiego wyroku na niedawnych ulubieńców papieża się nie spodziewano. Wiadomość rozeszła się z szybkością błyskawicy po Rzymie, a lud przyjął ją z wielką radością. Kardynał dużo złego uczynił; jemu przypisywano ostatnią wojnę, która sprowadziła tyle klęsk na Rzym i okolicę, jego pycha, lekceważenie ludności, rozwiązłe życie, zresztą szybkie wzbogacenie się, wszystko to obudzało zgorszenie albo zwykłą zawiść. Cieszono się więc z wyroku papieża, ale zarazem pytano się, dlaczego Paweł IV oddawna nie położył kresu nadużyciom kardynała, dlaczego pozwolił mu się tak rozwielmożnić, uniewinniano go nawet ślepem zaufaniem stryja. W opinji publicznej papież głównie się przyczynił swym nepotyzmem do ostatnich nieszczęść, które Rzym i państwo nawiedziły, a bezwzględność i surowość, którą teraz okazał, bynajmniej go nie oczyszczały.

Tymczasem kardynał Carlo przyjął wyrok z nadspodziewanym spokojem; robił przygotowania do wyjazdu i zadziwiał całe otoczenie godnością, jaką teraz okazywał. Nie słyszano z jego ust ani słowa skargi, narzekań; ważne akta, które miał u siebie, natychmiast zwrócił apostolskiej kancelarji, podziękował za okazywane sobie przywiązanie i jak najlepsze na wszystkich sprawił wrażenie.

Brewem z 3 lutego 1559 papież mianował nowych dygnitarzy na miejsce usuniętych; prawie wszystkie najważniejsze urzędy, które piastował Carlo, połączył znowu w ręku młodego kardynała Neapolu, mianując go regentem kamery apostolskiej. Drugi ten ulubieniec z rodu Carafów zyskał sobie nietylko zupełne zaufanie papieża, ale i sympatję całego Watykanu, okazywał bowiem wiele dobrych chęci, spokoju w traktowaniu ważnych spraw, a przytem był człowiekiem wielkich zdolności. Zachowanie się zaś papieża wobec tych członków rodziny, którzy popadli w niełaskę, a przedewszystkiem wobec kardynała Carla

nie odpowiadało godności starca. Paweł IV chciał widocznie zrzucić ze siebie odpowiedzialność za wszystko złe, które się stało pod jego rządami i okazywał publicznie przy każdej sposobności gniew swój na kardynała. W czasie jednej z publicznych audjencyj rozpoczął na nowo w najnamiętniejszy sposób wymyślać na nieobecnych już synowców, posądzał kardynała Carla, że bez jego wiedzy nakładał nowe daniny na ludność rzymską, a oskarżenie to zakończył w dość teatralny sposób, poszedł bowiem po audjencji przed ołtarz, mieszczący relikwje ŚŚ. Piotra i Pawła, i ze łzami w oczach, na głos powtarzał te same zarzuty przeciw nepotom, jak gdyby się chciał na nich skarżyć przed cieniami apostołów. Innym razem nazwał swych synowców „ruiną świata, stolicy apostolskiej i Rzymu“ i w rozdrażnieniu objawił życzenie, aby jego następca nie przebaczył im i nowemi ich obłożył karami.

Nadwątlone już zdrowie starca nie mogło wytrzymać tych rodzinnych tragedyj; w trzy miesiące po wyjeździe dawnych ulubieńców, w początkach maja 1559, papież ciężko zachorował, miał ciągle gorączkę i upadał wskutek tego na siłach. Poseł króla francuskiego, p. de Noailles, pisał wtedy do jednego ze swych przyjaciół, że po wydaleniu synowców w taką wpadł melancholję i tak się pogrążył w zgryzocie, że wszystko, co wtedy czynił, nosiło cechę niepoczytalności i zdawało się, że starzec zmysły utracił. Z zamięszania, jakie powstało przy łożu dogorywającego Pawła IV, korzystali najbliżsi w haniebny sposób. Sam ów ulubiony kardynał neapolitański przywłaszczył sobie klejnoty i więcej jak 100.000 dukatów, które się znajdowały w sypialni papieża, a umierającemu już podsunięto do podpisu brewe, które nadawało kardynałowi Scipionowi Rebibie spadek po arcybiskupie z Pizy.

Gdy się rozeszła po mieście wiadomość o śmierci papieża, nastała zupełna anarchja; każdy, od najwyższych dygnitarzy do najniższego pospólstwa, chciał korzystać z powszechnego rabunku. Lud zgromadził się na Kapitolu i stamtąd zbrojne bandy rozeszły się po mieście, uwalniając przedewszystkiem zbrodniarzy z więzienia. Wzmocnione w ten sposób tłumy ruszyły, jakby na dane zgóry hasło, przed gmach inkwizycji, porozbijały żelazne bramy i uwolniły tamtejszych więźniów, oskarżonych

o herezję, a ponieważ i u dominikanów jęczeli „religijni“ zbrodniarze, więc oblężono kościół Minerwy, wypuszczono ofiary inkwizycji, starano się klasztor podpalić i naradzano się, czyby zakonników przez okna nie powyrzucać. Mury jednak ognia tak łatwo nie chwytały, a znudzony tłum udał się na Kapitol, aby swą zemstę wywrzeć na posągu Pawła IV, który tam municypjum niedawno postawiło, chcąc okazać papieżowi wdzięczność za to, że wydalił z Rzymu kardynała Carla Carafę. Marmurowego papieża zrzucono z łatwością z piedestału, potłuczono posąg w kawałki, a jakiś żyd włożył na kamienną głowę Pawła IV żółtą czapkę, taką, jaką papież kazał nosić wszystkim Izraelitom w Rzymie. Pomysł bardzo się ludowi podobał, śmiano się i wyklinano pamięć despoty. Ażeby zatrzeć nawet na murach miasta pamięć znienawidzonego rodu,zaczęto niszczyć herby Carafów, gdziekolwiek tylko się znajdowały. Municypjum zdobyło się nawet na dekret, rozkazujący pod surową karą, aby w przeciągu dwudziestu czterech godzin znikły owe kamienne lub malowane znaki. Z rozkazu ludu rzymskiego „najposłuszniejszego świętej stolicy apostolskiej i świętemu collegium najdostojniejszych kardynałów“ oznajmiono każdemu, ktoby miał na swoim domu z papieru, malowany na murze, albo rzeźbiony z kamienia herb ludowi temu nieprzyjaznego i tyrańskiego rodu Carafów, aby go zniszczył w przeciągu jednego dnia, pod karą zdrady rzymskiego ludu i infamji i pod zagrożeniem, że dom mu będzie zwalony i spalony, a to z tego powodu, aby znienawidzone nazwisko znikło z ulic miasta. „Bando“ to wydane zostało 20 sierpnia, roku pańskiego 1559. Co więcej, powszechna nienawiść do Carafów dosięgła tego stopnia, że ludzie roznoszący wodę po ulicach w „karafkach“ i wołający: „Bicchieri e caraffe“, nie śmieli swych naczyń nazywać karafkami, ale wywoływali, że wodę mają w „ampollach“. Lud występował w owych dniach anarchji tem śmielej, że czuł za sobą poparcie rzymskich baronów, którzy tak znienawidzili rządy Pawła IV i jego nepotów, że z zadowoleniem przypatrywali się tej powszechnej zemście. Obawa przed baronami odebrała odwagę także kardynałom, którzy nie śmieli energicznie wystąpić przeciw ulicy, tem bardziej, że lud w licznych petycjach żądał od świętego kolegjum pozwolenia zamordowania księcia Paliano w Galese.

Zemsta, prywatna vendetta, szalała w tych dniach rozpasania namiętności. Ludzie zamożniejsi albo się zamykali w domu, albo wychodzili otoczeni silną strażą. „Brawów" tyle się namnożyło, że swą taryfę za zamordowanie człowieka obniżyli do czterech talarów; za tak niską cenę można się było pozbyć swego nieprzyjaciela.

Kardynałowie nie śmieli nawet wystawić zwłok papieża w kościele św. Piotra, ale kazali strzec ich w kaplicy Sykstyńskiej i wynieść w nocy, w tajemnicy, pod strażą dwustu halabardników i głęboko zakopać, aby lud się nad niemi nie pastwił.

VI

Wśród tej orgji zemsty, tej burzy, która szalała po śmierci Pawła IV, jeden tylko kardynał Carlo rozwagi i spokoju nie utracił, ale na pierwszą wiadomość o katastrofie zebrał, ile mógł, ludzi zbrojnych i przybył do Rzymu. A potrzeba człowieka energicznego tak się czuć dawała, że nawet samo święte kolegjum w swej bezradności chciało gońca po niego posyłać w chwili, kiedy papież konał. Kardynałowie przyjęli wygnańca prawie z otwartemi rękoma, tem bardziej, że Carlo, chcąc odrazu zyskać sobie sympatje, oświadczył, że jeżeli zgromadzenie kardynałów uzna potrzebę jego wydalenia się w interesie kurji, on gotów jest natychmiast powrócić do swego zamku. Oświadczenie to wyborne zrobiło wrażenie, a przyjaciele kardynała tak wierzyli w jego zręczność i silną wolę, że znowu się około niego zaczęli skupiać; po kilku dniach pobytu w Rzymie stał Carlo już na czele silnego stronnictwa w Watykanie i nie tracąc czasu, zajął się natychmiast wyborem nowego papieża. Conclave rozpoczęło się 5 września 1559; jak od lat wielu, stanęły naprzeciwko siebie dwa stronnictwa, francuskie i hiszpańskie, które miały swych własnych kandydatów. Carlo nie połączył się jednak ani z jedną ani z drugą grupą, ale ułożył się z kardynałem Farnesem i jego przyjaciółmi, aby móc w stanowczej chwili przechylić zwycięstwo na korzyść tego kandydata, którego oni sobie życzyć będą. Carlo wiedział dobrze, że tym razem nie ma dość przyjaciół, aby mógł być wybrany papieżem. Chciał więc

przynajmniej tak sprawą pokierować, aby przyszły papież jemu zawdzięczał swój wybór. Conclave trwało niesłychanie długo, gdyż ani francuskie ani hiszpańskie stronnictwo nie chciało ustąpić, aż nareszcie z końcem grudnia 1559 kardynałowie, znudzeni i zniecierpliwieni, zgodzili się na wybór starca, który najkrócej mógł jeszcze żyć i najmniej im zawadzać; wybrali tedy kardynała Gianangela Medici, brata osławionego ze swego okrucieństwa przy oblężeniu Sieny markiza de Marignan, który, jak mówiono, powiesił wtedy pięć tysięcy wieśniaków, starających się wygłodzonemu miastu donosić żywność. Medici przybrał nazwę Piusa IV, a Carlo Carafa był uszczęśliwiony, gdyż on głównie przyczynił się do wyboru papieża i mógł słusznie po nim spodziewać się wdzięczności. Co więcej, Medici z powodu późnego wieku nie mógł długo panować, a Carlo miał nadzieję, że za kilka lat potrafi zostać jego następcą. Pius IV uznał też, że wybór swój zawdzięcza Carafie i noc po wyborze spędził nawet w pokoju kardynała neapolitańskiego w towarzystwie obydwu Carafów. Carlo skorzystał zaraz ze sposobności, aby sobie zaskarbić łaski rzymskiej ludności, i jako przebiegły aktor rzucił się wobec liczniejszego zgromadzenia kardynałów na kolana przed nowym papieżem, prosząc go, aby przedewszystkiem przebaczył rzymskiemu ludowi jego zachowanie się po śmierci Pawła IV. Papież zrazu się wahał, obawiając się, aby bezkarność nie zachęcała pospólstwa na przyszłość do podobnych zbrodni; ale nareszcie uległ naleganiom Carla, oświadczając publicznie, że czyni to tylko na prośby kardynała. Carlo w kilku dniach stał znowu wysoko; mógł liczyć na wdzięczność papieża; a nadto udało mu się złagodzić nienawiść, jaką nazwisko Carafów otaczał przedtem lud rzymski.

Ale niespodziewany wypadek rozwiał niebawem jego nadzieje i stał się powodem strasznej tragedji. Poznaliśmy Marcella Capece, owego kochanka Martuccii, który z bronią w ręku przyszedł ją porwać z bankietu u Lanfranchiego. Otóż ów Capece zapomniał niebawem o rzymskiej cortegianie i zawiązał stosunek z księżną Paliano, żoną swego przyjaciela. Jedna ze sług księżnej zdradziła swą panią, donosząc księciu o miłosnych schadzkach; ten kazał natychmiast chwycić Marcella i wrzucić do zamkowego lochu, żonę zaś otoczył zaufaną strażą.

Równocześnie posłał po brata księżnej, Ferranta Garlonio, hrabiego d'Aliffe, i po kilku innych krewnych, a gdy się zjechali, kazał przed nich przyprowadzić winnego. Marcello przeczył zrazu, jakoby miał z księżną stosunek, co Carafę do takiej doprowadziło wściekłości, że rzucił się na niego, jak dziki zwierz, i twarz mu pokąsał. Następnie kazał dawnego przyjaciela oddać na tortury i strasznemi mękami wymusił na nim zeznanie winy. Kazano mu spisać to, co zeznał; ale więzień, wycieńczony cierpieniem, nie miał siły więcej napisać, jak kilka słów początkowych: „Tak, zdradziłem mojego pana, zbezcześciłem go..." Książę wydarł mu papier z ręki, a odchodząc prawie od przytomności z gniewu, pchnął go w pierś puginałem i długo pastwił się nad nim, tak, że na zmarłym dwadzieścia ran policzono. Trupa kazał książę wrzucić do kanału.

Morderstwo to popełnione zostało jeszcze za życia Pawła IV, a gdy kardynał Neapolu o niem papieża uwiadomił, starzec zapytał się tylko: „A co zrobiono z księżną?" Zapytanie to wszakże było w ten sposób postawione, jak gdyby papież uważał postąpienie księcia Paliano za rzecz naturalną i zadziwił się tylko, że księżnie nic się nie stało. Paweł IV nie wiedział, że księżna za dwa miesiące spodziewała się potomka i że ręka kata czeka tylko na jej rozwiązanie. Książę kochał żonę i po dniach pierwszego uniesienia, po dokonanej wendecie na Marcellu byłby może darował jej życie, ale rodzina i matka księcia Paliano żądała krwi. Z jej to, jak się zdaje, namowy służba żeńska zeznawała przed księciem, że dziecko, które się ma narodzić, musi być owocem małżeńskiej niewierności, gdyż księcia przed miesiącami dłuższy czas w domu nie było. Co gorsza, kardynał Carlo niecierpliwił się, że książę się waha, i jednemu ze swych sekretarzy kazał w swojem imieniu napisać list do brata z upomnieniem, „aby oczyścił honor rodziny, inaczej bowiem nie będzie go uważał za brata". Gdy zaś tymczasem Paweł IV umarł, kazał kardynał oświadczyć księciu Paliano, że jeżeli nie zmyje krwią obelgi zadanej rodzinie, to przed nowym papieżem przestanie bronić jego interesów. Aby zaś księcia Paliano jeszcze bardziej rozdrażnić i zmusić niejako do zamordowania żony, rozpuściła rodzina wieść, że księżna udawała się do największego wroga Carafów, do Marc-Antonia Colonny,

aby ją z więzienia uwolnił, za co miała mu przyrzec zamordować męża. Ta niepodobna do prawdy plotka miała wpłynąć na ostateczne postanowienie księcia, aby żonę zamordować. Wykonanie samowolnego wyroku polecił książę według zwyczaju, którego się trzymano w podobnych wypadkach, dwom członkom swojej rodziny: hrabiemu d'Aliffe, bratu księżnej, i Leonardowi di Cardine, krewnemu Carafów, i wysłał ich w tym celu do Galese, gdzie księżna była uwięziona. Sam książę, chory, może wskutek wzruszeń, pozostał w domu.

Dwóch mnichów przygotowywało księżnę na śmierć, a jeden z nich opisał jej ostatnie chwile, chłodno, szczegółowo, nie gorsząc się wyrokiem, który uważał według ówczesnych zwyczajów za nieunikniony i sprawiedliwy. Gdy Leonardo di Cardine wszedł do księżnej, która leżała w łóżku i uwiadomił ją, że umierać musi, nieszczęśliwa kobieta zapytała go, czy ma rozkaz księcia na piśmie. Wierzyła do ostatniej chwili w przywiązanie męża. Przeczytawszy pismo, oświadczyła tylko, że się spodziewa potomka i że przeto powinni czekać z wykonaniem wyroku. Uwaga ta jednak nic nie pomogła; matka księcia Paliano i kardynał Carlo wymagali, aby winna jak najprędzej była ukarana, ich woli miało się stać zadość.

Oprócz Leonarda, dwóch mnichów z pobliskiego klasztoru i proboszcza z Galese był także brat księżnej, hr. d'Aliffe, przytomny ostatnim jej chwilom. Gdy się wyspowiadała, zwrócił się hr. d'Aliffe do Leonarda, aby skazanej nie duszono, ale jej zadano truciznę. Leonardo jednak nie chciał na to przystać, albowiem trucizna działa powoli, a jemu się śpieszy odjechać do Rzymu i czekać tutaj nie może. Księżnę groza przejęła. „Dlaczego chcecie mnie mordować?" — zapytała brata. — „Honor tego wymaga" — odpowiedział Leonardo. Wtedy proboszcz wyszedł; pozostali dwaj zakonnicy trzymali krzyż przed nią i napominali, żeby się poddała losowi, nie narzekając. Hr. d'Aliffe przyniósł tymczasem powróz i drążek długi na pół łokcia, zawiązał oczy siostry chustką i zarzucił powróz około jej szyi. Ale powróz okazał się za długi, hrabia wyszedł więc znowu do drugiego pokoju, a księżna uchyliła chustkę z oczu i zapytała: „Co robicie?" Hrabia odpowiedział, że sznur niedobry, że bierze inny, aby jej mniej sprawić bolu. Poczem spuścił jej chustkę

na oczy i ponownie zarzucił sznur na szyję. Księżna siedziała w koszuli na kraju łóżka. Don Leonardo chwycił ją za ręce i całym ciężarem swego ciała przyciskał nogi, aby się nie ruszała, a hrabia zaczął okręcać sznur około drewna, które sobie przygotował. Ciało księżnej zadrgało konwulsyjnemi ruchami; ofiara zaczęła robić ostatnie wysiłki nogami i rękami, aby się uwolnić, a po chwili upadła bez życia. W nocy pochowano ją w kościele w Galese.

Tragiczna śmierć księżnej nie sprawiła narazie wielkiego wrażenia, albowiem wiedziano o tem, że ofiara rodowej dumy oddawna jest uwięziona i że według zwyczajów, które panowały w rycerskich rodach, musiała winę swoją przepłacić życiem.

Wszystko się stało według życzeń i woli kardynała, który poczuł się znowu na siłach. Chciał więc zaraz iść dalej i zadać cios swym nieprzyjaciołom, Colonnom. W tym celu wymyślił oskarżenie, które rzeczywiście najmniejszej nie miało podstawy, że Marc-Antonio chciał go otruć i wywołać w Galese bunt przeciwko Carafom. Kazał uwięzić przeszło trzydziestu mieszkańców i sług księcia z Galese, jako mających udział w owem sprzysiężeniu, a nadto przekupił mnóstwo świadków i sądził, że zdoła urządzić wielki proces, który nowego papieża przekona o niebezpieczeństwie, jakie jemu i przyjaciołom stolicy apostolskiej zawsze jeszcze grozi ze strony Colonnów. Bezpośredni powód dało mu do tego zajście pomiędzy włościanami a kamerierem księcia, Giambattistinem, w którem ten ostatni został zraniony. Niecne plany kardynała pokrzyżował wszakże Ser Camillo, rządca Marc-Antonia, który wówczas bawił w Rzymie; on to wyjawił przed trybunałem całą machinację. Kardynał starał się wszelkiemi sposobami sprawę przytłumić; ale Colonnowie postarali się o to, aby papież i Watykan wiedział o postępowaniu Carafy, i usiłowali przekonać papieża, jak niebezpiecznego człowieka do swych łask przypuścił.

Pius IV w trudnem był położeniu; kardynałowi zawdzięczał swoje wyniesienie, obawiał się więc przedsięwziąć jakieś surowe kroki przeciw niemu, aby go nie posądzano o niewdzięczność, a co więcej, sądził, że Carlo jest w wielkich łaskach u Filipa II, o czem go kardynał starał się przekonać. Ażeby zaś po-

zyskać przychylność dworu hiszpańskiego, wyrobił sobie u papieża, że wysłał jako nuncjusza do Madrytu jego przyjaciela, całem sercem oddanego mu biskupa z Terraciny. Z pomocą zręcznego prałata spodziewał się Carlo, że nawiąże znowu ścisłe stosunki z hiszpańskim dworem i stanie się niezbędnym Piusowi IV, podobnie jak był nim Pawłowi IV. W przekonaniu więc, że Carafa ma poparcie na dworze w Madrycie, obawiał się papież uczynić zadość prośbom Colonnów i pozwolić na wytoczenie procesu kardynałowi. Niebawem jednak przekonał się, że królowi hiszpańskiemu bynajmniej nie chodzi o Carafów. Przybył bowiem do Rzymu nadzwyczajny poseł króla Filipa II, hrabia Tendiglia, aby papieżowi złożyć życzenia z powodu jego wyboru na stolicę apostolską, i natychmiast rozwiał złudzenia Piusa IV. Tendiglia oświadczył wprost papieżowi, że król jest niezadowolony z intryg biskupa Terraciny i kardynała i że zawsze żywi dla Colonnów przyjazne uczucia. Piusa IV bardzo niemile dotknęły machinacje kardynała Carla, wskutek czego natychmiast odwołał biskupa Terraciny z Madrytu i wysłał monsignora Santa Croce, człowieka, któremu ufał.

Colonnowie uważali chwilę za odpowiednią, aby całą siłą, wszelkiemi wpływami zachwiać stanowisko Carafy i jeżeli się da, pokonać tego największego nieprzyjaciela ich rodu. Wtedy to Joanna d'Aragona, matka Marc-Antonia, ze zwykłą zręcznością chwyciła sprawę do rąk, a chcąc być pewną zwycięstwa, postanowiła doprowadzić do skutku małżeństwo, któreby połączyło obydwa rody: Colonnów i Medyceuszów. Papież widocznie dążył do tego samego celu, gdyż kazał zgotować Joannie prawie monarsze przyjęcie. Zręczna kobieta nie potrzebowała trzech dni, aby papieża jak najlepiej usposobić dla Colonnów i całą swą zemstę, cały swój jad, jaki się w niej nagromadził ku kardynałowi, przelać w serce Piusa IV. Po trzech dniach, 7 czerwca 1560, kazał papież uwięzić kardynała, księcia Paliano i młodego kardynała Neapolu, tudzież tych, którzy wykonali morderstwo w Galese, hrabiego d'Aliffe i Leonarda di Cardine. Wszystkich zaprowadzono do zamku św. Anioła, a ajenci papiescy z prokuratorem państwa na czele odbyli rewizję w pałacach Carafów i pozabierali wszystkie papiery, rozliczną ich korespondencję, a nawet rachunki Carla, które były prowadzone

od czasu, jak został kardynałem, z niezwykłą drobiazgowością. Joanna odniosła zupełny triumf.

Papież ustanowił komisję z dziewięciu kardynałów jako trybunał, który miał sądzić Carafów, i powierzył proces prokuratorowi Aleksandrowi Pallantieri, jednemu z największych ich wrogów. W całym tym sądzie mieli Carafowie tylko jednego przyjaciela, kardynała Alessandrina, który widząc, że duch zemsty i nienawiści przeciw uwięzionym panuje pomiędzy wszystkimi członkami trybunału, usunął się i wyjechał z Rzymu do swego biskupstwa. Cały Rzym odrazu zrozumiał, że nadeszła chwila zmiażdżenia tego rodu, który się tak szybko podniósł i tyle krzywdy ludzkiej miał na sumieniu. Zapanowała powszechna przeciw nim vendetta, donosami zasypano prokuratora; Cosma Medici przybył do Rzymu, aby zemścić się na kardynale za protekcje, których tenże udzielał jego nieprzyjaciołom, a gdy się zapewnił, że Carlo pierwszy został zasądzony, wyjechał jeszcze przed ukończeniem procesu napowrót do Florencji, oświadczając z hipokryzją, że „powraca, aby nie być przytomnym tej tragedji Carafów". Nawet Filip II, z usposobienia mściwy, działał przez swego ambasadora, aby się nie dać więcej podnieść kardynałowi, temu człowiekowi, który go niejednokrotnie obraził. Zdawało się, że cały świat sprzysiągł się przeciw Carafom, uwięzieni nigdzie nie wzbudzali współczucia; we Włoszech, w Hiszpanji, we Francji i Niderlandach życzono sobie ich skazania. Prokurator papieski był wiernym wyrazem tej nienawiści, a po wielu dniach zbierania materjałów, wystąpił z trzema głównemi oskarżeniami, a mianowicie, że Carafowie zamordowali Marcella Capece i księżnę Paliano, że uknuli całe sprzysiężenie, aby obwinić Marc-Antonia Colonnę o zamiar zamordowania kardynała, i wreszcie, że dawniej jeszcze, w sierpniu r. 1555, uwięzili bez powodu Francesca Lottina, sekretarza kardynała Santa Fiore. Ażeby co do pierwszego obwinienia zwiększyć jeszcze winę Carafów, prokurator dowodził, że księżna Paliano nie była winna cudzołóstwa, że nadto nie otworzono ciała zamordowanej, aby ochrzcić dziecię, które nosiła w swem łonie.

Prokurator do tego stopnia był stronniczy, że gdy jeden ze świadków utrzymywał, że Marcello miał z księżną stosunek,

kazał zawołać natychmiast kata i wziąć go na tortury, aby wyznał „prawdę“. Gdy kat przyniósł powrozy i zrywał ubranie z delikwenta, przestraszony świadek zaczął wołać, że się jeszcze zastanowi, że był tak zmięszany, iż mógł zapomnieć to, co słyszał, że jutro, gdy będzie spokojniejszy, sprostuje swoje zeznania. Nazajutrz też utrzymywał, że księżna była niewinna. Tej samej procedury chwycił się Pallantieri także wobec księcia Paliano, który nie chciał czynić żadnych zeznań, obciążających kardynała. Prokurator kazał księcia związać, a gdy mu przymocowano do nóg żelazne ciężary i chciano go podnosić, aby ciało się wyprężyło, książę zaczął wołać, że wszystko zezna. Krzyczał, pieniąc się z gniewu: „Ja, synowiec papieża, jenerał świętego kościoła, książę, który w swym herbie ma trzy królewskie znaki, ja mam być przywiązany do powroza!“ Prokurator z udaną łagodnością odpowiedział, że tylko jego upór doprowadza do tej ostateczności, wskutek czego książę Paliano nazajutrz, 6 lutego, napisał do papieża memorjał, w którym wyznał wszystko, czego prokurator żądał, oświadczył, że się czuje winnym wobec Jego Świątobliwości i że źle postępował wobec Lottina i Antonia Colonny, błagał o miłosierdzie nie tyle dla siebie, ile dla swych synów. Ponieważ zeznania księcia Paliano obciążały także kardynała, więc według wszelkich zasad procedury karnej powinien był prokurator przesłuchać ich razem; ale Pallantieri obawiał się, aby Paliano nie cofnął owych zeznań, i zaniechał konfrontacji.

Akt oskarżenia kardynała daleko był obszerniejszy, aniżeli zarzuty przeciw księciu Paliano. Kardynała oskarżano aż o dwadzieścia cztery zbrodnie i przekroczenia. Cofnięto się aż do jego lat kondotierskich, aż do morderstwa, popełnionego w Benewencie, i niemoralnego życia w czasach, nim jeszcze został kardynałem. W tem wyliczaniu zbrodni, popełnionych przez kardynała, były aż trzy morderstwa: Carlo zabił szewca Tumanta, kazał zamordować Marcella Capece i księżnę Paliano, będącą w błogosławionym stanie, frymarczył ziemiami, należącemi do kościoła, zamierzał na chrześcijaństwo sprowadzić flotę turecką, wiązał się z luteranami na zgubę cesarza, a nawet podejrzany był o herezję. Zwróciło to powszechną uwagę, że prokurator oskarża kardynała o zbrodnie, które Paweł IV

zmazał już zupełnem rozgrzeszeniem, danem swemu synowcowi, gdy go mianował kardynałem; uwłaczało to pamięci zmarłego papieża i naruszało zasadę, że wyrok, wydany przez stolicę apostolską, jest nienaruszalny.

Carafowie mieli bardzo zdolnego adwokata Marc-Antonia Borghese, który zaraz chwycił się tej słabej strony oskarżenia i uważał je jako zamach na papieską władzę; ale prokurator był na ten zarzut przygotowany i utrzymywał, że kardynał Carlo wyłudził kłamstwem i podstępem na swym stryju breve, które go uniewinniało, że przeto pismo to nie było wypływem woli stolicy apostolskiej. Jednym jednak z głównych a nieuchwytnych zarzutów prokuratora było podejrzenie, że Carlo sprzyjał herezji „Suspectus vehementer de haeresi", a wobec tego mniemania stał adwokat prawie bezbronny, o subtelnościach wiary lub niewiary rozstrzygali bowiem kardynałowie. Pius IV był zresztą w tej mierze nadzwyczaj drażliwy.

Dwieście sześćdziesiąt dziewięć dni musieli Carafowie czekać na wyrok, a sam proces kardynała obejmował przeszło dziesięć tysięcy arkuszy pisma. Pallantieri zamierzał utopić sprawiedliwość w tej powodzi zagmatwanej pisaniny, chciał znudzić i obałamucić tych, którzyby mogli jeszcze wątpić o zbrodniach kardynała. Dla papieża przygotował prokurator krótki wyciąg z aktów procesu i przedłożył go z końcem lutego 1561 na posiedzeniu konsystorza. Pallantieri żądał skazania na śmierć kardynała i księcia Paliano, równie jak hrabiego d'Aliffe i Leonarda di Cardine. Członkowie świętego kolegjum uważali wyrok za ostry i przynajmniej dla kardynała prosili o zmienienie kary; skazanie na śmierć kardynała zdawało im się za wielkiem zgorszeniem. Od wyroku na Petrucciego za Leona X żaden kardynał nie uległ takiej karze. Ale Pius IV zawziął się. Joanna d'Aragona dokonała swego dzieła, a nadto ambasador hiszpański żądał zniszczenia Carafów. Zanim papież poszedł na posiedzenie kardynałów, kazał wygotować wyrok na Carafów, podpisał go, zaopatrzył w swoją pieczęć i przyniósł ze sobą na posiedzenie. To też, gdy podczas konsystorza niektórzy kardynałowie, a przed innymi Farnese zdobyli się na odwagę, aby krytykować postępowanie prokuratora, papież wstał, przerwał posiedzenie i oświadczył, że gubernator miasta zastosuje się do

zapieczętowanego rozkazu, który przyniósł ze sobą. Gubernatorowi wolno było dopiero nazajutrz rozłamać pieczęć wyroku.

Colonnowie, baronowie della Cornia i da Bagno, którym kardynał wydarł całe mienie, Hiszpanie, których lekceważył, florentyński Cosma triumfowali.

W nocy z piątego na szósty marca 1561 uwiadomiono księcia Paliano, że ma umierać; ale książę wiedział już dobrze, co go czeka, i od dziesięciu dni przygotowywał się na śmierć. Jezuici przychodzili do niego, spowiadał się przez ten czas cztery razy, pościł, biczował się. Dowiedziawszy się o treści wyroku, nie okazał żadnego wzruszenia, tylko prosił o pozwolenie napisania do swego syna. List, ułożony w kaznodziejskim stylu, był niejako oddźwiękiem tych nauk, które skazanemu dawali w ostatnich dniach jezuici.

Gdy książę skończył, zaprowadzili go łucznicy z zamku świętego Anioła do więzienia Tor di Nona, na lewym brzegu Tybru. Niósł w ręku srebrny krucyfiks, a do przechodzących wołał, aby byli sprawiedliwi, aby się strzegli grzechów. W kaplicy nowego więzienia spotkał będących tam już hrabiego d'Aliffe i don Leonarda di Cardine. Skazańcy stali ze spuszczonemi głowami, o przygasłym wzroku, przygotowani na śmierć. Książę przystąpił do nich, napominał, aby nie upadali na duchu i gardzili dobrami świata. Następnie usiadł i na głos zaczął odmawiać medytacje o życiu Chrystusa, od inkarnacji aż do Kalwarji. Mówił szybko z godzinę, jak gdyby w tej głośnej kontemplacji chciał zapomnieć o strasznej chwili, która go czekała. Dwaj towarzysze, widząc, że to pogrążenie się w modlitwie ulgę mu przynosi, poszli za jego przykładem; hr. d'Aliffe zażądał, aby mu podano rozmyślania św. Augustyna, don Leonardo prosił jednego z członków bractwa Miłosierdzia, który się tam znajdował, aby mu wskazał jaką modlitwę o zbawienie duszy. Mnich przyniósł mu siedm psalmów pokutnych, jako szczególnie skuteczną modlitwę, rozgrzeszającą z siedmiu grzechów głównych. Leonardo zaczął ją czytać, wpatrzony w krucyfiks. Tymczasem książę Paliano wyszedł z kaplicy, aby się wyspowiadać, a gdy wrócił, upadł na kolana przed szwagrem i don Leonardem i prosił o przebaczenie wszystkiego, czem wobec nich zawinił. Ci poszli za jego przykładem, uściskali go i po-

wiedzieli: „Do zobaczenia“. W nerwowem rozdrażnieniu wpadli w pewien rodzaj religijnej ekstazy, płakali i rzucali się na szyję przytomnym tam mnichom, błagając ich, aby zachowali o nich dobrą pamięć.

Rozdrażnienie to rosło, gdy godziny mijały, a kata widać nie było; książę kazał sobie czytać ewangelję św. Jana o męce Chrystusa, której słuchał, klęcząc i bił głową o posadzkę, gdy wymawiano słowo Jezus. A gdy i to czytanie się skończyło, a chwila strasznego duchowego naprężenia jeszcze nie nadeszła, recytował książę modlitwy do różnych świętych, które umiał napamięć, a pomiędzy innemi modlitwę do św. Wincentego przeciw pokusom. Pokuszeniem bowiem zdawała mu się myśl, że może papież jeszcze go ułaskawi; nadzieję nawet uważał za grzeszną, ostatnie tchnienie powinno być umartwieniem. Mając wielkie pragnienie, prosił o wodę; gdy mu jednak przyniesiono trochę małmazji, odtrącił kieliszek, przyszła mu bowiem na pamięć męka Chrystusa i zaczął mówić w tonie modlitwy: „Gdy cię, Panie mój, pragnienie trapiło, dano ci octu i żółci, a mnie, niegodnemu grzesznikowi, ofiarują małmazję!“

Cała noc minęła na modłach i strasznem oczekiwaniu; nad ranem wreszcie wszedł jeden z łuczników i oznajmił, że już czas. Książę chwycił krucyfiks do ręki, a idąc na miejsce stracenia, śpiewał donośnym głosem *Te Deum;* gdy go zaś przyprowadzono na miejsce stracenia, uklęknął, odmówił *Miserere* i zaczął cytować słowa świętego Andrzeja: „O bona Crux diu desiderata!“ Zapomniawszy jednak dalszego brzmienia tych rozmyślań, prosił jednego z mnichów, aby mu je przypomniał. Podczas tego kat przystąpił i związał mu ręce wtył; książę, chcąc się niejako uniewinnić przed katem, że staje się powodem jego groźnego zajęcia, uściskał go, a wymawiając słowo „Chrystus“, położył głowę na pniu. Kat spuścił topór i głowa się potoczyła. Prawie równocześnie umierali w ten sam sposób dwaj towarzysze księcia; opowiadano sobie, że głowa Leonarda di Cardine już po odcięciu jej od tułowia wymówiła imię „Jezus“.

Wszystkie trzy ciała wystawiono na moście św. Anioła na urządzonej estradzie; ciało jednak księcia Paliano, jako największego dostojnika pomiędzy trzema ofiarami, leżało na wyższym

tapczanie, przykrytym kapą z czarnego aksamitu, na której były wyhaftowane herby rodzinne.

Kardynałowi Carafie nie pozwolono także żyć dłużej. Spał jeszcze, gdy kat w towarzystwie księdza i dwóch łuczników wszedł do jego więzienia w zamku św. Anioła i oznajmił mu, że musi umrzeć. „Jakto, umrzeć?“ — odpowiedział kardynał przerażony, nie przypuszczał bowiem, aby został na śmierć skazany. Na chwilkę oniemiał, ale wkrótce zerwał się z posłania i wypowiedział z ironją: „O, jaka radość dla prokuratora i gubernatora!“, a ubierając się, ryczał, jak ranny lew i wykrzykiwał: „O Piusie IV, o królu Filipie, nie spodziewałem się tego po was!“ Po chwili wszedł gubernator do więzienia, a wobec niego już kardynał zapanował nad sobą, zaczął zapewniać, że nigdy Piusa nie obraził i że mu służył wiernie i z pełnem poświęceniem. Prosił zarazem gubernatora, aby to oświadczył papieżowi.

Kardynał wdział na siebie futro, żądał, aby mu podano beret i odznaki godności, tudzież, aby mu przyprowadzono jego zwykłego spowiednika. Gubernator odmówił tym żądaniom i prosił skazanego, aby się wyspowiadał przed księdzem, który przyszedł z łucznikami. Spowiedź trwała tak długo, że jeden z łuczników, zniecierpliwiony czekaniem, odważył się powiedzieć: „Monsignore, proszę się śpieszyć!“ Gdy zaś po kwadransie od tego napomnienia kardynał jeszcze się spowiadał, wrócił łucznik z rozkazem, aby szedł natychmiast, gdyż tej samej nocy ma jeszcze gdzie indziej robotę, t. j. z jego towarzyszami. „Nawet z Panem Bogiem nie dacie mi się pojednać?“ — rzekł kardynał zgorszony. Żołnierz zaczekał i pozwolił mu jeszcze kilka modlitw odmówić, poczem kardynał powstał, zawołał kata i powiedział mu: „Bracie, rób twoją powinność“.

Aby nie czynić wielkiego zgorszenia, nie pozwolił papież kardynała ścinać; polecił, aby go uduszono. Kat więc zaraz przystąpił do roboty; kazał usiąść Carafie na krześle i zarzucił mu na szyję jakiś cienki sznur, który się przerwał. Kardynał padł na ziemię, wołając ochrypłem głosem: „Na Boga, nie męczcie mnie!“ Wtedy kat wraz ze swoim pomocnikiem powtórnie wziął się do strasznego dzieła; włożyli ofierze chustkę do ust i ciągnęli znowu powróz z całej siły, dopóki człowiek, przed którym cały Rzym drżał doniedawna, nie wyzionął ducha.



Solimena: Wypędzenie Heljodora ze świątyni
(Obraz w kościele Gesù nuovo w Neapolu)



W kilka lat później, za panowania Piusa V, ginął podobną śmiercią ów prokurator Pallantieri, który był nieubłaganym oskarżycielem i sędzią Carafów. Papież zarządził rewizję procesu, a po dokładnem zbadaniu aktów okazało się, że nie było dostatecznych podstaw prawnych, aby kardynała na śmierć skazywać. Sekwestr, którym były obłożone dobra Carafów, zniesiono i formalnie zrehabilitowano ich pamięć.

Ale ród Carafów już się nie podniósł, chwile jego potęgi minęły.

Giovanna d'Aragona umarła we wrześniu 1577.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

CZASY WICEKRÓLEWSKIE

I

Gdy w r. 1860 municypjum neapolitańskie zmieniło nazwę głównej, bardzo długiej ulicy, przecinającej całe miasto na dwie połowy, ludność głośno na to sarkała. Arterja ta życia tamtejszego nazywała się od wieków „Strada di Toledo"; po połączeniu Włoch w jedno państwo napisano na narożnych jej domach „Strada di Roma". Nowość ta obrażała dziejowe, partykularne uczucia neapolitańczyków, pomimo że panowanie hiszpańskich wicekrólów należało do najsmutniejszych epok w dziejach miasta. Ale przeszłość, gdy nam już przestała dokuczać, ma zawsze swój urok, osobliwie gdy ją można upoetyzować niezbyt prawdziwemi legendami.

Ulicę tę uregulował i ozdobił rozmaitemi gmachami ósmy zkolei wicekról, Don Pedro Alvarez di Toledo (1532—1553), jeden z niewielu tych satrapów, którzy cośkolwiek zdziałali dla miasta. Historyczny ród tych książąt d'Alvarez tem się wyróżniał, że wydawał mężczyzn małego wzrostu, o bardzo nikłej postaci. Mimo to Don Pedro zasłynął w młodzieńczych latach z nadzwyczajnej zręczności i odwagi w walkach byków, tak, że go nazwano w Hiszpanji wielkim „toriatore". Ale nietylko na arenie, zwyciężał don Pedro także i na turniejach i giostrach, wskutek czego zwrócił na siebie uwagę dworu i król go bardzo polubił. Przyszłość była dlań otwarta, torreador został w r. 1533 wicekrólem Neapolu.

Na szczęście czy nieszczęście, don Pedro ożenił się z Marją, markizą di Villafranca, trzynastoletnią panną, piękną, bogatą dziedziczką owego markizatu, ale bardzo wysoką. Gdy ta para ukazała się na ulicach Neapolu, publiczność żartowała

z niedobranego wzrostu, ale duchessa była dumna z tego, że opatrzność ją przeznaczyła, aby „powiększyć“ ród książąt d'Alva. Don Pedro był człowiekiem czynnym; doprowadził państwo neapolitańskie do jakiego takiego porządku, zreformował sądownictwo, poskromił butę baronów, przyczem podwoił daniny i podatki i kazał ściąć przez czas swego panowania 80.000 głów swoich poddanych, co należało do ówczesnych zwyczajów. Mimo to ludność go żałowała, gdy w czasie wyprawy na Sienę umarł 12 lutego 1553.

Za rządów Toleda Karol V, wracając z wyprawy do Tunisu, zatrzymał się dłuższy czas w Neapolu, gdzie mieszkał w Castel-Nuovo i przyjmował książąt i ambasadorów z całych Włoch. Świetne bale, giostry, turnieje, walki byków następowały po sobie w nieprzerwanym ciągu, a pod pokrywą tych zabaw intrygowali baronowie neapolitańscy w wyraźnym celu, aby cesarz usunął Toleda, którego nienawidziły wielkie rody z powodu jego surowości. Najpiękniejsze kobiety z całych Włoch brały udział w tych intrygach, zwłaszcza, że Karol V był bardzo czuły na wdzięki niewieście. Donna Maria d'Aragona, marchesa del Vasto, zwracała uwagę cesarza swą szczególną pięknością, wytrawnym sądem o ludziach i prawdziwie królewskiem występowaniem w towarzystwie; ale może najbardziej zajęła go Lucrezia Scaglione, nie nosząca jeszcze wysokich tytułów, ale dzielna, odważna, pełna niepospolitych zalet. Marchesa del Vasto pomagała swemu mężowi, księciu di Salerno i całemu zastępowi arystokratycznych przyjaciół, aby zgubić Toleda w opinji monarchy; ale Karol V był zanadto wytrawnym człowiekiem, aby się dać zawikłać, nawet w sieci czarującej Marji d'Aragona. Cesarz wyjechał 22 marca 1536 z Neapolu, a Toledo pozostał nadal wicekrólem ku wielkiemu zmartwieniu neapolitańskich baronów.

Triumf ten pobudził jeszcze bardziej wicekróla do rozwinięcia swej działalności około podniesienia miasta i okazania ludowi, że zasłużył na zaufanie cesarza. Neapol był źle zabudowany; portyki, balkony w wąskich ulicach nie przepuszczały promieni słońca, kanalizacja nie odpowiadała najprostszym wymaganiom higjeny, ulice nie miały bruków, mury forteczne zanadto ściskały miasto. Temu wszystkiemu starał się Toledo za-

radzić i z wielką energją zabrał się do dzieła. Powstały nowe pałace, nowe gmachy publiczne, a główną arterją miasta stała się ulica, której nadano nazwę wicekróla. Ale nie trzeba sobie wyobrażać, że ta ulica miała w czemkolwiek podobieństwo do dzisiejszych arteryj wielkomiejskich. Ruchliwość południowców, ich zwyczaje, niedbalstwo ludności nadały jej zupełnie odmienne, chociaż bardzo malownicze cechy.

Obok sklepu zegarmistrza założył jakiś kupiec skład drzewa, z balwierzem graniczyła wozownia z wehikułami do wynajęcia, dalej dom płatnerza Pirra Juan, w którym mieszkało oprócz rodziny właściciela ośmiu hiszpańskich żołnierzy; jeszcze dalej kościół S. Maria di Loreto, to znów botega kapelusznika i pałac hrabiego di Mola. Za pałacem sprzedawano maccaroni i apteka „speziale in medicina" zapraszała klientów na pogadankę. Jeszcze dalej otwarte biuro notarjusza i wysunięte na ulicę stragany z jarzynami — i tak dalej w nieskończoność: najpospolitsze sklepy z wiktuałami, serami, zdradzające zdala swe sąsiedztwo ostrym zapachem, przeplatane pałacami, klasztorami, przy których się usadowiła cała zgraja żebraków z brzydkiemi chorobami; gdzie niegdzie stragany przekupniów jarzyn i owoców wchodziły głęboko w ulicę, tak, że stanowiły niemałą przeszkodę dla ruchu. Za straganami pospólstwo załatwiało nieraz nieprzyzwoite potrzeby, tak, że zakonnice jednego z klasztorów skarżyły się w municypjum, aby więcej uważano na zachowanie się publiczności.

Najbardziej zajmującą częścią ulicy był plac della Carità, pełen kramów z owocami, kwiatami, oliwą, a nawet z sianem i słomą. Opowiada jeden z kronikarzy, że jakiś wieśniak przyjeżdżał co rano z wózkiem słomy i stawał tuż przed botegą krawca. Obrażony majster wzywał niejednokrotnie policję, a gdy jego przedstawienia nic nie pomagały, kazał swemu czeladnikowi podłożyć ogień pod słomę. Koń, poczuwszy dym, zaczął się szarpać, wspinać, wpadł pomiędzy przekupki, a zanim ugaszono ruchomy pożar, powstało na całym placu zamięszanie nie do opisania. Krawiec się uwolnił od słomy, która mu widok zasłaniała.

Jakie tam przysmaki sprzedawano, opowiada późniejszy wierszyk jakiegoś brukowego poety:

Le lattanti porcelline,
Le vittele sorrentine,
Li capponi, le galline,
I galletti, i gallinacci,
I faggiani, gli anitracci
Le pornici, le baccacce,
Quelle storne allagracce,
Quei bellissimi piccioni
Tanto teneri e si buoni.

To były ramy, w których od świtu do nocy odbywał się ruch nie do opisania. Sześcio- i czterokonne karoce, o srebrnych i złotych ozdobach, małe wózki, które ciągnął jeszcze mniejszy osieł, hiszpańscy żołnierze na pięknych koniach, rycerze w olbrzymich kapeluszach, rybacy, wywołujący świeżo ułowione frutta di mare, i tysiące dziwacznych postaci zapełniały środek ulicy, przepychając się, wyrzucając z ust przekleństwa, aby sobie otworzyć drogę.

W karnawał główny pochód masek i wozów alegorycznych odbywał się na strada di Toledo. Karoce i wozy musiały się poruszać po obydwu stronach ulicy w ten sposób, aby środek był pozostawiony dla pieszych masek i dla powozu wicekróla. Te pochody karnawałowe w Neapolu były właściwie o wiele świetniejsze, aniżeli karnawały rzymskie na Corso. Cała arystokracja neapolitańska brała w nich udział, a była to arystokracja liczniejsza, jak w Rzymie, lubiąca świetnie występować i mogąca się poszczycić prawie najpiękniejszemi kobietami we Włoszech. Okolica Neapolu bogatsza, aniżeli rzymska Campagna, zresztą bliskość morza przyczyniały się także do urozmaicenia karnawałowych pochodów. Ponieważ sielanki były w modzie, więc każdego karnawału wielką grały rolę wozy z grupami pasterzy, nimf, satyrów i myśliwych. Całe to leśne towarzystwo zaopatrzone było w najrozmaitsze instrumenty muzyczne: w wiole, gitary, liry, cytry, teorbany, tamburyny, piszczałki i trąby; wszystko grało, śpiewało i tańczyło na platformie wozów, a lud uliczny i maski w środku ulicy akompanjowały tej piekielnej nieraz muzyce pięknemi lub ochrypłemi głosami.

W opisach pochodów karnawałowych neapolitańskich uderza wielka ilość wozów z pożywieniem, z owocami, cukrami, serami, nawet z pieczonem mięsiwem, jak szynki, pośladki cie-

lęce lub kozie i, naturalnie, ulubione salami. Wieczorem, gdy pochód się zakończył, rozdzielano te przysmaki pomiędzy lud, dla którego w ten sposób stawał się karnawał ulubioną zabawą. Przy podziale podarunków przychodziło często do walk ulicznych, noże i puginały błyskały w tłumie; ale neapolitanie byli przyzwyczajeni do tego rodzaju niespodzianek.

Obok nimf i pasterzy wielką rolę odgrywali Pulcinella i Coviello; nimfy rozczulały swemi śpiewami, Pulcinella wywoływał homeryczne śmiechy.

Jednego karnawału ukazała się na olbrzymim wozie góra Atos, około której gromadziły się „Cnoty“ z dłótami i młotkami w rękach i z greckiego marmuru ciosały posąg wicekróla — pochlebstwo tłumów.

Bywały jednak czasy, kiedy strada di Toledo przedstawiała mniej wesoły widok; ludowe rewolucje pozostawiły tam krwawe ślady.

II

Wicekról książę d'Ossuna (1616—1620) ogłosił dworskie rozporządzenie, że podczas jego audjencyj mogła tylko utytułowana szlachta, począwszy od hrabiów i markizów do książąt i duków, czekać w przedpokoju, w tak zwanej antykamerze, niższa zaś szlachta musiała się gromadzić w wielkiej sali, nie mającej tego zaszczytu, aby ją nazwano przedpokojem. Szlachta bez tytułów była wszakże liczniejsza i tak się obraziła tym nakazem, że przez jakiś czas nie prosiła o posłuchania i zaczęła spiskować przeciw wicekrólowi; trzeba było rozmaitych ustępstw, aby bunt uspokoić.

Ossuna był jednym z wicekrólów, którzy najbardziej dbali o hiszpański ceremonjał, o zewnętrzne formy, o to „sussiego“, które nie odpowiadało żywej naturze włoskiej arystokracji. Pompa wicekrólów dużo kosztowała i niszczyła kraj. Do początków siedmnastego wieku wynosił ustanowiony przez państwo roczny dochód tych dygnitarzy 30.000, później został podniesiony na 40.000 dukatów. Wicekrólowie mieli jednak niewyczerpany skarb w rubryce budżetu „tajemnych wydatków“, odpowiadającej dzisiejszemu „funduszowi dyspozycyjnemu“ mini-

strów prezydentów. Gdy jednak duca d'Ossuna naliczył razu pewnego 380.000 dukatów tych „Spese segrete", wydało się to przecież za wiele madryckiemu rządowi; wyznaczono mu więc tylko 24.000 dukatów na te tajemne, polityczne cele i nakazano, aby na każdy wydatek, przekraczający tę sumę, prosił o królewskie zezwolenie.

Ale też książę d'Ossuna przewyższył w swych zbytkach wielu monarchów; jeździł po ulicach Neapolu tylko w powozie, zaprzężonym w sześć pysznych koni, a ta karoca była obita nazewnątrz czarnym aksamitem, wewnątrz zaś błyszczała złotogłowiem. Mówiono, że samo srebro na tym wehikule ważyło dwieście funtów. Spotykając ubogich, rzucał im złote monety, przyjmował prośby od cisnących się do powozu, a w pierwszych latach swych rządów wychodził nawet przybrany w ubogie suknie na miasto, aby się przekonać, czy ludność nie spiskuje i czy wszystko w porządku.

Arystokrację chciał ująć dawaniem wspaniałych festynów, maskarad, przedstawień teatralnych, a powszechnie mówiono, że w pierwszym roku swych rządów wydał pięćdziesiąt tysięcy dukatów na same przyjęcia. Jednego wieczora zaprosił sto dwadzieścia pań na obiad i zaprowadził tę nowość, że zamiast lokai usługiwali im panowie, należący do ich rodzin, co było stanowczo błędem, bo panie byłyby zapewne wolały, gdyby im obcy kawalerowie przynosili potrawy; ale hiszpańskie „decorum", pełne fałszu, na to nie pozwalało. Sam wicekról uważał poniżej swojej godności siedzieć przy stole w tem towarzystwie; więc z małego okienka w loży przypatrywał się tej uczcie i dopiero przy końcu obiadu raczył zejść do sali w przepysznym stroju i resztki potraw kazał wyrzucić przez okno ludowi, który się zgromadził w podwórzu. Była tu pewna różnica w lekceważeniu gości i pogardy dla pospólstwa. Po obiedzie otworzono drzwi wielkiej sali i tańczono do późnej nocy.

Innym razem kazał Ossuna urządzić wielką maskaradę; do sali wjechał statek turecki, z którego wyskakiwali tancerze, przebrani za muzułmanów; albo znowu zaprosił dwanaście panien, należących do najpierwszych rodów, na które czekała cała grupa młodzieży. Panny wchodziły parami przy odgłosie muzyki do sali, niosąc w prawej ręce zapalone pochodnie, i kła-

niały się wicekrólowi i jego małżonce, poczem rozpoczął się kadryl. Zdaje się, że panny wybierały tancerzy, bo księżniczka Monteleone Pignatelli prosiła wicekróla o podanie jej ręki. Wszystkie tancerki były jednako ubrane, w sukniach z białego atłasu, obszytych złotemi koronkami, a długie ogony ze srebrzystej materji zarzucały w tańcu na lewe ramię. Kronikarz, opisujący te festyny, robi złośliwą uwagę, że owe koronki niezawsze bywały z czystego złota, ale nieraz z jakiegoś bezwartościowego metalu. Tancerki miały na głowie białą koronę, z której wystawały cztery pióra czaple. Był to bądź co bądź taniec bardzo niewygodny; biedna ofiara hiszpańskiej przyjemności musiała uważać na palącą się zapewne, woskową pochodnię, na ogon swej sukni i na kawalera. Traktament nie odpowiadał jednak wspaniałości toalet; podawano owoce, winogrona i arbuzy — dość, aby się ochłodzić i być lekkim w tańcu.

Wicekról miewał także i mniej niewinne fantazje; razu pewnego kazał wydać w Poggioreale bankiet dla dwudziestu pięciu kurtyzan, chciał bowiem przypatrzyć się tym, które uchodziły za najpiękniejsze w Neapolu, i „pożartować“ z niemi. Ten zaszczyt jednak nie przeszkadzał, że owym kurtyzanom zabroniono jeździć po mieście w karetach i płynąć w barkach ku Posilippo pod karą cięg cielesnych. Wogóle te biedne istoty naprowadzano na drogę cnoty tylko trzciną hiszpańską, zastosowywaną do najtkliwszej części ciała. Niektóre z nich, jak to zwykle bywa, miały wyjątkowe prawa; zakazywano im wprawdzie sprowadzać się do osteryj i przyjmować u siebie żonatych mężczyzn, ale mimo to wielu starszych rycerzy bywało w ich „salonach“ i grało tam w karty lub w kości, a sam książę d'Ossuna jeździł wzdłuż Chiai z łatwą pięknością, Giovanną Marją, co bardzo ludność gorszyło. Cortegiany, zachęcone temi wyjątkami od przepisów policyjnych, pozwalały sobie na różne wolności. Jedna z nich, La Maltese, ufna w swoje stosunki, chciała usiąść na odpuście pomiędzy najznakomitszemi paniami, a gdy jakiś zbir zastąpił jej drogę, uderzyła w twarz stróża porządku. Ale przytomny temu książę d'Ossuna ujął się za policją i kazał śmiałą Maltesę wyrzucić z kościoła.

Podobne surowości wobec lekkich niewiast musiały się wszakże rzadko zdarzać. W kościele S. S. Concezione degli Spa-

gnuoli pozwalały sobie te panie na takie nieprzyzwoitości ze złotą młodzieżą podczas kazania, że aż duchowny z ambony zawołał, aby się spokojnie zachowały. Na co cortegiany się oburzyły i głośno odpowiedziały księdzu, żeby się trzymał tekstu swego kazania, a nie mięszał się w ich sprawy. Zdarzyło się to za panowania księcia d'Alcala, a ponieważ cortegiany i młodzież wybrała sobie kościoły za miejsce do wzajemnych zabaw, a nieraz zachowywały się podczas mszy w nieprzyzwoity sposób, więc proboszcz jednej parafji opasał szyję postronkiem na znak pokory, poszedł do wicekróla i oskarżył niesforną młodzież. Dla przykładu kazał d'Alcala pozamykać do wieży kawalerów z najznakomitszych rodzin; ale ta chwilowa surowość władzy nie na wiele się przydała, gdyż zły przykład szedł z góry.

Paniom z arystokratycznego towarzystwa wolno było także zabawiać się czasami w cortegiany; tak np. ostatnia wicekrólowa, księżna di Medina Celi, chcąc pokazać swe piękne kształty, urządziła bal maskowy, na którym wystąpiła wprawdzie w larwie na twarzy, ale zresztą prawie zupełnie obnażona, w towarzystwie dwudziestu młodych neapolitanek, równie nieubranych. Panie z towarzystwa, które miały zaszczyt romansować z wicekrólami, zupełnie się z tem nie kryły, owszem, jak np. księżna Conca d'Avalos albo markiza Compolettaro, szczyciły się tym stosunkiem.

Książę d'Ossuna, który tak wybornie umiał urządzać towarzyskie zebrania, był jednym z największych despotów i okrutników. Dentystę z Sycylji, który mu ząb złamał, posłał za karę na galery, a jakiegoś balwierza kazał wsadzić na osła i tak oprowadzać po ulicach Neapolu, a następnie wysłać również na galery za to, że zaniedbał pewnych formalności w wystawieniu świadectwa zranionemu w bójce ulicznej. Wyroki śmierci wydawał bez procesu, a sprawiało mu to wielką przyjemność, jeżeli egzekucja bezzwłocznie została wykonana. Jakiegoś urzędnika z Kapuy kazał ściąć w przeciągu dwóch godzin, a gdy nie można było naprędce odszukać kata, zawołano stosownie do woli wicekróla pierwszego lepszego rzeźnika, który się podjął smutnego zadania.

Ten „znakomity" Hiszpan żył ciągle w obawie, aby go kto nie urzekł; nie wystarczały mu zaklęcia i rożki koralowe w celu

obrony od uroków. To też, gdy na ulicy spotkał jaką babę, którą posądzał o czary, kazał ją chwycić i smagać policjantom. Aby jednak to postępowanie było jako tako usprawiedliwione przed publicznością, musiał kapucyn z krzyżem iść przed delikwentką, co miało znaczyć, że ona rzeczywiście jest winna czarów. Obawiał się jednak, aby u ludu nie stracić popularności; więc czasami bywał niesłychanie dobroczynny, i to w sposób bardzo ekscentryczny. I tak razu pewnego kazał napełnić dwanaście dużych wozów jak najwykwintniejszemi łakociami i w najuboższych częściach miasta rozdawać je pomiędzy lazaronów.

Szczęście jednak trwało niedługo; po czterech latach takich rządów odwołał król hiszpański rozrzutnego wicekróla, ponieważ prowadził na własną rękę politykę z Wenecją. Niełaska królewska tak go rozgniewała, że w małżeńskiej sprzeczce, powstałej wskutek dymisji, rzucił srebrny talerz na głowę wicekrólowej i o mało jej nie zabił. Mimo niezmiernych wydatków zaoszczędził przecież w tak krótkim czasie dwakroć sto tysięcy dukatów, które wycisnął z ludności za sprzedawane urzędy i za rozmaite „łaski“. Koniec jego był bardzo smutny; gdy mu bowiem w Madrycie wytoczono proces o sprzeniewierzanie funduszów rządowych, tak sobie wziął do serca to upokorzenie, że dostał pomięszania zmysłów i umarł w więzieniu r. 1624.

Przez niespełna dwa wieki uszczęśliwiało Neapol trzydziestu dziewięciu wicekrólów, a pomimo że krótko panowali, każdy z nich wywoził fortunę do rodzinnego kraju.

Wielu z nich wydawało niezmierne sumy na przedstawienia teatralne, a wyszczególniał się pomiędzy nimi don Emanuel de Gusman, hrabia de Monterey, który aż sześć lat panował. Chciał mieć co wieczór jakieś przedstawienie, czy we własnym zamku, czy w pałacach arystokracji, czy nawet misterja w kościele. Na przejażdżki gondolą wzdłuż wybrzeży Mergelliny i Posilippu brał zazwyczaj ze sobą największe znakomitości komedji dell'arte, któremi byli wówczas Andrea Cincio, przedstawiający Pulcinellę, i Ambrogio Buonuomo, w teatrze Coviello. Ci dwaj komicy mieli takie przywileje u wicekróla, że żadna włoska kompanja komików ostać się obok nich nie mogła. W roku jednak 1636 sprowadził wicekról do Neapolu towarzystwo hiszpańskich aktorów, a same koszta ich podróży wynosiły około pięciu ty-

sięcy dukatów. To obraziło ludność neapolitańską, a większa część włoskiej arystokracji nie umiała tak dobrze po hiszpańsku, aby jej hiszpańskie przedstawienia sprawiały przyjemność. Podczas pierwszych reprezentacyj były ławki prawie puste; wicekról zmuszał więc oficerów i lekkie niewiasty chodzić do hiszpańskiego teatru, a która nie przyszła, musiała płacić miesięcznie cztery karliny na fundusz artystów. Namiętności teatralnej ulegał nawet w późniejszym wieku do tego stopnia, że gdy wrócił do Hiszpanji i był dowódcą w wyprawie przeciw portugalskiemu księciu Braganza, nie wypłacał regularnie żołdu swemu wojsku, aby tylko zaspokoić potrzeby histrjonów.

Pomimo że publiczność neapolitańska broniła się, jak mogła, przed hiszpańskiemi komedjami, przecież wpływ obcego teatru stawał się coraz większy. Zresztą nie można się było temu dziwić; teatr hiszpański stał wtedy wyżej co do urządzeń scenicznych i ubiorów artystów, aniżeli włoski, a nadto był nowością. Co do treści jednak nie był wart naśladowania; panowała w nim przesada, brak naturalności, podobnie jak w całej literaturze hiszpańskiej. Urok jednak nowości tak wpływał na włoskich literatów, że tłumaczyli hiszpańskie komedje pomimo ich małej wartości. Hiszpańskich aktorów nikt z Włochów nie rozumiał, recytowali bowiem niesłychanie szybko swe role i tylko po ruchach, często bardzo nieprzyzwoitych, można się było domyślać treści komedji. Jak to zwykle bywa, wyższe towarzystwo było skłonniejsze do naśladowania cudzoziemczyzny, aniżeli klasy średnie. Jedną z pierwszych, na wzór hiszpański napisanych sztuk scenicznych była *L'Alvida,* którą przedstawiali neapolitańscy panowie z arystokracji. Reżyserem był hrabia San Severino, kobiece role, nawet role mamek, kurtyzan, stręczycielek i t. d. grali bez wyjątku mężczyźni; ponieważ jednak temat raził swoją nieprzyzwoitością, więc panie z towarzystwa włoskiego były tylko na próbie w pałacu wicekróla, a na przedstawienie nie przyszły.

Z salonów wicekrólewskich przeszło zamiłowanie komedji do pałaców arystokracji, a co gorsza, do kościołów i klasztorów; pomimo że komedje pisali często zakonnicy, ba, nawet kameduli, nie grzeszyły one przyzwoitością. W katedrze św. Januarego grano w r. 1631 jakąś *Gran Commedia,* której temat

wzięty był z poematu Tassa. Komedja o mało że się nie skończyła tragedją. Podczas przedstawienia zachowywał się jakiś duchowny tak niespokojnie, że stróż bezpieczeństwa chciał go za drzwi wyprowadzić; ale ksiądz szybko wyjął puginał z pod sutanny i zamierzył się nim na policjanta, który jednak zręcznie uniknął ciosu i rozbroił porywczego sługę kościoła. W r. 1630 urządzili jezuici na cześć infantki, zamężnej królowej węgierskiej, widowisko, które wraz z kolacją kosztowało siedm tysięcy dukatów. Był to rodzaj baletu połączonego z komedją. Najbardziej się podobały tańce w obłokach, wykonane przez młodych chłopców.

Zbytek, rozpusta, zanik moralnych zasad prowadziły do rozluźnienia wszelkich węzłów rodzinnych i do familijnych tragedyj. Książę Conca, jeden z największych magnatów, w którego rodzie dziedziczna była godność wielkiego admirała, ożeniony z donną Suevą d'Avalos, miał jedynego syna. Wszyscy troje się nienawidzili. Razu pewnego książę przejeżdżał konno wieczorem koło Porta del Pertuso, gdy z całą siłą uderzono go w głowę kawałem cegły czy ołowiem. Koń poniósł, książę, zalany krwią, upadł na kamienie; nikt się nie znalazł, ktoby go chciał ratować i dopiero po chwili zakonnicy z Sant'Agostino poznali go i zanieśli do pałacu. Tam jednak nikt ze służby nie zajął się nim; obawiano się narazić księżnie i synowi, tak dalece, że mnisi musieli go rozebrać i położyć do łóżka. Dopiero nazajutrz przyszedł ów syn, hr. di Palena, aby chorego odwiedzić, a gdy go zapytał, jak się ma, ojciec znacząco odpowiedział: „Według waszego życzenia". Przypadek chciał, że książę został raniony na tem samem miejscu, na którem przed kilkoma laty Fra Ciccio Lantaro na jego rozkaz został zamordowany, a powodem do tego morderstwa była zazdrość o kobietę.

We dwa dni umarł książę Conca, bo go nikt nie pielęgnował, nikt rany nie zaopatrzył. Rodzina jednak według włoskiego zwyczaju urządziła pogrzeb wspaniały, aby nic jej nie miano do zarzucenia. Tysiąc dwustu księży z zapalonemi świecami woskowemi poprzedzało pochód. Ciało wielkiego admirała, ubrane w strój z karmazynowego aksamitu, obszytego gronostajami, spoczywało na noszach, pokrytych również karmazynowym aksamitem. Zmarłemu przymocowano buławę do

prawicy, a trumnę niesiono za ciałem. „Stroskani“ członkowie rodziny szli po obydwu stronach katafalku i czarnemi chorągiewkami oganiali muchy, aby przypadkiem brzydki owad nie usiadł na zwłokach dygnitarza.

Losy poprowadziły syna tą samą drogą, którą chodził ojciec. Hrabia di Palena, a raczej wówczas już młody książę Conca, rad był nawiązać stosunek z jakąś dziewczyną, która nim pogardzała. Urażony magnat wynajął hiszpańskiego żołnierza, którzy zastrzelił oporną plebejuszkę. Wicekról hr. de Monterey, nie chcąc oburzyć przeciw sobie ulicy, kazał zamknąć księcia do wieży i nie pozwolił go uwolnić, pomimo że dawano zań kaucję 200.000 dukatów.

Młodzieniec po kilku dniach ciężkiej choroby umarł w Castel-Nuovo, a z nim zeszła ze świata wielka neapolitańska rodzina. Był ostatnim jej członkiem.

Hiszpanie wnieśli do społeczeństwa neapolitańskiego manję pojedynków, a ponieważ już wówczas używano palnej broni, przeto zdarzało się, że na ulicach powstawała strzelanina z rusznic pomiędzy członkami rodzin, mających do siebie urazę, albo nieprzyjaciele napadali gromadnie na siebie w mieszkaniach. Niektórzy wicekrólowie wydawali ostre przepisy przeciw pojedynkom, ale to nie na wiele się przydawało; obrażeni, jeżeli nie mogli się bić w Neapolu, jechali czasem bardzo daleko, aby sobie krwi upuścić. I tak w r. 1703 odbył się pojedynek pomiędzy Tyberjuszem Carafą a Bartłomiejem Ceva-Grimaldi pod murami Wiednia. Sekundowało czterech neapolitańczyków; Ceva został ciężko raniony, a Carafa, lekko zadraśnięty, pojechał zaraz z wizytami do znajomych, aby się rzecz nie wydała. Zazwyczaj jednak uciekali winni pojedynków albo arystokraci, którzy na ulicy dopuścili się morderstwa, na terytorjum papieskie, bo rzymskich zbirów łatwo było przekupić i uniknąć wyroków sądowych.

Kobiety wyższych klas załatwiały często swoje urazy w kościele. Donna Zeza Minutolo, pokłóciwszy się w St. Apostoli z Hiszpanką z rodu Velasco, dała cudzoziemce kilka policzków, a następnie podrapała jej całą twarz. Wicekrólowa, hrabina de Monterey, zwykła była częstować pantoflem swoje nieprzyjaciółki, a jedna z pań neapolitańskich musiała znieść tę przy-

krość, ponieważ śmiała prosić wicekróla o posadę sędziowską dla swego męża; hrabina bowiem rada była sama rządzić i wolała, aby się do niej udawano o protekcję, a nie do jej męża.

III

Zjeżdżając z Posilippu do miasta, ku via Nazionale, widzimy ową wspaniałą, dziwaczną ruinę pałacu, kąpiącego się w morzu, który lud nazywa pałacem królowej Joanny i przywiązuje doń krwawą legendę o marynarzu, kochanku królowej, o której już wspomniałem. Odrzuciwszy nawet ową legendę, mury te mają zajmującą przeszłość.

Duca de Medina las Torres (1637—1644) był żonaty z donną Anną Carafą, straszną kobietą, która pozostawiła po sobie złowrogie wspomnienie. Cosimo Fonsega, ulubiony architekt neapolitańskiej arystokracji, wyrysował na rozkaz donny Anny plan do tego pałacu. Ale do miejsca, na którem miał stanąć nowy gmach, przywiązane już były tradycje, mogące odstraszyć od budowy. Z początkiem XVI wieku znajdowało się tam cassino markiza Bonifacego d'Oria, którego rząd po dwa razy pozbawiał praw obywatelskich i willę konfiskował. Ale Bonifacio pojechał do cesarza, do Flandrji, i prosił o cofnięcie konfiskaty, ponieważ owa budowa już dwom jej właścicielom przyniosła nieszczęście, a on zanadto jest przywiązany do monarchy, aby go o tem nie ostrzec. Cesarz zapewne się roześmiał z pomysłu Bonifacego, ale rozkazał, aby Orii zwrócono fatalną realność i inne jego dobra, za co jednak fiskusowi musiał zapłacić 25.000 dukatów. Ale nieszczęście dalej mieszkało w tych murach; trzej synowie Bonifacego umarli wśród dziwnych okoliczności; rodzina d'Oriów wygasła i gmach syreni został znów własnością fiskusa. Rząd bardziej jeszcze zabobonny, aniżeli Bonifacy i jego synowie, sprzedał ową realność jakiemuś genueńskiemu spekulantowi, który się czem prędzej jej pozbył, odstępując osławione mury Ludwikowi Carafie, księciu na Stigliano.

Ale i Carafie nie przyniósł szczęścia cudownie położony pałac. Syn, dziedzic jego dóbr, wcześnie umarł; dwóch wnuków

także śmierć zabrała i pozostała mu tylko jedyna wnuczka, Anna. Złamany książę opuścił fatalną budowę i zamieszkał u jezuitów, gdzie 13 stycznia 1630 niespodziewanie umarł. Jezuici postarali się, aby pogrzeb był wspaniały; na katafalku nie brakowało ani karmazynowych aksamitów i gronostai, ani berła książęcego i złotych ostróg, a nieskończone szeregi zakonników i publiczności odprowadziły ciało na miejsce wiecznego spoczynku, do rodzinnej kaplicy Carafów w San Domenico.

Anna Carafa odziedziczyła olbrzymi majątek, znano ją niemal w całej Europie jako najbogatszą jedynaczkę. Młodzież z Hiszpanji i z Włoch ubiegała się o jej rękę; Tadeusz Barberini, synowiec Urbana VIII, prefekt Rzymu, dla którego papież szukał jakiego niepodległego księstwa, następnie książę Modeny i Medici, brat wielkiego księcia Ferdynanda II, starali się o jej rękę, a nawet królewicz polski chciał Annę sprowadzić do Polski. Ale posażna panna gardziła swatami, pragnęła sama postanowić o swoim losie. Najwytrwalej krążyło koło niej trzech kuzynków Carafów, jeden nawet, z Maddaloni, najstarszy syn księcia di Roccella, chciał ją zdobyć z bronią w ręku, wyzywając na pojedynek swoich współzawodników, ale jakoś nie przyszło do krwi rozlewu. Maddaloni zwracał uwagę całego Neapolu swoim zbytkiem; wychodził z pałacu tylko w otoczeniu uzbrojonych lokai, ubranych w herbową liberję, dawał dla przyjaciół wspaniałe uczty, a kiedy urządzał serenadę dla swojej ukochanej, to jego statek był przybrany w rzeźby i malowidła i zdaleka świecił złotemi ozdobami. Ale donna Anna spoglądała wyżej, pragnęła być wicekrólową Neapolu i ten cel osiągnęła. Wyszła zamąż za Hiszpana o wielu nazwiskach i tytułach. Pisał on się Don Ramiro Felipe de Gusman, był księciem Medina de las Torres, wielkim kanclerzem Indyj i skarbnikiem korony aragońskiej. W rodzie Gusmanów krążyła krew królewska. Don Ramiro, bezdzietny wdowiec, miał za pierwszą żonę córkę potężnego ministra Olivareza i tak się umiał przypodobać swemu teściowi, że ten obiecał mu wicekrólestwo neapolitańskie, aby tylko mógł otrzymać rękę donny Anny.

Ślub posażnej Neapolitanki z Hiszpanem odbył się w roku 1636. Olivarez dotrzymał słowa: tak umiał swemi intrygami zachwiać stanowisko ówczesnego wicekróla, hrabiego de Mon-

terey, że ten musiał ustąpić, a jego miejsce zajął duca di Medina las Torres ze swą dumną małżonką, Anną Carafą.

Anna nie była zabobonna, złe duchy, mieszkające w willi pod Posilippem, bynajmniej jej nie przestraszały; kazała zburzyć dawne cassino i na tem miejscu wybudować Cosimowi Fonsedze z Bergano pałac, któryby wzbudzał podziw całego Neapolu. Właścicielce się śpieszyło, architekt zatrudnił czterystu artystów kamieniarzy i w przeciągu dwóch lat można już było zamieszkać dwa dolne piętra. Donna Anna się tam sprowadziła, urządziwszy pokoje z największym artystycznym przepychem. Nazewnątrz pałacu, w nyżach od strony morza, pomieszczała starożytne posągi, na wewnętrznych ścianach wisiały obrazy najznakomitszych mistrzów. A wicekrólowi było o nie nietrudno; za jakąś przysługę, zrobioną temu lub owemu zakonowi, zabierał z kościołów najpiękniejsze obrazy. W ten sposób stała się jego własnością „Madonna del pesce“ Rafaela w kościele dominikanów, która później od rodziny Gusmanów przeszła do madryckiej galerji. Pomocny w tym rabunku był wicekrólowi jenerał zakonu Ridolfi, a gdy przeor klasztoru doniósł o tem do Rzymu, rozgniewany książę kazał pięćdziesięciu konnym Hiszpanom porwać przeora i odstawić do granic państwa kościelnego, aby tam szukał sprawiedliwości. Pozbywszy się w ten sposób z Neapolu zbyt sumiennego przeora, pozabierał wicekról do swego pałacu jeszcze inne cenne obrazy, a mianowicie dzieło Łukasza z Leyden z San Domenico, i obraz Rafaela Sta Maria della sanità. Co więcej, w kościele „Incurabili“ znajdował się obraz Giulia Romana, który Filip II darował tej świątyni; książę Medina nie uszanował tej tradycji i kazał dzieło rzymskiego mistrza zawiesić w komnatach swej małżonki. Zresztą książę postępował tylko według zwyczaju wicekrólów, którzy wywozili z Neapolu, co się tylko wywieźć dało. Największym rabusiem dzieł sztuki był don Pedro Antonio d'Aragona, który zabierał nietylko obrazy, ale i rzeźby.

W chciwości przewyższyła jeszcze donna Anna swego małżonka; sprzedawała urzędy bez względu na zdolności i przymioty kandydatów i tak dalece zapełniła sądy ludźmi niegodnymi, że jeden z sumienniejszych następców Mediny, duca di Arcos, musiał oddalić wielu z tych urzędników z publicznej

Vue du Pillage de la Cocagne, a Naples dans la Place appellée il Largo del Castello.

Nº 102. Dessinée par Des Prez Architecte Pensionnaire du Roi à l'Académie de France à Rome. A. P. D. R.

Festyn ludowy „La Cocagna“ w Neapolu

służby. W dobrach jej panowało niesłychane zdzierstwo; wymyślała nowe daniny, zaprowadzała rodzaj pańszczyzny, aby mieć robotników do budowy pałacu w Neapolu, a te nadużycia tak oburzyły ludność, że coraz więcej skarg napływało na wicekróla do Madrytu i wkońcu, po siedmiu latach takich rządów, widział się król hiszpański spowodowanym odjąć władzę tej wicekrólewskiej parze. Gdy następca Mediny, don Juan de Cabrera (1644), miał przybyć do Neapolu, donna Anna, która wtedy spodziewała się potomka, tak się zgryzła tą wiadomością, że ciężko zachorowała i umarła 24 października 1645.

Olbrzymie dobra poszły w rozsypkę; nad pałacem, nad „casa della Sirena", zawisły nieprzyjazne losy. Podczas rewolucji Masaniella zgromadzały się tam tłumy ludu, aby przysięgać zgubę wicekrólom, a wierność królowi. W r. 1688 trzęsienie ziemi zniszczyło do połowy budowę donny Anny, a w Neapolu coraz bardziej zakorzeniało się przekonanie, że tam mieszkają złe duchy; ale jeżeli już nie wysłańcy piekieł, to napewno gnieździły się tam sowy i nietoperze. Przez długie lata służyły zaniedbane komnaty za przytułek włóczęgom i złodziejom, a nawet policja niebardzo śmiała wdzierać się do zaklętych ruin. Dzisiaj jeszcze zabobonny barkarol, wiosłując wieczorem koło tych murów, żegna się, bo tam widział djabła na własne oczy, jak używał letniej kąpieli.

Rządy wicekrólewskie scharakteryzował lud neapolitański w trzech słowach: „Forca, Farina, Festini". Szubienicą, rozdawaniem mąki i festynami starali się Hiszpanie ujarzmić i ułaskawić lazzaronów. Na ludzi zamożnych mieli inny sposób: nakładanie kontrybucji i podatków na wszystko, co tylko spostrzegły fiskalne oczy, na chleb, na jarzyny i owoce, na kapelusze i trzewiki, na skóry i jedwabie. Monterey wyciągnął w ten sposób z nadzwyczajnych dochodów 46 miljonów, Medina 47, a don Juan de Cabrera 10,000.000 dukatów.

IV

Było to w lecie 1647 r. w Neapolu; ładna kobieta z ludu szła od portu ku miastu i niosła na rękach zawiniątko, zupełnie podobne do małego dziecka w pieluchach. Strażnicy zatrzymali

ją i okazało się, że owo zawiniątko zawiera mąkę, którą kobieta chciała w ten sposób przenieść nieocloną do domu.

Celnicy obeszli się z kobietą w sposób okrutny i zamknęli ją do aresztów miejskich. Tam powiedziała, że jest żoną ubogiego handlarza ryb, Tomasza Aniella, zwanego Masaniellem, który w ostatnich czasach nie miał nawet tyle pieniędzy, aby zakupywać ryby, i sprzedawał w porcie tylko papier do zawijania morskich produktów. Masaniello pochodził z rodziny osiadłej w Amalfi, a ona przed zamążpójściem nazywała się Bernardina Pisa i była rodowitą neapolitanką.

Za przemytnictwo mąki skazano ją na grzywnę; mąż rwał sobie włosy z rozpaczy, z wielką biedą sprzedał ostatni swój dobytek i po ośmiu dniach uwolnił Bernardinę z aresztu, gdyż kochał ją bardzo. Tommaso był przystojnym, młodym, pełnym siły mężczyzną i tem się różnił od większości neapolitańczyków, że miał jasne, kędzierzawe włosy, od których odbijały czarne, żywe oczy. Znano go jako poważnego, małomównego człowieka, który pilnował swego zarobku, ubierał się, jak inni rybacy, jak zresztą cała uboga ludność męska w Vico Roto, koło wielkiego targu, w części miasta brudnej i zaniedbanej.

Ludność ta była doprowadzona do rozpaczy ciągłem podwyższaniem miejskich opłat od najpotrzebniejszych artykułów; w ostatnich czasach dały się jej szczególnie uczuć „gabelle“ od owoców, które stanowiły w letnich, gorących miesiącach, rzec można, najważniejszą część pożywienia ubogich. Wicekról, duca di Arcos, starał się winę podwyższenia tych opłat składać na szlachtę, na baronów, którzy usuwają się od regularnego płacenia podatków i uniemożliwiają państwu zebranie potrzebnych funduszów.

W czerwcu 1647 rozeszła się pomiędzy ludem wiadomość, że w Palermo z tych samych powodów wybuchła już ludowa rewolucja, co jeszcze bardziej rozgorączkowało neapolitańczyków. Z tego usposobienia umysłów umieli korzystać agitatorowie, których w podobnych razach nigdy nie brak i którzy lud jeszcze bardziej podburzali. Do tych należał szczególnie Giulio Genoino, awanturnik, który przez jakiś czas był w niewoli u Barbaresków w Oranie, a teraz powrócił jako duchowny do Neapolu.

Według tradycyjnego zwyczaju odbywała się oryginalna bitwa na placu przed kościołem karmelitów rok rocznie w lipcu. Lazzaroni, rybacy zbierali się na placu i budowali z drzewa i z papieru rodzaj zamczyska, którego jedni bronili, drudzy zaś starali się zdobyć naprędce wystawioną twierdzę. Z tem oblężeniem musiała się wiązać jakaś legenda, gdyż ulicznicy, którzy zdobywali zamczysko, przebierali się za żołnierzy ze Wschodu, malowali sobie twarz na czarno i ceglasto i nazywali się Alarbami, co może było tylko przekręconą nazwą Arabów. Masaniello bywał już przedtem naczelnikiem Alarbów, więc w r. 1647 szczególnie się zajął zgromadzeniem jak największej liczby tej ulicznej gawiedzi, która z kijami szła na tradycyjną wojnę. Dzień Matki Boskiej przeszedł stosunkowo spokojnie; ale w nocy niewiadomi ludzie podłożyli mnóstwo prochu strzelniczego pod dom celników na wielkim placu, buda wyleciała w powietrze, a z rana nic z niej nie pozostało oprócz poczerniałych desek. Rząd rozkazał postawić natychmiast inny domek celniczy, ale pomiędzy ludem czuć już było wielkie wzburzenie.

Następnego dnia, 7 lipca 1647, zebrało się o wczesnych godzinach, jak zwykle w niedzielę, mnóstwo wieśniaków, osobliwie z Pozzuoli, na targ. W koszach, na dwukołowych wózkach, zaprzężonych w osły, przywieźli contadini całe stosy owoców, bo w święto był ożywiony targ na owoce. Według nowych przepisów o opłatach miejskich powinni byli handlarze płacić podatek w kwocie pięciu karlinów od cetnara owoców; kupcy zaczęli jednak głośno wymyślać, że oni tego podatku płacić nie będą, niech go uiszczają producenci. Powstała kłótnia, a ponieważ wdali się w nią znienawidzeni celnicy, więc w jednej chwili zamięszanie przybrało groźny charakter.

Dano znać zastępcy ludu, Andrzejowi Naclerio, który wkrótce przybył, aby swym wpływem uspokoić tłumy; ale tymczasem znalazł się na placu Masaniello ze swymi Alarbami i rzecz zaczęła być niepokojąca. Naclerio namawiał Pozzuolan, aby narazie cło zapłacili, a później, po uspokojeniu umysłów, pieniądze będą im zwrócone. Ale ogrodnicy z Pozzuoli, znani ze swej porywczości, o takim układzie słyszeć nie chcieli. Na nieszczęście celnicy wdali się w ową kłótnię i przemocą zaczęli stawiać kosze z owocami na wagę. Wtedy rozwścieczeni Pozzuo-

lanie powywracali kosze i zawołali na zgromadzoną gawiedź, aby sobie zbierała owoce, gdyż oni już więcej nie przybędą na targ do Neapolu. Celnicy rzucili się na lud, ale Alarbowie, korzystając z tego, że mają taką broń pod ręką, jak gruszki i brzoskwinie, zaczęli niemi bombardować wstrętnych sobie żołnierzy. Naclerio znalazł się w największym ścisku i był szczęśliwy, że uciekł do swojej barki.

Tymczasem przybiegło mnóstwo ludu z pobliskich ubogich dzielnic, wyrywało kamienie, łamało stragany i raziło zbirów i celników, którzy musieli ulec przemocy i uciekać, gdzie się dało. Lud został panem placu, wpadł do domu celnego, porozdzierał księgi rachunkowe i wszystko podpalił.

Naclerio udał się do wicekróla, aby opowiedzieć, co się dzieje; obecni tam już Tiberio Carafa, książę di Bisagnano, i Ettore Ravaschieri, książę Satriano, mający mir pomiędzy ludem, prosili wicekróla, aby pozwolił ogłosić, że opłata od owoców będzie zmieniona. Przestraszony duca d'Arcos przystał na wszystko; więc don Tiberio udał się czem prędzej ze swoim towarzyszem do miasta, aby ogłosić dobrą nowinę i lud uspokoić. Ale widząc roznamiętnione tłumy, obiecał im więcej, aniżeli wicekról przyrzekł; powiedział, że wszystkie gabelle, t. j. miejskie opłaty od artykułów żywności, będą zniesione.

Masaniello albo temu nie wierzył, albo chciał posunąć rzeczy do ostateczności i wywrzeć zemstę na rządzie; zawołał więc, aby tłumy szły za nim do pałacu. Za Masaniellem stał Giulio Genoino w przebraniu, aby go nie poznano, i kierował niedoświadczonym jeszcze trybunem. Postawa tłumów była groźna; dwaj książęta spostrzegli, że nie zapanują nad ludem, więc Carafa wymknął się niepostrzeżenie, wsiadł do barki i kazał się zawieźć do Castel-Nuovo, skąd czem prędzej wyjechał do Rzymu. Dzikie okrzyki tłumów takie na nim zrobiły wrażenie, że przybywszy do wiecznego miasta, zachorował na nerwowe rozdrażnienie i wkrótce potem umarł. Ravaschieri nie był tak szczęśliwy, aby uciec; lub go otoczył i zmusił udać się do San Lorenzo, do siedziby najwyższej miejskiej władzy. Większość tłumów udała się wszakże do wicekrólewskiego pałacu, a na jej czele, że sztandarem w ręku jechał Masaniello, któremu na-

prędce dostarczono konia. Improwizowanego dowódcę ludu poprzedzali ulicznicy, uderzając w bębny.

Wśród nieludzkich wrzasków stanął tłum przed pałacem; Masaniello zawołał: „Niech żyje Pan Bóg i król hiszpański! Precz z gabellami!“ Wicekról nie wyszedł, ale na balkonie ukazał się don Carlo Caracciolo, wielki koniuszy, i Hiszpan don Luis Ponce de Leon, krewny wicekróla, zajmujący wysokie urzędowe stanowisko. Caracciolo dał znak ludowi, że zejdzie na dół.

Gdy stanął przed Masaniellem, poczęły się pertraktacje. Jeden z przewódców ludowych przystąpił do Caracciola i pokazał mu kawał szkaradnego chleba. „Czy to pożywienie dla ludzi, czy dla psów? Niech sam osądzi!“ Don Carlo przyznał, że takiego chleba jeść nie można, i imieniem wicekróla obiecał, że cło od owoców i od wina będzie zniesione; ale lud domagał się zniesienia podatku od mąki. Na to nie miał upoważnienia; widząc jednak, że tłum ludu rośnie i coraz dziksze słychać okrzyki, wysłał cichaczem kogoś ze służby do wicekróla, aby się czem prędzej przeniósł do Castel-Nuovo, gdyż grozi mu niebezpieczeństwo.

Ale książę d'Arcos sądził, że gdy sam się ukaże ludowi i poczyni obietnice, to się tłumy uspokoją. Wyszedł więc na balkon, zaczął coś mówić po hiszpańsku; było to wszakże za późno, lud wyłamał już bramę do hali pałacowej, ranił jakimś drągiem żelaznym Caracciola i rozlał się po gmachu, burząc, co napotkał, tłukąc zwierciadła i okna, wyrzucając na ulicę drogocenne sprzęty. Wicekról uciekł tylnemi schodami na plac, aby się schronić do klasztoru kapucynów, w przekonaniu, że tłum go nie spostrzeże; ale się pomylił, poznano go i otoczono. Na szczęście przejeżdżał Hiszpan, don Antonio Tabada, który go z narażeniem własnego życia wciągnął do powozu. Ale lud zatrzymał konie, a Masaniello, który widocznie przeczuł, kędy książę d'Arcos zechce uciekać, znalazł się tam niespodzianie i ze szpadą rzucił się na wicekróla. Nie umiał się wszakże obchodzić z bronią i jakiś Hiszpan z łatwością odbił zamierzone cięcie; natomiast mnich, augustjanin, chwycił wicekróla za włosy, krzycząc chrypliwym głosem: „Znieś cła, znieś cła!“ Chwila była bardzo krytyczna; woźnicę ściągnięto z kozła, konie się niepokoiły i gdyby kilku panów z włoskiej arystokracji

nie było nadbiegło i nie wyciągnęło szpad w obronie księcia, byłby tłum zamordował hiszpańskiego dostojnika. Przytomny Carlo Caracciolo szybko wspiął się na kozioł, chwycił lejce i chciał z miejsca ruszyć, ale na darmo; lud wstrzymał konie. Więc Caracciolo zeskoczył z kozła, wyciągnął napół zemdlałego wicekróla z karocy, wziął go pod ramię i zaczął wołać: „Miejsce dla króla!“ Inni panowie otoczyli księcia z dobytemi szablami i w ten sposób doszli do bramy klasztoru.

Jenerał i prowincjał zakonu, obydwaj Hiszpanie, widząc zapewne z okien, co się dzieje, uchylili bramę, wciągnęli szybko wicekróla i drzwi zatrzasnęli. Caracciolo z wielką biedą się uratował, skorzystawszy z chwili, aby uciec, gdy lud się dobywał do bramy klasztornej, wołając: „Niech żyje król hiszpański, precz ze złym rządem!“

Tymczasem zakonnicy, obawiając się, aby lud nie dostał się do klasztoru, wymogli na wicekrólu, aby się w oknie ukazał i przemówił do tłumów. Drżący z przestrachu książę zaczął zapewniać, że na wszystko przystanie, czego lud żąda, i zrzucił podpisaną przez siebie deklarację. Ale tłumy zanadto już były rozżarte, aby wierzyć w zapewnienia Hiszpana; otworzyły kościół i tamtędy, przez zakrystję, chciały wejść do klasztoru. Raczej chodziło im o rabunek, aniżeli o wicekróla; rozeszła się bowiem wieść, że Hiszpanie i arystokracja pochowali swoje kosztowności po klasztorach.

W tej chwili jednak nadjechał arcybiskup neapolitański, kardynał Ascanio Filomarino, człowiek nadzwyczaj szanowany w społeczeństwie, i zaczął tłumy uspokajać. Zarazem wysłał jednego ze szlachty do wicekróla, aby przyniósł pisemne zapewnienie, że gabelle będą zmienione. Książę d'Arcos wystawił taki cyrograf; arcybiskup przeczytał go, zapewnił lud, że wszystko się ułoży z korzyścią dla miasta i na dowód tego powiedział tłumom, aby poszły zburzyć wszystkie domy celne. Kardynał uratował wprawdzie w ten sposób wicekróla, który miał czas wyjść boczną furtą z klasztoru, wsiąść do zamkniętej lektyki i schronić się do Castel Sant'Elmo, ale nie zażegnał rewolucji. Skoro bowiem Filomarino odjechał, tłumy rzuciły się na hiszpańską gwardję pałacową, zaczęły wydzierać i łamać lance żołnierzom, tak, że gwardja musiała dać ognia i kilku

ludzi padło od strzałów. Lud zaczął uciekać w dzikim popłochu, z czego skorzystała księżna d'Arcos, aby z dziećmi i kobietami, które ją otaczały, uciec do Castel-Nuovo.

Tymczasem noc zapadła, straszna noc. Setki tysięcy ludzi przeciągało ulicami; rabusie, złodzieje, korzystali z zamieszania, aby burzyć i zabierać, co się dało. Jezuici i teatyni wyszli z procesjami z klasztorów, sądząc, że w ten sposób zażegnają rewolucję; lud jednak nie słuchał litanji do Madonny, ale przedewszystkiem biegł do więzień, aby uwolnić tych, których celnicy pozamykali za niezapłacone podatki, i palił księgi rachunkowe. Zakonnicy musieli z procesjami powrócić do kościołów, widząc, że na nic się nie przydadzą ich pobożne śpiewy. Popaliwszy budynki celne, ruszyły tłumy, aby rabować domy dzierżawców opłat miejskich i tych, którzy na tych dzierżawach się wzbogacili. Masaniello, poduszczony przez ukrytych agentów, kierował ulicznym ruchem. Nikt nie przeszkadzał ludowi, gwardja hiszpańska bowiem czuła się za słaba, a wojska prawie w mieście nie było.

Dom kasjera podatkowego zrabowano zupełnie, kosztowne urządzenie, obrazy, nawet srebrne sprzęty powyrzucano na ulicę i podpalono. W szale zemsty pospólstwo nie zabierało kosztowności, ale rzucało wszystkie na stos, aby ludzka krzywda spłonęła. Niebawem jednak zapragnęły tłumy broni, bo dotychczas walczyły kijami. Ofiarą łupów stały się sklepy płatnerzy i rusznikarzy, ba, nawet zdobyto pięć armat, czy moździerzy. Działo się to około północy; przewodnicy ruchu widzieli, że czas już wyjść z ukrycia i skupić władzę w swych rękach. Przyszło ich czterech na plac w długich dominach, z kapucami zakrywającemi twarz, w stroju, w jakim członkowie bractw kościelnych chodzili na pogrzeby. Stanąwszy wśród ludu, dwóch zrzucili kapucę; byli to Masaniello i Giulio Genoino. Masaniello przemówił, że nie chodzi o to, aby walczyć przeciw królowi Hiszpanji, ale trzeba zrzucić rząd, który ludność uciska. Do tego celu musi się dążyć i w broń się należy zaopatrzyć. Płomienny wzrok Masaniella, jego włos rozburzony i śmiało, w kilku słowach wypowiedziany cel rewolucji zrobiły wrażenie; zaczęto go uważać za przewódcę ruchu. Genoino był ostrożniejszy, nierad się był narażać, gdyż przecież wicekról mógł sprawę wygrać.

Hiszpanie tej nocy czasu nie tracili. Wicekról kazał zaopatrzyć zamek Sant'Elmo, a sam udał się do Castel-Nuovo, zebrawszy wojska, co się dało. Dowódcą siły zbrojnej mianował don Franceska Toraldo, księcia di Massa.

Z rana, ósmego lipca, można było dopiero ocenić, jakie rozmiary przybrał bunt ludowy. Przewódcy widocznie przygotowali już rewolucję nietylko w mieście, ale i w okolicy, gdy bowiem o świcie uderzono w dzwony na wieżach kościelnych, niezliczone tłumy ludu tak z miasta, jak i z Kampanji, wzbierały, jak fale morskie przed burzą. Wieśniacy byli uzbrojeni w żelazne koły, w motyki, łopaty, miejski lud miał już rusznice i prochu strzelniczego poddostatkiem. Okazało się, że wielu baronów, niezadowolonych z rządu, przyłączyło się do buntu, wskutek czego cała akcja ludowa nabrała jeszcze poważniejszego znaczenia.

Wicekról nie ufał swym siłom; wdał się więc w układy. Zaraz z rana wysłał księcia di Montesarchio, pochodzącego z rodu d'Avalosów, jednego z najpoważniejszych magnatów, na plac targowy, aby z ludem paktował. Książę przysiągł w kościele karmelitów wobec buntowników, że wicekról dotrzyma przyrzeczeń i opłaty od żywności zniesie. Ale lud nie wierzył; wtedy wicekról posłał na potwierdzenie swych dobrych zamiarów księcia Diomeda Carafę, ponieważ ten magnat należał do wielkich przeciwników opłat od owoców.

Carafa wsiadł na konia i w otoczeniu kilku jeszcze baronów udał się do buntowników. Znowu zaręczał imieniem księcia, że gabelle będą zniesione i chleb będzie lepszy. Ale lud, widząc, że się z nim układają, żądał jeszcze więcej, a mianowicie równouprawnienia ludu ze szlachtą w sprawach miejskich. Był to znowu podszept Genoina. Carafa obiecywał wszystko, aby się tylko od tłumów uwolnić; namiętności zanadto szalały, aby można było dojść do jakiegoś porozumienia.

Pomiędzy lud padło nowe hasło: niszczyć i palić domy i mienie bogaczów, którzy na krwi ubogich porobili majątki. Lista pałaców była już sporządzona; Masaniello przeczytał ją, a tłumy wrzeszczały: „Do piekła z tymi, którzy nas uciskali!"

Tym razem dominikanie starali się ludność uspokoić; wyszli z kościoła w długich szeregach, z zapalonemi pocho-

dniami w rękach, głośno się modląc i powtarzając litanję. Ale lud obsypywał ich obelgami, tak, że zakonnicy musieli powrócić, a za nimi ukryło się w kościołach mnóstwo szlachty, obawiającej się o swoje życie.

Z rana, dziewiątego lipca, rozpoczęła się orgja spustoszenia. Pałace członków rządu: Antonia Miraballo, Andrzeja Naclerio stanęły w płomieniach, na ulicach gorzały stosy najkosztowniejszych sprzętów. W domu Alfonsa Valenzana znaleziono beczułkę z cekinami i kasetkę z perłami; rzucono to wszystko w ogień. Księciu di Caivano spalono pięć pałaców, w których znajdowało się mnóstwo cennych obrazów, wschodnich kobierców, jedwabiów i innych cennych rzeczy. Rozbestwienie doszło do tego stopnia, że tłum pozabijał puginałami rasowe konie w stajniach księcia, cisnął w płomienie pokojowego pieska księżnej i pościnał w ogrodzie najpiękniejsze drzewa i cenne rośliny, które książę sprowadzał zdaleka.

Właściciele burzonych gmachów schronili się po większej części do Castel-Nuovo, z wież i ze strzelnic przypatrywali się strasznemu zniszczeniu. Czterdzieści pałaców zgorzało, pozostały tylko czarne, osmolone ruiny; a to dzieło szatańskich namiętności trwało dzień cały wśród bicia dzwonów, huku bębnów i piekielnych wrzasków, zlewających się w jeden dziki szum.

Naraz ukazał się książę Maddaloni w największym tłumie i dawał znaki, że go wicekról posyła. Masaniello i inni przewódcy zgromadzili się około niego. Podniesionym głosem oświadczył książę, że wicekról upoważnił go do zaręczenia ludowi, że wszystkie gabelle, zaprowadzone od czasów Karola V, będą zniesione i powszechna amnestja będzie ogłoszona. Ale to oświadczenie nie zrobiło żadnego wrażenia, owszem, ryki rozwścieczonej tłuszczy stawały się jeszcze dziksze, a Masaniello, jak dziki zwierz, przyskoczył do Maddaloniego, schwycił księcia za długie włosy i z pomocą swego otoczenia ściągnął go z siodła. Natychmiast związano ręce księcia powrozem, a Masaniello oddał go towarzyszom, aby pilnowali tego zbrodniarza.

Ród Carafów otoczony był dotąd u ludu pewną aureolą, a zwłaszcza Diomede zapisał się w pamięci neapolitańczyków

z młodszych czasów, jako magnat, rozrzucający pieniądze, z których żyło dużo ubogich rodzin. Dzisiaj nie działały już wspomnienia na wyobraźnię ludu; tłumy poczuły, na chwilę przynajmniej, swą siłę, a fakt, że Masaniello mógł Carafę za włosy ściągnąć z konia, niszczył w oczach pospólstwa urok i potęgę arystokracji. Zdarzyło się jednak, że człowiek, któremu Masaniello powierzył straż Carafy, miał wobec niego jakieś obowiązki wdzięczności; szlachetne uczucie obudziło się w neapolitańczyku, zaprowadził wprawdzie Diomeda do klasztoru karmelitów i zamknął go w celi, ale gdy noc nadeszła, ułatwił mu ucieczkę, tak, że Carafa po różnych niebezpiecznych przygodach znalazł się w swych dobrach, zdala od rewolucjonistów.

Gdy się wicekról dowiedział, że Carafę uwięziono, zwrócił się do arcybiskupa Filomarina, jedynej osobistości, która mogła jeszcze wywrzeć wpływ na wzburzone tłumy. Kardynał oświadczył, że po nieudałych próbach uspokojenia ludności musi mieć oryginał przywileju Karola V, gdyż sądził, że jeżeli stanie przed ludem ze starym pergaminem, może zdoła wzbudzić w tłumie przekonanie, że wicekról zamierza dotrzymać swych obietnic. Pergamin wyszukano, kardynał udał się na plac przed Carmine, gdzie była główna kwatera rewolucjonistów; ale wkrótce spostrzegł, że wszelkie układy z ulicą, która poczuła swą siłę, były daremne. Lud rozbroił tymczasem dwa oddziały wojska hiszpańskiego, które na rozkaz wicekróla szły z Pozzuoli i z Torre del Greco, opanował składy artylerji w San Lorenzo i czuł się panem stolicy. Zniszczenia ostatniego dnia było mu za mało; tłumy żądały, aby zburzyć trzydzieści sześć pałaców rodzin, które nie były popularne.

Pod wieczór zabrano się do dzieła; pożar objął prawie całe miasto, w ulicach strzelały snopy ognia ku niebu, na placach gorzały stosy sprzętów, obrazów i książek. Kobiety z najciemniejszych zakątków Neapolu były praktyczniejsze od mężczyzn; wyrywały, co mogły, z płomieni i wlokły do swoich nor mieszkalnych, aby się wzbogacić. Przewódcy ruchu pilnowali na swój sposób porządku; poustawiali armaty na wylotach ulic, kazali bić w dzwony, aby jeszcze bardziej przestraszyć Hiszpanów i wicekróla, a chcąc okazać, że walczą z rządem, a nie

z monarchą, urządzili procesję, na której czele niesiono portret Filipa IV. Na widok portretu wołały tłumy: „Niech żyje król hiszpański!“ i niosły sztandary o barwach królewskich.

Następny dzień rozpoczął się równie, jak poprzedni, pożarem i spustoszeniem. Kardynał Filomarino starał się przez całą noc w klasztorze karmelitów doprowadzić układy z przewodnikami ruchu do jakiegoś stanowczego wyniku, ale napróżno. Lud żądał coraz więcej, a przedewszystkiem oddania w posiadanie władz rewolucyjnych zamku Sant'Elmo, na co wicekról w żaden sposób nie mógł się zgodzić. Dziesiątego lipca lud zwrócił się przedewszystkiem ku pałacowi Carafów, ponieważ Diomede Carafa potrafił uciec z Neapolu. Pałac Diomeda jednak niewiele ucierpiał, ponieważ ten magnat utrzymywał zawsze na swym żołdzie całą zgraję brawów, którzy teraz okna pałacu poobsadzali i celnie strzelali do oblegających. Tłum zwracał się tylko tam, gdzie można było bezkarnie zdobywać; więc odstąpił od tego gmachu.

Rewolucyjne zastępy doszły do stu czterdziestu tysięcy pospólstwa, do którego należało wiele „kompanij“, złożonych z wyuzdanych kobiet. Tłumy gromadziły się ciągle pod jednem hasłem: „Niech żyje król, precz z rządem!“. Masaniello wydał nawet manifest w imię „najwierniejszego ludu, najwierniejszego miasta Neapolu i tych, którzy wskutek łaski Boga i naszego Jezusa Chrystusa, tudzież przenajświętszej Panny Marji dzierżą tutaj władzę!“. Oczywiście tą władzą był zorganizowany już rząd rewolucyjny pod kierunkiem Masaniella, ubranego po rybacku w płócienną koszulę i takie same spodnie, miał bowiem tyle taktu wobec ludu, że się narazie nie przebrał po pańsku. Kardynał Filomarino znowu próbował doprowadzić do porozumienia pomiędzy rządem a rewolucjonistami; pojechał więc do wicekróla, a następnie przybył do klasztoru karmelitów, aby tam ułożyć stanowcze warunki. Ale niespodziewane zajście zniweczyło pokojowe zamiary. Pomiędzy ludem był zdrajca, Domenico Perrone, ten, co Carafie ułatwił ucieczkę. On zbliżył się do Masaniella, szepnął mu coś do ucha i chciał z nim mówić na osobności. W tej chwili rozległ się strzał, Masaniello zawołał: „Zdrada!“ Nastąpiło jeszcze kilka strzałów, ale żaden nie trafił przewódcy ludu.

Perrone sprowadził brawów Carafy, aby pomścić zniewagę, którą Masaniello ich panu wyrządził; ale zamach się nie udał, a lud, słysząc strzały, wpadł do klasztoru, dysząc zemstą. Bravi Carafy pouciekali.

Perrone, raniony w głowę w tej zawierusze, schronił się do celi jednego z zakonników; ale przyjaciele Masaniella dopadli go i głowę mu toporem ucięli. Do Masaniella zaś przywleczono jednego z bravów, który zeznał, że don Giuseppe Carafa, krewny Diomeda, wie o zamachu i że się znajduje w klasztorze franciszkanów. Tłum pobiegł tam, złorzecząc Carafom, ale brama klasztorna była zamknięta. Wywalono ją i szukano winnego. W klasztorze przebywał także brat stryjeczny don Giuseppa, przeor johannitów z Roccela; lud zapragnął i drugiej ofiary. Ale obydwaj Carafowie znaleźli dość czasu, aby się przebrać i uciec w boczną uliczkę. Przeor wdział suknie kobiece, znikł w ciemnościach i szczęśliwie dostał się do klasztoru S. Domenico, gdzie go nikt już nie szukał.

Giuseppe Carafa wpadł do jakiegoś małego domku, biegł po schodach i znalazł się w mieszkaniu prostej ulicznicy; prosił ją, aby go ukryła, obiecując jej wysoką nagrodę. Prostytutka kazała mu się schować pod łóżko, przystała na targ; ale gdy posłyszała, że tłum się zbliża, otworzyła okno i zawołała, że Carafa u niej. Wywleczono nieszczęśliwego, a pomimo że ofiarował oprawcom dwadzieścia tysięcy dukatów, jeżeli go nie zamordują, nikt nie zważał na te przyrzeczenia. Kilku z ludu rzuciło się na niego z nożami i puginałami. „Szaleńcy, co robicie? — zawołał przerażony — wszak to wasz przyjaciel, Peppe Carafa; mnie chcecie zamordować?" „Właśnie ciebie, zdrajco!" — odpowiedziało kilkanaście głosów.

Powalono arystokratę na ziemię, zadawano mu rany, czem kto mógł, dopóki nie przedarł się przez oblegającą czeredę jakiś Michele de Santis, mający osobistą urazę do Carafy. Ten chwycił za wielki nóż rzeźnicki i jednym zamachem odciął mu głowę od tułowia.

Don Francesco Capecelatro, który spisywał dziennik, będący jednem z najcenniejszych źródeł do rewolucji Masaniella, powiada, że „don Giuseppe Carafa był pierwszym pomiędzy rycerstwem, który w tych zamieszkach przelał szlachetną krew

na neapolitańskiej ziemi. Był on żywego i przenikliwego umysłu i ujmował ludzi swą uprzejmością i prawdziwie pańskiem obejściem. Nie umiał wszakże panować nad swym gniewem i łatwo dał się pociągnąć do okrucieństw i mordów. W ten sposób wszedł w stosunki z awanturnikami niskiego pochodzenia i złych obyczajów, którzy pod jego osłoną popełniali mnóstwo czynów zbrodniczych, wiedząc, że nie będą karani, tak, jak się należało, ze względu na don Giuseppa".

Motłoch uliczny nie zadowolnił się zamordowaniem Carafy; w zwierzęcej wściekłości wleczono ciało po ulicach, a jakiś okrutnik odciął nogę zmarłemu i przechwalał się, że ją ugotuje i zje, ponieważ ów książę zmusił go raz do ucałowania mu stopy. Tego było za wiele nawet rozjuszonemu tłumowi; wydarto nogę nędznikowi, co wprowadziło go w taki gniew, że się rzucił na tułów Carafy i zaczął go szarpać zębami. Znalazło się kilku innych „triumfatorów", którzy nadziali głowę Carafy na lancę i zanieśli na plac, gdzie się zebrała rewolucyjna starszyzna. Masaniello uderzył laską ten łup krwawy, obrzucając zmarłego najohydniejszemi wyrazami i przekleństwami. Tymczasem zgromadzono na placu siedmnaście głów innych rycerzy, a Masaniello kazał tam przybić tablicę z napisem, że taki los czeka wszystkich zdrajców ojczyzny. Michałowi de Santis kazał wódz rewolucyjny w wielkiej swej wspaniałomyślności wypłacić tysiąc dukatów za czyn patrjotyczny i polecił, aby odciętą głowę i nogę wystawiono w żelaznej klatce nad bramą San Gennaro.

Zaczęło się polowanie na Diomeda Carafę; ślad za nim jednak zaginął. Jakaś kobieta widziała go we wsi za Vomero; Masaniello wysłał na pościg cały oddział konnych, ale Diomede był już za górami. Mszczono się więc na jego dobytku. Pałac zrabowano doszczętu, a ponieważ mówiono, że Diomede złożył najkosztowniejsze swe rzeczy w klasztorze Santa Maria della Stella i u augustjanów bosych, więc tam się rozpoczął rabunek. Samego srebra znaleziono za dziesięć tysięcy skudów, a co były warte cenne obrazy, złote naczynia, wysadzane drogiemi kamieniami, makaty przetykane złotem, arasy z figuralnemi przedstawieniami, powozy i konie szlachetne, tego ocenić nie było można. Trybun kazał to wszystko znieść na plac i tam albo posprzedawano za bezcen najkosztowniejsze przedmioty, albo dano

je do przechowania zaufanym członkom ruchu na późniejsze ludowe potrzeby.

Rewolucja objęła już prawie całe miasto; najważniejsze ulice zabarykadowano i tylko Castel dell'Ovo i S. Elmo, tudzież Castel-Nuovo były obsadzone wojskiem hiszpańskiem. Dla osobistej zemsty i rabunku było otwarte pole; co chwila kogoś mordowano, a nawet dwa razy strzelano do Masaniella. Trybun zakazał więc noszenia płaszczów i długich sukien, pod któremi możnaby ukrywać puginały, ba, nawet kardynał Filomarino nie mógł się ukazać w sutannie. Kobietom nie wolno było ubierać się w owe spodnice z obręczami, które zwano guardinfante. W nocy gorzały lampy lub pochodnie przed każdą bramą.

Rewolucjoniści nie byli wszakże pewni wygranej, dopóki fortece znajdowały się w ręku Hiszpanów; z murów Castel dell'Ovo i S. Elmo można było obrócić całe miasto w ruinę. Zamki wszakże nie miały dostatecznej żywności; gdy więc pierwsze wybuchy namiętności przeminęły, skłaniał się tak wicekról, jak i Masaniello, do ugody. Znowu zaczęto się układać i jedenastego lipca, piątego dnia po wybuchu rewolucji, przyszła ugoda do skutku. Wicekról kazał uroczyście ogłosić w kościele karmelitów, że potwierdza dawne przywileje ludu, a na znak pokoju miał trybun udać się do wicekróla, aby wszelkie spory załatwić.

Na to jednak Masaniello zrazu nie chciał przystać; bał się trucizny lub szubienicy. Już w ostatnich dniach nic nie jadł, oprócz chleba, zamaczanego w winie, które mu podawał przyboczny lekarz kardynała, a do rozmowy w zamku nie można go było nakłonić. Wreszcie oświadczył, że pójdzie do wicekróla, ale nie do zamku, tylko do pałacu, i że zbrojny lud będzie pałac otaczał. Na to się zgodzono.

Trybun się wystroił, aby godnie wystąpić; wdział ubranie ze srebrzystego brokatu, zawiesił u boku miecz bogato rzeźbiony, zrabowany z jakiegoś pałacu, i przykrył swe bujne kędziory kapeluszem, ozdobionym białemi piórami. Na piersiach miał duży medaljon z wizerunkiem karmelitańskiej Madonny.

Pochód do wicekróla odbył się z całą rewolucyjną pompą. Masaniello czuł się bezpieczny w towarzystwie kardynała; więc jechał konno obok karocy Filomarina wraz z deputowa-

nym ludu, Arpają. W ulicach ugrupowało się sto sześćdziesiąt kompanij ludowych, które schylały swe sztandary przed trybunem. Nad bramą pałacu księcia Celammare wystawione były portrety Karola V i Filipa IV pod baldachimem od „Najwierniejszej dla tronu rewolucji“, a naród wołał: „Niech żyje król i lud neapolitański!“

Pałac wicekróla otoczono w ostatnich dniach barykadami i wałami, a wszędzie widać było szeregi hiszpańskich, walońskich i niemieckich żołnierzy. Masaniello mógł się przekonać, że rząd nie jest bezsilny, i to pierwsze zetknięcie się z regularną armją sprawiło na nim wielkie wrażenie. Wszak przed kilkoma dniami był jeszcze ubogim rybakiem, a dzisiaj, przybrany w srebrzyste szaty, miał paktować z wicekrólem. Trybun prawie stracił narazie przytomność i rzucił się na kolana przed reprezentantem potężnego państwa. Wicekról podniósł go, objął w ramiona i poprowadził wraz z kardynałem do przyległej sali tronowej.

Tymczasem jednak tłum na placu się niepokoił, burzliwe okrzyki odbijały się o sufity pałacu; mniemano, że Masaniello został uwięziony. Aby lud uspokoić, prosił wicekról trybuna, aby się ukazał na balkonie. Masaniello wyszedł, ale nie umiał, czy nie miał siły przemówić; cofnął się niebawem do sali i upadł zemdlony. Po chwili przyszedł do siebie; układ pomiędzy rządem a ludem został odczytany, poczem książę d'Arcos zawiesił trybunowi złoty łańcuch na szyi, jako znak, że go uważa za przewódcę ludu i odprowadził uradowanego aż do schodów. Żegnając się, znowu wyszedł Masaniello ze swej roli, pocałował wicekróla w rękę, a oddalając się w towarzystwie kardynała, odetchnął. Zmęczony wrażeniami dnia, wrócił do swego ubogiego mieszkania.

Ale tłum go zanadto wysoko postawił, aby na tej chwiejnej wieży można było odpocząć. W nocy rozległy się krzyki po ulicach, że naród został zdradzony, że bandyci, najęci przez baronów, napadli na miasto. Dyktator poczuł władzę, kazał w ciemnościach nocnych schwycić mniemanych bandytów i bez przesłuchania ich, bez procesu, ściąć głów czternaście.

Naczelnik ludu musiał mieć odpowiednie miejsce, aby wydawać rozkazy. Dotąd, ponieważ miał mieszkanie parterowe,

podawano mu przez okno prośby i memorjały, przywiązane do kija lub halabardy. Ale taki rodzaj porozumiewania się z publicznością nie odpowiadał godności Masaniella; urządzono więc przed jego domem rodzaj trybuny, zbitej ze straganów i desek, gdzie naczelnik rządził od rana. Sekretarz czytał mu podane pisma, a Masaniello bez długiego namysłu wydawał wyroki i rozporządzenia. Osobliwie chodziło mu o wyśledzenie szpiegów i bandytów, będących na usługach szlachty. Księża i zakonnicy musieli się stawić, rozbierano ich i badano, czy rzeczywiście są duchownymi, czy tylko przebranymi brawami. Żadnej rodzinie baronowskiej lub rycerskiej nie wolno było pozostać w mieście, szlachta nie miała żadnych praw obywatelskich. Powstał najzupełniejszy chaos. Do powszechnego zamięszania przyczyniło się jeszcze zorganizowanie tak zwanego „Związku śmierci“. Rzecz się tak miała. Anielo Falcone, znany już wówczas malarz bitew, duch niespokojny, skory do awantur, zobaczył przypadkowo, jak dwóch hiszpańskich żołnierzy raniło w kłótni jednego z jego krewnych. Pobiegł więc czem prędzej do swojej pracowni, zwołał uczniów i znajomych, aby się zemścić na Hiszpanach. Ale ci także otrzymali pomoc; rozpoczęła się bójka, w której został zabity jeden z młodych malarzy. Falcone poprzysiągł zemstę Hiszpanom i zorganizował „Związek śmierci“. Do tego towarzystwa należało kilku znanych artystów, którzy przyłączyli się do rewolucji i dzielnie wspierali Masaniella. Niektórzy historycy utrzymują, że Salvator Rosa należał do tego związku i że malował portrety Masaniella; zdaje się wszakże, że słynny malarz bawił wtedy w Rzymie i że wogóle nie portretował trybuna.

Na trzynastego lipca wyznaczył wicekról w porozumieniu z „jeneralnym kapitanem najwierniejszego ludu“ odczytanie i zatwierdzenie przez lud układów, poprzednio ułożonych tylko w ogólnych zarysach. Ceremonja odbyła się w katedrze św. Januarego; ulice od pałacu wicekrólewskiego aż do kościoła były otoczone szpalerem uzbrojonego ludu, balkony domów ubrano dywanami, ale z rozkazu Masaniella nie wolno było wicekrólowi przybyć z pocztem rycerstwa. To też książę d'Arcos przyjechał tylko w towarzystwie Donata Coppola, księcia di Canzano, który wiózł dokumenty ugody. W katedrze zasiadł arcybiskup pod bal-



Szopka w Museo S. Martino w Neapolu

dachimem, a po bokach wicekról i Masaniello. Kościół był pełny ludu, który się uciszył, gdy Coppola odczytywać zaczął dokument. Pismo było długie i zawierało zatwierdzenie dawnych przywilejów, danych ludowi przez Ferranta aragońskiego i Karola V co do zniesienia podatków i opłat, tudzież rozmaitych ulg i łask, udzielonych mieszkańcom Neapolu.

Podczas czytania dokumentu zachowywał się Masaniello niespokojnie, co chwila czynił głośne uwagi co do treści układu, a gdy Coppola rzecz skończył, trybun ludu urządził niespodziewaną teatralną scenę.

Zaczął się rozbierać; zrzucał pyszne ubranie ze srebrzystej lamy, pod którem miał zwykłą koszulę. Myślano, że trybun dostał pomięszania; ale on chciał tylko okazać, że teraz jest niczem, że ze szczytu władzy wraca do rybackiej prostoty. Otoczenie błagało, żeby w kościele się nie rozbierał; więc przerwał tę komedję, ale na znak pokory rzucił się przed kardynałem na posadzkę i stopy mu ucałował.

Po tej scenie wstał wicekról, zaprzysiągł pakty, arcybiskup zaintonował Te Deum, poczem lud krzyczał: „Viva il Re di Spagna!“ i wśród strzałów z rusznic rozchodził się do domów.

Książę d'Arcos odjechał do pałacu; mógł być zadowolony, że zażegnał groźną rewolucję. Masaniello, udając pokorę, wracał do swego mieszkania, ale pomimo tych pozorów zamierzał nadal być dyktatorem. Jego ciało nie zniosło jednak wrażeń i niepokojów ostatnich dni. W czasie zaburzeń mało jadł z obawy, aby go nie otruto, prawie nie sypiał, w głowie mu się mąciło; chwilowa władza wyrwała go ze zwykłego toku myśli, żal mu było zstąpić znowu na rybacki poziom, powiedział sobie: Wicekról jest zastępcą monarchy; ja zostanę naczelnikiem ludu. Grozą, morderstwem doszedł do władzy; rozsiewaniem postrachu postanowił się dalej utrzymać. Sądził, że trybunowi wszystko wolno, że jego potęga jest nieograniczona.

Przedewszystkiem postanowił na miejscu skromnego swego domku wystawić dla siebie wspaniały pałac i w tym celu zaczął wywłaszczać sąsiadów. Około tysiąca osób ubogich rodzin musiało się wyprowadzić z mieszkań, bo kamienice miano burzyć, aby uzyskać plac pod budowę nowego pałacu. Żywiąc szczególną nieprzyjaźń do Carafów, wyznaczył nagrodę dziesięciu tysięcy

dukatów za głowę księcia di Maddaloni. Ponieważ zaś narazie nie mógł dosięgnąć samego księcia, więc kazał pościnać głowy jego muzykantom, którzy nic nie zawinili, chyba tylko to, że byli w służbie magnata.

Żonę swoją z małem dzieckiem i jej siostrę wysłał w otoczeniu świetnie postrojonych krewnych do księżnej d'Arcos w odwiedziny, czem oczywiście bardzo się ubawiono w pałacu. Rodzinie towarzyszył arcybiskup. Gdy powozem zajechano przed ogród pałacowy, donna Masaniello nie chciała przejść piechotą tych kilkunastu kroków, które ją dzieliły od wejścia do gmachu, ale żądała, aby po nią przysłano portantinę. Spełniono jej żądanie. Wicekrólowa wyszła naprzeciw niej i ucałowała według zwyczaju żonę rybaka w twarz, mówiąc: „Sea vostra signora illustrissima muy bien venida"; na co donna Masaniello po formułce powitania „Vostra Eccellenza sia molto ben ritrovata" dodała, niejako na usprawiedliwienie swej wizyty: „Wasza Ekscelencja jesteś wicekrólową wielkich pań, a ja jestem wicekrólową kobiet z ludu".

Księżna d'Arcos darowała swej rywalce złoty łańcuch na szyję i pożegnała ją bardzo uprzejmie. Masaniello jednak nie był zadowolony z tego przyjęcia, albowiem dworzanie wicekrólowej powychodzili podczas wizyty jego żony do bocznych pokoi i jak mu opowiadano, śmiali się z niej. Masaniello rozkazał też swemu bratu, aby nie zdejmował odtąd kapelusza przed Hiszpanami z otoczenia wicekróla.

Odwiedziny te tem przykrzej musiały dotknąć dumę księżnej d'Arcos, gdyż powszechnie mówiono, że żona Masaniella i bardzo przystojna jej siostra sprzedawały swe wdzięki za dobrem wynagrodzeniem.

Masaniello formalnie szalał; rozdawał duże posagi ulicznicom, rozrzucał złoto i srebro na wszystkie strony, wystawiał swoim ulubieńcom dyplomy na tytuły duków i książąt. Pojechał także do pałacu Carafów, aby się przekonać, czy jego rozkazy dokładnie spełniono i pałac do szczętu został zrabowany. Tam nawet zamyślał spożyć obiad ze swoimi towarzyszami, ale się rozmyślił i zasiadł do stołu w pobliskim klasztorze. Z portretów księcia i jego ojca kazał wystrzyc głowy i nadziane na lance postawił naprzeciw siebie przy stole, jako szczególną ozdobę im-

prowizowanego bankietu. Następnie, co koń wyskoczy, pojechał do domu, przebrał się w jedwabne, niebieskie szaty Carafy, zrabowane w pałacu, zawiesił na szyi złoty łańcuch i przypiął do kapelusza diamentową agrafę Maddalonich. Widocznie po obiedzie z portretami Carafów było mu za gorąco, bo uzbroiwszy się w pistolety popędził do portu, rzucił się do morza, wsiadł następnie do stojącej w pobliżu gondoli wicekróla i kazał się wytrzeć prześcieradłem z jak najcieńszego płótna holenderskiego. Potem wdział koszulę Carafy, obszytą koronkami, i puszył się swoją potęgą.

Ale ta tyrańska władza trybuna już i ludowi zaczęła być groźna. Nikt nie był pewny życia, które zależało od humoru Masaniella lub jakiej bezimiennej denuncjacji. U wejścia na ulicę Toledo stała szubienica, jako znak ludowych rządów, a na placu targowym sterczało na tykach dwieście ściętych głów ludzkich i zatruwało powietrze niemożliwym odorem.

Najszczersi dotąd przyjaciele trybuna zaczęli się bać o swoje życie. Genoino i Arpaja widzieli, że już stracili władzę nad tyranem; więc cichaczem zaczęli porozumiewać się z wicekrólem, aby zakończyć tę krwawą komedję. Ofiarowali się zgładzić Masaniella, na co książę d'Arcos osobiście dał im pozwolenie. Jako dzień, w którym miała paść głowa trybuna, naznaczono święto Madonny z Karmelu, 16 lipca.

Widocznie jednak musiał Masaniello przeczuwać, że część ludu go odstępuje i że mu grozi jakieś niebezpieczeństwo, bo już podczas nabożeństwa w Sta Maria del Carmine, które odprawiał arcybiksup, okazywał szczególny niepokój, a po mszy wyszedł szybko na ambonę, trzymając krucyfiks w ręku i zaczął przemawiać do zgromadzonych. Narzekał, że lud niestały, nie dość ocenia jego zasługi, w czarnych barwach malował przyszłość narodu, jeżeli go odstąpi, spowiadał się ze swoich błędów i wzywał obecnych, aby to samo uczynili przed obrazem Madonny, jeżeli chcą pozyskać boskie miłosierdzie. Cała ta przemowa tak dalece nie miała związku i znamionowała człowieka umysłowo chorego, że gdy Masaniello wzniósł do góry krzyż i zamierzał lud błogosławić, jakaś kobieta powstała, wołając, aby milczał, bo Matka Boska nie zniesie, aby gadał takie niedorzeczności.

Wtedy Masaniello chcąc dowieść zgromadzonym, jak dalece dla ludu pracował, jak nie śpiąc i nie jedząc, wychudł i zmizerniał, zaczął się na ambonie rozbierać, aby pokazać swe wystające żebra. Tego było przytomnym zakonnikom za wiele; jakiś silny karmelita przyskoczył i z pomocą innych duchownych ściągnął trybuna z kazalnicy. Zaprowadzono go do jakiejś celi, położono na łóżko, gdzie bohater zasnął.

Ale dziewięciu ludzi, których wicekról wynajął do spełnienia zbrodni, już czekało w kościele. Uzbrojeni byli w puginały i pistolety i skorzystali z zamięszania, aby się wśliznąć na korytarz klasztorny. Zakonnicy chcieli im bronić wstępu; powstał hałas, Masaniello się obudził i wychylił z celi, patrząc, co się dzieje. W tej chwili gruchnęło pięć strzałów, z których jeden ugodził trybuna w serce. Raniony padł, wołając: „A łotry!“

Salvatore Cattaneo rzucił się na ofiarę, tępym nożem odciął głowę, a ująwszy ją za włosy, wybiegł przed klasztor z okrzykiem: „Niech żyje król hiszpański!“

Zgromadzony lud tak się przeraził, że nikt nie zatrzymał morderców, którzy wprost poszli do pałacu. Don Francesco Capecelatro zapisuje, że Cattaneo przyszedł właśnie w chwili, kiedy książę d'Arcos mówił do jednego z otaczających go Hiszpanów, że dałby temu dziesięć tysięcy dukatów, ktoby mu dostawił żywego lub zabitego Masaniella.

W mieście zapanował narazie spokój i tylko kilkunastu wyrostków wyniosło ciało Masaniella z klasztoru i wlokło ulicami, aby je pogrzebać za murami miasta. Kardynał Filomarino, który w czasie rozruchów zajął stanowisko niepewne, pozbawiające go później wszelkiego wpływu, udał się teraz do wicekróla, poczem obydwaj pojechali konno do katedry, by jeszcze raz lud zapewnić, że po śmierci Masaniella będą dotrzymane przyobiecane przywileje. Po drodze spotkano uzbrojone zastępy ludności, ale wszędzie witano księcia d'Arcos pochylaniem chorągiewek i okrzykami: „Niech żyje król i książę d'Arcos!“. W katedrze kazał wicekról ogłosić powszechną amnestję, od której byli wyjęci tylko brat i szwagier Masaniella, jako jedni z głównych przewódców w mordach i podpaleniach.

Zdawało się, że ruch ludowy został przytłumiony; ale rząd popełnił wielki błąd, że zaraz nazajutrz pozwolił piekarzom pod-

wyższyć ceny chleba. Tłumy znów zaczęły się burzyć; żałowano, że Masaniella niema, gdyż za jego panowania piekarze nie byliby śmieli wyzyskiwać ludności. Przypomniano sobie o niegodnem pogrzebaniu zwłok trybuna; tłumy udały się siedemnastego lipca procesjonalnie poza mury miasta, przyszyto głowę zamordowanego do tułowia, umyto ciało, ubrano je we wspaniałe szaty, dano do rąk buławę i ułożono na noszach, pokrytych białym jedwabiem. W triumfalnym pochodzie niesiono je do kościoła del Carmine; bractw bez liku i czterystu księży wystąpiło na rozkaz arcybiskupa, sztandary wleczono po ziemi, a kirem przykryte bębny roznosiły przytłumione odgłosy żałobnego marsza. Ludowe wojsko schylało rusznice przed zamordowanym wodzem. Ze wszystkich wież kościelnych rozlegało się bicie dzwonów i stanowiło poważną harmonję z szumem przeszło czterdziestu tysięcy ludu, odmawiającego litanje i różaniec. Gdy kondukt przechodził koło portu, gdzie stała kompanja gwardji hiszpańskiej, wołał lud, aby Hiszpanie oddali honory zmarłemu, zniżając broń; ale komendant oddziału odpowiedział, że wolno mu słuchać tylko rozkazów wicekróla.

Ciało pochowano w podziemiach kościoła Carmine.

Taki był koniec Masaniella d'Amalfi, który przez dziewięć dni panował w Neapolu i tytułował się „Preposto e Prefetto generale del fedelissimo popolo neapolitano".

Był to człowiek, nie odznaczający się ani wybitnym talentem, mogącym porywać tłumy, ani charakterem. Masaniello stał się manekinem, którym popychali zręczni rewolucjoniści; to też, gdy doszedł dzięki tym manewrom do władzy, stracił głowę, nie umiał się utrzymać na wysokości trybuna ludu, rzucał się do stóp wicekróla, albo mdlał z przestrachu i wkońcu popadł w pomięszanie.

Ze śmiercią Masaniella nie skończyła się bynajmniej ludowa rewolucja w Neapolu. Wicekról nie dotrzymał przyrzeczenia zniesienia ceł; w dokumencie, przeczytanym ludowi, powiedziano bowiem, że zniesione będą gabelle z wyjątkiem tych, które są wydzierżawione osobom prywatnym. Ponieważ jednak prawie wszystkie cła były wydzierżawione, więc właściwie lud

nic nie zyskał na tych obietnicach i czuł, że go oszukano. Powstało ponowne wzburzenie, może większe, jak za Masaniella. Lud, ciągle jeszcze uzbrojony, zdobył najważniejsze stanowiska w mieście: klasztor kartuzów San Martino i Pizzofalcone; w strasznej furji porobił barykady i mordował, gdzie mógł, wicekrólewskich żołnierzy. Nie było wszakże naczelnika ruchu, więc tłumy zmusiły znanego z odwagi rycerza, Franceska Toraldo d'Aragona, księcia di Massa, aby objął dowództwo, pomimo że książę się opierał. Młoda małżonka księcia obawiała się wszakże, aby go lud z tego powodu nie zamordował, więc namawiała Franceska do przyjęcia niewdzięcznej roli.

Tymczasem w Madrycie zaniepokojono się nowym wybuchem rewolucji i wysłano flotę, składającą się z czterdziestu ośmiu okrętów do Neapolu pod wodzą ośmnastoletniego don Juana d'Austria, nieślubnego syna króla Filipa IV i jakiejś aktorki. Don Juan zamierzał wejść w układy z ludem, zanim wysadzi na ląd swe wojska; ale książę d'Arcos, który chciał się wreszcie zemścić na neapolitańczykach za wszystkie doznane upokorzenia, nie przystał na rozumne rady młodego wodza i walka się rozpoczęła.

Na wieży karmelitów wiał znowu czerwony sztandar, szeregi rewolucjonistów tak dalece wzrosły, że wojsko hiszpańskie nie czuło się na siłach, by opanować miasto, co więcej, za mało było amunicji. Don Juan żałował, że posłuchał księcia d'Arcos, ale już było za późno. Na czele ruchu stanął rzeźnik, Michele de Santis, ten sam, który zamordował Józefa Carafę. Teraz Francesco Toraldo stał mu w drodze, tem bardziej, że rzucono na księcia podejrzenie, że porozumiewa się z Hiszpanami. Nieudany atak ludu na wieżę, obsadzoną przez Hiszpanów, umocnił jeszcze to podejrzenie. Michele de Santis zawyrokował, że Toraldo zdradził; chwycono dotychczasowego dowódcę, nie dano mu się nawet usprawiedliwić, ale z wściekłością zawleczono na rybi targ i tam na kamiennej ławce ucięto mu głowę. Według zwyczaju zatknięto głowę na lancę i obnoszono w triumfie. Mordercy wycięli z ciała jeszcze ciepłe serce i na srebrnym półmisku zanieśli pięknej małżonce Francesca, która mieszkała w klasztorze. Przerażone zakonnice nie chciały wpuścić zbrodniarzy do księżny i zawarły furtę. Wtedy rozbestwiony tłum za-

czął znosić słomę i suche gałęzie, aby klasztor podpalić. Zakonnice były zmuszone uwiadomić księżnę, co się dzieje, i nieszczęśliwa młoda kobieta wyszła przed bramę klasztoru, aby z rąk oprawców odebrać ten straszny dar. Ciało Toralda powieszono na szubienicy, a we dwa dni później przyszedł lud do przekonania, że książę nie był zdrajcą, i sprawił mu wspaniały pogrzeb.

Przez trzy miesiące panowała najzupełniejsza anarchja; nareszcie średnie klasy mieszczańskie, które wskutek zupełnego zastoju w przemyśle i handlu najwięcej cierpiały, pierwsze zaczęły się zbliżać do rządu i szukać wyjścia z tego strasznego położenia. Rewolucja objęła zresztą nietylko Neapol, ale prawie całe państwo, od Aquili w Abruzzach do Apulji i Kalabrji; miasta powstały przeciw baronom, a książę d'Arcos paktował to z ludem, to z baronami i nikt mu już nie ufał. Gorący nawet zwolennicy rządu przyszli do przekonania, że wicekról jest największą przeszkodą do przywrócenia porządku w mieście.

Nawet przyboczna rada wicekrólewska w tej myśli się oświadczyła, co spowodowało księcia do złożenia swej godności i wyjazdu 26 stycznia 1648 do Hiszpanji. Don Juan d'Austria objął tymczasowo władzę; ale już od pewnego czasu rysowała się postać, która miała napowrót, przynajmniej na jakiś czas, odzyskać dla Hiszpanji królestwo neapolitańskie. Don Juan de Guevra y Tassis, hrabia Onnate, poseł hiszpański w Rzymie, oddawna czyhał na sposobność, aby po księciu d'Arcos objąć następstwo. Była to w każdym razie niepospolita postać; zimny, przebiegły, a zarazem bardzo stanowczy dyplomata, umiejący być gładkim, uprzejmym, ale i okrutnym. Hasłem jego była wytrwałość; nieraz mówił, że czas i cierpliwość nigdy nie szkodzą rządowym czynnościom, gdy przeciwnie pośpiech najczęściej je psuje. Temu dygnitarzowi oddał władzę don Juan d'Austria wskutek rozkazu z Madrytu, a nowy wicekról umiał wkrótce przywrócić porządek w Neapolu, do czego już niemało przyczyniła się większa część ludności, doprowadzona do rozpaczy dziewięciomiesięcznem panowaniem tłuszczy.

Wkrótce jednak odkrył Onnate ślady nowego spisku, tym razem już nie sprzysiężenia ludu, walczącego w imię swoich praw, ale spisku, zwróconego przeciw tronowi, przeciw dynastycznemu porządkowi. Don Juan d'Austria pozyskał sobie

w krótkim czasie, w którym dzierżył władzę, sympatje tak u szlachty, jak i pomiędzy ludem. Był dzielny i wspaniałomyślny, dający się unosić instynktom serca i skłaniający się zawsze na stronę piękna i honoru. Szlachta, której oddawna ciążyła zależność Neapolu od Madrytu, powzięła myśl oddania korony neapolitańskiej sympatycznemu synowi Filipa IV, zwłaszcza że król hiszpański nie miał ślubnego syna. Onnate wszakże przeszkodził tym planom, których ostatecznym celem było oderwanie Neapolu od państwa hiszpańskiego, i postanowił złamać potęgę baronów, którzy zawsze osłabiali siłę neapolitańskiego rządu. Arystokracja utrzymując po swoich zamkach, zwłaszcza w Abruzzach, własną milicję i protegując bandytów, umiała najczęściej unicestwić zamiary wicekróla. Te stosunki postanowił Onnate zmienić, z wasalów zrobić poddanych.

Rody Carafów, Maddalonich, Celanów, Caracciolów były znane z używania bandytów do przeprowadzania swych spraw, często zupełnie sprzecznych z publicznym porządkiem. Od nich rozpoczął wicekról swą zaczepną akcję. Jednego po drugim wzywał do Neapolu i pociągał do odpowiedzialności, że wspierają bandytów. Prawie wszyscy się stawili i zawarli zgodę z wicekrólem; jeden tylko Diomede Carafa odpowiedział, że o taką błahostkę, jak sprawy bandyckie, nie pojedzie do Neapolu. Bał się uwięzienia. Ale hr. Onnate zwykł był przeprowadzać swoje zamiary; wysłał więc znaczny oddział wojska do jego posiadłości Arienzo, aby sprowadzono siłą opornego barona. Diomede ratował się ucieczką, pozostawiwszy w kraju tylko żonę, do której bardzo był przywiązany. Wicekról położył sekwestr na dobra Carafy, a jego małżonce kazał przybyć do Neapolu pod karą pięćdziesięciu tysięcy dukatów. Hrabina, Antonia Caracciolo, poddała się, a na weselnym bankiecie Giulii Caracciolo z księciem Atella tak się umiała przypodobać hrabiemu Onnate, że zgoda pomiędzy wicekrólem a Carafą została zawarta.

Hardość neapolitańskiej arystokracji została złamana; szlachta nie śmiała od tego czasu stawać w obronie bandytów. Ale kraj nic na tem nie zyskał, bo późniejsi wicekrólowie, nie obawiając się już oporu baronów, rabowali gorzej, jak bandyci, wyciskając z ludności ostatni grosz pod różnemi pozorami.

Z powodu urodzenia się następcy tronu hiszpańskiego, infanta Prospera Filipa, kazał rząd złożyć 350.000 dukatów, jako „podarunek“ dla króla, a połowę tej sumy uzyskano nałożeniem podatku na chleb, na jedyne jeszcze nie opodatkowane pożywienie ludności.

Rząd hiszpański rabował, liczył tylko na chwilowe zyski, nie myśląc o rozwoju neapolitańskiej prowincji, o jej przyszłości. Moralny upadek ludu był temu rządowi zupełnie obojętny, owszem, wykonując swe panowanie li tylko materjalną siłą, woleli wicekrólowie niszczyć wszelką swobodną myśl, wszelki intelektualny postęp. Aby tem łatwiej dojść do celu, do ubezwładnienia społeczeństwa, podburzali sztucznie różne warstwy ludności przeciw sobie, lud przeciw baronom, mieszczaństwo przeciw ludowi. Był to jeden z najgorszych rządów, jakie Włochy musiały cierpieć w ostatnich wiekach. To też ten dwuwiekowy okres wicekrólewski w Neapolu doprowadził kraj do nędzy, a ludność do strasznego zepsucia.

Dopiero od roku 1734, kiedy Karol III zdobył Neapol i ufundował nowe królestwo, rozpoczęło się przynajmniej słabe odrodzenie państwa.

V

Oprócz rewolucji Masaniella przeżywał Neapol w XVII wieku jeszcze dłuższą, chociaż bezkrwawą wojnę, która wszakże do najwyższego stopnia rozgorączkowała tamtejsze umysły. A brali w niej udział zakonnicy przeciw zakonnikom, pośredniczyli papieże i kardynałowie i wicekrólowie wraz z rządem. Powodem walki była kapuca habitu św. Antoniego.

W r. 1628 ogłosiło miasto Neapol swoim patronem św. Antoniego z Padwy, do którego od czasu wzmożenia się zakonu kapucynów lud neapolitański szczególne miał nabożeństwo. Kult św. Antoniego zaczął nawet cokolwiek przysłaniać tradycyjne panowanie św. Januarego. Postanowiono też umieścić posąg świętego Antoniego w skarbcu, w „Tesoro“ katedry, gdzie się znajdowały relikwje św. Januarego i popiersia innych świętych, będących patronami miasta. Ale przed zamówieniem statuy powstał spór pomiędzy kapucynami i braćmi konwentualnymi, tj. franciszkanami, jakim krojem ma być zrobiona

kapuca św. Antoniego. Kapucyni utrzymywali, że powinna być śpiczasta, piramidalna, taka, jaką nosił św. Franciszek i jaką oni zaprowadzili w swoim zakonie. Temu sprzeciwili się franciszkanie, utrzymując, że kapuca powinna być zaokrąglona, ścięta, taka, jaką rzeczywiście nosił św. Antoni. Powstała z tego powodu tak zawzięta kłótnia pomiędzy obydwoma zakonami, że klasztory udały się o rozstrzygnięcie sprawy do „seggich“, a nareszcie do papieża, którym był wówczas Urban VIII.

Papa Barberini, człowiek rozumny, polityk, spostrzegł całą śmieszność tego sporu, a nie chcąc drażnić zakonników i swego brata, kapucyna, który popierał swoich klasztornych towarzyszy, odesłał sprawę do kongregacji „dei riti“, sądząc, że powoli namiętności zakonników się uspokoją i że rzecz się z biegiem czasu sama ułoży. Ale mnisi nie dali się ułagodzić, a uczeni pomiędzy nimi wertowali stare księgi i ryciny, otwierali nawet groby zakonne, jedni, aby dowieść, że kapuce powinny być śpiczaste, drudzy, że okrągłe. Oliwy do ognia dolał przypadek.

W maju 1631 ukazała się w Neapolu małżonka wicekróla hrabiego di Monterey na ulicy w lektyce, trzymając dużą lalkę drewnianą, przedstawiającą św. Antoniego z zaokrągloną kapucą. Wicekrólowa, wiedząc o szczególnem nabożeństwie ludu neapolitańskiego do świętego z Padwy, chciała się przypodobać lazzaronom z tego względu, że rząd miał wprowadzić nowe podatki, nowe ciężary.

Fakt ten zachęcił braci konwentualnych, „Frati della scarpa“, aby cichaczem kazać ulać ze srebra posąg świętego Antoniego, ubranego w kapucę zaokrągloną, i nikomu nic nie mówiąc, ustawić figurę w Tesoro. Sądzili, że poparci przez wicekrólową, zwyciężą. Ale na nieszczęście arcybiskup Ascanio Filomarino miał brata kapucyna, który doniósł o tej zbrodni kardynałowi i zwrócił jego uwagę na straszne skutki, jakie postępowanie konwentuałów może za sobą pociągnąć, na widmo ludowej rewolucji. I rzeczywiście niebawem, dnia 5 maja 1646, napadło na kardynała, podczas jakiejś procesji, kilkudziesięciu szlachty, obrażonych na purpurata z innych jeszcze powodów, zaczęło go obrzucać obelgami i wydarło mu nawet z rąk relikwję świętego Januarego. Wskutek wielkiego wzburzenia

w kołach, uznających tylko zaokrągloną kapucę, papież musiał się znowu wdać w sprawę i postanowił, że jedne klucze od kaplicy „del Tesoro“ muszą się znajdować w rękach miejskiego zarządu, drugie u kardynała, aby tam nic nie było można zmienić bez porozumienia się władzy duchownej i świeckiej.

Frati della scarpa z pomocą wicekróla, księcia d'Arcos, chwilowo zwyciężyli; srebrny posąg św. Antoniego w zaokrąglonej kapucy został ustawiony w kaplicy, czemu już i kardynał się nie sprzeciwiał, nauczony smutnem doświadczeniem.

Ale kapucyni nie spoczęli; postanowili pomścić zniewagę. Mając za sobą kardynała, który uległ tylko chwilowej przemocy, rozpoczęli w mieście agitację, zyskiwali sobie poparcie osobistości, mających wpływ u rządu i doprowadzili do tego, że przyboczna rada wicekrólewska rozkazała „dla świętego spokoju“ wyrzucić srebrnego intruza z kaplicy „del Tesoro“. Rząd umieścił tymczasowo sporną statuę w pałacu Andrzeja Marchese, prezydenta przybocznej rady, ale upragnionego spokoju nie osięgnął.

Zwolennicy śpiczastej kapucy zaczęli powstawać na Hiszpanów, że „uwięzili św. Antoniego, ponieważ był Portugalczykiem“, których nienawidzili.

Tymczasem rok minął, nadszedł dzień patrona (13 czerwca 1647), który swym habitem sprawił tyle niepokoju; franciszkanie żądali, aby im na tę uroczystość posąg został wydany. A ponieważ Andrea Marchesi umarł, więc nowy naczelnik kancelarji, Hektor Capecelatro, uczynił zadość żądaniu zakonników. Franciszkanie wystawili zdobyte popiersie w swym kościele, w S. Lorenzo i rozgłosili, że stanie się jakiś cud, że święty poprze ich przekonanie co do zaokrąglonej kapucy.

I stał się cud; wybuchła rewolucja Masaniella, lud panował przez dziewięć dni w Neapolu, a „Frati della scarpa“, korzystając z powszechnego zamieszania, podburzyli tłumy, które z groźbami, strzelając z muszkietów, zebrały się przed pałacem kardynała, żądając wydania kluczy od skarbca, a zarazem, aby pozwolił zanieść tam w procesji św. Antoniego, gdzie jako patron miasta stać powinien. Przestraszony kardynał powiedział: „Róbcie, co chcecie!“, a triumfujący tłum pozapalał pochodnie i niezliczone świece i uformowawszy się w procesję,

której przewodniczyli franciszkanie, a na ich czele zapaleniec frate Marrama, udał się do katedry, niosąc posąg św. Antoniego. W ten sposób patron, wyrzucony niedawno z kaplicy, wracał tam jako triumfator. Lud, obawiając się, aby przeciwne stronnictwo arcybiskupa nie użyło jakiego podstępu celem osiągnięcia swych zamiarów, postawił przed skarbcem wartę wojskową Masaniella. Co więcej, Frati della scarpa udali się do Innocentego X, aby dał sankcję temu zarządzeniu. Papież odpowiedział swym „ukochanym synom“, że pochwala ich szczególne nabożeństwo do świętego, ale chcąc spór o kapucę na wieczne czasy zakończyć, nakazał osobnem brevem, aby owa srebrna statua św. Antoniego była umieszczona „in thesauro ecclesiae metropolitanae“.

Ale kardynał Ascanio Filomarino nie zapomniał, że to zarządzenie stało się wbrew jego woli, a Hiszpanie mieli urazę do św. Antoniego, że się stał patronem ludowej rewolucji i że zastępy Masaniella ustawiły go w skarbcu. Jak tylko też rewolucja została zgnieciona, rząd wraz z kardynałem kazał znów wyrzucić z Tesoro ten znak ludowego buntu i opiekuna braci konwentualnych. Rzecz jednak nie poszła tak gładko ze względu na breve papieskie. Kapucyni zwrócili się więc do Rzymu, tłumacząc, że nie cały lud neapolitański, ale tylko część rewolucjonistów prosiła o ustawienie posągu w katedrze, że zresztą w Tesoro znajdują się tylko statuy, zawierające w sobie relikwje świętych, których przedstawiają, w posągu zaś św. Antoniego niema żadnych szczątków wielkiego świętego, że zatem byłoby profanacją dla owych relikwjarzy, aby wśród nich znajdowała się zupełnie pusta statua.

Na taki zarzut postarali się franciszkanie czem prędzej u swoich współbraci w Orvieto, którzy byli w posiadaniu relikwij św. Antoniego, aby im cząstkę ich udzielił, a chcąc unieważnić zarzut swoich przeciwników, włożyli do statuy owe relikwje, wskutek czego sporna statua stała się relikwjarzem.

Kardynał arcybiskup nie chciał uznać takiego relikwjarza „z okrągłą kapucą“; ale nie mogąc odrzucić przesłanych z Orvieta relikwij, coby lud wzburzyło, kazał cichaczem kapucynom postarać się o nowy posąg srebrny św. Antoniego z kapucą śpiczastą, do którejby można włożyć relikwję.

Ten podstęp wywołał nową burzę; franciszkanie zaczęli rozszerzać pomiędzy ludem mniemanie, że owa statua jest profanacją świętego i udali się znowu do Rzymu, aby procesować swoich przeciwników. Tymczasem po Innocentym X nastąpił Aleksander VII i zmieniło się aż czterech wicekrólów. Straszne klęski nawiedziły Neapol, wybuchła morowa zaraza, której uległa wielka liczba kapucynów, umarli frate Marrama i fra Funicella, najzawziętsi przeciwnicy konwentualnych zakonników; pozostał tylko kardynał Filomarino, który sam jeden walczył jeszcze z okrągłą kapucą. Ale walczył zawzięcie, tak, że Rzym musiał na nowo wydać dekret (1666) „cum praecepto inviolabilis observantiae". I to nie pomogło; kardynał wynajdował coraz to nowe powody, aby odwlekać wykonanie papieskiego dekretu, dopóki śmierć prałata nie zakończyła walki. Kardynał umarł prawie ośmdziesięciosześcieletni „wskutek zagaśnięcia wewnętrznej ciepłoty". Teraz dopiero okrągła kapuca triumfowała nad kapucą śpiczastą.

W czasie, kiedy wakowała posada arcybiskupa, kazała kongregacja „dei riti" ustawić srebrne popiersie świętego Antoniego w kaplicy del Tesoro. Ale nie na tem koniec; powstał nowy spór. Dawniej było tylko siedmiu świętych protektorów miasta w kaplicy, później wzrosła ich liczba aż do szesnastu, a pomiędzy nimi był patron jezuitów, św. Franciszek Ksawery. Otóż jezuici domagali się, aby ich święty miał pierwsze miejsce przed świętym Antonim. Kapucyni się sierdzili, ale ostatecznie musieli ustąpić; jezuici zwyciężyli.

Ale nieba ujęły się za świętym Antonim; ogromne ulewy zniszczyły całą okolicę Neapolu, wynoszono z kaplicy del Tesoro popiersia świętych i relikwjarze, celem zażegnania klęski; posępne chmury nie schodziły jednak z horyzontu i dopiero, gdy ukazano ludowi biust świętego Antoniego, potop ustał. Nabożeństwo ku świętemu z Padwy od tego czasu jeszcze się wzmogło.

VI

Wicekról hr. d'Onnate był, jakeśmy wspomnieli, wielkim protektorem teatru i artystek. Pierwszy zaprowadził w Neapolu komedje z muzyką i wznowił starożytny zwyczaj maska-

rad w karnawale. Dramat muzyczny dostał się pod Wezuwjusz z Wenecji w połowie siedmnastego wieku, a z nim zwyczaj nazywania śpiewaczek „virtuose“, niezawsze odpowiadający ich obyczajom. W miarę rosnącego zamiłowania do przedstawień teatralnych ze śpiewem mnożyła się liczba „kastratów“, a słusznie nazywa jeden ze współczesnych satyryków ten zwyczaj „skandalem dworów i pałaców“, które szczególnie protegowały tych fabrykowanych sopranów. Owe komedje i dramaty muzykalne były wystawiane z niesłychanym przepychem, zmiany dekoracyj i mechanikę teatralną doprowadzono do takiej doskonałości, że widzowie nie mogli pojąć, w jaki sposób nietylko ludzie, ale i konie unoszą się na scenie w powietrzu, i prawie wierzyli, że w tem są jakieś czartowskie sztuki.

Jeden z pierwszych dramatów muzykalnych, przedstawianych w Neapolu (w r. 1651), nosił tytuł *Il Nerone ovvero l'incoronatione di Popea,* grany już poprzednio w Wenecji; później mnożyło się bezliku tego rodzaju sztuk dramatycznych, w znacznej części układanych przez neapolitańskich „poetów“. Początkowo przedstawienia odbywały się w salonie królewskiego pałacu i w domach arystokratycznych rodzin, oczywiście dla wyborowej tylko publiczności. Następnie urządzano je w teatrze San Bartolommeo.

Równocześnie jednak zapanowały na publicznych i prywatnych scenach dramaty, wprost tłumaczone lub przerabiane z hiszpańskiego, gdyż był to czas rozkwitu dramatu w Hiszpanji, zresztą wicekrólowie wszelkiemi siłami starali się krzewić w teatrze hiszpańszczyznę. Lope de Vega już nie żył, ale jego komedje i dramaty Calderona panowały na wszystkich scenach hiszpańskich.

Obok przedstawień dla wybranej publiczności powstawało mnóstwo teatrzyków ludowych, na których panował Pulcinella z Colombiną i cały szereg ludowych, komicznych typów. Ulubionem miejscem tych przedstawień był plac przed zamkiem królewskim, zwanym Largo del Castello, gdzie stały budy teatralne, trybuny wszelkiego rodzaju szarlatanów, którzy niemal od świtu do późnej nocy zachwalali swoje środki na wszelkie możliwe choroby. Jeden z podróżnych, angielski biskup Burnet, opisuje (1685), że widział na tym placu także jezuitę, który szedł na

czele pewnego rodzaju procesji, zachęcał lud, aby się około niego gromadził, i obrawszy sobie miejsce obok owych bud, w pocieszny sposób dawał słuchaczom nauki, mówiąc, aby się odwrócili od „ciaravola“, a jego słuchali. Improwizowane teatrzyki służyły najczęściej tylko za sposób, aby ludność schodziła się około szarlatana i kupowała jego środki lecznicze, n. p. konserwy z jałowca przeciw wszelakiej truciźnie, przeciw szkrofułom lub apopleksji. Ale i głośniejsze towarzystwa aktorów hiszpańskich nie gardziły placem zamkowym. I tak około r. 1659 przybył Adriano Lopez ze swoją trupą, do której należała jego siostra Damiana Lopez, godna pochwały „z powodu talentu do komedji i ze względu na swoją cnotę“. W tem samem towarzystwie znajdowała się także mniej cnotliwa Hiszpanka Guzman, z którą sam dyrektor teatru Adriano miał stosunek. Nieszczęście chciało, że kapitan hiszpańskiej piechoty, Don Luigi Sobramonte, także się zakochał w tej pięknej subretce i z zazdrości zagrażał życiu Adriana. Przestraszone siostry dyrektora poszły do wicekróla, prosząc o opiekę nad bratem. Wicekról dał słowo tym paniom, że Adrian może być pewny swego życia. Stało się jednak przeciw woli najwyższej władzy, 24 października 1660 został Adriano napadnięty i zamordowany na Largo del Castello, w tem miejscu, gdzie były składy drzewa. Damiana Lopez tak sobie do serca wzięła śmierć brata, że wstąpiła w Barcelonie do klasztoru i tam w spokoju umarła.

Wielkiego rozgłosu dostąpiły teatry treści religijnej w kościele jezuitów. I tak w ostatnich trzech dniach karnawału w r. 1664 urządzili ojcowie wspaniałe misterjum, przedstawiając zatopienie Faraona w Czerwonem morzu. Kościół nie był oświetlony świecami z wosku, jak zazwyczaj, ale lampkami oliwnemi, co bardzo pięknie wyglądało. Oboje wicekrólestwo byli zachwyceni tem przedstawieniem.

Wogóle hiszpańskie religijne zwyczaje rozpowszechniły się w Neapolu; przedstawienia na podobieństwo „autos sacramentales“ w święto Bożego Ciała zostały zaprowadzone; wzdłuż ulic, na placach, urządzano ołtarze i teatrzyki, na których odgrywano dramaty i śpiewano dialogi religijne, najczęściej z żywota Madonny. Jednym z najbardziej ulubionych dialogów była *L'Annuntiatione della Maria Vergine,* w którym chór aniołów, z Ga-

brjelem na czele, zapowiadał przyjście na świat Zbawiciela. Na cześć rozmaitych świętych urządzano na małych teatrzykach albo na ulicach przed figurami patronów komedje także na wzór słynnych comedias de santos hiszpańskiej literatury. Zazwyczaj były te komedje rozłożone na trzy dni, trzy akty, opowiadające żywot świętego. W akcji dla większego rozciekawienia publiczności brali udział aniołowie, demony i postacie alegoryczne, jak l'Amor divino, l'Amor profano, Czystość, Obżarstwo. A nie brak było w komedji i osób wziętych ze zwykłego życia świętego; występowali jego rodzice, młodzież zakochana w świętej, służba, znajomi. Te świeckie postacie wzięte już były z Neapolu, z ulicy, aby zyskiwały sympatje tamtejszej publiczności. Grano *Męczeństwo św. Januarego, Nawrócenie Piotra Bailardo, słynnego czarnoksiężnika, Życie i śmierć Magdaleny de Pazzi, karmelitanki.* Czasem i sam Chrystus występował w tych komedjach, jak n. p. w komedji *Santa Rosa.* Pomimo że obliczone na rozbudzenie i utrzymanie uczucia religijnego w społeczeństwie, sprawiały te sztuki więcej złego, aniżeli dobrego, ponieważ przyczyniały się do zupełnego zmaterjalizowania religijnych pojęć, zwłaszcza u ludu południowego, tak skłonnego do krystalizowania, że tak powiem, każdej abstrakcyjnej myśli w formy pospolite.

W kolegjach, kształcących szlachecką młodzież u jezuitów i Gerolominich, należały tego rodzaju religijne dramaty do zwykłych świątecznych rozrywek; tam grywano oprócz komedyj, pisanych przez zakonników lub nawet studentów, dramaty religijne Lope de Vegi, którego wpływ na sztukę dramatyczną w Neapolu był bardzo wielki. Rzec nawet można, że z śmiercią słynnego hiszpańskiego dramaturga wpływ hiszpańskiej literatury na przedstawienia religijne we Włoszech znacznie się zmniejszył.

Trwał jednak dłużej w komedji świeckiej aż do śmierci Calderona, który umarł 25 maja 1681. Wogóle Hiszpanie uważali śmierć swego wielkiego dramaturga za narodową klęskę i ogłosili ją w Neapolu, w Medjolanie, w Rzymie i wszędzie, gdzie tylko wpływ ich sięgał. Rzeczywiście też od owej chwili zaczęły upadać kompanje aktorów hiszpańskich we Włoszech, co wyszło na korzyść włoskiej literatury narodowej.



Wenera zwana Kallipygos

Rzymska kopja greckiej rzeźby w Muzeum Neapolitańskiem

Za ilustrację, do jakiego stopnia buta hiszpańska ciążyła w owych czasach na społeczeństwie neapolitańskiem, może posłużyć fakt następujący, który się zdarzył w pałacu Cappello. Na przedstawienie teatralne spóźnił się tam Włoch, Acquaviva, należący do arystokratycznego towarzystwa, a nie znalazłszy już miejsca, zaczął krzyczeć, że krzesła są przeznaczone tylko dla szlachty, że widzowie, którzy do niej nie należą, powinni wyjść z sali. Kilku Włochów też opuściło teatr; tylko Hiszpanie nie wzięli do siebie tego wezwania, wskutek czego Acquaviva, w sposób dość brutalny kazał ich wydalić. Gdy się wicekról o tem dowiedział, kazał Acquavivie wyjechać z Neapolu i zamknął go na prowincji, w Troppea. Wogóle rycerstwo w teatrach w sposób najbardziej obelżywy zachowywało się wobec innej publiczności i często się zdarzało, że jakiś cavaliere nie zapłaciwszy nawet krzesła, wypędzał z niego mieszczanina, który miał prawo do tego miejsca.

Najniebezpieczniejszymi, osobliwie dla młodzieży uczęszczającej do teatrów, byli wicekrólowie, amatorzy artystek. Do takich należał don Luigi de la Cerda, duca di Medina Celi, „gran protettore di virtuose e assai pericoloso per la virtù“. On to sprowadził w r. 1696 z Rzymu słynną Angelę Voglia, zwaną Giorginą, jako damę dworu swojej małżonki. Duca di Mantova, bawiąc w r. 1687 w Rzymie, tak się w niej zakochał, że gdy papież Innocenty XI zapytał go, co mu się w stolicy najbardziej podobało, odpowiedział, że śpiew artystki Giorginy, tak piękny, jakiego w życiu nie słyszał. Oburzony papież taką odpowiedzią, rozkazał, aby wszystkie śpiewaczki wydalono z Rzymu, aby je pozamykano po klasztorach. Gdy policja przyszła do Giorginy, chcąc ją odprowadzić do zakonnic, zręczna artystka prosiła tylko o chwilkę czasu, aby się mogła odpowiednio przebrać do świętego miejsca, a gdy zezwolono na tak przykładne żądanie, wymknęła się korytarzami na ulicę i schroniła do królowej szwedzkiej, gdzie policja już nie miała przystępu. Królowa Krystyna, która chętnie robiła na złość papieskiej policji, trzymała ją u siebie aż do roku 1689. Po śmierci Krystyny zaopiekował się śpiewaczką Medina Celi, wówczas ambasador hiszpański w Rzymie, i zabrał ją jako towarzyszkę swej małżonki do Neapolu.

Markiz de Coulanges, opisując w r. 1691 najwybitniejsze osobistości towarzystwa w Rzymie, spotykane na spacerze koło Porta Pia, mówi:

L'ambassadeur d'Espagne
Fait piaffer ses chevaux;
Madame son épouse,
De Giorgine jalouse,
Y vient avec un magnifique train
Apporter son chagrin [1].

Rok 1684 był ważny w dziejach muzyki włoskiej, gdyż wtedy po raz pierwszy grano dramat *Pompeo,* z muzyką słynnego Scarlattiego, kapelmistrza królowej szwedzkiej, który na to przedstawienie przybył do Rzymu z Neapolu, a miał zaledwie 25 lat. Odtąd już wielki kompozytor stał się ulubieńcem publiczności. Wpływ przestawień neapolitańskich sięgał wówczas aż do Warszawy, gdyż jedna z komedyj muzykalnych Gennara Sacchi, zwanego Coviellem, nadwornego komika, także księcia brunszwickiego, została wydrukowana w r. 1699, w Warszawie [2].

Ulubieńcem publiczności począwszy od Wiednia, a skończywszy na Palermo, stał się z końcem XVII wieku Matteuccio, śpiewak, neapolitańczyk rodem, którego, jak się wyraża jeden z kronikarzy, „szczególnie panie kochały, gdyż nietylko że był bardzo przystojnym młodzieńcem, ale nadto eunuchem. Nazywano go słowikiem, z czego śpiewak był tak dumny, że będąc w złym humorze, nie posłuchał nawet wezwania wicekróla, aby przyszedł do pałacu. Gdy to nieposłuszeństwo kilkakrotnie się powtórzyło, Medina Celi kazał go wysłać na galery i uwolnił dopiero na wielkie prośby wicekrólowej. Medina Celi nie zadawalniał się względami Giorginy, ale pomimo wielkich łask, jakiemi ją otaczał, romansował i z innemi artystkami, a wierszyki satyryczne wymieniały przedewszystkiem śpiewaczkę Mignattę. Mimo to, gdy wydawał siostrę Giorginy, Barbarę, zamąż za don Martina Galiano, młodzieńca z bardzo szanowanej rodziny, wyznaczył jej 30.000 dukatów posagu. A gdy Barbara miała pierw-

---

[1] Por. Chłędowski, *Rzym, Ludzie Baroku.*

[2] *La commedia smascherata ovvero i Comici esaminati* di Gennaro Sacchi Napolitano. Varsavia, 1699.

szego syna, wyprawił Medina Celi tak wspaniałe chrzciny w swym zamku, jakgdyby dzieciak był infantem hiszpańskim. W tych chrzcinach brali udział wszyscy ministrowie i najwyżsi dostojnicy państwa, a dworska muzyka przygrywała podczas tej uroczystości.

Wkońcu zachowanie się wicekróla tak gorszyło w Madrycie, że odwołano go z Neapolu ku wielkiej uciesze miejscowych satyryków. Zjadliwe wierszyki posypały się, jak z rogu obfitości, a przedewszystkiem zabawiała się publiczność satyrą, zatytułowaną testamentem księcia di Medina Celi, w którym obdarzał swemi łaskami przedewszystkiem „swą pierwszą małżonkę sercem wybraną“ Giorginę, następnie jej siostrę Barbarę, „drugą małżonkę od serca“, i tak dalej, cały szereg „wybranych“ małżonek.

Medina Celi pozostawił mnóstwo długów, ale Giorginę zabrał ze sobą do Hiszpanji. Mianowany ministrem spraw zewnętrznych (1709), został wkrótce uwięziony z powodu jakiejś zdrady i umarł w więzieniu, jak mówiono, otruty. Giorginę także więziono, ale widocznie nie była winna, gdyż kazano jej w r. 1714 tylko wyjechać z Hiszpanji. Udała się do Rzymu, gdzie zaopatrzona w doczesne dobra, zakończyła swoje triumfy i życie. Lepiej się powiodło jej siostrze Barbarze, która zostawszy hrabiną de Lemlos, została przypuszczona do ucałowania ręki Filipowi V, gdy król przejeżdżał przez Orbetello, gdzie jej mąż był komendantem załogi. To były najświetniejsze czasy artystek w epoce wicekrólów hiszpańskich; później rządy się zmieniły, ale śpiewaczki zawsze były górą.

W r. 1713 zmieniły się rządy neapolitańskie; w miejsce wicekrólów hiszpańskich zajęli pałac królewski wicekrólowie austrjaccy; stolicą, do której się odnoszono w ważniejszych sprawach, był Wiedeń, a nie Madryt. Oczywiście w społeczeństwie nie mogło być wielkich przewrotów, zwłaszcza że rządy austrjackie trwały tylko lat dwadzieścia dwa, do r. 1735. Epoka ta wszakże odznacza się w Neapolu większym spokojem, większą ludzkością rządzących, pomiędzy którymi byli po większej części ludzie dobrej woli, nie uciskający i nie wysysający tak społeczeństwa, jak

wicekrólowie hiszpańscy. Austrjackie rządy protegowały muzykę i teatr, a każda większa uroczystość odznaczała się jakąś nową kantatą albo nowym muzycznym dramatem. W r. 1709 przybył do Neapolu Haendel, a Aleksander Scarlatti był ciągle jeszcze gwiazdą jasną w świecie tonów. Wielkie powodzenie w tych czasach miała opera buffo, której najznakomitszy kompozytor, Antonio Tulio, zapanował nad teatrem. W operetkach może po raz pierwszy we Włoszech zaczęto przedstawiać angielskich milordów, jako typy komiczne bogatych, pyszałkowatych cudzoziemców.

W tragedji i komedji rozpoczęła się zawzięta walka przeciw teatralnym sztukom hiszpańskim, które może mniej, jak dawniej, ale przecież jeszcze zalewały scenę. Teatr zaczynał być narodowy. Na czele tej walki stanęli l'abate Andrea Belvedere i Nicola Amenta, także abate. Andrea, chcąc wytępić hiszpańskie wpływy, sięgał trochę za daleko we włoską przeszłość; rad był wprowadzać sielanki XVI wieku i komedje włoskie XVII stulecia, na których nie było śladu hiszpańszczyzny. Myśl ta nie była zbyt szczęśliwa, bo smak publiczności już się przechylał do realizmu w sztuce dramatycznej i zapowiadał niejako przyjście Goldoniego. Ale ruch neapolitański był raczej narodowy, aniżeli ściśle patrjotyczny; chodziło o wykorzenienie literatury hiszpańskiej. Religijne dramaty hiszpańskie miały zastąpić *Trajedie cristiane,* których autorem był arystokrata o długiem nazwisku, duca Annibale Marchese dei Marchesi di Cammarota. Ale ów dramaturg nie miał dość talentu, aby porwać za sobą publiczność, pomimo że muzykę do jego utworów dorabiali tak znakomici kompozytorowie, jak Porpora, Hasse, Vinci i kilku innych.

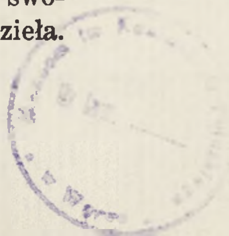
W komedji doszedł w Neapolu do wielkiej popularności Trinchera, głównie z powodu swej sztuki *La Monaca fanza,* wystawionej około r. 1726. Autor wybrał sobie za temat postać znienawidzonej i wyśmianej w tamtejszem społeczeństwie tercjarki, która pod pozorem religijności, jako świętoszka, umiała się wkradać w stosunki rodzinne, urządzać intrygi i stała się nieszczęściem wielu familij. Grywała ją na scenie słynna artystka Isabella Milone i utworzyła z niej typ kobiecy molierowskiego Tartuffa.

W r. 1718 przybył z Rzymu do Neapolu Pietro Metastasio wkrótce po śmierci swego protektora, Grawiny. Tam w połączeniu z Marjanną Bulgarelli, zwaną Romaniną, nadzwyczaj się przyczynił do podniesienia poziomu muzycznego dramatu, a jego *Didone abbandonata,* wystawiona w karnawale r. 1724 w teatrze S. Bartolomeo, stanowi niejako epokę w historji dramatu muzycznego. Muzykę dorobił Sarri, w Rzymie zaś dramat ten był wystawiany z muzyką Scarlattiego.

Za rządów austrjackiego wicekróla, kardynała Althann, występuje na widownię społeczeństwa neapolitańskiego Angelo Carasale, jedna z nader zajmujących osobistości. Angelo, syn kowala, oddawał się przez dłuższe lata ojcowskiemu rzemiosłu; ale żywego umysłu, bardzo zdolny, wyrobił się zczasem na budowniczego, zwłaszcza że Althann poznał się na jego talencie i oddawał mu rozmaite publiczne roboty, budowę fortec i zamków, a nawet osadzanie armat na lawetach. Wkrótce Carasale taki miał wpływ na kardynała, że pozwalał sobie na różne nadużycia, do tego stopnia, że rada przyboczna wicekróla robiła starania na wiedeńskim dworze, aby usunąć z otoczenia Althanna tego szkodliwego człowieka. Ale Carasale tak się umiał pochlebiać kardynałowi, że ten nietylko że go nie oddalił, ale powierzył mu nawet kierownictwo teatru S. Bartolomeo. Angelo i z tego zadania wywiązał się wybornie. Tymczasem zmieniły się rządy w Neapolu; Carasale jednak, jak zobaczymy, i pod Burbonem potrafił wypłynąć.

VII

Przybycie Karola V w listopadzie 1535 do Neapolu stało się zarazem popisem tamtejszych artystów, a osobliwie rzeźbiarzy i architektów. Szesnasty wiek był właściwie epoką najwyższego rozwoju neapolitańskiej rzeźby, która uwolniwszy się potrochu od obcych, sieneńskich i florenckich wpływów, zdobyła własne odrębne znamiona. Nie wyszło jej to wprawdzie na dobre, ale przynajmniej można powiedzieć, że Neapol miał w XVI wieku oryginalne rzeźbiarstwo. Charakterystyką tej sztuki była południowa wybujałość, lubowanie się w nadmiarze ornamentów, brak ścisłości w konstrukcji ołtarzy, nagrobków, pewna swoboda, niezawsze odpowiadająca celowi artystycznego dzieła.



Szczególnie dwaj rzeźbiarze-architekci wybili się nad poziom innych dość miernych talentów i zapełnili kościoły neapolitańskie swemi pracami, a mianowicie Giovanni Merliano, przezwany Giovannim da Nola, i Girolamo Santacroce.

Giovanni Merliano był synem handlarza skór i miał zostać szewcem; ale że ojciec procesował się ze swoim wspólnikiem i potrzebował pomocy w zawikłanych rachunkach, więc zaczął kształcić Giovanniego na kantorzystę. Celu jednak nie dopiął, bo syn wskutek zaznajomienia się z młodzieńcami, którzy pogardzali szewską sztuką, został artystą, pojechał do Rzymu i poznał dzieła Michała Anioła. Urodził się w r. 1488, później jak Michał Anioł, i miał lat czterdzieści siedm, kiedy przyjazd Karola V był zapowiedziany.

Girolamo Santacroce, ur. 1502, dużo młodszy od Merliana, wyszedł z kupieckiej botegi i podobnie, jak ten ostatni, wykształcił się w Rzymie. Wyższy jednak talentem od swego towarzysza, został zaraz po powrocie z Rzymu bardzo wziętym rzeźbiarzem; mało dzieł po nim pozostało, gdyż umarł już w r. 1537 z żalem neapolitańczyków, którzy spodziewali się mieć w nim drugiego Michała Anioła.

W roku przyjazdu Karola V sława Merliana była oddawna ustalona; zasłynął on już z kilku nagrobków, a mianowicie z nagrobka Franciszka Carafy w S. Domenico Maggiore, Marji Ajerba d'Aragona, a przedewszystkiem zmarłej w kwiecie wieku, w dzień ślubu, Antonji Gandino. Antonja była literatką; rzeźbiarz włożył jej więc wieniec wawrzynowy na głowę, umieścił książkę na jej łonie, a jeden z aniołów, pilnujących grobu, trzyma także książkę, ulubiony symbol zmarłej. Rodzice pięknej Antonji, zamożni obywatele neapolitańscy, i jej narzeczony dołożyli wszelkich starań, aby uwiecznić pamięć ukochanej. Merliano zadziwił cały Neapol piękną postacią zmarłej, spoczywającej na nagrobku, a poetyczne wspomnienia pośmiertne Antonia Epicura przyczyniły się jeszcze do rozgłosu pomnika.

Sława Giovanniego da Nola rosła na cudzych nieszczęściach. Zdarzyło się, że Ascanio Sanseverino, namówiony przez chciwą żonę, otruł trzech swych synowców, rodzonych braci, w potrawie, podanej im na polowaniu, w jesieni 1516. Noli po-

wierzono wykonanie pomników zmarłych młodzieńców w kościele czarnych benedyktynów. Stoją oni na swoich grobach, ale marmurowe ich postacie nie zasługują na sławę, której się doczekały. Nola wyrzeźbił w Neapolu dużo nagrobków i ołtarzy, a że był bardzo wziętym rzeźbiarzem, więc przypisywano mu i przypisują więcej dzieł, aniżeli mógł wykonać.

W Monte Oliveto w Neapolu znajdują się dwa maryjne ołtarze Merliana i Santacrocego, podobnej architektury, ale ołtarz Girolama wychodzi zwycięsko z tego artystycznego współzawodnictwa. Więcej w nim prostoty, posąg Marji szlachetniej pojęty, a cała budowa nie przeładowana ornamentami, czego o ołtarzu Noli powiedzieć nie można. Historycy sztuki przypisują Noli niektóre rzeźby w S. Giovanni a Carbonara w Neapolu, a mianowicie w kaplicy Caracciolo; ale ponieważ tam pracowało kilku rzeźbiarzy, a pomiędzy nimi Merliano i Piotr della Plata, więc trudno oznaczyć, które statuy któremu z nich przypisać należy. Wedle znakomitego znawcy neapolitańskiej sztuki, Wilhelma Rolfsa, odznaczają się Madonna z dziecięciem, św. Benedykt z krukiem i św. Jan Chrzciciel tak niezwykle szlachetnem ujęciem, że jeden tylko Santacroce mógł te dzieła wykonać.

Otóż gdy Karol V miał przybyć do Neapolu, powierzono ozdobienie miasta tym dwom rzeźbiarzom-architektom, Merlianowi i Girolamowi, i dodano im jeszcze innych artystów, Andrzeja da Salerno i Ferdynanda Manlio. Pomysły do emblematów i napisy na bramach triumfalnych miał układać ówczesny neapolitański uczony Antonio Epicuro, który się niemało posługiwał pomysłami Giacoma Sannazara.

Gipsu i pozłotki wydano dużo na posągi alegoryczne, bramy triumfalne i rzeźby, mające przypominać cesarzowi afrykańskie zwycięstwa. Karol V wjeżdżał do miasta bramą kapuańską, gdzie wystawiono najwspanialszy łuk triumfalny, barwny, pełen fresków, który ozdobiono całym światem roślinnym i zwierzęcym. Ptaki, lwy, tygrysy i dziwaczne maskarony wyglądały z każdej kolumny, z każdego fryzu. Ponieważ cesarz wrócił z wyprawy morskiej, więc wyobraźnia artystów wysiliła się na zastosowanie do przybrania ulic wszelkiego rodzaju galer, wioseł i okrętowych armatur. Nie obeszło się też i bez posągów sta-

rożytnych bohaterów; więc Aleksander Wielki, Scypjo Afrykański, Juljusz Cezar, Hannibal witali Karola V, a szczególną uwagę zwracała tarcza z głową lwa, spoglądającego na cesarza, którego dewizą było, że dom austrjacki przetrwa wszystkie inne panujące domy.

Oczy monarchy musiały się znużyć tą mnogością improwizowanych symbolicznych figur, ilością rozwieszonych sztandarów, herbów, rozmaitych godeł i napisów łacińskich, w których niemal cała literatura starożytna została wyczerpana. Cesarz musiał być uszczęśliwiony, gdy już stanął przed zamkiem, gdzie mu kasztelan don Ferrando Alarcone, marchese della Valla, ofiarował klucze stolicy.

Artyści neapolitańscy XVI i XVII wieku rozkoszowali się w dekoracyjnych pomysłach i w żadnem z miast włoskich rzeźba nie poszła tak silnie w kierunku pustej ornamentacji, jak w Neapolu za czasów wicekrólów hiszpańskich. Jeżeli tamtejszy rzeźbiarz naśladuje artystę florenckiego, to jednak zawsze przesadza w ornamentacji; prostoty w sztuce ani malarze ani rzeźbiarze neapolitańscy nie znali. I to chyba jedyna cecha, która tamtejszych artystów XVI i XVII wieku odróżnia od północno-włoskiej sztuki. Skłonność do przesady, do pompy cechowała całą ludność neapolitańską; nigdzie też nie przywiązywano takiej wagi do uroczystych obchodów, do barwnych festynów, jak pod Wezuwjuszem. Korzystano z każdych urodzin w hiszpańskiej dynastji, z każdych zaślubin, aby sprawić publiczności jakąś bijącą w oczy zabawę.

Do takich szczególnie wspaniałych uroczystości należał festyn, urządzony z powodu urodzin infanta w r. 1657, pod egidą wicekróla hrabiego di Castriglio. Pamięć tego festynu zachowała się w księdze z miedziorytami, przedstawiającemi triumfalne wozy, jakie przeciągały przez ulice Neapolu. Owa księga zawiera tyle pochwalnych wierszy na cześć infanta i jego rodziców, tyle pustych frazesów, że człowiek dzisiejszy z trudnością tylko pojmuje, jak można było literaturę tego rodzaju uważać za coś poważnego; dziwna rzecz, że ta napuszona frazeologja nie wywoływała najmniejszego znudzenia, a jeszcze dziwniejsza, że osobistości, obsypywane pochlebstwami, nie uważały poniżej swojej godności dać się do tego stopnia obeł-

giwać. Widocznie niema tak bezrozumnie ciężkich pochwał, którychby człowiek lekko przełknąć nie potrafił.

Na owym festynie z r. 1657 szczególną uwagę zwracały rydwany, przedstawiające cztery części świata. Najzabawniejszy był wóz, który ciągnęły nosorożce, z trudnością przypominające swe afrykańskie oryginały. Naturalnie pod pokrywą zamorskich zwierząt musieli się znajdować lazzaroni, którzy ciągnęli cały ciężar wozu, podobnie jak to do ostatnich czasów się praktykowało podczas nicejskich karnawałów. Dla neapolitańskich artystów były takie barwne pochody polem popisu, gdyż mogli swobodnie puszczać wodze swej wybujałej imaginacji. Widocznie ta wyobraźnia zgadzała się z artystycznem poczuciem ludności, skoro wieki minęły, a rydwany, na neapolitański sposób urządzone, utrzymują się dotąd w karnawałowych pochodach na Południu. Jedna z rycin owej księgi pamiątkowej przedstawia plac, na którym się popisywały wozy; wokoło trybuny, kipiące od strojnych pań, na dole stojąca publiczność, wyłącznie męska, którą odgradza od miejsca, przeznaczonego na widowisko, kilka rzędów hiszpańskiej piechoty, w dużych kapeluszach, z rusznicami na ramieniu. W środku placu wystawiono kiosk, rodzaj trybuny dla honoracjorów, a może i sędziów. Okna i dachy kamienic zapełnione rozciekawioną publicznością. Gdy później przesłano do Madrytu tę księgę, a infant już rozpoznawał obrazki, musiał z niej wystrzygać żołnierzy. Wicekról mógł się cieszyć, że jego dzieło ma takie powodzenie.

Podobnych festynów urządzano w Neapolu bezliku, a ludność musiała sobie odejmować chleb od ust, aby je opłacać, bo wicekrólowie zbierali tylko zaszczyty, ale kosztów publicznych zabaw nie ponosili.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

JUSEPE RIBERA

I

Miasto Partenopy nie stworzyło w czasach odrodzenia ani architektury i rzeźby, ani malarstwa o odrębnych właściwościach. Podczas gdy inne włoskie ogniska artystyczne, jak Umbrja, Toskanja, Medjolan i Wenecja, wydały sztukę o bardzo wybitnych cechach, Neapol zawsze się zapożyczał pod względem artystycznym i albo sprowadzał obcych artystów, albo kształcił swoich rzeźbiarzy lub malarzy na cudzych wzorach. To też sztuka w Neapolu wydaje się jak muzyczne potpourri, złożone z rozmaitych motywów i powiązane tylko luźnemi tonami. W roku 1872 chciał Neapol dowieść całym Włochom, a może i obcym uczonym, że posiada własną sztukę i urządził wystawę retrospektywną; ale owa wystawa wykazała właśnie zupełnie co innego, aniżeli to, czego neapolitańscy uczeni dowieść zamierzali.

Za dynastji andegaweńskiej, która panowała prawie 180 lat, przeważały w Neapolu wpływy francuskie i flamandzkie. Alfons I zawieszał w swym zamku obrazy Jana van Eycka i Rogera van der Weyden, a jego syn Ferrante posyłał młodych artystów na wykształcenie aż do Flandrji. Przedtem panowała w Neapolu sztuka toskańska, której uległa prawie zupełnie tamtejsza rzeźba, a obok niej wielki wpływ na neapolitańskich artystów miało malarstwo Włoch północnych. Wpływy toskańskie sięgały tam zresztą już czasów Giotta, który pracował w Neapolu w latach 1330—33 i wykształcił uczniów, jak świadczą freski w kościele Incoronata, bezsprzecznie pochodzące z jego szkoły.

Z końcem XVI i w XVII wieku współzawodniczą ze sobą w neapolitańskiem malarstwie wpływy rzymskie z hiszpańskiemi; przez dłuższy czas naśladują tamtejsi artyści Rafaela, nie doprowadzając do jakiejkolwiek samoistności; równocześnie chcieliby dosięgnąć potęgi Michała Anioła, dorównać kolorytowi Tycjana, co im się także niebardzo udaje. Z grubego katalogu neapolitańskich malarzy wybijają się w XVII wieku zaledwie dwa nazwiska, Salvatora Rosy i J. Ribery (Spagnoletta); ale Salvator Rosa był neapolitańczykiem tylko z urodzenia, wykształcił się w Rzymie i tam działał i w żaden sposób do neapolitańskich malarzy zaliczyć go nie można [1], a Ribera z urodzenia i z usposobienia należał do Hiszpanji.

Włoscy historycy sztuki radziby zrobić go neapolitańczykiem, zwłaszcza, że był najznakomitszym malarzem w epoce wicekrólów; ale zdaje się, że Ribera przeczuwał, iż potomność będzie się spierać o jego pochodzenie, gdyż z uporczywością podpisywał się na obrazach „Jusepe de Ribera, Espannol valenciano“, albo nawet dokładniej „Jusepe de Ribera, Espannol de la ciudat de Xatisa, regno de Valencia“. Nazwisko artysty musiało być bardzo znane w Walencji, bo nawet żona wicekróla księcia Ossuny była z domu Ribera. Ze względu na mały wzrost Jusepa przezwano go w Neapolu Spagnolettem, ale ten człowieczek był nadzwyczaj czynny i dużo malował. Urodził się w r. 1588 i zdaje się, że już jako skończony malarz, uczeń Franciszka Ribalty w Walencji, przybył do Włoch. Ubogi, ale pełen żądzy poznania włoskich mistrzów, udał się do Neapolu, do Rzymu i do Parmy, gdzie wówczas w malarstwie panował Corregio, następnie do Wenecji, a wreszcie wrócił do Neapolu. Ówczesny wicekról, książę d'Ossuna, oddał mu w r. 1616 kierownictwo robót artystycznych w zamku i zamówił Chrystusa na krzyżu do swej kaplicy. Następnie bawił Ribera znowu jakiś czas w Hiszpanji; gdy jednak został zamianowany nadwornym malarzem, „Pittor di corte“, osiadł stale w Neapolu, gdzie piastował tę godność za kilku wicekrólów. Cieszył się nietylko względami d'Ossuny, ale polubili go wicekrólowie Alba, Alcala, Monterey i Medina de las Torres. Ożenił się z córką malarza Azzolina, Katarzyną, jak się zdaje, bardzo piękną kobietą, która

[1] Por.: Chędowski, *Rzym, Ludzie Baroku.*

jednak zanadto lubiła zbytek, prowadziła dom otwarty, miała duże mieszkanie naprzeciw S. Francesco Xaver i rada była grać pewną rolę w towarzystwie hiszpańskiem. Trzymała powóz, służbę w liberji, a nawet rodzaj kamerdynera, który miał pani podawać rękę przy wsiadaniu i wysiadaniu z karocy i nazywał się wskutek tego „bracciare“ (rękodajny). Mały Spagnoletto musiał dużo pracować, ażeby dogodzić małżonce, zwłaszcza gdy dwie córki zaczęły dorastać.

Największe wrażenie artystyczne na młodego Riberę zrobił Correggio; przez długi czas naśladował też jego świetlany, jasny sposób malowania, a nawet tak się przejął jego artyzmem, że w Parmie wymalował fresk w kościele Sta Maria Bianca, który trudno było odróżnić od fresków mistrza. Do tej maniery Hiszpana należy później malowana „Wieczerza Pańska“ w chórze w S. Martino w Neapolu, i św. January, wychodzący zdrowo z rozpalonego pieca, tudzież „Hołd pasterzy“ w Luwrze, jeden z jego najpiękniejszych obrazów.

Później jednak inny duch go owiał; ascetycznym wyobrażeniom hiszpańskim nie odpowiadał ten Correggio, który tak wesoło się na świat patrzył, że jeżeli malował Madonnę, to najchętniej przedstawiał matkę-żywicielkę, karmiącą swą dziecinę, a jeżeli mu przyszła ochota wskrzeszać starożytnych bogów, to Jowiszowi kazał romansować z ziemiankami i w rozmaity sposób zaludniać świat. Ani tematy, ani sposób malowania nie trafiały do przekonania młodego Hiszpana; to też, gdy, w Rzymie czy w Neapolu, zapoznał się z obrazami Caravaggia, tego dzikiego Bergamaska, o którym Annibale Caracci powiedział złośliwie, że zdaje się zamiast farb rozcierać żywe mięso i tą mieszaniną malować ciała swoich postaci, to zapomniał zupełnie o Correggiu. Caravaggio nie idealizował, patrzył na naturę okiem ponurem, bo jego życie było pełne burz i zawodów, a jeżeli zakonnicy zamówili u niego obraz o biblijnym temacie, to otrzymali coś tak naturalistycznego, że wzbraniali się zawiesić taki obraz w swoich kościołach. Tak się stało ze „Świętą Rodziną“, którą wyrzucono z kościoła św. Piotra w Rzymie z powodu zanadto brutalnego oddawania życia, tudzież z „Ewangelistą Mateuszem“, któremu wzbroniono wstępu do francuskiego kościoła św. Ludwika w Rzymie.

Siła, gra światła i cienia, tudzież owa brutalność Caravaggia przemawiały do usposobienia Hiszpana; trzeba było tylko wlać w jego sposób pojmowania przedmiotu gorętszą wiarę i lepiej zrozumieć ducha religijnej reakcji, który już wówczas panował. Jezuici, a mianowicie spowiednik księcia Ossuny, pragnęli, aby obrazy postrachem i grozą działały na wyobraźnię ludu. W Riberze znalazł nowy kierunek kościelny pojętnego ucznia. Można było wiernie oddawać naturę, można było nawet obudzać wstręt w widzu, byle tylko podnosić uczucie religijne prostego ludu. Artysta obdarzył takim obrazem księcia Ossuny; wymalował dlań scenę z męczeństwa św. Bartłomieja, która mogła podobać się tylko ludziom przyzwyczajonym do krwawych widowisk hiszpańskich, mogła być rozkoszą dla oczu, które patrzyły na wijące się z bolu na stosach ofiary inkwizycji. Tym obrazem tak trafił Spagnoletto do smaku publiczności, że musiał kilka razy przedstawiać męczeństwo św. Bartłomieja, aż doszedł wreszcie do wstrętnej sceny, którą widzimy na obrazie, znajdującym się w galerji drezdeńskiej. Podobny duch wieje z jego obrazu, przedstawiającego męczeństwo św. Sebastjana, w muzeum w Walencji, lub z innych płócien z męczeństwami św. Wawrzyńca, w Watykanie i w Dreźnie. Wyróżnia się od tych okropności prawdziwie piękne „Zdjęcie z Krzyża“ w San Martino w Neapolu. Były chwile, kiedy Ribera przejmował się bardzo potęgą Michała Anioła; wtedy to wyszukał sobie za model barczystego, olbrzymiego mężczyznę, ale uderzająco brzydkiego, o szerokiej czaszce i spłaszczonym nosie, który się zachował w kilku obrazach, a przedewszystkiem w postaci św. Rocha w Prado. Widocznie chodziło wtedy artyście więcej o oddanie tego typu z Abruzzów, aniżeli o wyrażenie szlachetności w obliczu świętego.

Przyznać jednak trzeba, że Ribera pomimo rozmaitych zboczeń smaku był jednym z najznakomitszych malarzy XVII w;. panował zupełnie nad rysunkiem, co było zresztą zaletą większości ówczesnych malarzy, i umiał grą świateł i cieni w wysokim stopniu podnosić wrażenie, jakie chciał wywołać w swoich obrazach. W ascetycznym naturaliźmie przewyższył wszystkich współczesnych malarzy; pomimo renesansowych wpływów we Włoszech pozostał w swych wyobrażeniach religijnych nie-

odrodnym Hiszpanem; cechowała go gorąca wiara, jego typy zaludniały niebo ascetów, a wyobraźnia skłaniała się do przedstawiania wszystkiego na tle, gdzie światło dzienne przedzierać się musi przez nocne ciemności. W tej mierze doszedł do mistrzostwa, a gra świateł i cieni dowodzi w jego obrazach, że najwstrętniejsze postacie promień słońca okrasić potrafi.

W czasie rewolucji pomasaniellowskiej, kiedy Hiszpanie byli w niebezpieczeństwie, pozwolił wicekról zamieszkać Riberze wraz z rodziną w pałacu. Mieszkał tam także don Juan d'Austria, odwiedzał często Riberę w pracowni i miał sposobność poznać jego starszą córkę Annę, która wtedy jaśniała w rozkwicie młodzieńczej urody. Wkrótce zawiązał z nią miłosny stosunek, bardzo ją pokochał i nawet był o nią zazdrosny. Może podejrzywał trochę płochą dziewczynę, że nie jest mu wierna, a mianowicie, że jego rywalem jest inny Hiszpan, don Antonio Enriquez; kazał więc jednemu ze swych dworzan śledzić współzawodnika. Dworzanin jednak, don Antonio Cartiglio, wywiązał się w niezręczny sposób ze swego zadania, bo zamiast Enriqueza zabił sztyletem jego przyjaciela, don Diega de Almondo. Enriquez wyzwał Cartiglia na pojedynek, don Juan chciał przeszkodzić tej rozprawie; gdy jednak przeciwnicy bili się mimo książęcego zakazu, musiał Cartiglio opuścić Neapol.

W r. 1648 zamówił wicekról, don Rodrigo Ponz, hr. d'Arcos, u Ribery obraz do ołtarza w zamkowej kaplicy. Artysta wymalował w tym celu Madonnę Niepokalanego Poczęcia, o której mówi kanonik Carlo Celano, że uchodziła za najpiękniejsze dzieło, jakie wyszło z pod pendzla Ribery. Twarz Madonny była wiernym portretem jego córki Anny, a don Juan d'Austria szczególnie lubił się modlić przed tym obrazem. Później wysłano owo płótno do Hiszpanji, a zastąpiono je rzeźbą z marmuru Fonsagi.

Opuszczając Neapol, wywiózł don Juan Annę do Palermo, gdzie, jak pisze niebardzo wiarogodny kronikarz neapolitańskich malarzy, Bernardo de Dominici, umieścił ją „dla przyzwoitości“ w klasztorze. Zachowanie przyzwoitości było tem bardziej potrzebne, że Anna powiła tam córkę, którą, jako sześcioletnią dziewczynkę, oddano do klasztoru św. Izabelli w Madrycie.

Podczas gdy don Juan romansował z Anną, ojciec jej robił akwafortą piękny portret kochanka swej córki. Ten sposób rytownictwa nadawał się do talentu Ribery; pozostało też po nim dużo prac tego rodzaju.

W późniejszym wieku przeprowadził się Ribera z miasta z ulicy Toledo na Posilippo, gdzie miał, jak się zdaje, własny dom. Umarł tam w r. 1656.

II

Neapolitanie ślubowali w r. 1526, że jeżeli św. January odwróci od miasta straszną zarazę, która wtedy panowała, to wystawią na cześć świętego w katedrze wspaniałą kaplicę. Pomór ustał, ale ludność się nie śpieszyła z wykonaniem tych ślubów i dopiero w r. 1608 rozpoczęto budowę kaplicy, zwanej „Capella del Tesoro“, na chwałę patrona miasta. Mury kaplicy miały być ozdobione freskami, przedstawiającemi najważniejsze chwile z żywota świętego, i w tym celu wezwano głośnego wówczas malarza w Rzymie, kawalera d'Arpino, któremu się jednak nie śpieszyło do Neapolu; malarze bowiem neapolitańscy rozsiewali po całych Włoszech wieści, że zamordują artystę, któryby się poważył wkroczyć na ich pole działania. Arpino się przeląkł i nie pojechał. Po trzech latach zwrócił się zarząd budowy do Guida Reniego, aby objął tę pracę, i obiecał mu nawet znaczne honorarjum za freski, które miał wykonać, a mianowicie 130 dukatów za każdą dużą figurę na sklepieniu. Ale groźby partaczy neapolitańskich się powtórzyły; na czele spisku stanął miernych zdolności artysta Cosenzio, który polecił już nawet jednemu ze swych towarzyszy, aby zamordował Reniego, gdyby śmiał przybyć do Neapolu. Guido, dowiedziawszy się o tem, zerwał umowę z „deputacją“ kaplicy i pozostał w Bolonji. Neapolitańscy malarze postawili na swojem; zarząd budowy powierzył im ozdabianie kaplicy, ale pierwsze dwa freski, przez nich wykonane, były tak liche, że kazano je zamalować.

Wtedy powstała myśl zaprosić Zampierego Domenichina, który niedawno ukończył był słynne swe freski w S. Andrea della Valle w Rzymie. „Deputati“ napisali list do bolońskiego artysty, który już się był zgodził na propozycję, ale otrzymawszy bezimienne pisma z Neapolu, grożące mu śmiercią, je-

żeli tam przybędzie, cofnął się, jak jego poprzednicy. Tego było za wiele wicekrólowi i zarządowi kaplicy; obiecano więc Zampieremu, że będzie tak strzeżony, iż mu nie może grozić żadne niebezpieczeństwo, a żeby zmniejszyć zawiść neapolitańskich artystów, powierzono im także część malowideł. Pomiędzy nimi znajdował się znowu Belisario Corenzio, naśladowca Caravaggia i Tintoretta, człowiek z usposobienia gwałtowny, dobrze obeznany z rękojeścią puginału.

Uspokojony Domenichino zabrał żonę i dzieci i pojechał do Neapolu 1630 roku. Ale na drugi dzień po przybyciu do miasta Partenopy spostrzegł we drzwiach, w otworze klucza, kartkę, w której mu zagrożono śmiercią, jeżeli natychmiast nie opuści miasta. Zrozpaczony artysta pobiegł do pałacu, do wicekróla, z prośbą, aby go z umowy zwolniono. Wicekról jednak zapewnił go, że mu się nic złego nie stanie, że go otoczy pewną strażą. Artysta pozostał, ale malował swe freski w ciągłej obawie przed sztyletem albo trucizną; są to jego najsłabsze dzieła.

Ribera trzymał się od początku tej malarskiej kampanji gniewnie na uboczu, oczekując chwili, kiedyby mógł pokonać obcego intruza. Teraz zdawało mu się, że dobra sposobność nadeszła; zaczął ganić roboty Domenichina, podburzać w tej mierze innych mniejszych malarzy, głosić, że bolończyk nie umie nawet pendzla trzymać w ręce. Wicekról, duca di Medina, posyłał właśnie do Madrytu kilkanaście obrazów; chciał więc dołączyć i płótna Domenichina. To było Riberze nie na rękę; nie mogąc jednak wprost przeszkodzić życzeniu wicekróla, namówił go, aby kazał zabrać te obrazy z pracowni artysty, pomimo że nie były jeszcze wykończone, utrzymując, że Domenichino zawsze zepsuje swą pracę, gdy ją chce poprawić. Duca di Medina, niebardzo się znający na malarstwie, postąpił tak, jak radził podstępny Ribera, któremu chodziło o to, aby płótna Domenichina zrobiły w Madrycie jak najgorsze wrażenie. Swemi intrygami dopiął nadto Ribera, że artysta boloński nie dotrzymał terminu, w którym miał ukończyć freski w kopule kaplicy, a gdy mu z tego powodu robiono wyrzuty i nie chciano wypłacić umówionej sumy, znękany Domenichino uciekł w lecie 1634 cichaczem z Neapolu. Bojąc się pogoni, jechał trzy dni konno i nie czuł się bezpiecznym, dopóki nie znalazł się we Frascati



Marja Karolina
(Według sztychu z portretu Wagenschöna z r. 1764)



w pobliżu Rzymu, pod opieką kardynała Hipolita Aldobrandiniego, który go znał oddawna.

Zarząd budowy kaplicy neapolitańskiej był jednak w rozpaczy, co zrobić z freskami, które Domenichino rozpoczął; wysłał więc do Rzymu delegata (1636), który miał koniecznie skłonić artystę do powrotu. Domenichino zostawiwszy w Neapolu żonę i córkę, obawiał się o ich los, więc dał się namówić i objął na nowo prace w „Tesoro". Malował dużo, wolne chwile skracał sobie muzyką, wynalazł nawet ulepszoną lutnię i arfę, i zarobił znaczną sumę, bo mu wypłacono za freski w kaplicy około 30.000 dukatów. Prace te były przerywane przeszkodami, które mu na każdym kroku stawiali neapolitańscy malarze. Raz przekupili murarza, aby źle zaprawił podkład pod freski, tak, że jeden obraz odpadł zaraz po wykończeniu, innym razem zepsuto mu w nocy rozpoczęte malowanie. Do tych dokuczliwości artystycznych współzawodników przyczyniali się jeszcze dwaj przyszli zięciowie, z których jeden starał się był o rękę córki Domenichina, ponieważ spodziewał się znacznego posagu. Artysta nie chciał jednak zezwolić na to małżeństwo, więc w interesie pretendenta było usunąć ojca, stojącego mu w drodze. Domenichino nie wiedział wkońcu, skąd mu grozi większe niebezpieczeństwo, czy od neapolitańskich malarzy, czy od rodziny, bo nieprzyjaciele wspólnie przeciw niemu działali, i obawiał się trucizny w każdej potrawie. Wkońcu jednak nie obronił się zawiści i umarł, otruty, w chwili, kiedy zaczął pracować nad jednym z fresków w kopule kaplicy.

Ribera doczekał się, że przynajmniej część fresków, które miał malować Domenichino, jemu została oddana. Jego też dziełem jest tam obraz, przedstawiający św. Januarego, jak wychodzi zdrowo z rozpalonego pieca.

III

Nic tak nie charakteryzuje następców Ribery w Neapolu, jak przezwisko, które dano jego naśladowcy, Łukaszowi Giordano. Znany on był jako artysta „Fa presto", malarz błyskawiczny, dzisiaj możeby powiedziano: „malarz telegraf". Z pomocą swoich uczniów pokrywał on całe ściany, sklepienia, su-

fity pałaców i kościołów z niedoścignioną szybkością; malował olejne obrazy dla handlarzy, dla opatów, wicekrólów i monarchów i stosownie do życzenia zamawiającego naśladował innych mistrzów tak dobrze, że trudno było uwierzyć, że ten lub ów obraz nie wyszedł z pracowni Rafaela. Królowi hiszpańskiemu posłał raz do Madrytu szesnaście dużych obrazów w rodzaju Guida, Tintoretta, Veronesa i Ribery. Wszystkie jego dzieła odpowiadały ówczesnemu smakowi i wzbudzały podziwienie.

Samych olejnych obrazów miał namalować 5000, a prócz tego tyle fresków, że możnaby niemi pokryć niemal cały plac prefektury w Neapolu. Rzucał na płótno i na ściany ludzkie postacie we wszelkich możliwych skróceniach i pozach, bitwy, perspektywy, zwierzęta, drzewa, owoce i kwiaty, zresztą nie miał najmniejszego skrupułu naśladować to, co mu się z innych mistrzów podobało. Rysował odrazu pendzlem, nie tracąc czasu na rysunek kredką, malował ciągle, bez przestanku. Zarabiał też dużo, jeździł własnemi końmi, trzymał lokajów, zdobywał sobie w lot zamówienia i nie dawał klientom długo czekać na obrazy. Dalbono powiada, że Luca uchodzi za naśladowcę Ribery i Piotra da Cortona, ale to niezbyt ścisłe powiedzenie; jest on naśladowcą wszystkich mistrzów i żadnego. Podobny do burzy, pozostawia strzępki z rafaelitów, wyrywa z korzeniem zasady akademickie, naśladuje dawnych, lub strąca ich z tronu, kiedy mu się spodoba, i zadziwia znawców, krytyków, którzy nie wiedzą, co o nim sądzić, co o nim mówić. Malarze, którzy go chcą naśladować, biegną za nim, jak wypasiony osieł za koniem wyścigowym; „ma Wezuwjusz w piersi, wiatr w pendzlu, w jego kobietach przebija łagodna piękność jego żony, w tło i w podrzędne postacie wkłada, co mu się podoba".

Luca Giordano był neapolitańczykiem (ur. 1634); zapełnił też rodzinne miasto swemi dziełami, o których bardzo trudno wydać sąd ogólny. Jego prace noszą cechę chwilowego usposobienia, dobrego lub złego humoru; w jednych uderza piękność kompozycji, w drugich barwa, w innych urocze oświetlenie; główną ich zaletą jest niesłychana technika malarska, nieokiełzana wyobraźnia, a największym błędem lekceważenie jakiegokolwiek realizmu, nieliczenie się z rzeczywistością i że tak powiem, lekkomyślność w wykończeniu. Zresztą bardzo często

wyrysował tylko obraz, naznaczył najważniejsze miejsca, a resztę powierzał swoim uczniom.

Po Giordanie objął berło malarstwa, a raczej czarodziejsko-szybki pendzel Francesco Solimena, jeden z najpopularniejszych malarzy XVII wieku. Urodził się w Nocera, w okolicy Neapolu, w r. 1657. Dwory europejskie ubiegały się o to, aby mieć jego obrazy, królowie schlebiali mu, pisząc listy, pełne uprzejmości. Filip V zapraszał go do Hiszpanji, książę orleański do Paryża, don Juan d'Austria obsypywał go grzecznościami; po całej Europie odbijało się echo jego sławy. Jest on jednym z dowodów, jak nisko upadł smak artystyczny z końcem XVII wieku. Historjograf neapolitańskiego malarstwa, Niemiec, W. Rolfs, powiada o nim, że „czy potrzeba, czy nie, wszystkie jego postacie gwałtownie się ruszają, najspokojniejsi ludzie zdają się krzyczeć nerwowo, konie rżą, psy wyją, a wiatr ponosi ubrania bez najmniejszego powodu“. Tajemnicą jego powodzenia był jasny, wesoły koloryt, dekoracyjność jego obrazów. Wewnątrz treści w nich niema, oko tylko chwilowo może się niemi bawić.

Mistrzem Solimeny był rzymski Maratta; u niego neapolitańczyk jakiś czas się kształcił, ale jak większa część tamtejszych artystów, zbierał swe wrażenia, gdzie mógł, a fantazja jego biegła, jak rumak rozhukany. Jeden był tylko stały punkt w artystycznej twórczości Solimeny, schlebianie smakowi bogatych ludzi, powodzenie. Umiał bowiem wmówić w społeczeństwo, że jest najpierwszym malarzem świata, i przyszedł do przekonania, że dzieło artystyczne tem więcej jest cenione, im więcej kosztuje. żądał też za swe obrazy cen fantastycznych, a dwory i zamożni kapitaliści płacili, bo Solimena był w modzie. Niesympatyczny zresztą człowiek, skąpy, wyzyskujący uczniów, pozostawił swemu synowcowi 150.000 dukatów gotówki oprócz rozmaitych realności i pysznego pałacu w Altavilla. W niebywałem powodzeniu cierniem był mu tylko Tycjan; neapolitańczyk czuł, że wenecjanin wyższy od niego talentem, więc zazdrościł mu go i dyszał ku jego sztuce zawiścią.

Muzeum neapolitańskie posiada wielką kolekcję prac tamtejszych malarzy XVII wieku, a klasztor San Martino cały obwieszony i obmalowany ich pracami. Na tę klasztorną wystawę

składali się artyści: Ippolito Borghese, naśladowca Rafaela, Massimo Stanzioni, Caracciolo, Santafede, Corenzio, Francesco de Rosa, Anielo Falcone i cały szereg innych średnich talentów. Ze względów kulturalno-historycznych może nas najbardziej zajmować Micco Spadaro, gdyż on był świadkiem buntu ludowego w r. 1647, a jego obraz w Muzeum neapolitańskiem, przedstawiający rewolucję Masaniella, jest nader zajmującą ilustracją owych czasów, tem cenniejszą, że artysta lubił oddawać każdy szczegół z wielką dokładnością i umiał wlać dużo życia w swe postacie. Takie obrazy, jak „Wjazd infantki Marji, siostry Filipa IV, do Neapolu w r. 1630", i „Morowa zaraza w r. 1656" są pod tym względem cennemi zabytkami.

Podobnie jak wszyscy neapolitańscy malarze, tak i Spadaro wzorował się na obcym artyście, a mianowicie na francuskim Callocie i zapełniał swe płótna niezliczoną ilością drobnych figur. Chyba się nie pomylimy, jeżeli jako wzory dla figurek zakładu ceramicznego w Capo di Monte, przedstawiające nieraz komiczne, typowe postacie neapolitańskiej ulicy, wskażemy rysunki i obrazy Micca Spadaro, którego zresztą naśladowało wielu miejscowych artystów. Również słynne jasełka neapolitańskie, których nadzwyczaj zajmujące okazy znajdują się w San Martino w Neapolu i monachijskiem muzeum, były tworzone według maniery Spadara.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

KAROL III BURBON

I

W r. 1734 zwyciężała koalicja Hiszpanji, Francji i Sardynji zewsząd uciśnione cesarstwo. Nad Renem, w Lombardji musiała Austrja się bronić, rozdrabniając swoje siły, tak, że w Neapolu mogła stosunkowo utrzymywać tylko słabą załogę. Elżbieta Farnese, małżonka hiszpańskiego Filipa V, kobieta dumna i zręczna, pomyślała wtedy o swym synu, don Carlosie, który jako infant z drugiego małżeństwa, nie miał prawa do następstwa na tron hiszpański i musiał się narazie zadawalniać spuścizną po matce, księstwami Parmy i Toskanji. Był on dla matki droższy, aniżeli syn Filipa V, z pierwszej żony. Pisała więc do don Carlosa, bawiącego w Parmie, następujące słowa: „Urządź wyprawę na obie Sycylje, które, wyniesione do niezależnego królestwa, będą twoją posiadłością. Idź i zwycięż; najpiękniejsza korona Włoch cię oczekuje".

Don Carlos miał wtedy ośmnaście lat, chwalono go; sympatyczny, rozsądny, o dobrem sercu, starał się rzetelnie o szczęście swoich poddanych. Wysoki, silnie zbudowany, uprzejmy, bardzo dbający o wyćwiczenie wojska, miał jeden wielki błąd, który z latami coraz bardziej się rozwijał: był tak zapalonym myśliwym, że często dla tej namiętności zaniedbywał najważniejsze interesa państwa. Głębszem wykształceniem nie mógł się poszczycić, a nawet często zadziwiał otoczenie swem nieuctwem. Wzrósł w zasadach hiszpańskiej dynastji, w pojęciach despotycznych i w formaliźmie madryckiego dworu.

List matki natychmiast go przekonał. Chodziło o pośpiech; zebrał więc siedmnaście tysięcy piechoty, pięć tysięcy konnych

i ruszył na Sienę i Rzym do Neapolu, gdzie go już oczekiwała w zatoce flota hiszpańska pod wodzą admirała Clavico.

Wicekrólem neapolitańskim był wtedy Lombardczyk, Giulio Visconti, a milicją austrjacką dowodził hr. Traun. Siły austrjackie były słabe, sympatje ludności skłaniały się z wiekowego przyzwyczajenia więcej ku Hiszpanji, jak ku Austrji; więc jenerał austrjacki widząc, że wojsko Burbona dobrze zaopatrzone i wyćwiczone, cofnął się narazie do Apulji, aby dopiero tam oprzeć się Carlosowi. Ale pretendent zwyciężył w bitwie pod Bitonto; Traun ze swoją armją opuścił granice państwa neapolitańskiego i znowu po wielokrotnych zmianach inny panujący objął tron neapolitański. Skłonni do satyry Neapolitańczycy sami z siebie zaczęli się wyśmiewać, że właściwie bez ich współudziału korona królewska przechodzi z głowy na głowę, i streścili te smutne losy w żartobliwem powiedzeniu, że królestwo neapolitańskie jest do wynajęcia z całem urządzeniem: Il regno di Napoli si affitta con ogni commodità.

Infant zatrzymał się po drodze w Maddaloni, gdzie go oczekiwały deputacje ze stolicy; lud witał okrzykami nowego panującego, a szlachta biła mu głębokie pokłony. Don Carlos jednak spostrzegł, że w wieżach starego zamczyska gnieżdżą się bardzo ładne gołębie; pokusa była nad jego siły, wymknąwszy się więc nudnym deputacjom, zastrzelił kilka ptaków; nowe królestwo bardzo dobrze mu się zapowiadało. Zatrzymawszy się w San Germano, dowiedział się, że tam dałoby się zapolować; przepędził też kilka dni w tej miejscowości. Jakie były wyniki tych łowów, nie wiemy.

Dziesiątego maja 1735 wjechał uroczyście do Neapolu, a chcąc pozyskać sympatje stołecznej ludności, skierował pierwsze swe kroki do katedry, gdzie złożył w podarunku patronowi miasta, świętemu Januaremu, złoty łańcuch na szyję, wysadzany diamentami i rubinami. W kilkanaście zaś dni później ogłoszono w mieście dekret Filipa V, którym król hiszpański „odstępował swe odwieczne prawa do królestw obojga Sycylij swemu synowi Carlosowi, urodzonemu ze szczęśliwego małżeństwa z Elżbietą Farnese“.

W ten sposób otrzymał Neapol poczęści narodową dynastję, bo chociaż Filip V był francuskim Burbonem, Elżbieta po-

chodziła z włoskiej rodziny, a infant mógł uchodzić za Włocha. Nazwał się Karolem III i podpisywał „z łaski Bożej królem obojga Sycylij i Jerozolimy, infantem hiszpańskim, księciem Parmy, Piacenzy i Castro, wielkim księciem dziedzicznym Toskanji“. Próżności Neapolitańczyków stało się zadość. Równie jak tytuł nowego monarchy, był skomplikowany i herb dynastji: trzy złote lilje, jako znak hiszpański, sześć lilij niebieskich rodu Farnesów i sześć czerwonych kul medycejskich.

W rok później, w czerwcu, odbyło się w Palermo zaprzysiężenie trzech stanów sycylijskich, z których od wieków, jeszcze od czasów normandzkich, składał się parlament sycylijski. Były to stany baronów, duchowieństwa i ludu. Król ślubował z ręką na ewangelji, że dotrzyma praw i przywilejów kraju i miast, a stany nawzajem obiecywały posłuszeństwo swemu monarsze.

Neapol się cieszył, że ma własnego króla. Dla ludu urządzono wielki festyn, a właściwie olbrzymi bufet, w umyślnie na to zbudowanym drewnianym gmachu, przedstawiającym hesperyjskie ogrody, „Cuccagna delli Orti Esperidi“. Tłum z taką natarczywością zdobywał ciasta, mięsiwa, owoce, że buda, naprędce wystawiona, zawaliła się pod naciskiem głodnych, a walące się belki i deski pozabijały lub poraniły mnóstwo ludzi, co jednak nie przerwało uciech, trwających dni pięć, zwłaszcza, że na placu przed zamkiem królewskim dalej rozdawano chleb, sery, salami, kurczęta, jagnięta, a szarlatani, „artyści“ z marjonetkami, małpami i oswojonemi wężami starali się zabawić ludność. Jezuici korzystali ze sposobności i wśród tego ścisku przechodzili z procesjami, zwracając uwagę wiernych, aby nie zapominali o wieczności.

Festyny ludowe powtórzyły się w kilka lat później (1738) z powodu małżeństwa Karola III z Marją Amalją Walburgą, księżniczką saską, córką króla polskiego, Fryderyka Augusta. Karol skończył dwadzieścia ośm lat i sądził, jak powiada jeden z neapolitańskich pisarzy, że nie wolno całej młodości poświęcić myśliwskiej Dianie, ale że trzeba dać państwu królową.

Księżniczka miała dwadzieścia kilka lat, słynęła z religijności, ale nie odznaczała się urodą. Niska, blada blondyna, nie-

zbyt uroczo wyglądała obok męża, wysokiego, szczupłego mężczyzny o okazałym nosie, stanowiącym odznakę tej linji Burbonów. Mimo że królewska para była tak niedobrana, ludność witała księżniczkę z niekłamaną radością, spodziewała się bowiem, że młoda królowa obdarzy Neapol infantem i utrwali narodową dynastję.

Skorzystano znów ze sposobności, aby przybycie królowej pozostało na długo w pamięci ludu. Tym razem Ferdinando Sanfelice, cavaliere dell Seggio Napolitano, zajmujący się w wolnych chwilach architekturą i malarstwem, wystawił na placu zamkowym olbrzymi gmach, w którym się miał odbyć wspaniały jarmark. Budowa tak silna, że „nawet się mogła oprzeć lekkiemu trzęsieniu ziemi“, mieściła obok teatru mnóstwo sklepów, w których można było nabyć najpyszniejsze wschodnie materje i dywany, perły i diamenty, a nawet rzadkie księgi. Ta „fiera“, ten jarmark, miał więc zadowolić także i wyborową publiczność, a gdy wieczór zajaśniała tam niezliczona ilość świec woskowych, odbijających się w wielkich weneckich zwierciadłach, gdy udekorowano portrety królewskiej pary, zdawało się neapolitańczykom, że weszli do siódmego nieba. Dość powiedzieć, że ta uroczystość dała poetom sposobność do wydania sporej książki, w której ku wiecznej pamięci wyrazili swoje zachwyty.

Król, podobnie jak saska małżonka, odebrał wychowanie bardzo religijne i zdaje się, że nabożne praktyki były jedyną duchową harmonją, która ich do siebie zbliżała. Przybywszy do nowego państwa, starał się Karol III trafić do serc potężnego duchowieństwa, służył czasami do mszy, obmywał w siermiędze nogi ubogich w kościele dei Pellegrini, ba, nawet raz w Bari, ubrany w rewerendę kanonika z futrzanym kołnierzem, odmawiał w stalach modlitwy wraz z innymi kanonikami, a przedewszystkiem wierzył, że świętymi za życia są Ojciec Pepe, jezuita, i Ojciec Rocco, dominikanin, ludzie niesłychanie ambitni, podstępni, którzy postanowili zawładnąć królem, królową i całym narodem. Co do królowej, zamiary tych zakonników zupełnie się udały; Marja Amalja poddała się ich wpływowi i król już był na tej drodze, obydwaj ojcowie bowiem schlebiali jego słabostkom.

Aby sobie pozyskać liczną klasę kupiecką, zaprowadził Karol III z powodu przybycia królowej nowy order „di San Gennaro“. Według statutów tego orderu mogło szlachectwo być nadane rodzinie, która się trudniła handlem wełną lub jedwabiem od dwóch lub trzech pokoleń. Postanowienie to dotknęło baronów, ale było jednym z tych środków, które osłabiały stanowisko dawnej szlachty.

Zresztą w początkach swego panowania król dość mało zajmował się sprawami państwa; zajęty polowaniem, urządzał na wielką skalę hodowlę bażantów na wyspie Procida. Wkrótce jednak okazało się, że liczne koty wyjadają cenne ptactwo. Karol wydał edykt, zakazujący trzymania kotów pod najcięższemi karami, a nawet gdy jakiś śmiałek odważył się zatrzymać swe ulubione domowe zwierzę, ukarano winnego galerami. Cóż się jednak stało? Po wytępieniu myszołowców szczury tak się rozmnożyły, że stanowiły straszną plagę na wyspie, a mieszkańcy oświadczyli, że jeżeli zakaz trzymania kotów dalej potrwa, to będą musieli opuścić dawne swe siedziby i wynieść się, choćby do afrykańskich Barbaresków. Karol III cofnął swój koci edykt i odtąd więcej zważał na rady swego pierwszego ministra. Był nim Bernardo Tanucci, toskańczyk, (ur. 1698, † 1782), doniedawna profesor uniwersytetu w Pizie, którego Karol III polubił, będąc jeszcze księciem Parmy. Powód do tej królewskiej sympatji był następujący. żołnierz hiszpański, popełniwszy jakąś zbrodnię, schronił się we Florencji do pierwszego lepszego kościoła, jako miejsca, gdzie policja nie miała władzy. Książę kazał jednak mimo to uwięzić zbrodniarza, a w powstałym stąd procesie pomiędzy duchowieństwem a rządem Tanucci był obrońcą praw świeckich, książęcych i wykazał szkodliwe nadużycia, jakie powstają wskutek tych kościelnych prerogatyw. Tego więc prawnika powołał Karol III, zostawszy królem neapolitańskim, na swego doradcę.

Tanucci umiał się przypodobać królowi i powoli przekonał monarchę, że w Neapolu nadzwyczaj szkodliwy dla państwa jest przemożny wpływ duchowieństwa i zupełna zależność od Rzymu. Były to zresztą czasy, kiedy filozoficzne, wolnomyślne prądy nurtowały w całych Włoszech; w Neapolu w szczególności, jako w mieście handlowem, mnóstwo ludzi poważnych

zajmowało się stosunkami społecznemi. Ekonomiści zastanawiali się nad polepszeniem bytu klas ubogich, badania, zwłaszcza w dziedzinie fizyki, należały do ulubionych prac ludzi, zajmujących się zjawiskami przyrody. W Neapolu wybili się w pierwszej połowie XVIII wieku przed innymi dwaj uczeni, teoretycy pragnący reform: Giovanni Battista Vico, profesor uniwersytetu (ur. 1670, † 1744), autor dzieła *Scienza nuova,* i Pietro Giannone (ur. 1676, † 1748), którego *Historja Neapolu* do dziś dnia jest jednem z najgruntowniejszych opracowań tamtejszych dziejów. Vico chciał z przeszłości wysnuć zasady, mogące skierować ludzkość na lepsze drogi, pisał filozofję historji; ale społeczeństwo jeszcze go nie rozumiało, pracował dla następnych pokoleń. Giannone pragnął wyswobodzić Neapol z pod despotyzmu kurji rzymskiej. Wystąpił jednak za wcześnie i musiał odpokutować swoją opozycję przeciw Rzymowi dziesięcioletniem wygnaniem i dwudziestoletniem więzieniem. Nie pragnął niczego, jak tylko niezależności władzy cywilnej. Charakterystyką ruchu umysłowego w Neapolu był kierunek ekonomiczno-filozoficzny; rodziły się tam zasady ekonomji politycznej. Antonio Genovesi (nr. 1712) wydał słynne swoje dzieło *Lezioni di Commercio, ossia di Economia civile 1758,* Giuseppe Maria Galanti (ur. 1743) zadziwił współczesnych swą pracą: *Discorso intorno alla costituzione della società ed al governo politico,* a wreszcie książę Gaetano Filangieri (ur. 1752) sprowadził teorje swych poprzedników na praktyczne, prawodawcze tory. Najznakomitszem jego dziełem jest *Storia della Legislazione.* Był on apostołem niezależności sądów i ma w tej mierze niezapomniane zasługi.

W XVII wieku wszyscy znakomitsi uczeni neapolitańscy byli prawnikami, adwokatami; w XVIII stuleciu oddawali się prawie wyłącznie studjom ekonomiczno-filozoficznym. Dla poetów nie było miejsca.

Król, jako myśliwy, który żył z naturą, o ile możności unikał miasta; szczególnie zwracał swą uwagę na nowe wynalazki i stąd jego przyjaźń z księciem di Sangro, o którym była już mowa. Tanucci miał więc w Karolu III pojętnego ucznia, którego łatwo przekonywał o konieczności zmian w ustroju społeczeństwa. Rozpoczęła się też niebawem walka z duchowień-

stwem. Król przedewszystkiem rozporządził, że bulle papieskie mogą być tylko wtedy wykonane w państwie neapolitańskiem, jeżeli je potwierdzi monarcha; następnie zakazano duchowieństwu nabywać nowe dobra, groziło to bowiem państwu, jakeśmy wspomnieli, że cała ziemia i większość realności przejdzie na własność kościoła. Gdy dwóch karmelitów, zajmujących wysokie stanowiska w swym zakonie, nie chciało wydać przestępców, którzy się schronili do ich świątyni, król rozkazał siłą wyprowadzić winnych, a opornych zakonników wydalił z granic państwa. Rząd postanowił, że do budowy nowych kościołów potrzeba pozwolenia świeckiej władzy; gdy więc jakaś pobożna rodzina w Abruzzach wystawiła kościół, nie postarawszy się o takie pozwolenie, król kazał zburzyć dla przykładu ową świątynię aż do fundamentów. Zakazy Tanucciego, wymierzone przeciw duchowieństwu, wywoływały w kołach klerykalnych ogromne oburzenie. Nie wolno było biskupom utrzymywać własnej milicji, unieważniono dotychczasową nietykalność księży wobec świeckiej władzy, oszacowano dobra duchowne, a co najbardziej duchowieństwo dotknęło, poddano świeckiej jurysdykcji służbę i rozmaite towarzyszki księży, które dotąd należały do osób „nietykalnych".

Ograniczywszy nadużycia duchowieństwa, zwrócił się Tanucci ku szlachcie, ku baronom. Było to trudne zadanie, ale powoli przyniosło pożądane owoce.

Oprócz polowania miał Karol III inną, pożyteczniejszą namiętność, namiętność budowania. Wytyczał drogi, stawiał mosty, których bardzo było potrzeba w Neapolitańskiem, a na letnie pałace upatrzył sobie dwa miejsca. Na pagórku Capodimonte, w pobliżu miasta, siadały bekasy; cóż dziwnego, że król rad był zbliżyć się do ptaków, skoro bekasy nie chciały przylecieć do zamku? Tam więc wybudował pałac, przy którym powstała później fabryka porcelany. W Portici natomiast bywało dużo przepiórek i zatoka bardzo była rybna, a ponieważ król nie pogardzał i rybołostwem, więc kazał tam wznieść drugi pałac. Wprawdzie jeden z dworzan zwrócił uwagę monarchy na niebezpieczeństwo zamieszkania w pobliżu Wezuwjusza, ale pobożny król odpowiedział, że losy swe oddaje Panu Bogu, Niepokalanej Marji i świętemu Januaremu — „Ci penseranno Id-

dio, Maria Immacolata e San Gennaro". Wzniósł się więc drugi pałac królewski.

II

Oddawna brakowało w Neapolu teatru, godnego stolicy śpiewu i muzyki. Ten musiał powstać w środku miasta, boć trudno, aby muzykalna publiczność jeździła w nocy tam, gdzie nocują bekasy i przepiórki. Architekt Medrano zrobił plany, zburzono mnóstwo domów w pobliżu zamku królewskiego i w krótkim przeciągu czasu wystawiono tam wspaniały gmach San Carlo, należący do największych teatrów w Europie.

Wykonawca planów Medrana był szczególny człowiek, na którego już ostatni wicekról austrjacki zwrócił swoją uwagę. Angelo Carasale wyszedł z kowalskiej kuźni, rzucał się na rozmaite przedsiębiorstwa, był nawet impresarjem w neapolitańskim teatrze San Bartolomeo, aż został ulubieńcem Karola III. Carasale wykończył w trzech latach olbrzymią budowę, tak, że pierwsze przedstawienie w tej operze odbyło się czwartego listopada 1737, w dzień królewskiego patrona, świętego Karola. Królowi zależało na tem, aby opera stała się popularną; prosił więc hrabinę de Charny, lubianą w wyższem towarzystwie neapolitańskiem, aby agitowała na korzyść nowego przedsiębiorstwa. Arystokracja powynajmowała więc loże, a dzień otwarcia San Carlo stał się narodową uroczystością. Ludność bowiem cieszyła się i była dumna z tego, że opera zasłynie na całą Europę i że otwarcie tego teatru jest niejako widocznym znakiem, że Neapol z prowincjonalnego miasta stał się stolicą dużego państwa. Wieczorem czwartego listopada zajaśniała od pochodni cała okolica teatru, złociste powozy, służba w aksamitnych liberjach i białych perukach, pyszne kare konie wzbudzały podziw cisnącej się na placu publiczności, a gdy piękne kobiety w kwiecistych robronach i panowie przy szpadach, w haftowanych frakach, zaczęli wysiadać przed bramą opery, okrzyki zadowolenia publiczności rozlegały się po mieście. Królestwo zajechali sześciokonną karocą, ale mogli wracać piechotą do pobliskiego swego pałacu. Tradycja niesie, że Carasale przez trzy godziny trwania przedstawienia wystawił i udekorował galerję, prowadzącą z loży królewskiej do pałacu. Ale to tylko podanie,

mające świadczyć o niebywałej zapobiegliwości i zręczności Carasala. W istocie jednak galerja ta była już w tajemnicy przygotowana i tylko po przedstawieniu opery otworzył ją zręczny budowniczy po raz pierwszy, aby królestwo mogli tamtędy powrócić do pałacu.

Przedstawiano dramat muzykalny Metastazja *L'Achille in Sciro* z prologiem, w którym wystąpiły trzy alegoryczne postacie: Wspaniałomyślność, Sława i Szybkość, ta ostatnia zapewne ze względu na szybkie ukończenie budowy. A gdy te postacie wypowiedziały swe zachwyty, chór wzniósł wraz z publicznością okrzyk: „Viva Carlo, Carlo viva!"

Teatr jaśniał od białych świec woskowych, które się odbijały w licznych źwierciadłach; bardziej jednak, jak sztuczne oświetlenie, błyszczały oczy uroczych kobiet, bo Neapol i Sycylja wysłały na tę uroczystość, co miały najpiękniejszego. Sycyljanki jednak, jak zwykle, tak i tam gasiły wdzięki neapolitanek, gdyż u nich zachował się jeszcze typ grecki, podniesiony gorącą krwią maurytańską. Króla bardziej zajmowały balety, aniżeli muzyka; słynny prezydent de Brosses, który go widział w operze w cztery lata później, zauważył, że monarcha rozmawiał przez jedną połowę przedstawienia, a przez drugą połowę spał. De Brosses ze zgryźliwością dodał: „Cet homme assurement n'aime pas la musique". Podobne spostrzeżenie zrobił Casanova, gdy Karol, już jako król hiszpański, spędzał wieczór w operze w Madrycie. „Ten monarcha, pisze słynny awanturnik, podobny z twarzy do barana, a zdaje się, że i jego organ słuchu ma w sobie coś baraniego, bo i to zwierzę pozbawione jest zmysłu harmonji".

Jeżeli król i publiczność neapolitańska długie lata mogła się cieszyć uroczystością otwarcia San Carla, to przeciwnie najbardziej zasłużony człowiek około budowy gmachu opery, Carasale, w smutku musiał później wspominać chwilę swego triumfu.

Zanadto zaufał fortunie. Po ukończeniu gmachu opery król używał ulubionego budowniczego do wszystkich robót publicznych, które dawny kowal wykonywał z niewidzianą szybkością. Miał też stąd duże dochody, przyzwyczaił się do wystawnego życia, mieszkał w pięknym pałacu, utrzymywał mnóstwo służby, szczycił się rasowemi końmi i wydawał niezmierne sumy na

przyjaciółki i na grę w karty. Osłoniony królewską łaską, miał wolny przystęp do ministrów i coraz bardziej wzbijał się w próżność. Oczywiście koło zawistnych się zwiększało, a arystokrację i dworzan raziła poufałość, jaką go król obdarzał. Razu pewnego spostrzeżono, że Carasale, rozmawiając z Karolem III siedzącym w powozie, oparł się o królewską landarę, a nawet nogę na stopniu postawił. Ten brak uszanowania dla monarchy oburzył cały wyższy świat neapolitański; uważano chwilę za stosowną, aby śmiałka obalić, tem bardziej, iż mnożyły się pogłoski, że przedsiębiorca nadużywa łaski królewskiej i że wzbogaca się fałszowaniem rachunków z grosza publicznego. Pracowano tak długo, dopóki sąd nie wdał się w sprawę i dopóki nie uwięziono lekkomyślnego przedsiębiorcy w Castello di Sant'Elmo. Tam rozegrał się wkrótce ostatni akt w życiu kowala; w kilka miesięcy r. 1742 umarł, tknięty apopleksją, albo jak mówiono, otruty przez zawistnych.

Karol III lubił balet; ale za jego panowania, pod wpływem królowej i jej dwóch duchownych doradców zaprowadzono w teatrach nadzwyczaj surowe przepisy, które miały chronić publiczność od wszelakich niemoralności. Przedewszystkiem musiały baletniczki nosić na scenie czarne spodenki, zapewne trykotowe, a szyję mieć przykrytą gazą; wymiana jakichkolwiek znaków w teatrze pomiędzy mężczyznami w lożach lub na parterze a artystkami była surowo zakazana. Kapitanowi piechoty, baronowi Sarnelli, który się w ten sposób porozumiewał z jakąś śpiewaczką, zakazano bywać w teatrze, a nawet oficera, przypatrującego się zanadto śmiało paniom w lożach, ukarano dosyć dotkliwie. Gdy później, bo już w r. 1761, przybyły do Neapolu Aleksander Bach, pragnął jak zwykle, prowadzić wesołe rozmowy ze śpiewaczkami i pozwolił sobie nawet pójść raz za kulisy, nie uszło to uwagi teatralnej zwierzchności i uditore opery zakazał mu tak śmiałych wycieczek. Bach się poprawił i nazajutrz poszedł już nie za kulisy, ale do loży artystek; ale i temu się uditore sprzeciwił i imieniem króla kazał mu lożę opuścić, aby nie wywoływać publicznego zgorszenia. Były jednak sposoby, aby ominąć surowość zakazów. Teatr był oświecony grubemi świecami, umocowanemi po większej części przed lożami. Otóż wielka ilość tych woskowych pochodni sprawiała upał i za-

duch nie do opisania; właściciele lóż gasili więc zazwyczaj świece, tak, że tylko scena była oświecona, a publiczność cieszyła się najzupełniejszą swobodą w ciemnościach.

Zresztą pomiędzy rządem a artystkami ciągła, nieraz zawzięta toczyła się wojna. Osobliwie śpiewaczki i aktorki mniejszych teatrów wystawione były na bezustanne dokuczliwości władzy. Razu pewnego uznano je, prawie wszystkie, za kobiety niemoralnego życia i przeznaczono im na mieszkanie osobną dzielnicę. Obrażone artystki zwróciły się do króla, prosząc, aby im nie robiono tej krzywdy, „bo do charakteru i zajęcia śpiewaczek i baletniczek należy wprawdzie także uprzejmość wobec mężczyzn, ale mimo to nie można ich stawiać narówni z kobietami, które zbyt nisko upadły". Król zrozumiał to stanowisko artystek i rozkazał, aby policja była wobec nich względniejsza; pozwolono nawet śpiewaczkom ukazywać się na publicznych spacerach i zabawach, opierając się pod tym względem aż na liberalnych postanowieniach kodeksu teodozjańskiego. Prawodawcy sięgnęli dość daleko.

Przyznać jednak należy „moralnym" urzędom, że miały nieraz dużo kłopotu z artystkami. W drugiej połowie ośmnastego wieku uchodziła Caterina Gabrielli za pierwszą śpiewaczkę we Włoszech, ale tak zawracała głowy mężczyznom swą pięknością i śpiewem, że ją z tego powodu dwa razy wydalano z Wiednia, a następnie z Turynu i z Parmy. Była Rzymianką, córką kucharza, i zwano ją La Cuochetta. Mała, niesłychanie żywa, z małą skazą na prawem oku, nie bała się nikogo, nawet wicekróla sycylijskiego. Bawiąc w Palermo, nie mogła znosić wstrętnego jej wicekróla, markiza Fogliani, odmawiała mu zaproszeń na obiad, a gdy wysoki dygnitarz zjawił się w teatrze, zaczynała śpiewać półgłosem, co publiczność nadzwyczaj dziwiło. Rozgniewany markiz kazał ją uwięzić i trzymać przez dwanaście dni pomiędzy niezbyt dobraną publicznością. To jednak nie zepsuło dobrego humoru Cateriny; zaprzyjaźniła się z towarzyszami niedoli, śpiewała im, kazała przynosić dobre obiady, a za niektórych nawet długi popłaciła. W Neapolu był raz na jej przedstawieniu francuski abbé Coyer. Śpiewała wtedy Dydonę, a Francuz tak się nią zachwycił, iż sądził, że Eneasz musiał być bardzo pobożny, aby się oprzeć wdziękom jej głosu i postaci.

Za śpiewaczkami i baletniczkami przyjeżdżali często do Neapolu cudzoziemcy, najczęściej Anglicy, z którymi zarządy teatrów miały niemało kłopotu. Gabrielli towarzyszył raz wyspiarz, któremu niedość było widywać się z nią poza operą, ale nawet podczas przedstawienia starał się z nią rozmawiać. Kazano mu wyjść z teatru; Anglik odpowiedział, że posłuszny jest tylko rozkazom własnego monarchy, ale nie króla neapolitańskiego. Zmuszono go nazajutrz, aby wyjechał z Neapolu. Inny Anglik, z usposobienia bardzo zazdrosny, miał romans z Cateriną; ale śpiewaczka wierna mu nie była, wskutek czego zawiedziony kochanek wrócił do Londynu. Po kilku latach spotkał ją w Anglji i namówił na wieczorną przejażdżkę po morzu. Gdy odbito od brzegu, mściwy Adonis kazał ją wrzucić swym dwom wioślarzom do morza, a po dobrej kąpieli wyłowić. Ale śpiewaczka umiała dobrze pływać, dostała się do brzegu i byłaby wytoczyła zdrajcy niebezpieczny proces, gdyby się wysoką sumą nie był wykupił.

Jakiś awanturnik, mieniący się Polakiem i podpisujący się bardzo dziwacznemi tytułami, jako hrabia Giorgio Azzo Migliorucci di Petrella Niencławski, nobile patrizio del Regno di Polonia e libero Barone del Palatinato di Cracovia, ożenił się w Rzymie z baletniczką Santą Olivieri, zwaną Raggianą, i chciał się z nią i z synem osiedlić w r. 1741 w Neapolu; odmówiono mu jednak pozwolenia i musiał wracać tam, skąd przybył.

Jako wyborni aktorzy w klasztorach słynęli za czasów Karola III ojcowie celestyni di S. Pietro a Maiella; grali role kobiece w kobiecych strojach i urządzali opery buffo. Wielkiej popularności doczekała się operetka *La Tavernola abbentorosa* Piotra Trinchera. Treść jej była mniej więcej taka. Jakiś pustelnik, fra Macario, miał wielki wpływ w pobożnych rodzinach, układał małżeństwa, podejmował się rozmaitych miłosnych poleceń, a wskutek tego miał jedzenia i wina w bród. Raz jednak dwie dziewczęta, zadowolone z jego intryg, dały mu tyle dobrego Falerna, że anachoreta się upił. Skorzystał z tego jakiś filut, nazwiskiem Maso, ubrał się w kobiece suknie i zaprosił do swego domu. Ale Macario się wytrzeźwił, poznał, że go chcą ośmieszyć i nawzajem postanowił zadrwić z Masa. Począł grać świętoszka, przekonywał kobiety, jak wielkie zasługi zdobędą sobie wobec



Ferdynand IV

(Według sztychu z portretu Kreuzingera z r. 1792)

wieczności, jeżeli będą prowadziły żywot wstrzemięźliwy, daleki od wszelkich miłosnych uciech, i tak umiał je usposobić, że wszystkie, jakie tylko towarzyszyły Masie, zostały pustelniczkami. Maso rozpaczał, gdyż pomiędzy nawróconemi znajdowała się także jego ulubienica, która od tej chwili nic o swym kochanku wiedzieć nie chciała.

Tego rodzaju komedje dawały artystom niemało sposobności do niezbyt przyzwoitych scen i wyrażeń. Ale władza Karola III i ministra Tanuccego nie sięgała już do wnętrza murów klasztornych. Sam król, przynajmniej w pierwszych latach swego małżeństwa, był człowiekiem nadzwyczaj przykładnych obyczajów, a Charles de Brosses powiada o nim, że „il n'avait point de lit dans son appartement, tant il était exact a coucher dans celui de la reine"; ale społeczeństwo zanadto przywykło do tradycyj, przywiązanych do Baj i Pozzuoli, aby się zmieniło pod wpływem cnotliwego monarchy, i można przypuszczać, że i na króla powoli klimat i tradycje neapolitańskie tak podziałały, że polubił balet, choćby osłonięty czarnym trykotem.

Głównym komedjografem czasów Karola III był baron di Liveri, którego dramaty i komedje przez długi czas miały wielki rozgłos. Baron należał do zubożałej szlacheckiej rodziny w okolicy Noli; miał wprawdzie napół rozwalony zamek, ale na jadalnym stole tylko trochę chleba i sera, który musiał popijać siarczaną wodą, zamiast winem. Liveri wychował się jednak w szlacheckiem kolegjum w Neapolu i występował tam w tragedji *Klitemnestra,* którą uczniowie grali przy jakiejś uroczystości. Stąd została mu chęć do pisania dramatów. Nudząc się później na swym zamku, ułożył komedję *Contessa,* którą grano na amatorskiem przedstawieniu w Noli. Zdarzyło się, że Karol III przejeżdżał przez to ciche miasteczko i że komedja mu się podobała. *Contessa,* wystawiona po raz pierwszy w r. 1735, zdobyła sobie w ten sposób scenę królewskiego nadwornego teatru w Neapolu, a ponieważ królowi się podobała, więc musieli jej przyklaskiwać wszyscy dworzanie, pomimo że była dość nudna. Liveri przeniósł się więc z żoną i sporą gromadką dzieci do Neapolu, pisał komedję za komedją i stał się przez dłuższy czas najpopularniejszym autorem teatrów neapolitańskich. Sztuki jego, pomimo że trwały po siedm godzin, miały powodze-

nie, gdyż były „straszne“, pobudzały do płaczu. Autor starał się o jak najwspanialsze ich wystawienie, a przedewszystkiem w żadnej nie brakowało półgłówka „il buffo napoletano“, ulubionej postaci tamtejszej publiczności, którą stworzył właściwie aktor Domenico Voccaro, a nie pozbawiony wszelkiego dowcipu baron Liveri. Mimo chwilowej popularności swoich sztuk umarł Liveri prawie w biedzie, a jako jedyny inwentarz jego zamku pozostała chuda szkapa i kot, polujący na myszy.

Jednem z najmilszych widowisk neapolitańskiej publiczności były „szopki“, wystawiane niezwykłym kosztem w grudniu i w styczniu. Wprawdzie podobne szopki urządzano wtedy na wielu dworach europejskich, w Hiszpanji, w Portugalji, w Wiedniu i w Monachjum, ale Neapol i Palermo przewyższały pod tym względem wszystkie inne stolice. Większą część szopek wystawiali przedsiębiorcy w celach zysku, pobierając od publiczności za wstęp dość wysokie opłaty. Nad temi plastycznemi obrazami, mającemi uzmysławiać narodzenie Chrystusa, pracowali najznakomitsi artyści. Nie chodziło tam zresztą o zbliżone do rzeczywistości oddanie biblijnej sceny, lecz o zabawienie publiczności. Urządzano więc obrazy z życia neapolitańskiego, smutne i wesołe, bardzo pospolite i wspaniałe, nie mające najmniejszej styczności z biblijnem opowiadaniem.

W drugiej połowie XVIII wieku najsłynniejszą szopkę w Neapolu, przystępną dla publiczności, miał signor Torres, księgarz; było to dziwo zręcznego wykonania. Na pierwszym planie ogrody, doliny z wodotryskami, rwące strumienie, drzewa pełne owoców, w głębi Wezuwjusz, góry, pokryte śniegiem, szeroki widnokrąg. Wśród tego pejzażu domy, ulice, poruszające się procesje marjonetek; arcybiskup neapolitański, otoczony duchowieństwem i mnóstwem publiczności, niesie ampułkę z krwią świętego Januarego, a widząc wybuch Wezuwjusza, stara się nieszczęście zażegnać owemi relikwjami. Gdzie indziej w ulicy chodzi kapucyn od domu do domu, dzwoni do bram i prosi o jałmużnę, to znowu zakonnice w klasztorze siedzą w chórze, odprawiając modlitwy, na polach żniwiarze zbierają zboże lub przekopują zagony. Wreszcie zbliżają się do Betleem trzej królowie, ozdobieni orderem świętego Januarego, za

nimi mnóstwo służby w liberjach i paradne karety dworskie, wzorowane na zaprzęgach dworu burbońskiego.

Ażeby przedstawić radość z powodu narodzenia się Chrystusa, widać także salę balową, do której wchodzi wykwintny abbé, prowadzący piękną panią w robronie, a za nim szereg par, posuwających się do tańca. Nie brak tam i arlekinów, pantalonów, poliszynelów, lazzaronów, którzy znów wyprawiają wesołe „lazzi".

Istniały pewne różnice pomiędzy figurkami w Neapolu a w Sycylji. W Neapolu po większej części ustawiano lalki w ubraniach, najstaranniej naśladowanych z ówczesnej mody, gdy głowy były zrobione z emaljowanej terrakoty, nogi i ręce wyrzeźbione z drzewa. Przeciwnie, figury sycylijskie, całe z drzewa, ubrane były wprawdzie w suknie z materyj wełnianych, jedwabnych lub płóciennych, ale te stroje zapuszczano gipsem, aby zesztywniały i wydawały się, jak gdyby były rzeźbione.

Jednym z rzeźbiarzy, których figurki najbardziej ceniono, był Giuseppe Sammartino, a obok niego Giuseppe Gori, Lorenzo Mosca i wielu innych wyszczególniało się tą artystyczną techniką. Brokaty, aksamity, materje jedwabne o drobnych wzorach umyślnie tkano dla tych figurek, a nawet jubilerzy robili klejnoty z prawdziwych drogich kamieni do powyższych celów. Wszystkie rzemiosła składały się na ozdobienie marjonetkowego towarzystwa; płatnerze kuli broń, szwaczki i hafciarki wyrabiały bieliznę, garncarze dostarczali mikroskopijnych naczyń stołowych i w ten sposób powstawały najwierniejsze naśladownictwa wszystkiego, co się w zwykłem życiu widziało na ulicy, w teatrze, na wsi i na królewskim dworze.

III

Obok arystokratycznych teatrów, jak San Carlo, Fiorentini i małej nadwornej sceny, istniało w Neapolu oddawna kilka ludowych teatrów, a właściwie bud teatralnych. Wyrastały one najczęściej na placu del Castello albo w ogródku za Porta Capuana i stanowiły uciechę klas średnich i ludu. Przedsiębiorstwa tych teatrzyków często się zmieniały, a nazywano je zwykle

„Cantina“, albo „San Carlino“. Wreszcie San Carlino zwyciężyło i stało się osobliwością Neapolu, której nie omijali cudzoziemcy.

Autor niniejszej książki zapamiętał jeszcze chwile, że tak powiem, konania tej instytucji, która przez dziesiątki i dziesiątki lat pobudzała do śmiechu cały Neapol.

Plac di Castello, na którym stał ów teatrzyk, powoli znikał, tracił swój dawny charakter, zaczęły go otaczać duże gmachy, a nawet zmienił swą nazwę na Piazza Municipio. Trzeba było miejsca na nowe budowle, wydano wyrok śmierci na San Carlino, małą, jednopiętrową kamieniczkę, która, nie mogąc z powodu sąsiednich domów rozszerzać się w górę, zagłębiała się w dół. Na parter szło się po jakich dziesięciu schodkach i miało się przed sobą podłużny teatrzyk, bardzo brudny: obdarte krzesła, wszędzie łupy z pomarańcz, szczątki gazet, albo walające się zwiędłe kwiaty, a publiczność, jaką się widzi koło portu, na Santa Lucia; w lożach, zresztą nielicznych, kobiety w jaskrawych sukniach, o fryzurach sztucznie wyczesanych, śmiejące się, głośne, zajadające cukierki lub daktyle. San Carlino miewał zresztą i swe świetne czasy, kiedy lokaje w perukach wprowadzali tam swe panie, bo wyższe klasy społeczeństwa neapolitańskiego lubowały się w komedjach z życia miejscowego i w piosenkach i dialekcie lazzaronów. Brudno tam jednak było zawsze, co zresztą stwierdzają podróżni, Anglicy, Francuzi i Niemcy z XVIII wieku. Pomiędzy innymi Anglik, Samuel Sharp, który bawił w r. 1765 w Neapolu i wynajął sobie zręcznego faktora Włocha, aby go oprowadzał po wszystkich „spelunkach“, opowiada, że w teatrzyku, który wtedy nosił nazwę Cantiny, widział samych ludzi w zasmarowanych kapeluszach, bez zwierzchniego odzienia i tylko w koszulach z rękawami. Uderzyło wyspiarza, że nikt z tej publiczności nie miał chustki do nosa i pluł, gdzie mógł, choćby na ścianę.

A przecież ten teatr odegrał ważną rolę w rozwoju neapolitańskiej literatury dramatycznej i tamtejszej kultury, gdyż do reszty wyrugował hiszpańskie sztuki teatralne i zadawał bardzo silne ciosy hiszpańszczyźnie, która się tak zakorzeniła w czasach wicekrólewskich, że nawet jeszcze za Burbonów, za Tanuccego, w urzędach neapolitańskich pisano po większej części zepsutym językiem hiszpańskim.

Najczęściej grano w San Carlino komedje a soggetto, to jest komedje, w których soggettista, zazwyczaj autor i aktor zarazem, opowiadał w dzień przed przedstawieniem swym towarzyszom w krótkości treść komedji, rozdawał pomiędzy nich role, a wypełnienie treści i działania pozostawiał ich dowcipowi. żywość południowego umysłu aktorów podołała z łatwością temu zadaniu, pomimo że artystom brak było wszelkiego wykształcenia, a aktorki z San Carlino najczęściej nawet podpisać się nie umiały.

Najulubieńszemi postaciami w tych komedjach był naturalnie Pulcinella i Servetta, rodzaj pokojowej, filutki, skłonnej do romansów i do intryg wszelkiego rodzaju, nazywającej się często Colombiną. Do szczególnych typów San Carlina należał Tartaglia, ojciec rodziny, często lekarz, około którego rozwijała się akcja komedji. Niemal w każdej ówczesnej komedji neapolitańskiej ważną rolę grał Turek, stosunki bowiem świata handlowego w Neapolu ze Wschodem były tak częste, że bez Turka na scenie obejść się nie mogło. Rzecz działa się zwykle w Konstantynopolu, a wielki wezyr kochał się w Colombinie.

Komedjografem San Carlina był przez długie lata Francesco Cerlone (ur. 1730), najpopularniejszy autor teatralny neapolitański w XVIII wieku, poczęści postać mityczna. Zamłodu uczył się hafciarstwa; jako czeladnik swego zawodu dostał się do Rzymu, gdzie zapoznał się z aktorami, a wróciwszy do Neapolu, zaczął pisać komedje. Porównywano go z niemieckim Hansem Sachsem, szewcem z zawodu, który także zamienił igłę na wydatne pióro. W roku 1760 znano już powszechnie Cerlona i odtąd też zalewał on teatry i teatrzyki neapolitańskie swemi komedjami. Wydał ich kilkanaście tomów. Legenda jednak niesie, że wszystkie te komedje, opery buffo pisał właściwie brat Francesca, don Filippo Cerlone, dominikanin; gdy jednak zakonnikowi nie uchodziło puszczać w świat tyle wesołych, jowialnych, a przedewszystkiem bardzo nieprzyzwoitych utworów, więc sława autorska spływała na Francesca. Były hafciarz przychodził czasami do zakrystji kościoła dominikanów, gdzie Filippo nieznacznie wyciągał z rękawa białego habitu plik papierów, które Francesco czem prędzej chował do kieszeni. Dwaj

bracia tak zręcznie wynosili te komedje z murów klasztoru, że rzecz wykryła się dopiero w kilka lat po śmierci Filipa, kiedy go już władze duchowne dosięgnąć nie mogły. Tajemnicę miał wyjawić były spowiednik dominikanina. Trudno przypuszczać, aby i Francesco nie brał udziału w tej ukrytej literaturze; zapewne więc była to braterska spółka dramatyczna, w której jednak zdolniejszy dominikanin główną grał rolę. Pisaniem świeckich, wesołych komedyj uprzyjemniał sobie monotonny klasztorny żywot. Obok Cerlona słynnym neapolitańskim komedjopisarzem był wówczas Lorenzi; ale ani jeden ani drugi nie może się porównać z weneckim Goldonim.

Mimo komedji braci Cerlonów czasami źle się działo teatrzykom; kiedy dochody były skąpe, urządzano rodzaj ołtarza w przedsionku teatralnym i personal sceniczny śpiewał pobożne pieśni, aby Madonna i święci się zmiłowali i zachęcili publiczność do uczęszczania do teatru. Siedmnastego stycznia, w dzień świętego Antoniego, opata, patrona od ognia, odprawiano nabożeństwa takie we wszystkich teatrach, nawet w San Carlo, strażom bowiem ogniowym niebardzo ufano, że w razie pożaru zdołają uratować kulisy i garderobę.

W roku 1884 zaczęto burzyć San Carlino, a starzy neapolitanie prawie łzy wylewali za tym przybytkiem samorodnego dowcipu. Długo jeszcze powtarzano sobie nazwiska ostatnich impressarjów tej ludowej sceny, Gildy i Edwarda Scarpetty.

IV

Po ukończeniu budowy San Carlo zabrał się Karol III do wystawienia wielkiej, prawdziwie królewskiej letniej rezydencji w Casercie; ale Carasale był już w niełasce, więc sprowadzono do nowej pracy architekta Ludwika Vanvitelli, bawiącego w Rzymie. Powstał olbrzymi pałac z teatrem, ogrodem, noszący wszelkie cechy zepsutego smaku drugiej połowy XVIII wieku. Nie brakowało tam wodospadów, wodotrysków i drzew strzyżonych, wyprostowanych, podobnych do szeregu żołnierzy. Wodę musiano sprowadzić z góry Taburno dwadzieścia siedm mil długim akweduktem, dolinę Maddaloni połączyć z brzegami mostem niesłychanie długim, spoczywającym na grubych pilo-

tach; kaprys królewski w Casercie kosztował siedm miljonów dukatów, wyciśniętych z ubogiego kraju.

Mimo tych wydatków rządy królewskie zapowiadały się jak najlepiej, w duchu, jeżeli już nie liberalnego postępu, to przynajmniej wykorzenienia odwiecznych błędów. Ale nad czynnościami króla i Tanuccego czuwała przyćmiona na chwilę potęga duchowieństwa, które nie mogło przeboleć ograniczenia swej władzy. Przyboczny dominikanin i franciszkanin królowej odzyskali powoli swój wpływ i pracowali nad obaleniem Tanuccego. Do nich przyłączył się neapolitański kardynał Spinelli. Kardynał zaczął przygotowywać gmach z kazamatami, bardzo podobnemi do więzień, którego przeznaczenia ludność narazie się nie domyślała. Gdy jednak pewnego dnia nad bramą tajemniczej budowy została wmurowana tablica z napisem „Sant' Uffizio“, cały Neapol się poruszył. Społeczeństwo tamtejsze walczyło już za czasów hiszpańskich przeciw wprowadzeniu tej strasznej instytucji, która ostatecznie nie została zaprowadzona, a teraz, kiedy prądy filozoficzne, idące z Francji, nurtowały na całym Zachodzie, miałoby grozić to widmo!... Szlachta, lud, mieszczaństwo, lazzaroni powstali, jak jeden mąż, chwycono za broń, ubezwładniono wojskową załogę, zburzono dom ze straszną tablicą i niewiele brakowało, a padłby ofiarą sam kardynał; ale król ocknął się, poznał swój błąd i wydał dekret zakazujący wprowadzenia inkwizycji. Karol III stał się tem bardziej popularnym monarchą, stanowisko ministra Tanuccego zostało wzmocnione. Zamach duchowieństwa na wolność sumienia obudził ludzi poważnie myślących; około ministra Tanuccego ugrupowało się grono filozofów, ekonomistów i rzecz szczególna, że nim jeszcze we Francji powstali encyklopedyści, w Neapolu przygotowywał się umysłowy przewrót. Król zanadto tkwił jeszcze w dawnych zasadach, aby stanąć na czele nowatorstwa, ale miał tyle dobrej woli, że chętnie pozostawiał „mądrzejszym“ pole do działania.

Józef II, bawiąc za panowania Ferdynanda IV w Neapolu, daje dość niesympatyczną sylwetkę Tanuccego w liście, pisanym (1769) do matki, cesarzowej Marji Teresy. Powiada wprawdzie, że minister jest człowiekiem wielkiego talentu i nadzwyczaj wykształconym, ale pedant, jakich mało „un pédant fieffé“, podno-

szący każdą drobnostkę do niepotrzebnych rozmiarów i wskutek tego zajęty małemi rzeczami, a zaniedbujący sprawy wielkiej wagi. Nadzwyczaj zazdrosny o swój wpływ, rozdaje wszelkie łaski i o ile możności wydziera władzę królowi. Książę Albert saski powiada o Tanuccim, że wygląda bardzo pospolicie, raczej jak bakałarz, aniżeli jak minister wielkiego państwa. Ale to były tylko pozory; Tanucci stał się duszą rządów neapolitańskich, za Karola III i długo jeszcze, za Ferdynanda IV, walczył ciągle z nadużyciami, które trwały wieki. A walka z dawnym ustrojem społeczeństwa tak była ciężka, że gdy rewolucja francuska objęła Neapol z końcem wieku, królewska władza jeszcze nie zdołała zniszczyć potęgi feudalizmu i duchowieństwa.

Stosunki domowe Karola III oddalały go coraz bardziej od koła rodzinnego i pobudzały tylko namiętności myśliwskie.

Królowa podlegała najzupełniej wpływom OO. Rocca i Pepe, spędzała prawie cały dzień na modlitwach w kaplicy, umartwiała ciało i cieszyła się, że lud nazywa ją świętą, „santarellą“. Wśród tych ascetycznych zajęć zaniedbywała najzupełniej wychowanie swych trzech synów. Trzeci syn, który miał kiedyś być następcą ojca na tronie neapolitańskim, Ferdynand, urodził się 12 stycznia 1751. Za poradą zakonnic wybrano mu mamkę, Agnieszkę Rivelli, mieszczankę z Vallo w prowincji Salerno, kobietę dużą, silną, przystojną, ale głupią i nieokrzesaną, a nadto niesłychanie zarozumiałą na swe nowe powołanie. Rivelli postawiła za warunek objęcia „wysokiego urzędu“, aby mogła zabrać do Neapolu swego starszego syna Gennara, który kończył właśnie trzeci rok życia.

Według zwyczaju, przyjętego na dworze hiszpańskim, dawano zawsze nowonarodzonemu królewskiemu synowi towarzysza mniej więcej równego wieku, który się miał z nim wychowywać. Ów „Menino“, bo tak go nazywano, jadał razem z infantem, bawił się z nim, pobierał wspólnie nauki; ale gdy dzieciak królewski co zawinił, to zazwyczaj zamiast infanta karano Menina, albo nawet pouczano rózgą, jak się ma zachowywać, aby infant był grzeczny.

Otóż Meninem Ferdynanda został Gennaro Rivelli, chłopak rosły i silny, ale podobny do matki, dziki, gburowaty, o niezbyt szlachetnych instynktach. Ponieważ królowa zanadto była za-

jęta swemi praktykami ascetki, aby dbać o dziecko, więc Agnieszka Rivelli, „Aja“, prawie wyłącznie zajmowała się wychowaniem Ferdynanda. Ceremonjał dworski nie pozwalał zresztą komu innemu oprócz Aji czuwać nad zdrowiem infanta. A był to bezrozumny, pedantyczny ceremonjał, przejęty z dworu hiszpańskiego, tak niezgodny z charakterem i z żywem usposobieniem neapolitańczyków. Dzwon certozy San Martino regulował od świtu do nocy życie dworu neapolitańskiego, ogłaszał czas na poranną modlitwę, na zabawy dzieci królewskich, na śniadanie, na obiad i na wszelkie możliwe zajęcia panującej rodziny. A każda ważniejsza czynność zaznaczona była pokłonami dworzan, wyprostowaniami halabardników, lśniących od złotych sznurów i haftów, tudzież słodko-ponurem milczeniem królewskiego otoczenia. Etykieta sięgała tam, gdzie myśl nie sięga. Gdy królestwo mieli spędzić wieczór w San Carlo, udawał się tam na dwie godziny przed przedstawieniem mały oddział gwardji, pilnując jakiejś tajemniczej, czerwonym aksamitem obitej skrzyni, którą niosło dwóch wygalowanych lokai. Na skrzyni widniały haftowane herby królewskie, a cały orszak poprzedzało dwóch służących niższego rzędu z zapalonemi pochodniami. Ową arkę składano w gabinecie, przytykającym do królewskiej loży, a lud, znający się na dworskich zwyczajach, objaśniał ciekawego cudzoziemca, że w tajemniczej skrzyni znajdują się srebrne naczynia, wprawdzie bardzo potrzebne do zdrowia, z któremi jednak ludzie obchodzą się w codziennem życiu z mniejszą etykietą.

Hiszpańskie zwyczaje dworskie czuwały nawet nad najściślejszemi zdarzeniami w królewskiej rodzinie; ciężki dla królowej był akt urodzin syna lub córki, gdyż w pokoju chorej, podobnie jak w Hiszpanji i we Francji, musiała być przytomna cała dworska komisja, która stwierdzała, że dziecko rzeczywiście jest członkiem dynastji. Gdy Marja Amelja zachorowała na ospę, której przebieg trwał czterdzieści dni, przepisy dworskie nie pozwalały królowi przez cały ten czas odwiedzać małżonki.

Rządy Karola III pomimo wszelkich naleciałości etykiety i przeszkód, wychodzących z łona zastarzałego społeczeństwa, były od czasów Alfonsa I najlepszemi rządami w Neapolu, a niemała część zasług królewskich spadała na ministra Tanuccego.

Gdy Tanucci przybył do Neapolu, szkolnictwo było w zupełnem zaniedbaniu. W szkołach uczono tylko trochę po łacinie, o nauce historji, geografji, matematyki, literatury włoskiej nie było mowy; oprócz kilku szkół średnich istniały tylko trzy szkoły elementarne, w których naturalnie uczyli duchowni. Najznakomitszą szkołą dla kobiet było Conservatorio dello Spirito Santo z sześćdziesięcioma zakonnicami. Mniszki rozporządzały funduszami na utrzymanie córek kobiet lekkich obyczajów, aby dziewczęta nie rosły pod wpływem niemoralnych matek. Zakonnice wolały owe fundusze rozdzielać pomiędzy protegowane przez siebie córki ubogich wprawdzie, ale zacnych rodzin; aby jednak postanowieniom fundatorów stało się zadość, musiały matki tych panien starać się o świadectwa, że należą do gildy kobiet ulicznych. W klasztorach żeńskich niewiele się zresztą dziewczęta uczyły; przygotowywano je tylko do kościelnej służby, o ile możności, do życia zakonnego, aby jak najbardziej zaludniać klasztory.

Uniwersytet wprawdzie istniał, ale nie zasługiwał na taką nazwę. Uczono tam prawa cywilnego i feudalnego, jako najpożyteczniejszej wiedzy w zawikłanych stosunkach prawnych neapolitańskich, na medycznym oddziale wykładano anatomję tylko cztery razy do roku, nauki przyrodnicze i matematyczne były wykluczone, jako umiejętności, które szerzą tylko niewiarę i herezję. Natomiast jezuici po dawnemu uczyli filozofji Arystotelesa, przyprawionej na sposób scholastyczny. Galileusz i Gassendi uchodzili za heretyków.

Dopiero za ministerstwa Tanuccego rozpoczęły się reformy w naukowych zakładach; ale postępy były powolne, a jeszcze w r. 1768 pisał abbate Galiani, że wychowanie kobiece jest rakiem, toczącym społeczeństwo, w niem ma swe źródło głupota, zabobon i zgorszenie. Wierzono w czarnoksięstwo, a „uczony“ Constantino Grimaldi, sędzia najwyższego trybunału, wydał około r. 1770 dzieło o czynnościach, które zależą od czartowskiej magji. *Delle operazioni che dipendono della magia diabolica artificiale e naturale.*

Do niemałych zasług rządów Karola III policzyć trzeba wznowienie poszukiwań archeologicznych w Herculanum, tudzież sprowadzenie do Neapolu zbiorów, przechowywanych w willi

Farnesych w Rzymie. Już w r. 1689 książę d'Elbeuf dowiedziawszy się, że robotnicy, kopiący studnię, trafili na starożytne marmury, rozpoczął tam metodyczne prace, które doprowadziły do odkrycia świątyni i wielu posągów. Część tych wykopalisk przesłał d'Elbeuf w podarunku Eugenjuszowi sabaudzkiemu do Wiednia. Po wyjeździe księcia z Neapolu poszukiwania archeologiczne w Herculanum zostały zaniedbane i rozpoczęto je na nowo dopiero w r. 1738 z rozkazu Karola III. Pracowano też z wielkim zapałem, a cały Neapol z gorączkową niemal ciekawością oczekiwał każdej wiadomości z Herculanum i cieszył się nowemi zdobyczami. Król Karol kazał umieszczać wykopaliska tymczasowo w pałacu swym w Portici, a obok polowania nic go tak nie zajmowało, jak owe „scavi". Strzegł ich też o ile możności przed okiem cudzoziemców, a przedewszystkiem przed kupiecką pożądliwością Anglików i temu zawdzięczać należy, że muzeum neapolitańskie stało się najpoważniejszym zbiorem starożytnej rzeźby. Osobliwie śledził Karol III ruchy angielskiego posła Wiliama Hamiltona, który współzawodniczył z królem w zakupywaniu waz greckich i sprzedawał je do Londynu. Hamilton dowiadywał się cichaczem, w których miejscowościach w Neapolitańskiem znajdowano greckie wazy, i tam w tajemnicy przed królem zarządzał poszukiwania. Wydał on później, jak zobaczymy, bardzo cenną publikację o greckich wazach.

Pożyteczne działanie Karola III przerwane zostało niespodziewanie w r. 1759. Ferdynand II, król hiszpański, umarł bezdzietnie, a następcą po nim w Hiszpanji został neapolitański Karol III. Kraje obojga Sycylji przypadły małoletniemu Ferdynandowi, synowi Karola III i saskiej księżniczki.

Ferdynand skończył właśnie ośm lat; był zdrowy, silny nad wiek, bardzo pojętny, ale potrzebował silnej ręki, któraby nim kierowała. Odjeżdżając do Madrytu, ustanowił Karol III w Neapolu rejencję, która miała rządzić, dopóki Ferdynand nie dojdzie do pełnoletności, to jest, do siedmnastu lat. Szóstego października 1759 zwołał król najznakomitszych baronów i delegatów miasta, a pomiędzy nimi naczelnika lazzaronów i otoczony rodziną, ambasadorami, ministrami i wyznaczoną rejencją, kazał przeczytać akt, na mocy którego zrzekał się korony neapolitańskiej na rzecz syna i życzył dotychczasowym swym podda-

nym jak najdłuższego pokoju i dobrego powodzenia. Rozrzewniony, odpasał szpadę, którą Ludwik XIV darował jego ojcu, Filipowi V, i oddał ją do rąk małemu Ferdynandowi, mówiąc: „Bierz ją na obronę wiary i poddanych".

Tego samego dnia wyjechał do Hiszpanji, nie zabierając z sobą nic, coby należało do neapolitańskiej korony. Kazał spisać jak najdokładniejszy inwentarz wszelkich kosztowności, będących własnością państwa, ba, nawet oddał pierścień, znaleziony w gruzach pompejańskich, który z upodobaniem nosił od kilku lat na palcu.

Siedmnaście hiszpańskich okrętów wojennych i kilka fregat czekało już w porcie, a nim słońce zaszło, puścił się król na daleką wyprawę z małżonką, dwiema córkami i infantami.

Lud neapolitański żegnał go z prawdziwym żalem.

Rejencja składała się z dziesięciu starych, prawie niedołężnych dygnitarzy, pomiędzy którymi jeden Tanucci był energicznym człowiekiem, w pełni władz umysłowych. Wychowanie jednak Ferdynanda powierzył król Dominikowi Cataneo, księciu di S. Nicandro, człowiekowi nie mającemu wyobrażenia o naukach, zabobonnemu w największym stopniu, którego jedynym celem było przypodobać się młodemu królowi. Książę preceptor wpoił przedewszystkiem swemu wychowańcowi przepisy, czego się w życiu wystrzegać powinien, a mianowicie uroków, kupił mu koralowe rożki, jako pewny środek przeciw działaniu złych oczu i pozwalał chłopakowi bawić się marjonetkami, co go nadzwyczaj zajmowało. Urządzono w teatrze dworskim wspaniały teatr marjonetek, a król w towarzystwie swego przyjaciela, Rivellego, poruszał figurki i prowadził w ich zastępstwie zakulisową rozmowę. Marjonetki młodego monarchy doszły do takiej sławy, że S. Nicandro nic nie miał przeciwko temu, aby arystokracja neapolitańska zbierała się na te królewskie przedstawienia, co więcej nawet, pozwalał znakomitszym podróżnym, bawiącym w Neapolu, podziwiać królewską zręczność.

Gdy króla znudziły marjonetki, dano mu strzelbę do ręki i wprawiano w łowiectwo, ulubione zajęcie ówczesnych monarchów, a chcąc urozmaicić przyjemności, obudzono w nim namiętność do rybołówstwa. O czytaniu, pisaniu lub jakiejkolwiek innej pożytecznej nauce nie było mowy, bo temu sprzeciwiał się

wychowaniec, a narażać mu się było rzeczą na przyszłość niebezpieczną.

Nie można było zrobić gorszego wyboru na mentora młodego króla. San Nicandro, stary lubieżnik, krył pod udaną pobożnością i szczególnem nabożeństwem do Madonny najbrzydsze nałogi, najwystępniejszą niemoralność. To też, gdy młodzieniec, oddany jego opiece, zaczął wyrastać, otoczył go San Nicandro samymi ludźmi, słynącymi z zepsucia, aby przez nich mieć wpływ na króla. Tanucci niewiele mógł pomóc temu wychowaniu, bo Karol III wierzył tylko ochmistrzowi, a wszelkie uwagi, zwrócone przeciw niemu, byłby uważał za intrygi ministra. San Nicandro umiał się zresztą zrobić potrzebnym najbardziej wpływowym kołom społeczeństwa, będąc prawie wicekrólem, rozdając rozmaite łaski i tytuły za pieniądze.

V

W pobliżu kościoła dominikanów w Neapolu znajduje się mała kaplica, S. Maria della Pietà, zwana także kaplicą Sansevero, która oddawna bywa zwiedzana przez cudzoziemców z powodu rzeźb, tam się znajdujących. Ale według przekonań neapolitańskiego ludu w kaplicy tej mieszkają złe duchy, a może i sam szatan ją odwiedza. Powody do tego mniemania dość ważne. Kaplica należy do pałacu znakomitego rodu di Sangro, książąt di Torremaggiore, do dziś dnia jeszcze istniejących. Otóż w nocy 18 października 1590 rozegrała się tam krwawa tragedja. W pałacu mieszkała wtedy młoda para, książę Carlo Gesualdo ze swą małżonką, Marją d'Avalos. Pomimo dwudziestu dopiero lat donna Marja była już po raz trzeci zamężna. Jako piętnastoletnią pannę poprowadził ją do ołtarza Federigo Carafa; po jego wczesnej śmierci wyszła za Sycylijczyka Alfonsa Gioeni, a gdy i ten się przeniósł do wieczności, wybrała sobie, dwudziestoletnia, krewnego Carla Gesualda. Tak się jednak przyzwyczaiła do zmiany stosunków małżeńskich, że zawiązała znów stosunek z Fabriziem Carafą, księciem d'Andria, człowiekiem żonatym. Ale tych łask u pięknej Marji pozazdrościł mu Giulio Gesualdo, mniej szczęśliwy w zdobyciu jej wdzięków, i ostrzegł Carla, że żona go zdradza. Carlo, jak to często bywa, rozgłosił

pewnego dnia, że wyjeżdża na polowanie, ale o północy zakradł się cichaczem z kilkoma towarzyszami do komnat księżnej, a zastawszy tam Giulia, zamordował żonę i kochanka. Tragedja ta stała się powszechnie znaną; Tasso napisał z tego powodu trzy sonety i jeden madrygał, a lud neapolitański uwierzył, że na miejscu zbrodni szatan objął swoje panowanie.

Przekonanie to tak się zakorzeniło w wyobraźni neapolitańczyków, że gdy w jesieni roku 1889 pękła rura wodociągowa w pałacu Sansevero i wybuchająca woda narobiła wielkich szkód tak w pałacu, jak i w kaplicy, powszechnie mówiono, że winą tej katastrofy była zbrodnia, którą przed trzema wiekami popełnił Carlo di Sangro, z namowy szatana mordując żonę i Giulia.

Ale lud neapolitański jeszcze z innych powodów żywił nieufność do pałacu i kaplicy Sansevero. Kaplica była kilka razy przebudowywana i ozdabiana, najwięcej jednak przyczynił się do jej „upiększenia" i wzbogacenia Raimondo di Sangro († 1771), człowiek dość dziwaczny, przyjaciel króla Karola III.

Raimondo uchodził za czarownika i maga, ponieważ zajmował się fizyką, chemją, mechaniką i robił rozmaite wynalazki, których pospólstwo zrozumieć nie mogło. Słynny Szwajcar La Lande poznał go w Neapolu i potwierdza w swej *Podróży po Włoszech,* że z trudnością przyszłoby gdzie indziej spotkać księcia, któryby był tak, jak Raimondo, uczony z zawodu i niesłychanie biegły w naukach przyrodniczych i w sztuce. Wynalazł tak zwaną „wiatrówkę", strzelbę, której mechanizm polega na ścieśnionem powietrzu, maszynę hydrauliczną i armatę, ważącą tylko trzydzieści funtów, a wyrzucającą daleko swe pociski. Wyrabiał sukno bardzo cienkie, nie przepuszczające wody, które stanowiło rozkosz takiego myśliwego, jak Karol III, bo można było w płaszczu, z niego zrobionym, chodzić w największy deszcz na polowanie. Wynalazł farby woskowe, które się zdawały wówczas jeszcze piękniejsze, aniżeli olejne. Jemu nadto zawdzięczano mnóstwo wynalazków pirotechnicznych, które dzisiaj spowszedniały i stanowią bogactwo ogni sztucznych.

Ten artysta pirotechnik, grand hiszpański pierwszej klasy i właściciel przynajmniej trzech pompatycznie brzmiących księstw, był synem Antonia di Sangro i Cecylji Gaetani d'Aragona, która umarła w rok po urodzeniu Raimonda. Owdowiały

Antonio nie mógł się pocieszyć po śmierci ukochanej małżonki, a wychowawszy syna sierotę, przywdział habit zakonny i umarł w późnym wieku, w r. 1757. Raimondo chciał artystycznem dziełem uczcić pamięć ojca w rodzinnej kaplicy, a słysząc o wziętym wówczas rzeźbiarzu genueńskim, Franciszku Queirolo, sprowadził go w tym celu do Neapolu. Niezwykły człowiek, jakim był Raimondo, wpadł na oryginalny pomysł. Ponieważ ojciec jego ze śmiercią Cecylji Gaetani miał złamane życie, więc syn chciał owe zawiedzione nadzieje Antonia przedstawić w alegorycznej rzeźbie. Rzecz wypadła trochę niejasno, ale charakterystycznie dla prądów neapolitańskiej rzeźby. Nagi mężczyzna zawikłał się w sieć rybacką i stara się z niej wydobyć, w czem mu dopomaga skrzydlaty chłopaczek, który ma na głowie koronę i płomyk światła. Ma on przedstawiać panowanie, wyższość genjuszu, który jedynie człowieka z więzów materji wyswobodzić może. Oczywiście przebija tu już wpływ filozoficznych prądów ośmnastego wieku. Artysta zadał sobie jednak najwięcej pracy na wyrzeźbienie olbrzymiej sieci, zakrywającej większą część ciała owej męskiej postaci, i wzbudził taki podziw, że postać tę uważano za największe arcydzieło włoskiej rzeźby. Z tą grupą wstąpiła włoska rzeźba na te niebezpieczne tory, po których krocząc dalej, starali się artyści więcej o przezwyciężenie technicznych przeszkód w obrabianiu marmuru, aniżeli o prawdziwą artystyczną piękność. W ostatnich czasach można było jeszcze „podziwiać“ na cmentarzach w Bolonji lub w Genui nieboszczki z marmuru, siedzące na własnym grobie w koronkach i haftach misternie wyrzeźbionych, albo młodzieńca we fraku, w tak dokładnie oddanem wieczorowem ubraniu, że z łatwością można było spostrzec, że miał lakierowane trzewiki i starannie wykrochmalony gors u koszuli.

Ale synowi przywiązanemu do swoich rodziców nie było dość statuy „Disinganno“; uczcił on i pamięć matki arcydziełem podobnego rodzaju. Antonio Corradini, neapolitański artysta, wykonał na jego zamówienie statuę, przedstawiającą alegorycznie „Wstydliwość“, która stoi na grobie Cecylji Gaetano. Dziwna to „Pudicizia“, która o wiele jest nieprzyzwoitsza od zupełnie obnażonych greckich postaci. Jest to teatralnie ustawiona młoda kobieta, przykryta od stóp do głów przejrzystą

gazą, pozwalającą więcej się domyślać, jakby to wypadało w rodzinnej kaplicy. Technika nadzwyczajna, a słusznie utrzymywał jeden z dawniejszych krytyków włoskich, że sztuka obrobienia marmuru dalej już posunąć się nie może. Gaza z marmuru uderza swoją cienkością, radaby zasłonić kobiece wdzięki, a przecież nic nie zasłania.

Corradiniemu pozazdrościł sławy inny artysta, Giuseppe Sammartino, i do tej samej kaplicy wyrzeźbił znów postać zmarłego Chrystusa, leżącego na materacu i na dwu poduszkach, traktowanych, jak można tylko, najnaturalistyczniej, przykrytego także przejrzystą gazą.

Raimondo di Sangro nie mógł lepiej, jak w tych trzech postaciach, oddać ówczesnego smaku neapolitańskiej sztuki, której hasłem było: zadziwić ludzi śmiałością rylca, techniką i niebywałemi pomysłami.



Marja Karolina

(Według sztychu z portretu Taglioliniego z r. 1784)

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

KRÓLOWA MARJA KAROLINA

I

Cesarzowa Marja Teresa, przechodząc w myśli możliwych kandydatów na męża dla jednej ze swych córek, sądziła, że król neapolitański Ferdynand byłby najodpowiedniejszą partją tak co do wieku, jak i ze względów politycznych. Zrazu więc w porozumieniu z dworem hiszpańskim, z ojcem Ferdynanda, miała mu oddać arcyksiężniczkę Amalję; ponieważ jednak Amalja była o pięć lat starsza od króla neapolitańskiego, a nadto Ferdynand wyraźnie prosił o młodszą, Karolinę, więc cesarzowa postanowiła przeznaczyć na królowę neapolitańską tę ostatnią.

Karolina, podobnie jak jej młodsza siostra Antoinetta, miała za wychowawczynię hrabinę Marję Brandis, a za spowiednika i duchownego kierownika Antoniego Gürtlera, kanonika u św. Szczepana. Rozkład dziennych zajęć był podobny, jak u innych córek cesarzowej: dużo modlitwy i częste ćwiczenia religijne, najściślejsze obserwowanie postów i innych kościelnych przepisów, a przytem bardzo skąpa i powierzchowna nauka. Karolina, charakter dość niezależny, przyszła jednak do przekonania, że hrabina Brandis niewiele ją nauczy, więc prosiła cesarzową o inną mentorkę, wskutek czego, z polecenia Marji Teresy, objęła tę posadę (1767) hrabina Lerchenfeld. Ale to ochmistrzowstwo nie trwało długo, bo już po dziewięciu miesiącach pupilka została przeznaczona na małżonkę dla Ferdynanda IV. Hrabina musiała jednak być kobietą nadzwyczaj wykształconą, gdyż Karolina później często wspominała, że to, co umie, zawdzięcza tylko pani Lerchenfeld.

mgr. A. Leichert

Marszałek polny, markiz Pallavicini, otrzymał polecenie, aby arcyksiężniczkę odprowadził do Włoch, a hrabina Paar została ochmistrzynią jej dworu kobiecego.

Siódmego kwietnia 1768 odbyły się bardzo uroczyście zaślubiny Karoliny w kościele augustjanów w Wiedniu. Pana młodego zastępował brat arcyksiężniczki, arcyksiążę Ferdynand, a obrzęd kościelny odprawił nuncjusz papieski, kardynał Viteliano Borromeo. Natychmiast po tej ceremonji przebrała się Karolina w podróżny strój, w niebieską suknię ze złotemi obszyciami, a ten sam kolor przeważał w ubraniach jej otoczenia.

Ze ściśniętem sercem wyjeżdżała arcyksiężniczka z Wiednia, wiedząc, że się stała ofiarą polityki. Marja Teresa napisała córce długi, bardzo zresztą rozumny memorjał, jak się ma zachowywać wobec swego męża i jakiemi zasadami ma się kierować jako królowa; ale to były teorje, które jeszcze bardziej powiększały niepokój przed przyszłością. Pomiędzy przykazaniami cesarzowej był i ten ustęp, aby Karolina unikała wszelkiej kokieterji i niezbyt wiele zajmowała się swoją toaletą.

Począwszy od Florencji odprowadzał arcyksiężniczkę brat jej, wielki książę toskański Leopold, wraz ze swoją małżonką Ludwiką.

Ciężka to była podróż dla Karoliny; z Marino pod Rzymem pisała do hrabiny Lerchenfeld, że ma się wprawdzie dobrze, ale serce jej smutne, gdyż się zbliża do miejsca swego przeznaczenia. „Za trzy dni będę w Terracinie, dodała w liście, gdzie mnie oddadzą przyszłemu mężowi, a stamtąd już tylko 19 albo 20 godzin do Caserty“. Wielki książę Leopold donosił zaś matce, że Karolina tak zrozpaczona, że czasem nie wie, co mówi.

Dwunastego maja przybyli podróżni do Terraciny, Karolina drżała na całem ciele, tak, że Leopold obawiał się, aby nie zemdlała. W Portello, pierwszem neapolitańskiem miasteczku, oczekiwał ją król Ferdynand. Wrażenie nie było najlepsze. Arcyksiężna donosiła hrabinie Lerchenfeld, że król jest bardzo brzydki, ale można się przyzwyczaić do jego brzydoty; charakter ma jednak lepszy, aniżeli mówiono. Zachowanie ma dziecinne, skłonne do różnych nieprzystojności. Najbardziej ją niecierpliwiło, iż mu się zdaje, że jest piękny i zgrabny, podczas gdy ani jedno ani drugie nie jest jego zaletą. „Kocham go tylko

z obowiązku, pisała, ale robię co mogę, aby obudzić w nim przekonanie, że kocham go namiętnie. Obchodzę się z nim z wielką łagodnością i cierpliwością; on mówi wprawdzie, że mnie kocha, ale nic nie zrobi, o co go proszę".

W innym liście do swej byłej ochmistrzyni zwierza się królowa, że wołałaby umrzeć, jak wycierpieć jeszcze to, co wycierpiała w pierwszych dniach swego zamężcia. Gdyby nie religja, byłaby sobie życie odebrała; pierwsze ośm dni zdawały się jej piekłem. Do przykrych wrażeń, jakie na niej sprawiła nowa ojczyzna, przyczynił się jeszcze dwór neapolitański, szlachta i lud tamtejszy. W każdym niemal liście do ojczyzny maluje stosunki neapolitańskie w najczarniejszych barwach. Ciągle wzdycha do ukochanej Austrji, a gdy raz przybył z Wiednia służący z psami myśliwskiemi, które cesarz darował królowi, nie posiadała się z radości na widok wiedeńczyka.

Stosunki neapolitańskie były zupełnie odmienne od życia na dworze Marji Teresy: tu monarchistyczny patrjarchalizm, kierowany łagodną ręką rozumnej kobiety; tam stek intryg, zawiści, zbrodniczych podstępów. Młoda królowa, nie zrażona jeszcze do ludzi, pełna dobrej wiary, nie mogła się zrazu zorjentować w tem osiem gnieździe, zwłaszcza, że król nie umiał jej ani oświecić ani ochronić przed obmową i intrygą. Musiała przedewszystkiem nauczyć się podejrzliwości w osądzaniu tamtejszych ludzi; ale, niestety, nigdy do zupełnej wprawy w tej mierze nie doszła, charakter bowiem wrażliwy, łatwo podlegający chwilowym instynktom, pozwalał jej nieraz wierzyć dworzanom, którzy na to nie zasługiwali, a wskutek tego zmieniać zanadto szybko swe sympatje. Czując się zupełnie obcą pomiędzy Włochami, otoczyła się służbą niemiecką, aby przecież mieć jakieś oparcie, a nawet jej prywatny sekretarz pochodził z Austrji. Do tego otoczenia bardzo się przywiązywała, a gdy która z jej kobiet nie znosiła klimatu i musiała wracać do ojczyzny albo zamąż wychodziła, była to mała katastrofa dla królowej, nie znoszącej obcych twarzy. Razu pewnego, gdy jej z Wiednia przesłano cały transport dworskich kobiet, cieszyła się, że wszystkie przyjechały zdrowe, nie mogła ukryć w listach swej radości. Później, do nauki dzieci sprowadzała także wiedeńczyków, pomiędzy innymi Ignacego Plenera, który był nauczycielem an-

gielskiego języka w Teresianum. Do najzaufańszych przyjaciółek zaliczała hrabinę Zichy, z domu Palffy, która latami bawiła w Neapolu i zawsze w pobliżu królowej miała swe mieszkanie. Nawet wojskowe otoczenie Karoliny było austrjackie, a cudzoziemcy, którzy chcieli mieć u królowej posłuchanie, spostrzegali z pewnem zdziwieniem, że w przedpokojach można się rozmówić czystą niemczyzną.

Oczywiście gniewało to Włochów i hojnie się mścili na królowej oszczerstwem i obmową. Gdy Karolina okazywała więcej sympatji któremu z mężczyzn arystokracji neapolitańskiej, natychmiast wymyślano jakiś niedozwolony pomiędzy nimi stosunek. A trzeba dodać, że królowa prawie aż do francuskiej rewolucji słynęła z piękności. Biała płeć, jasne włosy, oko pełne życia, śliczny wzrost, składały się na to, aby należała w Neapolu do najpowabniejszych kobiet. Nie dziw też, że niejeden młodzian z tamtejszej arystokracji rad był przypodobać się królowej, a gdy przypadkowo Karolina częściej go widywała, plotkarstwo dworskie chwytało w lot pozory, aby je zamienić na zajmujący romans. Zdarzało się, że sami Włosi, o których chodziło, półsłówkami zdawali się potwierdzać te podejrzenia, aby w ten sposób dać poznać swemu towarzystwu, jakiego szczęścia doznali.

Ponieważ zaś królowa okazywała w obejściu dużo swobody, więc złośliwa publiczność bardzo się nią zajmowała. Wielce charakterystyczny obraz tego towarzystwa, w jakie królowa weszła w Neapolu, daje pani de Saussure, Francuzka z Genui, w swoim pamiętniku. „Byłam na obiedzie, powiada, u pani Hamilton, pierwszej żony posła angielskiego, gdzie później nadeszło dużo osób, jak p. de Bombelles, książę Pignatelli, jenerał Szuwałoff i księżna di Belmonte“. Ta ostatnia zajmowała bardzo wybitne stanowisko w neapolitańskiej arystokracji, miała trzech kochanków: słodkiego don Felice, pięknego Niccolina i jakiegoś jeszcze ciemnego bruneta. Mimo swych rozlicznych zajęć z adoratorami była księżna bardzo przyjemna i wesoła. Prawie codziennie wieczorem widywała ją pani de Saussure u księżnej Ferolite, gdzie także do częstych gości należał małżonek niewiernej księżnej, principe di Belmonte, i w dziwnej zażyłości i przyjaźni żył z amantami swej żony.

Raz wyjechało całe to towarzystwo powozami przypatrzyć się wyścigom, które się świetnie udały; nawet lazzaroni wystąpili w swych niedzielnych ubraniach, a ich kobiety w spódnicach i gorsetach, obszytych świecącemi galonami. Jedni tańczyli tarantelę, drudzy śpiewali barkarole.

Innego dnia, we czwartek, zebrała się kompanja u księżnej Ferolite, która była daleko przyjemniejsza i bardziej ożywiona, jak zwykle, ponieważ we wtorek przyjechał jej kochanek hr. Colione. Znajomi mówili do niej o hrabi Colione, jakby to był jej mąż lub brat, i wogóle dziwna tam panowała otwartość co do sercowych stosunków. Księżna Ferolite, zwracając się do obecnej księżnej Castel Pagano, nazwała ją głośno hrabiną Wurmbrandt, gdyż ten poseł austrjacki bliższy był jej sercu, aniżeli małżonek, książę di Pagano. Tego rodzaju pomyłka bynajmniej nie obraziła księżny, owszem odpowiedziała z humorem, że podobne qui pro quo często jej się zdarzają; sama po kilka razy nazwała hrabiego Wurmbrandta hrabią Kaunitzem, bo ten ostatni był poprzednim jej adoratorem. Każda z pań z towarzystwa neapolitańskiego, stara czy młoda, brzydka czy ładna, ma swego kochanka, nawet księżnę Duro, grubą i czerwoną, jak przekupka, widać zawsze z przystojnym oficerem.

Pani Saussure pojechała innym razem do księżnej de Belmonte, aby zobaczyć procesję, w której król i królowa brali udział. Było tam kilka pań na balkonie, a gdy spostrzegły przechodzących swych kochanków, wołały na głos: Ecco il tuo innamorato! Ecco il mio! Ah! come e bello, figlio mio, gioia mia! Dio lo benedica! [1]. Okrzykom tym towarzyszyły znaki, dawane ręką, i uśmiechy.

Sześćdziesięcioletni markiz Santo Marco, kapitan gwardji królewskiej, miał ochotę zmienić te zwyczaje i po ożenieniu się utrzymywał, że on tylko ma wyłączne prawo do swej połowicy. Ale wkrótce przekonał się, że jego zasady nie dadzą się przeprowadzić, że trzymając się ich, ośmieszyłby się w całem towarzystwie; więc nie widząc innej rady, zaprzyjaźnił się z kochankiem swej żony. Niektórym członkom wybitnych rodzin chodziło o to, aby koniecznie mieli syna, mogącego dziedziczyć świetne

[1] Oto twój kochanek! oto mój! Ach! jaki on piękny, moje dziecko, moja radość. Niech go Bóg błogosławi!

nazwisko i wielki majątek. Gdy jednak po kilku latach po ślubie syn na świat nie przychodził, starali się mieć zastępcę w małżeństwie. Książę de Palma był w tem położeniu i z niekłamaną uprzejmością ułatwiał stosunek swej żony z panem Lomma. Gdy z tego związku urodził się syn, przyjmował książę powinszowania, jakgdyby jemu się rzeczywiście należały.

Zwyczaje w sprawach miłości były w Neapolu tak głęboko wkorzenione, że młoda królowa, pomimo że najlepiej wychowana, nie mogła z niemi walczyć, tem bardziej, że nie były to znowu tak niemiłe zwyczaje, aby młoda, piękna kobieta jakimś purytańskim uporem chciała sobie narażać całe społeczeństwo, a co gorsza, i samego króla Ferdynanda.

U dworu zastała królowa dziwnie naiwną pod tym względem familjarność; zdarzyło się Karolinie w początkach jej panowania, że księżna La Tripolda prosiła ją, aby mogła przyprowadzić na bal w Casercie swego adoratora. „Bardzo go kocham, on także do mnie przywiązany i strasznie nam przykro, jeżeli nie jesteśmy razem w towarzystwie“, dowodziła księżna. Królowa się uśmiechnęła i kazała posłać zaproszenie nieodłącznemu przyjacielowi księżny. Coś podobnego zdarzyło się lordowi Burgersh, ministrowi angielskiemu we Florencji. Na pierwszy swój bal, dany dla tamtejszej arystokracji, zaprosił jedną z pań bez jej uprawnionego kochanka. Obrażona piękność napisała natychmiast otwarty list do marszałka dworu lorda, nie znającego włoskich zwyczajów, aby zwrócił uwagę swego pana, że ją „obsługuje“ ten a ten pan z towarzystwa (che sono servita da il tel e tel cavaliere) i że bez niego nie mogłaby przyjść na bal do Anglika. Lord zastosował się do żądania i kazał zaprosić niezbędnego przyjaciela.

Księżna Pietra Piersia posunęła się jeszcze dalej w owych przyjętych zwyczajach i prosiła w najlepszej wierze królową Karolinę, aby jej dopomogła swą radą w wybraniu nowego kochanka. Miała ich wprawdzie od czasu zamążpójścia cały legjon, od blondynów do najciemniejszych brunetów, ale może właśnie z tego powodu wybór dla niej był już tak trudny. Niewiadomo, jaką Karolina dała radę; ale widocznie była mowa o tej naiwności księżny w kołach dworskich, gdyż poseł francuski de Berenger donosił o niej księciu de Choiseul 26 stycznia 1776.

Takie było dworskie otoczenie, jakie Karolina zastała w Neapolu. A czy mąż był lepszy? Bynajmniej. Odznaczał się wprawdzie dobrodusznością i rozsądkiem, powiem, tak zwanym chłopskim rozumem, ale to było za mało. Te dwie zalety nie opuszczały go aż do rewolucji francuskiej, która, jak zobaczymy, zupełnie zmieniła jego charakter. Na panującego wszakże nie był stworzony; przedewszystkiem żadnego nie miał wykształcenia. Królowa kształciła go, o ile mogła, jej usiłowania nie na wiele się jednak przydały. Nauczył się wprawdzie pisać bardzo niewyraźnie, ale ułożyć list było dlań niezmierną pracą; na szczęście królowa prowadziła bardzo pilną i rozległą korespondencję. O historji nie miał Ferdynand wyobrażenia; raz utrzymywał, że przed Chrystusem nad całym światem panowali Turcy, i upierał się przy swojem twierdzeniu. Wogóle charakteryzowało go niesłychane lenistwo myślenia; to też, gdy przyszło do jakiego ważnego postanowienia, wynosił się z pokoju, otwarcie powiedziawszy ministrom: „Pozostawiam królowej decyzję“. Uciekał wtedy czem prędzej do Caserty, aby go „nie nudzono“, pomimo że często miał o rzeczach bardzo trafny sąd.

Bywało, że tygodniami nie wracał do Neapolu; nie troszczył się zupełnie o to, co się z rządami dzieje, wiedział, że jego żona mądrzejsza.

Na wsi ubierał się Ferdynand, jak prosty rolnik; w dużych kieszeniach nosił cały arsenał rozmaitych narzędzi ogrodniczych, bawił się psami, a gdy go proszono o jakąś łaskę, prawie z nieśmiałością udawał się do ministrów; żądania jego były czasem tak niemożliwe do spełnienia, że się spotykał z odmową. Rybołówstwem zajmował się z największem upodobaniem, a gdy połów, zwłaszcza pod Posilippem, się udał, sam stawał nad morzem, brał jedną rybę po drugiej do ręki i pokazując ją zgromadzonym handlarzom i lazzaronom, wychwalał towar i urządzał licytację: „Kto da więcej?“ Często kupujący, zawiedzeni w nadziejach, wpadali w gniew, przezywali głośno króla, co go pobudzało do śmiechu, lubił bowiem przekomarzać się z publicznością. Razu pewnego odbywała się w Casercie ważna narada ministrów, przy której byli obecni prawie wszyscy członkowie rządu. Naraz ktoś mocno zapukał do drzwi; zadziwiono się tej śmiałości, ale król wiedział, iż to umówiony znak z leśniczym,

że dziki się pokazały w pobliżu. Przerwał więc posiedzenie i czem prędzej udał się z psami na wskazane miejsce. Pomiędzy Ferdynandem a królem hiszpańskim istniało wielkie współzawodnictwo, kto więcej zwierzyny upolował; często więc przesyłano myśliwskie daty statystyczne z Madrytu do Neapolu i z Neapolu do Hiszpanji. Zdarzało się jednak, że król ojciec bywał górą, co Ferdynanda bardzo gniewało. Starano mu się jednak wytłumaczyć, że łatwo Karolowi być lepszym Nemrodem, bo w Hiszpanji większe lasy i więcej zwierzyny.

Król Ferdynand lubił popularność, zwłaszcza u ludu neapolitańskiego, i nawet kokietował z ulicą. W teatrze widziano go nieraz, jak w loży połykał maccaroni na sposób lazzaronów ze wszystkiemi sztuczkami (lazzi), właściwemi arlekinom, co się publiczności bardzo podobało. Ponieważ zaś jego twarz, na której panował olbrzymi nos, nadawała się do karykatur, więc nazywano pospolicie monarchę „il rè Nasone". Był zresztą bardzo przywiązany do neapolitańskiego ludu, obcując z nim bez ustanku; przywiązanie to posuwało się nawet tak daleko, że ze szczególnem upodobaniem zawiązywał stosunki miłosne z włościankami. W lasach, w pobliżu Caserty, miał kilka domków myśliwskich, które raczej służyły do miłosnych schadzek, aniżeli do łowieckich odpoczynków. Mniej chętnie kierował swe afekty ku paniom z arystokratycznego świata, wymagało to bowiem za wiele zachodów, zwracało uwagę królowej, która wprawdzie dość obojętnie spoglądała na leśne wycieczki swego małżonka, ale nie lubiła współzawodniczek pomiędzy paniami wyższego towarzystwa. Zdarzało się nawet, że principessy i contessy, które zanadto się starały przypodobać królowi, wysyłano na dalekie zamki, na prowincję.

W pewnym związku z wiejskiemi amorami Ferdynanda było założenie, zresztą bardzo pożytecznej kolonji San Leucio koło Caserty, która świadczyła o postępowych ideach króla. Chciał on podnieść zaniedbany wówczas przemysł neapolitańskiego ludu, a przedewszystkiem jedwabnictwo, a zarazem stworzyć model gminy, któraby się sama rządziła i tworzyła prawdziwie zdrowe społeczeństwo.

W r. 1789 wydał Ferdynand edykt, w którym na wstępie utrzymywał, że w wielkim pałacu w Casercie, wybudowanym

przez jego ojca, nie znajduje dość spokoju i samotności „koniecznej do rozmyślania — odpoczynku ducha"; chce więc mieć miejscowość, odpowiadającą jego ideałowi wiejskiego pobytu. W tym celu zamierza urządzić rodzaj pustelni, „Romitorio" i na ten cel przeznacza uroczo położoną miejscowość San Leucio.

Były może chwile, kiedy Ferdynand szczerze rad był schronić się przed swoją królewskością do jakiejś pustelni. Życie w neapolitańskim zamku pełne było jeszcze hiszpańskiej pompy. Jeden z niemieckich podróżnych, Rehfues, opisuje następującą scenę. Królowa naznaczyła mu wieczorem posłuchanie; czekał więc w wielkiej, bardzo wysokiej, źle oświetlonej sali. Naraz powiedziano mu, aby się dłużej zatrzymał, bo monarcha ma właśnie przyjść do królowej. I rzeczywiście, po chwili uchylono kotarę, zasłaniającą drzwi w głębi sali, i ukazał się dziwny pochód. Naprzód szło kilku laufrów i paziów z długiemi świecami, za nimi Ferdynand, a następnie znów cały szereg paziów ze świecami. Było to w czasach, kiedy król się postarzał; wysoki mężczyzna o wspaniałym nosie, trochę pochylony, opierał się na długiej trzcinie hiszpańskiej. W półcieniu wielkiej sali procesja ta robiła przerażające, ponure wrażenie. Zdawało się, że steranego życiem króla wprowadzają do Hadesu. Pochód zakończył się wszakże mniej tragicznie; król powrócił wkrótce w ten sam sposób, jak poszedł.

Podobne wrażenie wyniosła Fryderyka Brun, przypatrując się królowi w r. 1796 podczas procesji Bożego Ciała. Ferdynand wyglądał nieszczęśliwie, szedł pochylony, smutny. „Dobry człowieku, czemuż włożono ci koronę na twą zacną, ale słabą głowę! Twojem przeznaczeniem było spokojnie polować na wsi i trudnić się rybołóstwem" — dodaje autorka.

Więc w młodszych latach mógł Ferdynand naprawdę tęsknić za pustelnią, ale za pustelnią w bardzo świeckim rodzaju. Z pomocą zapewne jakiegoś „uczonego" ułożył on statut dla swego Romitorio, tchnący już ideami przodowników rewolucji francuskiej. W kolonji miała panować najzupełniejsza równość pomiędzy mieszkańcami, a więc wszyscy powinni się jednakowo ubierać. Żadnej różnicy, żadnego zbytku. Małżeństwa mogły być zawierane li tylko za wolną wolą narzeczonych, rodzice sprzeciwiać się ich postanowieniu nie mogą. Dziewczętom nie daje się

żadnego posagu; król obdarza młode małżeństwo domem i wszystkiem, co potrzebne do założenia nowego gospodarstwa. Pogrzeby jak najprostsze, bez niepotrzebnej pompy, żałoby się nie nosi, chyba małą oznakę na rękawie. Szczepienie ospy obowiązkowe, równie obowiązkowa nauka elementarna: czytanie, pisanie i rachunki.

Zarząd gminy należy do urzędu senjorów, wybieranych na rok jeden przez naczelników rodzin w tajnem głosowaniu. Przestępcy, skazani przez senjorów, mają być oddani sądom królewskim, ale poprzednio pozbawieni ubioru kolonistów, aby im nie przynosili wstydu. Król zakończył swój edykt słowami: „Słuchajcie tych praw, a będziecie szczęśliwi".

Wkrótce zebrało się w tej kolonji trzydzieści rodzin, a wszyscy mieszkańcy musieli być zdrowi, silni, przystojni, bo innych nie przyjmowano. Król kazał posprowadzać maszyny, potrzebne do robót ręcznych, a niebawem tkaniny z San Leucio były znane w całych Włoszech, a osobliwie tamtejsze pończochy miały wielkie powodzenie.

Ale Ferdynand nie miał pustelniczego usposobienia; swatał w kolonji małżeństwa, trzymał dzieci do chrztu, odwiedzał rodziny, a przy tej sposobności zanadto blisko poznawał co piękniejsze kolonistki. Mówiono, że król sobie harem założył; mężowie zaczęli być zazdrośni i zdarzyło się, że jeden z młodych kolonistów strzelił przez okno do króla, wkradającego się w jego małżeńskie prawa. Kula o mało że nie trafiła Ferdynanda w głowę; sielanka została przerwana, a zazdrosny kolonista zniknął. Mimo tego wypadku Ferdynand tak ukochał swoją kolonję i wspomnienia z nią się wiążące, że objąwszy po raz wtóry panowanie nad Neapolem, mieszkał po większej części w lecie w swym domu, zwanym Belvedere, w S. Leucio i zawsze starał się o rozwój fabryki jedwabiów i o wyposażenie dziewcząt tam zajętych.

Historja jednak z zazdrosnym mężem w San Leucio nie naruszyła popularności Ferdynanda pomiędzy ludem; miał zawsze najsilniejsze poparcie u lazzaronów, którzy go inaczej nie nazywali, jak „Rè Nasone". Zczasem jednak nie podobało się policji to zanadto lekceważące przezwisko; więc lazzaroni przemienili je w przyjemne dla króla pochlebstwo, a mówiąc o nim

przytykali pięść do nosa i wołali: „Niech żyje ten, o którym mówić nie wolno!“ „Viva chello che non se po di — Viva stu nasillo!“

Gdy królestwo w r. 1790 wyjeżdżali do Wiednia, lazzaroni zgromadzili się przed królewskim pałacem i zaczęli wołać: „Panie, prosimy cię w imię świętego Mikołaja, powróć prędko, bo przecież jesteśmy twojemi dziećmi“. Król ukazał się na balkonie i powiedział: „Ed io lo prometto per Santo Nicola di tornare presto“. Wieczór urządzili lazzaroni pochód z pochodniami i oświadczyli przez swego dowódcę, Sabato, że król nie potrzebuje pozostawiać rejenta, że on i jego towarzysz, Fabiano, będą się starać, aby panował w mieście porządek. Król kazał rozdać pomiędzy tych swoich przyjaciół 50 uncji złota, a obydwom naczelnikom wyznaczył aż do swego powrotu pensję po 25 dukatów miesięcznie.

Do charakterystyki Ferdynanda dodać jeszcze należy, że gdy z czego nie był zadowolony, łatwo się unosił; ale gniew prędko przemijał i król chętnie naprawiał to, co w uniesieniu zawinił [1].

Królowa przyzwyczaiła się wprawdzie do nowych stosunków, ale charakter jej zmienił się w walce z mężem i z otoczeniem. Nabierała pewnej gwałtowności i twardości wobec tego gbura, tego nieuka, goniącego tylko za własnemi przyjemnościami, zdradzającego ją na każdym kroku, towarzysza życia, który prawie pisać nie umiał i dopiero zczasem przyswoił sobie możność ułożenia krótkiego listu. Czuła w sobie wyższość nad nim, starała się zapanować nad stosunkami i zawładnąć państwem.

Do skupienia władzy w jej rękach przyczyniła się przezorność cesarzowej. Marja Teresa kazała zastrzec w kontrakcie małżeńskim córki, że z chwilą, kiedy Marja Karolina będzie miała pierwszego syna, zostanie członkiem przybocznej rady królewskiej z głosem doradczym. Głos doradczy zmienił się

---

[1] Pod tytułem *Der Gott der Lazzaroni* wyszła w r. 1800 w Neapolu książeczka, rodzaj romansu alegoryczno-satyrycznego z życia Ferdynanda IV, z piękną ryciną, przedstawiającą króla-rybaka, otoczonego dziewczętami i chłopakami, z którymi się targuje o cenę swego połowu. (Zdaje się, że tak miejsce druku, jak data wyjścia książki są fałszywie podane).

wszakże wkrótce na przeważny, gdyż królowa była czynna i często stanowcza, podczas gdy Ferdynandowi brak było hartu i jakiejkolwiek pomysłowości.

Pierwszego syna miała dopiero po siedmiu latach małżeństwa (1775); poprzednio rodziły się same córki, a od r. 1772 do 1793 doszła do pokaźnej liczby potomków, do ośmnaściorga dzieci.

II

Wobec rozpustnika męża i lekkości neapolitańskich obyczajów rozwiały się zczasem surowe zasady, które królowa wyniosła z rodzicielskiego domu. Było niejako historycznem przeznaczeniem, że w uroczym kraju, gdzie leżą Baje, nie ostoi się kobieca cnota.

Zaraz w pierwszych chwilach pobytu w Neapolu zbliżyły się do Karoliny dwie bardzo zręczne panie: markiza di San Marco i księżna di San Clemente, i umiały sobie wyrobić towarzyską opiekę nad młodą królową; obznajamiały ją, może zanadto dokładnie, ze wszystkiemi tajemnicami świata, tak odmiennego od spokojnego życia w austrjackiej stolicy. Należały one do najdowcipniejszych pań towarzystwa, ale zarazem i do kobiet bardzo swobodnych obyczajów. Odegrały przy królowej Karolinie podobną rolę, jak księżna de Polignac przy Marji Antoinecie. Do nich przyłączył się jako towarzysz książę di Caramanico, jeden z najmilszych mężczyzn wielkiego świata neapolitańskiego, a zarazem członek tamtejszej loży wolnomularskiej. Loże wolnomularskie zyskały sobie w Neapolu wielką popularność z tego powodu, że papież Benedykt XIV nadzwyczaj ostro przeciw nim występował. Pomiędzy opinją publiczną a papiestwem wrzała tam odwieczna walka polityczna z powodu tej souverainetè, którą papieże sobie przypisywali nad państwem neapolitańskiem, a walka właśnie wówczas się zaostrzyła, bo Tanucci postanowił nie płacić Rzymowi zwyczajowego trybutu, siedmiu tysięcy dukatów, i nie posyłać papieżowi białego konia. Rząd więc i cały dwór był nieprzyjaźnie usposobiony względem papieża, a ponieważ Benedykt XIV walczył z wolnomularstwem, więc tem samem towarzystwo neapolitańskie je popierało, tem bardziej, że związki masońskie uważano raczej za dobroczynną, aniżeli za

polityczną instytucję. Zresztą wolnomularstwo i sposobem przyjmowania nowych członków i tajemniczemi obrzędami działało na wyobraźnię publiczności.

W drugiej połowie XVIII wieku tajne stowarzyszenia dziwny miały urok, zwłaszcza jeżeli ich zasady pochodziły z Francji. Jednym z wielkich propagatorów wolnomularstwa był abate Jerocades, uczony dziwak, który piechotą przeszedł większą część Włoch i Francji. Założył wówczas kilka lóż wolnomularskich w Kalabrji i wydał w duchu masonów napisany zbiór poezyj, pod tytułem *Lira forense.* Miał mnóstwo zwolenników, osobliwie pomiędzy młodzieżą; był z zasady monarchistą, ale żądał, aby królowi dać wszelką możność robienia dobrego, a natomiast pozbawić go jakiejkolwiek sposobności do czynienia złego.

Dopiero mniemanie, jakoby wszelkie niepokoje we Francji miały swoje źródło w tych tajnych stowarzyszeniach, sprowadziło w r. 1789 w Neapolu zakaz wszelkich zebrań wolnomularskich; nie wolno było nawet w publicznych lokalach rozmawiać o francuskich stosunkach. W r. 1793 musiał Jerocades odpokutować swoją wolnomyślność, przełożył bowiem *Marsyljankę* na język włoski, za co zamknięto go w klasztorze S. Pietro di Cesarano w Kalabrji.

Nie dziw, że wobec popularności tajnych stowarzyszeń przed rewolucją francuską, książę Caramanico przedstawił Karolinie odwiedziny zgromadzeń wolnomularskich jako obowiązek królowej, a wrodzona jej ciekawość dokonała reszty. Dość, że królowa wzięła kilka razy udział w publicznych zgromadzeniach wolnomularskich, co jej zyskało popularność w kołach neapolitańskiej inteligencji. Książę Caramanico zostawał przez długi czas pod urokiem młodej, pięknej królowej, a mówiono, że i Karolina okazywała mu dużo sympatji, co dało powód do wieści, które mogły być nieprzyjemne Ferdynandowi IV.

Książę, umysł bardzo kulturalny, wzbudzał u królowej miłość do włoskiej literackiej przeszłości, a pojętna uczennica powtarzała wkrótce całe stanze z Tassa i długie ustępy z poematów Wergiljusza. Urządzano wycieczki do Sorrento, pielgrzymki na grób augustowskiego wieszcza, królowa coraz bardziej stawała się Neapolitanką.

Ferdynand i Tanucci starali się wzmocnić marynarkę wojenną neapolitańską, co Karolina także popierała; ustanowiono więc nowy korpus marynarzy, których nazwano liparotami. Królowa chciała się bliżej przypatrzyć tym obrońcom ojczyzny, urządzono więc oryginalną zabawę. Zaproszono liparotów na bankiet do jakiejś osterji w Portici; król został na chwilę szynkarzem, królowa kelnerką, a dworzanie i przyjaciółki Karoliny pomagali parze monarszej w tem nowem zajęciu. Zwierzchność wojskowa powiedziała cichaczem żołnierzom, aby udawali, że się nie domyślają, kto im usługuje i zachowywali się tak, jakgdyby byli w zwykłej osterji. Król opasał się białym fartuchem i wdział beret, jakim zazwyczaj właściciele botegi nakrywali głowy, a Karolina zakasała rękawy muślinowej sukni, zawiesiła korale na szyi i zawiązała głowę chustką z niebieskiego jedwabiu na sposób kobiet z Portici i z Resiny; panowie i panie z towarzystwa królewskiego podobnie się przebrali i roznosili wino, sery i salami. Zabawa się wybornie udała, królowa poznała zbliska korpus marynarzy.

Do arystokratycznego towarzystwa należał wówczas (w latach 1779—1781) w Neapolu hr. Andrzej Razumowski, członek poselstwa rosyjskiego, dwudziestoośmioletni młodzieniec, bardzo przystojny, pełen osobistych zalet, którego królowej z Wiednia polecono. Pomiędzy nim a księciem Caramanico można było zauważyć pewną wzajemną niechęć, gdyż obydwaj ubiegali się o łaski królowej; mówiono, że Karolina okazywała im dużo sympatji, ale zczasem wybrała Rosjanina. Nie pamiętam już, który z Francuzów XVIII wieku powiedział, że moralność jest przyjętym zwyczajem, który się zmienia według krajów i klimatów. Otóż i Karolina uległa w Neapolu tej teorji i zastosowała się do klimatu. Książę Caramanico zdawał się zanadto poetycznie usposobionym i jak tradycja niesie, miłość jego do królowej była tylko platoniczna. Inaczej pojmował namiętność Razumowski i został szczęśliwym. Andrzej jednak był człowiekiem honorowym i nigdy nie wspominał o tem, jak daleko doprowadziła go przyjaźń z Karoliną. Ożenił się później z hrabiną Elżbietą Thun-Hohenstein, przyjaciółką królowej, i mieszkał we Wiedniu; ale na nieszczęście hrabianka Thürheim, także zaprzyjaźniona z Razumowskimi, pozosta-

wiła bardzo zajmujące pamiętniki, w których opisuje następującą historję.

W r. 1823 pojechała z nimi do Neapolu i tam poznała księcia Giovanbattistę Caracciolego, starca, który był za czasów Razumowskiego urzędnikiem poselstwa rosyjskiego w Neapolu. Caracciolo opowiadał, że wówczas powszechnie wiedziano o stosunku Andrzeja z królową Karoliną. Raz jednak, zapewne po jakiejś scenie obopólnej zazdrości, zażądała królowa od Razumowskiego, aby jej oddał kasetkę, zawierającą listy do niego pisane. Ale ani prośby ani groźby królowej nic nie pomogły; Rosjanin nie chciał wydać tego skarbu. Zdarzyło się jednak niebawem, że podczas gdy Andrzej był u królowej, wybuchł „przypadkowo“ pożar w jego mieszkaniu. Ogień z łatwością ugaszono, ale w zamięszaniu, które powstało w pałacu, zginęła owa szkatułka i znalazła się później w ręku królowej. Razumowski jeszcze usilniej żądał zwrotu tych pamiątek; wszelkie prośby jednak na nic się nie przydały i doprowadziły nawet do zupełnego zerwania stosunków pomiędzy romansującą parą. Pomimo to wszystko Razumowski po pięćdziesięciu latach podczas swego pobytu w Casercie polował z królem i najzupełniejsza pomiędzy nimi panowała harmonja. Zapewne Ferdynand IV nie wiedział o jego stosunku z Karoliną [1].

Może więcej przykrości, niż szkatułka Razumowskiego, sprawiło królowej zajście z polnym koniuszym Gualengą, nadzwyczaj przystojnym mężczyzną, którego kobiety sobie wydzierały. Był on przez jakiś czas „uznanym“ kochankiem księżnej Aliano, ale po zbliżeniu się do królowej, stał się jej niewiernym. Aliano, urażona w swej niewieściej dumie, ostentacyjnie zer-

---

[1] Baron Helfert w swej książce: *Maria Karolina von Oesterreich, Anklagen und Verteidigung*, wydanej w r. 1884, nie mógł jeszcze znać w przeszło trzydzieści lat później ogłoszonych pamiętników hrabiny Thürheim i sądził, że Razumowski miał stosunek z jedną z dam dworu Karoliny, a nie z samą królową. Baron Helfert miał tę wiadomość od jakiejś „poważnej“ osobistości, która za młodu widziała kilka biletów „wysoko położonej kobiety“ do Razumowskiego, z napisem: „Mon cher André“ i podpisem „C...“. Te wspomnienia „poważnej“ osobistości nie zdają się zaprzeczać, ale przeciwnie potwierdzają to, co Caraccioli pani Thürheim opowiedział.

wała z Gualengą, a całe towarzystwo arystokratyczne z łatwością się domyślało powodu jej postąpienia. Karolina obawiała się stąd nieprzyjemnego rozgłosu, więc udała się przez przyjaciółkę, księżnę Buture, do Aliany, aby nie wywoływała skandalu, zapewniając, że uznaje jej prawa do koniuszego i że bynajmniej nie myśli go jej odbierać. Ale dumna księżna nie przystała na taki targ, a ponieważ dotąd pomagała pieniężnie Gualendze, któremu pensja koniuszego nie wystarczała, więc zawiesiła swe wypłaty. Królowa musiała ją zastąpić i Gualenga otrzymywał odtąd miesięcznie wynagrodzenie za swe krótkotrwałe sympatje dla królowej.

Dziwićby się zresztą nie można, gdyby królowa, która nigdy Ferdynanda nie kochała i nawet szacunku dla niego wyrobić w sobie nie mogła, nie zboczyła z prostej małżeńskiej drogi. To jej wszakże przyznać trzeba, że wszędzie, gdzie chodziło o honor męża i rodziny, starała się przedstawić Ferdynanda w jak najlepszem świetle. Czasami nawet w sposób trochę teatralny starała się podnosić swoje małżeńskie cnoty. Gdy później rozłączono wnuczkę jej, Marję Ludwikę, z Napoleonem i osadzono w Schönbrunie, mówiła do pana Meneval, sekretarza Marji Ludwiki, „że uważa to rozłączenie francuskiej pary cesarskiej za niesprawiedliwość, wołającą o pomstę do nieba, a jeżeli nadal będą rozdzielać to, co Bóg złączył, to nie pozostanie wnuczce nic innego, jak skręcić w linę firanki od łóżka, w przebraniu spuścić się przez okno i dążyć do męża. Tak przynajmniej onaby uczyniła, gdyby była w podobnem położeniu, gdyż jeżeli się poszło zamąż, to na całe życie“. Piękne powiedzenie, do którego się wszakże królowa niezawsze stosowała.

III

W pierwszych latach swego pobytu w Neapolu stawała się królowa Karolina wcale popularną, osobliwie u ludzi wyższego wykształcenia. Zaznajomiła się wybornie z literaturą włoską, przyjmowała u siebie uczonych, opiekowała się wykopaliskami w Pompei i wogóle znać było u niej szczere usiłowanie, aby kraj podnieść pod każdym względem. Kokietowała z filozofami, aby być w zgodzie ze współczesnemi prądami, o których nie przypuszczała, że będą podkopywać monarchiczne zasady.



Sir William Hamilton
(Według portretu Reynolds'a)

Ministrowie jej wszakże nie lubili; męczyła ich ciekawością, wszystko chciała wiedzieć, wszędzie zaglądać. Ba, nawet daleko od niej mieszkający i od niej niezależny austrjacki minister spraw zagranicznych Thugut nie mógł jej znosić. W r. 1795 pisał do Colloreda, „że królowa neapolitańska jest skrystalizowaną ciekawością i grzeszy brakiem taktu, miesza się do cudzej polityki, do wszystkiego, do ważnych rzeczy i do drobnostek; każdą pannę służącą musi wybadać w plotkarskiej rozmowie, a to, o czem się dowie, dalej opowiada z największą nieostrożnością".

Nadzwyczaj trafną charakterystykę Karoliny w późniejszych jej latach dał M. Alquier, poseł francuski w Neapolu w r. 1803 i 1804. Powiada on w swojej depeszy z 29 marca 1803 do rządu francuskiego [1], że królowa nie jest właściwie ani dobra ani zła. Kobieta to zdolna i mająca dużo wdzięku, ale żądna zabaw i panowania. Stąd miłosne i polityczne intrygi, pociągające za sobą sprzeczności, które niepokoją jej umysł i czynią go niewypowiedziane drażliwym. Życie królowej jest długim pasem „des vapeurs" i wskutek tych humorów bywa prawie równocześnie szczerą przyjaciółką i niebezpiecznym wrogiem, bigotką i kobietą, pozbawioną wszelkiej moralności, wyuzdaną kochanką, a zarazem żoną o niemożliwej zazdrości".

„Mówią o niej, że dobroczynna i wspaniałomyślna; daje wprawdzie dużo, ale bez wyboru i bez rozsądnych granic, a ta rozrzutność przyczyniła się niemało do finasowej ruiny państwa. Również za wysoko cenią jej rozum. Rozum jej, wykolejony ze sfery kobiecej i dręczony manją kierowania polityką, wyrodził w niej nerwowość, szkodliwą dla niej samej, a często i dla całej Europy. Czuje potrzebę intrygowania i ta namiętność nie opuszcza i nie opuści jej nigdy".

Do Tanuccego nie miała sympatji już od swego przyjazdu do Neapolu; „bakałarz" był zanadto potężny, wszak rządził państwem prawie samodzielnie od r. 1759, a nadto, zrazu, dopóki nie poznał królowej, nie zastosowywał się do jej woli. W odrazie do Tanuccego zgadzała się królowa z bratem swoim, cesarzem

[1] Znajdującej się pod powyższą datą w „Archives Étrangères" rzeczypospolitej francuskiej.

Józefem II, który go nienawidził, nazywał Tartuffem i mówił, że ten „coquin" umyślnie przyzwyczajał młodego Ferdynanda do rozmaitych rozrywek, aby go odsuwać od poważnych zajęć. Zresztą, przynajmniej w pierwszych latach pobytu królowej w Neapolu, powodował się jeszcze Tanucci wpływami króla hiszpańskiego, ojca Ferdynanda, a królowa chciała się wyswobodzić z pod tej opieki, szkodzącej samodzielności państwa. Wreszcie Tanucci niewiele dbał o armję, nie rozumiał się na wojskowości, a królowa, tym razem w dobrem porozumieniu z mężem, postanowiła zreorganizować siły zbrojne neapolitańskie, w czem słuchała rad swego brata, wielkiego księcia Leopolda toskańskiego. Niełatwo wszakże było znaleźć ministra, któryby się rozumiał na wojskowych sprawach, a przedewszystkiem na marynarce, tak ważnej w nadmorskiem państwie. Pomógł w tej mierze królowej wielki książę Leopold, polecając marynarza, który się odznaczył w toskańsko-hiszpańskiej wyprawie przeciw Barbareskom. Był to syn lekarza z Besançon, John Acton, pochodzący z irlandzkiej rodziny, jakby stworzony dla królowej Karoliny, sądzącej ludzi raczej z pozorów, aniżeli z charakteru. Acton, niesłychanie zręczny, poznał odrazu słabostki Karoliny i wlot stał się jej ulubieńcem. Z początku tylko reorganizator neapolitańskiej marynarki, został następnie ministrem spraw zagranicznych, a wreszcie wszechwładnym despotą, któremu wszyscy ministrowie musieli ulegać. Nowy dygnitarz, chociaż o piętnaście lat starszy od Karoliny, bardzo był przystojny, a królowa jeszcze w pełni wdzięków. Wkrótce zaczęto cichaczem mówić, że Acton jest dla królowej więcej, jak ministrem. Najnowszy, sumienny biograf Karoliny, André Bonnefons, przytacza w swem dziele wyjątki z depesz posła francuskiego (1788), który donosi rządowi, że pomiędzy Ferdynandem a królową doszło w ostatnich czasach do gwałtownych scen małżeńskich. Król podejrzywa Actona, że ma stosunek z Karoliną, i powiedział jej w gniewie, „że będzie się starał oboje schwycić na uczynku, a wtedy zabije ją i jego i ciała ich wyrzuci przez okno pałacu [1]. Ferdynand — pisze dalej poseł francuski — każe śle-

---

[1] André Bonnefons, *Marie Caroline*. Paris, Plon, 1905, str. 11 z archiwów spraw zagranicznych francuskich. Fonds Naples, 118. „Sa Ma-

dzić ministra i królową, ale nie spostrzega, że on sam jest otoczony szpiegami i że królowa wie o każdym jego kroku. Acton przebywa dwa lub trzy dni w tygodniu w Castellamare i ma na tyle odwagi, żeby przyjeżdżać stamtąd w nocy, w przebraniu do Neapolu, aby w tajemnicy mieć audjencję u królowej. To pewna, dodaje poseł, że od chwili ostatniego zajścia nie istnieje już serdeczny stosunek, jaki pierwej istniał pomiędzy królewską parą".

Pomimo tego zajścia powodzenie Actona u dworu rosło i obudziło niebawem powszechną ku niemu zawiść. Osobliwie, gdy mu królestwo darowali znaczne dobra, należące niegdyś do książąt Francavilla, i nadali połączony z tą donacją tytuł „principe", cała neapolitańska arystokracja zawrzała gniewem na intruza.

Z Actonem zaczął róść wpływ angielski na królową; wszechwładny minister urodził się wprawdzie we Francji, ale czuł się Anglikiem i majątkowe stosunki łączyły go z Irlandją. Obok niego był na dworze neapolitańskim oddawna ulubioną postacią sir William Hamilton, poseł angielski, akredytowany tam jeszcze w r. 1764, a więc na cztery lata przed przybyciem Karoliny do Neapolu. Sir Wiliam pochodził ze szkockiej rodziny, w chłopięcych latach był towarzyszem Jerzego III i został osobistym przyjacielem króla. Człowiek o nadzwyczaj miłem obejściu, wykształcony, przystojny, epikurejczyk, bardzo sceptycznie zapatrujący się na świat i na ludzi, przytem zamiłowany w pięknej południowej przyrodzie, zawołany myśliwy i znany archeolog. Przybył do Neapolu z żoną, która mu jednak w kilka lat umarła, a po jej śmierci dość swobodnie używał życia, jednak jako człowiek rozumny, z pewnem umiarkowaniem. Sir William umiał się przypodobać Ferdynandowi IV, bywał często jego towarzyszem w wyprawach myśliwskich, a królowa również go polubiła jako przyjemnego towarzysza. Archeologiczną specjalnością Hamiltona były, jak wiemy, wazy etruskie i greckie; kupował je, gdzie mógł, i robił za niemi poszukiwania, za-

---

jesté a dit à la reine, dans un accès de fureur: Je cherche à vous surprendre ensemble je tuerai l'un et l'autre et ferai jeter les cadavres par les fenêtres du palais".

zwyczaj w tajemnicy przed królem, który nie lubił, aby cudzoziemcy wywozili neapolitańskie wykopaliska. Jako prawdziwy Anglik, handlował antykami, a w r. 1772 zakupiło państwo angielskie jego zbiór waz etruskich za 8.400 funtów szterlingów. Część zbiorów Hamiltona przepadła w oceanie wraz z okrętem, który je wiózł do Anglji. Sir William wydał wcale cenne dzieło o wazach etruskich, a że i przyroda go nadzwyczaj zajmowała, więc miał sposobność napisać w Neapolu rozprawę pod tytułem *Observations sur le Vesuve.*

Antykwarze, ułowiwszy jaki obraz, rzeźbę lub monetę, nie pomijali nigdy posła angielskiego, aby mu nie ofiarować swej zdobyczy; byli pewni dobrej zapłaty, a nawet rybacy znosili mu rozmaite ciekawości, wiedząc, że Hamilton był wielkim znawcą morskich potworów o dziwacznych kształtach.

Zamiłowanie do antyków nie przeszkadzało, że ów epikurejczyk wyśmiewał się z namiętnych zbieraczy, a nawet nauczył ulubioną swoją małpę, że brała szkło powiększające do łapy i przypatrywała się z wielkiem zajęciem starożytnym medalom.

W domu Hamiltona zbierało się towarzystwo najświatlejszych ludzi Neapolu. Pomieszkanie było zapełnione pięknemi obrazami; pomiędzy niemi jaśniał „śmiejący się chłopak“ Leonarda da Vinci, który mu zapisała w testamencie jedna z pań neapolitańskich. Na schodach mieszkania ustawione były głowy dwóch filozofów, jeden płakał nad światem, a drugi się z ludzi wyśmiewał. Hamilton lubił bardzo obraz Salvatora Rosy, przedstawiający mężczyznę z papugą i małpą na swych barkach, obok którego stał cap z dużemi rogami. Właściciel tłumaczył znaczenie tego obrazu: „Siamo papagalli, scimie e bicci cornuti“. Na ścianach miał Hamilton powypisywane rozmaite zdania i przysłowia, z których jedno charakteryzowało jego epikureizm: „Gdzie dobrze — tam moja ojczyzna“. Napis ten gniewał Anglików.

Do najmilszych zakątków mieszkania należał pokój sypialny. Wisiały tam obrazy niewielkiej wartości, ale takie, które przypominały lordowi przyjemne chwile w życiu. Całe urządzenie malowało duszę właściciela. Najczęściej przesiadywał Hamilton na balkonie, okalającym róg pomieszkania, skąd się roztaczał przepyszny widok na morze i na Wezuwjusz. Ściany tej we-

randy były obite zwierciadłami, w których się przeglądały czarujące okolice Neapolu.

Hamilton miał także willę na Posilippie, położoną na skale, tuż na brzegu morza. Tam przebywał zwykle podczas gorących miesięcy. Willę tę zwano według włoskiego zwyczaju cassinem; mały ogródek okolony był żywopłotem z oleandrów, w środku znajdowała się altana z róż i jaśminów i stał mały Amor marmurowy.

W niedzielę urządzał lord przejażdżki w barce po morzu, a muzykanci przygrywali gościom ludowe barkarole.

IV

Otóż ten uczony epikurejczyk bawił w r. 1783 jakiś czas w Londynie i widywał się często ze swoim siostrzeńcem, Karolem Grevillem, członkiem jednej z najbardziej arystokratycznych rodzin w Anglji. U niego poznał młodą kobietę dziwnej piękności, Emmę Lyon, z którą Greville mieszkał. Hamilton miał wtedy lat pięćdziesiąt. Greville był bardzo zadłużony i nie wiedział, jak wybrnąć z trudnego położenia. Widząc, że wuj dyplomata bardzo mile spogląda na Emmę, postanowił mu ją odstąpić, a raczej sprzedać za długi.

Emma miała wprawdzie krótką, ale już dość burzliwą przeszłość. Według metryk była ona córką kowala Henryka Lyon i młodej wieśniaczki; według tradycji jednak ojcem jej nie był ów kowal, ale jakiś szlachcic angielski, który się wcale nie troszczył ani o matkę ani o dziecko. Matka musiała być bardzo ładna, bo jeszcze po śmierci kowala miała stosunek z lordem Halifax i mogła od biedy wychowywać Emmę. W trzynastym roku życia dostała się dziewczyna do służby, do przyzwoitej rodziny w Harwarden, a następnie pojechała z matką do Londynu szukać zajęcia. Najprzód została służącą u kompozytora Linleya, współwłaściciela teatru Drury-Lane, następnie postąpiła na pokojową u jakiejś Mrs. Kelly, gdzie miała czas czytywać romanse i chodzić do teatru. To zbyteczne zajmowanie się beletrystyką nie podobało się pani Kelly; odprawiła więc Emmę, aby odpowiedniejszego szukała „stanowiska“. Piękność była dla niej wielkiem poleceniem. Przyjął ją więc za kelnerkę jakiś właściciel małej restauracji, gdzie się schodzili malarze, aktorzy i mu-

zycy, liczna cyganerja artystyczna. Tam uczęszczała także aktorka miss Arabell, kochanka słynnego malarza Romneya; tu zapewne na widok o wiele mniej pięknej artystki przyszło Emmie na myśl szukać lepszej przyszłości od tej, jaka ją mogła czekać pomiędzy ubogimi artystami.

Tymczasem jednak nastąpiło pierwsze ważne wydarzenie w życiu dziewczyny. Ufna w swoją urodę, poszła do kapitana marynarki John Willet'a, aby go prosić o uwolnienie z wojskowej służby jakiegoś jej krewnego. Kapitan chętnie uczynił zadość prośbie pięknej Emmy, ale korzystając ze sposobności, nawiązał z nią stosunek. Widząc, że zaniedbana dziewczyna nawet dobrze pisać nie umie, kazał ją kształcić, a nawet uczyć gry na fortepianie. Nauka jednak niedługo trwała, bo wychowanka za dużo kosztowała marynarza, miała już toaletowe wymagania światowej kobiety; więc powierzył ją zamożniejszemu przyjacielowi, szlachcicowi Featherstonehaugh. Młodzieniec o trudnem nazwisku nauczył ją wybornie jeździć konno, ale przekonawszy się, że Emma spodziewa się potomka po marynarzu, wkrótce się z nią rozłączył.

Emma powiła córkę, oddała ją swej matce pod opiekę, a sama szukała znowu szczęścia w Londynie. Spostrzegł ją tam Dr. Graham, awanturnik w rodzaju Cagliostra, który głosił, że wynalazł łoże elektryczne, wywierające cudowne skutki. Kto odbył choćby niedługą kurację na tem łożu, zwanem już „łożem Apollina", ten odzyskiwał męskie siły, choćby był zupełnie wyczerpany lub w podeszłym wieku. Otóż Graham, widząc kobietę tak rzadkiej urody, jak Emma, postanowił zaangażować ją i użyć jako symbolu swej sztuki. Zadanie Emmy nie było trudne, musiała przedstawiać na małej scenie szarlatana boginię Higieę, osłonioną tylko bardzo przejrzystą gazą. Niebawem stała się owa cudownie piękna bogini nadzwyczajną reklamą dla elektrycznego zakładu Grahama, tak, że się schodzili tam już nietylko starcy, chcący odzyskać swe siły, ale i artyści, malarze, rzeźbiarze, tudzież złota młodzież, pragnąca przyjemnych wrażeń. Jakiś artysta wyrysował Emmę jako Danae z Jowiszem, co się jeszcze przyczyniło do jej rozgłosu.

Wśród tej młodzieży znalazł się Karol Greville, młody, przystojny i uchodzący za zamożnego. Pomiędzy nim więc a sta-

tystką zakładu Grahama przyszło do porozumienia, przyczem Greville stawiał bardzo stanowcze warunki, aby Emma porzuciła swoje lekkomyślne życie i oddała się wykształceniu swego głosu, gdyż widoczny miała talent do śpiewu. Emma na wszystko przystała, tem bardziej, iż szcześliwa była, że się nią ktoś szczerze zajął, a Greville bardzo się jej podobał.

Greville wynajął skromny dom w części Londynu jeszcze mało zamieszkanej i Emma z matką, panią Cadogan, sprowadziła się tam na wiosnę r. 1782. Jedyną artystyczną ozdobą tego chwilowego gniazda były rozwieszone po ścianach obrazy przyjaciół Karola, tak znakomitych malarzy, jak Reynolds i Romney. Pani Cadogan zajmowała się gospodarstwem, a pomagały jej dwie sługi; rachunki spisywano bardzo dokładnie, a kartka z nich wydarta dotąd istnieje. W październiku 1784 wydano na samą herbatę 12 liwrów, na cukier 9 liwrów, na jaja 4 szylingi, wobec czego rubryka na rękawiczki, wynosząca 6 szylingów, wydaje się bardzo małą. Przypuszczać trzeba, że herbatę musiała Emma zakupić na całą zimę. Istnieje tam i wydatek na jałmużnę, zapisany tylko w ilości połowy szylinga. Ale na tej kartce brak rachunków na toalety. Te musiały wynosić znaczne sumy, zresztą utrzymanie córeczki ze stosunku z marynarzem zaważyło także w budżecie. Mimo skromnych początków wydatki były ponad finansowe siły Grevilla, zwłaszcza że Emma uczyła się muzyki, śpiewu, a nawet literatury, a lekcje dużo kosztowały.

Najtrudniej było Emmie przyzwyczaić się do ortograficznego pisania, natomiast w muzyce robiła znaczne postępy. W nagrodę za jej piękny śpiew zaprowadził ją raz Greville do rotundy Raelagh, gdzie się odbywały koncerty, bale maskowe, a w ogrodzie urządzano iluminacje i ognie sztuczne. Entuzjazm muzyczny stał się jednak niebezpiecznym dla zachowania się Emmy. Jak tylko usłyszała pierwsze oklaski, dawane jakiejś śpiewaczce, porwana zapałem, wyskoczyła na krzesło i zaczęła śpiewać jedną ze swych ulubionych aryj. Zrazu ozwały się protesty; ale niebawem publiczność, porwana pięknością głosu Emmy, zaczęła się cieszyć, krzyczeć „brava! brava!“, co Grevilla do takiej doprowadziło rozpaczy, że po tej bezprogramowej produkcji czem prędzej wyprowadził Emmę z sali i zawiózł do domu.

U Grevilla poznała Emma malarza Romney'a, który uderzony jej pięknością, delikatnością rysów i melancholijną słodyczą, przebijającą się w oczach, prosił ją, aby mu służyła za model do całego szeregu obrazów. Przedstawiał ją jako Wenerę, jako Frynę lub bachantkę, a kompozycje, w których umieścił Emmę, należą do jego najznakomitszych utworów. Greville towarzyszył jej zwykle do pracowni artysty, który był szczęśliwy, że spotkał tak czarującą kobietę. Autor angielski, Hagley, pracując później nad życiorysem Romney'a, pisał do Emmy, że znakomity artysta zawdzięczał jej znaczną część swego powodzenia. Ona zdołała swym wdziękiem przełamać w nim wątpliwości, jakie miał co do swego talentu, i ośmielić go, że pojął najwyższe zadanie sztuki. Syn malarza, John Romney potwierdzał, że Emma była dla ojca „inspiratorką", „boską kobietą", do której się artysta fanatycznie przywiązał, a nawzajem ona czciła go, jako najszczerszego swego przyjaciela i doradcę. Sir Romney zrobił 24 jej portretów, nieskończoną ilość studjów i szkiców. Inni malarze pozazdrościli Romneyowi takiego modelu, a zczasem Lawrence wyrysował ją w całej postaci. Reynolds wymalował ją jako bachantkę, Hopner jako Magdalenę i Muzę komedji, a chyba mało istniało pięknych kobiet, któreby tak były pożądanym modelem dla artystów, jak Emma.

Nie dziw, że sir Wiliam podczas swego pobytu w Londynie coraz częstszym gościem bywał w domu Grevilla, którego zresztą bardzo lubił. Obeznany z rzymską historją, nazwał się tam starszym Plinjuszem, a siostrzeńcowi dawał miano Plinjusza młodszego, gdyż Plinjusz miał podobnie, jak Hamilton, synowca, do którego był przywiązany, a nadto Rzymianin i Anglik zajmowali się wybuchami Wezuwjusza.

W czasie tej idylli plinjuszowsko-londyńskiej sądzono w kołach politycznych, że Pitt ma wielką przyszłość przed sobą i że dojdzie do władzy, a ponieważ Greville żył w przyjaźni z Pittem, więc spodziewał się, że przez niego otrzyma jaką korzystną posadę. Wtedy mógłby się bogato ożenić, co byłoby jedynym ratunkiem w jego finansowem położeniu, które się stawało bardzo kłopotliwe. W tych projektach stawała się Emma przeszkodą. Powziął więc myśl, aby się pozbyć pięknej towarzyszki i rzucić ją w ramiona Hamiltona.

Tymczasem Hamilton wrócił do Neapolu, a Greville był przekonany, że wuj jak najmilsze wyniósł o Emmie wspomnienie. Zaczął więc od tego swoją intrygę, że otwarcie zwierzył się w liście, pisanym w r. 1785 do Hamiltona, że ma teraz przed sobą tylko dwie alternatywy: albo się ożenić, albo pozostać ubogim. W ożenieniu Emma jest niemałą przeszkodą; wielkąby mu zatem wuj zrobił przysługę, gdyby ją zaprosił do Neapolu pod pozorem kształcenia w śpiewie u włoskich mistrzów i zatrzymał ją tam aż do czasu, kiedy on, Greville, będzie miał zapewnioną majątkową przyszłość.

Emma przeczuwała intrygę, a że się już bardzo przywiązała do Grevilla, więc ogarnął ją niemały niepokój. Aby się od niego odzwyczaiła, wysłał ją Greville do morskich kąpiel z matką, dopóki nie nadejdzie formalne zaproszenie od Hamiltona.

Na to zaproszenie długo nie czekano; Emma je przyjęła, łudząc się jeszcze nadzieją, że Greville jej zupełnie nie porzuci. Na wiosnę r. 1786 wybrała się z matką, panią Cadogan, do Neapolu, gdzie podstarzały dyplomata przyjął rodaczkę z niekłamaną radością. Umieścił panie w osobnych pokojach, ale w palazzo Sessa, w rezydencji posła angielskiego.

Emma doszła do zupełnego rozkwitu swej piękności; miała cudowną płeć, o jaką u Angielek nie trudno, ciemne włosy „chatin“ tak obfite, że sięgały prawie do stóp, małą, wdzięczną twarzyczkę i usta, o których współcześni mówili, że były jedną z największych jej ozdób, przytem wyraz oczu anielski i niktby nie był posądzał tej kobiety, że kiedykolwiek zboczyła z drogi dziewiczej niewinności. Porównywano ją z najpiękniejszemi Madonnami włoskich mistrzów odrodzenia. Co do urody miała Emma jedną tylko rywalkę w Neapolu, Charlottę Campbell, córkę księcia Argylle, o której mówiono, że jest najpiękniejszą kobietą w Anglji. Artysta niemiecki Tischbein malował ją siedzącą w lesie ze zwojem nut na łonie, trzymającą zieloną gałązkę, aby zwabić jelenia, wychodzącego z gęstwiny.

Pomimo że stosunek Hamiltona do Emmy nie był bardzo jasny, piękna towarzyszka ambasadora robiła honory jego salonu i mnóstwo osób wysokiej arystokracji zagranicznej zaczęło tam bywać. Książę Gloucester, lord Heyley, książę Dietrichstein należeli do częstych gości i tylko neapolitańskie koła wyższego

świata uważały zrazu te przyjęcia za rodzaj angielskiego skandalu. Powabem salonu była sama Emma, zwłaszcza że zazwyczaj popisywała się swemi pozami artystycznemi, do których się wprawiła w pracowni Romneya.

Najlepiej może określiła te pozy baronowa Krüdener, pisząc, że Emma pierwsza dała ideę tańca prawdziwie dramatycznego, przedstawiając to pozy, przejmujące trwogą, to ruchy, pobudzające do rzetelnego rozczulenia. Jej taniec, jeżeli go tak nazwać można, jest mową, wypływającą wprost z głębokich wrażeń duszy i namiętności.

Goethe widział Emmę w r. 1787 i również był zachwycony jej pozami. Powiada on, że lady ubiera się w strój grecki, rozpina włosy, bierze do rąk dwa szale i wykonywa ruchy, gesty, które robią takie wrażenie, jakbyśmy byli snem upojeni. Ale ten sen staje się w naszych oczach materją i widzimy przed sobą pozy o przedziwnej rozmaitości, wszystko, co tylu artystów napróżno sili się przedstawić. Lady podnosi się, klęka, siada, kładzie się, poważna, smutna, groźna, lub w agonji. Układ swych włosów zmienia po sto razy, a do wyrażenia usposobień duszy wystarcza jej — chusteczka.

Hrabina de Boigne, z domu d'Osmond, opowiada w swoich pamiętnikach, że jako młoda dziewczyna służyła pani Hamilton często za towarzyszkę w jej przedstawieniach. Blond włosy panny d'Osmond stanowiły wyborne przeciwieństwo do pysznych, ciemnych włosów Emmy. Raz posadziła ją lady na kolanach, przed urną, z rękami złożonemi, jakby do modlitwy. Naraz jednak odepchnęła dziewczynkę, groźnie się prostując, a chwyciwszy ją za włosy, podniosła sztylet. „Bravo la Medea!" — zawołali obecni; ale Emma w tej chwili zmieniła pozę, przytuliła przestraszoną do swego łona, jakgdyby ją chciała ochronić przed gniewem niebios. „Bravo la Niobe!" — przyklasnęła publiczność.

Lord Hamilton sam przyświecał woskową pochodnią ruchom swej Emmy, wpatrzony w nią całem swem jestestwem. Później polecił niemieckiemu malarzowi Fryderykowi Rehburg, aby odrysował wszystkie główne pozy Emmy, które miss H. Gamlin kazała reprodukować w swem dziele o Lady Hamilton [1].

---

[1] H. Gamlin, *Lady Hamilton*. London, 1891.

Kobiety, jak malarka Lebrun i hrabina de Boigne, podnosiły z przyjemnością, że Emma nie umie się ubierać i jak tylko porzuci gazy i szale, w których występowała w swych pozach jako Diana, Wenera, Medea i t. p., zaraz można poznać, że się nie wychowała w salonach. Lord Hamilton jednak sądził inaczej i uwielbiał ją także bez starożytnej tuniki. Ale Emma nie poddawała się jego życzeniom; miała jeszcze nadzieję, że Greville za nią zatęskni, że jej zupełnie nie porzuci. Listy jej do Grevilla były pełne rzeczywistego przywiązania; dawny kochanek jednak albo zupełnie już do Emmy nie pisywał, albo odbierał jej wszelką nadzieję, aby jeszcze kiedykolwiek się ze sobą połączyli.

Tymczasem Hamilton się niecierpliwił, oddał jej swój ekwipaż do rozporządzenia, obsypywał podarunkami, nawet takiemi, które były własnością jego zmarłej żony. Emma się opierała i dopiero po sześciu miesiącach przyjacielskiego pożycia z Hamiltonem, kiedy już straciła wszelką nadzieję odzyskania Grevilla, postanowiła zemścić się i zostać legalną małżonką ambasadora. Wiedziała, że niczem nie może tak dokuczyć niewiernemu kochankowi, jak swem małżeństwem z Hamiltonem, gdyż Greville spodziewał się odziedziczyć majątek po swym wuju. Będąc już pewną, że Hamilton wszystko uczyni, czegoby zażądała, postanowiła, aby ślub jej z sir Williamem odbył się w Londynie, coby było zupełnym dla niej triumfem, a dla Grevilla wielkiem upokorzeniem ze względów towarzyskich.

Zresztą Hamilton był jeszcze bardzo przystojnym mężczyzną i miał tak ujmujące obejście, że Emmie nietrudno było się do niego przywiązać.

Dość, że Emma zawiozła Williama do Londynu, wzięła tam z nim ślub 6 września 1791, a co więcej, bywała z nim w niektórych arystokratycznych, mniej wymagających towarzystwach.

Piękność zwyciężyła.

Po wieczorze u księcia de Quensbury, gdzie ją powszechnie podziwiano, prosił malarz Lawrence, aby mu zechciała pozować do portretu. Na to Hamilton zezwolił, a nadto Romney odnowił z nią dawną przyjaźń i jeszcze ją kilkakrotnie malował. Wskutek tych pozowań pisał jeden ze znajomych Hamiltona, że „Sir William ożenił się ze swoją galerją posągów i wywiózł ją do Neapolu“.

Powrót ten był wszakże jednym z niewidzianych triumfów kobiety, która niegdyś usługiwała artystom w londyńskim „barze“. Na odnowionej scenie miała pozyskać przyjaźń Karoliny, siostry królowej Francji, zostać niejako jej najzaufańszym ministrem, rozdzielać łaski, kierować flotami i przejść do historji, jako postać, o której, mówiąc o walkach anglo-neapolitańskich z rzecząpospolitą francuską, przemilczeć nie można.

Zrazu była droga do tej wysokości dość trudna. Salon lady Hamilton zapełniał się wprawdzie arystokracją neapolitańską i najznakomitszymi cudzoziemcami, ale królowa Karolina przyjąć jej nie chciała.

V

Triumfy towarzyskie lady Hamilton musiały rozciekawiać królową, która w duszy pragnęła poznać to dziwo piękności, tem bardziej, że już widziała zapewne Emmę w teatrze. Ale ceremonjał dworski, duma córki Marji Teresy nie pozwalały narazie przyjmować byłej kelnerki, zwłaszcza że królowa obawiała się obrazić niektóre panie neapolitańskie, bardzo tem zgorszone, że poseł angielski śmie wprowadzić taką żonę do arystokratycznych salonów. Ale Hamilton reprezentował mocarstwo, o którego przyjaźń chodziło królowej, a zakochany sir William używał wszelkich środków, aby zapewnić swej małżonce ten ostatni triumf i przedstawić ją na dworze Karoliny.

Trudności więc w dogodzeniu próżności Emmy nie były znowu tak wielkie, jak się zrazu zdawało, a sir William użył pośrednictwa pani d'Osmond, bardzo dobrze widzianej u królowej, aby ostatnie lody przełamać. Karolina zezwoliła na przedstawienie sobie lady Hamilton, a sir Wiliam tak dobrze przygotował żonę na ową ceremonję, że Emma zupełnie się umiała zastosować do przepisów dworskiej etykiety, a lady Elliot, która była przytomna tej wizycie, zapewniała, że Emma wybornie zdała towarzyski egzamin, „co było tem dziwniejsze, gdy się pomyślało o początkach jej wychowania“. Triumf był zupełny; Emma nadzwyczaj się podobała królowej i stała się wkrótce jej najlepszą przyjaciółką. Lady postępowała bardzo zręcznie, aby w niczem nie dotknąć dumy Marji Karoliny. Pisała w jednym ze swych listów, że gdy jest z królową „en famille“, śmieją się obydwie,

żartują, śpiewają; ale jak tylko w salonie zbierze się liczniejsze towarzystwo, Emma bardzo skromnie się zachowuje, z takim „respektem“ zbliża się do Karoliny, jakgdyby jej jeszcze nigdy pierwej nie widziała. Udział w muzykalnych przyjemnościach miał czasem i Ferdynand, ale widocznie nie był bardzo muzykalny, bo Emma donosiła w r. 1793 Grevillowi: „Wczoraj śpiewałam przez trzy godziny z królem, ale on śpiewa tylko jak monarcha“.

Królestwo zapraszali Emmę w lecie na pobyt do Caserty; lady stała się prawie członkiem królewskiej rodziny, była, jak mówiono, „la favorissima“. W Neapolu bywała na małych kolacyjkach u królowej, na które Karolina zapraszała także posła austrjackiego albo którego ze swych ulubionych przyjaciół. Gdy pora już była spóźniona, zostawała Emma na noc w zamku, a dworska służba kobieca krytykowała przy tej sposobności ambasadorową, że wymaga takiego obchodzenia się z sobą, jakby była samą królową. Zręczna Karolina, wiedząc, że sir William nie ma tajemnicy przed żoną, wyciągała z Emmy wszystkie dyplomatyczne wiadomości i miała w ten sposób wyborne wiadomości o najważniejszych sprawach zagranicznych. To wszystko pochlebiało Emmie; zaczęła rzeczywiście uwielbiać rozum, a nawet serce królowej, pisała o niej do Grevilla, że „to najznakomitsza kobieta, jaka istnieje, a jej talent przewyższa zdolności innych kobiet świata“.

Królowa powzięła zczasem najzupełniejsze zaufanie do Emmy i powierzała jej tajemnice państwa. Gdy przypadkowo nie mogła się z nią widzieć, pisywała do niej codziennie, a zażyłość ta jeszcze się wzmogła, gdy królowa widziała, że lady ma na Hamiltona wpływ prawie nieograniczony. Wtedy Karolina pokazywała się z Emmą w teatrze, na spacerach, obydwie ubierały się podobnie, jakby dwie siostry. Historyk neapolitański, Pietro Colletta, wysnuł stąd pierwszy podejrzenie, jakoby pomiędzy temi kobietami istniał jakiś stosunek przeciwny naturze, co później inni pisarze powtarzali za Collettą. Ale ów historyk był wielkim nieprzyjacielem Burbonów i w 1799 zdołał tylko z wielką biedą ochronić się przed zemstą reakcji, a zatem nie można go uważać za bezstronnego sędziego Karoliny i jej przyjaciółki. W odznaczających się niezwykłą szczerością listach królowej do Emmy, których mnóstwo pozostało, niema śladu

jakichkolwiek aluzyj lub półsłówek, mogących potwierdzić przypuszczenia Colletty. Królowa uważała ambasadorową za najzupełniej sobie oddaną i przywiązaną ajentkę dyplomatyczną, a nieraz nawet z ujmą swej królewskiej powagi zanadto publicznie okazywała jej swe względy. Zresztą przywiązanie do królowej wywołało i u Karoliny podobne uczucia szczerej przyjaźni, o których, przynajmniej przez jakiś czas, wątpić nie było można.

Nasuwa się pytanie, czy Emma była dość inteligentną kobietą, aby mieć taki wpływ na rozumną Karolinę i stale, przez długie lata sobą zajmować. Pytanie to tem bardziej się narzuca, iż hrabina de Boigne zauważyła w swych pamiętnikach, że rozmowa z lady Hamilton nie mogła bynajmniej zająć, a pominąwszy jej talent do przedstawień plastycznych, była to kobieta prosta, pospolita. Gdy zrzuciła tunikę, aby wdziać zwykły strój, traciła wszelką „dystynkcję“. Otóż w latach, kiedy hrabina de Boigne widywała Emmę, była jeszcze małą dziewczynką i nie mogła mieć własnego sądu o ludziach; powtórzyła więc zdanie kobiet zapewne zazdrosnych o piękność i powodzenie lady Hamilton, a zresztą hrabina była bardzo złośliwą kobietą i jeżeli mogła o kimś ze swych współczesnych coś złego powiedzieć, to z przyjemnością to robiła. Czytając jednak listy Emmy do Grevilla, ma się wrażenie, że burzliwe życie dużo ją nauczyło i że była niepospolitą kobietą. Moralnych zasad mieć nie mogła, ale uczucie w niej nie wygasło, objawiało się przy różnych sposobnościach, a kobiecej zręczności i sprytu miała aż nadto. Piękność nie była jedyną jej zaletą; wprawdzie w pierwszych latach swego pobytu w Neapolu, gdy konno lub powozem jechała do teatru, wrażliwa publiczność wołała: „Eccola, eccola! Oh com'e bella, che fisonomia divina! Ella e bella come una Vergine!“; ale ta prawie dziewicza piękność mijała. Lady skłonna była do tycia i później nawet przemieniła się w nieforemną postać. Już na sztychu Rafaela Morghena jest ona trochę zbyt plastyczną pięknością, równie jak na portrecie, który malował pomiędzy rokiem 1797 a 1799 Wilhelm Tischbein w Neapolu, a Fryderyk Brun nazywa ją w r. 1796 „wspaniałą“ bachantką. Jeszcze zanim została ambasadorową i bywała na zebraniach w Casa Coltellini, nie uchodziła za tak pospolicie nudną, jak ją hrabina do Boigne chciała przedstawić.

VI

Ferdynand IV nie należał do ludzi odważnych; w późniejszym już wieku zwierzał się Metternichowi z fizjologicznych skutków, jakie na niego strach wywiera. Opowiadał po włosku, a raczej w dialekcie neapolitańskim, bo oprócz niewielu frazesów francuskich innego języka nie umiał.

Otóż poważny kanclerz musiał, nie śmiejąc się, wysłuchać, jakie król na sobie zrobił spostrzeżenie:

„Ten nieszczęsny strach, który człowieka obejmuje, jest czemś, co się tutaj zaczyna (w tej chwili kładł Ferdynand rękę na czubek głowy) i wstrząsa czaszką tak, iż zdaje się, że mózg z niej wytryśnie... Następnie przechodzi do żołądka, ma się uczucie, jak gdyby się mdlało i już, już śmierć na nas czyhała (mówięc to, chwytał się król za żołądek obydwiema rękami); strach jednak schodzi niżej (ręce królewskie wskazywały ten kierunek), czuje się djabelski ból i potem, potem następuje — brebre, brebre. Tym ostatnim wyrażeniom towarzyszył odpowiedni giest, nie dający się przyzwoicie opisać“.

Otóż te fizjologiczne uczucia królewskie miały nieraz znaczenie w ważnych chwilach historycznych.

Siedemnastego grudnia r. 1792 stanął francuski wice-admirał Latouche-Treville ze swoją flotą pod Neapolem; trzynaście wojennych okrętów wymierzyło swe paszcze na królewskie zamki, a wysłaniec admirała, grenadjer Belleville, zażądał od króla, aby w przeciągu dwóch godzin przeprosił Francję za to, że nie przyjął jej republikańskiego posła i nie uznał rzeczypospolitej francuskiej; w przeciwnym razie flota rozpocznie wojenne kroki.

Gdy Belleville wysiadł na ląd, czekały na niego niezliczone tłumy, wołając: „Odwagi, dzielni Francuzi, pięćdziesiąt tysięcy Neapolitańczyków stoi za wami!“

Król zwołał natychmiast radę wojenną; wyżsi wojskowi byli za obroną, ponieważ forty neapolitańskie mogły zniszczyć nieprzyjacielskie okręty, ale król wołał ciągle: „Pace! Pace!“, a królowa także do tego zdania się przychyliła, sądząc, że całe miasto pełne jakobinów. Postanowiono więc oświadczyć admirałowi, że Neapol zachowa przyjaźń dla rzeczypospolitej francuskiej i neutralność w wojnach europejskich.

Latouche odpłynął, ale z powodu burzy powrócił do portu, prosząc, aby mógł tam ponaprawiać okręty i zaopatrzyć się w wodę. Marynarze francuscy wylądowali grupami, chodzili po mieście, śpiewając *Marsyljankę,* co takie oburzenie wywołało u duchowieństwa, że księża zaczęli rzucać z ambon gromy na nowatorów i na niedowiarków, a rząd ogłosił, że śmiercią będzie karany, ktoby powtarzał słowa tego zbrodniczego hymnu, albo rozszerzał zakazaną melodję. Był to jednak najlepszy środek, aby *Marsyljankę* zrobić, zwłaszcza pomiędzy młodzieżą, bardzo popularną i zaszczepić jakobinizm w Neapolu. Poeta Luigi Serio napisał hymn wolności, deklamował go na zebraniu czcicieli rewolucji, na którem uczestnicy bankietu poprzypinali sobie na piersiach małe, czerwone berety, jako rewolucyjną odznakę. Nazwano ich „patrioti", a należeli do nich po największej części adwokaci, księża, młodzi kupcy, których liczba rosła w miarę, jak urzędowy dziennik neapolitański zaczął wymyślać w nieprzyzwoity sposób na Francuzów, nazywając ich „bandą głupców, którą niesłusznie nazywają francuskim narodem", „bandą rozbójników i entuzjastów, która nie wiedzieć z jakiego powodu uchodzi za zgromadzenie narodowe". Na wyzywający sposób traktowania Francuzów niemało wpłynęła królowa, która przy swem usposobieniu gwałtownem i namiętnem nie umiała miarkować swych wyrażeń.

Jak tylko Latouche ze swoją flotą odpłynął 18 grudnia 1792, zaczęło się straszne prześladowanie „wolnomyślnych", które doszło do gorączkowej furji na wiadomość, że Ludwik XVI został ścięty w Paryżu (21 stycznia 1793) i że ten sam los grozi siostrze Karoliny, królowej Antoinecie. Zrazu królestwo nie mogli pojąć, aby Francja okryła się taką zbrodnią; Ferdynand, wychowany w zasadach, które opromieniają jakimś nimbem osobę monarchy, przyzwyczajony do owego patrjarchalnego stosunku pomiędzy monarchą a ludem, jaki panował we Włoszech, stracił zupełnie miarę w ocenianiu stosunków. Sądził, że jakiś zbrodniczy szał opanował Francję, że świat się zupełnie przeinaczył i że tylko w bezwzględnem tyraństwie można znaleźć ratunek. W kilku tygodniach zmienił się jego dobroduszny charakter do niepoznania, „Rè Nasone" stał się podejrzliwy, krwiożerczy. Królowa zachowała cokolwiek więcej równowagi w postępowa-



Lady Hamilton

(Według portretu Romney'a)

niu; szukała rady w zbliżeniu się do mocarstw nieprzyjaznych Francji, przywiązywała do siebie posła angielskiego Hamiltona i Emmę, występowała coraz jawniej jako kierowniczka polityki państwa. Dwunastego czerwca 1793 zawarł rząd neapolitański przymierze z Anglją przeciw Francji właśnie w chwili, kiedy się tworzyła pierwsza wielka koalicja Anglji, Rosji, Sardynji, Hiszpanji, Portugalji z Prusami, z królem Węgier i Czech przeciw rewolucji.

Co się wtedy działo w Neapolu, trudno opisać. Aby ratować monarchję, utworzono tyrańską władzę „Giunta di Stato“, na której czele stanął książę Castelcicola, były przyjaciel królowej, i marchese Vanni. Prześladowanie podejrzanych przechodziło wszelkie rozsądne granice. Pierwszym, który się stał ofiarą Giunty, był Emanuel di Deo, młody zapaleniec, niezdolny do poważniejszych czynów. Szpiegostwo, denuncjacje opanowały społeczeństwo, stały się zaraźliwą chorobą; więzienia całego królestwa zapełniano bezmyślnie, trwoga panujących przemieniła się w krwawy szał. Wywożono mniemanych winowajców na puste, dalekie wyspy, gdzie ginęli z głodu. Kotzebue opowiada w swych wspomnieniach, że jakiś neapolitańczyk, chcąc dowieść, że nie uznaje nowych zasad, urządził u siebie świetną kolację w dzień, kiedy ścięto jego brata, a jakiś ojciec rodziny grał na gitarze przy otwartem oknie, kiedy jego syna prowadzono pod katowski topór.

Do powszechnego zamętu przyczynił się jeszcze wybuch Wezuwjusza w czerwcu 1794. Kardynał arcybiskup w olbrzymiej asystencji duchownych i niezliczonych tłumów wyszedł z procesją, aby zażegnać klęskę. Niesiono srebrny posąg Januarego i ampułkę z krwią świętego, a lud śpiewał:

San Gennaro ora pro nobis,
San Gennaro — miserere!
Christo popolo e fedele,
San Gennaro — miserere!

Ale Wezuwjusz nie przestawał wylewać swej lawy; zginęło trzydzieści troje ludzi, a zwierząt domowych aż 4.200. Koła przeciwne rewolucji uważały wybuch Wezuwjusza za karę Bożą, spuszczoną na lud neapolitański, a gdy przeszła katastrofa, powtarzano sobie, że widocznie i wulkan stał się stronnikiem jakobinów.

Z Francją napozór panował pokój, ale potajemnie zawarła królowa, bo ona teraz właściwie sprawowała rządy, przymierze nietylko z Anglją, ale i z Austrją, a król Ferdynand zajął się nawet armją, na której czele postawiono wypożyczonego od Austrji jenerała, barona Macka, który uchodził za wielkiego stratega. Marja Karolina pojechała do obozu w San Germano, ubrana w niebieską amazonkę z haftowanemi liljami na kołnierzu i złotemi guzikami, mając na głowie kapelusz wojskowy z białem piórem. W ten sposób przebiegała szeregi armji, która miała zwyciężyć Francuzów. Ale ani wojenne usposobienie królowej, ani strategja Macka nie na wiele się przydały. Francuzi wiedzieli o zawartej przeciw sobie koalicji, wysłali silny oddział wojska pod wodzą Championetta do południowych Włoch; Mack został pobity i 22 grudnia 1798 cofnął się już do Kapuy. O obronie Neapolu nie było mowy; wojsko neapolitańskie niewyćwiczone, trwożliwe, bało się Francuzów, a sam Mack niewiele mógł zdziałać. W stolicy jedynie lazzaroni okazywali przywiązanie do tronu i pragnęli bronić ojczyzny, zresztą publiczność oczekiwała z upragnieniem przybycia Francuzów.

W mieście powstało jak największe zamieszanie; pospólstwo, jak zwykle, zaczęło napadać na domy, rabować, królestwo mieli do wyboru: albo stanąć na czele lazzaronów i wznowić rewolucję Masaniella, albo się poddać jakobinom. Lazzaroni byli za słabi, aby tron ochronić, rewolucja pod przewodnictwem Francuzów byłaby zapewne zaprowadziła Ferdynanda i Karolinę pod gilotynę, jak to się stało w Paryżu.

Postanowiono uciekać do Palermo; ale ucieczka musiała się odbyć w tajemnicy, gdyż lazzaroni i część ludu, stojąca jeszcze przy tronie, byłaby uważała wyjazd królestwa za zdradę narodową i stawiała tej ucieczce jak największe przeszkody. Szczęściem dla królestwa stał Nelson w porcie z swemi okrętami. Chodziło o pośpiech.

W tej ważnej chwili odegrała lady Hamilton bardzo ważną rolę.

VII

Dziwnie złożona para staje się odtąd na czas dłuższy opiekunką królowej Karoliny i Ferdynanda IV, Nelson i lady Ha-

milton. Nelson, niemłody już Anglik, skromnego pochodzenia, syn pastora, mały, szczupły, o twarzy raczej pospolitej, na której trudno było wyczytać błyski większego talentu; ale widocznie, gdy przybył pierwszy raz na wody neapolitańskie, musiał już mieć dobre imię w angielskiej marynarce, bo lord Hamilton zaprosił go do swego domu na kilkotygodniowy pobyt i powiedział Emmie, aby go umieściła w pokoju, przeznaczonym tylko dla bardzo znakomitych gości, przyczem wyraził się, że ten marynarz dojdzie do wielkich zaszczytów. Emma aż zanadto dobrze zapamiętała te pochwały, a wprawna w podbijaniu serc, umiała sobie wkrótce pozyskać tego przyszłego bohatera Anglji. Nelson, pomimo że już żonaty, był jeszcze człowiekiem w sile wieku i miał w swem usposobieniu tę stanowczość i przedsiębiorczość, która się kobietom podoba. Przeciwnie, lord Hamilton bardzo się zestarzał, a Nelson z Emmą nazywali go później „poczciwym Hamiltonem“. Stosunek pomiędzy sir Williamem, Emmą i Nelsonem tak się przyjacielsko ułożył, że Emma określiła tę przyjaźń „jako jedno serce w trzech ciałach“, a gdy lord umarł, pisał Nelson do jednego ze swych przyjaciół, że „świat nigdy nie miał szlachetniejszego człowieka, jak sir William“.

Hamilton nie widział nic niebezpiecznego w przyjaźni Emmy i Nelsona; może zanadto zajęty swemi greckiemi wazami, mniej się już troszczył o miłość w małżeństwie, zwłaszcza, że Emma w owych czasach bardzo się zmieniła, tracąc wskutek utycia dużo dawnego wdzięku. A sir William był przedewszystkiem estetykiem. Dla marynarza jednak, który miesiącami nie widywał kobiety, miała Emma niemało uroku, tem bardziej, że mówiono o Nelsonie, że pragnął posiadać każdą kobietę, którą zobaczył, że nie był wybredny. Zwierzchnik Nelsona, lord Saint-Vincent, pisał do lady Hamilton w chwili, kiedy Nelson po zwycięstwie pod Aboukir miał powrócić do Neapolu, „aby nie pozwoliła zanadto się zbliżać do niego ponętnym neapolitankom, ponieważ on także stworzony z ciała i z krwi i nie potrafiłby się oprzeć ich kokieterjom“. Widocznie Saint-Vincent wiedział już wówczas, a więc przed bitwą pod Aboukirem, o stosunku Nelsona z ambasadorową i dał jej to poznać w tym trochę ironicznym zwrocie listu.

Stosunek ten zawiązał się w czerwcu 1798 i można powiedzieć, że lady Hamilton wywierała odtąd przez długi czas stanowczy wpływ na politykę królowej, a tem samem i na kierunek rządu neapolitańskiego. Gdyby nie starania Emmy, możeby Nelson nie był odniósł zwycięstwa nad francuską flotą pod Aboukirem. Rzecz się tak miała.

W czerwcu 1798 dowiedział się Nelson, że Bonaparte ze swoją flotą kieruje się ku Egiptowi; trzeba było się śpieszyć, aby francuskie statki dopędzić jeszcze na pełnem morzu i stoczyć z niemi walkę. Angielskie okręty w ciągłych pościgach za Francuzami na morzu Śródziemnem nie miały jednak ani wody ani żywności, aby płynąć dalej ku Egiptowi. Trzeba było koniecznie zaopatrzyć się w neapolitańskich portach, inaczej bowiem musiałby Nelson wracać do Gibraltaru, do głównej stacji angielskiej, a tymczasem straciłby możność spotkania się z flotą Rzeczypospolitej. Według konwencji, zawartej w r. 1796 między Neapolem a Francją, nie wolno było rządowi neapolitańskiemu dopuszczać naraz do portów państwa więcej, jak tylko dwa okręty angielskie; wszelkie więc przedstawienia admirała, aby zaprowjantować całą flotę Nelsona, były daremne. Mimo to Nelson spróbował jeszcze raz udać się w tej mierze do Neapolu i wysłał tam kapitana Troubridge. Zebrała się rada ministrów, która zbyt długo i bezowocnie debatowała. Wtedy Troubridge zwrócił się do Emmy, która mimo rannej godziny weszła do sypialni królowej z napisanym już rozkazem do komendantów w portach Sycylji, aby bezwzględnie, natychmiast zaprowjantowali przyjacielską flotę angielską admirała Nelsona. W krótkiej rozmowie przekonała Emma królową o konieczności tego kroku. Marja Karolina podpisała rozkaz; lady Hamilton triumfująca kazała sobie otworzyć podwoje sali, gdzie obradowali ministrowie i pismem królewskiem zakończyła ich obrady na korzyść Anglji.

Nelson zaprowjantował się w Syrakuzie, dopędził flotę Bonapartego i odniósł pod Aboukir, pierwszego sierpnia 1798, zupełne zwycięstwo. Bitwę pod Aboukir nazywał Nelson bitwą Emmy, gdyż bez jej skutecznej pomocy nie mógłby popłynąć do Egiptu.

Na wiadomość o rozbiciu francuskiej floty królowa Karolina zemdlała z radości, następnie wydawała jakieś z histerją

graniczące okrzyki zadowolenia, ściskała męża, dzieci, całe swoje otoczenie, a nawet, jak pisała Emma, „jej bałwanowaty małżonek“ wzywał błogosławieństwa niebios dla oswobodziciela Nelsona. Królowa zaczęła nosić kolczyki w kształcie kotwic, kazała sobie wyryć na guzikach napisy „Le Nil et Nelson“, słowem królestwo byli „en—nelsonnés“.

Usposobienie królowej wpłynęło nawet na lud neapolitański, który urządzał manifestacje nieprzyjazne Francuzom, a przyczyniła się niemało do tego lady Hamilton, która w upojeniu angielskiem rozdawała pieniądze i żywność pomiędzy ubogich, aby tylko ożywić sympatje dla Anglików. Kazała nawet iluminować hotel poselstwa angielskiego i z lampjonów urządziła tam krzyż maltański z literami H. N., co miało znaczyć, że Anglicy, a mianowicie Hamilton i Nelson, przyczynią się do oddania Malty w posiadanie króla neapolitańskiego. Złośliwi tłumaczyli jednak, że H. nie oznacza Hamiltona, ale że te dwie litery są tylko uświetnieniem nazwiska kochanka Emmy i znaczą Horatio Nelson. Zresztą było dużo prawdy w tej manifestacji, bo Nelson przygotowywał wyprawę na Maltę, do której król neapolitański wywodził sobie prawa posiadania z tego tytułu, że Karol V, jako król neapolitański, dał ją rycerzom rodyjskim, wygnanym z Rodos.

Wypadki następowały po sobie z piorunującą szybkością. Z rewji wojskowej w San Germano wyniosła Karolina jak najsmutniejsze wrażenie, nie widziała w armji najmniejszego oparcia. Pisała do córki cesarzowej (11 grudnia 1798): „Nasza podła armja, uwiedziona, zaprzedana, przy każdej sposobności ucieka. Niema nawet marynarzy; wszyscy albo nic niewarci, albo gotowi do zdrady. Szlachta posępna, ukrywa pieniądze i kosztowniejsze sprzęty, ale dla państwa nic nie robi. Urzędnicy, adwokaci starają się nie zetknąć z dworem, spiskują; wojskowi zmykają, albo są „des infames poltrons“.

Stosunki pomiędzy Francją a Neapolem jeszcze bardziej się zaostrzyły, gdy Rzeczpospolita mianowała tam swym posłem p. Lacombe Saint-Michel, który jako członek Konwentu głosował był za skazaniem na śmierć Ludwika XVI. Dwór i ambasada angielska agitowała pomiędzy lazzaronami przeciw Francuzom; to też, gdy dwa okręty francuskie przybyły przypad-

kowo do portu neapolitańskiego i wywiesiły trójkolorowy sztandar, pospólstwo zaczęło rzucać kamieniami na kapitana jednego z tych statków, a gdy poseł Lacombe życzył sobie nabyć lożę w San Carlo, cztery razy mu odpowiedziano, że niema już biletów. Wreszcie Francuzom było za wiele tych dokuczliwości, a jenerał Berthier, komenderujący w Rzymie, zażądał wydalenia Actona, którego uważał za największego frankofoba, tudzież ambasadora Hamiltona, co doprowadziło do zupełnego zerwania Neapolu z Francją i do wojny, która się tak nieszczęśliwie skończyła dla neapolitańskich Burbonów.

W tych czasach jedyny Nelson, który stał ze swoją flotą w porcie neapolitańskim, był kotwicą ratunku dla królestwa. Jemu, a właściwie Emmie, powierzyła się Karolina; dziewczyna z londyńskiego baru stała się duszą ucieczki.

Jakimś ukrytym podziemnym gankiem, prowadzącym z zamku do portu, przenosiła Emma własnoręcznie na okręt Nelsona „Vanguard", od 14 do 21 grudnia, przez siedm nocy królewskie kosztowności, jak jenerał Thiebault utrzymuje w swych pamiętnikach, klejnoty w wartości sześćdziesięciu miljonów i przeszło sześćdziesiąt miljonów w złocie. Prócz tego przenoszono na angielski okręt dużo waz greckich i etruskich, tudzież obrazów znakomitych mistrzów. Na przejazd do Sycylji przygotowano dwadzieścia pięć okrętów, gdyż mnóstwo osób bliżej dworu stojących nie chciało pozostać w Neapolu, aby nie paść ofiarą jakobinów. Ażeby nikt niepowołany nie wśliznął się na okręty, kazała królowa sporządzić miedziorytowe bilety, na których własnoręcznie ponapisywała słowa: „Imbarcate vi prega M. C.". Na bilecie były wyrysowane trzy postacie młodzieńców, z których jeden, stojąc pod cyprysem, trąbił, dwóch innych skinieniem ręki zapraszało do wejścia. Mimo najszczerszej chęci nie można było pomieścić wszystkich, którzy pragnęli wyjechać; rozpacz i strach pozostałych był taki, że marchese Vanni, jeden z krwiożerczych sędziów ostatnich lat, nie dostawszy biletu na żaden z okrętów, zastrzelił się z rozpaczy. Z królestwem odpłynęli: Acton, oboje Hamiltonowie, poseł austrjacki, hr. Franciszek Esterhazy, całe poselstwo rosyjskie i wiele osób z neapolitańskiej arystokracji.

Pomimo tajemnicy, zachowywanej w najbliższym otoczeniu królestwa, rozeszła się wieść po mieście, że królestwo chcą Neapol opuścić. Obawiano się u dworu, że tłumy ludu zechcą przeszkadzać temu wyjazdowi; więc królestwo dopiero nocą wsiedli na barki, mające ich przewieźć do okrętu. Sam Nelson przybył, aby kierować niebezpiecznym odjazdem, a oprócz Ferdynanda i Karoliny miał pod swoją opieką następcę tronu z małżonką i siedmiomiesięczną ich córeczką, dwóch młodszych książąt, Alberta i Leopolda, tudzież trzy niezamężne księżniczki, razem dziesięć osób królewskiej rodziny. Całe to towarzystwo wykradło się bocznemi drzwiami pałacu, a następnie podziemnym gankiem i przybyło na pokład „Vanguard'a" o pół do dziesiątej wieczór, w dzień św. Tomasza, w piątek. Ponieważ na okręcie nie było dość łóżek, kazała lady Hamilton zanieść własną pościel dla królestwa i, jak się wyrażał Nelson w liście do lorda Saint-Vincent, stała się niewolnicą królewskiej rodziny.

Rano dwudziestego drugiego grudnia dowiedziano się, że królestwo znajdują się już na angielskim okręcie; popłoch w mieście był wielki, wyższe klasy społeczeństwa i duchowieństwo chciało jeszcze uprosić monarchę, aby powrócił; ale Ferdynand przyjął z licznych deputacyj, które pragnęły się dostać na okręt, tylko kardynała-arcybiskupa i dał mu do zrozumienia, że idzie na morze, ponieważ go na lądzie zdradzono.

Dwudziestego trzeciego grudnia z rana odpłynęła królewska rodzina do Palermo.

Przeprawa była straszna; sam Nelson nie pamiętał takiej burzy na morzu. Sir Hamilton przygotowywał się już na śmierć i trzymał dwa nabite pistolety w rękach. Na zapytanie żony, co czyni, odpowiedział spokojnie, że nie chce umierać „guggle, guggle", ze słoną wodą w gardle i że się zastrzeli, jak tylko spostrzeże, że okręt idzie na dno. Na domiar dostał konwulsyj sześcioletni książę Albert, a żadna z kobiet nie mogła go pielęgnować, wszystkie bowiem były chore i odchodziły od przytomności; jedna Emma miała jeszcze dość siły, aby być przy chorym, który też skonał na jej rękach. Wogóle okazywała szczególne przywiązanie i najzupełniejsze poświęcenie dla królewskiej rodziny, uwielbiała Karolinę, a w jednym z listów, pisanych w lecie r. 1799, wyraża się, że „kocha i uwielbia królową i służy jej

całem sercem i duszą. Gdy będzie potrzeba, krew jej popłynie dla tej przyjaciółki. Emma dowiedzie Marji Karolinie, że nisko urodzona córka ludu angielskiego (humbleborn Englishwoman) może służyć królowej z zapałem i prawdziwą miłością nawet z niebezpieczeństwem swego życia“ [1]. A lord Saint-Vincent pisał, że „lady Hamilton jest przedmiotem powszechnego uwielbienia, tak u dworu (angielskiego), jak w prywatnych towarzystwach londyńskich. Król i książę Walji często o niej mówią“.

Dwudziestego siódmego grudnia przybił Nelson do portu w Palermo. Królowa zapomniała na chwilę o przebytych nieszczęściach, cieszyła się tylko, że prócz jednego, uratowała wszystkie swe dzieci. Pobyt jednak na Sycylji nasuwał wiele troski; Francuzi mogli wylądować i zabrać to ostatnie schronienie. O wiadomości ze stałego lądu było trudno, co jeszcze bardziej niepokoiło królową. Nelson przynajmniej w części usunął te obawy, skłonił bowiem swój rząd, aby w Mesynie dał załogę tysiąca Anglików.

VIII

Król, odjeżdżając z Neapolu, pozostawił wielkorządcą księcia Franciszka Pignatelli-Belmonte, człowieka słabego charakteru, pozbawionego stanowczości, który nie był w stanie zapanować nad rozmaitemi prądami, miotającemi neapolitańską ludnością. Podczas gdy trzeba się było bronić przed najazdem Francuzów, kłócono się i rozprawiano. Pignatelli zawarł zawieszenie broni z nadciągającymi Francuzami, którzy na nie przystali pod warunkiem, że Neapol zapłaci ośm miljonów franków Rzeczypospolitej francuskiej. Ale lud, a przedewszystkiem lazzaroni nie chcieli wiedzieć o takich układach, a gdy nadjechał francuski komisarz wojenny, Arcymbal, aby odebrać kontrybucję, wybuchła rewolucja. Pignatelli uciekł, lazzaroni obwołali księcia Moliterna swym wodzem i polecili mu, aby się układał z Francuzami. Ale fanatyczni księża i zakonnicy nie dopuścili do żadnych układów. Na ambonach i na ulicy z krzyżem w ręku wzywali lud, aby wystąpił przeciw kacerzom Francuzom, aby wymordował wszystkich, którzy z nimi sympatyzują.

[1] British Museum. Mss. 1616 f. 38 przytoczone w książce: *Joseph Turquan et Jules d'Auriac*, str. 181.

Przedewszystkiem uważano za stronnika Francuzów księcia della Torre i jego brata Klemensa Filomarino, ludzi bardzo poważnych; wywleczono ich z pomieszkań i żywcem spalono na stosie, urządzonym na Strada della Marina. Poseł francuski Lacombe umiał się tak ukryć, że go nie znaleziono. Krótko ostrzyżone włosy na modę republikańską były już niebezpiecznem znamieniem. Lazzaroni wybrali sobie za naczelników handlarza mąki, nazwiskiem Poggio, i tragarza Michała il Pazzo, który pomimo swego nazwiska, mieniącego go „głupcem“, miał być bardzo dzielnym człowiekiem. Panowanie ich jednak niedługo trwało, bo jenerał francuski Championnet wszedł do miasta z czterema oddziałami swych wojsk, a trójkolorowy sztandar powiewał niebawem na fortach Sant-Elmo i Castel-Nuovo. Lazzaroni bronili się, jak lwy; przez kilka dni wrzały uliczne walki, w których poległo tysiąc Francuzów, ale neapolitańczyków kilka razy więcej. Przez cały czas walk ulicznych uderzano w dzwony we wszystkich kościołach, księża powtarzali litanję do świętego Januarego; ale lud nie był wprawny do walki, nie było karności ani porządku, więc nie dziw, że lazzaroni ulec musieli.

Ale wkrótce z zażartych nieprzyjaciół Francuzów stali się lazzaroni ich wielbicielami i wraz z nimi krzyczeli: „Viva la libertà, viva la Republica!“

Championnet, rozumny, zręczny, a przytem ludzki dowódca, w kilka dni pozyskał sobie serca neapolitańczyków. Spostrzegł, że w kulcie św. Januarego krystalizuje się cały patrjotyzm lazzaronów; kazał też natychmiast postawić honorową straż wojskową przed kaplicą patrona, a gdy krew w ampułce św. Januarego szybciej, jak zwykle, się wzburzyła, podarował Championnet świętemu złotą mitrę, wysadzaną drogiemi kamieniami. Gdy wreszcie lud zobaczył, że Michele il Pazzo wziął do rąk biały sztandar, a proboszcz od świętej Anny krucyfiks i obydwaj stanęli na czele oddziału francuskich grenadjerów, ruszając ku katedrze, uczucia tłumów odrazu się zmieniły. Lazzaroni nie wiedzieli wprawdzie, co to jest „Reprubbica“, ale zaraz zaczęli wołać „Viva Reprubbica!“. Tłumaczyli sobie, że ten wyraz musi oznaczać jakieś dobre rządy, skoro capezzoni (naczelnicy ludu) do nich przystali. „A co to znaczy równość, ugualianza?“ — pytał się ktoś Michała il Pazzo, którego Francuzi zaraz miano-

wali pułkownikiem. „Widzisz — odrzekł świeży dygnitarz wojskowy — równość znaczy, że lazzarone taki, jak ja, może zostać pułkownikiem. Panowie byli pułkownikami już w łonie matek, a ja nim zostałem per l'ugualianza".

Dwudziestego czwartego stycznia 1799 ogłosił Championnet wśród wielkiej uroczystości rzeczpospolitą i nazwał ją „Partenopea", aby dogodzić tradycjom neapolitańskim. Na tym samym placu, skrwawionym jeszcze ofiarami, które się poświęcały za tron i za króla, rozlegały się okrzyki: „Odio alla monarchia, morte ai Borboni!"

Aby lud „oświecić", czem była upadła dynastja, przedstawiano publicznie dramaty z życia Ferdynanda i Karoliny, a nawet na bogatych salonach Eleonory Fonseca Pimentel odgrywano sceny z najtajniejszych romansów królewskiej pary, pod tytułem „La commedia o la storia della corte". Podczas najdrażliwszych scen wołali widzowie wśród oklasków: „Prawdziwe, prawdziwe, istorico, istorico!"

Ale francuscy republikanie potrzebowali pieniędzy; Championnet nałożył na miasto Neapol kontrybucję półtrzecia, a na prowincję piętnaście miljonów franków. Wykonawcą finansowych zarządów Republiki był bezwzględny komisarz Faypoult. Nowa konstytucja unieważniła wszystkie odwieczne prawa feudalne, znosiła zakony, konfiskowała wszelką własność królewską, a także niejedną prywatną na rzecz francuskiej rzeczypospolitej, zabierała majątki kawalerów maltańskich i kapitały złożone w bankach, a nawet ogłaszała, że wszystkie skarby sztuki w muzeach, w bibljotekach, w Pompei i w Herkulanum stają się własnością rzeczypospolitej, co znaczyło rzeczypospolitej francuskiej. Nadto nałożono ogromne ciężary na ludność, aby ubrać, wyżywić wojsko, które nim doszło z Francji do Neapolu, wygłodniało i podarło mundury.

Nie dziw więc, że szał rewolucyjny szybko minął i sympatje francuskie ochłodły.

Przywiązanie do tronu istniało jeszcze w znacznej części u duchowieństwa, które się obawiało rzeczypospolitej, i na prowincji, a mianowicie w Abruzzach, u ludu, który ulegał zupełnie

wpływom duchownych, a o Burbonach i o neapolitańskim dworze miał tylko niejasne wyobrażenie. Jako ajent królewski wypłynął tam Gennaro Rivelli, towarzysz dzieciństwa Ferdynanda IV, którego królowa nie mogła znosić i usunęła z Neapolu zaraz w pierwszych chwilach swego małżeństwa; ale teraz, w ciężkich chwilach, i ten gbur o złych skłonnościach był pożądanym przyjacielem. Do niego przyłączył się don Reggio Rinaldi, proboszcz z małej mieściny nad morzem Tyreńskiem, fanatyczny zwolennik Burbonów, a król dodał im najmądrzejszego dowódcę, kardynała Fabrizzia Ruffo, jednego z tych świeckich kardynałów, którzy w razie potrzeby przypasywali miecz do boku i szli do obozu.

Ruffo (ur. 1744) nie miał najlepszej opinji. Pochodził z książęcej, ale zubożałej rodziny w Kalabrji; dostał się do Rzymu w chłopięcych latach, do swego stryja Tomasza Ruffo, kardynała i dziekana św. kolegjum, którego przyjacielem był Giovanni Angelo Braschi, późniejszy papież. Mały Ruffo bawił się raz na kolanach Braschiego i szczególną mu to sprawiało przyjemność burzyć piękne włosy prałata. Braschi się bronił, a rozgniewany malec uderzył w twarz kardynała. Ta energja dzieciaka tak się podobała kardynałowi, że później, zostawszy papieżem Piusem VI, bardzo opiekował się Ruffem, powierzał mu rozmaite urzędy, a nawet mianował papieskim skarbnikiem. Mając jednak znaczne fundusze pod ręką, zaczął Fabrizzio zanadto hojnie wydawać państwowe pieniądze, miał zawsze pełno nowych reform i projektów do urzeczywistnienia, które obciążały i tak już bardzo skąpy budżet papieski. Mówiono nawet, że Fabrizzio pokrywał i własne kosztowne przyjemności z publicznej kasy, utrzymywał skandaliczne stosunki z kobietami, tak, że jego stanowisko w Rzymie stało się niemożliwe.

Człowiek bardzo zręczny, energiczny, miał zawsze pewne skłonności wojskowe, pisał rozprawy o uzbrojeniu konnicy, o strategji, a nawet obchodziły go nauki przyrodnicze, a przedewszystkiem ornitologja. Wydał swoje uwagi o rozmaitych gatunkach gołębi i o ich zwyczajach. Ale lekkoduch, nie mogąc się utrzymać w Rzymie, udał się do Neapolu, gdzie go jeszcze dobrze nie znano; prosił Ferdynanda IV o jaką posadę i został intendantem pałacu w Casercie, tudzież naczelnikiem kolonji w San Leucio, co mu się bardzo podobało. Papież, dowiedziawszy się

o tem stanowisku Ruffa, nieodpowiedniem kardynalskiej godności, zawezwał go, aby wrócił do Rzymu. Ale Fabrizzio nie miał już ochoty zbliżać się do stolicy apostolskiej, zwłaszcza że powziął głębokie uczucie do słynnej z piękności Eleonory Fonseca i tem samem wszedł w towarzystwo, tak zwane „Società di Posilippo", które sprzyjało rewolucyjnym ideom. Papieżowi odpowiedział w sposób prawie szorstki i został w Neapolu, gdzie brat jego, Francesco Ruffo, służył w armji królewskiej. Wkrótce zdawało mu się zbliżanie się do republikanów niebezpiecznem; korzystał jednak z zawiązanych znajomości, aby zdradzać przyjaciół i donosić dworowi o ludziach „podejrzanych". Wskutek tego był w łaskach u Ferdynanda, a gdy królestwo musieli uciekać do Palermo, wystąpił z projektem urządzenia powstania w Kalabrji, gdzie liczył na poparcie wskutek rodzinnych stosunków. Zrazu Acton był temu przeciwny, uważając wyprawę Ruffa za szaloną próbę; ale następnie zgodził się na nią, jak się zdaje, chcąc się pozbyć kardynała, którego wpływ rósł u króla i Karoliny. Osobliwie królowej podobała się energja i przedsiębiorczość Fabrizzia, a jego projekt przemawiał jej do wyobraźni. Głównie też wpływowi Karoliny przypisać należało, że król zamianował Ruffa swym pełnomocnikiem, „Vicario generale del Regno di Napoli" (dekretem z 25 stycznia 1799) i wysłał go na odebranie królestwa neapolitańskiego Francuzom i republikanom. Królowa wyraziła się wtedy, że trzeba się chwycić środków nadzwyczajnych, bo chore państwo leży w agonji.

Fabrizzio był pięknym, dużym, silnym mężczyzną, a gdy wystąpił w świetnym stroju rzymskiego purpurata, otoczony licznym orszakiem księży i zakonników, sprawiał wielkie wrażenie na lud w Kalabrji. Rozpoczął też swoją polityczną robotę od procesji w swej ojczystej okolicy. Niósł w jednej ręce krzyż, w drugiej szpadę, z powagą postępował na czele duchowieństwa, które idąc ulicami miasteczek, śpiewało „Veni Creator Spiritus", a ludność tej nowej krucjaty odpowiadała: „Elejson, elejson"; wstępował do kościołów, miewał przemowy od ołtarza, zapewniając, iż anioł mu objawił, że ten krzyż zwycięży Francuzów i republikanów. Gdy spostrzegł, że zgromadzeni zawrzeli już namiętnością ku nieprzyjaciołom Burbonów, kazał przysięgać, że lud będzie walczył za świętą wiarę, za króla, za kościół. Kto zgi-

nie w imię tych trzech haseł, ma niebo przed sobą otwarte. Kalabryjczycy śpieszyli ku ołtarzowi, podnosili ręce na znak przysięgi, a Fabrizzio błogosławił ich i głosił odpuszczenie grzechów, wymawiając słowa: „Ego absolvo a peccatis vestris factis et faciendis“.

Równocześnie rozpuszczono dla większego wrażenia wieści pomiędzy ludność kalabryjską, że tym prałatem, który idzie z krzyżem od miasta do miasta, aby głosić wyprawę przeciw republikanom, jest sam papież, który przyjął imię Urbana IX. Dowiedziawszy się o tem arcybiskup neapolitański, wydał nadzwyczaj ostrą kurrendę przeciw fałszywemu papieżowi (un mascherato Pontefice), wskutek czego ogłoszono arcybiskupa w Kalabrji za niedowiarka, za republikanina.

„Ten republikanizm“ arcybiskupa w najwyższym stopniu rozgniewał królową Karolinę; posłała też zaraz kardynałowi Ruffo odpis owego listu pasterskiego, a następnie radziła mu, że pierwszym jego obowiązkiem po zajęciu Neapolu będzie zamknąć tego „półgłówka“, kardynała-arcybiskupa, do klasztoru w Montevergine, albo gdzie indziej poza jego diecezją.

Królowa wyhaftowała dla band kalabryjskich sztandar, na którym z jednej strony widniał krzyż z napisem: „In hoc signo vinces“, z drugiej złotem jaśniejące słowa: „A'bravi Calabresi!“ Sztandarem jednak wojskowym szeregów Ruffa była biała chorągiew z herbem Burbonów, okolonym napisem: „Viva Dio, viva il Rè, Exsultat in rege suo!“ Ci mniemani obrońcy świętej wiary (Santa Fede) nazwali się sanfedystami, a jakiś ich poeta ułożył wiersz, który śpiewali w swych pochodach. Hymn sanfedystów miał przygłuszyć *Marsyljankę*, ale był bardzo nieudolnem i długiem wierszydłem. Rozpoczynał się od słów:

Viva, viva Ferdinando
Nostro Padre, nostro Rè,
Viva ancora Carolina
Nostra madre, la regina.

Patronem sanfedystów mianował Ruffo św. Antoniego z Padwy, ponieważ republikanie i Francuzi złożyli byli w Neapolu hołdy św. Januaremu.

Wojsko kardynała składało się z najrozmaitszych żywiołów: byli tam zamożni właściciele ziemscy, duchowni, mieszcza-

nie i rzemieślnicy, żołnierze, którzy służyli w milicjach baronów; ale pomiędzy tą zbieraniną awanturników wyróżniało się osobliwie dwóch „wojskowych“, którzy potokami rozlanej krwi zapisali się w annałach sanfedystów. Jeden z nich, Gaetano Mammone, młynarz z powołania, straszny potwór, posunął swoją nienawiść do republikanów i krwiożerczość do tygrysiej wściekłości. Z chciwością pił krew nieprzyjaciół, których zamordował; siadając do obiadu, stawiał przed sobą czaszki republikanów, z których się jeszcze sączyła świeża krew; chwalił się, że w przeciągu dwóch miesięcy zamordował 350 nieszczęśliwych, że spalił mnóstwo osad, których mieszkańcy nie przyłączyli się do sanfedystów, że wynalazł rozmaite straszne sposoby męczenia swoich przeciwników.

Do takiego potwora pisała królowa Karolina „mój jenerale i przyjacielu“, „mio generale e mio amico“. A podobnych bohaterów miała armja sanfedystów wielu, których nazwiska podają włoscy historycy Botta, Colletta i Coco. Do europejskiej sławy jednak doszedł z tego towarzystwa Fra Diavolo, a właściwie Michele Pezza, dzięki Aleksandrowi Dumasowi, który przedstawił jego bohatersko-dziką postać w swej historji Burbonów i w powieści *La San Felice.* Może więcej, jak Dumas, spopularyzował Michała Pezzę Auber swą operą *Fra Diavolo,* do której Scribe napisał libretto. Przez długie czasy w XIX wieku nie było na świecie tenora, któryby nie marzył o przedstawieniu na scenie postaci Fra Diavola. Scribe zrobił jednak ze swego Diavola bohatera, który nie ma nic wspólnego z Michałem Pezza.

Michele Pezza, rodem z Itri (ur. 1771), małego miasteczka w Terra di Lavoro, przyłączył się szybko do ruchu antyrepublikańskiego, a gdy Francuzi zniszczyli jego rodzinne gniazdo, zamordowali mu ojca, postanowił prześladować ich swą zemstą. Początki Michała są owiane rozmaitemi legendami, które sprawdzić trudno. Majster Eleuterio w Itri obłożył kijami młodego Michała, ponieważ zbyt czułe miał stosunki z jego żoną Franceschettą. Michele się zemścił i z zasadzki zastrzelił zazdrosnego majstra; brat zabitego, zwany Faccia d'Argente, domyślając się, kto jest sprawcą morderstwa, poprzysiągł vendettę. Ale Pezza uprzedził go i znów z zasadzki zastrzelił Faccię

d'Argente. Zbrodnia mogła się wydać; Michele więc przybrawszy sobie pięciu towarzyszy, poszedł w góry i został brygantem. Mówiono, że go się kula nie chwyci, gdyż rozpruł sobie kawałek skóry na ramieniu i w ranę włożył w kościele w Itri hostję, która go chroniła od wszelkiego nieszczęścia. Taka była wiara ludu.

Gdy z końcem roku 1798 król Ferdynand wezwał Neapolitańczyków do obrony przeciw Francuzom, Fra Diavolo opierał się na czele dużego już oddziału ochotników ich dalszemu pochodowi koło Fondi i dopiero bataljon Polaków pod wodzą Kniaziewicza rozprószył bandę Itrjan. Porażka Fra Diavola przyczyniła się, że Kniaziewicz niebawem został jenerałem brygady. Polski jenerał na czele sześciuset swoich towarzyszy, do których dołączył kilka szwadronów kawalerji, ruszył stamtąd ku Gaecie, będącej jedną z trzech fortec, mogących się opierać francuskiemu najazdowi. Koło Itri i Fondi trwała jednak dalsza walka. straszna, okrutna. Jenerał Rey polecił Dąbrowskiemu, aby zgniótł te gniazda sanfedystów: Itri, Fondi, Castelforte i Castel Onorato. Gdy się zdawało, że opór powstańców złamany, posłał Dąbrowski swego adjutanta Tremo z trzydziestu ułanami, aby objęli ostatnią w tej okolicy stację sanfedystów, Castel Onorato. Mieszkańcy przyjęli napozór gościnnie francuski oddział, ofiarowali zgłodniałym żołnierzom chleb i wino, ale jak tylko ułani pozsiadali z koni, Włosi rzucili się na nich zdradziecko i wszystkich pozabijali. Odwet nastąpił bezzwłocznie, Onorato zostało osaczone i ludność w pień wycięta.

To jeden przykład z tej zawziętej walki pro aris et focis, w której chwilowo rzeczpospolita zwyciężyła.

Jednym z najstraszniejszych epizodów wojny kardynała Ruffa z republikanami było wzięcie górskiej mieściny Altamury, otoczonej silnemi murami, której ludność należała do „patrjotów". Gdy mieszkańcom zabrakło amunicji, postanowili cichaczem opuścić swe mury; pierwej jednak spędzili około pięćdziesięciu księży i stronników królewskich na podwórze klasztoru franciszkanów i tam wystrzelali ich kolejno jednego po drugim. Ciała straceńców powrzucano do rowu, zasypano ziemią, pomimo że niektórzy z nich jeszcze żyli.

Gdy sanfedyści spostrzegli, że w Altamurze dziwny spokój, dostali się do wnętrza fortecy i wywarli na tych, którzy jeszcze

pozostali, straszną zemstę. Palili, rabowali, co się dało unieść, a ofiarami rozbestwienia szeregów kardynała stały się nietylko świeckie kobiety, ale i zakonnice dwóch żeńskich klasztorów. Po zaspokojeniu dzikich namiętności mordowano wszystkich, nawet dzieci przytulone do łona matek.

Kardynał Ruffo zaczął zbierać w Altamurze nowe siły, aby powoli ciągnąć pod Neapol. Chciał, aby sam król przybył do Apulji i swą obecnością ożywił ruch sanfedystów; w tej mierze pisał kilkakrotnie do królowej, jako szczególnej swej opiekunki. Ale Ferdynand nie miał ochoty narażać się na niepewny wynik walki; królowa się niecierpliwiła, pisała do kardynała, „że chciałaby w tej chwili być mężczyzną; leciałaby do Apulji i pochlebia sobie, że umiałaby wspierać i ułatwiać działanie kardynała“. Nie mogąc jednak przypasać szpady i niejako zupełnie usunąć króla, dawała tylko bezustanne rady swemu dowódcy, aby przyciągał do siebie lud wierny tronowi, obiecywał mu ulgi podatkowe na przyszłość i zupełne zmienienie feudalnych stosunków, a natomiast nie oszczędzał bogatych, konfiskował majątki szlachcie, która w podły sposób opuściła i zdradziła króla, przystępując do Francuzów i „patrjotów“. „Te podłe bestje! — pisała w jednym ze swych listów do kardynała o szlachcie — wolałabym, aby Francuzi pozabierali im ostatnie koszule, aniżeli przypatrywać się, jak się zachowują ci poddani, łamiący przysięgę. „Republikanie“ przywłaszczyli sobie nasze pałace, Championnet, Roccaromana rozkładali się na naszych łóżkach, zabrali posagi moich córek, nałożyli niemożliwe ciężary na naszych poddanych; jeżeli kiedy powrócimy do naszego królestwa, zastaniemy tylko zrabowane domy i tłumy żebraków“.

Najbardziej gniewało Karolinę odstępstwo arystokracji, ściśle z dworem związanej. Nawet owa księżna San Marco, dawna przyjaciółka królowej, mimo zaproszeń nie przybyła do Palermo, ale pozostała w Neapolu, z republikanami. Gdy później lady Hamilton wstawiała się za księżną i prosiła, aby jej królowa powróciła dawne łaski, Karolina odpowiedziała, że węzły przyjaźni pomiędzy nią a księżną zerwane; gdyby jednak potrzebowała wsparcia, może liczyć na jej pomoc. Tacy ludzie, jak Caracciolo, Moliterno, Roccaromana i inni, którzy doświadczyli tyle łask od królestwa, teraz podnoszą broń przeciw tro-



Lord Nelson

(Według sztychu ze współczesnego portretu)

nowi. To wszystko rozgoryczało Karolinę, czyniło ją nieubłaganą dla odstępców.

Tymczasem Ruffo zbliżał się ze swemi zastępami do Neapolu, gdzie z drugiej strony, od morza, Nelson przygotowywał blokadę stolicy. Powstańcze szeregi kardynała zostały wzmocnione w Apulji małym oddziałem regularnego wojska rosyjskiego; z początkiem maja bowiem przypłynął admirał Surokin ze swoją flotą ku brzegom Apulji, a Ruffo nie omieszkał prosić go, aby część swych marynarzy wysłał mu na ląd, na pomoc. Kardynałowi nie tyle chodziło o liczebne zwiększenie swych szeregów, jak raczej o to, aby wyćwiczone wojsko działało korzystnie na jego improwizowanych żołnierzy. Do floty rosyjskiej dołączyły się okręty królewskie neapolitańskie, tureckie i angielskie. Cały świat monarchiczny zespalał się przeciw francuskiej rzeczypospolitej. Jeszcze 23 grudnia 1798 zawarła Turcja przymierze z Rosją, a 2 stycznia 1799 nastąpił układ króla Ferdynanda z sułtanem, na mocy którego padyszach obiecał przysłać Ferdynandowi tysiąc Albańczyków na pomoc. Obecnie nastąpiła chwila, kiedy wszystkie te różnorodne żywioły zgromadziły się pod Neapolem, aby wspierać zachwiany tron Burbonów.

Mówiliśmy, że kardynał Ruffo detronizował patrona Neapolu, świętego Januarego, ponieważ krew świętego w ampułce zawrzała na korzyść Championneta i republikanów, a nawzajem ogłosił świętego Antoniego z Padwy patronem sanfedystów. Otóż kardynał wybrał dzień świętego, 13 czerwca 1799, aby rozpocząć w stolicy walkę z rewolucją.

Tymczasem jednak, zwłaszcza gdy nadeszły do Neapolu wiadomości o strasznych barbarzyństwach sanfedystów w Altamura, wysilało się stronnictwo patrjotów, aby przysposobić umysły do zawziętej walki. Mówiono: „Będziemy wszyscy Masaniellami, aby bronić rzeczypospolitej“. Eleonora Fonseca, redaktorka *Monitora* republikańskiego, pisała artykuły pełne zapału, księża i zakonnicy, oddani zasadom demokratycznym, miewali kazania na placach publicznych, stawiając zasady Chrystusa jako przykłady równości i wolności. W teatrach grano tragedje Alfierego; jednego wieczora, podczas przedstawienia

Virginji wielkiego poety, wyszła na scenę Eleonora, nazwana Sybillą, genjuszem rzeczypospolitej, w białej szacie Westalki, przepasanej trójkolorową wstęgą. Eleonora, trzymając w ręku sztandar z napisem „La morte o la libertà", miała do publiczności gorącą przemowę, wzywającą do zemsty za zbrodnie w Altamurze. Zakończyła śpiewem *Marsyljanki*, wezwaniem do broni i cały teatr zabrzmiał odgłosem hymnu Rouget'a de l'Isle.

Patrjotyczne pomysły powstawały coraz to nowe; uchwalono, aby dla Torquata Tassa wystawić w Sorrento wspaniały pomnik i uczcić pamięć Wergiljusza nagrobkiem, godnym wielkiego poety, ba, nawet postanowiono przetłumaczyć *Pismo święte* na neapolitańskie narzecze. Arcybiskup Zurlo-Capece rzucił uroczyście klątwę na kardynała Ruffo, jako oszusta i bezbożnika. Republikanie potrafili nawet św. Januarego przeciągnąć na swoją stronę, gdy bowiem zgromadzono się w katedrze, aby prosić patrona o pomoc, nie upłynęły dwie minuty, a krew w ampułce się zaburzyła. „Święty jest z nami!" — wołał lud ucieszony [1].

Ale nie zapomniano o obronie miasta. Naczelne dowództwo na lądzie objął jenerał Wirtz, rodem Szwajcar, poprzednio będący w królewsko-neapolitańskiej służbie. Od morza miał się opierać połączonym flotom książę Francesco Caracciolo, który

[1] Baron de Gleichen wspomina w swoich pamiętnikach, że abbé Galiani mówił mu, iż opierając się na własnych spostrzeżeniach i na opinji swego stryja, kapelana dworskiego, wyrobił sobie następujące przekonanie o ampułce z krwią św. Januarego.

Relikwja ta jest tak dziwna, że historja jej zupełnie się zatraciła; kler neapolitański jednak działał o tyle w dobrej wierze, że najzupełniej nie wiedział, z jakiego powodu krew ta się czasem burzy. Dzieje się to zapewne wskutek działania zewnętrznego ciepła, albo wskutek wstrząśnienia ampułki.

Galiani znalazł ślad tej tajemnicy w pismach Horacego, który, wspominając o podróży do Brindisi, przytacza, jakich „religijnych sposobów" używają tamtejsi „kapłani", aby wzbudzać wiarę ludu. Mówi tam Horacy, że „Thura sine igne liquefaciunt, credat Iudaeus Apella". „Nie używając ognia, robią żywicę płynną". Pierwsi chrześcijanie zapewne od starożytnych przejęli ten sekret, jak wprowadzić ów materjał żywiczny, podobny do krwi zastygłej, przez dotknięcie ampułki ciepłą ręką w stan fermentujący i płynny.

uchodził za najdzielniejszego neapolitańskiego marynarza. Caracciolo udał się wprawdzie z królestwem na Sycylję, ale następnie przeszedł do republikanów, zgromadził, co było można, kanonierek i oczekiwał ataku.

Trzynastego czerwca o świcie kazał Ruffo odprawić w swym obozie, w pobliżu mostu della Maddalena, nabożeństwo, poczem ubrany w purpurę wsiadł na koń, wyjął szpadę z pochwy i dał znak do zwycięskiego pochodu. Na czele kardynalskiego wojska szli Rosjanie i Turcy; Ruffo niebardzo ufał odwadze swych Kalabryjczyków. Dowódca sił republikańskich, Schipani, uderzył na królewskich w pobliżu Torre del Greco; zrazu zmusił ich do cofnięcia się, ale niebawem uległ przemocy. W jego szeregach znalazło się wielu zdrajców, którzy przeszli do królewskich, widząc, że tam większe siły. Schipani zginął, wojsko republikańskie zostało rozprószone, albo wzięte do niewoli i wysłane na wyspę Procida.

Nazajutrz, czternastego czerwca, zbliżył się Ruffo do Neapolu; walka zawrzała na ulicach, ale grupy lazzaronów zaczęły przechodzić do sanfedystów z okrzykiem: Viva il Rè! Powstało straszne zamieszanie, kalabryjscy bryganci z wściekłością rzucali się na nieszczęśliwą ludność i rabowali domy i sklepy. Meble i sprzęty drewniane gromadzili na publicznych placach, zapalali stosy i wrzucali do ognia nieszczęśliwych republikanów. Obudziły się zwierzęce instynkty, niektórzy sanfedyści pożerali ludzkie, upieczone ciało. Na jakiejś ulicy stał neapolitańskim zwyczajem kucharz przy kotle z wrzącą oliwą, sądząc, że będzie miał zarobek u zgłodniałych żołnierzy. Ktoś jednak krzyknął, że to republikanin; zanurzono mu głowę w oliwnym warze, a gdy zginął w najstraszniejszych mękach, znaleźli się tacy, którzy dalej jedli ryby, smażące się w kotle. Sanfedyści wyciągali kobiety i dzieci z mieszkań i gnali przed sobą w zakrwawionych koszulach, bijąc je i rzucając na nie kamieniami.

Przerażony tą dzikością Ruffo wzywał swoich ludzi do umiarkowania; ale to nic nie pomagało. Kto tylko miał krótko ostrzyżone włosy „alla Bruto“, stał się podejrzanym i jakobinem i według sanfedystów powinien być zamordowany. Mordowano kobiety, młodzieńców, kaleki, chorych, księży, zakonników,

funkcjonarjuszów byłego rządu; panie, należące do arystokracji, obdzierano z odzienia i zupełnie obnażone prowadzono na ścięcie. Jakiś biedak miał to nieszczęście, że się nazywał Vincencio Giacobino; prosił o zmianę nazwiska i w ten sposób uratował się od śmierci. Kalabryjczycy szli od domu do domu, rabowali każde mieszkanie bez względu na właściciela, czy był republikaninem, czy królewskim; zburzono albo częściowo zniszczono przeszło 2.000 domów. Do więzień wrzucono 40.000 ludzi, a jakie to były więzienia! Książę di Cantalupo uratował się, utrzymując, że musiał przyjąć stanowisko w rządzie rzeczypospolitej z tego samego powodu, dla którego król uciekał do Sycylji, „aby go nie zamordowano". Najstraszniejszym zbrodniarzem w owych dniach był członek władzy „Giunta di Stato", radca Speciale, który tem się różnił od innych członków tego strasznego magistratu, że się nawet złotem nie dawał przekupić. Dwudziestego piątego sierpnia pisał do Giunty, że jeżeli tylko znajdzie się dowód, że ten lub ów cośkolwiek zawinił wobec królestwa, powinno się go powiesić „bez ceremonji" w przeciągu dwudziestu czterech godzin.

Gdy Ruffo sprzeciwiał się okrucieństwom, zaczęli lazzaroni wymyślać, że kardynał został jakobinem, że trzeba sobie wybrać innego naczelnika. Wiedząc, że na angielskich okrętach „jest prawdziwa sprawiedliwość", wlekli patrjotów do portu, gdzie angielscy marynarze wieszali ich na masztach, albo dla ułatwienia sobie pracy wrzucali żywcem do morza.

Resztki republikańskiego wojska zamknęły się w Castello dell'Ovo i w Castel-Nuovo i zawzięcie ostrzeliwały sanfedystów. Ruffo chciał kres położyć walce, nie mającej już żadnego celu, bo całe miasto było w posiadaniu sanfedystów, a nadto republikanie mieli w swych fortach jeszcze zakładników, stronników królewskich, których w ostatniej chwili zdołali uprowadzić. Po dłuższych więc rokowaniach i czterotygodniowem zawieszeniu broni przyszło nareszcie do porozumienia pomiędzy oblężonymi a oblegającymi; zamki miały być oddane armji królewskiej, a natomiast garnizony i osoby cywilne, które się tam schroniły, mogły się udać do Francji. Akt kapitulacji został podpisany przez komendanta wojska rosyjskiego i angielskiego, kapitana Foota, a wiadomość o tem wysłano do Palermo.

Tymczasem jednak Nelson przypłynął do portu z silną flotą i wręcz sprzeciwiał się zawartej kapitulacji pomiędzy Ruffem a republikanami. Twardy w swoich ultra-monarchistycznych zasadach, utrzymywał, że król nie może paktować z buntownikami, którzy muszą się zdać na łaskę lub niełaskę. Takie samo przekonanie panowało na dworze królewskim w Palermo. U króla trwożliwość charakteru zamieniła się wskutek ostatnich wypadków w chęć zemsty i w dzikie okrucieństwo; królowa, wzburzona do najwyższego stopnia, namiętnie żądała wytępienia tej wstrętnej rasy jakobinów, aby uratować tron dla siebie i dla dzieci, a wtórował jej Acton, w którym wrzała nienawiść do Francuzów i zbratanych z nimi Neapolitańczyków. W najwyższym stopniu zawzięty był Nelson; miał on wrodzony wstręt do wszystkiego, co się nie zgadzało z angielskim pedantyzmem, z poszanowaniem dla królewskości; ówczesnych Francuzów uważał za bandę rabusiów i morderców, za ludzi, pozbawionych wszelkiej cnoty i religji, a arcyłotrem, przewódcą tej wyuzdanej hordy był w jego przekonaniu Buonaparte. Rzecz prosta, że tę samą nienawiść przenosił na Neapolitańczyków, którzy się połączyli z Francuzami, na „patrjotów". Wtedy pisał do kapitana Troubridge: „Donieś mi, że kilka głów tych łotrów zostało ściętych; będzie to dla mnie rozkoszą serca", a Kommodorowi, swemu zwierzchnikowi, wyraził ubolewanie, że mu przysłać nie może kilku czaszek ściętych rewolucjonistów, gdyż przy panującym upale „zgniłyby i śmierdziały".

To też, gdy Nelson stanął w neapolitańskim porcie i dowiedział się o podpisaniu kapitulacji z „brygantami", powiedział, że to akt niegodny, brzydki „infamous", i robił wszystko, co tylko można, aby ten dokument unieważnić. Ale Ruffo obstawał przy dotrzymaniu zobowiązań wobec republikanów, tem bardziej, że na akcie podpisani są komendanci rosyjski i turecki. Przyszło nawet do ostrych przymówek pomiędzy Nelsonem a kardynałem, a ponieważ Nelson nie umiał po włosku, a Ruffo wielką miał łatwość wymowy, więc admirał dał swoją odpowiedź na piśmie. A odpowiedź ta zgadzała się z duchem, jaki panował na palermitańskim dworze, i prawie unieważniała kapitulację. Z fałszem, właściwym angielskim dyplomatom, dał Nelson pozwolenie odjazdu wmieszanym w sprawę rewolucji Włochom,

ale wysłał po nich łodzie, które ich zawiozły na angielskie okręty. Tam kazał spisać ich nazwiska i uwięzić aż do przybycia króla Ferdynanda z Palermo.

W spisie uwięzionych brakowało jednego nazwiska, o które bardzo chodziło Nelsonowi, mianowicie byłego komendanta królewskiej floty, Francesca Caracciola.

Gdy sanfedyści opanowali miasto, Caracciolo zdołał niepostrzeżenie uciec z Castel-Nuovo; błąkał się w okolicy Portici, a nie znalazłszy nigdzie bezpiecznego przytułku, wrócił do miasta, przebrany za majtka, i udał się do siostrzenicy Ruffa, do księżnej Matta-Bagnara z prośbą, aby się zapytała kardynała, co mu radzi: zostać w Neapolu, czy uciekać. „Che fugga!“ — brzmiała odpowiedź. Caracciolo uciekł więc w góry, w ubogiem przebraniu wieśniaka; ale zdradzony przez dawnego swego służącego, został schwytany i wsadzony do barki, która go zawiozła na pokład admiralskiego okrętu „Foudroyant“. Kapitan Hardy kazał go zamknąć do kabiny, strzeżonej przez dwóch majtków, i doniósł Nelsonowi o nadzwyczajnej zdobyczy. Nelson złożył na Caracciola sąd pod przewodnictwem hrabiego Thurna, który mu zarzucił bunt przeciw własnemu królowi. Sąd jednak był tylko komedją, wyrok śmierci był bowiem już poprzednio wydany na admirała.

Caracciolo zwrócił się do oficera Parkinsona z prośbą o zarządzenie nowego dochodzenia, ponieważ hr. Thurn jest jego osobistym nieprzyjacielem; ale ta prośba na nic się nie przydała. Nelson potwierdził wyrok, który zapadł około pierwszej godziny po południu, i rozkazał, aby o piątej tego samego popołudnia był wykonany. Caracciolo prosił, aby go rozstrzelano jako żołnierza, gdyż śmierć przez powieszenie jest dlań wielkiem upokorzeniem; ale Nelson kazał go powiesić na maszcie królewsko-sycylijskiego statku „Minerva“. Parkinson tak był wzburzony srogością Nelsona, że chciał się udać do lady Hamilton, aby uprosiła u admirała pozwolenie na rozstrzelanie Caracciola; ale lady nie znalazł na pokładzie admiralskiego okrętu. Wyrok więc został wykonany, co sprawiło królestwu niemałą radość. Karolina obawiała się, że „ta wściekła gadzina, gdyby była na wolności, mogłaby narobić wielkiej szkody, gdyż zna wszystkie zatoki naszych brzegów“. W ówczesnych listach królowej, gdy mowa

o Caracciolu, powtarzają się ciągle wyrażenia „ten łotr niewdzięczny“, „ten galernik“ i tym podobne wybuchy gniewu.

Powieszenie Caracciola dało powód do całej sieci nieprawdziwych legend. Pisano, że lady Hamilton starała się namówić Nelsona, aby popłynął z nią od statku „Foudroyant“ ku „Minervie“, aby zobaczyć powieszonego zdrajcę, że gdy o piątej, podczas obiadu, w którym brał udział Nelson i sir William, usłyszała wystrzał armatni, podniosła kieliszek i wykrzyknęła: „Bogu dzięki! ten wystrzał oznajmia, że zdrajca już nie żyje“. Wielu pisarzy włoskich i francuskich wzięło sobie niemal za zadanie przedstawić Emmę jako czarny charakter i jako kobietę, która nawet w takich chwilach, jak stracenie Caracciola, miała bezwzględny wpływ na Nelsona. Tak jednak nie jest, a tak sumienny badacz, jak baron Helfert, powiada [1], że „nie można dowieść ani jednego faktu, w którymby Emma Hamilton wpływała na wydanie srogiego wyroku, albo, aby się starała o zwiększenie kary; ale natomiast są na to dowody, że prosiła królową o złagodzenie kar, a nawet Karolina posyłała na jej ręce większe kwoty pieniężne na wsparcia dla nieszczęśliwych jeńców, ponieważ znała jej dobre serce i wiedziała, że jak najlepiej tych pieniędzy użyje. Była przekonana, że „tem sprawi Emmie jak największą przyjemność“. Lady wstawiała się wtedy u królowej, aby srogi los, jaki groził księżnie di Sorrentino, został złagodzony, i niejednokrotnie prosiła Nelsona i męża o zmniejszenie kar, wymierzanych na rewolucjonistów. Ale Nelson, gdy chodziło o zgniecenie rewolucji i o ukaranie „zdrajców“, był twardy, jak skała, o którą się nawet prośby Emmy rozbijały.

Jak dalece wyobraźnia unosi czasem znakomitych nawet pisarzy, dość przytoczyć, że Chateaubriand w swych *Mémoires d'Outre-Tombe* opowiada, że po ustaleniu się porządku w Neapolu lazzaroni bawili się głowami rewolucjonistów, tak jak piłkami, aby zabawić Nelsona i lady Hamilton. Zabawa taka już i z tego powodu była niemożliwa, ponieważ ani Nelson ani Emma nie wysiedli ani razu na ląd w czasie owej kontrrewolucji, ale mieszkali zdala, na okręcie.

---

[1] Frh. v. Helfert, *Fabrizio Ruffo*, str. 479.

Zawziętość królowej, Nelsona i Actona przeciw Caracciolowi była taka, że się obawiali, aby król po przybyciu z Sycylji nie ułaskawił go, albo nie zamienił kary śmierci na więzienie. Nelson więc starał się, aby wyrok śmierci jak najszybciej był wykonany, gdyż król lubił dawniej Caracciola i cenił go jako dobrego marynarza. Powiadają, że Caracciolo na wyrzuty, że opuścił swego króla, odpowiedział: „Nie myśmy opuścili monarchę, ale on nas porzucił".

Po zajęciu Neapolu chciała koniecznie królowa Karolina, aby tam Ferdynand się udał uspokoić umysły. Król jednak o tem narazie ani słyszeć nie chciał, nawet nazwy Neapolu nie wymawiano wobec niego; tak go gniewało wspomnienie stolicy. Przypisywano Karolinie, że go od wyjazdu do Neapolu wstrzymywała, czemu wszakże stanowczo zaprzeczyła, pisząc do córki cesarzowej (25 marca 1800), że „au comble d'agrement, mówią, że ja byłam powodem, że Ferdynand nie przyjechał zaraz do stolicy. Przyzwyczajono się wszystko złe mnie przypisywać".

Wreszcie jednak król dał się nakłonić do opuszczenia Palerma, a gdy przybył wieczorem na okręcie Foudroyant do portu w Neapolu, stało się nazajutrz zrana coś nadzwyczajnego. Ferdynand właśnie się ubierał, gdy go uwiadomił kapitan Hardy, komendant okrętu, że zobaczono pływające ciało Caracciola; uwiadomił go zapewne z tego powodu, aby król niespodziewanie nie spostrzegł strasznego widziadła. „Każcie ciało pochować" — miał Ferdynand zaraz rozkazać.

Oczywiście imaginacja Neapolitańczyków oplotła to smutne zdarzenie opowieścią, że Caracciolo wypłynął, aby zażądać ostatnich posług kościoła i chrześcijańskiego pogrzebu, gdyż Nelson w swej zaciekłej niecierpliwości nie pozwolił nawet zawołać doń spowiednika, pomimo że skazany prosił o tę ostatnią przysługę. Rzecz się w ten sposób tłumaczy, że ciało wrzucono na fale, przywiązawszy doń ołów, ważący pięćdziesiąt dwa funty angielskie; ale ciężar był za mały, aby utrzymać na dnie morza trupa nasiąkniętego wodą. Do fantastyczności zjawiska jeszcze i to się przyczyniło, że głowa straceńca musiała na powierzchnię wypłynąć, gdy u nóg były jeszcze ołowiane ciężary. Z tej legendy skorzystał jednak artysta, Ettore Cercone (1850—1896), aby wymalować wcale piękny obraz, przedstawiający króla

Ferdynanda z następcą tronu, tudzież z Nelsonem i Emmą, jak się przypatrują z pokładu swego statku wynurzającej się z morza głowie Caracciola.

Liczono trzydzieści tysięcy ofiar rewolucji, a gilotyna pracowała przez kilka miesięcy na Piazza del Mercato w Neapolu. Do znakomitości, które pożarła reakcja, należały Luisa San-Felice i Eleonora Pimentel-Fonseca, która za świetnych czasów królestwa pisała wiersze na cześć Burbonów, a w chwilach rewolucji oddała swe pióro jakobinom. Ale to przerzucanie się z jednej ostateczności w drugą było czemś zwykłem w tej epoce roznamiętnienia i przesadnych politycznych nadziei.

Luisa San-Felice, skazana na śmierć, w więzieniu wyznała, że się spodziewa potomka; więc sędziowie Giunty zawiesili wykonanie wyroku i kazali ją zbadać lekarzom. Król dowiedziawszy się o tem, sądził, że to tylko wymysł, mający uwolnić rewolucjonistkę od śmierci, i kazał ją przywieźć do Palermo celem zbadania jej przez nadwornego lekarza. Ten potwierdził, że Luisa jest w odmiennym stanie; zaprowadzono więc nieszczęśliwą narazie do więzienia. O tem dowiedziała się małżonka następcy tronu, Klementyna austrjacka, dobra, ludzka kobieta, która niedawno powiła córeczkę, późniejszą księżnę de Berry; wzięła swoją dziecinę na ręce i poszła do Ferdynanda. Wnuczka królewska miała jednak karteczkę przypiętą na poduszce z napisem: „Sire, litości dla San Felice“. Ferdynand z niechęcią spostrzegł tę prośbę i wyszedł gniewnie z pokoju. Luisa powiła dziewczynkę i została ścięta.

Wytępiono całą rodzinę bankierską Piattich, pięciu Pignatellich musiało położyć głowy pod gilotynę.

Pomiędzy oficerami rewolucji znajdował się słynny kompozytor Domenico Cimarosa, którego przepiękne melodje wprowadzały w zachwyt całe generacje. Miał on to nieszczęście, że ułożył muzykę do hymnu republikańskiego Ludwika Rossi. Gdy hordy kardynała Ruffo zalały Neapol, zrabowano dom słynnego muzyka, wyrzucono przez okno jego klawicymbał na ulicę, a samego właściciela zaprowadzono do więzienia, gdzie byłby pozostał na długie czasy, gdyby słynny tyran Speciale nie przeznaczył go na ścięcie. Nim jednak został wyrok wykonany, jenerałowie rosyjscy dowiedzieli się o tem i udali się czem prędzej

do Nelsona, aby im darował muzyka. Admirał nie mógł im odmówić tej przysługi; Rosjanie więc zabrali czem prędzej „włoskiego łabędzia“, jak go nazywano, na swój okręt i zawieźli do Wenecji. Przejścia jednak dni rewolucyjnych tak wstrząsnęły zdrowiem kompozytora, że nie mógł przeżyć okropnych wspomnień i umarł po sześciu miesiącach.

Podczas gdy jeszcze wykonywano w Neapolu straszne wyroki, w Palermo panowała radość. Przedewszystkiem królestwo chcieli wynagrodzić usługi Nelsona i jego Anglików. Pomimo smutnych finansów neapolitańsko - sycylijskich nadał król admirałowi księstwo Brosite, dużą własność ziemską, która miała przynosić 75.000 franków, a Emmie ofiarowała Karolina własny portret, otoczony diamentami, na złotym łańcuchu, z napisem „Eterna gratitudine“. Kapitanowie i oficerowie angielskich okrętów otrzymali kosztowne tabakierki, zegarki lub pierścienie. Nelsona obdarzył także król owym kosztownym mieczem, który niegdyś Karol III darował swemu synowi, odstępując mu królestwo neapolitańskie. Podarunek dość dziwny, nie świadczący o zbytniem przywiązaniu syna do ojca.

I o kardynale Ruffo nie zapomniano, pomimo że w ostatnich czasach królestwo nie byli dlań bardzo łaskawi z powodu, że jako dobry włoski patrjota chciał złagodzić niejedno okrucieństwo Nelsona. Ale niepodobna było go pominąć; otrzymał więc rentę w kwocie 15.000 dukatów i artystyczny serwis do kawy. Na tacy były wprawione miniaturowe portrety obojga królestwa, a na szkatułce umieszczono podobny napis, co na podarunku dla lady Hamilton „Eterna riconoscenza“.

Nie obeszło się także bez wspaniałego festynu dla Nelsona i Hamiltonów, uroczystości, którą już współcześni uważali za trochę śmieszną. Opis jej przekazał nam hr. Roger de Damas. Wzniesiono świątynię sławy, w której były ustawione trzy bóstwa z wosku: lady Hamilton jako Victoria, trzymająca w ręku koronę z wawrzynu, aby nią uwieńczyć Nelsona, także z wosku, którego jej przedstawia potulny sir William. Ale to była tylko zapowiedź tego, co miało nastąpić. Na schodach świątyni sławy czekali bowiem królestwo, a gdy się zbliżyła owa trójka, zasłu-

gująca na wdzięczność, Ferdynand i Karolina uściskali ją; Ferdynand wziął do ręki wieniec wawrzynowy, zasiany diamentami, z rąk woskowej Wiktorji i położył go na skroniach żywego Nelsona i w podobny sposób ozdobił sir Williama i lady Hamilton. Bohaterska trójka zatrzymała owe wieńce na skroniach podczas całej uroczystości, co robiło komiczne wrażenie, zwłaszcza że postacie uwieńczonych nie były bardzo odpowiednie do tego rodzaju ozdób; mały, chudy Nelson o jednem tylko ramieniu, o jednem oku, prawie siedmdziesięcioletni Hamilton i Emma o bardzo już obfitych kształtach. To też oficerowie angielscy pojęli odrazu śmieszność tego festynu i żaden z nich nie przyszedł na ową komedję [1].

---

[1] Jak dalece Nelson zostawał wówczas pod wpływem lady Hamilton i królowej Karoliny, świadczy jego list, pisany z Palermo 22 września 1799 do lady Spencer, żony pierwszego lorda admiralicji (*List* ogłoszony w Timesie z 7 maja 1913).

Lady Spencer musiała nazwać królową Karolinę i Emmę dwiema czarodziejkami (incantatrici), którym Nelson ulega. Na to Nelson odpowiada:

„Rzeczywiście żywię wielki afekt dla dwóch kobiet, najbardziej niezwykłych, jakie teraz świat posiada. Jedna z nich jest córką Marji Teresy (to dużo powiedzieć), którą lord Spencer bardzo ceni, pełną wdzięczności i sympatji dla naszego kraju, o umyśle mądrym i jasnym, która ze swojem doświadczeniem byłaby wielką monarchinią, gdyby postępowano według jej rad (co niestety ku mojej boleści się nie dzieje). Neapol byłby większem i szczęśliwszem państwem, jak kiedykolwiek. Jej serce znajduje tylko w tem rozkosz, co mu się zdaje dobrem, i w pomaganiu tym, którzy pomocy potrzebują. Ale rzecz pewna, że królowa nie znalazła, jak tylko niewdzięczność u tych, których powinnością było przelać krew w obronie jej osoby i jej dobrej sławy. Jeżeli królowa ma jaki błąd (co z przykrością wyznać muszę), to jest nim bezgraniczna ufność w mój honor i w moją prawość. Powiem tylko, że Jej Królewska Mość, gdy opuszczała Neapol, nie miała więcej jak 7.000 funtów szterlingów.

Co do drugiej „incantatrice", jak się lady podoba także ją nazwać, to ta co do piękności i zalet jest pod każdym względem wyższa od wielu najszczęśliwszych śmiertelniczek; tak jest bogata w inteligencję, że według jej rady mógłby postępować każdy z najmądrzejszych ministrów.

Jednak wszystkie te zalety tracą na wadze, jeżeli się je porówna z jej sercem: tam, zdaje się, dobroć wzniosła swój tron, a nieszczęśliwi wszystkich narodowości łączą się w modłach do nieba, aby zesłało błogosławieństwo na jej głowę. Muszę jednak przyznać, że i ona ma swoje słabostki: nakazuje wszystkim, którzy się do niej zbliżają, aby czcili moje

Podczas gdy w Neapolu pracowała gilotyna, aby wytępić buntowników, król chodził po brzegach morza i strzelał mewy, Nelson z Emmą robili wycieczki w pięknej gondoli o dwunastu wioślarzach. Emma była ubrana zazwyczaj biało i miała na głowie beret z czarnego aksamitu, okolony srebrzystem futrem lamparta. Jedna tylko królowa nie dzieliła wesołego usposobienia swych doradców, z niepokojem patrzyła w przyszłość. Już do Neapolu nie towarzyszyła Ferdynandowi; czuła, że jej głównie przypisują krwawą zemstę za rewolucję, wiedziała, że teraz mniej, niż kiedykolwiek, będzie popularna. Na cudzoziemkę spadnie cała wina.

Zresztą czoła radosne Nelsona i Emmy także się niebawem zachmurzyły. Nelson, upojony sławą, zaczął po części prowadzić politykę na swoją rękę. Obiecał królestwu oddanie Malty, jako ozdobę korony neapolitańskiej, na co w Londynie się nie zgadzano.

Car rosyjski Paweł proklamował się wielkim mistrzem zakonu maltańskiego, co oczywiście ani w Palermo ani w Anglji nie zrobiło dobrego wrażenia. Ujął sobie jednak Nelsona, nadając mu krzyż maltański, a gdy i Emma zapragnęła takiej odznaki, zaspokoił cesarz i jej próżność. Wprawdzie warunkiem nadania orderu kobiecie było pochodzenie szlacheckie kandydatki i „przyrzeczenie zachowania czystości"; ale tym razem odstąpiono od postanowień statutu, gdyż Emma zasłużyła się wobec mieszkańców Malty, dając im w wielkiej ich potrzebie 10.000 liwrów i przesyłając ładunek zboża z Sycylji.

Król Ferdynand wkrótce się przekonał, że obietnice Nelsona oddania mu Malty nie mają żadnej podstawy, a nawet stanowisko admirała zostało zachwiane wskutek tych jego układów, prowadzonych bez upoważnienia angielskiego ministerstwa. Rząd

---

rany, jako najbogatszy diadem, który kiedykolwiek zdobił monarchów. Mój honor i honor naszej ojczyzny jest jej tak drogi, że raczej oddałaby swą krew, aniżeliby pozwoliła na splamienie jednego lub drugiego.

Ta niezrównana kobieta jest małżonką mojego najszanowniejszego, starego przyjaciela sir Williama Hamiltona, w którego domu mieszkam, jak syn. Mogę szczerze zapewnić, że nie mógłbym oddać ważnych usług Ich Królewskim Mościom, królowi i królowej Sycylji, gdybym nie był w zażyłości z sir Williamem i z lady Hamilton".

londyński winił w tej mierze i Hamiltona; to też, gdy ambasador podał prośbę o pozwolenie udania się do Anglji w sprawach majątkowych, Foreign Office skorzystało, aby „przyjąć jego dymisję". Przerażona Emma, że musi wracać do Anglji i opuścić kraj swoich triumfów, prosiła króla, aby napisał do Foreign Office, że życzy sobie, aby pozostawiono Hamiltona nadal jako posła u jego dworu; ale król dość szorstko odmówił temu żądaniu. Emma ufna w swoją zażyłość z królestwem, musiała wtedy wypowiedzieć jakieś słowo ubliżające Ferdynandowi i wyszła z pokoju. Wskutek tego król wybuchnął dzikim gniewem, jaki go czasami opanowywał, i jak Karolina pisała, „wrzeszczał jak szaleniec, ryczał, odgrażając się, że Emmę zabije, że ją wyrzuci przez okno".

Wyjazd więc Nelsona i Hamiltonów był postanowiony; ale i królowa chciała ze względów politycznych udać się do Wiednia. W początkach bowiem r. 1800 usunął się car Paweł od koalicji przeciw Francji, co królową niesłychanie zaniepokoiło, gdyż Rosja dotąd była obok Anglji jej główną podporą. Karolina postanowiła poruszyć w Wiedniu wszelkie sprężyny, aby swój tron ratować, i piątego czerwca wypłynęła z czworgiem najmłodszych dzieci z Palermo. Do towarzystwa należeli Hamiltonowie i Nelson, a także matka Emmy, pani Cadogan, i sekretarka ambasady, miss Knight.

Tymczasem Napoleon stał się znowu panem północnych Włoch, przywrócił cisalpińską rzeczpospolitą, a sycylijska karawana dowiedziała się na pierwszej stacji, w Liworno, o przerażającej katastrofie, że Bonaparte odniósł wielkie zwycięstwo pod Marengo.

W Liwornie powstało niebywałe wzburzenie; ludność dowiedziawszy się, że Nelson bawi w mieście, oblegała pałac, żądając, aby ją admirał prowadził przeciwko Francuzom.

Anglicy i królowa nie wiedzieli, co począć; ale Emma okazała się najprzytomniejsza: wyszła na balkon, przemówiła do ludu uspokojająco i cel osiągnęła, publiczność rozeszła się do domów. Była to ostatnia usługa, jaką oddała Karolinie. Wdzięczna królowa podarowała jej diamentowy naszyjnik, ozdobiony swą cyfrą i cyframi dzieci, tudzież medaljonem, zawierającym ich włosy. Nadto chciała jej królowa wyznaczyć dożywotnią pensję

tysiąca funtów rocznie; ale Hamilton odmówił przyjęcia tego podarunku, utrzymując, że skarb angielski wynagrodzi im szkody, które ponieśli w rewolucji.

Nie mogąc jechać dalej przez północne Włochy, zwróciła się neapolitańska karawana do Ancony, skąd fregata rosyjska przewiozła ją do Triestu.

Towarzystwo arystokratyczne w Wiedniu przyjmowało bardzo uprzejmie neapolitańskich przybyszów, pomiędzy innymi książę Esterhazy dawał częste obiady dla Nelsona i Hamiltonów w zamku swym, w Sankt-Veit, na których bywało po sześćdziesiąt do siedmdziesiąt osób. Zdaje się, że brak dobrego wychowania Emmy bardziej raził na północy, aniżeli na południu. Jeden z gości Esterhazego, lord Fitzharris, opisywał lady Hamilton jako jedną z najordynarniejszych i najnieprzyjemniejszych kobiet, jakie spotkał. Jako przykład braku taktu Emmy przytaczał, że gdy Esterhazy, wiedząc, jak lady lubi muzykę, zaprosił Haydna na raut, Emma zasiadła w chwili, kiedy słynny artysta rozpoczął swój koncert, do stołu gry, a trzymając karty w zastępstwie Nelsona, wygrała 300 do 400 funtów. O koncercie Haydna zapomniała, jak i o tem, że głównie dla niej był dany. Zdaje się jednak, że Haydn bynajmniej na nią się nie obraził, bo napisał muzykę do ody miss Knight na zwycięstwo na Nilu, którą Emma odtąd często śpiewała. Oda kończyła się wykrzyknikiem marynarskim: „Hip! hip! hurrah!“, przyczem śpiewaczka musiała wychylić kielich wina i ostatnią kroplę wylać na paznokieć.

Wogóle Anglików zaczynało gniewać, że morski bohater Nelson jeździ z Emmą i tak uporczywie, jak mówiono, „trzyma się jej spódnicy“; raziło ich także, że lady w całej tej podróży ubierała się bardzo niedbale i nie starała się dobrze przedstawić wobec Niemców. Jedna z arystokratycznych Angielek opowiada w swym pamiętniku „*Souvenirs de Mrs. Trench*“, że „lady Hamilton, którą widywała w podróży, w Dreźnie, jest harda, odważna, gburowata, pełna pretensyj i próżna; olbrzymia postać, ale zupełnie proporcjonalna, z wyjątkiem nóg, które są szkaradne. Całość rysów ładna, równie jak kształt głowy i uszu, zęby niezupełnie regularne, ale białe, oczy niebieskie, błyszczące, na jednem z nich brunatna plama, która jednak nic nie szkodzi

ich piękności i wyrazowi. Brwi i włosy czarne, wyraz twarzy uderzający, zmienny i zajmujący; ruchy bez wdzięku, głos silny, ale przyjemny".

W Wiedniu nastąpiło pożegnanie przyjaciółek, na zawsze. Karolina pozostała niezadowolona, pełna obawy o przyszłość swego królestwa. Minister Thugut starał się wówczas o zawarcie pokoju z Francją; przyjazd więc Karoliny, zostającej dotąd pod wpływem angielskim, był mu bardzo nie na rękę. Dwór także nie wiedział, co począć z królową; przeznaczono jej Schönbrunn na mieszkanie, lecz cesarz Franciszek i cesarzowa Teresa wyjechali do Badenu, aby uniknąć ciągłej styczności z Karoliną. Widywano się rzadko i dość oficjalnie, zwłaszcza że królowa starała się przez dawnego swego przyjaciela, hrabiego Razumowskiego, ożenionego z hrabianką Thun, teraz posła rosyjskiego w Wiedniu, usposobić cara jak najlepiej dla Neapolu. Carowi też królestwo zawdzięczali, że Bonaparte oszczędził Neapol i że w pokoju z 18 marca 1801, zawartym pomiędzy Francją a Neapolem, został zapewniony powrót Burbonów do stolicy i posiadłości ich tylko trochę okrojono.

Od tej chwili i Karolina zmieniła, przynajmniej chwilowo, swoją politykę; naraz stała się wielbicielką genjuszu Napoleona i stawiała go jako przykład książętom swego domu.

Podczas gdy Karolina bawiła jeszcze w Schönbrunnie, opuszczał Ferdynand IV Palermo, w połowie czerwca 1802, aby odbyć triumfalny swój powrót do Neapolu. Od końca 1798 nie stanął nogą na neapolitańskiej ziemi. W tej chwili mógł być zadowolony; chyba nigdy go tak świetnie nie przyjmowano: bramy triumfalne, czułe napisy, a panie z arystokratycznego towarzystwa rzucały się z całym południowym zapałem, aby całować królewskie ręce. Karta się odwróciła, republika przemieniła się w monarchję, z jakobinów stali się neapolitanie gorącymi stronnikami Burbonów. Ferdynand był rozczulony.

We dwa miesiące później przybyła królowa Karolina z Wiednia; ale czując pewną niechęć publiczności ku sobie, starała się odbyć swój wjazd cicho, bez festynów. Oceniając zresztą położenie polityczne trzeźwiej, aniżeli małżonek, widziała, że

wskutek florenckiego układu Neapol stał się właściwie wasalem Francji. Zresztą Karolina nie wierzyła już w stałość uczuć neapolitańskiej ludności, a przedewszystkiem miała głęboki żal do kół arystokratycznych, z któremi nawiązała za dobrych czasów przyjacielskie stosunki, a później musiała się przekonać, że mniemane uczucia przywiązania były fałszem i komedją. Wkrótce także przekonała się, że zapatrywania jej co do zależności Włoch od Francji są prawdziwe, Napoleon kazał bowiem jenerałowi Saint-Cyr wkroczyć z 13.000 ludzi do królestwa neapolitańskiego, oświadczając, że wojsko francuskie tak długo ma tam pozostać, dopóki Anglicy nie opuszczą Malty. Napoleon nie wierzył Karolinie; przekonany, że królowa w porozumieniu z Actonem będzie ciągle intrygowała przeciw niemu z Anglikami, chciał ją mieć w ręku. To też Karolina była otoczona francuskimi szpiegami, którzy donosili Napoleonowi niemal każde jej nieostrożne słówko na Bonapartego. A na podobnych wybuchach nie zbywało u gwałtownej Karoliny. Zresztą królowa udawała od chwili swego powrotu z Wiednia, że się do polityki nie miesza, że z całym spokojem usunęła się od spraw publicznych, utrzymując, że wszystko dzieje się bez jej wiedzy, nawet nierozumne postępowanie neapolitańskiej policji, która teraz wszędzie wietrzyła spiski na korzyść Francuzów. Zdarzyło się, że profesor fizyki na tamtejszym uniwersytecie, Sementini, obiecał swym słuchaczom, że następnego dnia okaże im działanie baterji elektrycznej. Gdy się jednak policja o tem dowiedziała, uwięziono czem prędzej profesora i jego uczniów, podejrzywając ich, że zamierzają zdobyć elektrycznością zamek Sant'Elmo. Pięć miesięcy trzymano profesora i całą szkołę w wieży.

Mimo że królowa udawała, że się do niczego nie miesza, stała się kierowniczką ukrytych prądów antyfrancuskich; łudziła się, że sanfedyści mogą powstać na nowo i stworzyć potęgę, która się groźną stanie Francuzom. Utrzymywała też stosunki z sanfedystami, a Fra Diavolo stał się główną sprężyną jej działania.

Powodując się, jak zawsze, chwilowemi uczuciami i namiętnościami, ostentacyjnie obchodziła zwycięstwo Anglików pod Trafalgarem, pomimo że tam poległ Nelson. Rozdawała nagrody marynarzom angielskim, którzy tam walczyli, jawnie zaznaczała swą nienawiść ku Francji.



Widok wnętrza katedry św. Januarego w Neapolu w chwili cudownego skroplenia się krwi świętego

Napoleon nie cierpiał podobnej dwulicowości; rząd francuski zażądał przedewszystkiem usunięcia Actona, sądząc, że jemu i królowej głównie trzeba przypisać postępowanie nieprzyjazne Francji. Ferdynand się zrazu opierał, ale ostatecznie musiał ustąpić. W maju 1804 otrzymał wszechwładny minister dymisję; zasługi jego zostały nagrodzone tytułem książęcym i roczną pensją 30.000 dukatów, która miała przejść na jego męskich potomków. Przeniósł się więc do dóbr swoich na Sycylji.

Jeszcze jednego upokorzenia musiała Karolina doznać w tym nieszczęsnym roku 1804. W listopadzie nadeszła wiadomość, że Napoleon koronuje się jako cesarz Francji. Listy królowej z tych czasów zioną poprostu jadem. Napoleonowi donoszono o wszystkiem; stosunki pomiędzy nim a królową coraz bardziej się pogarszały. W Medjolanie wobec licznego zgromadzenia dygnitarzy wylał Napoleon swój gniew przeciw Karolinie w przemowie do posła neapolitańskiego, księcia Cardito, osobistości bardzo poważnej. Cesarz sądził, że książę, podobnie jak inni posłowie, przybył, aby mu złożyć powinszowanie od królestwa z powodu, że się ogłosił królem Włoch; gdy się jednak pokazało, że Karolinie się nie śpieszyło z uznaniem nowego monarchy, wyraził Bonaparte w najbardziej gburowaty sposób swe niezadowolenie. Posądzał ją o intrygi przeciw Francji, zarzucał, że całą Europę chce przeciw niemu wzburzyć, co więcej, wyliczał rozmaite zbrodnie, jakie popełniła, nazwał ją najnieobyczajniejszą kobietą, jaka kiedykolwiek tron zajmowała, a zakończył swe wymyślania pogróżką, aby ta „nowa Atalja przygotowała się, że ją czeka los owej spodlonej księżny Izraela i że nie pozostawi jej więcej ziemi, jak tylko tyle, aby ją można pogrzebać!“

Karolina, dowiedziawszy się o tem, nie omieszkała na najbliższem dworskiem zebraniu oświadczyć posłowi francuskiemu, że jego pan okazał się tem, czem był dawniej, i że od czasu, jak zajął tron francuski, nie nauczył się tych względów, jakie sobie winni monarchowie.

Po tych wzajemnych niegrzecznościach nadeszły gorsze groźby Napoleona. Przybyły właśnie z Bolonji poseł francuski Alquier prosił królową 6 czerwca 1805 o posłuchanie i w sposób szorstki, prawie gburowaty, zapowiedział Karolinie, że teraz chodzi o jej koronę, że cesarz nie będzie się wahał zmusić ją do zrzeczenia

się tronu, że nawet jej synowi odbierze prawo do następstwa, jeżeli królowa będzie dalej intrygowała przeciw Napoleonowi.

Karolina wybuchła gwałtownym płaczem, po raz pierwszy okazała wobec obcego posła, że jest kobietą. Alquier wyszedł, ale tron burboński w Neapolu zachwiał się; nie było narazie ratunku.

Królowa jeszcze nie kapitulowała, przystąpiła we wrześniu 1805 do koalicji przeciw Napoleonowi, do której należał Wiedeń, Petersburg i Londyn, a w tajemnicy przed Francuzami starała się wzmacniać neapolitańskie wojsko. Napoleon postępował jednak szybciej, aniżeli koalicja. Ułożył z Talleyrandem projekt traktatu, na mocy którego rząd neapolitański zobowiązał się do najzupełniejszej neutralności, do wzbronienia przystępu rosyjskim i angielskim okrętom do portów neapolitańskich, do nieuznania angielskiego panowania na Malcie bez pozwolenia Francji, a nawet do wydalenia Actona z Sycylji. Pod grozą najścia Francuzów pod dowództwem Saint-Cyra podpisał król traktat, ale niebawem przybyłe na pomoc floty: rosyjska i angielska, żądały, aby Neapol otwarcie przystąpił do koalicji i aby forty neapolitańskie i Sycylja zostały oddane wojskom koalicji aż do zawarcia pokoju. Oboje królestwo narazie opierali się tym żądaniom, ponieważ przed kilkoma tygodniami podpisali traktat neutralności; ale całe ich otoczenie, ministrowie byli za tem, aby mimo neutralności, którą wymusił Napoleon, otworzyć porty dla koalicyjnej floty. Królowa przeczuwała, że to nieszczęście, i prawie z rozpaczą wyrzekła: „Eh bien, puisque on le veut, que notre destinée s'accomplisse".

I przeznaczenie się wkrótce spełniło.

Napoleon pobił Austrjaków i Rosjan 2 grudnia 1805 pod Austerlitz; z Schönbrunn napisał do Talleyranda: „Teraz nareszcie schłoszczę tę gadzinę, cette coquine, królową Karolinę" i w *Monitorze* z pierwszego lutego 1806 ogłosił odezwę do armji, w której znalazł się ustęp: „la dynastie de Naples a cessé de regner; son existence est incompatible avec le repos de l'Europe et l'honneur de ma couronne".

Królowa próbowała się jeszcze ułożyć z Napoleonem, zrzekając się tronu na rzecz syna; ale Bonaparte nie chciał mieć z nią nic do czynienia.

Wskutek zwycięstwa Napoleona na północy opuściły Neapol floty angielska i rosyjska; królowej nic nie pozostało, jak liczyć na własne siły. A smutne to było oparcie, zdemoralizowane wojsko i — Fra Diavolo.

Ludność tak w Neapolu, jak w górach, zanadto jeszcze wyraźnie miała w pamięci okrucieństwa z roku 1799, aby ponownie pragnąć rozlewu krwi. Fra Diavolo przebiegał Abruzzy, bijąc w bębny i rozwijając chorągiew sanfedystów; ale zebrał mało co więcej nad dwustu ludzi, chcących walczyć za Burbonów, zresztą napotykał na niechęć lub obojętność.

Rodzinie królewskiej nie pozostawało nic innego, jak zabrać, co się dało, z kosztowności i podobnie, jak w r. 1798, uciekać do Palermo; 24 stycznia wyjechał Ferdynand IV, 12 lutego królowa i następca tronu. We dwa dni później zajęli Francuzi Neapol, a na ich czele Józef Bonaparte, jako „lieutenant“ cesarza Napoleona. Francuzi zajmowali miasto ostrożnie; obawiali się lazzaronów, bo królowa miała powiedzieć przed licznymi świadkami, że każdy ranny Francuz powinien być zamordowany i rozćwiartowany w kawałki.

Królowa nie traciła nadziei odzyskania tronu; związała się znowu ściślej z Anglikami, podsycała niepokoje przeciw Francuzom w Kalabrji i mówiła do austrjackiego posła, hrabiego Kaunitza: „Gdyby mi tym razem nie udało się dostać do Neapolu, to będę po raz drugi, trzeci, dziesiąty, będę po raz dwudziesty próbowała odzyskać moje prawa; niech to będzie cierniowa korona, którą Napoleon dał swemu bratu“.

Przeprawa Karoliny do Sycylji, podobnie jak w r. 1798, była straszna; morskie bałwany, miotane burzą, pochłonęły większą część mebli królewskich i prawie wszystkie pakunki. Wspomnienia z ostatniego pobytu na Sycylji męczyły Karolinę, nie lubiła tego nędznego kraju, „w którym nic nie widać prócz ludzi w łachmanach, gdzie nic nie można kupić, gdzie drugiego marca był taki śnieg, jak w najgorszą zimę“. Zresztą mało miała pieniędzy, musiała rozpuścić znaczną część służby; na domiar złego chorowała na oczy, nie mogła czytać, a najbardziej ją trapiła troska o przyszłość, co się z nimi stanie, czy Francuzi i Sycylję zabiorą. „Będziemy może, pisała do córki, cesarzowej Teresy, błądzić po morzach o biedzie i rozpaczy, bez potrzebnych środ-

ków do życia, bez pieniędzy i bez chleba, dwoje schorowanych starców, twój ojciec i ja, pięcioro młodych, w pełni sił, i troje niemowląt, nie wiedząc gdzie osiedlić tę niepożądaną kolonję". Prosiła córkę o mały jaki przytułek w taniej miejscowości, np. w Gracu lub w Preszburgu.

Ferdynand był spokojniejszy; urządził się tak, aby mu życie płynęło jak najprzyjemniej, nabył willę w pobliżu Palermo, pozakupywał grunta naokoło, zaprowadził gospodarstwo mleczne, sprzedawał masło do miasta, a w czasie połowu tuńczyków, co stanowiło wielki dochód mieszkańców, przenosił się do innej willi, do Marinella, gdzie z namiętnością oddawał się rybołówstwu. Rzecz prosta, że nie zapominał o myśliwstwie, a w tym celu urządził sobie zamek Figuzza, otoczony lasami, albo zapuszczał się w góry koło Trapani. Troski polityczne pozostawiał Karolinie i tylko w ważnych chwilach zjeżdżał do Palermo.

Ponieważ następca tronu także oddawał się gospodarstwu wiejskiemu i wcale pokaźne miał stąd dochody, więc pomiędzy Ferdynandem a synem powstało współzawodnictwo, kto lepiej sprzedaje zboże i mleko. Mówiono wtedy, że królewskie masło i masło następcy tronu jest jedynem dobrem, jedyną korzyścią, jaką poddani mają z tych dwóch Burbonów. Zresztą Ferdynand nie tracił czasu także w sprawach sercowych; zawiązał stosunek z Łucją Magliaccio, księżną di Partanna, w czem znowu bardzo się różnił od następcy tronu, który żył w najlepszych stosunkach ze swoją małżonką.

Tymczasem w Neapolu nastąpiły zmiany; Napoleon włożył 6 czerwca 1808 koronę hiszpańską na głowę swego brata, Józefa Bonapartego, a królem neapolitańskim zamianował Joachima Murata.

Niedość było dla królowej Karoliny zgryzot i niepokojów politycznych; gniewało ją do reszty, że nowa królowa neapolitańska nazywała się tak, jak ona, Karoliną, że była piękna, odważna i zyskiwała sobie szybko popularność u wrażliwych Neapolitańczyków.

Zresztą Ferdynand, zakosztowawszy władzy w nieobecności żony, zaczął się mieszać do polityki, a nawet utworzyły się na królewskim dworze dwa stronnictwa. Na króla odzyskał przeważny wpływ dawny minister Acton, który zaczął prowadzić zu-

pełnie angielską politykę, gdy tymczasem królowa raczej chciała się opierać na tajnych związkach kalabryjskich, na spodziewanej pomocy od Rosji i zaczęła niebardzo ufać Anglikom, których ostatecznym zamiarem było opanować całą Sycylję. Łudziła się co do stałości uczuć Neapolitańczyków, pomimo że miała już w tej mierze smutne doświadczenia, i była przekonana, że oprócz arystokracji i kilkunastu adwokatów, którzy popierają uzurpatorów, wszystkie inne klasy społeczeństwa są za Burbonami. Potrafiła nawet w zwołanym na krótki czas parlamencie sycylijskim uzyskać fundusz na sprawienie noża myśliwskiego, wysadzanego diamentami, i pary pistoletów dla pułkownika Michała Pezzy, zwanego Fra Diavolem.

Ale okrucieństwa, jakich się dopuszczali dzicy przewódcy buntów w Kalabrji, jak Fra Diavolo, Pepasadaro i im podobni, zmusiły i Francuzów do wysłania tam Masseny z oddziałem wojsk i do strasznego odwetu. Nastąpiły krwawe sądy, konfiskaty majątków, a znaczna część kraju została zniszczona pożogą i rabunkiem. Nareszcie jeden z głównych filarów kalabryjskich buntów, Fra Diavolo, został w jesieni 1806 schwytany przez Francuzów i ścięty dwunastego listopada.

Królowa straciła ważną podporę swych zamiarów, ale czekał ją jeszcze większy cios; najstarsza córka Karoliny, cesarzowa Marja Teresa, umarła 13 kwietnia po nieszczęśliwym połogu. Co więcej, cesarz Franciszek I poprowadził wkrótce do ołtarza drugą swą małżonkę, Ludwikę d'Este. Nie na tem koniec nieszczęść i zawiedzionych nadziei; stosunki pomiędzy dworem austrjackim a Francją znacznie się poprawiły, a tem samem bardzo oziębły pomiędzy cesarzem a królową Karoliną. Cesarz uznał Murata, jako króla neapolitańskiego; Karolina nie mogła się już spodziewać, że Wiedeń ją będzie popierał w odzyskaniu neapolitańskiego tronu. Zawrzała też gniewem na cesarza i w listach nie mogła się powstrzymać, aby swemu niedawno „najukochańszemu synowi i siostrzeńcowi“ nie szczędzić nieprzyjemnych docinków. Jeden z listów rozpoczęła słowami „Kochany synu!“, ale zaraz dodała „Pardon, pardon, jeżeli po raz ostatni śmiem użyć tego wyrazu, który był tak drogi mojemu sercu“. Później tytułuje cesarza oficjalnie „Wasza Cesarska i Królewska Mość“, robi mu wyrzuty, że o powtórnem jego ożenieniu dowie-

działa się dopiero przez Rzym, gdzie się starał o dyspensę. Wogóle nie mogła pohamować swej urazy do cesarza, pomimo że wówczas bardziej potrzebowała jego poparcia, aniżeli kiedykolwiek pierwej.

Ale i z jedynymi sprzymierzeńcami Karoliny, z Anglikami, psuł się stosunek z dnia na dzień. Anglicy wiedzieli, że przyjaźń z Karoliną i Ferdynandem IV na nic się im nie przyda; admirał Collingwood pisał przy jakiejś sposobności do lorda Radstock, że królestwo sycylijskie nie ma nic, coby mogło tworzyć siłę państwa; ma króla, któryby powinien panować, i królową, chcącą rządzić, brak mu jakiejkolwiek siły obronnej, a dochody zaledwie wystarczają na urządzanie zabaw i rozrywek królewskich. Szlachta nie przywiązana do tronu, ludowi zupełnie obojętne, kto nad nim panuje, byle miał dzienny zarobek. Anglicy podejrzywali teraz królową, że chce się zbliżyć do Napoleona, że nawet z nim koresponduje; dopóki zresztą admirał Collingwood, człowiek wyrozumiały i dość przychylny dworowi, był komendantem floty angielskiej na wodach Sycylji, dopóty stosunki pomiędzy królową a Anglikami nie doszły do ostatecznego naprężenia; gdy jednak William Bentinck został cywilnym i wojskowym zastępcą rządu angielskiego w Sycylji, stanowisko królowej było niemożliwe. Lord Bentinck, dawniej gubernator w Madras, człowiek gwałtowny i dumny, sądzący wszystko z angielskiego punktu widzenia i nie rozumiejący sycylijskich stosunków, zmusił króla do nadania Sycylji urządzeń na wzór angielskiej konstytucji, a wobec królowej zachowywał się w sposób, do jakiego córka Marji Teresy nie była przyzwyczajona. Gdy lord zażądał, aby w Palermo stała załoga angielska, Karolina znieść już tego nie mogła i postanowiła opuścić Sycylję. Zrazu był projekt, aby oboje królestwo wyjechali z Palermo; ale Ferdynandowi tak miłe były polowania na dziki i połów tuńczyków, a nadto możność widywania się z Łucją Magliaccio, że wolał pozostać w Sycylji, zwłaszcza że lord Bentinck nie przeszkadzał mu w jego prywatnych upodobaniach. Na wiosnę więc r. 1813 postanowiła królowa wyjechać do Austrji, postawiwszy angielskiemu satrapie kilka warunków. A mianowicie żądała, aby rząd angielski zapłacił jej długi, aby pozwolił wydać jej diamenty, złożone w banku sycylijskim, zapewnił rentę dla niej

i jej otoczenia na czas oddalenia się z Sycylji i dał jej sycylijską korwetę do przejazdu. żądała także, aby sobie mogła wybrać komendanta okrętu, na co wszakże Bentinck się nie zgodził, chciał bowiem mieć takiego kapitana, którzyby śledził każdy krok królowej.

Straszne to były chwile dla dumnej Karoliny, tem bardziej, że schorowana, obawiająca się długiej morskiej podróży, nie miała już dość fizycznej i moralnej siły, aby się narażać na niepewne losy. Cesarza Franciszka prosiła o przytułek, czego jej naturalnie dawny zięć odmówić nie mógł; ale wiedziała dobrze, że w Wiedniu nie będzie pożądanym gościem, że tam raczejby sobie życzono, aby w Palermo pozostała.

Królowa miała opuścić Sycylję z końcem kwietnia 1813, ale zasłabła i wyjechała dopiero z początkiem czerwca. Przybrała tytuł hrabiny Castellamare, nazwę, pod którą już raz podróżowała do Wiednia, przed dwudziestu pięciu laty, z mężem i dwojgiem dzieci. Tym razem czekała ją podróż niebezpieczna; musiała unikać spotkania okrętów francuskich, aby zamiast do Wiednia nie zawieziono jej w darze Napoleonowi. Towarzyszył jej książę Hessen-Philippsthal, wojskowy, który niedawno bronił Gaety przeciw Francuzom, a w ostatnich czasach był dowódcą konnej gwardji królowej. Najbliższym celem podróży była wyspa Zante, gdzie dopiero miano postanowić, jaką drogę dalej obrać, aby zawinąć do jednego z portów Adrjatyku. Towarzyszący jednak królowej Anglicy, opiekunowie przydani przez lorda Bentincka, obrócili drogę na Konstantynopol, aby śledzić każdy jej ruch i nie pozwalać, aby się zetknęła z „podejrzanymi ludźmi“. Trzeciego sierpnia mogła dopiero opuścić Zante i 13 września stanęła w Bujukdere, gdzie Anglicy nikomu z Turków nie pozwolili do niej przystąpić. Z Konstantynopola popłynęła mała flotyla królowej do Odessy, gdzie po raz pierwszy od wyjazdu doznała Karolina sympatycznego przyjęcia. Gubernatorem był tam wówczas książę Richelieu, który nawet wydał dwa świetne bale dla znakomitej podróżnej. Odpocząwszy w Odessie, jechała Karolina dalej na Nikołajew i Humań do Tulczyna, w gościnę do Szczęsnego hr. Potockiego, gdzie stanęła dwudziestego piątego grudnia. Hr. Szczęsny był już wtedy ożeniony z piękną Greczynką, Zofją, a oboje małżonkowie wysilali się, aby nie-

szczęśliwej królowej jak można najbardziej uprzyjemnić krótki pobyt na Ukrainie. To też Karolina pisała stamtąd, „że hrabina Potocka pełna dla niej uprzejmości, równie jak wszyscy mieszkańcy tamtych okolic". Dwudziestego ósmego grudnia wyjechała królowa z Tulczyna, a jadąc na Nowy Konstantynów, stanęła 10 stycznia 1814 we Lwowie, gdzie namiestnikiem był hr. Goes. Powitanie było bardzo uroczyste; najwyżsi urzędnicy i gwardja obywatelska w uniformach wyruszyła na jej spotkanie. Przygotowano dla królowej apartamenty w arcybiskupim pałacu, gdzie Karolina bawiła ośm dni; stamtąd udała się do Wiednia.

Siostra hrabiny Goes, hrabianka Lulu Thürheim, która wtedy bawiła we Lwowie, opisuje w swoich pamiętnikach wrażenia z pobytu królowej. Przedewszystkiem zaznacza, że na balach u szwagra była ona królową, a nie Marja Karolina, czemu zresztą nietrudno uwierzyć, bo hrabianka Lulu była młoda, a chociaż nie należała do klasycznych piękności, podobała się mężczyznom swem ożywieniem i wyrafinowaną kokieterją. Autorka pamiętników chwali się, że miała na tych balach modną suknię i najlepszych tancerzy; najbardziej światowi panowie ją otaczali i oczywiście unikali starej królowej, tem bardziej, że nie wiedzieli, o czem z nią mówić. W tem samem położeniu były panie, które Karolinie przedstawiono; kończyło się więc najczęściej na głębokim ukłonie. Niektóre z lwowskich pań nie miały wyobrażenia o pochodzeniu i stanowisku królowej; jedna z nich sądziła, że Karolina pochodzi z rodu Hohenstaufów, inna wyraziła przed królową swoje szczęście, że jej syn jest austrjackim posłem na dworze króla neapolitańskiego, co nieprzyjemnie dotknęło Karolinę, bo królem neapolitańskim był już Murat. Syn królowej, książę Leopold, dość komicznie wyglądał; duży, tłusty mężczyzna, o burbońskich rysach twarzy, tańczył bardzo niezgrabnie i zachowywał się, jak tylko można, „najgłupiej". W otoczeniu królowej znajdował się z wybitniejszych osobistości markiz de Saint-Claire, Francuz, którego egzystencja na dworze królowej wydawała się pannie Thürheim trochę dziwną, gdyż na zwykłego ochmistrza dworu był bardzo „zapięty", a na przyjaciela zanadto skromny. Panna Lulu jednak nie wiedziała, że markiz, który kierował wychowaniem księcia Leo-

polda, był dawniej w wielkich łaskach u królowej, ale później, od r. 1805, utracił u niej wszelki wpływ, bo się zbliżył do Ferdynanda IV. Z królową wyjechał zapewne z Palermo, aby uciec przed Anglikami, a teraz wobec zupełnej materjalnej zależności od Karoliny zachowywał się skromniej, aniżeli to na ochmistrza dworu wypadało.

Dla królowej dawano we Lwowie ciągłe obiady i kolacje, bardzo nudne, panowało bowiem na nich milczenie, „pełne respektu". W czasie tych przyjęć mogła się hrabianka Lulu dobrze przypatrzeć królowej i zdawało się jej, że Karolina chce być bardzo przyjemną, ale po ruchach oczu i głowy widać, że gra tylko komedję. Wogóle miała twardy, bardzo nieprzyjemny wyraz twarzy. Podobnego zdania był wówczas jeden z francuskich dyplomatów, który ją opisał jako wysoką, bardzo wykształconą, ale niezmiernie dumną i pełną pychy kobietę, wyglądającą, jakby była przyzwyczajona do odurzania się wschodniem opjum. Charakterystyki te potwierdza zresztą sztych Rafaela Morghena z r. 1777, na którym widzimy Karolinę wyschłą i spaloną namiętnościami, o zamąconem, niemiłem spojrzeniu, u której już trudno się domyślać szlachetnych porywów serca.

W Wiedniu umieszczono „niewygodną" ciotkę w pałacu cesarskim w Hetzendorf, gdzie była dość odosobniona. Życzyła sobie wprawdzie przenieść się na mieszkanie do Schönbrunn, ale tymczasem, po upadku Napoleona, przeznaczono ten pałac na mieszkanie dla Marji Ludwiki, cesarzowej Francji.

Marja Ludwika, zagniewana na dwór wiedeński, że ją niemal więziono w Schönbrunnie, bardzo chłodne stosunki utrzymywała z rodziną i tylko z Marją Karoliną lepiej się znosiła, gdyż obydwie monarchinie łączyły podobne, smutne losy. Rozłączenie Marji Ludwiki z Napoleonem uważała Karolina za niesprawiedliwość, do nieba o pomstę wołającą, i wtedy to powiedziała wyżej już przytoczone słowa: „Jeżeli dalej tak, jak dotąd, będą z Ludwiką postępować, to nie pozostanie jej nic innego, jak skręcić firanki nad łóżkiem w linę i w przebraniu spuścić się do ogrodu, aby pobiec do swego męża. Takby przynajmniej ona, Karolina, zrobiła, gdyby była w położeniu Marji Ludwiki, gdyż jeżeli się jest zamężną, to na całe życie!" Jedna to z tych

sentencyj królowej, które były wprawdzie pięknie powiedziane, ale mniej głęboko odczute.

W spokojnym pałacu w Hetzendorf nie zapominała królowa o politycznej pracy, o podburzaniu Neapolu przeciw Muratowi na korzyść swego tronu. Głównym jej ajentem był książę Molinaro, bawiący wówczas w Rzymie. On prowadził korespondencję z księciem Laurenzana, wielkim stronnikiem Burbonów, który znów działał w Neapolu. Królowa zawiązała stosunki ze stowarzyszeniem karbonarów, rozgałęzionem już po całych Włoszech. Oczywiście działo się to w tajemnicy przed dworem wiedeńskim, który nie byłby zadowolony z podobnych knowań. Poseł austrjacki w Neapolu, hr. Feliks Mier, miał w tej mierze zupełnie ugruntowane podejrzenia.

Nie ulega też wątpliwości, że Karolina tajemnie traktowała także z Napoleonem, więzionym na wyspie Elbie, który życzył sobie, aby król pozwolił mu na zajęcie portów sycylijskich przez wojska francuskie i wypędzenie Anglików z Sycylji. Anglicy jednak przejęli te listy i skazali na śmierć ajentów Karoliny, pomiędzy którymi był kapitan Rossaroll.

Królowa dokładała także wszelkich starań, ażeby w Petersburgu i w Rzymie nie uznano Murata, jako króla Neapolu; ale już nie doczekała się owocu swych zabiegów, gdyż 8 września 1814 umarła, tknięta apopleksją. Znaleziono ją z rana leżącą na posadzce sypialnego pokoju z ręką podniesioną w kierunku dzwonka, którego już dosięgnąć nie mogła.

Ciało jej sprowadzono z Hetzendorf do Wiednia, gdzie dziesiątego z rana było wystawione w dworskiej kaplicy, a po południu pochowane. Serce złożono u augustjanów, trzewia w kościele św. Szczepana, a resztę ciała w grobach cesarskich u kapucynów. Długi napis łaciński streszcza jej żywot, w którym jednak uderza, że wymieniono tam Ferdynanda IV jako „króla Sycylji“, a nie „obydwu Sycylij“. Murat jeszcze zajmował tron neapolitański.

Do Neapolu nadeszła wiadomość o śmierci Karoliny w chwili jakiegoś wielkiego festynu na dworze królewskim. Joachim i Karolina natychmiast opuścili salony i festyn się zakończył.

Była to właśnie chwila, kiedy się miał rozpocząć kongres wiedeński; ale dopiero we dwanaście dni po śmierci królowej

przybyli: cesarz Aleksander rosyjski i Fryderyk Wilhelm, król pruski. Zrazu zdawało się posłom Murata, że sprawa uznania go królem neapolitańskim wejdzie na dobrą drogę, a gdy 4 marca 1815 nadeszła wiadomość, że Napoleon opuścił Elbę i że zamierza napowrót zdobyć swe cesarstwo, Murat nie wątpił, że zostanie nadal nietylko królem Neapolu, ale że sobie zdobędzie koronę króla włoskiego. Choleryk i żołnierz z powołania, niewiele myśląc, zebrał szybko swe wojska i ruszył na Rzym, na Toskanję, aby sobie zdobyć półwysep. Posłowie jego zapewniali tymczasem w Wiedniu, że Murat nie zamierza walczyć przeciw Austrji, ale że chce tylko bronić się przeciw możliwemu napadowi zewnętrznego nieprzyjaciela. Cesarz austrjacki i cały kongres uważał jednak wyprawę Murata za zerwanie pokoju i austrjacka armja wyruszyła przeciw jego wojsku. Aż do rzeki Padu szczęściło się wojowniczemu królowi, ale w Ochiobello zaczęła zwyciężać armja austrjacka; Murat musiał się cofać, a ścigany przez jenerałów Neipperga i Bianchiego aż po Abruzzy, został na głowę pobity, zwłaszcza że ludność południowa pod wpływem karbonarów pragnąca powrotu Ferdynanda IV, pomagała austrjackiemu wojsku.

Karbonarskie przyjaźnie Karoliny dopiero teraz, po jej śmierci, przynosiły pożądane owoce.

Murat, opuszczony przez swych żołnierzy, po większej części oddawna nieprzychylnych Francuzom, uszedł tylko z kilkoma wiernymi, a widząc swą sprawę straconą, wsiadł w Neapolu na okręt, aby się dostać do Francji.

Ferdynand IV, uwiadomiony już przez Anglików o ostatnich wypadkach, był przygotowany do powrotu; wylądował w przystani w Bajach i następnie czekał w Portici, obawiając się, aby go ludność neapolitańska chłodno nie przyjęła. Gdy jednak liczne deputacje ze stolicy i z innych części kraju zapewniły go o entuzjazmie, jaki panuje z powodu upadku francuskich rządów, wrócił do Neapolu i do swojej ulubionej Caserty.

Murat nie znalazł przyjaciół w południowej Francji, ponieważ tam przeważały burbońskie sympatje; schronił się więc na Korsykę, gdzie chciał się doczekać powrotu na tron neapolitański. Lekkomyślny i łatwowierny, wierzył, że lud włoski jest mu przychylny; zebrał więc garstkę awanturników, wylądował w Ka-

labrji, ale schwytany przez oddział wojska Ferdynanda, został stawiony przed sąd wojenny i skazany na śmierć. Umarł odważnie, jak na żołnierza przystało.

Ferdynand IV pojął w pięćdziesiąt dni po śmierci Karoliny za żonę Łucję Magliaccio, wdowę po księciu Partanna, z którą na Sycylji zawiązał stosunek. Łucja miała już liczne potomstwo, była kobietą prostą, nie mieszającą się do spraw publicznych, żyjącą wspomnieniami dawnych miłostek. Zresztą mówiono o niej, że była dobrą kobietą, nabożną, miłosierną, ale za podarunki w złocie sprzedawała swą protekcję i urzędy. Ślub odbył się w cichości, w kaplicy zamkowej, a poseł austrjacki w Palermo, baron Crescenzi, nie chciał zrazu wierzyć, że król wchodzi już w drugie związki małżeńskie, podczas gdy jeszcze po kościołach odbywały się uroczyste egzekwie za zmarłą królową.

Powróciwszy do Neapolu, przyjął Ferdynand IV imię Ferdynanda I, króla obojga Sycylij, a pierwszem jego żądaniem było obalić instytucje liberalne, które zaprowadził Józef Bonaparte. Do nazwania się Ferdynandem I i to go skłoniło, że jako Ferdynand IV zaprzysiągł w Sycylji konstytucję z r. 1812, usłużni zaś jezuici wytłumaczyli mu, że pierwszy Ferdynand będzie innym monarchą i nie popełniając krzywoprzysięstwa, może znieść ową konstytucję. Obalenie ustaw liberalnych w Neapolu nie obeszło się wszakże bez ludowej rewolucji, wskutek której król musiał w części uczynić zadość wymaganiom narodu i ogłosić przywrócenie reprezentacji stanów. Do uporządkowania stosunków przyczyniło się głównie wkroczenie wojska austrjackiego, z czego zresztą większa część ludności była bardzo zadowolona, bo owe 40.000 obcych wydawało więcej pieniędzy w jednym dniu, aniżeli 80.000 Neapolitańczyków w tygodniu.

W r. 1821 udał się Ferdynand na kongres do Lublany, gdzie monarchowie Austrji, Rosji i Prus mieli obradować nad losami królestwa neapolitańskiego. W Lublanie zwracał Ferdynand uwagę nietyle rozumem stanu, ile dwoma olbrzymiemi chartami, z któremi w towarzystwie swego spowiednika, biskupa Cacamo, odbył daleką podróż. Myślał za niego Metternich, który widząc, że despotyczny król nie ma zamiaru dotrzymać obiecanej Neapolitańczykom konstytucji, dał mu armję austrjacką, mającą

królowi ułatwić spokojny pobyt w Neapolu. Wogóle Ferdynand bał się wracać do ojczyzny, pomimo że zawsze powtarzał, że jest szczerym Neapolitańczykiem: „Anch'io sono Napolitano!“ I właściwie Metternich zmusił go do powrotu. Wtedy to ogłosił król swoją teorję o fizjologji strachu, o której jużeśmy wyżej wspomnieli.

Gdy Ferdynand wrócił do Neapolu, miasto było wprawdzie iluminowane przez trzy wieczory, ale przyjęto króla chłodno i pogardzano nim bardziej, aniżeli pierwej. Jedni lazzaroni witali go z właściwym sobie entuzjazmem, rzucali się ku koniowi, aby królewskie nogi ucałować, klękali na ulicach, którędy przejeżdżał, krzyczeli: „Viva rè Nasone! Viva chillu bello naso!“, widzieli w Ferdynandzie swego najcelniejszego przedstawiciela. Raziło ich tylko, że ten Ferdynand, który dawniej miał perukę z warkoczem, teraz uciął tę ozdobę głowy, a zamiast krótkich spodni wdział długie pantalony; drwili sobie, że stary król został jakobinem. Także złe wrażenie robiło, że po wspaniałości, którą roztaczał wkoło siebie Murat, spostrzegli teraz wytarte królewskie liberje, staroświeckie powozy i wychudłe konie.

Ferdynand I rozpoczął dawne życie, mieszkał prawie zawsze w Casercie, a właściwie w swym domu w Belvedere w S. Leucio; polował i zajmował się ulubioną fabryką jedwabiów. Wydawał się teraz sympatyczniejszym, aniżeli dawniej; długie, białe włosy spadały mu aż na kołnierz ciemnego płaszcza, a wielki, zielony kapelusz przykrywał oczy, które straciły dużo z dawnej surowości. Starość trochę uszlachetniła jego postać. W r. 1822 odwiedzał go Razumowski w towarzystwie swojej małżonki i jej siostry, hr. Lulu Thürheim, która zauważyła, że król był tak serdeczny dla dawnego przyjaciela swej zmarłej żony, jak gdyby wspólny stosunek do Karoliny stał się najmilszem jego wspomnieniem.

Trzeciego stycznia 1825, po obfitej kolacji i grze w karty poszedł król do swojej sypialni. Nie dowierzając nikomu, nawet swej najbliższej służbie, miał dużego psa z rasy psów rzeźnickich, który go pilnował w nocy i byłby rozdarł każdego, coby chciał wejść do pokoju. Z rana, czwartego stycznia, król nie zadzwonił na służbę. Czekano chwilę; gdy jednak milczenie trwało dłużej,

domyślano się, że musiało się stać coś złego. Zawołano lekarzy, ale nikt nie śmiał wejść do sypialni, obawiając się niebezpiecznego brytana. Posłano po kilku halabardników, którzy uchylili drzwi i zakłuli psa. Przekonano się, że król już nie żyje, że uległ apoplektycznemu atakowi.

Miał wtedy siedmdziesiąt sześć lat, a rządził lat sześćdziesiąt pięć. Wieść o śmierci króla rozeszła się szybko po Neapolu, a jakiś ludowy wierszokleta streścił zgon Ferdynanda w bardzo złośliwym dwuwierszu:

Accadono in ver gran cose strane,
Moriva un lupo e l'assisteva un cane [1].

Jeszcze kilka słów o losach lady Hamilton po jej powrocie do Anglji.

Zaraz na wstępie na ziemię ojczystą czekała ją niespodzianka: obywatele miasteczka Norwich ofiarowali jej pyszny pierścień, ozdobiony czternastoma brylantami „za usługi oddane ojczyźnie".

Niebawem jednak rozpoczęły się rozmaite przeciwności, które „sławie" Emmy niemało szkodziły. Nelson, powróciwszy do Londynu, myślał, że jego żona, której przedstawił swój stosunek z Emmą jako najzupełniej platoniczny, wejdzie w ślady starego lorda i że do harmonji, jaka panowała dotąd w stadle hamiltonowsko-nelsońskiem, i ona przystąpi, jako czwarty członek. Zrazu nawet zdawało się, że lady Nelson skłania się do tej roli, a nawet chodziła z Emmą razem do teatru; ale nareszcie zabrakło jej cierpliwości i gdy raz przy obiedzie Nelson zaczął mówić o kochanej Emmie, odrzekła stanowczo, że się jej znudziło słuchać ciągle o „kochanej" lady Hamilton, a Nelson niech się namyśli i jedną z nich wybierze. Gdy admirał zapewniał, że wprawdzie szczerze kocha swą małżonkę, ale że ma obowiązki wobec Emmy i nie może o niej mówić, jak tylko z uwielbieniem, lady Nelson wstała od stołu, opuściła dom i już doń nie wróciła.

---

[1] Mówią, że dziwne zdarzenie się stało,
Gdy wilk umierał, psisko pilnowało.

Oczywiście to rozłączenie się małżeństwa Nelsonów jak najgorsze zrobiło wrażenie w Anglji, a brak taktu, jaki ciągle okazywała lady Hamilton, jeszcze bardziej jej szkodził i co więcej, ośmieszał także starego Hamiltona, tudzież popularnego dotąd admirała. Emma, żądna hołdów i sławy, namówiła go, aby razem z Hamiltonem pojechali zwiedzać miasta na prowincji, gdzie czekały admirała świetne przyjęcia. Jeden ze świadków triumfalnego objazdu opisał, jak smutnie ta trójka wyglądała. Gdzie tylko przybyła, pełno ludzi się gromadziło po ulicach, aby widzieć Nelsona. Przodem szedł admirał, chudy, zmęczony, blady, z niesłychanie otyłą, pewną siebie Emmą, a za nimi, nie mogąc dotrzymać kroku, sir William, pochylony, piastujący małego pieska. Przy sposobności tej podróży była Emma po raz ostatni modelem, gdyż jeden z mniej znanych malarzy zrobił wtedy portret Nelsona, którego koronuje Wielka Brytanja. Figura alegoryczna, przedstawiająca ojczyznę, miała twarz lady Hamilton.

Biedny lord William musiał się okryć jeszcze większą śmiesznością. Emma namówiła męża, aby nabył willę Merton z folwarkiem w pobliżu Londynu, gdzie zamieszkało małżeństwo z przyjacielem Nelsonem. Tam powiła lady Hamilton w r. 1801 córeczkę, o której sir William nic nie wiedział, ani się nawet mógł spodziewać, żeby po dziesięciu latach małżeństwa miał zostać ojcem. Otyłość Emmy posłużyła jej, aby ukryć stan odmienny aż do ostatniej chwili, poczem zasłabła, niby to na febrę, i wydała na świat dziecię, które nazwała Horacją. Nelson i Emma oddali córeczkę na wychowanie jakiejś pani Gibson na wieś, a admirał bardzo kochał tę dziecinę. Pani Gibson powiedziano, że matka Horacji należy do najwyższych sfer społeczeństwa angielskiego i że powinna o całej sprawie zachować jak największą tajemnicę.

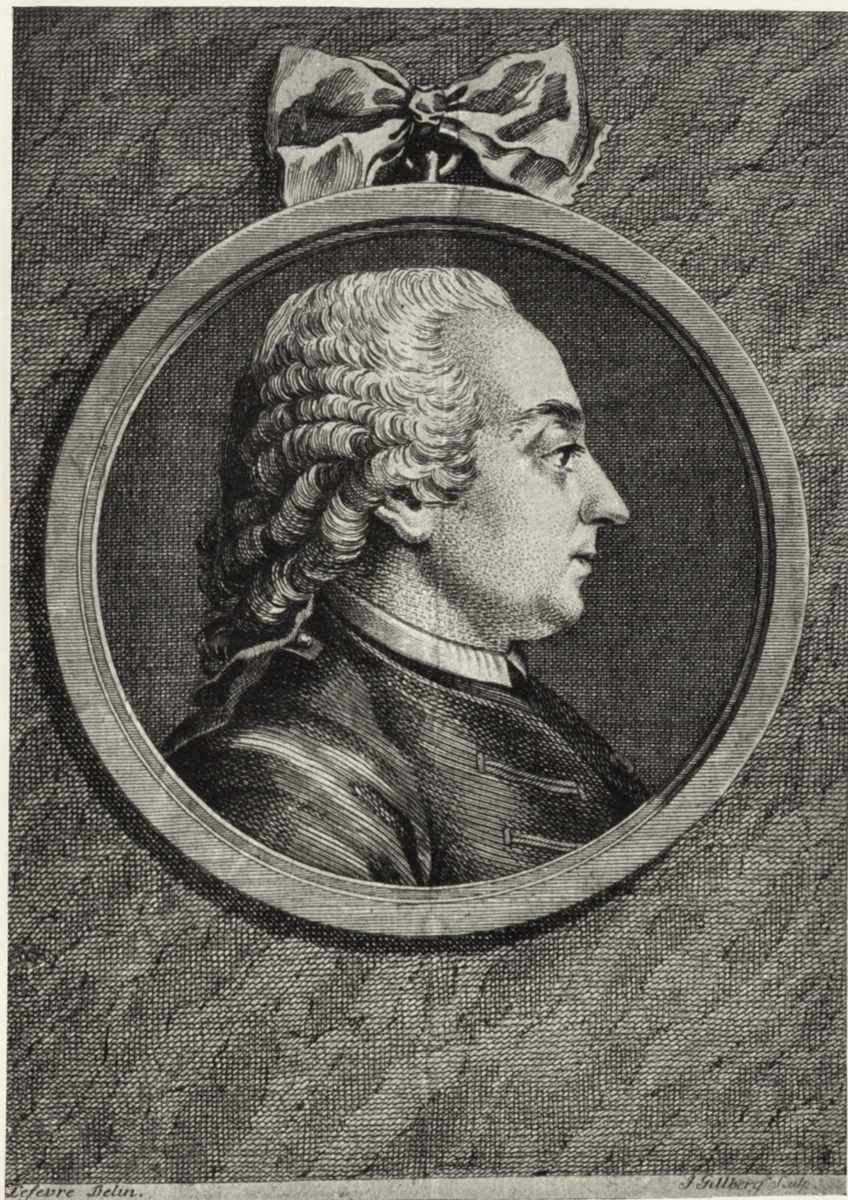
Czy Hamilton nie miał jakich podejrzeń? Bardzo być może, gdyż w testamencie, który w owym czasie sporządził, zapisał Emmie tylko rentę w kwocie siedmiuset liwrów, podczas gdy ziemskie majątki przeznaczył swemu siostrzeńcowi Grevillowi. Wprawdzie umarł (6 kwietnia 1803), jak pisano, z głową na piersi Nelsona, a ręką w dłoni swej małżonki, ale wtedy był już prawie nieprzytomny.

Emma jednak nie liczyła się z bardzo uszczuplonemi dochodami; nie zmieniła sposobu życia, przyjmowała wielu znajomych w Merton, nie oszczędzała się. Niespodziewanie jednak pozostała bez bezpośredniej opieki. Nelson musiał wkrótce opuścić Anglję i ze swoją eskadrą popłynąć do Neapolu, gdzie przybył w lipcu 1803. Emma została sama. Listy Nelsona były smutne; królowa Karolina, nie potrzebując już Emmy, prawie o niej zapomniała, co Nelsona bardzo dotknęło. „Jeżeli wymazała z pamięci Emmę, to Bóg o Karolinie zapomni", a w jego liście z 27 maja 1804 znajdują się o królowej bardzo znaczące uwagi. Wspomina on, że historje, rozgłaszane o królowej, jeszcze prześcigają to, co o niej opowiadał sir William. Faworytami Karoliny byli w ostatnich czasach: podpułkownik Saint-Clair, La Tour, kapitan marynarki i jeszcze inny! — Zresztą, dodaje Nelson, nigdy nie dotykam tych przedmiotów, bo mało na tem zależy, w jaki sposób się królowa bawi. „Król jest wściekły na nią; jej miłostki zaszły za daleko". A w innym liście donosi Emmie, że „biedny król" nieszczęśliwy po stracie Actona, a mówią, że królowa była przyczyną upadku dawnego swego ministra; jest on zapewne ofiarą francuskich emigrantów, którzy ją ciągle oblegają. Nelson nie wierzy w stałość przyjaźni królowej do lady Hamilton; za pośrednictwem posła angielskiego przypomniał jej wprawdzie w sposób energiczny „zobowiązania, jakie ma wobec nas, ale królowa głucha pozostała na te uwagi".

Emma się mściła za tę niewdzięczność Karoliny; tak była na nią rozgoryczona, że użyła rozmaitych pismaków, aby rozpuszczać na królową obelżywe satyry, które się rozchodziły po całej Europie. Karykatury i paszkwile na Karolinę, które rozsyłała policja napoleońska w r. 1806, aby przygotować umysły we Francji na zabór Neapolu, wychodziły w Londynie i miały swe źródło w opowiadaniach lady Hamilton.

W sierpniu 1805 powrócił Nelson do Londynu, a właściwie do Merton, ale niespodziewanie, drugiego września, nadeszła wiadomość, że połączona flota francusko - hiszpańska znajduje się w Kadyksie. Trzeba było znowu płynąć na czele angielskiej eskadry, i to natychmiast.

Nelson uklęknął przed łóżkiem Horacji, która już od dłuższego czasu była przy matce, i pomodlił się o zdrowie swej có-



Abbate F. Galiani
(Według współczesnej ryciny)

reczki. Emma rzewnie płakała, jakby przeczuwała, że to pożegnanie będzie ostatnie.

Dwudziestego pierwszego października 1805 zbliżyły się floty: francuska i hiszpańska o dziesięć mil do eskadry angielskiej. Nelson napisał w tej ostatniej, stanowczej chwili przed walką swój testament, oddający pod opiekę króla i Anglji lady Hamilton i swą córkę przybraną Horację, prosząc, aby w przyszłości mogła nosić jego nazwisko. „Niech Bóg błogosławi mego króla i wszystkich, którzy mi są drodzy“, tak kończył admirał to ostatnie swe pismo.

Wkrótce potem, gdy stał na pokładzie okrętu „Victory“, ugodziła go śmiertelnie francuska kula, wystrzelona ze statku wojennego „Redoutable“. Umierając, wspominał kilkakrotnie „biedną lady Hamilton“ i Horację i prosił komendanta okrętu „Hardy“, aby nie zapomniał nigdy o jego ulubionych kobietach.

Boleść Emmy była szczera; ale chęć do życia, tego życia w szczęściu i dostatku, które dotąd prowadziła, prawie dorównywała boleści. Nauczyła się być kobietą światową, a gdy pani Bianchi, śpiewaczka, przybyła z Neapolu do Londynu, Emma wydała dla niej obiad, spraszając licznych gości. Nawet po śmierci Nelsona nie chciała się wyprzeć artystycznego koleżeństwa.

Wkrótce też wpadła w wielkie kłopoty finansowe, które ją zaprowadziły do więzienia za długi. Nie było to ciężkie więzienie; mogła tam nawet przyjmować znajomych, ale brzydka bieda zaczęła ją zewsząd otaczać. Wszelkie starania u rządu, w parlamencie, aby ze względu na zasługi w Neapolu i na pamięć Nelsona przyznano jej jaki zasiłek pieniężny, na nic się nie przydały. Emma musiała z córką Horacją uciekać przed wierzycielami z Anglji i schronić się w r. 1814 do Francji, do Calais, właśnie wtedy, kiedy i Karolina opuszczała Sycylję i przedsiębrała swą ostatnią podróż do Wiednia. Nie nauczona jeszcze ciężkiemi doświadczeniami, zamieszkała Emma w Calais w najpierwszym, najdroższym hotelu; ale wkrótce musiała się przenieść do nader skromnego mieszkania, gdzie jedna służąca, raczej z litości, aniżeli za zapłatę, której nigdy nie dostawała, zajmowała się nędznem gospodarstwem. Wreszcie i renty, którą jej Hamilton zapisał, nie otrzymała, gdyż wierzyciele ją zajęli;

Emma, wynędzniała, schorowana, umarła 15 stycznia 1815, w pięćdziesiątym pierwszym roku życia. Anglik, Henryk Cadogan, kupiec w Calais, zajął się pogrzebem swej nieszczęśliwej rodaczki, a szwagier Nelsona, M. Matchan, zabrał do siebie Horację, starał się o jej wykształcenie, i jak się zdaje, wyposażył, gdyż córka admirała wyszła zamąż za pastora Warda i żyła w podobnem otoczeniu, z jakiego wyszedł Nelson. Umarła w r. 1881, pozostawiając kilkoro dzieci, w których jeszcze płynęła krew słynnego marynarza Anglji.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ABBATE F. GALIANI

I

Neapol zajął dwa razy ważne stanowisko w dziejach nowszej myśli; raz w XVI wieku, kiedy około Julji Gonzagi i Wiktorji Colonny grupowały się osobistości, dążące do religijnych reform, po raz drugi w XVIII stuleciu, kiedy się stał ogniskiem przodowników prawodawczych, ekonomicznych i wogóle społecznych reform, zapowiadających wielką francuską rewolucję.

W tym ostatnim ruchu wybija się przedewszystkiem postać owego małego, dowcipnego garbuska w księżym płaszczyku, którego przezwano drugim Voltairem. Już sam wstęp w świat uczonych charakteryzuje oryginalnego neapolitańczyka.

Starszy brat Galianiego, Bernard, należał do jakiejś poważnej akademji, a na jednem z jej posiedzeń miał odczytać rozprawę o niepokalanem poczęciu Panny Marji. Niespodziewanie jednak musiał Bernard wyjechać do Chieti, a nie chcąc zrobić zawodu członkom uczonego towarzystwa, poprosił Ferdynanda, aby go zastąpił i miał tam jaki zajmujący, poważny wykład. Trzeba jednak wiedzieć, że owa akademja była aż zanadto pedantyczna, a za jedno ze swych głównych zadań uważała wygłaszanie wierszem lub prozą szumnych nekrologów znakomitych zmarłych osobistości. Te pośmiertne panegiryki wychodziły także drukiem w pięknych wydaniach i bardzo ośmieszały grono owych uczonych, tem więcej, że nie wszystkie przez nich aż na Olimp wynoszone „powagi“ zasługiwały na tak napuszyste wspomnienia.

Stosownie do polecenia swego brata przyszedł Ferdynand na posiedzenie i przedstawił się prezydentowi akademji, adwo-

katowi Sergio. Don Antonio oburzył się na zarozumiałość młodzika i szorstko mu powiedział, że akademja nie jest miejscem popisu dla dzieci. Ferdynand miał wtedy lat siedmnaście; niegrzeczność don Antonia bardzo go dotknęła, postanowił się zemścić. Zdarzyło się, że właśnie wówczas umarł kat neapolitański, Domenico Jannacone; Galiani napisał więc pośmiertne wspomnienie po tym „użytecznym“ członku społeczeństwa tym samym poważno-napuszystym stylem, jakim zwykle były układane nekrologi akademji. Ba, nawet postarał się złośliwy młodzieniec, aby jego panegiryk był wydany na takim samym papierze i w podobny sposób, jak druki szanownego stowarzyszenia, z portretem zmarłego, jak to było w zwyczaju. Pismo nosiło tytuł: *Componimenti varii per la morte di Domenico Jannacone, carnefice della gran Corte della Vicaria, raccolti et dati in luce* da G. Antonio Sergio, avvocato Napoletano (Napoli 1749).

Można sobie wystawić, jak się oburzył don Antonio z powodu takiej publikacji, narażającej jego i akademję na bolesną śmieszność, tem bardziej, że cały Neapol bawił się złośliwym żartem i cieszył się, że dokuczono pełnym pychy akademikom. Posądzono nawet członka stowarzyszenia, O. Gerarda de Angelis, o autorstwo, bo nikt z obcych nie byłby potrafił tak wybornie naśladować stylu i ducha owego szanownego zgromadzenia. Sam nawet de Angelis utrzymywał, że nieznany autor tak potrafił przejąć się jego sposobem pisania, że chwilami zdaje mu się, że on rzeczywiście ułożył te Componimenti. Osobliwie koła, że tak powiem, demokratyczne, cieszyły się panegirykiem, ponieważ autor, chcąc ośmieszyć fantastyczne drzewa heraldyczne neapolitańskich arystokratów, starał się udowodnić, że zmarły kat pochodził z germańskiej rodziny, osiadłej w Laponji czy na Spitzbergu.

Don Antonio udał się do ministra Tanuccego, żądając wyśledzenia i przykładnego ukarania śmiałka. Towarzyszem Galianiego w tej mistyfikacji był jego przyjaciel Pasquale Carcani, a że młodzi dowcipnisie musieli i drukarza wtajemniczyć w swój żart, więc obawiali się, że może ich czekać ciężka kara. Nie było innej rady, jak udać się do samego ministra i zwierzyć się mu z autorstwa, tem bardziej, że słyszeli, iż Tanuccemu,

a nawet samemu królowi bardzo się podobała ich parodja akademickiej uczoności. Aby jednak niezupełnie obrazić „uczonych“, skazał minister obydwu młodzieńców na dziesięć dni pokuty w jednym z neapolitańskich klasztorów.

Ale poznajmy bliżej Ferdynanda, który się tak szczęśliwie przedstawił publiczności. Urodził się on 2 grudnia 1728 w Chieti, jako syn królewskiego audytora, markiza Mattea Galiani i Anny Marji Ciaburra z Lucerny. Galianowie podobno pochodzili z Francji. Stryj Ferdynanda, Celestyn, arcybiskup Tarentu i prefekt wyższych szkół w Neapolu, lubił bardzo swoich synowców, Bernarda i Ferdynanda, i przyjął ich nawet do swojego domu, aby kierować ich wychowaniem. Ferdynand pilnie się u stryja uczył łaciny; gdy jednak król wysłał arcybiskupa Celestyna w jakiejś misji na czas dłuższy do Rzymu, umieszczono obydwóch szkolarzy w klasztorze S. Pietro in Maiella. Po dwóch latach młodzieńcy wrócili do pałacu stryja, do casa Galiani, gdzie mieli sposobność poznania najznakomitszych osobistości Neapolu. Ferdynand miał wtedy czternaście lat i z zapałem oddawał się nauce. Marcello Cusano, późniejszy arcybiskup palermitański, wykładał mu umiejętności prawnicze, słynny łacinnik Mazzochi wprowadzał w świat starożytny, a młodzieniec tak był w tej mierze pojętny, że później powiedział paryski uczony Grimm, że w stolicy Francji jedynym człowiekiem, znającym gruntownie język łaciński, jest Ferdynand Galiani. Co więcej, w Neapolu zaczęto się zajmować ekonomją społeczną, którą później nazwano ekonomją polityczną, a Bartolomeo Intieri i markiz Rinucini torowali Ferdynandowi drogę do tych nowych badań.

W szesnastym roku życia został Ferdynand członkiem akademji młodych uczonych, zwanych „Emuli“, gdzie odczytał dwie rozprawy, będące charakterystyką kierunku ówczesnych umysłów. Teorja „miłości platonicznej“ zawsze jeszcze od czasów odrodzenia zajmowała uczonych, a chociaż Ferdynand bynajmniej nie miał skłonności do platonizmu, przecież rozprawiał o niezmysłowych uczuciach. Chodziło o rozstrzygnięcie pytania, czy przystoi szlachetnemu umysłowi ulegać materjalnym namiętnościom. Nie wiemy, jaki był wynik rozumowań młodego akademika; w późniejszem życiu dowiódł jednak Ferdynand wie-

loma faktami, że najsubtelniejsze dusze bywają w rozterce z platonizmem. Tą rozprawą złożył Galiani winny hołd starożytnej filozofji, w drugim natomiast wykładzie pokłonił się najnowszej nauce; badał stan monetarny za czasów wojny trojańskiej. Cofnął narazie swoje studja ekonomiczne aż w przedhomerowskie czasy, ale niebawem zmodernizował je w cennem dziele *Della Moneta.* Książkę tę wydał Ferdynand bezimiennie, aby znowu jaki posiwiały akademik nie zarzucił, że z młodej głowy nic mądrego wyjść nie może. Chcąc jednak się przekonać, czy rozprawa o monecie będzie miała powodzenie, dał ją przeczytać stryjowi. Poważny arcybiskup przeczytał pracę synowca i z goryczą dodał, że zamiast pisać paszkwile i satyry, mógłby się i Ferdynand zdobyć na poważne dzieła. Wtedy zdjął Galiani autorską maskę i otrzymał za swe badania dochody z biskupstwa Cantola i z opactwa San Lorenzo, musiał jednak poddać się niższym duchownym święceniom i przywdziać płaszczyk księży. Papież pozwolił mu nawet używać tytułu monsignora. Rozprawa o monecie przyniosła tytuł i dochody, Ferdynand mógł odtąd śmiało występować wobec włoskiej publiczności.

Zajmowanie się sprawami ekonomicznemi nauczyło przedewszystkiem praktycznego neapolitańczyka zmieniać dowcip także na monetę. żywy jego umysł zajmował się wszystkiem, co tylko mu się zdawało uwagi godnem. I tak z filozofji i ekonomji społecznej zwrócił się z łatwością do geologji, zaczął studjować kamienie, które Wezuwjusz wyrzuca ze swego wnętrza, i założył duży ich zbiór. Wrodzony dowcip podsunął mu myśl, aby te kamienie posłać papieżowi Benedyktowi XIV, który lubił humor i na żartach się rozumiał. Do tego podarunku dołączył Ferdynand napis: „Ojcze święty, zrób, aby te kamienie w chleb się przemieniły“. Papież zrozumiał, o co chodzi, i nadał mu opactwo Amalfi, które przynosiło czterysta dukatów. Benedykt XIV, bolończyk, darował kamienie Galianiego swemu ukochanemu miastu, gdzie się dotąd znajdują w tamtejszem muzeum.

W krótkim czasie pozyskał sobie Ferdynand sympatje papieża, króla Karola III neapolitańskiego i ministra Tanuccego. Gdy Karol III zakładał akademję herkulańską, powołał do niej także Galianiego, który się stał jednym z jej najczynniejszych członków i napisał większą część rozpraw do pierwszego tomu

słynnego dzieła: *Le Antichità di Ercolano* (Napoli 1757—1792, 9 tomów). Ponieważ prawie cały kraj neapolitański był własnością zakonów i kościołów, więc dziwić się nie można, że w owych czasach najczęściej się spotykamy z zabezpieczeniem dochodów dla ludzi zasłużonych na dobrach kościelnych. Za prace więc o Herkulanum otrzymał Galiani od króla znów roczną pensję, którą miał mu wypłacać zarząd biskupstwa w Katanji.

Od studjów naukowych odciągał Galianiego czasami duch satyryczny do rzeczy lżejszych, dowcipniejszych. Obok rozpraw antykwarskich napisał też zabawną dysertację z bardzo dokładnie umotywowanym wnioskiem, aby ze względu na to, że stanowisko cicisbeów jest trudne i męczące i nie tak łatwo je długo piastować, wylosowywano na pierwszego stycznia, u której ze znanych kobiet każdy z cicisbeów ma na rok przyszły pełnić swą służbę. W ten sposób zaszłyby zmiany w czynnościach cicisbeów, młodzi mężczyźni byliby zadowoleni, a zapewne i kobiety pochwalałyby ową różnorodność miłosnych wrażeń. Cicisbeizm stawałby się zanadto nudnym i pedantycznym, gdyby dalej istniał w dotychczasowej formie.

II

Tanucci polubił Galianiego, nadał mu z początkiem r. 1759 posadę w sekretarjacie państwa, a poznawszy jeszcze lepiej jego zdolności, wysłał do Paryża, jako sekretarza tamtejszego neapolitańskiego poselstwa, z płacą tysiąca dwustu dukatów. Ferdynand miał wtedy lat trzydzieści, a gdy go zobaczyła po raz pierwszy pani Necker w stolicy Francji, miała wątpliwość, czy ten garbusek będzie się u dworu podobał, zwłaszcza, że jego sposób dowcipkowania zdawał się jej zanadto pospolity. „Myśli za wysoko, a mówi za płasko“, mówiła słynna Francuzka. Osobliwie raziło ją wyrażanie się o stosunku do królewskiego dworu, że kto zanadto kłania się w jedną stronę, tem samem pokazuje innym odwrotną stronę oryginału. Ale w tem dość gminnem powiedzeniu malowały się zasady Ferdynanda, jego niezależność sądu i niepoddawanie się cudzym wpływom.

Pani Necker miała poczęści słuszność; gdy się Galiani przedstawił u dworu, musiał zauważyć, że się wyśmiewano z jego

nieszczęśliwej figury, a i król spojrzał ze zdziwieniem na garbuska, którego mu przysłano z Neapolu, jako jednego z przedstawicieli tamtejszej dyplomacji. Ferdynand spostrzegł ironiczny uśmiech króla i natychmiast zapanował nad swem dziwacznem położeniem, przedstawiając się monarsze, „że jest tylko próbką sekretarza, a prawdziwy dyplomata dopiero później przybędzie". Dowcipne powiedzenie uratowało go w oczach królewskich. Mniej powodzenia miał u ministra, księcia Choiseul'a. Książę zaledwie pobieżnie raczył spojrzeć na Włocha i przyjął go jakimś pustym frazesem, gdyż ta wizyta zrobiła na Galianim dość nieprzyjemne wrażenie. „Przypuszczam, pisał do Tanuccego, że książę dokładniej bada sprawy państwa, aniżeli mnie, byłoby to bowiem zanadto powierzchowne studjum. Wiadomości, które służą w innych krajach do wyświetlania rzeczy poważnych, prowadzą tutaj do faktów tak bezmyślnej lekkomyślności, że się ma obrzydzenie nietylko o tem pisać, ale nawet zastanawiać się nad tem. Zresztą nacoby się to przydało? Lepiej rachować fale morskie, aniżeli wchodzić w te niedorzeczne drobnostki, które zajmują ten naród ruchliwy, powierzchowny, pełen zapału, ale i równocześnie karygodnej lekkomyślności". Jako przykład francuskiej „blagi" przytacza wykrzyknik z listu jednego z marszałków francuskich: „Idziemy na nieprzyjaciela, a jeżeli na nas czeka, zmiażdżymy go..."

Ta „kawiarnia europejska", jak Galiani nazwał Paryż, zrobiła na niego narazie jak najgorsze wrażenie: nieznośny klimat, szkaradna woda, a przedewszystkiem stan rzeczy, rażący zdrowy rozsądek. Donosi Tanuccemu, że nie jest na to stworzony, aby mieszkać w Paryżu; „moje ubranie, pisze, moje rysy twarzy, mój sposób myślenia i zgoła wszystkie moje wady uczynią mnie nieznośnym Francuzom i mnie samemu".

Ale te pierwsze złe wrażenia dziwnie szybko się zatarły. Nigdzie nie umiano tak poznać i tak cenić dowcipu, jak właśnie w stolicy Francji. O tem się niebawem przekonał i to go pogodziło z francuskiem społeczeństwem. Wszedł w towarzystwo najznakomitszych ludzi; zapoznał się z Diderotem, d'Alembertem, Helwecjuszem i z paniami: Geoffrin, d'Epinay i z księżną de Choiseul. Jego zręczne dowcipy otwierały mu wszystkie salony. Z Neapolu przywiózł ze sobą małpę, gdyż wogóle lubił zwierzęta.

Ta małpa wydrapała się raz po łańcuchu, na którym wisiała lampa w przedsionku ambasady, i tak się zaczęła kołysać, że wylała oliwę na galowy mundur posła hiszpańskiego, hrabiego di Cantillana, który właśnie tamtędy przechodził. Ambasador nie posiadał się z gniewu i wydał rozkaz, aby zgładzono niegrzeczne zwierzę. Galiani przybiegł i napół gniewnie, napół żartem powiedział swemu przełożonemu, aby się nie ważył zabijać zwierzęcia, przez którego ciało przeszła dusza Leibnitza, gdyż małpa chciała rozwiązać tezę oscylacji wahadła. Dowcip Galianiego obiegł cały Paryż, a ambasador, chcąc nie chcąc, musiał swój gniew rozbroić. Księżna de Choiseul tak była zachwycona humorem Włocha, że powiedziała: „My we Francji mamy dowcip w zdawkowej monecie, a Włosi posiadają go w całych sztabach“.

Bardzo dobrze scharakteryzował Galianiego Marmontel w swoich pamiętnikach. Mówi on tam: „Abbé był najpiękniejszym małym arlekinem, jakiego Włochy wydały, ale na barkach tego arlekina siedziała głowa Macchiavella. Jako filozof, epikurejczyk, ale o melancholicznej duszy, przyzwyczajony we wszystkiem szukać śmieszności, nie pominął żadnej sposobności tak w polityce, jak w moralności, aby nie przytoczyć jakiejś zabawnej historyjki. Te anegdotki były zawsze wybornie zastosowane do chwili i do przedmiotu. Mówił zresztą z tak naiwną gracją, iż nie przesadzam, że można go było słuchać godzinami, zapominając o wszystkiem innem“.

Najściślejsza przyjaźń połączyła Galianiego w Paryżu z panią d'Epinay i trwała dwadzieścia lat, pomimo że Ferdynand miewał swoje „humory“. Ale pani d'Epinay odznaczała się dziwnie szczęśliwem usposobieniem. Bardzo wcześnie wyszła zamąż za człowieka lekkomyślnego, który ją zdradzał na każdym kroku, nie tając się nawet ze swą niewiernością. Nadto roztrwonił dwumiljonowy majątek, tak, że pani d'Epinay musiała później bardzo się ograniczać; mimo to nie znać było w jej usposobieniu najmniejszej goryczy, zawsze była pogodna, łagodna, gotowa do poświęceń dla przyjaciół. Listy Galianiego z Neapolu do niej, do swej „belle dame“, świadczą o tej zażyłości, jaka panowała pomiędzy nim a paryżanką, i właściwie piękniejsze światło rzucają na przyjaciółkę, aniżeli na Ferdynanda, będącego zawsze trochę egoistą.

Chłodniejszy był stosunek Galianiego do pani Geoffrin, u której przyjemne towarzystwo i dobre obiady przyczyniały się do duchowego zbliżenia się obydwu osobistości. Pani Geoffrin była bardziej zamknięta w sobie, chodziło jej więcej o sławę jej literackiego salonu, aniżeli o przyjaźń gości. Galiani bywał tam często, a w jednym ze swych listów z Neapolu bardzo plastycznie opisuje przyjacielskie posiedzenie w jej domu, kładąc nacisk, jak zwykle, na swoją wagę w towarzystwie. Powiada tam, że „kochana pani Geoffrin“, czytając jego list, mniej może będzie żałowała, że przyjaciela niema w Paryżu. „Otóż, pisze Ferdynand, jestem znowu w myśli u pani, ten abbé, mały abbé, nikła rzecz, do pani należąca. Siedzę w wygodnym fotelu, z nogami skrzyżowanemi, ruszając rękami, z peruką na bakier, gadając dużo, sypiąc dowcipami, jak utrzymywano. Ale, łaskawa pani, to pomyłka! To nie ja mówiłem te piękne rzeczy: to fotele pani są trójnogami Apollina, a ja byłem tylko Sybillą. Bądź pani przekonana, że na neapolitańskich słomianych krzesłach zdobywam się na same niedorzeczności“.

W piątki bywał Galiani u pani Necker, ale raczej z powodu wybornych obiadów, aniżeli przyjacielskich zwierzeń. Charaktery były zanadto odmienne: pani Necker zimna, rygorystka, uważająca na przyzwoitość w rozmowie, a Galiani żywy, nie liczący się z wyrażeniami. Pani Necker zamieniała swój salon w świątynię, w której ją adorowano, a Włoch radby był, aby i jemu dostawała się cząstka uwielbień. Z tego powodu przyjaźń pomiędzy tą parą była mniej trwała i nie wytrzymała próby czasu.

Czasem przepędzał Galiani całe dnie u mniej przyzwoitych pań, na rue Frumenteau, gdzie się żyło dwadzieścia cztery godzin „en pension“ z wszelkiemi możliwemi dodatkami za trzydzieści soldów. To były wszakże tylko wyjątkowe „ekskursje“; chętniej przesiadywał Ferdynand wieczorami u pani de la Daubinière, z którą miał stosunek, pobłogosławiony dwojgiem dzieci. Od niej wracał do swego mieszkania, kładł się do łóżka, zatulał w wielką skórę niedźwiedzią i przyjmował jeszcze przyjaciół, zadowolony, że mu tak ciepło, jak we Włoszech.

Mniej przyjemny, aniżeli życie towarzyskie, był stosunek Galianego do ambasadora, hrabiego Cantillana; pominąwszy już

wypadek z lampą i oliwą, poseł neapolitański miał ważniejsze powody, aby niebardzo lubić dowcipnego abbate. Hrabia Cantillana był właściwie posłem hiszpańskim, któremu także sprawy neapolitańskie były powierzone. Według instrukcyj, danych mu przez Karola III, ojca małoletniego Ferdynanda IV, miał on przedewszystkiem o to się starać, aby rządy Tanuccego nie zanadto wyswobadzały państwo neapolitańskie od politycznej supremacji hiszpańskiej. Galiani jednak, pionek Tanuccego, miał przeciwne zadanie, a mianowicie jak najbardziej uwalniać Neapol od hiszpańskich wpływów. Hrabia Cantillana był ambasadorem i wielkim panem, garbusek Tanuccego miał więcej rozumu i dyplomatycznej zręczności. Zresztą nie zdołał się ukorzyć przed swym przełożonym, a czasem był nawet wobec niego niegrzeczny i zjadliwy. I tak razu pewnego podaje Cantillana jakiś memorjał Galianiemu do załatwienia, garbusek odpowiada: „To pismo nic nie warte!“ — „Ależ jeszcze go nie przeczytałeś“ — mówi hrabia. „Ekscelencjo, proszę mi pozwolić uwagę, że polityka jest przeciwieństwem nosa Waszej Ekscelencji; polityka tylko wtedy dobra, kiedy jest krótka“.

Ale żartowniś Galiani doznał niespodziewanie bardzo przykrego rozczarowania. Odwołano go z Paryża, musiał wracać do Neapolu. Powód był następujący. Choiseul pragnął ze względów politycznych związku przyjaznego pomiędzy dynastjami Burbonów i Habsburgów, które dotąd stały prawie wrogo naprzeciwko siebie. Minister Tanucci był przeciwny jakimkolwiek w tej mierze układom, ponieważ obawiał się, że na nich ucierpi niezależność królestwa neapolitańskiego. Anglja i Rosja obawiały się również tak potężnej grupy politycznej i zawarły nawet koalicję, mającą zrównoważyć potęgę habsbursko-burbońską. Do tych państw miała przystąpić także Danja, co było Tanuccemu bardzo na rękę, tak dalece, że przez swego zaufanego Galianiego pracował w Paryżu u duńskiego posła, barona Gleichen, w tym duchu, żeby ta liga przyszła do skutku, i kazał nawet imieniem neapolitańskiego rządu oświadczyć Duńczykowi, że Neapol nie przystąpi do familijnego układu burbońsko-habsburskiego, lecz będzie obstawał przy swej niezależności od dworów w Paryżu i w Madrycie.

Intryga ta zaszkodziła niemało Tanuccemu w oczach Choiseula i Cantillana, bez którego wiedzy podwładny mu Galiani pracował przeciw zamiarom ambasadora. Aby więc zupełnie kart swych nie odkrywać, nie pozostawało Tanuccemu nic innego, jak poświęcić Galianiego, powiedzieć, że prowadził całą sprawę na własną rękę, tem bardziej, że Choiseul w porozumieniu z Karolem III zażądał odwołania niewygodnego sekretarza z Paryża. Dwudziestego dziewiątego maja 1769 otrzymał Ferdynand rozkaz opuszczenia stolicy Francji. „Prócz śmierci nic cięższego spotkać mnie nie mogło“, pisał do Tanuccego, do którego zresztą nie miał żalu, bo wiedział, że się stał ofiarą bez winy ministra. „Wydarto mnie z Paryża, spowiadał się pani d'Epinay, wydarto mi serce“.

III

Temu wygnaniu „do ojczyzny“ zawdzięczamy nadzwyczaj zajmujący zbiór listów do przyjaciół i przyjaciółek paryskich, które właściwie stanowią pośmiertną sławę Galianiego. Jak zawsze u niego, tak i w tych listach uderza niezmierna żywość umysłu, niespodziewane błyski dowcipu i zwroty pełne oryginalności. W tych listach żyje on paryską przeszłością, ciągle się do niej zwraca, jak kobieta, dla której czasy młodości, kiedy ją podziwiano, są niewyczerpaną skarbnicą rozkoszy. Oczywiście w tem wszystkiem dużo egoizmu, a i niemało troski o powiększenie dochodów, które zawsze były dlań za szczupłe. Rzetelnie nudzi swe przyjaciółki interesami pieniężnemi z wydawcami swoich książek, a próżność literacka przebija zanadto często. Zresztą wiedział abbate bardzo dobrze, że ulega temu błędowi większej części ludzi piszących i na swe usprawiedliwienie przytaczał anegdotkę o jakimś rzymskim kardynale, u którego nad wszystkie słabostki zwyciężała próżność literacka. Oto opowiadanie Galianiego.

Kardynał siedzi przy biurku, bardzo zajęty pisaniem. Wtem wchodzi jego płatny szpieg, który mu donosi codziennie zajmujące plotki, a przedewszystkiem, co mówią o nim, o kardynale.

— A więc co słychać? — pyta roztargniony książę kościoła.

— Eminencjo, mówią... mówią... — odpowiada szpieg z pewnem wahaniem.

— No, cóż? śmiało, śmiało...

— Mówią, że Eminencja ma za pazia... bardzo piękną dziewczynę, która z winy Eminencji zasłabła... na chorobę, trwającą dziewięć miesięcy.

— Nieprawda, to jej wina — krótko mówi kardynał i pisze dalej.

— Dodają, że kardynał X chciał Eminencji porwać tego ...pazia i że Eminencja kazał go zamordować.

— Nie, nie z tego powodu.

— Mówią także o ostatniem dziele Waszej Eminencji, że niewiele warte i że kto inny je napisał.

Kardynał zrywa się gniewnie.

— A! mógłbyś mi, głupcze, powiedzieć, kto jest tym podłym oszczercą?

Do podobnych wybuchów literackiej drażliwości dawała osobliwie powód książka Galianiego *Dialogues sur le commerce des blés*, która na całym Zachodzie zrobiła nadzwyczajne wrażenie. Książka ekonomiczna, pisana z takim zapałem, z takim dowcipem, jakby chodziło o sprawę opery lub baletu. Wszyscy filozofowie we Francji, w Anglji i we Włoszech zajmowali się sprawami ekonomicznemi, nawet w salonach pani d'Epinay lub pani Necker rozprawiano nad pytaniem, czy handel ma być wolny, czy nie, czy Francja może wywozić zboże, czy wywóz ma być zakazany, czy ograniczony. Galiani był za wolnym handlem zboża wewnątrz kraju, a wywody swoje opierał na praktyce życia i na poprzednich już studjach ekonomicznych, którym się oddawał zamłodu w Neapolu. Rozprawa jednak o handlu zbożem narobiła dużo hałasu, nietyle może z powodu zasad ekonomicznych, które autor w niej wypowiadał, ile sposobu pisania, traktowania rzeczy poważnych i suchych w sposób lekki, dowcipny, a naprawdę zupełnie nowy.

Ekonomiczne studja Galianiego zyskały autorowi zaraz po powrocie do Neapolu wysokie urzędy i dochody. Król, zapewne na przedstawienie ministra Tanuccego, zamianował go doradcą handlowym, prezydentem zarządu królewskich domen, adwokatem fiskusa; te rozliczne zajęcia nie przeszkadzały jednak Ferdynandowi oddawać się numizmatyce, archeologji, lekkiej literaturze, teatrowi, a nawet ubieraniu artystek. Mimo swej

nieforemnej postaci miał Galiani dość szczęścia u kobiet i zawiązywał podobnie, jak w Paryżu, i w Neapolu liczne stosunki, osobliwe w świecie łatwym do zdobycia. W Paryżu pozostawił panią de la Daubinière z dwojgiem dzieci, a wyjechawszy do Neapolu, płacił jej miesięcznie po dwanaście liwrów. Wprawdzie pisał w jednym ze swoich listów, że to czyni z uczucia ludzkości, ale raczej powinien był dodać, że i z obowiązku uczciwości. Madame de la Daubinière pocieszyła się wkrótce po wyjeździe Galianiego; zawiązała inny stosunek z lekarzem florenckim, Angelem Gatti, mieszkającym w Paryżu, a węzły, łączące ją z neapolitańczykiem, zupełnie się zerwały, zwłaszcza że dzieci, które z nim miała, wcześnie umarły. Natomiast sprawiła Gattemu „nieprzyjemną niespodziankę, obdarzając go synem“, o czem lekarz Włoch donosił swemu poprzednikowi w jej łaskach. Znając swoje fizyczne ułomności, lubił Galiani opowiadać i pisać o zdobyczach w świecie kobiecym, aby przekonać znajomych, że mimo niepozornej figurki przecież i tam miał powodzenie.

Z początku, po powrocie do Neapolu, rzeczywiście było mu bardzo tęskno za przyjaciółmi paryskimi, skarżył się też, że w tej pustyni o 500.000 mieszkańców nie znajduje innego towarzystwa, jak parę kotów angorskich, które mu rozweselały chwile samotności. Ale ta samotność nie trwała długo; znalazł i w Neapolu kilka salonów, do których chętnie uczęszczał. I tak bywał gościem u lady Hamilton, pierwszej żony angielskiego ambasadora, i u lady Oxford, gdzie się zbierało najwykwintniejsze cudzoziemskie towarzystwo, a nawet u młodej jeszcze królowej Karoliny dobrze był widziany. Wprawdzie ciągle narzekał przed panią d'Epinay, że żyć nie może bez swej „belle dame“, bo od tego wezwania listy do niej zaczynał, ale przecież czasami tłumaczył się, że dawno do niej nie pisał, bo „porto od listów dużo kosztuje“. Zebrał sobie w Neapolu także poważniejsze męskie towarzystwo, a mianowicie zamawiał się do p. Gleicha i jenerała Hock, rezydenta weneckiego, na obiady i „zdawało im się, że grają w Paryż“, podobnie jak aktor Nicolet grywał Moljera. Brakowało im tylko kobiety w rodzaju pani Geoffrin, będącej duchem towarzystwa „qui nous geoffrinise“.

Teatr lubił jeszcze bardziej, aniżeli swoje koty angorskie; zaprzyjaźnił się z Paisiellem i w spółce z nim i Lorenzim na-

pisał (1775) jedną z najlepszych oper buffo, jakie wówczas przedstawiano, pod tytułem: *Socrate imaginario*. Opera była naprzód grana w Teatro Nuovo i miała takie powodzenie, że Galiani musiał z wielkim bólem serca zapłacić raz siedm dukatów za lożę trzeciego piętra na przedstawienie własnej sztuki. Autorstwo sztuk teatralnych zbliżyło go do śpiewaczek i artystek i wkrótce był tam przyjacielem i doradcą, a mianowicie co do ubiorów scenicznych; wybornie się bowiem nauczył w Paryżu sztuki ubierania kobiet i w tej mierze uchodził w Neapolu za niedoścignioną „powagę“. Pomimo swej małej figurki miał Galiani bardzo ładny głos, lubił się popisywać swym śpiewem w towarzystwach, zwłaszcza że go to zbliżało do opery i artystek.

Stał się właściwie wyrocznią we wszystkiem. Trzeba było klasycznego napisu na jakimś pomniku: udawano się do Galianiego, bo nikt tak, jak on, nie przejął się starożytną łaciną; mówiono o nim w Paryżu, że jedynie w jego napisach i epigrafach znać „la touche antique“. Gdy Katarzyna II udała się do słynnego uczonego Grimma, aby jej przysłał epigraf na konny pomnik Piotra Wielkiego, Grimm zwrócił się do Diderota. Ale frazes tego encyklopedysty niebardzo się udał. Wtedy Grimm napisał do Galianiego, do tego „charmant et irréprochable abbé“, aby się podjął tego zadania. Włoch ułożył epigraf, ale nie pominął sposobności, żeby się pochwalić, że praca ta kosztowała go tylko sześć minut, „gdyż nic łatwiejszego, jak położyć wielkie słowa zamiast wielkich czynów“. Znaleziony jednak w nowszych czasach rękopis Galianiego dowodzi, że autor musiał cokolwiek więcej czasu poświęcić na ów napis, bo przynajmniej trzy razy go przepisywał. Wogóle, gdzie tylko trzeba było jakiejś kompozycji w starożytnym duchu, udawano się do garbuska, a pomiędzy innymi i lord Hamilton prosił go, aby mu ozdobił odpowiedniemi słowami odrestaurowaną w r. 1774 wazę grecką.

O ile nasz abbate oszczędzał na opłatę listów do Paryża pisanych, o tyle więcej wydawał na antyki i wogóle na rozmaite ciekawości. Powoli zebrał jedno z najbardziej zajmujących prywatnych muzeów w Neapolu; miał mnóstwo medali, kamei, waz etruskich, a pomiędzy innemi nabył słynną szpadę Cezara Borgji, którą obiecał zapisać po swojej śmierci prałatowi Gae-

taniemu d'Aragona, jeżeli jego sukcesorom zapłaci za nią trzysta dukatów neapolitańskich. Ale próżność nie zadawalała się otrzymaną obietnicą. W testamencie dodał bowiem, że jeżeli monsignor Gaetani nie chciałby złożyć tej kwoty, to wykonawcy testamentu mają ofiarować szpadę „z respektem J. C. Mości Cesarzowej Katarzynie II na pamiątkę nieskończonej wdzięczności za wszystkie dobrodziejstwa, które mu wyświadczyła". Gaetani jednak zapłacił owe 300 dukatów i szpada została we Włoczech, a obecnie jest w posiadaniu książąt di Sermoneta w Rzymie [1].

Do ulubionych studjów Galianiego należała także geologja i geografja. Wezuwjusz zachęcał do zbierania kamieni. Jeszcze we Francji obiecywał Ferdynand pani d'Epinay, że wyda dzieło *Système sur l'origine des montagnes*; ale zdaje się, że obietnicy nie dotrzymał, gdyż wogóle miał mnóstwo literackich projektów, zaczynał dużo dzieł, a nie miał czasu ich dokończyć. Gorliwiej, niż geologją, zajmował się geografją, zwłaszcza ze względu na handel i żeglugę Neapolu. Gdy przybył do Paryża, pracował właśnie Cesare Francesco Cassini nad pomnikowem dziełem: *Description geométrique de la France,* które dopiero w początkach XIX w. zostało ukończone. W Neapolu zdawało się takie przedsięwzięcie jeszcze utopją, ale odważny Galiani przybrał sobie w Paryżu do pomocy uczonego, Giovanniego Rizzi-Zannoni, i postanowił wypracować mapę królestwa neapolitańskiego, o której dotąd nikt nie pomyślał. Galiani dowiedział się, że w archiwum państwa w Wersalu były stare pergaminy, tyczące się ziem neapolitańskich. Zręczny Włoch nabył je w tajemnicy za czterdzieści ludwików, a mapy te posłużyły do dalszych jego prac. Gdy go odwołano z Paryża, jednem z wielkich jego zmartwień była niemożność doglądania prac Zannoniego. „È la carta geografica!" — wołał z rozpaczą. „Ośm lat ciężkiej pracy zostało przerwanych, a co trudności, co cierpliwości, co umęczenia mnie to kosztowało! Nabrałem wskutek tego szacunku dla samego siebie. Nie przypuszczałem, abym miał tyle flegmy i uporu". Ten upór miał zresztą bardzo patrjotyczne po-

---

[1] Monografję o tej artystycznej szpadzie napisał Charles Yriarte w Revue *Les Lettres et les arts.* Marzec i kwiecień 1886.

budki: Galiani widział przyszłość swej ojczyzny w handlu; wprawdzie sądził, że „Chiny są za bogate, a Kamczatka za uboga“, aby stamtąd jaką korzyść wynieść można, ale pozostawało jeszcze dużo innych krajów, z któremiby handel prowadzić można. Ale przedewszystkiem trzeba znać własny kraj, własne brzegi i pobudować odpowiednie porty. żegnając się z Paryżem, powierzył Galiani opiekę nad swoją mapą pani d'Epinay, a w Neapolu zainteresował tą sprawą ministra Actona, który powysyłał na prowincję rysowników, architektów, astronomów, aby mierzyli brzegi morskie; ale praca szła powoli i gdy abbate umierał, było gotowych zaledwie pięć arkuszy map. Jego starania doprowadziły jednak później do celu, gdyż mapy ziem neapolitańskich zostały wydane, a w archiwum neapolitańskiem znajduje się jeden egzemplarz z r. 1792 pod tytułem: *Atlante Terrestre.*

Pomiędzy starożytną filozofją, francuską sceną, Kamczatką a Wezuwjuszem biegały ciągle myśli ruchliwego neapolitańczyka i każde ważniejsze zdarzenie pobudzało go do pisania rozpraw. Gdy mu kobiety bardzo dokuczyły, napisał: *Dialogue sur les femmes;* gdy Wezuwjusz zaczął wybuchać, a ludność neapolitańską zanadto wielki strach przejmował, starał się rozweselić publiczność humorystycznem pismem: *Spaventosa descrizione dello spaventoso spavento colla eruzione del Vesuvio* Onofrio Galleota, poeta e filosofo“. Czasami zajmowała go gwara lazzaronów; został filologiem i wydał rozprawę: *Del dialetto Napoletano,* a gdy mu zabrakło pieniędzy, zwrócił się na pole międzynarodowego prawa i napisał rozprawę, o której sądził, że monarchowie i rządy będą ją kupować. Był to traktat o obowiązkach książąt neutralnych wobec książąt wojujących i nawzajem ostatnich wobec pierwszych. O tem dziele napisał w liście do Grimma: „Je fais cet ouvrage uniquement pour de l'argent“. Bawiąc się swemi kotami, wpadł Galiani na myśl, jakby to pięknie było ułożyć rozprawę pod tytułem: „Instructions morales du chat en français, par M. d'Egrattigny, interpréte de la langue chatte, à la Bibliothèque du Roi“. Ale do wykonania tego kocio-literackiego projektu nie przyszło, pomimo że autor dwa razy pisał o nim do pani d'Epinay. Miała to być moralna satyra, z której można się było przekonać, że koty są czasem

mądrzejsze, niżeli ludzie. Kotka wpaja przedewszystkiem w swoje kocięta dwie zasady: obowiązki wobec człowieka i nienawiść wobec psa-demona. Za koci obowiązek uważa walkę z myszami i szczurami, a gdy kocięta tak przykładny będą prowadzić żywot, czeka je przyszłe życie w niebiańskiem mieście Szczuropolis, gdzie mury są zbudowane z parmezańskiego sera, a ulice wybrukowane płatkami cielęciny; pełno tam szczurów, ale raczej dla zabawy szczęśliwych kotów, aniżeli dla pożywienia. Kocięta powinny mieć w wielkiem poważaniu kastraty kocie, bo takie zwierzęta uznali ludzie-bogowie za istoty wybrane, które w doczesnem i przyszłem życiu będą szczęśliwe. W całej tej satyrze miały być aluzje do stosunków, które Galiani zawsze wydrwiwał.

Czasami aż w głowie się mąci Galianiemu od zajęć w rozmaitych urzędach, które piastuje, od romansów, towarzyskich obowiązków i literackich projektów, tak, że raz pisze do pani d'Epinay, że jeszcze nie jest pewny, czy jego siostry i siostrzenice poślą go do domu warjatów, czy do przytułku żebraków, czy też do obydwóch.

A sióstr miał aż pięć, trzy siostrzenice, synowca, szwagrów, ciotek bez liku, dalszych krewnych i powinowatych do stu. Ale co najgorsza, brat jego Bernard, do którego Ferdynand bardzo był przywiązany, wcześnie umarł, pozostawiwszy trzy córki nieładne, a jedną nawet ułomną. Niemało z niemi było kłopotu, ale Galiani tak rączo, z taką energją brał się do dzieła, aby im mężów wyszukać, że nawet z garbatą się uporał, nie mówiąc już o innych, które łatwiej było umieścić.

Do swoich przyjaciółek paryskich tak był przywiązany, że gdy w r. 1783 pani de Bocage doniosła mu o śmierci pani d'Epinay, odpowiedział jej: „Madame d'Epinay n'est plus, j'ai donc aussi cessé d'être". Wprawdzie ubytek tej słynnej przyjaciółki nie był bezpośrednim powodem jego śmierci, bo Galiani lubił w listach frazesy błyskotliwe, lub mające uderzać, jak pioruny; zato inne przyczyny pociągały za sobą zanik sił wesoło-melancholicznego abbate. Za dużo pracował umysłowo i zanadto hołdował miłości. Trzynastego maja 1785 powalił go chwilowo atak apoplektyczny, ale się jeszcze podniósł, pojechał na odpoczynek do Apulji. We dwa lata później wybrał się w podróż do Wenecji i Włoch północnych, zdrowia jednak nie odzyskał.

Przeczuwał swój koniec. Do przyjaciół mówił z humorem, że „umarli nudzą się, więc przysłali mu list zapraszający, aby się do nich jak najprędzej przyłączył i trochę ich rozweselił!“ Radził się lekarza, który stwierdził wodną puchlinę i uważał stan jego za beznadziejny.

Królowa Karolina korzystała ze sposobności, aby sobie zasłużyć na wieczne zbawienie. Napisała do Galianiego list z oburzającą otwartością, w którym przedewszystkiem wyraża swój żal, że traci człowieka tak pożytecznego dla króla i dla państwa, ale zato wypowiada mu na drogę do wieczności tyle słów nielitościwie przykrych, że chyba w tej kobiecie zamarły już wszelkie delikatne uczucia. Napomina go, aby w ostatniej chwili porzucił zasady życia zbyt śmiałego umysłu, bo gdyby został takim, jak dotąd, grzesznikiem, toby to było nierozsądnym uporem. „Pozbądź się swych błędów, przykładnem zejściem z tego świata rozbrój tych, których twe zachowanie gorszyło; napraw złe, któregoś tyle narobił“. Po trzy razy wraca królowa do obłudnego napomnienia, aby umierający swem zachowaniem przed śmiercią zmazał swój „skandaliczny żywot“. Co więcej, „cnotliwa“ Karolina wdaje się w nauki, które bynajmniej nie należą do tego rodzaju listów; stara się Galianiemu dowieść istnienia Boga, a pisanie swoje uważa za wielkie dobrodziejstwo, zasługę, a zarazem za jeden z dowodów, że niebo jest przecie litościwe dla umierającego.

Czytając ten list, odnosi się wrażenie, że pisał go spowiednik, który mając ciągle do czynienia z umierającymi, zatracił delikatność uczuć i stał się podobnym do zawodowego chirurga, niewrażliwego już na fizyczne cierpienia swego pacjenta.

Wszystkie te napomnienia w ustach Karoliny świadczyły o zanadto dobrem rozumieniu o sobie i bezgranicznej dumie, a nadto o zupełnym braku serca i taktu, gdyż się mięszała w sprawy duchowe człowieka, który niesłychanie wyżej od niej stał inteligencją i należał do pierwszorzędnych myślicieli swego czasu.

Na ten szorstki i za długi list odpowiedział Galiani o wiele krócej, a dziękując w poważnych słowach królowej za „macierzyńską“ opiekę, zapewniał ją, że wieczne zasady moralności i „prawdziwej“ religji chrześcijańskiej były zawsze głęboko

wpojone w jego umyśle. Daje królowej jednak do poznania, że może zanadto się pośpieszyła w wyprawianiu go na tamten świat, gdyż czuje jeszcze dość w sobie siły, aby mieć nadzieję ucałowania jej ręki.

Galiani żył jeszcze kilka dni; cały Neapol dowiadywał się o jego zdrowie, co go bardzo cieszyło; humoru nie tracił, mówił, że życia nie żałuje i tylko martwi się, że nie miał dość czasu, aby wydrukować swoje prace o Horacym i dokonać dzieła odbudowania portu w Bajach. Na dwie godziny przed śmiercią przybył Acton do umierającego; ale Galiani, który nie lubił ministra, kazał mu powiedzieć, że go przyjąć nie może, gdyż jego powóz już zaprzężony do odjazdu, a i minister mógłby swoją karetę w tym samym celu przygotować.

Galiani umarł 30 października 1787, mając 58 lat i 10 miesięcy.

Pomiędzy sceptycyzmem wieków odrodzenia a wolnomyślnością XVIII wieku jest wielka różnica. W wyobrażeniach religijnych ludzi odrodzenia było więcej szczerości; albo byli zupełnymi sceptykami, albo też odróżniali religję od hierarchji kościelnej. Alfons I i jego otoczenie wymyślali na Rzym, papieży uważali za wrogów, ale mimo to byli religijni, podczas gdy wiek XVIII, naturalnie przed rewolucją, ubierał swoje ateuszowstwo w grzeczne formy, stosował się do „dobrego tonu“. Wolter starał się być w dobrej harmonji z papieżem, przesłał mu jedną ze swych książek, a i z kapucynami klasztoru w swoich dobrach żył w najlepszej zgodzie, co nie przeszkadzało mu walczyć z religją, a bodaj i z chrześcijaństwem. Do form, które zachowywały królewskie dwory krajów katolickich, należały zwyczaje religijne; byłoby więc przeciw „dobremu wychowaniu“, gdyby się nie zachowywało tych zwyczajów. Przedrewolucyjne społeczeństwa wzorowały się pod wielu względami na królewskich dworach, choćby to wzorowanie się było połączone z pewną hipokryzją. Tego rodzaju poddanie się dobremu tonowi widzimy w ostatnich chwilach Galianiego; całe życie był sceptykiem, wychodzi jednak ze swej roli, gdy „pojazd po niego zajechał“, aby go dowieźć do wieczności. Przyzwoitość nakazy-

wała, aby się trzymał uświęconych zwyczajów, nie chciał, aby go po śmierci uważano za człowieka źle wychowanego, za gbura.

Był on jednak najzupełniejszym sceptykiem, w filozofję nie wierzył. Pisał raz, że „lepszy świat“ istnieje tylko w naszej głowie, a „jacy głupcy ci metafizycy, którzy się nim zajmują! Tu na ziemi trzeba się nauczyć znosić cierpliwie niesprawiedliwości i nudy. Wychowanie nie jest niczem innem, jak wykorzenieniem naturalnych talentów człowieka, a zastąpieniem ich obowiązkami socjalnemi. Wychowanie musi te talenty kształtować, t. j. obcinać i krzesać, jak grabowe ulice w ogrodach. Jeżeli nie zdoła tego dokonać, to z owego indywiduum powstanie poeta, improwizator, awanturnik, malarz, dowcipniś, oryginał, który najczęściej umiera z głodu, ponieważ nie można go wstawić w żadną społeczną szufladę“.

Polityczną też zasadą Galianiego był najzupełniejszy utylitaryzm. „Siła przed prawem“ to jedyna szczera myśl, którą się ludy kierowały i kierują; wszelkie teorje o wzroście i upadku państw, wszelkie piękne słowa o uszczęśliwieniu ludów są politycznemi mrzonkami. Polityka jest takiem stosowaniem się do danych okoliczności, aby z nich korzyść wyciągnąć, aby nam dobrze było. „My i nasze dzieci — to wszystko, o co nam chodzić powinno, reszta marzenie“.

W liście do jednej z paryskich przyjaciółek z r. 1772 pisze: „W polityce uznaję jedynie, tylko czysty, niczem nie przyprawiony, surowy, zielony machjawelizm w całej swej potędze i sile. Jezuita abbé Raynald dziwi się, że prowadzimy handel murzynami w Afryce; czemuż się nie gorszy, że jego zakon sprzedaje muły z Gujany do Hiszpanji? Czyż jest coś straszniejszego, jak kastrowanie byków, albo obcinanie ogonów mułom i t. p.? Abbé zarzuca nam rabunki w Indjach i sądzi, że to się źle skończy; ależ wszystko dobre ma zły koniec. Cielęcina z Pontoise przemienia się w ....; nie jedzmy więc cielęciny. Taniec męczy; nie tańczcie więc. Miłość rodzi zmartwienie; zabrońcie się kochać. Moje zdanie: Kupujmy murzynów, jak długo ich dostać można, ale zaniechajcie kupna, jeżeli się da zaaklimatyzować czarnych ludzi w waszych amerykańskich kolonjach. Jedyny korzystny handel zbierać rupje za cięgi, które się innym daje. Handel to mocniejszego“.

Galiani wyznawał zasady, które w kilka lat później rewolucja, a następnie reakcja przeprowadzały w straszny sposób. Hasła zdawały się piękne: „mułom ładnie bez ogonów“, odcinać więc ogony; „reakcji lepiej bez opornych głów“, więc odcinać głowy.

Szczęściem, że Galiani umarł w r. 1787, gdyż byłby z pewnością stał się w r. 1799 ofiarą burbońskiej zemsty i zginął na szafocie, podobnie jak kilku innych przyjaciół królowej Karoliny. Pomimo bowiem swych dobrych stosunków do głów koronowanych był on przesłannikiem i zwiastunem rewolucji w Neapolu.

INDEKS

SPIS ILUSTRACYJ

LITERATURA

Abignente Filipo, La Disfida di Barletta e i tredici campioni italiani. Trani, Vecchi, 1913.

Agostini, Pietro Carnesecchi. Firenze, 1899.

Amabile A., La corte di R. d'Angio e il secondo viaggio del Petrarca a Neapoli. Napoli, 1890.

Amabile Luigi, Il sant' officio della Inquisitione in Napoli. Città di Castello. S. Lapi, 1892, volumi 2.

Amante Bruto Dr., Fra Diavolo e il suo tempo (1796—1806). Firenze, R. Bemporad & Figlio, 1904.

Beccadelli Antonio, Tristano Caracciolo, Camillo Porzio, Alfonso I, Ferrante I von Neapel, übersetzt von Hermann Hefele. Jena, bei Eugen Diederichs, 1912.

Bertaux Emile, L'Art dans l'Italie meridionale. Paris. Albert Fontemoing, 1904.

— Santa Maria di Donna Regina e l'arte senese a Napoli nel secolo XIV. Napoli. R. Stabilimento tipogr. Francesco Giannini & Figli, 1899.

Bertolotti A., La prigionia di Ascanio Colonna. Ricerche e studi. Modena, Vincenzi e nipoti, 1883.

Boccaccio Giovanni, Opere volgari. Firenze, 1827—1834. 17 vol.

Boissier G., Nouvelles promenades archéologiques. Horace et Virgile. Paris, 1895.

Bonnefons André, Marie-Caroline reine des Deux-Siciles. Paris, Perrin et Com., 1905.

Borgnana Carlo, Del castello e della chiesa de' Caetani nella via Appia. Roma, Tipogr. Monaldi, 1866.

Brun Friederike, Prosaische Schriften. Zürich, 1801.

Burger Fritz, Francesco Laurana. Eine Studie zur italienischen Quattrocentoskulptur. Strassburg, I. H. Heitz, 1907.

Camera Matteo, Elucubrazioni storico-diplomatiche su Giovanna I regina di Napoli e Carlo III di Durazzo. Salerno, Tip. nazionale, 1889.

Capecelatro Francesco, Diario contenente la storia delle cose avvenute nel reame di Napoli negli anni 1647—1650, messo a stampa dal marchese Angelo Granito principe di Belmonte. Napoli, 1850. 3 vol.

Casetti A. C., Il Boccaccio a Napoli. Nuova Antologia. 1875.

Catalani Luigi, I palazzi di Napoli. Ricerche. Napoli. Tipogr. Migliaccio, 1845.

Champault Ph., Phéniciens et Grecs en Italie d'après l'Odyssée. Paris, Leroux, 1896.

Colangelo Francesco, Vita di Giovanni Pontano. Napoli, Tipogr. A. Trani, 1826.

Coletta P., Storia del reame di Napoli. Capolago, 1834.

Comparetti Domenico, Virgilio nel Medio Evo. 2-a edizione riveduta. Firenze, Bernardo Seeber, 1896. 2 tomy.

Crescini V., Contributo agli studi sul Boccaccio. Torino, 1887.

— Il cantare di Fiorio e Biancifiore. Bologna, 1889—1899, 2 vol.

Croce Benedetto, Di un antico romanzo spagnuolo la „Question de amor" notizia. Napoli, 1894. Estratto dall' Archivio stor. per le Provincie Napoletane, Anno XIX.

— La Rivoluzione Napoletana del 1799. Biografie, racconti, ricerche. 3-a edizione aumentata. Bari, Laterza, 1912.

— I teatri di Napoli del secolo XV—XVIII. W Archivio storico per le Provincie Napoletane. Anno XV i XVI. 1890—91.

Cuoco Vincenzo, Saggio storico sulla Rivoluzione napoletana del 1799, seguito dal Rapporto al Cittadino Carnot di Francesco Lomonaco, a cura di Fausto Nicolini. Bari, Laterza, 1913.

Damas Roger de, comte, Memoires (1787—1814), Paris, Plon, 1912.

Dąbrowski Jan, Elżbieta Łokietkówna. Rozprawy Akademji Umiejętności. Wydział histor.-filozoficzny. Serja II. Tom XXXIII. Kraków, 1914.

De Blasiis G., Le case dei principi angioini nella piazza di Castelnuovo. Archivio storico per le Provincie Napoletane. Vol. XII, 1887.

— La dimora di G. Boccaccio a Napoli. Archiv. st. p. l. Prov. Nap. vol. XVII, 1892.

Della Torre A., La giovanezza di G. Boccaccio (1313—1314). Città di Castello, 1905.

Diehl Charles, L'art bizantin dans l'Italie meridionale. Paris, Libraire de l'Art, 1894.

Faraglia N. F., Barbato di Sulmona e gli uomini di lettere della corte di Roberto d'Angio. Arch. Stor. It. 5-a Serie III.

Filangieri G. principe, Vita di Lucrezia d'Alagno. Monografia. (La Diva di Alfonso d'Aragona).

Galiani F. l'Abbé, Correspondance, avec une étude sur la vie et les oeuvres de Galiani par Lucien Perey et Gaston Maugras. Paris, Calmann Lévy edit., 1890. 2 tomy.

Giacomo S., Cronaca del teatro San Carlino. 1738—1884. Napoli, 1891.

Giannone Pietro, Istoria civile del Regno di Napoli. Italia, 1858.

Giudice del Giuseppe, I tumulti del 1547 in Napoli pel tribunale dell' Inquisizione. Napoli, tip. Michele d'Auria, 1893.

Goetz Walter, König Robert von Neapel (1309—1343). Seine Per-

sönlichkeit und sein Verhältnis zum Humanismus Tübingen, Verlag von J. C. B. Mohr, 1910.

Gröber G., Ueber die Quellen von Boccaccios Dekameron. Strassburg, 1913.

Hager D., Die Weihnachtskrippe. Ein Beitrag zur Kunstgeschichte aus dem Bayerischen Nationalmuseum. München, 1902.

Haller J., Die Belehnung Renées von Anjou mit dem Königreich Neapel (1436). Rom, E. Loescher & Co., 1901.

Hare Christopher, A Princess of the italian Reformation. Giulia Gonzaga, her family and her friends. London and New-York, Harper & Brothers, 1912.

Hazard Paul, La révolution française et les lettres italiennes (1789—1815). Paris, Hachette & Co, 1910.

Heinemann Lothar Dr., Geschichte der Normannen in Unteritalien und Sicilien. Leipzig, Verl. Pfeffer, 1894.

Helfert Frh. v., Fabrizio Ruffo. Revolution und Gegen-Revolution von Neapel (1798—1799). Wien, Wilhelm Braumüller, 1882.

— Königin Karolina von Neapel und Sicilien. Wien, W. Braumüller, 1878.

Koerting G., Boccaccios Leben und Werke. Leipzig, 1880.

Kotzebue August v., Erinnerungen meiner Reise aus Liefland nach Rom und Neapel. Berlin, 1803. Trzy tomy.

Landau M., Die Quellen des Dekameron. Stuttgart, 1884.

— Boccaccio. [Włoskie tłómaczenie z niemieckiego, z uwagami, dodatkami C. Antona-Traversi]. Napoli, 1881.

Lémonom Ernest, Naples et son Golfe. Paris, Libr. Renounard, 1911.

Marées H. v., Fresken in Neapel. Mit 7 Lichtdrucktafeln und 11 Abb. Text v. P. Hartwig. B. 1909, Fol.

Masuccio Salernitano, restituito alla sua antica lezione da Luigi Settembrini, Napoli, 1874.

Mémoire de Marie Caroline reine de Naples intitulé „De la Révolution du Royaume de Sicile“... par un témoin oculaire — publié pour la première fois, avec introduction, notes critiques, et deux fascimiles par R. M. Johnston, Cambridge, Frowde (Harward Historical Studies, XVI).

Merkel Carlo, Come vestivano gli uomini del „Decamerone“. Roma, 1898.

Mistral Frederic, La reine Jeanne. Tragedie provençale en 5 actes. Paris, Alphonse Lemerre, 1890.

Montemayor Giulio de, La piazza della Sellaria. Napoli nobilissima, 1896.

Mustard Wilfred P., The piscatory eclogues of Jacopo Sannazaro. Baltimore, The Johns Hopkins press, 1914.

Nicolini L., La Reggia di Caserta (1750—1775) ricerche storiche con prefazione di Benedetto Croce. Bari, Laterza, 1911.

Nolhac P. de, Pétrarque et l'humanisme. Paris, 1907.

Notar Giacomo, Cronica di Napoli. Napoli, Stamperia reale, 1845.

Palumbo, Corteggio della regina Maria Carolina, 1877.

Pansa Giovanni, Giovanni Quatrario di Sulmona (1336—1402). Contributo alla storia dell' umanesimo. Sulmona, Tipogr. editrice sociale, 1912.

Parco Lo Francesco, Petrarca e Barlaam. Reggio Calabria, Morello, 1905.

Persico Tommaso, Diomede Carafa, uomo di stato e scrittore del secolo XV. Napoli, Luigi Pierro, 1899.

— Gli Scrittori Politici Napoletani dal 1400 al 1700. Volume VI della Nuova Biblioteca di Letteratura. Napoli, Perrella, 1912.

Petrarca F., Epistolae de rebus familiaribus et varia. [Tłómaczył z łacińskiego na włoski język i objaśnił uwagami G. Fracassetti]. 5 tomów. Firenze, 1863 i następne lata.

— Lettere senili. [Tłómaczenie z uwagami Fracassetti]. 2 tomy. Florencja, 1869—70.

Reumont Alfred von, Die Carafa von Maddaloni. Neapel unter spanischer Herrschaft. Berlin, Deckersche Hofbuchdruckerei, 1851, 2 tomy.

— Vittoria Colonna. Leben, Dichten, Glauben im XVI Jahrhundert. Freiburg in Breisgau, Herdersche Verlagsbuchhandlung, 1881.

Rillo N. A., F. Petrarca alla corte angioina. Napoli, Pierro. 1904.

Rinaldis A. de, Medaglie dei secoli XV e XVI, nel museo nazionale di Napoli. Napoli, 1913.

Sanctis de Francesco, Storia della letteratura italiana. Nuova edizione a cura di Benedetto Croce. Bari, Gius. Laterza & figli, 1912. 2 vol.

Sannazaro Giacopo, M. Scherillo. Un vero amore del Sannazaro. Giorn. Stor. di Lett. Ital. XI (1888).

— Vita di Giacopo Sannazaro, di nuovo ristampata et accresciuta. Roma, 1593.

— Vita di G. S., poeta e cavaliere Napolitano. Seconda edizione. Napoli, 1816.

Scarpetta Domenico, Giovanna di Napoli. Monografia storica. Napoli, Cioffi, 1903.

Schiavello G., Scipione Capece, umanista del secolo XVI. Napoli, Pesole, 1901.

Siragusa G. B., L'ingegno, il sapere e gl'intendimenti di Roberto d'Angio. Torino, 1891.

Sismondi Sismonde, Histoire des Républiques italiennes du moyen âge. Cinquième edit. Bruxelles, 1839, 8 vol.

Spila Benedetto, Un monumento di Sancia di Napoli in Napoli. Napoli, Cooperativa tipografica, 1901.

Summonte G. A., Historia della città e regno Napolitano. Napoli, 1675, 5 vol.

Sutherland Gower, George Romney, 1904.

Tanfani L., Niccola Acciaiuoli. Firenze, 1863.

Tischbein Wilhelm, Aus meinem Leben. Herausgegeben von Dr. Carl G. W. Schiller. Braunschweig, 1861, 2 tomy.

Torraca Francesco, Gl'imitatori stranieri di Jacopo Sannazaro. Roma, 1882.

— La materia dell' Arcadia del Sannazaro. Studio. Citta di Castello, Tipogr. S. Lapi, 1888.

— Per la biografia di G. Boccaccio. Appunti, Napoli, 1912.

Trifone R., Un Carnevale alla corte di Carlo Borbone (per le nozze Fadda — Musu). Salerno, Volpe, 1912. [Jest to sprawozdanie z festynu, który się odbył podczas łowów w Bovino w r. 1737, urządzonych dla młodego króla. Ciekawe ze względu na zwyczaje ówczesnej szlachty i na ceremonjał hiszpański dworu królewskiego].

Tudisco Francesco, II popolo apulo prima di allearsi col popolo romano. Studio storico. Bari, 1914.

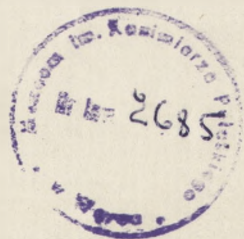
Turquan Joseph & Jules d'Auriac, Lady Hamilton. Paris, Emile-Paule Frères Editeurs, 1913.

Venturi A., Storia dell' Arte Italiana. Milano. Ulrico Hoepli, 1901 i nast.

Weigand Wilhelm, Der Abbè Galiani. München, bei Georg Müller, 1908.

Wolff Max von Dr., Leben und Werke des Antonio Beccadelli, genannt Panormita. Leipzig, E. A. Seemann, 1894.

— Lorenzo Valla, sein Leben und seine Werke. Leipzig, Verlag von E. A. Seemann, 1893.



I/ 385/B2 472/II/33 90.—

SPIS ROZDZIAŁÓW

Mgr A. Leich[illegible]

70745/105/85

2.000,-